

MARIAN LANGER

Lasy i Ludzie

Wspomnienia z lasów starachowickich 1939-1945



WARSZAWA 1993

Marian Langer

*Las
i
Ludzie*

**Wspomnienia z lasów starachowickich
1939-1945**

WARSZAWA 1993

Projekt okładki: autor
Projekt strony tytułowej: Andrzej Langer
Fotografie oraz reprodukcje zdjęć: autor
Opracowanie komputerowe: autor
Korekta: Tadeusz Kuźmiak, Andrzej Langer
Konsultacje: płk Andrzej Żmijewski

Copyright by Marian Langer
Wydanie I

Wydanie II elektroniczne na podstawie wydania I
Copyright © 2012 Andrzej Langer alanger@isart.com.pl
Wersja 30052012 dla serwisu <http://www.brody.info.pl>

Książkę wydano nakładem autora oraz byłych żołnierzy AK,
pod patronatem ŚZŻAK "JODŁA" w Warszawie,
a także dzięki szczególnie znaczącej pomocy finansowej
URZĘDU D/S KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Warszawa 1993

Spis treści;

Wstęp	5
Lasy starachowickie.....	7
Wrzesień 1939 r.	27
Pierwsze dni okupacji i pierwsze nieszczęścia.....	57
Niemieckie struktury policyjne i ich działalność.....	65
Anton Krüger	83
"Ponury"	113
Armia Krajowa w rejonie lasów starachowickich.....	125
"Szary"	165
Lipiec 1944	V..... 199
Akcja "JODŁA".....	229
"Potok" organizuje ponownie Iłżecki Pułk Piechoty. Bitwa pod Dębowym Polem. Pacyfikacja Klepacz.....	243
Piotrowe Pole	263
1 Pułk AK Ziemi Iłżeckiej.....	269
Ostatnie dni września.....	287
Jak doszło do otoczenia oddziałów Iłżeckiego Pułku, czyli sytuacja przed bitwą 1. X. 1944 r.....	299
Dzień 1 października 1944 r. Bitwa pod Piotrowym Polem.....	303
Po bitwie.....	351
Jeńcy.....	361
Wspomnienia partyzantów.....	379
Ostatnie dni okupacji niemieckiej.....	417
Gdy przyszła "wolność"	421
Iłżecki Pułk AK w fotografii.....	429
Załączniki:	477

Wstęp

O wielkich wydarzeniach i wielkich bohaterach II-ej wojny światowej napisano już stosunkowo dużo. Brak jest jednak literatury która dobrze i bezstronnie przedstawiałaby normalnych, szarych ludzi i ich życie w warunkach hitlerowskiej okupacji.

Byłem mieszkańcem lasów starachowickich, dużych lasów, zamieszkałych przez chyba najbardziej ubogą ludność kielecczyny. Tam się wychowałem i przeżyłem wojnę.

Leśniczówka Klepacze, leżąca w samym wnętrzu kompleksu leśnego, w której zamieszkiwałem i gdzie ojciec mój (także Marian Langer) był leśniczym, stanowiła wyjątkowo dogodny punkt oparcia dla tworzących się organizacji zbrojnych, miejsce schronienia dla ludzi zagrożonych ze strony Niemców, ośrodek oświaty szkolnej i szkolenia wojskowego, ośrodek pomocy dla ludności.

Leśniczy, zaangażowany w pracy społecznej już przed wojną, był znany szerokiemu ogółowi i nikt związany z działalnością patriotyczną tego rejonu w czasie okupacji nie wyobrażał sobie, że można cokolwiek robić bez jego udziału.

O niebezpiecznej pracy leśników, o pracy i życiu leśnych ludzi już dziś nikt nie napisze. Żyją wprawdzie jeszcze liczni starzy ludzie, pamiętający te czasy, lecz nie są w stanie opracować swych wspomnień.

Bardzo znamienitym dla tego regionu był fakt, że ludność bardzo uboga, nie umiejąca w większości czytać i pisać, która pozornie nie miała żadnej nadziei, że w powojennej Polsce będzie jej lepiej, stanęła w czasie okupacji w całości do walki z najeźdźcą.

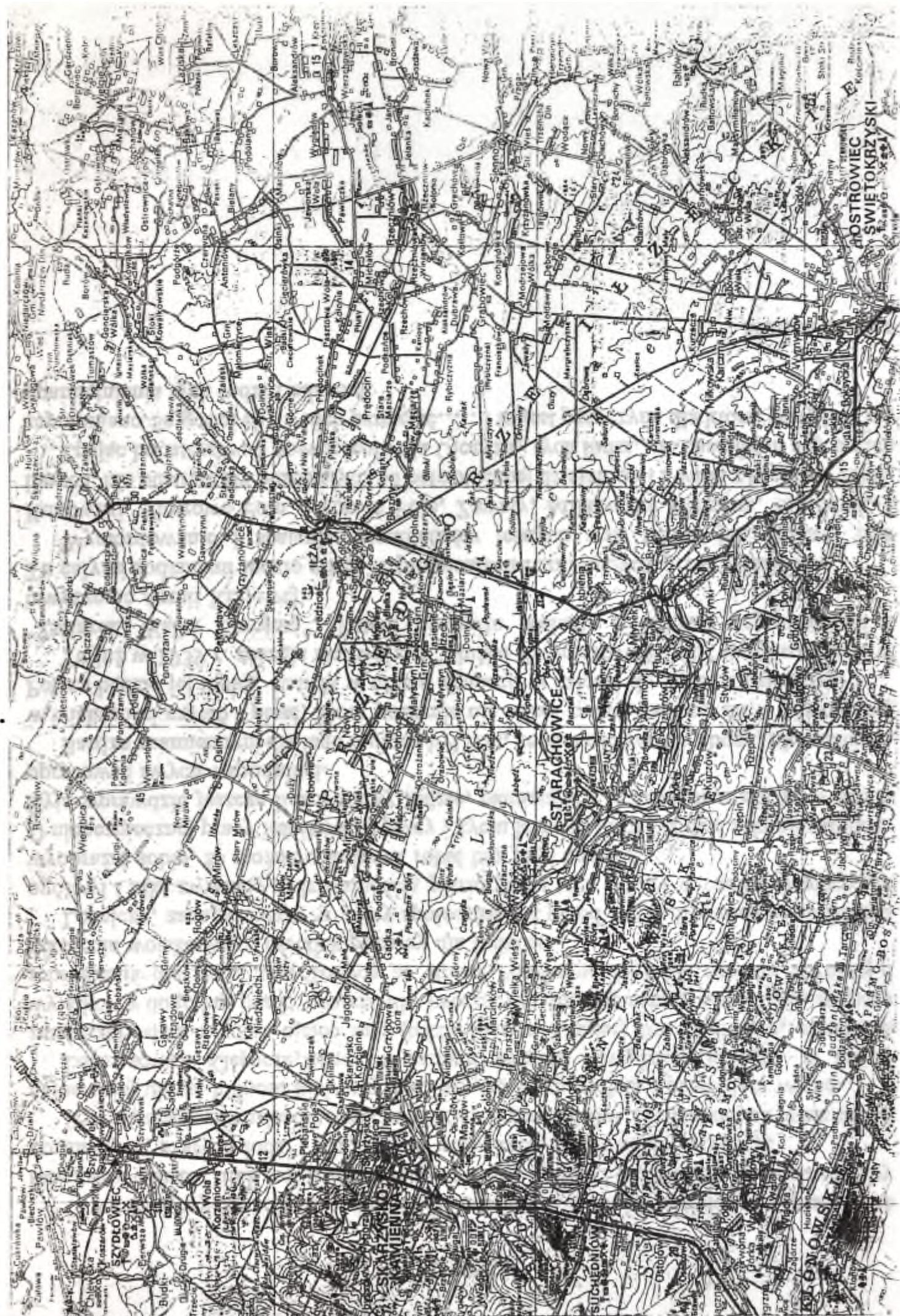
Tu już w 1939 r. zaczęła się tworzyć "Służba Zwycięstwu Polski" przekształcona w "Związek Walki Zbrojnej". Potem nastąpiło scalanie z innymi organizacjami i utworzenie Armii Krajowej.

Tu całymi rodzinami ludzie ginęli w płomieniach rozniecanych przez Niemców.

Wymordowanie i spalenie mieszkańców leśnych wsi, * takich jak Gębice, Bór Kunowski, Piotrowe Pole, Dębowe Pole, Zawały, Miłkowska Karczma, Mołdawa, i innych, nie odstraszyły pozostałych od patriotycznej działalności i walki z bronią w ręku.

Znając bohaterstwo i poświęcenie dla Ojczyzny tych ludzi, nie chciałbym aby o nich zapomniano. Są godni aby o nich pamiętać..... i to jest przyczyna dla której podjąłem się upamiętnienia tych ludzi i zdarzeń.

Marian Langer



Lasy starachowickie

Każdy, kto jedzie przez Iłżę w kierunku Ostrowca Św. przez Lubienię i Brody Iłżeckie, podziwia niewątpliwie urok tych okolic. Iłża, stare, średniowieczne miasteczko, wciśnięte w wąską dolinę rzeki Iłżanki, leży u podnóża stromego, wapiennego zbocza góry zamkowej, na której widać z daleka okrągłą, wyszczerbioną wieżę dawnego zamczyska, a wśród zieleni resztki murów obronnych.

W kierunku południowym od Iłży rozciąga się wąskie a długie jezioro, mniej widoczne dla przejeżdżających. Kilka kilometrów za Iłżą, koło wsi Pastwiska, szosa wpada w lasy zwane starachowickimi, będące resztkami dawnej Puszczy Iłżeckiej. Miejsce w którym szosa przecina lasy jest przewężeniem wielkiego kompleksu leśnego, który po lewej stronie szosy rozciąga się daleko na wschód pod Ostrowiec i Bałtów, a na prawo aż pod Skarżysko. Wyjeżdżając z lasu w miejscowości Lubienia widać panoramę Gór Świętokrzyskich, a wieczorem można dostrzec światła palące się w klasztorze na szczycie Łysej Góry.

Przed II-gą wojną światową główny maszyn obszar leśny należał do Spółki Akcyjnej pod nazwą "Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczych" z siedzibą zarządu w Warszawie, przy ul. Wareckiej 15.

Własnością jej były nie tylko lasy ale także rozrzucone na ich terenie kopalnie rudy żelaznej oraz kamienia wapiennego, a także drugi co do wielkości w przedwojennej Polsce tartak ze stolarnią, na Bugaju. Poza tym własnością spółki były różne inne zakłady przemysłowe, takie jak huta, produkująca głównie stale jakościowe, wyroby walcowane, odlewy ze stali specjalnych, grzejniki, kotły centralnego ogrzewania, armaturę wodociągową, różne konstrukcje stalowe, a nawet maszynki do mięsa.

Zakłady przemysłu chemicznego produkowały terpentynę i kałafonię a zakłady ceramiczne cegły i rozmaite kształtki ogniotrwałe oraz szamot mielony.

Stolarnia wykonywała stolarkę budowlaną, płyty sosnowe suchoklejone, jeszcze do dział i szereg innych asortymentów. Przy wielkim piecu uruchomiono produkcję białej cegły z żużla wielkopieczowego oraz szlaki granulowanej. Najważniejszym jednak zakładem należącym do Spółki były Zakłady Mechaniczne, zwane przez mieszkańców "górnymi", gdyż położone były wysoko, poza obrębem pradoliny rzeki Kamiennej, a które obecnie produkują znane samochody ciężarowe. Przed II-gą wojną światową zakłady te nastawione były na produkcję dział artyleryjskich a w ostatnim okresie dział przeciwlotniczych oraz amunicji do nich.

Ze względu na produkcję zbrojeniową większość akcji Spółki należała do Państwa i w związku z tym całość gospodarki była prowadzona pod nadzorem państwowym.

Nad obszarem leśnym liczącym 230 km² sprawował kierownictwo dyrektor inż. Józef Zagórski, z siedzibą w Starachowicach. Dyrektorem huty oraz związanych z nią kopalń był inż. Stanisław Holewiński. Naczelnym dyrektorem był inż. Kazimierz Raczyński. Gospodarką leśną zajmował się zespół leśników złożony z głównego nadleśniczego Józefa Pierożyńskiego oraz dwóch nadleśniczych: inż. Antoniego Wyporka oraz inż. Adama Grega.

Lasy podzielone były na 14 leśnictw obsadzonych następująco:

Mirzec	- leśniczy Mirski,
Tychów	- " Gołuszkiewicz,
Bugaj	- " Nowicki Wacław, Ambroż Antoni,
Lipie	- " Górka Józef,
Seredzice	- " Daniszewski Stanisław,
Krynki	- " Juskiewicz Julian,
Jasieniec	- " Michałowski Stanisław,
Lubienia	- " Sołtys Józef,
Błaziny	- " Leśniak Zdzisław,
Kruki	- " Pilitowski, Pawłowski, Wiktor Lipko,
Kutery	- " Gedymin Jan, Gierycz Henryk, Kozłowski Józef
Klepacze	- " Langer Marian,
Fryzel(Zawały)	- " Leśkiewicz Władysław, Kuźniak Miron,
Połągiew	- " Szymański Wiktor, Mączka Stanisław.

Poszczególne leśnictwa podzielone były na okręgi, podporządkowane gajowym. Główny personel leśny oraz Biuro Nadleśnictwa zlokalizowane były w Marculach, przy szosie Iłża-Lubienia. Budynki mieszkalne urzędników i biura stoją tam do dziś lecz po kilkudziesięciu latach nie są już okazale, poza willą głównego nadleśniczego Pierożyńskiego, obecnie zamienioną na hotel.

Lasy Starachowickie od strony Kunowa i Ostrowca przylegały do lasów hr. Wielopolskiego a od strony wsi Borsuki do lasów hr. Wickenhagen. Zachodnia część lasów, od strony Skarżyska, łączyła się z lasami państwowymi.

Tereny leśne tworzyły zwarty kompleks i tylko nieliczne wioski można było znaleźć na tym terenie. Należały do nich Henryk, Lipie, Piotrowe Pole i Bór Kunowski. Były też małe osady, takie jak Kaplica(4 gosp.), Karczma Kunowska(3 gosp.), Klepacze (3 gosp.). Poza nimi można było napotkać jedynie leśniczówki i gajówki, często stojące samotnie w lesie, zdaleka od osiedli ludzkich i pól uprawnych.

Cały pas ziemi położony na północ od doliny rzeki Kamiennej, począwszy od Skarżyska aż do Wisły, był piaszczysty i często kamienisty, za czasem żelazisty, jak np. w Klepaczach. Ludność tych leśnych wiosek dysponowała poletkami o małej powierzchni ornej, najczęściej 0, 5 do 2 ha, na których uprawiała żyto, ziemniaki, owies, jęczmień, rzepak, i obowiązkowo len. Każda leśna rodzina wyrabiała sama na swoje potrzeby tkaniny lniane, używane na koszule i pościel.

Jako obuwia używano latem powszechnie tzw. trepów lub chodzono boso.

Ludność tych leśnych wiosek żyła z pracy w lesie. Mężczyźni zajmowali się wyrębem drzew, karczowaniem pni, transportem drewna, kobiety pracą w domu, a młode dziewczyny zarabiały na pantofle lub sukienkę sadząc las lub zbierając szkodniki. Te ostatnie prace były bardzo nisko płatne bo tylko 1 zł za dzień pracy.

Domy mieszkalne budowane były z drewna półobrobionego, uszczelniane gliną i mchem oraz pomalowane wapnem z dodatkiem niebieskiej farbki. Na zimę "gacone" były zgrabionymi liśćmi lub igliwem. Dachy kryte słomą.

We wsi Bór Kunowski(Kitowiny) stała jeszcze kuma chata, w której nie było kuchni z fajerkami, a jedzenie gotowano wstawiając naczynia wprost do ogniska płonącego na specjalnym murowanym cokole, nad którym zwisał okap odprowadzający dym kominem. Małe okienko tej chaty dawało nikłe światło, a wchodząc przez niewielki otwór drzwiowy, u góry zaokrąglony, wchodziło się jak do piwnicy gdyż różnica poziomów

podłogi glinianej wewnątrz i powierzchni ziemi na zewnątrz wynosiła około 1 m. Stary już właściciel tego domostwa Jan Kita nie chciał przenieść się do nowego domu który syn wybudował, a podczas pacyfikacji wsi przez Niemców został przez nich zastrzelony za odmowę rozbicia żarn leżących w podwórzu.

Zaopatrzenie w wodę tych leśnych wsi było także niewystarczające. Zwykle zdała od domostw była jedna studnia gdzie wodę podskórną można było nabierać bezpośrednio wiadrem. Transportem wody zajmowały się przeważnie kobiety, zakładając na ramiona nosiłki, czyli wydłubaną z drewna osikowego i przystosowaną do ramion jak gdyby nieckę, na końcach której zwisały drążki z zaczepionymi wiadrami. Musiały ją nosić często na odległość nawet 500 m.

Mimo niskich zarobków ludzie jakoś sobie radzili. Krawcy, szewcy, fryzjerzy, kowale, sklepy, zwykle były na miejscu. Np. wieś Bór Kunowski, liczący 64 gospodarstwa miał 2 sklepy spożywcze i sklep mięsny. Można tam było kupić cytryny, śledzie, piwo oraz wszelkie inne artykuły spożywcze.

Lasy, jak już wspomniano, są szczątkami dawnej puszczy, zniszczonej i wyrabanej przez zaborców. W latach trzydziestych, w rejonie Klepacz, można było jeszcze oglądać pnie po wyciętych olbrzymich drzewach. Wielkie dęby, o grubości dużo ponad metr, porastały ten teren. Pozostały tylko nieliczne egzemplarze dębów, modrzewi i jodeł o wysokości 45 m i grubości ponad 2 m.

Duże spustoszenie w drzewostanie poczyniono w czasie pierwszej wojny światowej, gdy tereny przechodziły pod panowanie jednej lub drugiej strony wojującej. Najwięcej śladów pozostawili po sobie Austriacy, po których do dziś można znaleźć na terenie lasów pociski armatnie i inne elementy uzbrojenia, a na północnej stronie lasów, wzdłuż tzw. leżni B okopy. Także leżnia H nosi nazwę "drogi austriackiej", gdyż przypuszczalnie wojska austriackie wycięły ją ze wschodu na zachód, przez Murowankę. Podobnie tzw. gościniec ostrowiecki i gościniec kunowski, szerokie, proste drogi, były dziełem okupantów.

Oba te gościńce i gościniec brodowski przecinały się z innymi drogami w centrum lasów, gdzie kiedyś stała karczma zwana "Murowanką". Otóż karczma ta miała swe uzasadnienie, jeśli weźmiemy pod uwagę to, iż krzyżujące się tu liczne drogi były szlakami kupieckimi.

Chyba najważniejszym z nich był gościniec brodowski. Wędrowali nim kupcy z terenów świętokrzysko - kieleckich na wschód i odwrotnie. Po przebyciu brodem przez rzekę Kamienną (stąd nazwa Brody Ilżeckie) droga szła w kierunku lasów, aby w ich pobliżu przemieszczać się głębokim i dość długim wąwozem a po wyjściu z niego lasem zdążać do Klepacz. Był tu od najdawniejszych lat ośrodek przemysłowo-handlowy.

Znajdujące się tu trzy kopalnie rudy żelaza oraz leżąca nawet na polach uprawnych tzw. ruda darniowa, pozwalały sposobem dymarkowym uzyskiwać żelazo.

Ponieważ przy tym sposobie produkcji rozgrzane do stanu plastycznego bryły rudy żelaza trzeba było kuć aby niskotopliwe zanieczyszczenia mogły wyprysnąć, stąd każdemu kto tu przybywał odrazu w uszy wpadały odgłosy klepania, co stało się niewątpliwie powodem do powstania nazwy Klepacze.

Na dnie strumienia płynącego środkiem pola a wypływającego z mokradła Skrzydłówny, można było znaleźć dużo brył rudy żelaza, które stały się porowate w wyniku podgrzewania w piecach dymarkowych. W pobliżu oraz nad stawem koło leśniczówki widać szerniałą ziemię od wypalanego tu w tzw. mielerzach węgla drzewnego, niezbędnego w tych dawnych procesach hutniczych, a którego okrucy leżą do dziś. Na

środku pola, koło strumienia, wyorany został gliniany garnek pełen krzemiennych nożyków i ostrzy do strzał. Świadczy to że istniało tu osiedle znacznie wcześniej, zanim rozwinął się przemysł hutniczy. Być może mieszkańcy zajmowali się także produkcją wyrobów z krzemienia, którego sporo znajdowało się w piasku na dnie strumienia.

Na drodze przed leśniczówką oraz koło studni można było znaleźć dawne monety pogubione tu podczas transakcji handlowych. Najwięcej znajdowano kopiejek ale trafiały się monety z wizerunkiem króla Jana Kazimierza i wcześniejsze.

W wielu miejscach, szczególnie blisko skrzyżowania drogi Klepacz-Piotrowe Pole z drogą austriacką, a więc blisko Murowanki, można spotkać lejowate, głębokie na 2 do 3 m zagłębienia po dawnych smolarniach. Dziś przypominają one leje po wybuchu bomby lub pocisku armatniego, chociaż i tej ewentualności wykluczyć nie można.

Gościńcem brodowskim wędrowali więc kupcy ze wschodu na zachód i odwrotnie, kupując od miejscowej ludności zaszytej w lasach, skóry dzikich zwierząt a w ostatnich stuleciach także wyroby z żelaza. Gościniec brodowski jest drogą krętą, wiodącą z Klepacz do Murowanki a potem do Zawał, Sienna, Solca, i dalej za Wisłę.

Idąc od Murowanki gościńcem kunowskim w kierunku Kunowa natrafiamy na wysokości wsi Bór Kunowski na małą polanę, przy której przycupnęły zabudowania trzech gospodarstw, zwane Karczmą Kunowską.

Niewątpliwie była tam kiedyś także karczma, zwłaszcza że około 1, 5 km na wschód również znajduje się duża kopalnia rudy żelaza Sadłowizna, przy której także musiał kiedyś istnieć ośrodek hutniczy i kontakty handlowe z nim związane.

Po przeciwnej stronie Sadłowizny, bliżej Ostrowca, również mamy wieś Karczmę Miłkowską (obecnie częściej nazywaną Kolonia Miłkowska), usytuowaną wzdłuż gościńca ostrowieckiego. Nazwy te dziś tylko mówią że takie karczmy były a gdy zabrakło rudy i zanikła produkcja żelaza, handel ustał, stały się niepotrzebne.

Podczas Powstania Styczniowego oddziały Langiewicza znajdowały na tym terenie dobre oparcie. Wojska carskie słały swych szpiegów w głąb lasów i jednego takiego, narodowości żydowskiej, powstańcy powiesili na Klepaczach, w rejonie Skrzydłowin (Skrzydłowiny - część Klepacz od strony wsi Bór Kunowski).

Na gościńcu ostrowieckim, około 100 m od przecięcia się z działką nr 9 w kierunku Błazin (Iłży) jest miejsce, w którym Kozacy zastrzelili powstańca.

Od tamtej pory przechodzący mieszkańcy, zwłaszcza starzy, rzucają na to miejsce gałęzie, aby nie utracić pamięci po poległym patriocie.

W taki to prosty i prawdziwie leśny sposób ludzie potrafili upamiętniać zdarzenie i oddawać cześć poległemu za Ojczyznę. Dwa wielkie krzyże w rejonie wsi Piotrowe Pole i liczne kapliczki na drzewach jakie można było na terenie lasów zaobserwować przed II-gą wojną światową, najprawdopodobniej upamiętniały jakieś ważne zdarzenia z okresu Powstania Styczniowego.

Dowodem na to, że trudno było carskim wojskom oczyścić lasy z powstańców, było zbudowanie koszar i utrzymywanie dużych jednostek kawalerii na obrzeżu lasów od strony Iłży.

W czasie działań wojennych w pierwszej wojnie światowej ludność masowo uciekała w lasy, chroniąc się przed niebezpieczeństwem.

Na łące ciągnącej się od Klepacz w kierunku mokradła Wierzbeczki koczowały tłumy. Rośnie tam jeszcze duży dąb, pod którym zbudowano ołtarz i ksiądz odprawiał tam modlitwy za szczęśliwy powrót do domów. Później na dębie tym zawieszono

kapliczkę a młodzież i dorośli chodzili oglądać to miejsce jako niezwykle. Obecnie łąka jest zalesiona i rośnie tu olszynowy las ale dąb choć bez kapliczki jeszcze stoi.

Dowodem na to że owe wydarzenia, exodus ludności był znaczny, są obrazy i malowidła ściennie przedstawiające sceny z tych czasów. Wysokiej klasy artysta malarz przedstawił na sklepieniu kościoła w Krynkach rosyjskie tyraliery wojskowe, widoczne na tle płonącego kryneckiego kościoła. (Pozostała po nim jedynie zabytkowa brama z drewna modrzewiowego). Po prawej stronie ołtarza wisiał na ścianie obraz przedstawiający rzeszę, uchodźców słuchających mszy św. odprawianej przez księdza pod wspomnianym dębem. Po drugiej wojnie światowej ksiądz nie rozumiejący treści malowideł kazał je pokryć malowidłami o treści religijnej, zapożyczonych ze scen biblijnych. W ten sposób doszło do zniszczenia pamiątek o wartościach artystycznych i historycznych.

W okresie międzywojennym analfabetyzm wśród starszych wiekiem mieszkańców lasu był zjawiskiem powszechnym. Młodzież miała trudne warunki do nauki gdyż zwykle do szkoły musiała wędrować codziennie wiele kilometrów. Jedynie większa wieś Bór Kunowski miała własną, czteroklasową Szkołę Powszechną.

Ze względu na odległość od miast, brak pieniędzy i dążenie do samowystarczalności w swej ubogiej egzystencji, rodziny zamieszkujące głębiej w lasach miały nikły kontakt z miastem.

Krążyło opowiadanie, że mieszkańcy maleńkiej wioski o nazwie Kaplica¹ nie mieli kalendarza a codziennie odkładali kij na przewidziane do tego celu miejsce. Tym sposobem odliczali czas. Zdarzyło się że ktoś przez pomyłkę lub dla dowcipu zabrał parę tych kijów. Skutek był taki, że ludzie ze "święconym" na Wielkanoc zjawili się u księdza w Grabowcu dwa tygodnie po świętach.

Na początku lat trzydziestych, w celu zapewnienia poprawnej gospodarki, podzielono obszar leśny na prostokątne kwatery o bokach 600 x 900 m, wycinając proste drogi ze wschodu na zachód, tzw. "leżnie", oznaczone na planie literami oraz "działki" biegnące z południa na północ i oznaczone liczbami (patrz- mapa na str. #). if78

Dotychczasowe naturalne i kręte drogi zostały w wielu miejscach zlikwidowane (na planie oznaczono je liniami przerywanymi). Rozpoczęto osuszanie bagien i mokradeł takich jak Klamocha, Wierzbeczki, Skrzydłówny, Kobyle Błoto, rozrzuconych wzdłuż południowych obszarów lasów starachowickich. Pozostałe rejony lasów położonych na wschód od szosy Ilża-Lubienia były suche. Tylko po deszczu powstawały tu kilkudniowe błota, służące jako "kąpieliska" dla dzików.

Studnie, znajdujące się przy gajówkach i leśniczówkach miały zwykle około 40 m głębokości i trzeba było mieć dużo cierpliwości ażeby kołowrotem wydobyć z nich wodę. Dla skrócenia czasu wydobywania wody mechanizmy studzienne były tak skonstruowane, że gdy jedno wiadro było wyciągane to w tym czasie drugie się opuszczało. Wiadra były drewniane o pojemności około 30 litrów.

Wody spływające z mokradeł Skrzydłówny i Wierzbeczki łączą się w Klepaczach w większy strumień i płyną do Wilczego Dołu, gdzie w głębokim zapadlisku, przypominającym odkrywkową kopalnię, zapadają pod ziemię. Bieżąca woda, choć o lekkim zabarwieniu herbacianym tlenkami żelaza, wabiła stada jeleni i saren, ułatwiając

¹ Nazwa powstała od autentycznej kaplicy o charakterze zabytkowym, gdzie ludzie mogli się modlić bez dalekiej wędrowki do kościoła.

polowanie wilkom. Z pewnością dużo ich kręciło się w pobliżu i stąd powstała nazwa Wilczy Dół.

Wody spływające z mokradła Wierzbeczki są spiętrzane koło leśniczówki Klepacze tworząc staw. Obecnie jednak, po osuszeniu bagien, są trudności z zaopatrzeniem stawu w wodę. Również strumień płynący z mokradła Skrzydlówiny czynny jest praktycznie tylko podczas deszczów.

Przed ostatnią wojną światową, przykładano w lasach starachowickich dużą wagę do hodowli dzikich zwierząt. Na polowania przyjeżdżali tu Prezydent Ignacy Mościcki, ministrowie i generalicja.

Oczywiście gdy polował Prezydent Mościcki, to chociaż był dobrym strzelcem, zawsze obstawiano go najlepszymi strzelcami z personelu leśnego aby dyskretnie pomagali Prezydentowi, gdyby mu się nie udało trafić skutecznie zwierzęcia. Takimi myśliwymi byli zawsze leśnicy z Błazin Zdzisław Leśniak i Kazimierz Strużycki, pracownik Biura Nadleśnictwa w Marculach. *

Nadmiar dzikiej zwierzyny czynił wielkie szkody w drzewostanie obgryzając pędy świeżo posadzonych drzew oraz niszcząc nocą pola uprawne. Odszkodowania wypłacane rolnikom przez Starachowickie Towarzystwo Akcyjne przewyższały wartość wpływów z eksploatacji terenów leśnych lecz choć o tym powszechnie wiadomo zmiany pod tym względem nie następowały. Ograniczono się tylko do wykopania na obrzeżu lasów głębokich i szerokich rowów oraz budowy ogrodzeń, co jednak nie dawało pełnej ochrony przed dziką zwierzyną.

W 1939 r. zwierzyny było tak dużo, że podczas zimy można było oglądać maszerujące według charakterystycznego porządku, stada jeleni liczące nawet ponad 50 szt.

Ażeby pomóc zwierzętom w przetrwaniu zimy ścinano duże drzewa osikowe, na których jelenie i samy znajdowały młode pędy i korę, nadające się dojedzenia. Dawano im także siano, ziemniaki, pieczone kasztany. Te ostatnie przeznaczone były głównie dla dzików. Gdy jednak przyszły ciężkie zimy w latach 1940 - 1942, głębokie śniegi, wielkie mrozy i brak dostatecznej pomocy żywnościowej spowodowały spadek pogłowia dzikich zwierząt.

Tylko na terenie leśnictwa Klepacze, na wiosnę 1941 r., znaleziono około 200 szt. martwych jeleni, nie licząc saren.

Wywóz drewna z terenów leśnych odbywał się za pomocą leśnych kolejek do tartaku na Bugaju w Starachowicach.

Na składowiska drewna kolejek leśnych Bekowiny, Klepacze, Myszki, Pasieka i Orłowiny oraz inne, kłoc dowożone były zwykłymi wozami konnymi. Wóz najczęściej obsługiwany był przez dwie osoby, które z pomocą tzw. "lody" ładowały 1 do 3 kłoców na jeden wóz.

"Loda" była to około 1, 5 do 2 m długości drewniana, kwadratowa belka ze szczeliną w środku oraz licznymi otworami w bocznych ścianach. Z jej pomocą, z użyciem dźwigni, łańcuchów i sworzni, można było dość szybko i stosunkowo łatwo wciągnąć na wóz jeden koniec kłoca a potem drugi. Zazwyczaj wozacy jeździli do pracy parami aby sobie wzajemnie przy załadunku pomagać.

Parowozy kolejek leśnych dawniej opalano karpiną (pnie wyciętych sosen) lecz pod koniec lat trzydziestych węgiel stał się materiałem napędowym, natomiast karpinę wykorzystywano wyłącznie do produkcji terpentyny, kałafonii i olejków eterycznych.

Trudne i prymitywne warunki życia ludności na tym terenie zaczęły się poprawiać z chwilą rozbudowy przemysłu. Objął je swym zasięgiem tzw. Centralny Okręg

Przemysłowy. Istniejące zakłady w Ostrowcu, Starachowicach, Skarżysku, uległy rozbudowie. Zbudowano Zakłady w Stalowej Woli. Rozpoczęto budowę elektrowni w Stykowie. W Nietulisku miała powstać Fabryka Silników Wysokoprężnych. Płace w tych zakładach były całkiem dobre. Minimalna płaca, za tzw. roboty placowe, nie wymagające kwalifikacji, wynosiła 50 groszy za godzinę. Coraz więcej ludzi, głównie mieszkających bliżej linii kolejowej Ostrowiec - Starachowice, jeździło do pracy w fabrykach. Perspektywy rozwojowe dla tych terenów przedstawiały się obiecująco i gdyby nie wybuch drugiej wojny światowej obraz życia ludności na pewno uległby radykalnej poprawie.

Na terenach bliżej Iłży trudniej było o pracę w przemyśle. Były tu jednak większe gospodarstwa rolne i bardzo oddany sprawie wiejski aktyw, złożony również z inteligencji, starał się pomóc ludziom żyjącym na roli. Prowadzono szkolenie rolnicze, wprowadzano nowocześniejsze sposoby upraw, organizowano kółka w których rolnicy kupowali maszyny rolnicze do wspólnego użytku. Zachęcano do hodowli czerwonego bydła, tzw. rasy polskiej, które dawało wprawdzie nieco mniej mleka ale bardziej tłuste oraz dobre mięso, a nie miało wymagań jeśli chodzi o paszę. Organizowano skup wiejskich produktów po uczciwych cenach, chroniąc rolników przed wyzyskiem handlarzy.

Zapał i bezinteresowność działania wiejskiego aktywu stwarzały warunki do poprawy życia na wsi, tym bardziej że równocześnie z roku na rok taniały przedmioty codziennego użytku produkowane przez przemysł.

Ślady dawnej Puszczy Iłżeckiej. Potężne drzewa widoczne na zdjęciach liczą około tysiąca lat. Po I wojnie światowej gdy Polska odzyskała niepodległość, pozostało tylko dużo pni po takich drzewach. Świadczyły one, że jeszcze niedawno była tu prawdziwa puszcza.



Fot. 1. Przedstawia dąb rosnący w rejonie Wilczego Dołu. Wymiary drzewa można ocenić porównując je ze strzelbą opartą o pień, której długość wynosi 1 m. Dąb został ścięty w 1937 r.



Fot. 2. Przedstawia jodłę wysokości około 50 m. Grubość jej można ocenić na podstawie sylwetek siedzących pod nią osób. Jodła rosła w pobliżu gajówki w Klepaczach i służyła jako przeciwpożarowy punkt obserwacyjny. W roku 1985 jodła została ścięta. W rejonie Klepacz zachowało się po zaborcach więcej takich drzew a między nimi jeden olbrzymi modrzew. Obecnie już ich nie ma.



Fot. 3. Ładowanie kłoca na wóz za pomocą tzw. „lody”. Chłopiec trzyma rękę na dźwigni a ojciec podciąga pod wiszący koniec kłoca tzw. „przodek” od wozu.



Fot. 4. Transport drewna na składowisko kolejki leśnej.
Na zdjęciu Michał Pasieka ze wsi Kitowiny (Bór Kunowski).

Fot. 5. Widok z parowozu kolejki leśnej na ciąg wagonów załadowanych drewnem, jadących do tartaku w Starachowicach. Z boku widoczne składowisko drewna Klepacze.



Fot. 6. Parowóz kolejki leśnej na składowisku drewna Klepacze.





Fot. 7. Przykład prawidłowo dokonanego wyrębu. Drzewa ucięte tuż przy ziemi. Teren uprzątnięty.

Fot. 8. Kłocce nie zakwalifikowane do przeróbki tartacznej były łupane na metrowe kawałki, jako tzw. szczapa, przeznaczona na opał.





Fot. 9. Skopywanie terenu pod sadzenie lasu.
Zdjęcie wykonane w latach 1928-32 czyli w okresie kryzysu.
Za 80 groszy dziennie kobiety intensywnie pracowały, szarpiąc graczami leśną darni.

Fot. 10. Te same prace 10 lat później (1942). Widać przy pracy młode dziewczęta z okolicznych wsi. Inne ubiory, a także inne tempo pracy (okupacja).





Fot. 11.
Gajowy leśnictwa Klepacze
Jan Tomczyk
nadzoruje sadzenie lasu.
Nie wie jeszcze, że będzie żył
tylko kilka miesięcy.



Fot. 12.
Szkółka leśna.
Na takich ogrodzonych
poletkach hodowano nowe
sadzonki drzew.



Fot. 13. Wypalanie węgla drzewnego w tzw. „mielerzach”. Ułożony stożek z klocków obsypywany był ziemią i zapalany w środku przez otwór u góry. Po rozpaleniu ognia otwór był zamykany i drewno spalało się przez kilka tygodni bez dostępu powietrza, dając w efekcie węgiel drzewny.



Fot. 14. Próby wyrywania pni drzewnych za pomocą ręcznej wciągarki na trójnogu (1942). Leśniczy Marian Langer z robotnikiem Stanisławem Płatkiem oglądają efekty pracy tego urządzenia, sprowadzonego przez nadleśniczego dr Leona Mroczkiewicza w celu dokonania prób.

Fot. 15.
Kilkusetletni dąb,
uwieczniony na malowidłach
kościelnych w Krynkach.
Pod nim stał ołtarz
i odprawiano msze Święte
dla ludności okolicznych wsi,
która schroniła się w lasach
przed niebezpieczeństwem
ze strony walczących wojsk
podczas I wojny światowej.
Na pamiątkę tych wydarzeń
na drzewie zawieszono kapliczkę.
Obecnie pamiątkowy dąb
jeszcze stoi, choć bez kapliczki.
Łąkę, która się tu rozciągała
(od Klepacz do Wierzbiczek)
porasta olszynowy las.





Fot. 16. Tak wyglądało mokradło Wierzbeczki podczas wiosennych roztopów.

Fot. 17. A tak wyglądało bagno Skrzydłowiny, leżące na osi leżni L. Wody z tych bagien spływały przez Klepacze, tworząc wspólny strumień płynący do Wilczego Dołu, aby tam zapaść pod ziemię. Już przed II wojną światową bagno Skrzydłowiny zostało osuszone i przez widoczną na zdjęciu wodę przebiega droga.





Fot. 18. Wieś Kitowiny (część wsi Bór Kunowski, nazywana tak gdyż zamieszkiwało tu siedem rodzin o nazwisku Kita). Chociaż pod śniegiem (1940) widać domy w nienagannym stanie.

Fot. 19. Listki-Klepacze (1943). Dom rodzinny Cymerysów. Po śmierci gospodarza, choć w polu pomagali sąsiedzi, dwie kobiety z małym chłopcem nie były w stanie utrzymać we właściwym stanie budynku mieszkalnego. Około pół morga pola z trudem wystarczało tylko na chleb i ziemniaki. Jedyna żywicielka-krowa mieszkała razem z ludźmi. Dziś rośnie tu las.



ZAGON

ORGAN ZRZESZENIA INTELIGENCJI LUDOWEJ I PRZYJACIOŁ WSI

Rok I

Warszawa, Marzec 1938

Nr. 3

„Ze rolę swoją rodą tyj, daj jej co najlepsze z duszy swojej. Wróć bractwo co miedzą zdobył. Nie przecinaj korzeni łączących Cię z rodą ziemią, choćby na krańcu świata się znalazł. To tak jakbyś przeciął żyły synów”.

Władysław Orkan

Trzeba zorganizować pracę

(m. k.) Rok prawie mija od chwili, gdy garstka wówczas synów wsi podjęła myśl powołania do życia organizacji chłopskiej inteligencji. Myśl przybrała realne formy. Do dnia dzisiejszego zespoliło się już organizacyjne społo tych, którzy wysiedli z wsi i osiedli na miejskich stanowiskach, nadal chcą być „ze wsią rodą” w łączności z nią i nad jej przyszłością radzić i pracować.

Liczba członków, którą do dziś Zrzeszenie osiągnęło jest i skromna i wielka. Skromna: bo przecież inteligencji chłopskiej jest dużo, dużo więcej, aniżeli ta, która już dziś w szeregi Zrzeszenia wstąpiła. Wielka zaś: bo w tak niedługim stosunkowo czasie zdobyliśmy bądź co bądź zaoradę duży zagon chłopskiej pracy, który stał dotąd — zapomniany — odłożony.

Trzeba zatem — oczywiście w najbliższej przyszłości — mnożyć naszą siłę liczebną, trzeba zdobywać i odzyskiwać dla naszej idei wszystkich, którzy z tytułu swego pochodzenia czy zasług dla ludowej sprawy winni się u nas znaleźć. Ale też trzeba — i to przede wszystkim — pomyśleć o zorganizowaniu intensywnej pracy w tych szeregach, które już stanęły gotowe do realizowania szczytnych celów.

Dzień 3 maja, dzień Święta Narodowego będzie również naszą organizacyjną uroczystością, będzie to dzień naszego pierwszego Walnego Zjazdu. Przybędziemy z całej Polski, ze wszystkich prawie powiatów, aby nad chłopską radnią sprawą. Na ten nasz Pierwszy Sejm Inteligencji Ludowej musimy przynieść już z wynikami, z dorobkiem choćby skromnym, a w każdym razie w dniu tym musimy przed oczyma całego społeczeństwa przedstawić jasny, konkretny, oparty na faktach, faktach i przemyślanych dążeniach plan pracy. Pracy zorganizowanej. To też obecnie, kiedy od Zjazdu dzieli nas jeszcze dwa miesiące, musimy o zorganizowaniu tej planowej i szerokiej pracy pomyśleć. Tak w Centrali Zrzeszenia jak i w Kołach Powiatowych. Trzeba od dziś na ten temat, tak na łamach „Zagonu” jak i na wszystkich naszych zebraniach przeprowadzić poważną dyskusję, której wynikiem byłoby właśnie zorganizowany plan i czyni.

W obecnym stanie rzeczy pracę tę ma już kto podej-

mować, a i jest nad czym się trudzić. Popatrzmy choćby tylko do naszego statutu:

„Celem Zrzeszenia — (m. in.) — jest krzewienie wśród ludności wiejskiej organicznej myśli wychowania swych dzieci na dobrych obywateli Rzeczypospolitej i niezłomnych jej obrońców”.

Ileż tu myśli się nasuwa, których realizacja byłaby wypełnieniem tego właśnie statutowego założenia. Weźmy choćby dla przykładu Uniwersytety Ludowe. W Danii czy Czechosłowacji każdy prawie powiat ma dobrze wyposażone placówki tego rodzaju, w których młodzież wiejska kształci się, rozwija i buduje swój chłopski, państwowy i narodowy światopogląd, stając się pełnowartościowym obywatelem w swoim kraju. U nas mamy załedwie — zdaje się 12 Uniwersytetów Ludowych. Czyż Zrzeszenie Inteligencji Ludowej nie powinno na tym polu postawić pierwszego pomnika swej „terenowej” pracy? Rzecz tylko trzeba by omyśleć, przedyskutować, wysunąć projekty i zabrać się do budowania pierwszego w Polsce Uniwersytetu Ludowego, stworzonego i prowadzonego przez zrzeszoną inteligencję ludową.

Statut nasz powiada również, że celem naszym jest (m. in.) „udzielanie pomocy przy budowie domów ludowych, organizowaniu bibliotek wiejskich i świetlic”.

Nie stać nas narazie na większe dotacje pieniężne — utrzymuje się bowiem Zrzeszenie tylko i wyłącznie ze składek członkowskich i skromnych ofiar ludzi dobrej woli — ale przecież można by pomyśleć o zorganizowaniu przez Zrzeszenie kilku choćby skromnych izb oświatowych na Wołyniu czy Polesiu, gdzie chłop — przecie nasz, polski — tonie w ciemnościach bez książek i pożytecznej gazety. Czyż tam w jakiejś „zabitej” wsi nie mogłoby powstać — choćby narazie w jednej izbie pod słomianą strzechą — świetlica m. Orkana, duchowego przywódcy wsi, powołana do życia staraniem Zrzeszenia Inteligencji Ludowej?

Na tychże kresach, a i w wielu centralnych okolicach naszego kraju do dziś dnia mieszczą się w prawie, że kurnych chałupach — izby szkolne. Mapa czy globus — to tajemnicze przyrządy, które dzieci tylko z opowiadania swej „pani” znają. Czyż nie mogłoby

Fot. 20. Jeden z pierwszych egzemplarzy czasopisma „Zagon”, wydawanego przez Zrzeszenie Inteligencji Ludowej i Przyjaciół Wsi, w którym aktywnie uczestniczył leśniczy z Klepacz Marian Langer.



Fot. 21. Rada Gminna i Zarząd Gminy w Błazinach. Siedzą od lewej: Marian Langer, Jan Warylak, Jan Skiba (wójt), Stanisław Myszka (sekretarz), Stanisław Tusiński, Mieczysław Róg-Świostek, którzy tworzą Radę Gminną. Z tyłu od lewej stoją sołtysi: Ignacy Kosterna, Jan Świostek, Wojciech Drabik, Stanisław Bartos, (NN), Antoni Dąbek, Antoni Piasek, (NN), Mateusz Włodarski, Jan Kiepas, Jan Pedryc, Władysław Kossakowski.



Fot 22. Marcule 1928 r. Leśny personel administracyjny (bez gajowych), który zajął się gospodarką lasów starachowickich po odzyskaniu niepodległości Polski. Siedzą od lewej: Gł. nadleśniczy Józef Pierożyński i nadleśniczy Ludwik Pacuła. Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: Miron Kuźniak, Wacław Nowicki, (NN), Adam Grega - nadleśniczy, Władysław Leśkiewicz, Wiktor Szymański, Antoni Wyporek - nadleśniczy, (NN), (NN), (NN), Julian Juszkiewicz, Stanisław Piłowski, Roman Nowierski - łowczy. Stoją od lewej pod ścianą: Józef Korzeniowski, Stanisław Bródka, (NN), Stanisław Daniszewski, Zdzisław Leśniak, Czabanowski, Sawicki, Jan Gedymin, Józef Soltys, Marian Langer.

Wrzesień 1939 r.

Wybuch wojny nastąpił gdy przebywałem w Starachowicach, rozpoczynając w tamtejszym gimnazjum nowy rok szkolny.

Pamiętam jak tuż przed jej wybuchem, w ostatnich dniach sierpnia, pod kierownictwem prof. Stanisława Cholewy kopaliśmy zygzakowate rowy wzdłuż ulicy przed naszą szkołą. Takie rowy kopano wszędzie przy drogach. Miały one być schronieniem dla przechodniów w przypadku nalotu.

Na wiadomość o wybuchu wojny kierownictwo gimnazjum oświadczyło, że działania oświatowe zostają wstrzymane i wszyscy uczniowie i uczennice wracają do rodziców. W ten sposób powróciłem na leśniczówkę Klepacze gdzie z odległości kilkunastu kilometrów obserwowałem codziennie ostrzeliwanie niemieckich samolotów przez artylerię przeciwlotniczą rozmieszczoną na terenie Starachowic.

Po kilka razy dziennie przelatywały srebrzyste eskadry na bardzo dużej wysokości, tak że na tle błękitu nieba trudno je było dostrzec. Natychmiast nasze 40-tki i 75-tki wysyłały w ich kierunku rubinowo świecące pociski, których lot kończył się wybuchem i powstaniem białego obłoczku, podobnego do czaszy spadochronu.

Czasem pociski wybuchały tak blisko samolotu iż wydawało się że to załoga ratuje się skacząc na spadochronach. Po chwili jednak obłoczki rozpląwały się rozwiewając zarazem moje nadzieje na ujście takiej sceny.

Stanowiska dla dział przeciwlotniczych usypane były wcześniej pod kierunkiem por. Kazimierza Starowicza, Komendanta PW dla powiatu iłżeckiego, i spacerując po terenie Starachowic można je było wszędzie widzieć.

Z chwilą wybuchu wojny na stanowiska te wytoczono działa aktualnie wyprodukowane, a ich obsługą zajęli się pracownicy Zakładów, przeszkoleni wcześniej do tych celów. Obsługom dział brakowało jednak dalmierzy i odległość do samolotów oceniano szacunkowo. Efektem tego większość wystrzelonych pocisków eksplodowała albo za wcześnie, albo za późno. Były jednak załogi, które bardzo dobrze oceniały odległość i bardzo mało było potrzeba aby strącić wrogi samolot.

Nie doczekałem się takiego widoku lecz doszła nas wiadomość, że jeden z niemieckich samolotów uległ uszkodzeniu i musiał lądować w dalszej okolicy.

Pewnego dnia po południu będąc w mieszkaniu usłyszałem kanonadę dział przeciwlotniczych i jak zwykle wybiegłem na zewnątrz aby popatrzeć na efekty strzelaniny. Byłem zdziwiony tym co się stało. Na niebie nigdzie nie było samolotów i nie widać było pocisków przeciwlotniczych. Strzelanina trwała krótko.

To tajemnicze zdarzenie wyjaśniło się następnego dnia gdy na leśniczówkę przybyło ze Starachowic kilku uciekinierów a między nimi Franciszek Pacocha oraz bracia Zdzisław i Tadeusz Embingerowie, pracownicy wytwórni dział. Od nich dowiedzieliśmy się, że to kilka niemieckich pojazdów pancernych usiłowało wjechać do Starachowic od strony Wanacji i zostały rozbite ogniem dział przeciwlotniczych na wzniesieniu szosy w Wanacji (dzielnica Starachowic), a jeden pojazd tylko trochę uszkodzony, został dostarczony do Zakładów i tam naprawiony.

W niemieckiej książce "Kampferlebnisse aus dem Feldzug in Polen" z roku 1939 jest opis tego zdarzenia.

Wynika z niego, że część niemieckiego korpusu zdążającego przez Bodzentyn i Pawłów na szosę Starachowice - Ostrowiec usiłowała wjechać do Starachowic. Oddział rozpoznawczy wojsk niemieckich dojechał tylko do Wanacji.

Z dwóch niemieckich samochodów pancernych, wyposażonych w działka kal. 20 mm, jeden został rozbity strzałami polskich dział przeciwlotniczych w miejscu gdzie rozwidlają się drogi do Wąchocka i do stacji kolejowej Wierzbnik a drugi pojechał w stronę stacji kolejowej i został pozostawiony przez obsługę w rejonie mostu na Kamiennej z powodu uszkodzenia polskim pociskiem obrotnicy wieżyczki. Obsługa drugiego samochodu została zlikwidowana przez grupę ochotników pod dowództwem pchor. Antoniego Hedy, pracownika Zakładów.

Jak opisuje wydarzenia niemiecki dowódca plutonu działek przeciwpancernych, towarzyszących niemieckiej szpicy, starcie z polskimi obrońcami Starachowic nastąpiło 6 września około godz. 14-ej. Na następnej stronie przedstawiony jest niemiecki szkic obrazu walki, zrobiony kilka dni potem, gdy Niemcy wkroczyli do Starachowic.

Według tego szkicu oraz opisu, wstępu do Wanacji broniły dwa polskie działa przeciwpancerne, ckm i inna broń piechoty. Niemiecka kolumna złożona z kilku samochodów pancernych, oddziału motocyklistów, działek przeciwpancernych, zatrzymała się w cieniu fałdy terenowej, a motocykliści rozwinęli się po obu stronach drogi do natarcia. Równocześnie z obrzeża lasu znajdującego się na wzniesieniu, natarcie wsparto ogniem karabinów maszynowych oraz działka przeciwpancernego, które zniszczyło rzekomo dwa nasze działa przeciwlotnicze 40 mm ustawione w centralnej części Wanacji. (W jednym uszkodzono optyczne przyrządy celownicze a w drugim podstawę i w związku z tym załoga je opuściła).

Na szkicu ani w opisie nie ma drugiego niemieckiego samochodu pancernego, gdyż oficer robiący szkic nie mógł wiedzieć o tym iż został zabrany przez Polaków i A. Heda pojechał na nim do Tychowa.

W Tychowie A. Heda dołączył do 51 pp WP dowodzonego przez płk. Fieldorfa(zamordowanego po wojnie przez UB). Samochód z braku paliwa zniszczono. W wyniku polskiej twardej obrony Niemcy zrezygnowali z walki o Starachowice i wycofali się do Bodzentyna, skąd pojechali do Ostrowca i dalej przez Sienno do Lipska. W dniu 6 września przed wieczorem przemknęła przez Klepaczę grupa rowerzystów pędzących w kierunku Wisły. Do nas zgromadzonych na ganku leśniczówki krzyknęli tylko "uciekajcie, Niemcy są już 8 km stąd".

Uznaliśmy tych ludzi za panikarzy lub dywersantów. Jednak po namyśle poszliśmy spać do lasu. Wieści głosiły że Niemcy wkraczając zabijają mężczyzn a kobietom obcinają piersi.

Informacja podana przez grupkę uciekających rowerzystów okazała się prawdziwa. Właśnie w tym dniu 6 września jednostki niemieckie 15-go Korpusu Zmot. przedarły się przez Bodzentyn i Pawłów na szosę Starachowice - Ostrowiec chcąc dostać się do Starachowic. Po zawróceniu skierowały się przez Ostrowiec i Ożarów w kierunku Lipska i Zwolenia.

W ten sposób nasze wojska wchodzące w skład Armii Prusy, wycofujące się w kierunku Wisły aby tam utworzyć nowy front obronny, zostały od Wisły odcięte.

Niemieckie jednostki całkowicie zmotoryzowane szybko pokonały potrzebne odległości, natomiast nasze jednostki poruszające się na nogach i w dodatku głównie nocami (ze względu na ataki lotnictwa) szły kilkakrotnie dłużej.

3-cia niemiecka dywizja lekka, a za nią 29 dywizja zmotoryzowana zostały skierowane do Lipska szosą przez Sienno.

W historycznym dniu 8 września, jadący w przodzie 9 - ty pułk kawalerii zmotoryzowanej otrzymał o godz. 7⁴⁰ rozkaz aby nie jechać do Lipska a udać się w kierunku Iłży i tędy na Radom. W chwili zmiany rozkazu czołowe oddziały kolumny niemieckiej znalazły się na szosie Iłża - Lipsko i posuwały się w kierunku Lipska. Dzień 8 września był dniem niemieckiej klęski w walkach pod Iłżą. Jak do niej doszło opisują sami Niemcy w wojskowym tygodniku "Militär Wochenblatt" nr 52 z roku 1940. W artykule "Aus dem Feldzug in Polen - Heldenkampf bei Iłża" autor (korespondent wojenny) opisuje dość szczegółowo przebieg wydarzeń w tym dniu. Opis ten jest całkowicie wiarygodny i mało znany. Uznałem za stosowne ażeby go w streszczeniu przytoczyć, uzupełniając dodatkowo danymi z polskiej literatury wojskowej.

Otóż po spotkaniu się niemieckich dowódców pułku i dywizji z generałem głównodowodzącym (d-ca pułku płk. Wilhelm-Ditrich von Dittfurth, d-ca 3-ej dyw. lekkiej gen. Kuntzen, d-ca XV Korpusu gen. Hoth) co miało miejsce na skrzyżowaniu szos od Sienna, Lipska i Iłży około godz. 11 - ej, w kierunku Iłży wyruszył 6-ty szwadron 9-go pułku, poprzedzany oddziałem motocyklistów (patrz - szkic). Jadąc, jak piszą Niemcy, po jako tako utwardzonej szosie, pojazdy niemieckie wznosiły wielkie tumany kurzu, dając o sobie znać polskim obserwatorom ulokowanym na wieży zamkowej w Iłży. Polski II batalion 7 pp pod dowództwem mjr. Karandyszowskiego, który obsadzał wzgórze zamkowe, otworzył ogień do nadjeżdżających Niemców. Była godzina 11⁵⁰ gdy 6-ty szwadron, jadący w szpicy, rozwinął się w marszu i natarł wzdłuż szosy na stanowiska polskie. Równocześnie Niemcy dostrzegli ruchy polskich jednostek zdążających w kierunku Chwałowic. Dowódca niemiecki skierował natychmiast przeciw tym oddziałom artylerię straży przedniej, pluton karabinów maszynowych, i inne jednostki. Niemiecki 6-ty szwadron, po ukryciu pojazdów w różnych zagłębieniach obok szosy, prowadzi nadal natarcie w kierunku Iłży, mając podstawę wyjściową w zachodniej części wsi Piłatka. Niemcy stwierdzają, że początkowo słaby ogień polski zaczyna się wzmacniać i natarcie utknęło po przebyciu zaledwie 100 metrów. Niemieccy żołnierze nie mogąc iść dalej do przodu okopują się. Stanowiska ich pokrył teraz intensywny ogień polskich karabinów maszynowych oraz artylerii. Dowództwo niemieckie zdaje sobie sprawę z tego, że do Iłży nadciągają od zachodu co raz to nowe siły polskie, zatem walkę należy rozstrzygnąć natychmiast. Dowódca 9-go pułku płk. Wilhelm - Dietrich von Dittfurth wzmacnia natarcie plutonem z 5-go szwadronu oraz całym 2-gim szwadronem, skierowanym na lewe skrzydło (wzniesienie 246). Obraz tych zmagania przedstawiony jest przez Niemców na szkicu nr 2, gdzie kolorem czerwonym oznaczono pozycje polskie a czarnym niemieckie.

Z powodu zatrzymania się ruchu jednostek niemieckich w kierunku Iłży, na miejsce walki przybył dowódca dywizji. On także stwierdził że Iłżę należy opanować natychmiast, zanim wejdą do niej większe siły polskie. Do pomocy w natarciu dodano zatem jeszcze 8-y szwadron i artylerię straży przedniej.

W tym czasie wstępu do Iłży bronił tylko jeden II-gi batalion 7 pp wraz z baterią dział przeciwlotniczych, plutonem działek przeciwpancernych, drużyną rowerzystów i innymi drobnymi oddziałami, okopanymi na terenach zamku i jego przedpolu.

15 minut po godz. 13-ej, ze stanowisk 2-go szwadronu, znajdujących się na wzgórzu 246, dostrzeżono tumany pyłu od strony Błazyn, świadczące o tym że z tego kierunku zbliżają się jakieś nieznane siły polskie. Na wiadomość o tym dowódca dywizjonu niemieckich motocyklistów zaproponował dowódcy pułku aby wysłać z Piłatki przez Maziarze i Kotlarkę a następnie Błaziny kolumnę wojska, która dotarłaby na wzgórze 241, leżące w polach na zachód od Iłży. Wysłane oddziały zlikwidowałyby znajdującą się tam polską artylerię i uniemożliwiłyby dalszy napływ polskich jednostek do Iłży. Następnie okrążając Iłżę od zachodu jednostki te wyszłyby na szosę do Radomia. W tym czasie dowódca 9-go pułku rozmieścił już całą artylerię (bez baterii straży przedniej) do wsparcia przygotowywanego generalnego natarcia na Iłżę.

Do realizacji wypadu na wzgórze 241 dowódca pułku wyznaczył dwa szwadrony 1-szy i 3-ci. Szwadron 1-szy miał pojechać przez Błaziny Górne a szwadron 3-ci przez Błaziny Dolne, osłaniając szwadron 1-szy od południa. Do kolumny dołączono jeszcze szwadrony 4-ty i 17-ty (bez dwóch plutonów) z rozkazem odłączenia się w drodze i obsadzenia wzgórza 206 (patrz - szkic nr 2). Resztę plutonów 17-go szwadronu dowódca pułku zatrzymał na miejscu.

O godz. 15-ej, ze wschodniej części wsi Piłatka, ruszyła w kierunku wsi Maziarze kolumna niemiecka złożona kolejno z 1-go szwadronu (wzmocnionego oddziałem karabinów maszynowych), 4-go szwadronu, 3-go szwadronu, i 17-go szwadronu (bez dwóch plutonów). Dowódca dywizjonu motocyklistów umiejscowił swoje stanowisko dowodzenia na wzgórzu 206, przy swojej ciężkiej broni.

Okazało się wkrótce, że szwadron 4-ty oraz szwadron 17-ty nie otrzymały rozkazu zatrzymania się na wzgórzu 206 w celu włączenia się do generalnego natarcia na Iłżę, jak planował dowódca pułku, a pojechały razem ze szwadronami 1-szym i 3-cim w kierunku wzgórza 241. Dodatkowo w pośpiechu bitewnym oraz mylnym założeniu iż w lesie koło wsi Maziarze i Kotlarka nie ma wojsk polskich, nie wykorzystano rezerwowych sił wsparcia.

1-szy szwadron ruszył w drogę jadąc zbyt blisko za swym ubezpieczeniem, przez Maziarze, Kotlarkę i Górne Błaziny. Unoszące się tumany pyłu dostrzegli natychmiast polscy obserwatorzy artylerijscy ze wzgórza 241. Początkowo jednak wszystko wydawało się przebiegać pomyślnie, do czasu gdy czołówka kolumny jadąc przez Górne Błaziny zbliżyła się do szosy Iłża - Lubienia (w miejscu gdzie stoją piece do wypalania wapna). Tu nagle wyskoczyły z przeciwka 4 polskie samochody pancerne (z 51 dywizjonu pancernego, dowodzonego przez por. Leopolda Schreiner). Miały one zdaniem Niemców osłaniać znajdujące się w pobliżu polskie dowództwo pułku.

Prawie jednocześnie z atakiem polskich samochodów pancernych spadł na Niemców silny ogień polskiej artylerii oraz karabinów maszynowych. Na obrzeżu lasów starachowickich okopane były: I batalion 52 pp pod dowództwem kpt. Kowarsza oraz III batalion 51 pp pod dowództwem kpt. Krupnickiego, podporządkowany płk. Pokornemu. Stała tu także bateria dział 75 mm z 12-go pal, a pozostała część 12 pal miała stanowiska obok wsi Koszary. Siły te pokryły swym ogniem niemieckie szwadrony.

Odgłosy walki były dobrze słyszane w Piłatce i w pierwszej chwili dowódca niemieckiego pułku sądził, że walkę prowadzą zgodnie z jego planem szwadrony 1-szy i 3-ci. Wkrótce jednak ustalono że jest inaczej. Szwadrony 1-szy i 4-ty zaległy obok siebie pod polskim ogniem w Błazinach Górnych a szwadrony 3-ci i 17-ty w Kotlarce.

Jak podają Niemcy, przez wysłanie jednego plutonu 17-go szwadronu na jakieś stanowiska w kierunku zachodnim, została utracona łączność ze szpicą kolumny jadącej na wzgórze 241.

Po stwierdzeniu że w Błazinach walczą oba czołowe szwadrony (1-szy i 4-ty) natychmiast dowództwo niemieckie wysłało z pomocą oddziały rezerwowe, idące po najkrótszej drodze w sztykach rozwiniętych.

W tym czasie szwadron 3-ci oraz idący za nim pomyłkowo niepełny szwadron 17-ty zostały zatrzymane. polskim ogniem na drodze pomiędzy Maziarzami i Kotlarką. Z obrzeża lasu grzmocily do niemieckich szwadronów III-ci batalion 51 pp oraz działa 12 pal. Ogień polski był tak intensywny, że Niemcy nie byli w stanie się bronić ani też uciekać. Nastąpił tu atak polskiej piechoty niszczący żołnierzy niemieckich, ich sprzęt i pojazdy. W polskie ręce wpadło wielu jeńców. Odległość pomiędzy grupą niemiecką walczącą w Błazinach i grupą koło wsi Maziarze wynosiła około jednego kilometra więc o jakiegokolwiek wzajemnej pomocy nie mogło być mowy. Cały plan niemieckiego natarcia od wschodu na Iłżę z udziałem 4-go oraz 17-go szwadronu stał się nierealny. Szwadron 4-ty, pozbawiony sprzętu, ciężkiej broni i pojazdów, z dużymi stratami w ludziach, ratował się uciekając na przełaj przez pola w kierunku Piłatki, aż znalazł się na przewidzianym wcześniej przez dowódcę pułku wzgórzu 206. Nie był to już szwadron zdolny do działań ofensywnych i pozostał na wzgórzu jako ubezpieczenie głównych sił niemieckich od południa. Droga ucieczki niemieckich szwadronów z Błazin i Kotlarki oznaczona jest na niemieckim szkicu nr 2 przerywanymi liniami.

W celu ratowania rozbitych szwadronów w Błazinach dowódca pułku dał do pomocy dowódcy dywizjonu szwadron 2-gi. W walce tej jednostki poległ jej dowódca, rotmistrz Berger. Ciężko ranny został, walczący obok, podporucznik (NN). Dowództwo szwadronu przejął oficer w stopniu porucznika, utrzymując stanowiska 2-go szwadronu na południowym stoku wzgórza 246. Uratowane resztki szwadronów 1-go i 4-go, po ucieczce spod polskiego ognia w kierunku północnym, utworzyły łącznie ze szwadronem 2-gim łuk, chroniący od południa natarcie sił głównych, postępujące wzdłuż szosy z Piłatki do Iłży.

Do ratowania zagrożonych szwadronów włączyły się także oddział motocyklistów, artyleria pułkowa i bateria dział przeciwlotniczych, rozmieszczone dotychczas na tyłach punktów dowodzenia. Pod ich ogniem zaczęły się najwidoczniej cofać polskie placówki 7 pp, wysunięte na przedpole zamku. (Była to przypuszczalnie chwila w czasie której powstała w szeregach polskich panika, opanowana szybko przez płk. Muzykę. Panice tej uległ sam dowódca II-go batalionu mjr. Karandyszewski).

Cofanie się polskich oddziałów z przedpola zamku zostało przez Niemców zauważone. Niemiecki dowódca pułku doszedł do wniosku iż nadeszła właściwa chwila do wznowienia natarcia na Iłżę. Wniosek był niewątpliwie uzasadniony ale z natarcia i tym razem nic nie wyszło. Już na wstępie natarcia ginie dowódca 6-go szwadronu, rotmistrz Koepcke, a żołnierze niemieccy nie są zdolni do dalszego ruchu w kierunku Iłży. Pod gęstym ogniem polskich karabinów maszynowych okopują się, znajdując się w odległości około jednego kilometra na zachód od Piłatki. Jest już godz. 17³⁰ gdy dowódca dywizjonu zapoznaje z sytuacją przybyłego dowódcę pułku.

Pułkownik Wilhelm-Dietrich von Dittfurth przydziela dodatkową pomoc, włączając do natarcia ponownie 2-gi szwadron, jeden pluton 5-go szwadronu (umieszczając go pomiędzy szwadronami 6-ym i 2-gim) oraz pozostałości 17-go szwadronu (reszta

szwadronu leży unieruchomiona w Kotlarce) i daje rozkaz wznowienia natarcia w kierunku Iłży.

O godz. 18⁵⁵ udało się Niemcom dojść wspólnym wysiłkiem do starego cmentarza, leżącego około 800 metrów na północny wschód od zamku. Jednak, jak podają Niemcy, i to natarcie okazało się daremne. Opór polski wzmacnił się. Pod ogniem granatników, granatów ręcznych i broni maszynowej, musiano cofnąć linię około 300 metrów, wykorzystując istniejące już ciemności.

Wobec niemożliwości przełamania obrony polskiej w tym dniu, dowódca pułku wydał rozkaz przerwania walki i przygotowania stanowisk do przeczekań nocy. Sprowadzono resztę oddziału dział przeciwlotniczych, których dowódca, mjr. Weisser, zginie wkrótce w walkach jakie nastąpiły.

Działa rozmieszczono na tyłach 6-go i 2-go szwadronu, przydzielając każdemu po jednej baterii. Odsunięto także od styku z Polakami I-szy dywizjon, przenosząc go z południowej strony wzgórza 246 na południowy stok wzgórza 206, przygotowując go do obrony nocnej. Oddział motocyklistów oraz 7-my szwadron (jedyna rezerwa nie biorąca udziału w walce) zostały przesunięte na wschodni stok wzgórza 246. Niemcom się zdawało że sytuacja zaczęła się stopniowo uspokajać. Stanowisko dowodzenia 9-go pułku kawalerii zmotoryzowanej pozostało na dotychczasowym miejscu, tj. w zachodnim końcu wsi Piłatka, przy szosie. Pierwszy pluton ciężkich karabinów maszynowych 8-go szwadronu otrzymał zadanie ubezpieczenia dowództwa od strony Iłży. O godz. 20-ej adiutant pułku został wysłany do sztabu dywizji aby podać dane o sytuacji oraz otrzymać instrukcje do działań na noc i dzień następny.

Gdy Niemcom marzył się odpoczynek i spokojna noc, nagle około godz. 20³⁰, wzdłuż szosy Iłża-Piłatka i na północ od niej ruszyło polskie natarcie, wsparte, jak piszą Niemcy, bronią pancerną, miotaczami płomieni oraz ogniem ciężkich karabinów maszynowych. W walce ginie dowódca osłonowego plutonu karabinów maszynowych podporucznik Schroeder. Osłona stanowiska dowódcy niemieckiego pułku, którą stanowił 7-my szwadron, zostaje całkowicie zniszczona. Ginie jej dowódca porucznik Meggl. Zgiełk bitewny wzrasta z minuty na minutę i zbliża się do rejonu dowodzenia pułku. Na Piłatkę zostaje położony silny ogień polskiej artylerii. Z wielką przewagą nacierają polskie oddziały po obu stronach szosy. Były to kompanie I-go batalionu 9-go pułku piechoty Wojsk Polskich, dowodzone przez mjr. Korsaka. Pierwsza kompania nacierała po osi szosy, druga kompania nacierała na prawym skrzydle, po północnej stronie szosy, utrzymując styk z II-gim batalionem 7 pp, który dotychczas bronił zamku, a trzecia kompania pozostawała w rezerwie. Przy II-gim batalionie przebywał także dowódca 7-go pp, płk. Muzyka. Razem z I-szym batalionem 9 pp WP, nacierającym wzdłuż szosy szedł dowódca 3-ej dywizji piechoty WP, płk. Turkowski. Został on ranny w nogę i wycofał się do Iłży, przekazując dowodzenie dywizją oraz natarciem płk. Tatarowi, (dowódcy artylerii dywizyjnej). Poleciał on przy tym wprowadzenie do natarcia idącego od Sieradzie I-go batalionu 7 pp, z baterią, artylerii. Niestety, powracający do Iłży płk. Turkowski, batalionu 7-go pp, przeznaczonego przez niego do wsparcia działań w Piłatce na swej drodze nie spotkał. (Batalion ten zamiast maszerować w kierunku Piłatki pomaszerował w kierunku Jedlanki). Jak opisują Niemcy, Polacy pod osłoną ciemności uparcie szli do przodu. Ze wzgórz dość stromo wznoszących się po południowej stronie szosy oddziały niemieckie starały się ostrzeliwać Polaków nacierających na dole ale z powodu ciemności trudno im było wyszukiwać cele. Ażeby rozjaśnić przedpole Niemcy wystrzelili ogromną ilość rakiet. Blask bijący z rejonu

bitwy od rakiet, palących się pojazdów oraz budynków wiejskich, był tak silny że w odległych o dwa kilometry Małomierzycach można było czytać gazetę. W tym blasku zmieniających się światła Polacy atakowali na bagnety, wdzierając się pomiędzy niemieckie stanowiska.

Dowódca pułku niemieckiego widząc że linia walki jest już blisko jego stanowiska dowodzenia, zebrał wszystkich pisarzy, łączników, kierowców, radiotelegrafistów, telefonistów sztabowych, i osobiście na ich czele włączył się do walki z karabinem w rękę. Pomoc ta nie przesądziła o wyniku walki i była tylko aktem rozpacz. Pułkownik Wihelin-Dietrich von Dittfurth, dowódca 9-go pułku kaw. zmot. liczył na to że swym przykładem doda odwagi niemieckim żołnierzom. Wkrótce został ranny w rękę. Odrzucił karabin i wyciągnął z kabury pistolet. Usiłował walczyć.

Jak podaje niemiecki kronikarz, został zabity serią karabinu maszynowego.

Piechota polska z furją niszczyła niemieckie pojazdy, składy amunicji, sprzęt pułkowy i niemieckich żołnierzy. Zabudowania Piłatki płonęły. Wybuchy amunicji i paliwa w niemieckich pojazdach mechanicznych wznosiły gejzery ognia widoczne z odległości wielu kilometrów.

Podczas walk w Piłatce ranny został także mjr. Korsak i został przewieziony do Iłży. Dowództwo objął po nim gen. Tatar. Gdy w dalszej walce batalion nie otrzymywał żadnego wsparcia, około godz. 24-ej wojsko, już bez dowódcy, samo ustąpiło z pola walki kierując się na północ, w stronę rzeki Iłżanki, a potem w lasy małomierzyckie. Równocześnie z natarciem oddziałów polskich wzdłuż szosy Iłża-Piłatka ruszyć miała do natarcia 12-ta dywizja piechoty WP, gen. Gustawa Paszkiewicza, znajdująca się w lasach starachowickich. Okazało się że dywizja ta bardzo się rozciągnęła idąc lasami i nie była w stanie skoncentrować się we właściwym czasie. Dowódca Grupy Południowej Armii Prusy, gen. Stanisław Skwarczyński, ostro potraktował gen. Paszkiewicza za opieszałość w przygotowaniu natarcia. Kilka godzin za późno, bo około godz. 1-ej 9-go września, szereg jednostek 12-ej dywizji piechoty ruszyło w kierunku Niemców, mając za podstawę wyjściową północne obrzeże lasów starachowickich. I-szy batalion 52 pp mjr. Kowarsza uderzył w kierunku wzgórza 246 i Piłatki. Na prawo od niego, z rejonu wsi Maziarze, ruszyły bataliony III/51 pp mjr. Krupnickiego oraz III/54 pp mjr. Gutowskiego, wspomagane 1 baterią 12 pal i plutonem p-panców (Leszek Siemion - "Iłża pamiętna klęską").

Natarcie rozwijało się pomyślnie. Oddziały polskie I/52 osiągnęły rejon dowodzenia niemieckiego dowódcy dywizjonu strzelców zmotoryzowanych, przy drodze Maziarze - Iłża (patrz - szkic). Działa przeciwlotnicze baterii przydzielonej do 2-go szwadronu zostały zdobyte i zniszczone. Poległ także dowódca tych baterii mjr. Weisser. W tym czasie batalion III/51 osiągnął już Prędocin a batalion III/54 w ataku na bagnety opanował wieś Podkońce. Oddziały polskie atakujące od strony lasów starachowickich zbliżały się do szosy Iłża - Lipsko, w pewnym miejscu nawet ją przekraczając.

Oddziały niemieckie były bliskie całkowitej klęski gdy przybył im z pomocą 67 batalion czołgów z 3-ej dywizji lekkiej. Niemiecki batalion czołgów liczy etatowo 50 szt. Przewidując że we wcześniejszych działaniach część czołgów uległa zniszczeniu, na pole bitwy pod Iłżą mogło przybyć około 40 szt. tych pojazdów. Czołgi niemieckie pokonując polski pluton przeciwpancerny bezkarnie buszowały po płaskowyżu od Prędocina do Iłży, atakując naszych piechurów. Najbardziej ucierpiał batalion I/52 mjr. Kowarsza. Zniszczona została całkowicie bateria 12 pal wspomagająca natarcie polskich oddziałów. Polska piechota, nie mając środków do walki z czołgami, wycofywała się z powrotem

w lasy starachowickie. Czołgi niemieckie goniąc naszych piechurów zapuściły się do Błazin i Koszar, mszcząc tam baterię artylerii ciężkiej. Wjechały też do zatłoczonej taborami Iłży, szerząc panikę. Stało się to już w godzinach porannych 9-go września.

Słuchając odgłosów tej walki z odległości kilku kilometrów mogę stwierdzić że na przedpolu Iłży wygasła ona około godz. 3-ej nad ranem. Tylko w rejonie Prędocina i Rzechowa walki toczyły się do godzin dziennych. Nacierające w tym rejonie jednostki 12-ej dywizji piechoty WP natrafiły na tyralierę czołgów stojących na polach, wspieranych dużą ilością artylerii i karabinów maszynowych. Oddziały polskiej piechoty nie były w stanie sforsować tej zapory i po stracie 139 zabitych, wycofały się w lasy starachowickie. (Polegli żołnierze polscy w tym rejonie leżą pochowani we wspólnym grobie na cmentarzu w Grabowcu). Biorący udział w tych walkach por. Aleksander Orłowski ze Zbaraża (był w cywilu polonistą w tamtejszym gimnazjum a w wojsku zastępcą dowódcy kompanii karabinów maszynowych), który zamieszkał okresowo w moim domu, zwrócił uwagę na zachowanie się żołnierzy narodowości ukraińskiej w boju. Stwierdził on że w przypadku jego jednostki żołnierze ci walczyli i szli w natarciu do przodu nic nie gorzej od Polaków. Ponieważ 12-ta dyw. piechoty była z Podola, więc dużo w niej było żołnierzy narodowości ukraińskiej, na których specjalnie zwracano uwagę.

Po wycofaniu się jednostek polskich w lasy nastąpiła koncentracja wszystkich oddziałów koło wsi Piotrowe Pole, przy składzie drewna kolejki leśnej Orłowiny (skrzyżowanie leżni F z gościńcem ostrowieckim). Koncentracja była ubezpieczona zasadzką na gościńcu ostrowieckim przy skrzyżowaniu z leżnią B. Był tam pagórek, za którym, od strony Piotrowego Pola, wykopano w poprzek gościńca rów przeciwczołgowy i ustawiono zapewne działka przeciwpancerne. Druga zasadzka zrobiona była na leżni F około 100 m na wschód od szosy Iłża - Lubienia. Dowódca tej zasadzki miał powiedziane że już wszystkie oddziały polskie wycofały się do lasu i jeśli jeszcze pojawi się jakiś pojazd to mogą to być tylko Niemcy. Okazało się że w zasadzkę wjechała w ciemnościach jeszcze jakaś ciężarówka, wioząca żołnierzy z obrony przeciwlotniczej, o których zapomniano. Dowódca zasadzki dał komendę "ognia", od którego zostało zabitych dwóch żołnierzy. Jednym z nich był inż. Dec, pracownik Zakładów Starachowickich, przydzielony do obsługi dział przeciwlotniczych. Chyba dlatego, że nie polegli z rąk niemieckich, Niemcy nie przenieśli ich ciał na cmentarz wojskowy w Iłży. Ekshumacji dokonano dopiero w 1968 r.

8-my września 1939 r. był dniem zwycięstwa w walkach pod Iłżą. Zniszczono w wielkim stopniu 9-ty pułk niemieckiej kawalerii zmotoryzowanej. Przyczyniły się do tego błędy niemieckiego dowództwa oraz dzielna postawa naszych żołnierzy. Gdyby wszystkie nasze jednostki uderzyły w Niemców razem, rezultaty bitwy pod Iłżą byłyby znacznie korzystniejsze.

Wojsko wiedząc już że zwycięstwo było możliwe w poprzednim dniu i uważając że dowództwo na szczeblu generałów źle wykonało swe obowiązki a teraz nie wie co robić dalej, zaczęło się buntować. W wielu jednostkach żołnierze przestali słuchać przełożonych, nastąpiło rozluźnienie dyscypliny. Widząc to dowódca Grupy Południowej Armii Prusy, gen. Stanisław Skwarczyński, i dowódca 12-ej dywizji gen. Gustaw Paszkiewicz wydali rozkaz niszczenia ciężkiej broni i rozwiązania jednostek z zaleceniem przedzierania się na wschód na własną rękę. Sami udali się w kierunku Ostrowca samochodami, pozostawiając masy żołnierskie koło wsi Piotrowe Pole. Po przebyciu około 3 km samochody porzucono ze względu na trudności jazdy i dalej prawdopodobnie

generałowie powędrowali pieszo, przedostając się za Wisłę. Mogli tą trasą przeprowadzić całe wojsko, gdyż jak się okazało nie była przez Niemców pilnowana, generałowie jednak o tym nie wiedzieli. Powinni byli jednak z pomocą oddziałów zwiadowczych rozpoznać sytuację.

Żołnierzom WP, jednostek zgromadzonych w rejonie wsi Piotrowe Pole, dał się bardzo odczuć brak wody. Trzy płytkie studnie, o bardzo małej ilości wody z powodu już długo panujących upałów, nie mogły zaspokoić pragnienia tysięcy żołnierzy oraz licznych koni taborowych. Do najbliższych studzien przy gajówkach Murowanką i Bekowiny było kilka kilometrów a studnie tam były bardzo głębokie i wydobywanie z nich wody trwało długo. Sytuacja stała się dramatyczna. Doszło do tego że nawet koniom wydzielano wodę łyżkami. Jak w tej sytuacji miały poruszać się zaprzęgi konne, które dominowały w naszym wojsku w 1939 r. Żołnierze widząc że dowództwo nie tylko źle rozgrywa walkę z Niemcami ale jeszcze nie zapewnia takich podstawowych potrzeb żołnierzy jaką jest woda, potrzebna szczególnie z powodu upałów, przestali słuchać dowódców. W ten sposób doszło do samolikwidacji 12-ej dywizji piechoty WP.

Uwolnione z zaprzęgów konie puszczone zostały przez żołnierzy w las, w którym nadaremnie szukały wody. Od śmierci z pragnienia ratowali je mieszkańcy lasów, doprowadzając do swych zagród całymi stadami. Po kilku dniach pojawiło się dużo wieśniaków z rejonu świętokrzyskiego, którym wojsko zarekwirowało konie i zabierali je ze sobą, uznając za własne.

Masy żołnierskie spod Piotrowego Pola częściowo rozproszyły się w lasach ale główna ich część pomaszerowała całą szerokością gościńca ostrowieckiego na południe i w rejonie Miłkowskiej Karczmy i Kurzacz poszła w lewo, w lasy bałtowskie, idąc bez napotkania Niemców aż do Wisły, a potem w lubelskie. Tabory dywizyjne pozostawiono na terenie składu drewna kolejki leśnej Orłowiny (skrzyżowanie gościńca ostrowieckiego z leżnią F) a wzdłuż leżni F aż do leśniczówki Zawały sprzęt artyleryjski.

Rozgoryczenie wojska pod adresem starszych stopniem oficerów wykorzystało dwóch żołnierzy, najprawdopodobniej nacjonalistów ukraińskich. Zatrzymali oni nad ranem jadący gościńcem samochód, w którym jechał samotnie mjr. Ludwik Karafa i wrzucili do wnętrza granat. Miało to miejsce koło istniejącej wtedy osady Kaplica.

Granat rozsarpał majora. Przechodzący poboczem drogi podporucznik z grupą żołnierzy aresztował dywersantów i natychmiast rozstrzelał. Leżą dotychczas pochowani po zachodniej stronie gościńca, w pobliżu miejsca zbrodni. Samochód majora nie ucierpiał wiele od wybuchu granatu i kierowca dojechał nim do wsi Miłkowska Karczma, zatrzymując się przed zagrodą Stanisława Bimka. Tu z pomocą gospodarza i innych mieszkańców poszarpane zwłoki majora przeniesiono na drabinie na skraj lasu i pogrzebano. Leżą tam do dziś nie ekshumowane. Kierowca samochodu, rodem z Pomorza, przekazał samochód i osobistą walizeczkę majora Niemcom, którzy się wkrótce pojawili. Dokumenty majora wziął na przechowanie Stanisław Bimek. W samochodzie nie było żadnych innych bagaży, o których głosiła pierwotna wersja, iż to ich widok wzburzył żołnierzy zmęczonych uciążliwym marszem i postanowili uśmiercić wygodnie jadącego, ze stosem walizek, majora.

Na temat majora Karafy Stanisław Bimek może powiedzieć, że miał samochód zbliżony wyglądem do "Warszawy" i podobno do dnia bitwy pod Iłżą towarzyszyła mu żona, która z Iłży odjechała do Radomia. Dokumenty majora Karafy Stanisław Bimek przechowywał do jesieni 1944 r. kiedy to Niemcy spalili wieś i przy tym spłonęły także dokumenty.

W dniu 9 września Niemcy prowadzili ogień nękający na lasy, które w tym czasie były schronieniem dla ludzi z okolicznych miejscowości, a szczególnie ze Starachowic. Był notowany przypadek, że w rejonie Orłowin pocisk artyleryjski, wystrzelony przez Niemców, trafił w miejsce gdzie biwakowała pewna rodzina. Została zabita kobieta i ranna druga osoba.

Trzeciego dnia po bitwie oddziały niemieckie wkroczyły głębiej w lasy, zabierając do niewoli napotkanych żołnierzy polskich, głównie pochodzenia ukraińskiego, gdyż ci czuli się najbardziej bezradni i zbyt oddaleni od swych stron rodzinnych.

Wkraczające oddziały niemieckie, piesze i konne, złożone były z młodych Niemców. Zakazali oni ludności cywilnej opuszczania domów i poruszania się po lesie, pod groźbą zastrzelenia.

Chociaż ryzyko było duże, większość mieszkańców leśnych wsi zlekceważyła niemieckie polecenia. Wielu ludzi wabiły tabory 12-ej dywizji pozostawione koło wsi Piotrowe Pole. Można tam było znaleźć wiele przydatnych rzeczy. Były tam krawieckie i szewskie maszyny do szycia, skóry do produkcji butów i uprząży, materiały ubraniowe, odzież, koce, narzędzia różnego rodzaju, rowery, maszyny do pisania, oraz całe wozy żywności, z której najbardziej rozchwytywane były szynki konserwowe pięcio kilogramowe. Z napisów na konserwach można było wywnioskować że były wyprodukowane na eksport do Anglii. Mnóstwo koni rozpuszczonych po lesie, pozostawione przez żołnierzy wozy, nawet cywilne, kuchnie polowe, sprzęt ślusarsko-rusznikarski, saperski, łącznościowy, kuźnie polowe, wszystko to wabiło ludzi i każdy znajdował coś przydatnego dla siebie. Chodząc po lesie można było wszędzie spotykać porzuconą broń, amunicję karabinową i artyleryjską, stosy pocisków moździerzowych i od granatników, o kształcie bomb lotniczych, ale najwięcej było nowoczesnych masek przeciwgazowych oraz hełmów. Na szerokim gościńcu ostrowieckim, w rejonie Murowanki, na całej szerokości drogi leżały chyba tysiące hełmów, robiących wrażenie przechodzących przez drogę olbrzymich ilości żółwi. Sugerowało to, że żołnierze uznali je za zbędne obciążenie i pozbywali się ich. Autentyczne doświadczenia świadczyły odwrotnie i potem spotykało się ukrywających się żołnierzy, którzy nie mieli już broni ale hełmów się nie pozbywali. Opowiadali jak dzięki hełmowi ten lub ów uniknął śmierci. Wśród nich zjawił się pewnego wieczoru na leśniczówce Klepacze porucznik z trzema kulami z pistoletu maszynowego w ramieniu. Pokazywał na hełmie ślady tych kul, które ześlizgnęły się i poszły mu w ramię. Inny żołnierz miał znów wgnieciony z boku hełm od uderzenia odłamkiem pocisku. Leżał po tym uderzeniu nieprzytomny w kartoflisku lecz nad ranem oprzytomniał i przeczołgał się do pobliskiego lasu. Powiedział że hełm, który ma na głowie, uratował mu życie i nosi go nadal jako najcenniejszy przedmiot.

Wracając jeszcze do sprawy porzuconego sprzętu wojskowego, to radiostacja N2, którą - jak pisze Leszek Siemion w książce "Iłża pamiętna klęską" - gen. Skwarczyński wysłał do rejonu Piotrowego Pola, została porzucona przez żołnierzy Wileńskiej Brygady Kawalerii koło gajówki Bekowiny. Gajowy Jan Tomczyk zameldował o tym mojemu ojcu, Marianowi Langerowi, leśniczemu w Klepaczach. Ojciec z wojska specjalista od łączności, natychmiast udał się z gajowym obejrzeć sprzęt i ewentualnie go ukryć. Niestety radiostacja, osadzona na specjalnym podwoziu, nie nadawała się do dalszego użytku. Żołnierze zniszczyli aparaturę tak dalece, iż nie było sensu narażać się przechowując rzeczy nieprzydatne.

Koło leżni I, w rejonie Bekowin, porzucone zostały kwatermistrzowskie dokumenty 54 pp a razem z nimi około 80 podręczników szkoleniowych, takich jak "Podręcznik

Drużynowego", "Podręcznik Dowódcy Plutonu", itd. aż do dowódcy baonu, i wiele innych. Wśród tych materiałów znaleźliśmy sporo map 1: 100 000 z różnych rejonów, najwięcej z pińczowskiego. Oczywiście wszystkie te cenne materiały zabezpieczyliśmy, przekazując potem tworzącym się organizacjom zbrojnym SZP - ZWZ.

W rejonie działki 7-ej i leżni J pozostawione zostały samochody - ośmiocylindrowy granatowy Buick, wyposażony komfortowo i należący zapewne do któregoś z generałów oraz mniejszy, w kolorze beżowym, dwudrzwiowy Mercedes V 170. Prawdopodobnie generałowie chcieli wyprzedzić maszerującą całą szerokością gościńca masy żołnierskie i chcieli to zrobić bocznymi drogami. Niestety jadąc w ciemnościach, przy obowiązującym wtedy niebieskim oświetleniu, wjechali w nieprzejezdną z pozoru drogę i zaniechali dalszej jazdy, porzucając cenne samochody. Usiłowałem samochody te przeciągnąć koniem w bardziej ukryte miejsce lecz z powodu nieznamości obsługi tych wozów nie poradziłem sobie z problemem. Zrobił to kilka dni później gajowy Wł. Kalinowski z pomocą brata. Samochody te stały u niego na podwórku do końca roku, aż zobaczyli je będący na polowaniu Niemcy.

W okolicy osady Kaplica orkiestra 8-go pułku piechoty porzuciła swe instrumenty. Dużą ich część pozabierali mieszkańcy okolicznych wiosek. Żartowano sobie potem, że możemy teraz stworzyć własną orkiestrę, na użytek powstającego od nowa wojska polskiego w konspiracji.

Na leśnych drogach widziało się kuchnie polowe na wielkich drewnianych kołach i nowoczesne, całe z metalu, wozy łączności na pneumatykach.

Na działce 10-ej, blisko toru kolejki leśnej koło Klepacz, pozostawiono ciężarowy samochód do transportu tankietek. Żołnierze jadący tym wozem nie dostrzegli w niebieskim oświetleniu stojącego na środku drogi pnia i zgięli lekko przedmą oś. Na platformie tego samochodu znajdowały się dwie zębate belki, na które najeżdżała transportowana tankietka. Tankietki na niej nie było ale leżała stalowa lina w której tkwiła niemiecka kula karabinowa. Był to dowód, że samochód był przez Niemców ostrzelany. Na tej samej drodze, bliżej leżni H, pozostawiono ciężarówkę z warsztatem mechanicznym i agregatem prądotwórczym do napędu tokarki, umieszczonej wewnątrz budy samochodu. Obok stały specjalne stoły warsztatowe z licznymi szufladami, a w każdej szufladzie komplety narzędzi różnej wielkości, np. gwintowników, narzynek do gwintów, rozwiertaków, palników acetylenowych, itp., ułożonych w specjalnych zagłębieniach. Pod podwoziem samochodu (Polski Fiat) umocowane były po bokach butle gazowe z acetylenem i tlenem, niezbędne do prac spawalniczych. Amatorzy tych narzędzi grzebali w nich ile chcieli, wybierając dla siebie najcenniejsze. Nikt nie interesował się francuskim karabinem maszynowym, stojącym pod ścianą, uznając go za uszkodzony i oddany do naprawy. Nie było do niego taśm (prawdopodobnie stalowych) i co najgorzej, był bardzo ciężki. Gdy po pewnym czasie wszystko z samochodu wyniesiono (nawet tokarkę), znalazł się ktoś kto skusił się także i na karabin maszynowy.

Przy skrzyżowaniu działki 10-ej z leżnią F stał gąsienicowy pojazd pancerny bez uzbrojenia. Obsługa zniszczyła kierownicę w kształcie nerki i zerwała jedną z gąsienic. Był to opancerzony ciągnik od działła. Być może on holował działło przeciwlotnicze 40 mm, pozostawione na leżni F 2 km dalej. Obsługa wymontowała z niego zamek. Ciężarówka, prawdopodobnie od tego działła, wioząca amunicję i zapasowe lufy, pojechała działką nr 9 aż pod Klepacze i po zjechaniu na pobocze drogi została podpalona przez obsługę. Przez kilka godzin trwała kanonada pękających pocisków.

Jadąc szosą Lubienia - Marcule widziało się popalone samochody osobowe leżące w rowach oraz niespalony lecz przewrócony samochód pancerny. Opancerzenie tego samochodu, podobnie jak ciągnika artyleryjskiego, było wyjątkowo delikatne. Grubość blach pancernych nie przekraczała 4 mm. Choć takie cienkie jednak przed kulami karabinowymi najwidoczniej chroniły gdyż nigdzie nie mogłem znaleźć przebicia.

Wśród porzuconej broni spotykało się nasze słynne karabiny przeciwpancerne. Jeden taki udało mi się przechować. Konstrukcja zamka tego karabinu była identyczna jak w zwykłym karabinie typu Mauser. Celownik był także taki sam. Lufa była tylko znacznie dłuższa i zakończona lejkowatym tłumikiem płomieni, wykorzystanym najprawdopodobniej z rkm-u wz. 28, czyli Browning. Także od tego rkm-u miał zapożyczone nóżki. Zamiast podajnika, jak to jest w zwykłym karabinie, wciskało się od dołu (jak w rkm-ie) magazynek z pięcioma nabojami. Po każdym strzale karabin należało zarepetować. Kaliber tego karabinu był analogiczny jak zwykłego. Dłuższy był tylko pocisk oraz kilkakrotnie większa łuska, a tym samym ilość prochu. Z ciekawości sprawdziłem budowę pocisku, która była podobna jak w amunicji przeciwpancernej do karabinów zwykłych. Znacznie dłuższy był tylko rdzeń wolframowy jaki jest umieszczony w pociskach przeciwpancernych karabinowych. Doszedłem do wniosku, że rozpowszechniana informacja iż pocisk ten miał topić pancerz trafionego czołgu, była propagandową plotką dla zmylenia przeciwnika i podniesienia wiary w dobrą jakość naszego uzbrojenia.

W niedzielę 10 września Niemcy wkroczyli na teren lasów, poruszając się niektórymi głównymi drogami. W tym dniu miało miejsce wydarzenie, które uświadomiło ludność miejscową, co to są Niemcy. Otóż w godzinach przedpołudniowych jechało dwóch żołnierzy niemieckich gościńcem ostrowieckim na motocyklu. W rejonie skrzyżowania z leżnią J natknęli się na polskich żołnierzy, którzy nie zaprzestali walki z wrogiem. Doszło do strzelaniny w której został zabity jeden z żołnierzy niemieckich a drugi, ciężko ranny, zaczął się w krzaki i tam zmarł. Motocyklem zaopiekowali się chłopcy z Zawał i udało im się przechować go przez okres wojny.

W godzinach popołudniowych tego dnia, penetrujący rejon Orłowin pluton niemiecki maszerował gościńcem w kierunku Ostrowca. W Orłowinach schwytali Niemcy mieszkańca wsi Bór Kunowski Józefa Pasternaka, który wybrał się razem z kolegą Julianem Sadłosem aby poszperać w porzuconych taborach. Julian Sadłos idący nieco z tyłu szczęśliwie uciekł, natomiast Pasternaka który jechał na znalezionym koniu, Niemcy schwytali. Niemiecki pluton, maszerując przez Murowankę w kierunku Ostrowca, zbierał po drodze napotkanych ludzi. Gdy dotarł do miejsca gdzie leżał zabity Niemiec, któremu przyglądało się kilka osób, w tym dwóch polskich nieuzbrojonych żołnierzy, dowódca plutonu kazał ustawić na środku gościńca zebranych ludzi w dwuszeregu ora? kazał ustawić karabin maszynowy z boku, tak by mógł strzelać do ludzi wzdłuż szeregu. Widząc na co się zanosz Józef Pasternak rzucił się do ucieczki. Możliwe że żołnierze strzelali za nim tak aby się mógł uratować. W każdym razie udało mu się zbiec. Pozostali ludzie zostali rozstrzelani. Wśród nich byli: Edward Rynio (1921 r.) z Boru Kunowskiego, Kołacz i Aleksander Łygan z Miłkowskiej Karczmy, Opala ze wsi Kurzacze, Aplas Zygmunt i inni. Miejscowych ludzi rodziny odnalazły i zabrały na cmentarze. Pozostały tylko obok siebie przy gościńcu, po stronie wschodniej, dwa groby nieznanych polskich żołnierzy. Ktoś zrobił im krzyże i położył na mogiłach hełmy. W miarę upływu czasu groby te stawały się coraz bardziej zapomniane i zaniedbane.

Obecnie są to mało dostrzegalne wzgórki porośnięte trawą i mały, próchniejący krzyżyk, który ktoś osadził pomiędzy grobami.

Rozstrzelanie przez Niemców niewinnych ludzi, między którymi były osoby starsze i prawie dzieci, wstrząsnęło mieszkańcami lasu. Grupa polskich żołnierzy którzy zastrzelili Niemców czuła się w jakimś stopniu winna śmierci rozstrzelanych ludzi. Grupa ta, złożona z kilku wiernych przysiędze żołnierzy polskich pozostawała w lasach, ukrywając cenniejszą broń i strzelając do Niemców w przypadkach ich napotkania. Podobno dużo broni maszynowej ukryli na terenie nieczynnej kopalni Sadłowizna lecz tajemnicę zabrali ze sobą. Żaden z nich do dziś nie dał znaku życia.

Jak wspominał ukrywający się w moim domu por. Orłowski, który wcześniej przebywał w lesie z tymi żołnierzami, jeden lub dwa dni po egzekucji na gościńcu ostrowieckim, czterech żołnierzy ze wspomnianej grupy znajdowało się przy skrzyżowaniu gościńca z leżnią F, wybierając z taborów co cenniejsze rzeczy do ukrycia. W pewnej chwili żołnierze zauważyli że leżnią F zbliża się w ich stronę oddział niemieckiej konnicy. Po krótkiej naradzie postanowili nie ustępować. Wszyscy byli dobrymi strzelcami. Pozwolili Niemcom dojechać do skrzyżowania. Padły cztery strzały oddane z bliskiej odległości i czterech Niemców leżało na ziemi. Reszta oddziału niemieckiego ratowała się ucieczką. Po sprawdzeniu okazało się że jeden z Niemców jest tylko ranny. Tego Niemca po opatrzeniu wsadzono z powrotem na konia, umocowano go żeby nie spadł i odesłano gościńcem ostrowieckim do Błazin, aby dotarł do jednostek niemieckich i zameldował iż strzelali do nich żołnierze polscy a nie ludność cywilna. Chodziło o uratowanie przed niemiecką zemstą wsi Piotrowe Pole, odległej od miejsca zdarzenia nie więcej niż 500 metrów. Tym razem wieś Piotrowe Pole ocalała.

Ukrywająca się grupa polskich żołnierzy topniała. Kilku pozostałych zbudowało sobie schron w zagajniku, w odległości około 1500 m na północny wschód od Kitowin (Bór Kunowski). Chodzili i jeździli wojskowymi rowerami po lasach, umundurowani i w pełnym uzbrojeniu. Nie wdawali się w długie rozmowy z napotkanymi gajowymi lub ludźmi ze wsi, nic nie mówiąc na swój temat. Działalności swojej nie zaprzestali, zabezpieczając nadal porzuconą w lasach broń i likwidując małe niemieckie patrole, ale w taki sposób aby nie było represji na mieszkańcach lasów.

Pamiętam jak pewnego dnia, około godz. 14-ej, przemaszerował przez teren leśniczówki w której mieszkalem, siedmioosobowy patrol niemiecki. Żołnierze niemieccy, młodzi chłopcy, szli jeden za drugim z bagnietami na karabinach. Przybyli od strony wsi Bór Kunowski i po przejściu przez ogród otaczający dom mieszkalny, podwórze, udali się korytem wyschniętego stawu na drogę do Kuter. Przechodzili nic nie mówiąc do nikogo. Idący na końcu żołnierz zerwał sobie w marszu pomidora. W chwili gdy Niemcy zniknęli w zieleni leśnej, odległej nie więcej niż 100 m, na podwórze wjechał wojskowym rowerem polski żołnierz. Był w wieku około 30 lat. Przy pasie kilka polskich granatów. W uchwycie rowerowym karabin. Stał okrakiem na rowerze obok mnie i pyta: "byli tu Niemcy?". Odpowiedziałem, że przed chwilą, i jeszcze ich chyba widać między zielenią. Wskazałem mu ręką gdzie. "Fajnie" - odpowiedział. "Czy nie masz przypadkiem odrobinę mleka. Bardzo jestem spragniony" - rzekł. Pobieglem szybko do domu i przyniosłem mu kilku litrowy gar mleka, który jednym pociągnięciem wypił do dna. Podziękował, zwracając garnek i nacisnął pedały. Za chwilę zniknął za bramą. Stałem jak urzeczony, nie mogąc uwierzyć że przed chwilą widziałem polskiego żołnierza w mundurze i z bronią, który najwidoczniej ścigał Niemców. Minęło kilka godzin i na pewno była już godzina 22-ga gdy nagle doszedł nas odgłos zbliżającego się

samochodu. Rzeczywiście wjechał na teren podwórka niemiecki łaźnik, a w nim niemiecki oficer i trzech żołnierzy niższego stopnia oraz jakaś kobieta. Była to dziewczyna wzięta przez Niemców z leśniczówki Kutery aby pełnić rolę przewodnika. Niemcy przyjechali w poszukiwaniu patrolu który przechodził przez Klepacze w godzinach południowych.

Idąc z Klepacz w dowolnym kierunku nie potrzeba do wyjścia z lasu więcej niż 3 godziny marszu. Minęło już 8 godzin. Nie ulegało wątpliwości że Niemców dopadli nasi żołnierze, którzy za nimi jechali. Brali oni na Niemcach odwet za rozstrzelanie na gościńcu 11-tu niewinnych ludzi. Wielka szkoda że nie znamy do dziś tych bezimiennych bohaterów. Pod koniec września włożyli cywilne ubrania i wyjechali nieznani. Zmusiła ich do zaniechania dalszej działalności zdrada gajowego Zagożdżona, mieszkającego przy gościńcu kunowskim, u którego Niemcy podczas rewizji znaleźli dwa karabiny. Gajowy tłumaczył się, że pozostawili je polscy żołnierze poprzedniego dnia. Groziło mu teraz rozstrzelanie za tę broń. Niemiecki oficer, dowódca przybyłych żołnierzy, dał gajowemu warunek. Jeśli wskaże miejsce pobytu tych żołnierzy będzie miał darowane życie. Gajowy, który miał żonę i dwoje dzieci, nie chciał ich osierocić. Zgodził się na niemiecki warunek. Liczył na to, że żołnierze będą w terenie i wskazany schron będzie w tym czasie pusty. Będąc z żołnierzami w bliskim kontakcie gajowy orientował się w ich rozkładzie zajęć. Jak się okazało dobrze zrobił, gdyż w schronie nie było nikogo, a niemiecki oficer słowa dotrzymał. Niemniej gajowy dokonał zdrady w stosunku do żołnierzy polskich i bojąc się za to kary z ich strony, zmuszony był do ucieczki.

Dostarczający tym żołnierzom cywilne ubrania Julian Listek z Boru Kunowskiego stwierdził iż byli oni z jednostki wojskowej stacjonującej w Częstochowie. Byli to major, porucznik, plutonowy i strzelec. Być może dalsze losy rzuciły tych żołnierzy na obczyznę i może któryś z nich jeszcze tam żyje. Być może także, że zginęli z rąk wroga podczas dalszej działalności. Gdyby pozostali jeszcze kilka dni, mogliby się przyłączyć do oddziału majora Dobrzańskiego-Hubala.

Major Dobrzański-Hubal zjawił się w Klepaczach w pierwszej dekadzie października. Niemcy już od miesiąca byli gospodarzami tych terenów i działała niemiecka administracja. O wojnie prawie zapomniano. Nagle, tuż przed zmierzchem, działką 9-tą od strony wsi Piotrowe Pole, zaczęła na Klepacze wjeżdżać konnica. Na moich oczach oraz por. Orłowskiego, z którym razem pracowaliśmy wtedy w polu, zaczęli z lasu, koń za koniem, wyjeżdżać kawalerzyści. Byliśmy od nich oddaleni około 150 kroków. Naliczyłem 21 jeźdźców a na końcu kolumny prowadzony był luzem biały koń. Wyglądali na polskich kawalerzystów. Wszyscy byli ubrani w płaszcze i czapki połówki, z karabinami założonymi przez plecy. Nie zauważyłem aby posiadali rkm-y. Być może mieli przytroczone do siodeł po drugiej stronie. Jadąc stępą oddział w marszu rozdzielał się na dwie części, które z dwu stron wjechały na podwórka podwójnej gajówki, zamieszkałej w tym czasie przez gajowych Kazimierza Czaję i Józefa Ziobro. Por. Orłowski nie chciał uwierzyć że to może być polskie wojsko. Sugerował że są to Czesi, którzy mają ten sam kolor mundurów i podobno współpracują z Niemcami. Za chwilę słysząc już było z gajówki skrzypienie studziennego żurawia i głośnie nawoływania się żołnierzy w języku polskim. Zaraz też wyjechały z gajówki trzy dwukonne patrole. Dwa z nich skierowały się działką 9-tą w przeciwnych kierunkach, jadąc klusem, a trzeci pojechał prosto przez pola do leśniczówki. Widząc to zakończyliśmy z por. Orłowskim pracę i podążyliśmy do domu, ciekawi co to za wojsko i skąd się tu niespodziewanie wzięło. Gdy dochodziliśmy do leśniczówki obaj kawalerzyści już odjeżdżali. Przed budynkiem napotkaliśmy ojca, który zapytał por. Orłowskiego czy słyszał kiedykolwiek

o majorze Hubali. Był tu przed chwilą i tak właśnie się przedstawił. Nie słyszałem nigdy o takim, odpowiedział por. Orłowski. Ja też nie, rzekł ojciec. Mjr. Hubal powiedział mi że przedziera się z grupą oficerów na Węgry. Ponieważ droga bezpośrednia jest bardzo nasycona nieprzyjacielem zatem będzie chciał okrążyć od zachodu Sandomierz i przerzucić się na Podkarpacie i tamtędy dotrzeć na Węgry. Umówił się z ojcem za pół godziny na spotkanie koło gajówki. Gdy się spotkali mjr. Hubal poprowadził ojca w las za gajówkę aby mu pokazać przyprowadzoną tu stadninę rasowych koni. Powiedział do ojca że nie możemy dopuścić aby ten skarb dostał się w niemieckie ręce. Ojciec się zgodził z majorem ale ze swej strony stwierdził iż nie mamy tu warunków do przechowania tak dużej ilości koni. Poradził Hubalowi aby ulokował konie w którymś z majątków, jakich dużo będzie miał na swej drodze, po przekroczeniu rzeki Kamiennej. Poradził Hubalowi aby rzekę Kamienną przekraczał mostem koło stacji kolejowej Kunów (obecnie Staw Kunowski), gdzie nie ma ani wojsk niemieckich ani osiedli mieszkaniowych i jadąc nocą przejazd oddziału będzie niezauważony. Zaraz za szosą Brody Iłżeckie - Ostrowiec zaczynają się lasy kryneckie w których oddział może się znów zatrzymać na odpoczynek.

Pobyt oddziału Hubala w Klepaczach trwał 48 godzin. W tym czasie na leśniczówce 1 gajówce wypiekano dla żołnierzy chleb na drogę. Ojciec zaopatrzył Hubala w mapy terenów, przez które planował jechać a które znajdowały się wśród map porzuconych przez 54 pp. Hubal odwzajemnił się dając ojcu dużą ilość liści tytoniowych jakie oddział wiozł ze sobą. W tym czasie były duże problemy ze zdobyciem papierosów.

Trzeciej nocy oddział mjr. Hubala ruszył w dalszą drogę, jadąc w kierunku stacji Kunów, przez Kitowiny a potem obok wsi Bór Kunowski. Prowadzony na końcu kolumny biały koń, należał jak mówili Hubalczyki, do marszałka Polski Edwarda Śmigłego Rydza. Dobrze się zbiegło że tej nocy zrobiła się niesamowita ulewa, którą Hubalczyki wspominają jako kataklizm. Woda deszczowa zupełnie rozmyła ślady kopyt końskich, po których Niemcy mogliby iść za Hubalem a także nikt z ewentualnych mieszkańców tej okolicy w taką ulewę nie wystawił głowy na zewnątrz. Zapewniło to oddziałowi całkowicie niezauważone przekroczenie doliny rzeki Kamiennej.

Powrócę jeszcze do spraw bitwy pod Iłżą w dniach 8-9 września 1939 r.

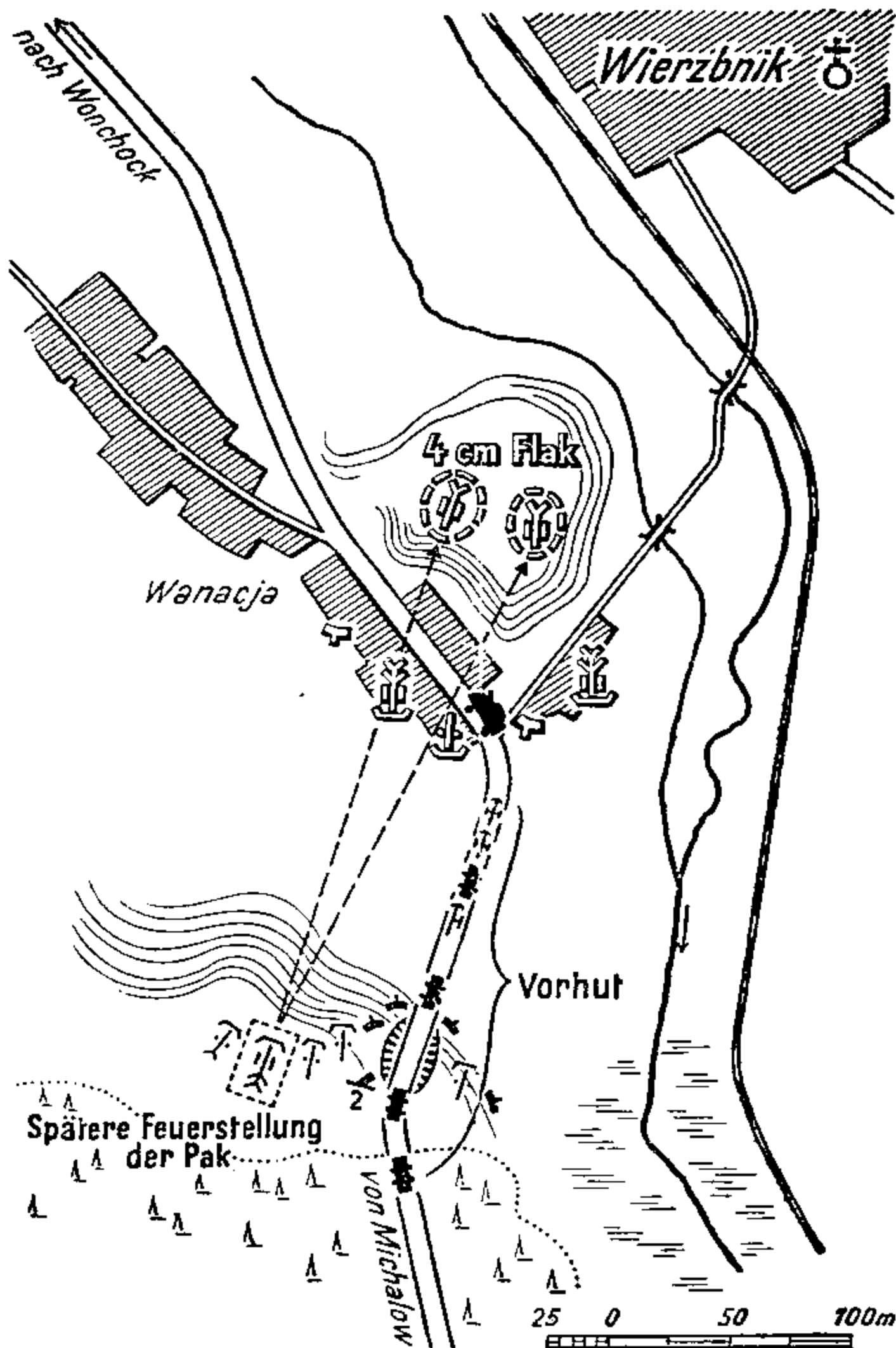
Otóż gdy sytuacja się unormowała Niemcy pozabierali polskich i niemieckich poległych żołnierzy na cmentarz w Iłży. Zrobili osobne kwatery dla swoich i osobne dla polskich bohaterów bitwy. Pozwoliłem sobie pojechać na cmentarz w Iłży i policzyć ilość grobów niemieckich. Było ich 87. Policzyłem potem groby polskie, których było, jeśli się nie pomyliłem, 183. Stosunek ten zaskoczył mnie, gdyż wiedziałem że Polacy w tej bitwie zniszczyli cały pułk niemiecki. Po powrocie do domu powiedziałem o tym por. Orłowskiemu. Por. Orłowski wytłumaczył mi wtedy, że Niemcy pochowali na cmentarzu tylko część swoich poległych. Pozostałych spalono w krematoriach i odesłano do Rzeszy.

Oglądając cmentarz zwróciłem uwagę na groby niemieckich oficerów, których było, jeśli się nie mylę, pięć. Stwierdziłem że najstarszym stopniem był kapitan Hermann Schmied, potem był por. Schroeder i trzech podporuczników, których nazwisk nie zapamiętałem. Nazwisko Schmied zapisałem sobie na kartce aby w domu sprawdzić w słowniku, że po polsku znaczy to po prostu kowal. Czytając niemiecki artykuł prasowy doczytałem się, że w bitwie tej poległo znacznie więcej oficerów niemieckich, jak np. rotmistrz Berger, rotmistrz Koepcke, mjr. Weisser, płk. Wilhelm-Dietrich von Dittfurth. Brak jest natomiast kpt. Schmieda, którego grób na własne oczy widziałem.

Świadczy to o tym, iż autor artykułu nie wymieniał wszystkich poległych oficerów, a wybrał tylko kilka nazwisk. Podobnie było ze zwykłymi żołnierzami niemieckimi. Celowo na cmentarzu pochowano tylko część tych którzy zginęli za Führer aby pokazać, że niemiecki żołnierz jest lepszy od polskiego, o czym świadczy stosunek poległych Niemców i Polaków.

Widziałem także na samym przodzie polskiego cmentarza groby polskich oficerów w stopniach pułkowników, podpułkowników, majorów i czułem się bardzo zasmucony tym, że tyle wysokich rangą oficerów polskich oddało swe życie. Okazało się że to nieprawda. Ani jeden oficer polski tej rangi nie stracił życia w boju pod Iłżą. Niemcy robili wszystko aby zatrzeć swą klęskę pod Iłżą. Dla poprawienia stosunku strat swoich do polskich, rozstrzelano w rejonie Solca nad Wisłą 300 polskich żołnierzy, wziętych do niewoli. Wielu polskich żołnierzy opowiadało o dobijaniu przez Niemców rannych polskich żołnierzy na polu bitwy.

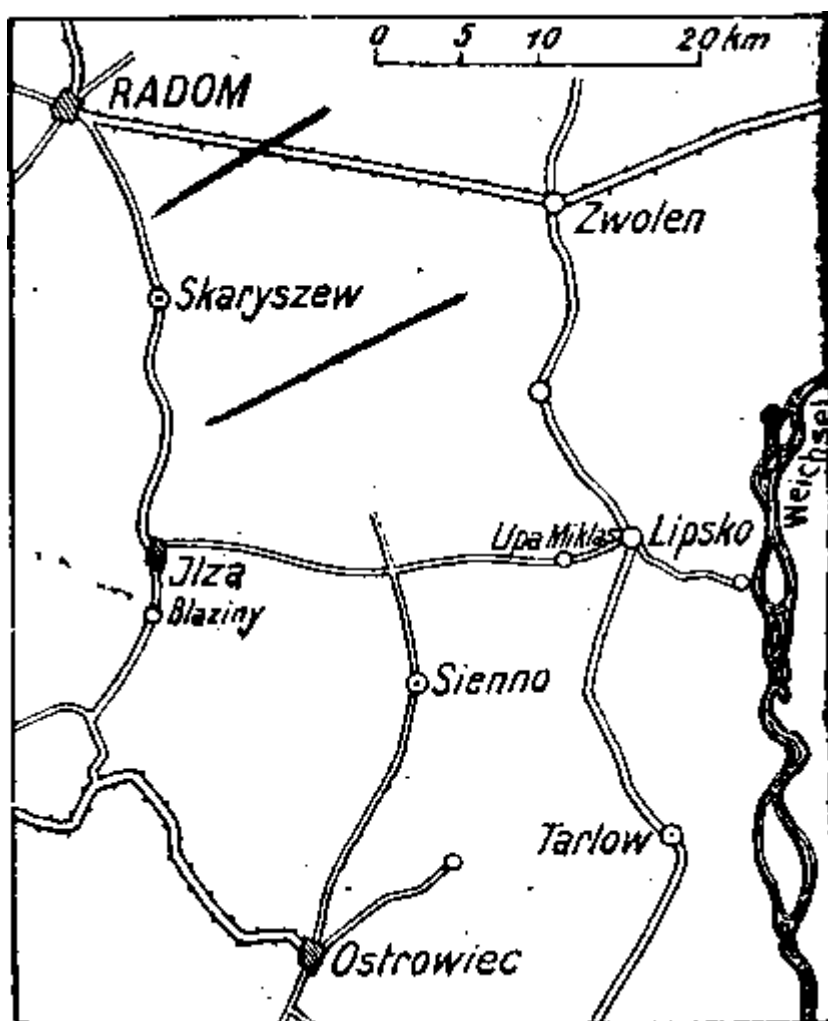
Podobne zachowanie się hitlerowskich żołnierzy będzie trwało przez cały okres wojny i będzie jeszcze o tym mowa w dalszej treści.



Fot. 23. Niemiecki szkic bitewny dotyczący starcia w dniu 6 września 1993 r. na przedpolu Starachowic, w rejonie Wanacji. Oznaczenia: Flak - działo przeciwlotnicze, Pak - działo przeciwpancerne, Vorhut - szpica, Spätere Feuerstellung der Pak - późniejsze stanowisko ogniowe działka przeciwpancernego.

Der Auftrag für die Division für den 8. 9. 1939 lautet zunächst: Vormarsch von Ostrowiec über Sienna, Strzegom 6 km nordwestlich Sienna, Lipsko auf Zwolen, um hier den von Radom auf die Weichsel ausweichenden polnischen Truppen vorzulegen.

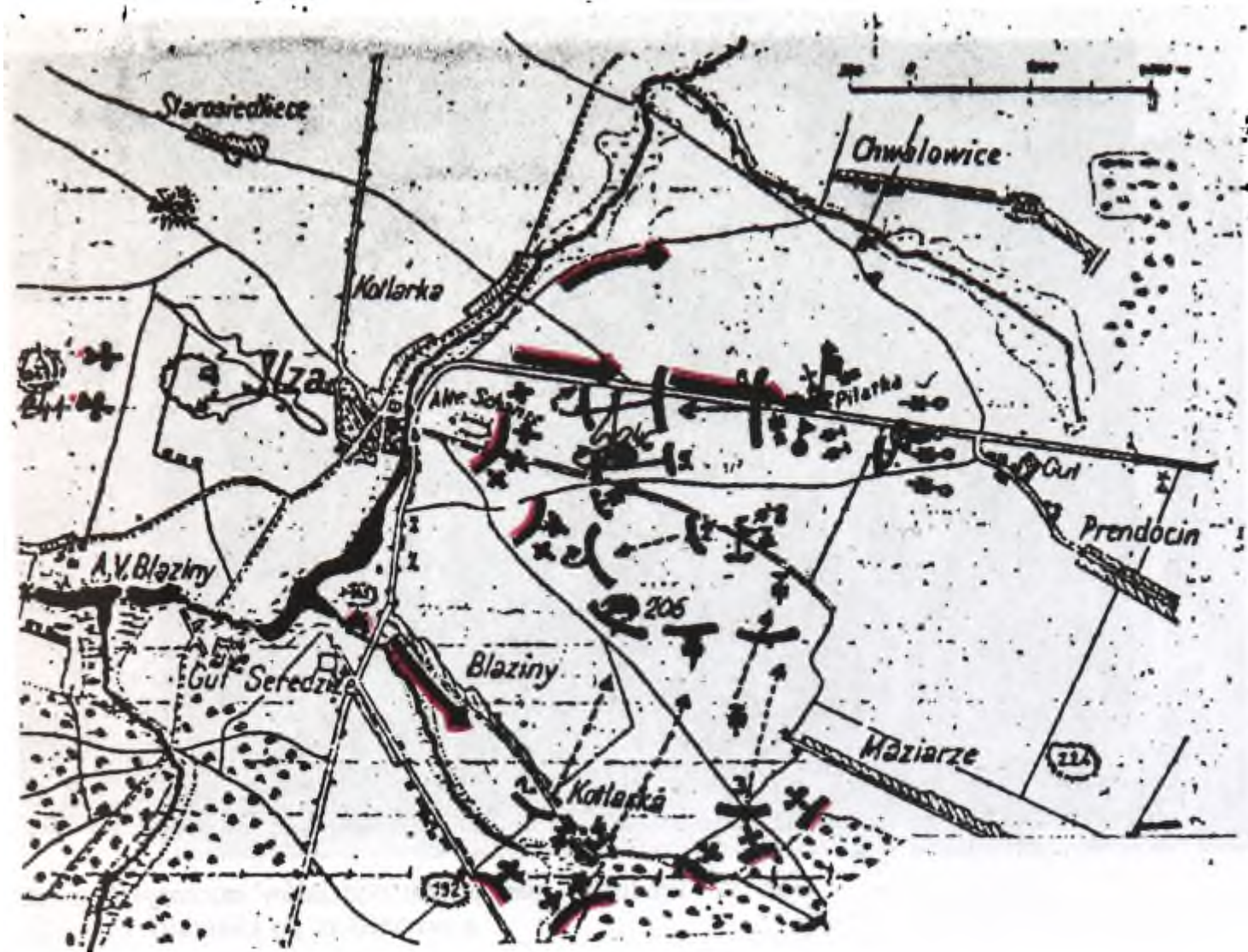
Die noch am Abend vorher vorausgeschickten Teile Division, Aufst. Abtlg. und Kradsch. Abtlg., sind bereits bei Lipsko, bzw. Kradschützen bis Lipa Miklas, vorgebracht. Als die Kradschützen um 6³⁰ Uhr der Befehl des Kommandeurs des Kav. Sch. Rgt. erreicht, zwischen Strzegom nordl. Sienna und Lipa Miklas zu halten bogenförmig Nordwesten, Norden und Nordosten zu sichern, weitere Befehle folgen nach (Skizze 1).



Skizze 1.

Um 7¹⁰ Uhr trifft dann der neue Befehl des Kav. Sch. Rgt. bei der Kradsch. Abt. ein, der ihr jetzt aber Vormarsch Vorhut des Rgt. in genau entgegengesetzter Richtung 1. Sprung als Ilza und 2. Sprung nach Skaryszew befohlen wird. Eine Batterie des Art. Rgt. und 1 Zug Panzerkampf werden unterstellt.

Fot. 24. Fragment artykułu „Aus dem Feldzug in Polen - Heldenkampf bei Ilza” w „Militär - Wochenblatt” nr 52 z 1940 r. Na szkicu nr 1 przedstawiono drogi, którymi przemieszczały się wojska niemieckie z Ostrowca w kierunku Ilży.



Fot. 25. Niemiecki szkic nr 2, na którym przedstawiono plan bitwy pod Iłżą. Oznaczenia: Gut - majątek, Alte Schanze - zamek. Czerwonym kolorem oznaczono pozycje oraz ruchy wojsk polskich.



Fot. 26. Widok Iłży z samolotu (rok 1938). Na pierwszym planie widoczna wieża zamkowa i wzgórze zamkowe porośnięte drzewami. Na dalszym planie miasto a za nim pola i wzniesienie 241, na którym rozmieszczona była polska artyleria. (Zdjęcie ze zbioru Juliusza Molskiego z Poznania.)



Fot. 27. Trudności niemieckich oddziałów zmotoryzowanych z przejazdem po kieleckich drogach.



Fot. 28. Niemieckie lekkie czołgi na tle palonej polskiej wsi.

Fot. 29. Widok ulicy jednego z miasteczek na kielecczyźnie, po wkroczeniu wojsk niemieckich.



Fot. 30. Zniszczony niemiecki motocykl a obok spalone zwłoki niemieckiego żołnierza.





Fot. 31. Grób niemieckiego artylerzysty. Koledzy położyli na grobie jego hełm oraz postavili pocisk artyleryjski.



Fot. 32. Wieża zamku iłżeckiego okaleczona niemieckim pociskiem.

Fot. 33. Grób polskiego żołnierza w środkowej części zamku. Mieszkanki Ilży pamiętały aby na grobach naszych żołnierzy były stale świeże kwiaty.



Fot. 34. Spalony w Ilży dom dyrektora szpitala dra Wiktora Bijasiewicza oraz spalony jego samochód. Blisko stało działo przeciwlotnicze, które udało się Niemcom zniszczyć. Poległo przy tym dwóch żołnierzy.

Fot. 35. Pierwsza niemiecka tablica drogową ustawioną przez Niemców w końcu września 1939 r., w rejonie szpitala. Pod tablicą autor książki oraz zdjęć fotograficznych.



Fot. 36



Fot. 37



Fot. 38

Fot. 36, 37, 38. Tak wyglądali żołnierze polskich jednostek opuszczonych przez dowództwo koło wsi Piotrowe Pole. Naradzają się grupkami co mają dalej robić ze sobą. (Zdjęcia pochodzą z archiwum prof. Jerzego Sułockiego i zostały wykonane w innych okolicznościach ale dobrze obrazują naszych żołnierzy po bitwie pod Ilżą).

Fot. 39. Grób majora WP Ludwika Karafy (1988 r.) zabitego podstępnie, wrzuconym do auta granatem, przez dywersantów. Zdarzenie miało miejsce koło wsi Kaplica. Major pochowany przez swego kierowcę oraz Stanisława Bimka, mieszkańca wsi Miłkowska Karczma, spoczywa do dziś na obrzeżu lasu.



Fot. 40. Stanisław Bimek, który pomagał pochować majora Karafę i przechowywał potem jego dokumenty.



Fot. 41. Figura Matki Boskiej z Chrystusem, przy szosie Iłża - Lubienia, ze śladem niemieckiej kuli na cokole. Ponieważ w tym rejonie nie toczono walk, zatem żołnierz niemiecki rozmyślnie strzelił do Matki Boskiej. Wywołało to ogromne wzburzenie ludności, która nabrała przekonania że Niemcy nie wierzą w Boga i są raczej wysłannikami diabła, a napis noszony na sprzączkach pasów „Gott mi uns”, co oznacza „Bóg z nami”, noszą tylko dla oszukania innych. Dalsze wydarzenia tylko ludzi upewniły że tak jest istotnie.



Fot. 42. Zhańbiona wieża. Kilka tygodni po bitwie, Niemcy wywiesili na iłżeckiej wieży zamkowej swoją hitlerowską chorągiew. Widok jej dopingował Polaków do walki o odzyskanie wolności, zbyt łatwo pod Iłżą utraconej. Nie jeden myślał nad tym jak tę szmatę usunąć. Nie było to jednak proste. Uczynił to iłżecki wiatr i deszcz. Po kilku miesiącach z chorągwi pozostały strzępy, które sami Niemcy usunęli.



Fot. 43. To samo zdjęcie z bliska.



Fot. 44. Gajówka Klepacze zamieszkała w 1939 r. przez gajowych Kazimierza Czaję i Józefa Ziobro. W gajówce tej na początku października 1939 r. kwaterował przez dwie doby oddział majora Henryka Dobrzańskiego - Hubala. Oddział prowadził ze sobą stadninę rasowych koni, ukrytych na okres postoju w lesie za gajówką. Oddział odmaszerował w nocy podczas ogromnej ulewy, która w dużym stopniu rozmyła ślady kopyt końskich, jakie oddział pozostawiał po sobie.



Fot. 45. W PRL nie wskazane było upamiętnianie walk Wojska Polskiego i dopiero po 40-tu latach społeczeństwo mogło postawić pomnik ku czci walecznych polskich żołnierzy, broniących Niemcom dostępu do Łży. Pomnik stoi w miejscu gdzie natarcie niemieckie zostało zatrzymane. W tle widoczne wzniesienie 246 (patrz szkic).

Pierwsze dni okupacji i pierwsze nieszczęścia

Z końcem września i początkiem października 1939 r. niemiecka administracja, która zapewne musiała być przez Niemców przygotowana do objęcia władzy jeszcze przed wybuchem wojny, działała już całkiem sprawnie. Na drogach pojawiły się niemieckie tablice informacyjne i drogowskazy. Został dokonany nowy podział administracyjny (Distrikt, Kreis, Gemeinde, czyli okręg, powiat, gmina). Na sklepach i urzędach pojawiły się napisy w języku niemieckim. Zakłady Starachowickie zostały przemianowane na Hermann Goering Werke, a byli pracownicy tych zakładów zostali wezwani do pracy. Także leśna administracja została podporządkowana nowym władzom. Głównym dyrektorem w dyrekcji leśnej w Radomiu został Niemiec o nazwisku Hauer a w Urzędzie Leśnym w Starachowicach Forstmeister Kleinert.

W miejscach publicznych rozlepiono obwieszczenia, zatytułowane "Bekanntmachung", w których informowano że wszelka broń, radioaparaty, pojazdy mechaniczne i różne inne rzeczy, muszą być przekazane władzom niemieckim oraz czego nie wolno jest Polakom robić. Obwieszczenia te redagowane były w języku niemieckim po jednej stronie i po drugiej w języku polskim, w takiej formie, że trudno się było nie śmiać czytając ten tekst. Kara za niewykonywanie niemieckich poleceń była tylko jedna, stosowana zresztą przez Niemców przez cały okres wojny, a która uświadamiała czytających jak wielką cenę ma wszelka nieostrożność.

Tylko nieliczne, głównie samotne, starsze osoby, podporządkowały się niemieckim zarządzeniom, odnosząc radioodbiorniki lub starą zabytkową broń.

W październiku 1939 r. Niemcy wyznaczyli specjalną jednostkę Wehrmachtu, skoszarowaną w budynkach Kolonii Urzędniczej w Starachowicach, do nadzoru lasu. Jednostka ta złożona była z Niemców w wieku głównie 30 do 40 lat, zmobilizowanych w związku z wojną.

Grupa żołnierzy tej jednostki zakwaterowała w leśniczówce Kutery i stąd wysyłała patrole w różnych kierunkach. Zadaniem tych patroli było wyszukiwanie porzuconej w lasach broni, zwalczanie kłusownictwa i kradzieży drewna. Niemcy nie znający lasu, idąc na patrol, zabierali ze sobą zwykle jednego z gajowych, jako przewodnika.

Podczas pewnego obchodu patrol niemiecki prowadzony przez gajowego Kazimierza Czaję wracał z rejonu Murowanki do Kuter przez Klepacze. Przechodząc koło gospodarstwa rodziny Listków Niemcy pomyśleli, że byłoby dobrze zaopatrzyć się w jajka lub. inne produkty potrzebne do sporządzenia kolacji. Było to jedyne gospodarstwo jakie mogli spotkać na trasie przemarszu. Wstąpili więc, a nie znając słowa po polsku, bez żadnych ceregieli udali się wprost do spiżarni. Tam, ku swemu zdumieniu, zobaczyli wiszącą na ścianie sarnią nogę, nawet nie obdartą ze skóry. Natychmiast podnieśli krzyk na przebywających w izbie dwóch młodych chłopców, ażeby oddali broń, z której zastrzelili sarnę. Z wrażenia chłopcy stracili głowy i poszli z Niemcami kilkadziesiąt kroków do lasu i wyciągnęli z igliwia, zupełnie nowy, radomskiej produkcji karabin. Razem z karabinem, sarnią nogą i chłopcami udali się Niemcy do Kuter. Przechodząc koło leśniczówki Klepacze wstąpili aby pokazać leśniczemu co im się trafiło. Ojciec

bardzo się zdenerwował tym wydarzeniem, zreferowanym mu przez gajowego Czaję, w mojej obecności. W tym czasie Niemcy stojąc starali się coś zrozumieć. Ojciec znając już tych Niemców, wiedział że nie znają zupełnie języka polskiego, i beształ chłopców za oddanie karabinu. Przecież mogliście się tłumaczyć że sarnę znaleźliście zabłą lub ranną. Teraz gdy oddaliście karabin grozi wam rozstrzelanie - mówił. "Nimce tak na nas krzyczą.... a my myśleliśmy, że jak oddamy karabin, to przestaną i wszystko będzie dobrze" - tłumaczyli się chłopcy. Niemcy, którzy już leśniczego znali od szeregu tygodni, widząc jego zdenerwowanie, poczuli że zrobili coś z czego leśniczy nie jest zadowolony. Zrozumieli swój błąd ale równocześnie nie mieli podstawy do zwolnienia chłopców. Każdy z nich musiał się także drugiego obawiać.

Dowódca Niemców Gefreiter Anton Braun z Ludwigshafen nad Renem, chcąc wyjść z impasu, trzymał chłopców przez wiele dni w Kuterach, wysyłając ich bez eskorty po drewno do lasu i dając im na każdym kroku możliwość ucieczki. Potem gdy nie uciekli, zmuszony był odstawić ich do bazy w Starachowicach. Tam nadal nie oddawano ich w ręce żandarmerii a używano do różnych posług, wysyłając między innymi po zakupy na targ, do Wierzbnika. Traktowanie to brali chłopcy za dobrą monetę, licząc na uwolnienie bez żadnych konsekwencji. Chociaż ojciec mój, przez matkę jednego z nich ostrzegał aby uciekali, gdyż Niemcy będą musieli przekazać ich w ręce żandarmerii i wtedy nie będzie ratunku, jakoś to nie przemawiało. Matka powiedziała - tak ich dobrze traktują, że na pewno ich zwolnią, a gdy uciekną to będą musieli się kryć. Niestety, nieznajomość niemieckiej mentalności przez ludzi doprowadziła do błędu i niepotrzebnej śmierci siedemnastoletniego Zygmunta Listka i dwudziestodwuletniego Stanisława Kaczora, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej ożenił się z siostrą Zygmunta. W grudniu 1939 r., na krótko przed Świętami Bożego Narodzenia, na tablicy przed budynkiem więziennym, tym samym który w 1943 r. opanował oddział A. Hedy "Szarego", wywieszono maszynopis z listą rozstrzelanych za różne przewinienia, Polaków. Lista zawierała, o ile pamiętam, 41 nazwisk, a dwa ostatnie były to Zygmunt Listek i Stanisław Kaczor. Na trzy gospodarstwa jakie były w Klepaczach, tj. Listków, Cymerysów i Góreckich pozostał tylko jeden mężczyzna, syn, Władysław Górecki. Na pozostałych, same kobiety musiały pracować i walczyć o byt. Chociaż potem w Klepaczach, przez cały okres 5 lat wojny, wszyscy na leśniczówce i na dwóch gajówkach w pełni zaangażowani byli w walce z okupantem, to wszyscy podświadomie czuli moralny obowiązek nie angażowania Władka Góreckiego w cokolwiek, co mogło być dla niego niebezpieczne. Władek i jego rodzina przeżyli szczęśliwie wojnę, chociaż nie można tego powiedzieć o rodzinach Góreckich zamieszkałych w Borze Kunowskim, które nie tylko Niemcy wymordowali ale zrobili to w bestialski sposób, paląc je żywcem. Będzie o tym mowa w dalszej treści.

Jeśli chodzi o polski personel leśny, to został on pozostawiony w spokoju przez pierwsze kilka tygodni. Gdy Niemcy się zadomowili, rozpoznali sytuację, postanowili uderzyć w polskie dotychczasowe kierownictwo, usuwając nadleśniczych. Główny nadleśniczy Józef Pierożyński, człowiek w starszym wieku, przyzwyczajony w życiu jedynie do administrowania i wydawania poleceń, gwałtowny z usposobienia i czasami przykry dla podwładnych, znalazł się obecnie w roli podwładnego. Nie mógł się z tym pogodzić. Doszło do pierwszych konfliktów między nim i Niemcami. Został aresztowany. Po kilku dniach powrócił do Marcul. Jednak potraktowanie go przez Niemców bardzo przeżył i po powrocie powiedział, że drugi raz już go Niemcy nie wezmą.

Po upływie kilku tygodni Niemcy ponowili próbę aresztowania nadleśniczego. Pierożyński stojąc w oknie na piętrze swej willi (obecnie zamienionej na hotel) zauważył wjeżdżających gestapowców. Natychmiast zażył truciznę i dotrzymał słowa. Gestapowcy weszli do pokoju i po stwierdzeniu jego zgonu odjechali.

Drugi nadleśniczy, Antoni Wyporek, kpt. rez. WP, który zainicjował działania na rzecz organizowania na terenie ilżecko-starachowickim Wojska Polskiego w konspiracji, został w porę ostrzeżony i uniknął aresztowania. Niestety, jakieś fatum spowodowało iż podczas ucieczki z synem Adamem na teren krakowski, obaj zostali przez Niemców zabici. Trzeci nadleśniczy, Wiesław Ungeheuer, też został aresztowany i spędził 5 lat w obozie koncentracyjnym.

Nadleśniczy Ungeheuer pracował przed wybuchem wojny w Murowańcu koło Radomska. Gdy tereny te przyłączono do tzw. Rzeszy, zaproponowano nadleśniczemu wpisanie się na listę reichsdeutschów. Chociaż, jak widać, miał kwalifikacje zostać Niemcem, nie skorzystał z okazji. Chcąc uchronić się przed dalszymi naciskami ze strony Niemców, przeniósł się do pracy w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. Niemcy jednak nie stracili go z oczu. Wiedząc że czuje się polskim patriotą podesłali mu dwóch konfidentów, udających Francuzów zbiegłych z niewoli. Powiedzieli nadleśniczemu, że uciekli z transportu kolejowego w Stykowie. Nadleśniczy, znający dobrze język francuski, ukrywał rzekomych zbiegów w swoim mieszkaniu w Marculach przez kilka dni, aż go aresztowano. Nadleśniczy straciłby niechybnie życie za to przestępstwo, gdyby nie nowy Forstmeister dr Hermann Meyer, który wykorzystując znajomości i wpływy we władzach niemieckich zdołał załatwić zamianę kary śmierci na obóz koncentracyjny. Nadleśniczy Ungeheuer spędził całą wojnę w Dachau. Po wojnie powrócił do kraju i nadal pracował w swym zawodzie. Należał do leśników o bardzo dużej wiedzy zawodowej, zdobytej na Politechnice Lwowskiej oraz w toku długoletniej pracy w leśnictwie.

Wśród pierwszych leśników którzy padli ofiarą Niemców już w 1939 r. był wielkiej miary patriota, Kazimierz Strużycki. Przez szereg lat Kazimierz Strużycki pracował w Biurze Nadleśnictwa w Marculach. Na początku 1939 r. przeniósł się do pracy w Biurze tartaku na Bugaju.

Gdy wybuchła wojna nie potrafił znieść spokojnie wieści o zbliżaniu się wojsk niemieckich. Był inwalidą (stracił nogę w nieszczęśliwym wypadku na polowaniu) ale równocześnie był znakomitym strzelcem. Zgłosił się więc do Urzędu Wojskowego w Starachowicach (tzw. Powiatowej Komendy Uzupełnień) z prośbą o przyjęcie go do wojska. Tłumaczył Komendantowi PKU, że chociaż nie ma nogi, to zupełnie dobrze może siedzieć w samochodzie pancernym lub czołgu, przy karabinie maszynowym. Prowadzony przez niego celny ogień na pewno przysporzy duże straty nieprzyjacielowi.

Komendant był bardzo wzruszony ofertą pana Kazimierza lecz nie mógł z niej skorzystać. Powiedział iż docenia jego patriotyzm ale w sytuacji gdy pełni zdrowia ochotnicy pchają się do wojska "drzwiami i oknami" jego odmowa ma całkowite uzasadnienie. Zawiedziony Pan Kazimierz zrezygnował z dalszych starań o przyjęcie do wojska, zwłaszcza że dwa dni potem był już bój pod Ilżą i sprawa stała się nieaktualna.

Nagłe pojawienie się wojsk niemieckich w rejonie Starachowic już w 6-tym dniu wojny, niefortunny przebieg wydarzeń w ostatniej fazie bitwy pod Ilżą i nieuzasadnione rozwiązanie przez dowództwo wielkich jednostek WP, których większość nie wzięła udziału w walkach, był szokiem dla naszego społeczeństwa. Szok ten zaczął stopniowo przemijać gdy uświadomiono sobie, że w lasach przebywa dużo żołnierzy szeregowych

i oficerów WP, którym należy pomóc w przetrwaniu. Będą oni mogli w przyszłości stać się zalążkiem do tworzenia wojska w nowych warunkach. O zaprzestaniu walki z Niemcami i pogodzeniu się z nowopowstałą sytuacją nikt nie myślał. W Starachowicach natychmiast zaczęły się tworzyć komitety dostarczające ukrywającym się żołnierzom ubrania cywilne i dokumenty. Gdy ta akcja się zakończyła był już październik. Pojawił się inny problem. Problem zdrajców, kolaborantów, volksdeutschów i innych szumowin. Okazało się że na terenie Starachowic znaleźli się tacy ludzie. Możliwe że niektórzy z nich byli już przed wojną wysłani do Polski w celach dywersyjno-szpiegowskich. Inni znów uwierzyli w potęgę i ostateczne zwycięstwo III-ej Rzeszy. Widok na ulicy Polaka, który jeszcze parę tygodni wcześniej deklarował swą polskość a teraz nosi w klapie marynarki znaczek ze swastyką lub czerwoną opaskę z takim samym znakiem, wywoływał uzasadnione oburzenie otoczenia polskiego.

Do Starachowic szybko dotarły rozkazy z Warszawy o potrzebie tworzenia polskich jednostek konspiracyjnych Wojska Polskiego pod nazwą "Służba Zwycięstwu Polski". Natychmiast do akcji tej przystąpili oficerowie i podoficerowie WP, którzy zdążyli się już przeobrazić w cywilów. Razem z nimi włączyli się do działania oficerowie i szeregowi rezerwy. Zaczęto tworzyć placówki złożone z pięcioosobowych sekcji. W trakcie tworzenia pierwszych oddziałów nazwa SZP uległa zmianie na ZWZ (Związek Walki Zbrojnej). Zaczęło się gromadzenie i zabezpieczanie broni. W lasach koło wsi Piotrowe Pole oraz Murowanki i Bekowin spotykało się mnóstwo młodych mężczyzn, którzy kijami lub bezpośrednio butami grzebali w ściółce leśnej, wydobywając spod liści granaty, ładownice, bagnety, łopatki, amunicję, a nawet karabiny. Wielu z nich prawdopodobnie ukryło broń jeszcze we wrześniu a teraz po prostu przybywało aby ją odnaleźć i zabrać.

Jednym z głównych organizatorów i dowódcą ZWZ na terenie iłżecko-starachowickim był nadleśniczy z Marcul, kpt. rez. Antoni Wyporek "Sęp". Tworząc zręby Wojska Polskiego w konspiracji oparł się przede wszystkim na ludziach których znał osobiście jako największych patriotów i ludzi zdecydowanych. Należeli do nich między innymi Kazimierz Strużycki i Wacław Nowicki, leśniczy w Starachowicach.

Gdy Franciszek Romanowski "Czarny" tworzył bojówkę, której zadaniem miała być likwidacja niemieckich konfidentów i kolaborantów w Starachowicach, powstał problem wyposażenia bojówki w krótką broń. Przyszedł im z pomocą Kazimierz Strużycki, wysyłając na Klepacze z listem polecającym do mego ojca. List był krótki, proszący o pomoc w sprawie, którą wyjaśni jego okaziciel. Kazimierz Strużycki był najbliższym i niezawodnym przyjacielem mego ojca. Także i mój ojciec nie mógł zawieść swego przyjaciela. Wezwał mnie do kancelarii gdzie wokół jego biurowego stołu siedziało czterech lub pięciu młodych mężczyzn. Wyglądali na młodych oficerów gdyż większość z nich miała na sobie spodnie i buty oficerskie, a do nich cywilne marynarki. Ojciec w obecności tych panów zreferował mi sprawę, prosząc abym panom powiedział jaką broń dysponuję. Powiedziałem im wtedy, że mam 3 karabiny maszynowe, 1 karabin przeciwpancerny, 1 granatnik i około 50 karabinów zwykłych. Wtedy jeden z przybyłych gości, robiący wrażenie że jest dowódcą, zapytał mnie ile mam ukrytej broni krótkiej. Powiedział do mnie tak: "dobrze mój chłopcze, że ukryłeś tyle tej broni. Trzymaj ją nadal. Na pewno będzie potrzebna. W tej chwili jednak potrzebujemy tylko broni krótkiej. Po ulicach Starachowic zaczynają spacerować Volksdeutsche, konfidenti i inne męty społeczne, współpracujące z Niemcami. Jak sam rozumiesz, musimy przystąpić do ich likwidacji. Do takich akcji nadaje się tylko broń krótka. "

Poczułem się zawiedziony, że zebrana przeze mnie broń jest niepotrzebna ale zrozumiałem intencje rozmówcy. Postanowiłem ujawnić fakt posiadania pistoletu, który trzymałem w tajemnicy przed ojcem, z myślą że z jego pomocą nie dopuszczę do aresztowania ojca przez Niemców gdyby w takim celu przybyli do mego domu. Do ujawnienia pistoletu zdopingował mnie fakt zagubienia sprężyny iglicznej, podczas któregoś z kolei rozbierania tej broni. Powiedziałem wtedy, że dysponuję pistoletem FN 7, 65 ale bez sprężyny iglicznej, która skoczyła mi w słomę i nie udało mi się jej odnaleźć. Mój rozmówca uśmiechnął się i powiedział że to fraszka. Sprężynę sobie dorobimy bez żadnego problemu.

Ojciec przysłuchując się naszej rozmowie powiedział że da zainteresowanym jeszcze swój pistolet, także FN 7, 65.

Ponieważ zapotrzebowanie na krótką broń było większe od "zasobów" przez nas posiadanych, zatem ojciec mój po przemyśleniu zaproponował przybyłym iż zbierze od gajowych ich służbowe pistolety typu "Nagant" i za dwa tygodnie będą do odebrania. Obiecał również porozmawiać z kolegami leśniczymi aby tych pistoletów zebrać jak najwięcej. A co powiemy w Starachowicach? Skąd mamy tyle pistoletów typu "Nagant"? - zapytał jeden z gości.

O to będziemy się martwić później. Zawsze się coś wymyśli - powiedział ten którego miałem za dowódcę. Po krótkim namyśle dodał - możemy na przykład powiedzieć że pistolety otrzymaliśmy od policji. (Policja także używała pistoletów typu "Nagant"). Na tym rozmowa się zakończyła.

Po tej rozmowie ojciec zaprosił do siebie najbliższych kolegów leśniczych: Henryka Gierycza, Zdzisława Leśniaka, Władysława Leśkiewicza i Stanisława Mączkę. Omówiono sprawę zebrania od gajowych ich służbowej broni. Za kilka dni miałem, oddane mi na przechowanie 17 szt. pistoletów "Nagant" i amunicję do nich. Po odbiór tej broni przyjechało tylko dwóch bojówkarzy i było to w połowie grudnia 1939 r.

Gdy w styczniu 1940 r. usłyszałem o zastrzeleniu zdrajcy Hajdukiewicza, za wydanie Niemcom dokumentacji nowoczesnego polskiego działu, pomyślałem sobie że być może zadziałał tu jeden z pistoletów niedawno przekazanych do Starachowic.

Czytając po latach opracowanie Stefana Robaka, który na podstawie relacji szeregu osób oraz uczestnika zamachu, Jana Krzyżanowskiego, ps. Sielski, opisał sprawę inż. Hajdukiewicza i przebieg zamachu na niego, znalazłem wzmiankę że Hajdukiewicz został zastrzelony z pistoletu typu "Nagant". Po przeczytaniu powyższego jestem przekonany iż był to jeden z pistoletów przekazanych przeze mnie. Nie jest też wykluczone, że rozmawiałem z samym Franciszkiem Romanowskim, ps. Czarny, który strzelał do Hajdukiewicza.

Po zastrzeleniu Hajdukiewicza nastąpiły masowe aresztowania w Starachowicach. Wśród aresztowanych znalazł się także Kazimierz Strużycki i razem z innymi został rozstrzelany. Pozostawił w Chybicach swą najbliższą rodzinę tj. rodziców i siostrę. Aresztowania objęły najbardziej patriotycznie nastawioną inteligencję. Listy osób do aresztowania Niemcy przygotowali wcześniej w oparciu o obserwację mieszkańców Starachowic.

Aresztowania te oraz rozstrzeliwania ludzi zupełnie niewinnych uświadamiały społeczeństwo że jak niebezpiecznym przeciwnikiem trzeba będzie walczyć. Wnioski ze spostrzeżeń wykorzystane zostały podczas tworzenia konspiracyjnych organizacji zbrojnych, rozwijając je przede wszystkim w środowiskach wiejskich, do których Niemcy nie mieli łatwego wejścia. Na wsiach wszyscy się znali od pradziada i wiadomo

było na kim można polegać. Każdy obcy był podejrzany i poddany obserwacji. W miastach takich warunków nie było, stąd też przez środowiska miejskie przeszło w czasie okupacji wiele masowych aresztowań i zginęło bardzo dużo ludzi. Jednym z przykładów takich aresztowań były przeprowadzone w Starachowicach 21 sierpnia 1943 r., kiedy to w jednym dniu aresztowano 232 osoby (patrz - sprawozdanie Sicherheitspolizei und SD w Radomiu z 29 listopada 1943 r. - załącznik nr 5). W ciągu 5-ciu lat wojny wywiad niemiecki bardzo się rozbudował i miał duże osiągnięcia. Działania wywiadu niemieckiego były. bardzo wielostronne. Wykorzystywano do tego celu ludzi sprzedajnych, politycznie nieświadomych, którzy służą każdemu kto ma władzę. Wykorzystywano volksdeutsche, którzy wychowani w polskim środowisku znali dobrze język i obyczaje. Wielu agentów niemieckiego wywiadu rekrutowało się z osób wysiedlonych wśród których łatwo było ich przemycić. Gdy w lasach pojawiły się oddziały partyzanckie, wysyłano do nich ludzi rzekomo zbiegłych z obozów jenieckich lub transportów, a w ostatniej fazie wojny wpuszczano całe grupy szpiegowskie pod pozorem iż szukają tu schronienia przed Niemcami ludzie zbiegli z niemieckiej niewoli. Oczywiście w tych grupach organizowanych przez Niemców tylko niektórzy byli szpiegami, reszta służyła do maskowania agentów wywiadu i z pewnością nie zdawała sobie z tego sprawy. Komendant oddziałów SS i policji dla dystryktu Radom, Obersturmbannführer Fritz Liphardt, pełniący swe obowiązki w Radomiu w latach 1943-1944, został odznaczony przez Himmlera za najlepiej zorganizowaną sieć wywiadowczą na terenie Rzeszy. O działalności niemieckiego wywiadu na terenie lasów starachowickich będzie wielokrotnie mowa w dalszej treści.

PIERWSI POLSCY LEŚNICY
Z LASÓW STARACHOWICKICH,
KTÓRZY STALI SIĘ OFIARAMI
NIEMIECKICH OKUPANTÓW



Fot. 46. U góry stoi (z założonymi rękami) nadleśniczy Antoni Wyporek „Sęp”, pierwszy organizator SZP-ZWZ na terenie starachowicko-iłżeckim, zamordowany wraz z synem na początku 1940 r. Niżej (po cywilnemu) główny nadleśniczy Józef Pierożyński, zmuszony do samobójstwa przez gestapowców.



Fot. 47. Kazimierz Strużycki, wielki patriota, współtwórca SZP-ZWZ na terenie Starachowic, zamordowany przez Niemców na początku 1940 roku.



Fot. 48
Nadleśniczy Wiesław Ungeheuer, który zajął miejsce nadleśniczego Józefa Pierożyńskiego został aresztowany i zesłany do Dachau, za ukrywanie w swoim mieszkaniu rzekomych zbiegów z niewoli monieckiej, a którzy w rzeczywistości byli agentami gestapo.



Fot. 49. Leśniczy Wacław Nowicki, zamieszkały w Starachowicach na Bugaju, współdziałający z Kazimierzem Strużyckim przy odbudowie polskich sił zbrojnych w konspiracji, zesłany przez Niemców do Oświęcimia i tam przez nich uśmiercony.



Fot. 50. Unikalne zdjęcie. Pierwsi organizatorzy SZP-ZWZ z terenu Łży podczas narady konspiracyjnej w leśniczówce Klepacze. Od lewej: Karol Męciwoda, Kazimierz Starowicz i leśniczy Marian Langer. Zdjęcie wykonał autor książki w kwietniu 1940 r. Karol Męciwoda i Kazimierz Starowicz zostali aresztowani w maju i w czerwcu 1940 r., rozstrzelani w Brzasku koło Skarżyska.



Fot. 51. Oddział drugiego rzutu armii niemieckiej, przeznaczony do nadzoru lasów. Nazywali siebie „Waldschütze” czyli „strzelcy leśni”. Trzeci stojący od prawej strony, Anton Braun, był dowódcą patrolu który aresztował pierwszych mieszkańców Klepacz, Listka i Kaczora. Niemcy ci, choć nie młodzi, na równi z młodymi zapatrzeni byli w swego „Führera”. Należeli do batalionu tzw. Landeschützenbatalion XVII/XII, przeznaczonego do ochrony lasów. (Akta sprawy Buchlera w Archiwum Gł. Kom. Bad. Zbrodni Hitlerowskich).

Niemieckie struktury policyjne i ich działalność

Główne dowództwo niemieckiej policji mieściło się w Krakowie przy siedzibie tzw. Generalnego Gubernatora, którym był mianowany przez Hitlera Hans Frank.

Głównemu Komendantowi Sipo (Sicherheitspolizei) i SD (Sicherheitsdienst) podlegali czterej komendanci Sipo i SD rozmieszczeni na terenie Generalnego Gubernatorstwa w czterech miastach, do których należały Kraków, Lwów, Lublin i Radom.

Komendantom rejonowym Sipo i SD podlegały ekspozytury (placówki zewnętrzne) SD, Gestapo, Policji Kryminalnej i Policji Granicznej, rozmieszczone w mniejszych miejscowościach.

Urząd komendanta policji i SD w Radomiu i innych miejscowościach, podzielony był od 1. 11. 1942 r. na następujące wydziały:

- wydział I-II - Administracja i prawo,
- wydział III - SD (Służba Bezpieczeństwa),
- wydział IV - Gestapo,
- wydział V - Policja kryminalna.

Wydział IV czyli Gestapo zajmował się różnymi tematami i stąd była potrzeba tworzenia referatów, oznaczonych literami A, B, C, D, N oraz W.

Poszczególne referaty były jeszcze dzielone na grupy: 1, 2, 3, itd.

Zajmę się tu tylko referatami, które bezpośrednio uderzały w podziemie zbrojne, a więc:

Referat IVA: (kierownik Paul Fuchs, z-ca Ernst Knauf)

1. Komunizm, marksizm, przestępstwa radiowe,
2. Obrona przed sabotażem, fałszerstwa, sprawy dotyczące broni i materiałów wybuchowych,
3. Reakcja, ruch oporu, propaganda, podstęp,
4. Służba ochrony,
5. Sprawy dotyczące okrętów.

Referat IVD: (kierownik Adolf Feucht, z-ca Erich Neumann)

Represje i wysiedlenia, sądy doraźne.

Referat IVN: (kierownik Paul Fuchs, z-ca Flath)

Referat ten został utworzony 1. 11. 1942 r. i służył do zbierania informacji za pomocą sieci konfidentów.

Tu była prowadzona kartoteka konfidentów współpracujących z Orpo (Ordnungspolizei) oraz Sipo (Sicherheitspolizei).

Funkcję komendanta policji i SD w Radomiu sprawował od jesieni 1939 r. do lata 1943 r. Obersturmbannführer Fritz Liphardt, a po nim aż do chwili wkroczenia wojsk radzieckich, Joachim Illmer. Szefem referatu do spraw ruchu oporu był od początku

wojny Paul Fuchs. Był to najbardziej niebezpieczny dla ruchu konspiracyjnego funkcjonariusz Gestapo w GG.

Paul Fuchs urodził się w 1908 r. Pracę w policji (kryminalnej) rozpoczął w 1932 r. We wrześniu 1939 r. znalazł się w tzw. Einsatzkommando 2/II, działającym pod dowództwem Liphardta. Z chwilą gdy Liphardt został komendantem policji i SD w Radomiu, mianował on Fuchsa kierownikiem referatu IIIC (ruch oporu), zmienionym 1. 11. 1942 r. na referat IV.

Dzięki sukcesom w pracy Fuchs bardzo umocnił swą pozycję w Gestapo i pracował nie zawsze licząc się ze swym szefem oraz władzami w Krakowie. Wiele spraw załatwiał bezpośrednio z RSHA (Reichssicherheitshauptamt) w Berlinie. Łączność z siecią konfidentów utrzymywał sam osobiście, kierując referatem IVN. Można w archiwum Gestapo znaleźć pisma z uwagami, iż aresztowane osoby Paul Fuchs zaleca uwolnić i w przyszłości nie interesować się tym co one robią. Widać z tego, że w przypadku aresztowań ludzi, listę aresztowanych przeglądał najpierw Fuchs i chronił przed dalszymi następstwami swoich konfidentów.

Przez okres okupacji, na terenie GG, funkcjonowały 3 rodzaje sądów. Były to: sądy specjalne (Sondergerichte), wojskowe, i policyjne sądy doraźne. Najbardziej krwawe były te ostatnie, składające się z 3 funkcjonariuszy odpowiedniego urzędu Sipo. Działały one na podstawie rozporządzenia gen. gubernatora z 31. 10. 1939 r. a następnie rozporządzenia z 2. 10. 1943 r. Procedura przewodu sądowego według obu rozporządzeń nie przewidywała śledztwa lub dowodów winy, nie mówiąc o możliwości obrony. Najczęstszą sentencją był wyrok śmierci. Wyrok stawał się prawomocny po ogłoszeniu.

Himmler nakazywał likwidację całych rodzin za udział jednego z członków rodziny w organizacji sabotażowej. Oberführer SS i płk. policji dr Walter Bierkamp monitował policję radomską iż "oszczędzanie żywiołów nacjonalistycznych musi we wszystkich wypadkach zostać zaniechane, a beczelna postawa ludności polskiej musi być tępiąca z całą bezwzględnością".

Dowodem na to że nie były to tylko słowa, jest wymordowanie mieszkańców leśnych wsi w obrębie lasów starachowickich, takich jak Gębice, Bór Kunowski, Dębowe Pole, Polesie, Margrabszczyzna, Zawały, Miłkowska Karczma, Piotrowe Pole, i innych. Wielu z nich spalono żywcem lub po wcześniejszym zastrzeleniu. Rzadko zajmowano się zabijaniem pojedynczych osób a mordowano zwykle całe rodziny.

Na wieś Gębice, pięknie położoną na grzbiecie góry, w południowej zatoce kryneckiego lasu, blisko Nietuliska, Niemcy aż trzykrotnie robili najazdy aż wymordowali wszystkich mieszkańców. Uratował się tylko jeden z nich Władysław Jeżewski, który podczas kopania w lesie dołu, w którym miał być wraz z innymi pogrzebany, pchnął nadzorującego żandarma, i w podziurawionym przez kule ubraniu, zdołał umknąć. Po przebiegnięciu w morderczym tempie około 3 km wypadł na pola koło stacji Kunów (Staw Kunowski) i padł zemdlony. Odnalazła go kobieta pracująca w pobliżu.

Nieliczne były przypadki, że ktoś dzięki przytomności umysłu, odwadze, i sprawności fizycznej, wymknął się śmierci.

We wsi Miłkowska Karczma pacyfikacja miała miejsce 23 czerwca 1944 r. W tym dniu kilku partyzantów AL szło wzdłuż wsi od strony północnej, poszukując w zagrodach elementów wyposażenia wojskowego, jakie tu i ówdzie można było jeszcze znaleźć. Gdy doszli do ósmej z rzędu zagrody, należącej do Józefa Listka, zatrzymali się nieco dłużej, widząc trzy dorosłe córki gospodarza. W tym czasie spostrzeżono, że

do wsi wjeżdżają od strony Ostrowca, dwie ciężarówki z żandarmerią. Była wtedy godzina 13-ta. Na wiadomość o tym partyzanci rzucili się do ucieczki. W pośpiechu zamiast uciekać w kierunku zachodnim do pobliskiego lasu, wybrali kierunek przeciwny, starając się po najkrótszej drodze zdążyć do swego oddziału. Z tego powodu musieli przebiegać w poprzek wiejską drogę, robiąc to na oczach żandarmów, a potem biec jeszcze około 250 m przez pola, do lasu w którym kwaterował oddział.

Żandarmi wyskoczyli z ciężarówek i rozpoczęli strzelaninę do uciekających, którym przyszli z pomocą, koledzy z lasu. Wywołało to większą wymianę ognia, w której Niemcy ponieśli straty. Widząc, że mają do czynienia z większą siłą, żandarmi wycofali się z walki. Powrócili w tym samym dniu w większej liczbie, około godz. 18-ej. Partyzantów już nie było.

Komendant żandarmerii kazał zebrać wszystkich mężczyzn z domów położonych w północnej części wsi. Wyznaczył 7 domów położonych w prawo od zabudowań Listka i 7 domów w lewo. Zabudowania te, łącznie z zabudowaniami Józefa Listka zostały spalone, ale wcześniej dokonano egzekucji ludzi.

Zebranych mężczyzn dzielono na dwie grupy. Do jednej odstawiano tych którzy mieli przy sobie dowody osobiste, a do drugiej tych którzy ich nie mieli. Nie uwzględniano prób dostarczenia dokumentów pozostawionych w mieszkaniu. Tych, którzy nie mieli przy sobie dokumentów, rozstrzelano.

W grupie przeznaczonej do rozstrzelania było 17 osób. Ustawiono ich trójkami w kolumnie. Ręce polecono im oprzeć o ramiona tych którzy stali przed, i w takim uporządkowaniu kazano im biec środkiem drogi w kierunku Ostrowca Św. Bokami biegli żandarmi z bagnetami na karabinach. Gdy ktoś z biegnących ludzi spytał "dokąd nas pędzicie?" jeden z żandarmów odpowiedział "do nieba".

W chwili gdy biegnąca kolumna osiągnęła miejsce zwane "babią górką", Niemcy dali rozkaz skrętu w lewo. Po przekroczeniu obrzeża drogi padła salwa i trzech pierwsi biegnący osunęli się na ziemię. Widząc to, biegnący w środku drugiej trójki, Władysław Bimek, osunął się na ziemię wcześniej zanim padła druga salwa. Podobnie uczynił Feliks Klepacz. Trzej inni, którym także udało się uratować, rzucili się natychmiast do ucieczki w pola. Dosięgnęły ich jednak kule żandarmów i zostali zabici. Władysław Bimek, udając początkowo zabitego, wyczołgał się w odpowiedniej chwili do zagrody stojącej w polu a potem pod zasłoną budynków zdołał przedostać się do lasu. Dalej już zabrakło mu sił i leżał słuchając strzałów, które Niemcy oddawali, dobijając swe ofiary.

Po tym wydarzeniu Niemcy wzmogli obserwację wsi i 19-go września 1944 r. dokonali ponownej pacyfikacji.

W chacie, stojącej wtedy przy gościńcu ostrowieckim od strony Kaplicy, na skraju lasu, Niemcy zastrzelili gospodarza Antoniego Bimka z żoną Franciszką oraz synem Janem Farysem. Zabudowania spalili. W miejscu tym, które obecnie porasta las, stoi stary drewniany krzyż, na którym ktoś zawiesił różaniec a u podnóża umieścił kwiaty. Obcy przechodzeń odgaduje że są to symptomy jakiegoś nieszczęścia lecz szczegółów nie odgadnie.

Gdybyśmy w tych okolicach upamiętnili wszystkie miejsca tragedii ludzkich krzyżami, to okolica przybrałaby podobieństwo jednego wielkiego cmentarza.

W tym samym dniu 19-go września Niemcy wymordowali rodzinę Władysława Płatka, mieszkającego w środku wsi. Morderstwa dokonali w wyrafinowany sposób, wiążąc łańcuchami jego z żoną Reginą w oborze i podpalając budynek. Razem z nimi spłonęła ich mała córeczka Jadzia, która zapewne tuliła się do nich w tym czasie. Dwóch

synków, 8-letniego Witusia i 11-letniego Leonka, Niemcy zastrzelili na środku podwórza.

Innego mieszkańca, 22-letniego Piotra Pałkę, zastrzelili Niemcy za to że jego brat był partyzantem. Konfident niemiecki, mieszkaniec wsi, został rozpoznany i nie uszedł kary. Zaprowadzono go na grób Piotra i tam go zastrzelono.

W dniu 23 listopada znów Niemcy zastrzelili mieszkańca wsi, 34-letniego Stanisława Raczyńskiego.

Wieś Miłkowską Karczma, zwana obecnie również Kolonią Miłkowską, poniosła pod koniec wojny dodatkowe straty. Samolot radziecki ostrzelał maszerujący oddział niemiecki, trafiając przypadkowo zapalającym pociskiem jeden z budynków wsi. Silny wiatr w tym dniu dopełnił zniszczenia. Spłonęło 20 gospodarstw.

Dwie wioski Zawały i Mołdawa, leżące blisko siebie na wschodnich peryferiach lasów starachowickich, zostały przez Niemców pacyfikowane w dniu 17 października 1943 r. W godzinach pomiędzy 5-tą i 8-ą rano Niemcy zamordowali tu 74 osoby, między którymi 39 osób spalono żywcem. Zabijano i palono całe rodziny. Patrząc na listę pomordowanych (załącznik nr 1) widać że ofiarami były nawet jednomiesięczne dzieci. Bestialstwo niemieckie było bezgraniczne. Ktoś widział jak podczas pacyfikacji wsi jeden z żandarmów posilał się kanapką. W pewnej chwili dostrzegł na podwórzu płaczące, małe dziecko. Przerwał na chwilę jedzenie, chwycił za nóżkę dziecko i cisnął je do wnętrza płonącej chaty. Potem przystąpił do dalszego jedzenia. Codzienne zabijanie ludzi doprowadziło żandarmów do zupełnego zwyrodnienia i zaniku jakichkolwiek uczuć ludzkich.

Zawały i Mołdawa stały się ofiarami niemieckiego podstępu. Do wsi tych Niemcy wysyłali swych ludzi udających polskich partyzantów, notujących sobie tych mieszkańców którzy udzielali im pomocy. Pseudopartyzanci rekrutowali się przypuszczalnie z kolonistów niemieckich, takich jak np. ze wsi Gozdawa koło Sienna. Byli to Niemcy mieszkający tu od czasów przedwojennych, znający dobrze polski język i obyczaje. Takich wsi jak Gozdawa było w tych okolicach więcej i jest udowodnione, że Niemcy z tych wsi uczestniczyli razem z żandarmerią w akcjach pacyfikacyjnych, między innymi w Borze Kunowskim.

Do bardzo aktywnych i niebezpiecznych dla Polaków należeli żandarmi stacjonujący w Iłży. Patrolowali okoliczne tereny interesując się wszystkim. Szczególnie dali się poznać z okrucieństwa i zjadłości do Polaków i Żydów dwaj żandarmi Batz i Ohder. Biada było Żydowi, który przechodząc koło Batza nie zdjął czapki. Batz potrafił całe grupy Żydów wpędzać do jeziora w okresie jesienno-zimowym i kąpać w lodowatej wodzie. Prowadząc do pracy kazał Żydom maszerować w zwartych oddziałach i śpiewać jakąś specjalnie dla nich ułożoną piosenkę, w której były słowa że "nasz, drogi Śmigły Rydz, nie nauczył nas nic, ale przyszedł Hitler złoty i nauczył nas roboty". Wielu Żydów zginęło z ręki Batza, do których strzelał przy lada okazji. Pospolicie wszyscy mówili, że żandarm nazywa się Bac lub Baca. Stąd znany przywódca żydowskich partyzantów w lasach starachowickich przyjął pseudonim "Baca" podkreślając że jest on żydowskim "Bacą" i będzie dla Niemców taki sam jak Batz był dla Żydów. Obiecywał sobie, że Batza dostanie w swe ręce. Tymczasem w dniu 6 lipca 1943 r. iłżeccy żandarmi zostali zaalarmowani iż w lesie małomierzyckim przebywa grupa uzbrojonych ludzi. Batz będąc przekonany że jest to grupa żydowskich partyzantów gdyż w tym okresie nie było tu jeszcze polskich oddziałów partyzanckich, wysforował się za bardzo do przodu i został zastrzelony serią karabinu maszynowego. Pozostali żandarmi, po

krótkiej wymianie ognia, zorientowali się że nie mają do czynienia z Żydami, i wycofali się z walki. Okazało się że w lesie przebywała grupa żołnierzy AK z oddziału Władysława Czerwonki "Jurka", podporządkowana potem "Ponuremu". Dwa miesiące później zginął Ohder. Zastrzelili go jego koledzy żandarmi, podczas sprawdzania wart nocą w majątku Prędocin.

Ohder był wcześniej komendantem żandarmerii w Siennie. Zastrzelił tam wielu polskich patriotów, między innymi dr-a Zygmunta Grzyba, Edwarda Walasa, rodziny Wojtasów, Zielińskich, Kretkowskich, i innych. W nocy 22/23 sierpnia 1943 r. spalił całą ulicę Bałtowską aż do rynku. Dwie konfidentki współpracujące z Ohderem zlikwidowali partyzanci "Szarego".

Iłżeccy żandarmi rozstrzeliwali ludzi najczęściej na cmentarzu żydowskim, tzw. kirkucie, położonym na wzgórzu po północnej stronie zamku. Represje na ludności nie ograniczały się tylko do aresztowań i rozstrzeliwań. Pewnego dnia żandarmi z Iłży urządzili w Marculach zasadzkę na handlarzy. Jak wiadomo ludność miast, podczas niemieckiej okupacji, bardzo głodowała. Przydziały marmolady, margaryny, cukru i chleba, nie wystarczały do normalnego wyżywienia. Wszyscy starali się o dodatkowe wyżywienie, zdobywane na wsiach. Kolejka leśna jeżdżąca po drewno przez lasy do rejonu Marcul, była dogodnym środkiem lokomocji dla mieszkańców Starachowic, udających się po żywność w okolice Iłży. Ludzie, po dokonaniu zakupów, zbierali się w Marculach obok pompy zasilającej parowozy w wodę, czekając na przybycie kolejki. Na takich ludzi żandarmi dokonywali najazdów, rabując kupione za ostatnie pieniądze artykuły żywnościowe i aresztując ludzi. Ofiarą takiego najazdu stał się między innymi mieszkaniec Starachowic Adam Radomski "Olsza", żołnierz plutonu łączności Iłżeckiego Pułku AK. Oczekiwał wraz z ludźmi na przybycie kolejki. Legitymowany przez żandarmów powiedział im, że jest maszynistą parowozu i oczekuje na przejęcie zmiany (był wcześniej maszynistą i miał jeszcze stare dokumenty). Dzięki sprytnemu tłumaczeniu się uniknął aresztowania. Innym ludziom trudniej się było wytłumaczyć i stawali się ofiarami rabunku i zsyłki na przymusowe roboty do Rzeszy.

Część żandarmów z Iłży straciła życie z rąk partyzantów "Szarego". Pistolet "Mauser 7, 65" po jednym z iłżeckich żandarmów, który bardzo mi się podobał, otrzymałem w prezencie od "Szarego". Nosilem go ze sobą na każdą akcję, jednak jesienią 1944 r. gdy byłem ranny, dałem go w użytkowanie st. sierżantowi "Wazonowi", szefowi zaopatrzenia w Iłżeckim Pułku AK "Potoka", nie odzyskując go już z powrotem.

Bardzo znamienym i zarazem makabrycznym dokumentem, obrazującym codzienną działalność żandarmerii niemieckiej, jest raport z wykonania egzekucji przez żandarmów z Lipska, pod dowództwem kpt. Schotta. Uzupełnieniem do tego raportu są zeznania Mateusza Kiragi, który zbiegł Niemcom w czasie wykonywania egzekucji, złożone przed Komisją do badania zbrodni hitlerowskich. Niemiecki dokument został odnaleziony przez pracownika MO w Krakowie Andrzeja Snopkowskiego, w postaci kalki maszynowej, z której udało się odczytać treść pisma. Wyrazy lub ich części, które były nieczytelne, zostały zastąpione kropkami. Z dokumentów tych widać jak skrupulatnie i dokładnie działała niemiecka machina mordowania polskiej ludności. Była to swoista księgowość, w której każdy zamordowany miał swoje miejsce, z podaniem szczegółów aby nie dopuścić do pomyłek. Robiono nawet szkice miejsc zakopania ofiar, załączane do akt. Dokumenty te (oprócz szkicu) przedstawione są na następnych stronach.

Raport szefa kompanii Schutzpolizei kpt. Schotta, z dnia 19. 4. 1942 r. (kompania stacjonowała w Lipsku, pow. iłżecki)

Res. - Pol. Komp. Leipzig. Ia-1534-Tbg. Nr. 21/42/g/Kielce 19. 4. 1942. Geheim.

An das Polizei-Regiment Radom. Betr. Exekution.

Bezug Verfuegung des Pol. Regim. Radom den. 14. 4. 1942-Ia-1534-Tgb. Nr. 177/42/g/. Die in der o. a. Verfuegung befohlen Exekution wurde am 18 April 1942 durchgefuehrt. Erschossen wurde nicht Kiraga Mateusz, geb. 13. 8. 1901 in Wólka Maziarska Kreis Ilza. Grupp. geflohen. In der Anlage werden 4 Niederschriften ueber die Exekution und 1 Skizze ueber den Ort der Vollstreckung vorgelegt.

*/Schott/ Hauptmann der Schutzpolizei utul
Kompanieschef*

Ten sam raport po przetłumaczeniu na język polski:

*Rezerwowa kompania policji. Lipsko. Ia-1534-Tbg. Nr. 21/42/g/Kielce 19. 4. 1942.
Tajne.*

Do pułku policji w Radomiu

Dotyczy egzekucji z polecenia pułku w Radomiu, z dn. 14. 4. 1942-Ia-1534-Tgb. Nr. 177/42/g.

Zarządzona tym pismem egzekucja została wykonana w dniu 18 kwietnia 1942 r. Nie został rozstrzelany Kiraga Mateusz, ur. 13. 8. 1901 r. w Wólce Maziarskiej, pow. lita, ponieważ uciekł.

W załączeniu 4 pisma na temat egzekucji oraz 1 szkic miejsca egzekucji.

/Schott/ Kapitan policji i szef kompanii

Tekst załącznika do raportu, w języku polskim:

Rezerwowa Kompania. Lipsko. Ia-1534-Kielce dn. 19. 4. 1942.

Załącznik na temat egzekucji.

Niżej podpisani zaświadcniają, że osoby według listy zostały w dniu 18. 4. 1942, o godz. 7⁰⁵, doprowadzone do lasu 2 km na północ od Baranowa i rozstrzelane. Obecny przy tym lekarz policyjny z Kielc, dr. Bunner, potwierdził ich śmierć.

Zostali pogrzebani:

- 1. Lipiso Adam, ur. 3. 4. 1916 w Nikolajew Russi.*
- 2. Ziętala Stefan, ur. 17. 1. 1923 r. w Siennie, pow. Iłża.*
- 3. Ostrowski Bolesław, ur. 18. 1. 1913 w Iłży.*
- 4. Fioluna Stanisława, ur. 29. 4. 1915 w Iłży.*
- 5. Pawelec Stanisław, ur. 9. 4. 1922 w lity.*
- 6. Pawelec Henryk, ur. 15. 7. 1915 w Iłży.*
- 7. Nowak Jan, ur. 17. 1. 1897 w Koszycach.*
- 8. Nowak Władysław, ur. 31. 1. 1919 w Swarszowicach, pow. Opatów.*
- 9. Adam, ur. 27. 7. 1929 w Swarszowicach, pow. Opatów.*

10. *Szymański Józef, ur. 24. 8. 1907 w Kowalkowie, pow. Iłża.*
11. *Mroczek Wacław, ur. 1916 w Wólce Maziarzkiej, pow. Iłża.*
12. *Woliński Jan-Józef, ur. 8. 9. 1924 w Kowalkowie, pow. Iłża.*
13. *Kuc Stefan, ur. 21. 1. 1902 w Kowalkowie, pow. Iłża.*
14. *Stroni..... eusz, ur. 29. 4. 1902 w Kowalkowie, pow. Iłża.*
15. *Ciołek Jan, ur. 20. 10. 1916(lub 1914) w Kowalkowie, pow. Iłża.*
16.
17. *No.....Bolesława, ur. 9. 8. 1922 w Kowalkowie, pow. Iłża.*
18. *Mazurek Władysław, ur. 16. 12. 1912 w Baranowie, pow. Iłża.*
- 19..... w Baranowie, pow. Iłża.
20. *Woliński Jan, ur. 19. 7. 1893..... pow. Iłża.*
21. *Mikołajczyk Stefan, ur. pow. Iłża.*
22. *Ziomba Bronisław, ur. 11. 6. 1914 w P. a. kow... pow. Iłża.*

*dr Bunner/lekarz kontraktowy/. /Schott/ kapitan
policji i szef kompanii*

Zeznanie niedoszłej ofiary egzekucji Mateusza Kiragi:

W ostatnich dniach lutego 1942 r. gestapo zabrało mnie z domu w nocy. Skutego w kajdany wywieziono mnie wraz z innymi do Iłży. Tu na komendzie gestapo ustawiono nas na korytarzu. Podszedł do nas komendant tutejszego posterunku Bätz. Trzymając w lewej ręce pistolet, prawą bił nas po twarzy. W Iłży przebywaliśmy w areszcie tydzień. Codziennie przy śledztwie byliśmy bici. Po tygodniu wywieziono nas do więzienia w Starachowicach. Tu obchodzono się z nami jeszcze gorzej. Z mojej celi wezwano na przesłuchanie Wacława Mrocza. Kiedy wrócił od razu padł na podłogę. Nie mogłem jut go poznać, mimo że był dobrym znajomym z wioski. Tak był zbity. Kiedy mnie wezwano na przesłuchanie kilku żandarmów stało obok pryczy. Na niej leżały dębowa pała i bat. Ten sam los co Mroczka spotkał mnie i innych. Tu w więzieniu siedziało bardzo dużo więźniów. Byli tacy których bardzo dobrze znałem i tacy których widziałem po raz pierwszy. Żandarmi często w nocy wywozili więźniów w nieznanym kierunku. Wszyscy zostali straceni.

Nad ranem dnia 18 kwietnia/było jeszcze ciemno/ gestapowcy pootwierali cele i wyprowadzili nas na korytarz według nazwisk odczytywanych z listy, razem 22 osoby. Ustawiono nas pod ścianą i zakuto w kajdany. Kuto nas po dwóch, jednego z drugim, ręka z ręką i noga z nogą. Potem wyprowadzono nas na dwór. Po jednej i drugiej stronie stali hitlerowcy w hełmach i wymierzonymi lufami. Skutym było bardzo ile wychodzić. Kopali nas i bili kolbami.

Kiedy już wszyscy znaleźliśmy się w samochodzie, wskoczyło do nas czterech hitlerowców z automatami. Tak opuściliśmy Starachowice. Wieziono nas przeważnie lasami. Kiedy już było widno /nasz i ten z żandarmami/ dwukrotnie się zatrzymywały. Hitlerowcy robili nam zdjęcia. Wszyscy musieliśmy patrzeć wprost na aparat fotograficzny. Wreszcie samochody zatrzymały się na skraju lasu. Wyrzucono nas do rowu, następnie parami tak jak byliśmy skuci, poprowadzono nas w las około 200 m od drogi. W lesie wykopane były dwa doły. Stanęliśmy od dołów w odległości około 50 m. Stąd doprowadzano każdą parę osobno do samego dołu. Musieliśmy klęknąć tyłem do

dołu. Żandarmi z pozycji stojącej strzelali nam w piersi. Po rozstrzelaniu każdej pary hitlerowiec dobijał niektórych w dole strzałami z pistoletu. Mnie doprowadzono wraz z Pawelcem, z którym byłem skuty. Byliśmy ostatnia dwójką. Jeden z żandarmów rozkuł nam ręce a potem nogi. Kiedy miałem wolne nogi i schylony żandarm nie zdążył się jeszcze rozprostować, pchnąłem go na ziemię i błyskawicznie skoczyłem w gęste, młode drzewa. Posypał się za mną grad pocisków. Uciekałem naprzód ile tylko miałem sił. Poczułem że jestem ranny w obojczyk po lewej stronie i w prawą nogę. Kula przeszła jej mięśnie.

Ranę obojczyka odczuwam do dziś, gdyż leczyłem się sam sposobem domowym, bo w czasie okupacji nie mogłem leczyć się w szpitalu. Hitlerowcy mogliby mnie ponownie złapać.

Żandarmi najpierw dobili Pawelca i udali się w kierunku mojej ucieczki, na poszukiwanie. Byłem już daleko w lesie i skryłem się na gęstym drzewie świerkowym. Siedząc na drzewie słyszałem ich mowę. Przechodzili tuż w pobliżu mojej kryjówki.

Na drzewie siedziałem od rana do wieczora. Zszedłem gdy było już zupełnie ciemno. Było to bardzo ciężkie dla mnie, ale jakoś musiałem się wydobyć z lasu. Do domu dotarłem dopiero po tygodniu.

Na przedmieściu Szydłowca napotkałem dobrego człowieka, który się mną zaopiekował. Dał mi czapkę i marynarkę. Poczułem się lepiej gdy zbliżałem się do mojej miejscowości. Tu znałem ludzi i wioski gdzie karmiono mnie i opiekowano się moimi ranami. Gdy wróciłem do swej wsi nie wstąpiłem do tony i dzieci. W rodzinnej wiosce Wólka Madziarska przebywałem u kuzynki, która była sekretna. Wiedziałem, że nie powie nikomu o moim powrocie. Dowiedziała się o tym tylko tona, a dzieci dopiero po dłuższym czasie. Leczyłem się tak jak mogłem i ukrywałem się przed hitlerowcami. Przeważnie w lesie. Hitlerowcy szukali mnie. Przyjeżdżali prawie codziennie o różnej porze dnia, a nawet w nocy. Bili moją żonę, pytając się o mnie. To się powtarzało często. Grozili, że spalą dom wraz z rodziną i zapowiadali żonie żeby się stawił u nich w komendzie. Ale żona zawsze odpowiadała, że dotychczas nie powróciłem do domu.

Na następnych stronach jest przedstawiony raport dzienny Komendanta policji i SS w Radomiu, opisujący krótko wydarzenia jakie miały miejsce w dystrykcie radomskim. Raporty takie były sporządzane codziennie. Przytoczony raport, przetłumaczony na język polski, znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym. W zastępstwie Illmera raport ten podpisany był przez Wandela, kierownika Gestapo w Radomiu. Inne tego rodzaju raporty są podpisywane przez Illmera.

W raporcie tym nazwy miejscowości są często zniekształcone, z powodu trudności w ich wymawianiu przez Niemców. Podobnie jest z nazwiskami i pseudonimami.

Należy zauważyć, że przy określaniu miejscowości Niemcy posługują się podawaniem dodatkowo szyfrowanych współrzędnych.

Używane w raporcie określenie V-osoba, a po niemiecku V-Persone, oznacza konfidenta.

W punkcie a/ "Ruchy band" informacje niemieckie są bardzo zagmatwane, a dane liczbowe odnośnie oddziałów leśnych, są zawyżone. Jest tu wzmianka o oddziale partyzanckim AL "Serce".

Nie udało mi się spotkać w jakiegokolwiek literaturze PRL informacji o oddziale AL "Serce". Na temat tego oddziału zapadło milczenie. Oddział taki istotnie był i

dwukrotnie miałem okazję spotkać się z nim bezpośrednio. Raz na drodze pomiędzy Kuterami i Marculami, a drugi raz podczas rabunku w mieszkaniu mego kuzyna Tadeusza Langer w Stanisławowie koło Pakosławia.

Okazało się po wojnie, że "Serce" był gestapowcem. Podobno był sądzony w Lublinie. O procesie wspomniała tylko jakaś ludowa gazeta.

Bardzo przesadzone są informacje o oddziale "Ośki", którego Niemcy nie traktują jako oddział BCh a jako oddział sowiecki. Informacja o tym, że oddział "Ośki" dysponuje dwoma lub trzema pojazdami opancerzonymi, jest zniekształconą informacją o tym że "Ośka" miał kilka pojazdów mechanicznych.

Ostatni punkt c/ omawia sprawę zgrupowania "Potoka" czyli "Iłżeckiego Pułku AK". Informacje w nim zawarte pochodzą od partyzantów wziętych do niewoli podczas walk prowadzonych w dniach 1 - 3. X. 1944, które Niemcy określili jako akcję "Wotan". Jeńcy podawali wiele informacji mylnych. Nazwisko Janusz Borkowski było fałszywym nazwiskiem. W rzeczywistości był to Janusz Marczyński, syn kierownika magazynów cukrowni w Ostrowcu, który chcąc uchronić rodziców, podawał nazwisko mylne, jak również swoje pochodzenie.

Przedstawiona historia powstania oddziału jest zmyślona, z nadzieją na lepsze potraktowanie żołnierzy partyzanckich za to że byli rzekomo ofiarami napaści ze strony AL.

W archiwum CAW nie wiadomo skąd mają to tłumaczenie niemieckiego raportu i gdzie znajduje się oryginał.

*Komendant policji i SS
na dystrykt radomski*

Radom, dn. 10 paźdz. 1944 r.

-Ic/KdS/

Dotyczy: codziennego meldunku wydarzeń.

I. Drobne oraz kryminalne napady: 27

II. Inne napady, gwałty, terror i wydarzenia szczególne:

Powiat Tomaszów:

7. 10.

Szczuki 2 km na połud. od Choczów o2/27/o28/ 4 uzbrojeni bandyci zrabowali u Volksdeutscha 2 konie wraz wozem.

8. 10.

Folwark Zurawia, 2 km na połudn. zachód od Biała o2/19/o27/ 25 uzbrojonych bandytów zrabowało 4 jałówki.

9. 10.

Zydamice o2/18/n 468/ 3 bandyci zastrzelili w polskim mieszkaniu Rosjanina i zrabowali mu pistolet.

9. 10

Karwice, 3 km na półn. zach. od Stuzna o2/56/o92/ pojawiła się banda jeźdźców w sile 60-70, która udała się w kierunku lasu Przysucha.

9. 10.

Walerianów o2/39/o 66/ pojawiło się 100 uzbr. bandytów, którzy w nocy otoczyli południową część Ossa i zrabowali tam żywność, udając się potem na Walerianów /meldunek pomocn. gminnego Ossa/.

10. 10.

Wólka Kulikowska, 3 km na połudn. od Lubocz o2/39/o 53/ pojawiła się banda uzbrojonych jeźdźców w ilości 200 osób /Niemcy, Polacy i Rosjanie/ udając się na Rzeczyce o2/35/n494/, wypytując się o placówki Wehrmachtu /meldunek dotychczas nie potwierdzony/.

5. 10.

Leśnictwo Grolowa Wola o2/38 /n 494/ został ujęty komendant obwodowy K. jego gospodyni oraz dwaj polscy gajowi przez Sipo.

4. 10.

Gajówka Trzewiatów, akcja poszukiwania zakopanych przedmiotów. Zostały zabezpieczone: 1 aparat radiowy, 4 aparaty telefoniczne, 2 szafy automatyczne, 160 szt. amunicji, 1 karabin, 1 mężczyzna zastrzelony podczas ucieczki.

Powiat Kielce:

9. 10.

Kielce, ol/24/o 158/ 1 Polak zastrzelony przez bandytę. Bandyta uciekł zabierając ze sobą rower.

10. 10.

Kielce, ol/24/o 158/ bandyci zrabowali w Kreisgenossenschaft 1 furę z 200l. wódki. Furę odnaleziono w Piotrkowie.

Powiat Piotrków:

7. 10.

Michałow, o2/62 /n 504/ 8 uzbr. bandytów zrabowało u Volksdutscha ubrania, gotówkę, 1 rower, 170 marek premiowych.

8. 10.

Cisowa, 92/61 /n 516/ 5 uzbrojonych bandytów zrabowało żołnierzowi pistolet z kaburą, płaszcz i czapkę.

8. 10.

Las koło Budy, 1 km na połudn. Prosznie 92/62 /n 517 znaleziono zastrzelonego Polaka z Warszawy.

Powiat Radomsko:

7. 10.

Folwark Maluczyce, 2 km na wsch. Dąbrowa 91/24 /n 594/ 20 uzbr. bandytów zrabowało 20 szt. bydła.

7. 10.

Dwór Mzurow 91/44 /n 619/ 20 uzbr. bandytów zrabowało 2 konie z wozem, 10 dz. żyta i inne rzeczy.

8. 10.

Żytno, 91/21 /n 581/ 2 uzbr. bandyci zrabowali u sekretarza gminnego akta kontyngentu.

Powiat Piotrków:

7. 10.

Władysławów, 6 km pół. zach. Piotrkowa 92/65 /n 516/ 2 uzbrojeni bandyci zrabowali u Volksd. bieliznę i ubrania, 2 pistolety, 1 opaskę, klejnoty i inne rzeczy codziennego użytku.

9. 10.

Piotrków 92/65 /n 516/ Obergefreiter Aufmesser został napadnięty przez 4 uzbr. bandytów, zrabowano mu MPi wraz z magazynkami.

I

Powiat Opatów:

6. 10.

Dwór Jeleniec, 1 km wsch. Kurzacze 12/79 /o 137/ utrzymuje się grupa 10 bandytów. Bandyci ci należą do rozbitej bandy AK "Potok", są nieuzbrojeni i mają się udać do domu.

Powiat Radom:

Nadleśnictwo Wawrzyszów, gm. Wolan o2/66/o 82/ uzbrojeni bandyci zrabowali 2 konie wraz z wozem, które po tym miały być oddane na polskiej policji Wieniawa.

III. Przy raportowanych napadach pod I. i II. zrabowano między innymi 10 koni, 8 szt. bydła, 29 szt. owiec, 9 świń, 38 dz. zboża, 80 kg masła.

IV. Inne:

Ujęto 24 osoby pod zarzutem przynależności do bandy, przez Orpo i Sipo. 9 osób skierowano do Arbeitsamtu.

V. Ruchy band:

Wg stwierdzonego meldunku V-osoby bandy AK są w rozwiązaniu. Mniej zagrożeni członkowie udają się do swych miejsc zamieszkania. Wyłącznie rdzenni bandyci, poszukiwani przez policję lub pochodzący z miejsc obsadzonych przez Sowietów, względnie z pasów przyfrontowych, pozostali dalej. Wiadomym jest że bandy "Szary" i "Maria" swoje oddziały już rozpuszczają. Pow. stoi w związku z dalszym meldunkiem V-osoby, że jakoby londyński rząd wydał tajny rozkaz, by oprócz rdzennych band rozpuścić AK. Banda "Maria" jest pod dowództwem "Dynamit" u.

8. 10. *przebywał w Stanisławowie 12/57/o 96/ w sile 120 ludzi. Również grupy B. Ch. "Andrzej", "Longin" i "Grab". Grupy te liczą około 300 ludzi i udały się na teren Pionek 12/53 /o 73/, gdzie ma nastąpić ich rozwiązanie. W najbliższych dniach oczekiwana jest radomska banda "Harnasz". Wymienione grupy przebywały w*

okolicach Końskich, Włoszczowy, Kielc, Jędrzejowa i Częstochowy, przebywając około 1000 km, będąc w ciągłych utarczkach z Niemcami. Banda B. Ch. "Grab", do której należy również grupa "Mamut", składa się z bandytów z okolic Kozienic. Banda AL "Serce" w sile 20 ludzi przebywa chwilowo w okolicach wsi Polany 12/71 /o 189/ prowadząc żywą działalność propagandową. Po akcji w dniu 6. 10. w terenie o2/89, 12/77 /o 134/135, panuje wśród band AL w okolicach Starachowic wielki bałagan. Grupy band próbują się znów złączyć. Na podstawie meldunku V-osoby przewidziana jest koncentracja band AL w terenach leśnych Rataje/Wykus o2/89, 12/77 /o 134/135/. Przypuszczalnie z tego miejsca są dokonywane różne akty sabotażu a wśród okolicznych miejscowości odbywa się rekrutacja młodzieży. Na koncentracji wezmą również udział bandy z Częstochowy i Kielc. Uderzającym jest to, że w ostatnich dniach i nocach ciągle odbywają się tu naloty, co wskazuje na wzmożoną akcję wywiadowczą. Pod Bronkowicami 11/11 /o 148/ znajduje się zrzutowisko dla PPR. Tu odbywają się zrzuty broni i spadochroniarzy. W dniu 20. 9. zrzucano tu MPi i Pak wraz z amunicją. Zaraportowano nam o grupach PPR w sile 20-30 ludzi w okolicy Klepacze 3 km od Kunowskiego Boru. Na podstawie zeznań jeńców polsko-sowiecka banda "Ośka", chwilowo przebywająca w lasach na półn. od Starachowic składa się z 600 ludzi. 280 Kałmuków i 320 Polaków. W związku z przedsięwzięciem w dniach 1-3. 10. banda opuściła teren Klepacze 3 km na północ od wsi Bór Kunowski. Obecne miejsce pobytu bandy jest nieustalone, ma jednak związek ze zmianą miejsca większej bandy terenu leśnego Zbijów-Trębowiec. Uzbrojenie bandy składa się 2-3 Pz wozów / przypuszczalnie wozy wywiadowcze /, 12 Pz karabinów, większej ilości rosyjskich MPi i granatników. Dowódca bandy "Ośka" ubrany w niemiecki uniform w stopniu kapitana. W terenie leśnym Sereczice stwierdzono na podstawie meldunku V-osoby nową bandę, która jest w kontakcie z dotychczas nieznaną bandą z okolic Starachowice-Tychów. Siła bandy wynosi 100 ludzi i należy przypuszczalnie do AK. Podczas ekspedycji w dn. 6 i 7. 10. pobito wg zeznań jeńców bandę AL "Kruk" i rosyjską grupę skoczków.

b/ Stwierdzenie nowych band:

W okolicy Mstyczow przebywa banda B. Ch. w sile 300 ludzi "Pazur". Podczas potyczki z inną bandą dowódca został kilka dni temu zastrzelony. O jego następcy jeszcze nic nie wiadomo.

Wg danych wywiadowczych, powieszenie 2 komunistów H Polak i 1 Polka/ w dniu 7. 10. w Unewll. wzgl. Grudzen /porównaj meldunek z dn. 8. 10. / dokonane zostało przez "PWW" /Polskie Władze Wojskowe/.

c/ Grupowanie znanych band:

Na podstawie zeznań jeńców znów organizuje się banda AK "Potok", która w dniach 1-3. 10. rozbita została w lasach starachowickich. Banda została zorganizowana z resztek AK-bandy "Wilk", która została rozbita przez AL-bandę "Brzoza". Pod koniec września została wzmocniona przez AK-bandę kpt. "Pawła" oraz przez rekrutację w Ostrowcu. Grupa "Potok" tworzy 1 kompanię, "Paweł" 2-gą, zastępcą "Potoka" jest por. "Fiedler", a "Pawła" sierżant "Grażyna". "Potok" jest w wieku 30-35 lat.

Banda ma w swym składzie 8 do 10 polskich oficerów, z których dwaj zostali zastrzeleni a dwaj ciężko ranni. Należy się liczyć również ze śmiercią " Pawła". Porucznik " Kwiatkowski" / w Warszawie znany pod pseudonimem " Kaktus V prawdziwe nazwisko Janusz Borkowski, został wzięty do niewoli. Uzbrojenie bandy: 10 do 12 ręcznych karabinów maszynowych, 50 pistoletów maszynowych, karabiny, 80 ludzi bez broni. Wyżywienie dostarczała okoliczna ludność. Banda była w kontakcie z dowódcą sowieckiej bandy " Ośka" oraz porucznikiem NKWD " Szaszka".

*Komendant policji i SS
na dystrykt radomski*

-Ic-

*Z poi. pod. Wandel
SS Sturmbannführer*

Powyższy dokument jest odpisem tłumaczenia oryginału niemieckiego, znajdującego się w Centralnym Archiwum Wojskowym (nr arch. 151/62/53). Ze względu na bardzo nieudolne tłumaczenie, zniekształcające treść, niektóre słowa lub fragmenty tekstu zostały poprawione.

Marian Langer

ŚWIADECTWA NIEMIECKICH ZBRODNI



Fot. 52. Drewniany krzyż, postawiony przez ludzi na miejscu gdzie stały zabudowania rodziny Antoniego Bimka we wsi Miłkowska Karczma. Wiszący na krzyżu różaniec a na dole kwiaty, mówią przechodniom że stało się tu nieszczęście. Miało ono miejsce w dniu 19 września 1944 r. Wybita została przez Niemców cała rodzina i spalona w ogniu płonących budynków.



Fot. 53. Pomnik wybudowany przez społeczeństwo na miejscu masowych rozstrzeliwań polskich patriotów w Brzasku pod Skarżyskiem. Tu zginęli pierwsi aresztowani z Ilży i Starachowic.



Fot. 54. Płyta z nazwiskami pierwszych organizatorów ZWZ w Ilży, rozstrzelanych przez Niemców w Brzasku pod Skarżyskiem.



Fot. 55. Małomierzycy. Tablica ku czci poległych z rąk okupanta niemieckiego.



Fot. 56. Jedna z trzech mogił mieszkańców wsi Gębice.

Anton Krüger

Od 1 maja 1940 r. obszar Lasów Starachowickich, na wschód od szosy Iłża - Lubienia, stał się państwowym terenem łowieckim Rządu Generalnego Gubernatora Franka. W związku z tym w 1940 r. w Marculach został zbudowany za 100 000 zł Dom Myśliwski, zwany po niemiecku Jagdhaus. Wewnątrz budynku mieściła się wielka sala, zwana Salą Myśliwską, kilka pomieszczeń hotelowych dla myśliwych oraz mieszkanie dla łowczego, Niemca, Antona Krügera.

Ze względu na to, że obecnie na polowania mogli tu przyjeżdżać dygnitarze III-ej Rzeszy, zatem hitlerowski Wydział Bezpieczeństwa musiał pomyśleć nad stworzeniem bezpiecznych warunków dla przybywających tu gości.

Już 14 grudnia 1940 r. przybyli tu na polowanie minister sprawiedliwości Rzeszy Gürtler, marszałek polny von Kluge, Obergruppenführer Hoefle, i inni dygnitarze. Jak widać goście nieprzeciętni. Z tych względów Niemcy osadzili w Marculach, na oficjalnym etacie łowczego, sprawdzonego pracownika Wydziału Bezpieczeństwa, który przed wybuchem wojny zatrudniony był na terenie Niemiec, w strefie przygranicznej Górnego Śląska, a więc mającego doświadczenie w działalności przeciw Polsce i Polakom.

Anton Krüger był w wieku około 40 lat. Ubierał się zwykle w mundur niemieckiego leśnika. Przy pasie dwa pistolety typu Vis, przypuszczalnie produkcji niemieckiej, z którymi się nigdy nie rozstawał.

Udając się do lasu zabierał sztucer z celownikiem optycznym. Gdy las stawał się bardziej niebezpieczny, wyjeżdżał z eskortą kilku gajowych, uzbrojonych w karabiny. Sam zabierał dodatkowo pistolet maszynowy Schmeisser wz. 41, spotykany tylko u gestapowców, i radziecki automatyczny dziesięciostrzałowy karabin, a woźnicy zawieszał na szyi dubeltówkę

Razem z nim mieszkała, w charakterze pomocy domowej, Polka, Wanda Maj, a gospodarstwem zajmował się wielkiego wzrostu i budowy ciała Antoni Klepacz z Jasieńca, nazywany przez Krügera po przyjacielsku Antonem.

Po przybyciu do Marcul Krüger czuł się bardzo nieswojo. Był nieufny i każdego podejrzewał o złe zamiary. Poznając stopniowo ludzi uspokajał się. Na pobliskich wsiach Pastwiskach i Jasieniec znalazł takich co mieli niemieckie pochodzenie lub byli filogermanami i wtedy poczuł się pewniej. Polscy gajowi też umieli zmylić jego czujność i stwarzać pozory, że Krüger może na nich polegać. Zajmując się obserwacją swego otoczenia i montując sieć donosicieli Krüger zajmował się także sprawami łowieckimi. Teren przylegający do Marcul, pomiędzy działkami 11 i 15 oraz leźniami F i D, zamienił w rezerwat do którego nie wolno było nikomu wchodzić, nawet polskiej Służbie Leśnej, pod groźbą zastrzelenia. Tu pod specjalną opieką gromadziły się zwierzęta dla Niemców, przybywających na indywidualne polowania. W stosunku do ludności zamieszkującej lasy i okolice, aby nie było niejasnych sytuacji, zarządził konfiskatę posiadanych rogów i skór dzikich zwierząt. Sołtysi musieli w swoich wioskach zebrać te przedmioty i dostarczyć do Krügera.

Na wiosnę 1940 r. Krüger poznał już na tyle polskich leśniczych i gajowych, że zdobył się na odwagę i wydał wszystkim broń. Były to stare strzelby, tzw. kurkówki, pozabierane przez Niemców z muzeów lub trzymane wcześniej przez ludzi jako pamiątki i oddane Niemcom w myśl zarządzeń okupacyjnych. Do tych strzelb dawał po 5 naboí ze śrutem nr 6, tj. o grubości około pół milimetra i nadającym się do polowań na drobne ptaki. Wielu gajowych postarało się o dodatkowe naboje odnajdując jeszcze przedwojenne zapasy, inni próbowali robić amunicję, a jeszcze inni wystrzelili przydzielone 5 naboí "na wiwat" i nosili strzelby w charakterze dekoracji. Na pytanie Krügera co zrobili z amunicją zawsze mogli odpowiedzieć, że strzelali do blakającego się psa i wszystko było w porządku.

Na tle tej sytuacji stracił życie pierwszy gajowy leśnictwa Klepacze Józef Ziobro, mieszkający w gajówce Klepacze.

Było to na wiosnę 1940 r. w okresie sadzenia lasu. Dzień był słoneczny i między białymi chmurkami uwijały się niemieckie samoloty, strzelające do ciągniętych worków. Tego dnia od godz. 10-ej rano dochodziły na Klepacze odgłosy strzałów karabinowych, z kierunku północno-wschodniego.

Ojciec mój, zobowiązany jak wszyscy leśnicy, do natychmiastowego meldowania do Krügera każdego strzału w lesie, uznał że zapewne są to ćwiczenia w strzelaniu, zorganizowane przez organizacje konspiracyjne i z tych względów nie zgłaszał meldunku. Około godz. 15-ej na leśniczówkę Klepacze przybiegł chłopiec z kartką od chorążego WP Cichosza, który zamelinowany przez ojca jako pracownik leśny, nadzorował pracę sadzenia lasu w rejonie gajówki Murowanką. Cichosz meldował, że w gajówce znajduje się czterech bandytów uzbrojonych w granaty i obcięte karabiny. Piją wódkę i gwałcą żonę gajowego Jana Głabisza, który na kilka dni wyjechał do Radomia.

Prawie równocześnie z przybyłym gońcem pojawili się na leśniczówce gajowi Józef Ziobro i Władysław Kalinowski. Ojciec z miejsca polecił gajowym aby pojechali rowerami na odległą 3 km gajówkę i sprawdzili co się tam dzieje. Powiedział, że informację do Cichosza przyniosła mała dziewczynka, której udało się wymknąć z gajówki. Należy się zatem liczyć, że informacja jest przesadzona przez wystraszoną dziewczynkę. Poza tym upłynęło od tego czasu już około dwóch godzin więc prawdopodobnie już tam nikogo nie ma, sprawdzić jednak trzeba.

Gajowi przybyli pod gajówkę, postawili pod płótem rowery, a następnie gajowy Kalinowski, z bronią gotową do strzału, wszedł do środka, natomiast Ziobro pozostał na dworze. Po otwarciu drzwi do wnętrza gajówki, Kalinowski ujrzał pełno ludzi leżących na podłodze. Wśród nich na nogach poruszała się tylko żona gajowego. Na pytanie Kalinowskiego, kto tu jest bandytą? - odpowiedziała że tu ich nie ma, ale jest ich dużo i niech pan ucieka bo pana zabiją. Otworzyła mu okno w pokoju aby miał którędy wyskoczyć. W tym czasie Kalinowski ujrzał oknem na podwórzu bandytę mierzącego z obciętego karabinu do Ziobra a Ziobra mierzącego ze swej jednolufowej strzelby do bandyty. Obaj znajdowali się od siebie kilka metrów i obaj krzyczeli " ręce do góry ". Kalinowski nie namyślając się strzela dwukrotnie przez okno do bandyty i ma oba niewypały (załadował wcześniej strzelbę własną amunicją). Łamie strzelbę by zmienić naboje, strzelba mu się zacina i jest nie do użytku. W tym czasie słyszy strzał i widzi jak Ziobro pada na wznak. Słysząc nawoływania bandytów " gdzie jest ten drugi " lecz Kalinowski nie czeka i ratuje się oknem. Podobnie jak niegdyś goniec spod Maratonu Kalinowski biegł na Klepacze. Rzucił, przy mnie, pod nogi ojcu swą złamaną strzelbę

wołając "coście mi dali, Ziobro zabity". Ojciec widząc powagę sytuacji, natychmiast podszedł do telefonu, meldując do nadleśnictwa o zaistniałej sytuacji. Bardzo szybko przybył rowerami z Lubieni oddział tzw. Forstschutzu, skoszarowanego w szkole w Lubieni, i razem z Kalinowskim pojechali na Murowankę, dziesięć minut za późno. Znaleźli zmasakrowane ciało gajowego Ziobro i jego połamaną strzelbę. Okazało się, że Ziobro straszył bandytę nienabitą strzelbą, gdyż od wielu dni nie miał do niej naboju. Tak stracił życie, odważny, były plutonowy WP, pierwszy gajowy leśnictwa Klepacz. Wyjaśniło się potem, że bandyci szli pijani wzdłuż gościńca ostrowieckiego od strony osady Kaplica i strzelali ze swych obciętych karabinów do przelatujących niemieckich samolotów. Potem będąc na Murowance, wszystkich przechodzących lub przejeżdżających ludzi zatrzymywali i kazali im leżeć w kuchni na podłodze. Ustalono w przyszłości tożsamość bandytów i ponieśli karę z rąk ludzi konspiracji.

Po tym wydarzeniu Krüger nabrał zaufania do polskiej Służby Leśnej i wydał na każde leśnictwo po trzy nowe radomskie karabiny oraz po 5 szt. naboju do każdego. Urządził także szkolenie, jak należy zatrzymywać i rewidować podejrzane osoby. Szkolenie takie przeprowadził w lesie koło leśniczówki w Klepaczach z udziałem Forstschutzów oraz gajowych.

Podczas tego szkolenia Krüger wyznaczył jednego z żołnierzy Forstschutzu jako osobę podejrzaną, która szła leśną drogą, a gajowemu Kalinowskiemu polecił podejrzanego zatrzymać i zrewidować. W czasie gdy Kalinowski rewidował Niemca, ten chciał się popisać przed swoimi kolegami i wyrwać Kalinowskiemu karabin. Kalinowski, plutonowy nadterminowy WP, mężczyzna dużego wzrostu, wysportowany, wychowany wśród warszawskich cwaniaków, przewidział taką możliwość. Błyskawicznie, ruchem nauczonym jeszcze w warunkach warszawskich, ściął Niemca z nóg. Niemiec upadł na plecy, na wystające w tym miejscu korzenie i bardzo to odczuł. Gdy wrócił do siebie, otrząpał się i chciał Kalinowskiego bić. Nie dopuścił do tego Krüger, wołając "gut, gut, gajowa dobrze zrobić, Kalinowska gut" i nie pozwolił Niemcowi zbliżyć się do Kalinowskiego. Wydarzenie było sensacyjne, gdyż był to jeszcze czas że Niemcy byli nietykalni, czuli się w pełni nadludźmi i uderzenie Niemca przez Polaka równało się ze śmiercią tego ostatniego.

Po wydarzeniu z gajowym Ziobro, Krüger pozabierał te stare strzelby i wydał w ich miejsce nowe, specjalnie dla Polaków wyprodukowane. Były to też strzelby kurkówki (rozwiązanie w tym okresie już nie produkowane), które miały duży rozrzut śrutu i były nieskuteczne na odległości większe niż 30 m. Po wydaniu lepszej broni grasowanie bandytów zanikło, tym bardziej że z bandytyzmem zaczęły walczyć także nowopowstałe organizacje zbrojne.

Lata 1940 i 1941 minęły dość spokojnie. Przez ten czas wszyscy zaabsorbowani byli tworzeniem, uzbrajaniem i przygotowaniem do rozprawy z Niemcami, poszczególnych jednostek konspiracyjnego wojska. Budowano magazyny uzbrojenia, podziemne schrony gdzie można było wygodnie broń oczyścić, nasmarować, tak aby była gotowa do natychmiastowego użytku.

W 1941 r. zrezygnowano z tej metody, rozdając broń pod opiekę poszczególnym członkom organizacji. Powodem były wpadki takich magazynów w ręce niemieckie, lub wzajemne wykradanie sobie broni przez inne jednostki konspiracyjne. Np. magazyn broni placówki ZWZ wsi Bór Kunowski został skradziony przez inną jednostkę ZWZ z obwodu opatowskiego. Skradziono wtedy 1 lub 2 ckm-y, 4 rkm-y i około 60

karabinów. Broni nie odzyskano ale w krótkim czasie okazało się że każdy żołnierz tej placówki postarał się o karabin, a wygospodarowano także dwa rkm-y.

Powracając do spraw egzystencji polskiej Służby Leśnej w warunkach niemieckiej okupacji, to w 1941 roku nastąpiło niewyjaśnione do dziś i niezrozumiałe zabójstwo gajowego Kazimierza Czaji, zamieszkałego w Klepaczach, w bliźniaczej gajówce z gajowym Ziobro. Został zastrzelony z ukrycia, podczas pełnienia swych obowiązków służbowych w lesie. Gajowy Kazimierz Czaja, ps. Dąb, był kapralem WP i znakomitym strzelcem. Już jesienią 1939 r. powierzono mu zorganizowanie drużyny tworzącej się SZP, do której zostałem przez niego przyjęty. Gdy go zapytałem jak nazywa się ta organizacja do której mnie werbuje, odpowiedział że ma jakąś dziwną nazwę. Jakaś Służba....., ale to nie jest ważne. Jest to poprostu odbudowywane w konspiracji Wojsko Polskie. Po chwili przypomniał sobie pełną nazwę organizacji ale zaraz dodał - podobno ta nazwa już się zmienia i będzie się nazywać Związek Walki Zbrojnej. Do mnie powiedział, że jestem duży chłop i dobrze strzelam, zatem chociaż nie mam jeszcze ukończonych 16 lat, przyjmuje mnie do swej drużyny. Poleciał mi skompletować dla siebie karabin, bagnet, łopatkę, ładownice, chlebak, hełm, granaty, no i amunicję. Jeśli masz możliwość to i plecak, a także menażkę i manierkę. Miałem tylko kłopot z hełmem. Poszedłem w okolice Murowanki, gdzie leżało w lesie mnóstwo hełmów, i przymierzałem kolejno. Okazało się że wszystkie były dla mnie za małe. Produkowano tylko trzy wielkości. W końcu zdecydowałem się na jeden. Usunąłem z niego połowę poduszek i hełm jakoś na głowę założyłem.

W dalszej kolejności mój drużynowy nauczył mnie rozbierać i składać polski rkm wz. 28, czyli Browning. Pokazał mi jak wymieniać szybko iglicę, podczas prowadzenia ognia. Jak regulować tzw. rurę gazową, aby karabin strzelał ogniem ciągłym, itd.

Już w lutym 1940 r. zostało zarządzone "ostre pogotowie". Spodziewano się że wiosną ruszą na Niemców Francuzi... no i trzeba będzie im z drugiej strony pomóc. Wydarzenia potoczyły się całkiem odwrotnie. To Niemcy uderzyli na Francję i gdy byli już pod Paryżem "ostre pogotowie" odwołano. Można się było oddalać od swego miejsca zamieszkania, a broń i oporządzenie zakonserwować, i schować głębiej.

Wszyscy bardzo odczuli śmierć gajowego Czaji. Był ogólnie lubiany i ceniony i nikt nie mógł zrozumieć jak mogło dojść do jego śmierci. Był "prawą ręką" leśniczego i liczącym się uczestnikiem odbudowywanego Wojska Polskiego. Jego syn Adam oraz córka Janina, chociaż jeszcze bardzo młodzi, po śmierci ojca pomagali w łączności konspiracyjnej oraz wyszukiwaniu leżącej jeszcze w ściółce leśnej, broni. Panowała opinia, nie pozbawiona podstaw, że przyczyną zastrzelenia Czaji było wcześniejsze zastrzelenie, dla żartu psa, którego właściciel bardzo polubił. Nie darował mu tego czynu i zemścił się. Czaja lubił żartować i robić kawały. W tym przypadku nie przewidział skutków jakie on przyniesie.

Krüger miał przez pierwsze dwa lata dość spokojne życie. Zajmował się sprawami hodowli leśnej zwierzyny a przy okazji od czasu do czasu kogoś zastrzelił. Gdy dowiedział się że jest ktoś kto ma broń i poluje, potrafił ściągać całe oddziały wojska lub żandarmerii, by na ich czele szukać i zabijać kłusowników wraz z rodzinami.

Pewnego dnia przez Klepacze powracała taka jednostka na czele z Krügerem. Byli aż pod Kunowem. Jeden z żołnierzy niemieckich, młody chłopak, opowiadał pijąc wodę przy studni jakie miał przejście. Otóż gdy Niemcy przybyli do zagrody kłusownika, nie zastali go w domu. Zaczęli go szukać w lesie, w rejonie zabudowań. Żołnierz, który opowiadał zdarzenie, wypuścił się samotnie jakąś drożyną w głąb lasu. Gdy uszedł około

200 m, ktoś mu z tyłu przystawił pistolet do głowy i powiedział "Hände hoch". Niemiec podnosząc ręce do góry usłyszał suchy trzask iglicy. Zrozumiał że przeciwnikowi nie wystrzelił nabój. Gdy tamten repetował broń, Niemiec sięgnął po swój w otwartej kaburze i był szybszy. Kłusownik stracił życie ale Niemiec pokazywał dołek na skroni, który mu kłusownik zrobił uderzając lufą pistoletu. Można powiedzieć że napis na sprzączce niemieckiego pasa odpowiadał w tym przypadku prawdzie.

Latem 1942 r. względnie spokojną egzystencję Krügera zakłóciły wydarzenia, których z pewnością nie przewidywał. W lasach pojawiły się uzbrojone grupy Żydów, którzy zamiast jechać, jak Niemcy chcieli, do obozów zagłady umknęli z gett Iłży, Starachowic, Ostrowca, i innych miast, do lasu, łącząc się w większą grupę pod dowództwem Chyla Brawermana.

Chyl Brawerman był synem właściciela pieców do wypalania wapna przy szosie pod Iłżą. Według jego słów odbywał on służbę w Wojsku Polskim i miał stopień kaprała. Był w wieku około 35 lat, raczej 'małego wzrostu, krępy, z charakteru rzutki i energiczny. Lubił dużo mówić, szczególnie o tym jak to teraz Niemcy boją się wejść do lasu i jak zamierza rozprawić się z żandarmami w Iłży. Bardzo marzył o tym aby dostać w swe ręce żandarma o nazwisku Batz, zwanego pospolicie Bacą, o którego zachowaniu była już mowa w poprzednim rozdziale. Batz został jednak zabity w starciu z żołnierzami AK, Władysława Czerwonki, z którymi przebywał wtedy Czesław Chrząszcz "Żak" ze Starachowic, i podobno on Batza zastrzelił. Nosił on potem Parabellum Batza.

W grupie liczącej około 100 ludzi miał Brawerman również całe rodziny żydowskie. Zdolnych do walki, młodych ludzi, nie było u Brawermana więcej niż 40-tu. Brakowało im broni. Za pieniądze kupowali od ludzi stare, zniszczone karabiny, do których mieli mało amunicji. Kiedyś przyszedł Brawerman na leśniczówkę z eskortą trzech ludzi i zauważyłem że rosły chłopak nosił na sznurku stary karabin, nie oczyszczony z rdzy, z otwartym i odsuniętym do dołu zamkiem, a w podajniku zamiast naboju widać było nie usunięte liście i igły ze ściółki leśnej. Przecież siedząc beczynnym w krzakach miał dość czasu aby tę broń oczyścić i dziwne było, że Brawerman takie rzeczy tolerował.

W 1942 r. trudno już było kupić dobrą broń. Były w tym czasie zorganizowane i okrzeple oddziały ZWZ lub BCh, które uratowaną przed Niemcami broń przejęły w swe ręce, nie po to by się jej pozbywać. Brawermana jednak wspomagała PPR z Radomia. Dowodem tego było otrzymanie 1 egz. gazety "Sierp i Młot", którą dawał do czytania za zwrotem, aby potem dać następnemu. Gazeta była dość dużego formatu z wyszpilkowanym i odbitym na powielaczu sierpem i młotem, umieszczonym po lewej stronie tytułu. Gazetę tę dał Brawerman do czytania gajowemu Tomczykowi, a ten mi ją pokazał, pytając mnie co to za pismo. Były w niej rozmaite, obrzydliwe oszczerstwa pod adresem naszego Rządu w Londynie i rozmaite, pisane wstrętnym językiem, kalumnie na nasze wojsko w kraju i za granicą. Wy tłumaczyłem Tomczykowi co to za gazeta i na tym się skończyło. Gazeta była wyświechtana od wielokrotnego użycia. Poza gazetą otrzymał Brawerman od radomskiej PPR jeden pistolet "Vis", złożony z wykradzionych części, z fabryki w Radomiu. Nie był jeszcze poczerniony i brakowało mu muszki, którą mu obiecano dostarczyć w późniejszym terminie. Obiecano mu również więcej "Visów" i powiedział że jeden będzie dla mnie, ale do tej dostawy nie doszło.

Brawerman poczynił sobie dość odważnie jak na możliwości swego oddziału. Najpierw rozbroił posterunek policji granatowej w Mircu. Jak twierdził por. Teofil Tomczyk, oficer KRIPO w Starachowicach a w konspiracji Komendant Korpusu

Bezpieczeństwa, polecił on policji granatowej w Mircu, aby się dała Brawermanowi bez walki rozbroić. Brawerman bardzo się cieszył zdobyciem kilku karabinów Steyer, wprowadzie jeszcze z I-ej wojny światowej ale utrzymanych w dobrym stanie. Miał do nich mało amunicji, gdyż Niemcy nie mając zaufania do polskiej policji przydzielali po 20 naboju na karabin.

Drugim wyczynem Brawermana było zrobienie wypadu w biały dzień do majątku Sienieńska Wola, gdzie zdobył sporo żywności. Niemiec zarządzający majątkiem wyjechał tego dnia do Sienna i tym sposobem ocalał. Brawerman zabrał tylko z jego mieszkania broń myśliwską z amunicją.

Następny i ostatni wypad zrobił na tartak i młyn Moniki Sobczakowej, Reichsdeutschki, która miała swa posiadłość koło stacji Kunów (Staw Kunowski), pod lasem. Jej także nie zastano w domu. Wyjechała tego dnia do Ostrowca Świętokrzyskiego. Po zabraniu pasów skórzanych do napędu maszyn i zniszczeniu urządzeń, oddział Brawermana wycofał się do lasu. Sobczakowa, bardzo energiczna kobieta i do tego choleryk (rzadka cecha u kobiet) wpadła w furję gdy po powrocie do domu zastała majątek zdemolowany. Natychmiast pojechała ponownie do Ostrowca aby w Gestapo zrobić awanturę za to, że niemieckie władze bezpieczeństwa nic nie robią aby chronić swych rodaków i dopuszczają do istnienia band, do tego żydowskich. Zagroziła że jeśli władze policyjne nie zabiorą się natychmiast do roboty, to ona potrafi w tej sprawie do samego Hitlera dotrzeć. Oczywiście pracę Gestapo na terenie lasów wykonywał Krüger. Zbierał wszelkie informacje by ustalić miejsce pobytu Żydów, jaka jest ich ilość i uzbrojenie. Tymczasem Brawerman, po krótkim pobycie na terenie nieczynnej kopalni przy drodze Klepacz-Kutery, zapadł w rejonie leśniczówki Klepacz w gęstwinie jodłowej, zakładając tam obóz, który przetrwał od lipca do początku listopada 1942 r.

Po przybyciu do rejonu Klepacz natychmiast nawiązał kontakt z leśniczym Marianem Langerem, którego dobrze znał już przed wojną, zaopatrując się tu w karpinę (pnie sosnowych drzew) potrzebną mu do wypalania wapna. Ojciec, wiedząc że Żydzi nie mają predestynacji do życia w warunkach leśno-partyzanckich, pouczył Brawermana na czym polegają niebezpieczeństwa związane z ich pobytem tutaj i jak należy się zachowywać.

Przede wszystkim zakazał im palenia ognia w dzień i opuszczania w tym czasie obozu. Nie wolno im nikomu zdradzać miejsca pobytu. Wyjścia z obozu we wszelkich sprawach mogą mieć miejsce jedynie nocą. Prowiant w postaci kaszy, mąki, soli, i innych materiałów nie znoszących wilgoci, złożony został w spichlerzu na leśniczówce i codziennie wieczorem dwóch, stale tych samych ludzi, przychodziło pobierać potrzebną porcję. Później podobną bazę zaopatrzeniową założył Brawerman również u rodziny Góreckich, mieszkających na skraju gęstwin jodłowych, w których był obóz. Gajowy Tomczyk, do którego należał okręg leśny a w nim obóz Brawermana, został przez ojca pouczony, aby starał się chronić miejsce pobytu Żydów przed ujawnieniem go. Kazał mu wszelkie prace w tej okolicy przerwać i przerzucić robotników do rejonów bardziej odległych. Polecił mu aby często patrolował rejon obozu zwracając uwagę na to, czy ktoś obcy przez ten rejon nie przechodzi i czy Żydzi przestrzegają udzielonych wskazówek i nie wychodzą w dzień poza teren obozu lub nie palą ognia. Wstrzymał równocześnie sprzedaż drewna zalegającego w tej okolicy. Należy przyznać, że Brawerman potrafił zapanować nad porządkiem w obozie i utrzymaniem potrzebnej dyscypliny. Pod koniec pobytu w Klepaczach PPR z Radomia przysłała Brawermanowi

Stanisława Olczyka, ps. Garbaty, z małą grupką partyzancką GL, złożoną z partyzantów narodowości żydowskiej i od tej chwili "Garbaty" objął dowództwo a Bawerman został jego zastępcą. Do oddziału dołączył teraz jeszcze jeden Polak, Władysław Łodej, mieszkaniec wsi Przymiarki koło Lubieni. Łodej pracował trochę w lasach, a potem w Starachowicach i tam popadł w konflikt z Niemcami. W rezultacie musiał się ukrywać. We wsi na gospodarstwie mieszkała jego żona z trojgiem dzieci i dziadkiem. Łodej wpadał dorywczo do domu aby się zobaczyć z rodziną, pomóc trochę w gospodarstwie, a ukrywając się w lesie starał się upolować coś dla rodziny. Obecnie po dołączeniu do "Garbatego" poczuł się bezpieczniejszy i chyba dla własnej wygody przekonał Bawermana i Olczyka aby przenieśli obóz na teren bagna Klamocha, w lesie przylegającym do wsi Przymiarki. Wmówił im, że są tam takie grzęzawiska iż żaden Niemiec się tam nie dostanie, a jeśli któremu się to uda to go zastrzelą. Miejsce wyjątkowo bezpieczne.

Bawermanowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Na początku listopada obóz przeniesiono. Bawerman uważał, że tam będzie mógł ze swoimi ludźmi bezpiecznie przetrwać zimę. Łodej także był zadowolony, gdyż do domu miał tylko 1500 m i mógł teraz praktycznie przebywać w domu, chroniąc się w razie niebezpieczeństwa do obozu.

Po przeniesieniu obozu żydowskiego na Klamochę Bawerman uznał, że teraz może Niemców lekceważyć. W tym mniemaniu podtrzymywał go niewątpliwie również Łodej. Przestano przestrzegać wskazówek udzielonych mu wcześniej przez mego ojca. Żydówki w dzień urządzały sobie spacery na pobliskie wsie Przymiarki, Lubienię i Budy Brodzkie. Handlowano. Wkrótce też wszyscy dokoła wiedzieli, że na Klamosze znajduje się żydowski obóz.

Tymczasem Krüger zbierał informacje i szykował się do rozprawy. Zaczekał do czasu nastania mrozów. Gdy przez szereg dni trwały wielostopniowe mrozy, w dniu 6 grudnia 1942 r. przeprowadził akcję.

Nadleśniczy, wysiedlony z Poznania naukowiec, dr Leon Mroczkiewicz, zdobył informację o planie Krügera i telefonicznie dał znać do mojego ojca, umówionym szyfrem. Ojciec przez zaufanego człowieka, członka ZWZ, zamieszkałego w Budach Brodzkich blisko Klamochy, Jana Baśkiewicza ps. Brzoza, przekazał Bawermanowi wiadomość o obławie. Bawerman przyjął wiadomość w sposób niepoważny. Starał się żartować i okazywać lekceważenie niemieckich zamiarów. Pytał się głupawo, a ile będzie Niemców, a jak będą uzbrojeni, itp. Jak się potem okazało, Bawerman zlekceważył ostrzeżenie. Tymczasem Krüger załatwił sprowadzenie większych jednostek żandarmerii i razem z Forstschutzem otoczyli Klamochę od strony lasu. Równocześnie nic nie informując w jakim celu, zrobił zbiórkę polskiej Służby Leśnej w Lubieni i poprowadził gajowych i leśniczych na pola bliżej lasu, rozstawiając ich w tyralierze. Nie wierząc Polakom wykorzystał ich w charakterze straszaka dla tych partyzantów, którzy ewentualnie chcieliby uciekać w pola. Z tych powodów tyralierę rozmieścił w takiej odległości od lasu, aby nie można było rozpoznać z lasu kto to jest, Niemcy czy Polacy. Oczywiście ucieczka w pola nie dawała partyzantom żadnych szans. Pola były pokryte dość grubą warstwą śniegu, a widoczność na nich sięgała kilku kilometrów. Drogę ucieczki w tym kierunku przecinała szosa, którą natychmiast uciekającym Niemcy byli w stanie zająć.

Polacy, gdy ich Krüger rozprowadził na polach i kazał stać frontem do lasu, to chociaż nie kazał im do nikogo strzelać, zorientowali się co się dzieje i poczuli się w

kłopotliwej sytuacji. Co mogli na to poradzić. Po dwugodzinnym staniu Krüger polecił im wracać do pracy, czyli był to koniec akcji.

Podczas jej trwania dochodziły odgłosy strzelaniny z broni ręcznej i od czasu do czasu maszynowej. Pewien żandarm stojący we wsi Budy Brodzkie, kilkadziesiąt metrów od lasu, został trafiony kulą w hełm, który spadł mu z głowy. Niemcowi się jednak nic nie stało.

Olczyk, Brawerman, Łodej, i wielu innych, przebiło się przez linie niemieckie od strony wschodniej, gdzie pilnowali Forstschatze, rozpraszając się po lasach. Brawerman z paroma ludźmi dotarł na leśniczówkę Klepacze. Opatrzono mu tu ranną rękę i zaopatrzono w żywność. Straty niemieckie w tej walce nie są znane. Widziano jedynie w Ku terach jak Niemcy ładowali do ciężarówki kilku zabitych żandarmów. W Kuterach też zgromadzono zabitych Żydów. Było ich 46. Wszystkich pochowano we wspólnym grobie. Część Żydów dostała się do niewoli i została odstawiona do getta.

Niemcy, wiedząc że część Żydów przedostała się przez ich kordony i poszła w lasy, przez następne dni patrolowali leśne tereny, poszukując zbiegów. Specjalna, zmotoryzowana jednostka żandarmerii, zakwaterowała na plebanii w Ilży i zajmowała się tymi sprawami. Oczywiście Krüger zlecił żandarmom zlikwidowanie rodziny Łodeja, gdyż sam Łodej był nadal nieuchwytny. Pojechało ich pięciu samochodem osobowym i w drodze, ustalili, że każdy z nich zastrzeli jedną osobę. Jak opowiadał o tym stary żandarm, z narodowości Austriak, który był w tej piątce, koledzy jego to w większości sadyści i bez żadnego sumienia. Bardzo ubolewał, że przydzielono go do takiej jednostki.

Gdy przyjechano do zagrody Łodeja, wyprowadzono całą rodzinę na podwórze i kazano im klęknąć rzędem. Austriak nie chciał strzelać, udał że mu się pistolet zaciął, zaklął niby z tego powodu i rzekł "strzelajcie sami". Uśmiechnęli się tylko, bo wiedzieli w czym rzecz, i zastrzelili matkę, troje dzieci i dziadka. Następnie podpaliли zabudowania i odjechali. Było to ich codzienne zajęcie i wykonywali je bez żadnych wrażeń.

Ponieważ mrozy nadal trzymały, przebywanie w lesie stało się dla żydowskich partyzantów nie do zniesienia. Zdarzały się przypadki, że niemiecki patrol zauważył przechodzącego przez drogę Żyda z bronią. Na okrzyk "halt" Żyd wypuszczał z ręki karabin i z podniesionymi rękami szedł do Niemca. Był tak moralnie i fizycznie zmaltretowany, że było mu już wszystko jedno co się z nim teraz stanie. Schwytanych Żydów Niemcy obwozili po leśniczówkach i gajówkach, aby wskazywali czy ten leśniczy lub gajowy nie udzielał im pomocy. Pewnego dnia czterech żandarmów uzbrojonych w pistolety maszynowe zajeżdżało przed leśniczówkę Klepacze i następnie ze schwytanym Żydem weszło do kancelarii. Wskazali palcem na leśniczego i zapytali "poznajesz go?" Żyd patrzył przez chwilę a poleru kiwnął przecząco głową. Natychmiast wyszli i odjechali dalej.

Aby takie rozpoznawanie usprawnić, Krüger zarządził zbiórkę wszystkich leśniczych i gajowych w Marculach. Pewnego dnia mieli się wszyscy stawić na godz. 8 rano.

W tym to dniu, około godz. 8³⁰ przybyło na gajówkę Jana Tomczyka czterech żydowskich partyzantów i udało się prosto do stodoły aby się przespać. Nie wytrzymali pobytu w lesie i postanowili odpocząć, leżąc na słomie. Tomczyk wiedząc po co Krüger wzywa wszystkich do Marcul, nie pojechał, licząc na to że później wymyśli jakieś usprawiedliwienie. Tymczasem był to dzień sprzedaży drewna i kilka furmanek czekało przed gajówką, aż gajowy zje śniadanie i pojedzie wskazać im które drewno mogą ładować na wozy. Furmani widząc idących z lasu i udających się do stodoły żydowskich

partyzantów, zrozumieli że sytuacja stała się niebezpieczna i lepiej stąd uciekać. Podcięli konie i odjechali, każdy w swoją stronę. Tomczyk zdając sobie sprawę, że obecność partyzantów została zauważona przez obcych ludzi, którzy nie wiadomo gdzie odjechali, poszedł do stodoły usiłując ich obudzić i skłonić do natychmiastowego powrotu do lasu. Tłumaczył im jaka powstała sytuacja. Partyzanci byli tak zmęczeni i zrezygnowani, iż żadne słowa do nich nie docierały. Ostatecznie Tomczyk zapowiedział im, że udaje się na leśniczówkę zameldować ich obecność i w tym czasie mają się ulotnić, gdyż innego wyjścia nie ma. Gdy Tomczyk zjawił się na leśniczówce była już godzina 10-ta. Ojciec **p**owrócił już z Marcul, opowiadając że Żyd prowadzony przed frontem leśników polskich nikogo nie wskazał. Tomczyk opowiedział ojcu jakie ma kłopoty z partyzantami i że im zapowiedział aby uciekali gdyż idzie na leśniczówkę złożyć meldunek. Po chwili Tomczyk zatelefonował do Krügera. Telefon odebrała gospodyni Krügera Wanda, mówiąc że Krügera nie ma w domu, bo 10 minut temu wyjechał na Klepacze. Było już jasne, że któryś z furmanów dał Krügerowi znać. Mógł to być np. jakiś kolonista niemiecki z Gozdawy, gdyż oni często przyjeżdżali na Klepacze po drewno. Rzeczywiście, zanim Tomczyk dotarł w drodze powrotnej do swej gajówki, w jej rejonie rozległy się karabinowe strzały. Niemcy otoczyli zabudowania od strony lasu i rzucili granat pod ścianę stodoły. Wybuch granatu wyrwał kilka desek robiąc w ścianie dziurę. Obudzeni wybuchem partyzanci, widząc dziurę zaczęli przez nią uciekać w kierunku lasu i stojących w nim Niemców. Trzech z nich zostało zabitych a czwarty oddał się do niewoli.

Fakt, że Tomczyk zatelefonował do Krügera, zapewnił mu rozgrzeszenie przed Krügerem. Jednak to, że zostało tu zabitych trzech żydowskich partyzantów a czwarty dostał się do niewoli, nie usprawiedliwiało Tomczyka przed Brawermanem. Brawerman przybył pod koniec zimy wieczorem na Klepacze, przywożąc dwóch chłopców ze wsi Budy Brodzkie. Wstąpił na leśniczówkę aby zakomunikować, że za 15 minut zginie Tomczyk i dwaj inni, za pomoc udzieloną Niemcom.

Ojciec mój czynił wszystko ażeby nakłonić Brawermana do zaniechania egzekucji i zbadania sprawy, gdyż nie **ma** wątpliwości że Tomczyk jest niewinny. Przekonywał jak tylko potrafił ale Brawerman był w swym postanowieniu nieugięty. Powiedział tylko, że właściwie to powinien rozstrzelać Tomczyka żonę ale ze względu na kilkoro dzieci które ma Tomczyk, postanowił ją zaoszczędzić. Ostatecznie powiedział że jest to wyrok, którego on nie jest w stanie zmienić. Zginęło tu trzech naszych i za to zginie tu trzech takich co pomagali Niemcom.

W czasie rozmowy z ojcem asystowali Brawermanowi jakiś Rosjanin, trzymający cały czas w ręku, gotowy do strzału, pistolet Dreyse 7, 65, pamiętający czasy jeszcze sprzed I-ej wojny światowej oraz jakiś młody Żydek z karabinem. Na zakończenie wyrwali przewód telefoniczny od aparatu i wyszli. Krótco po tym rozległy się strzały w rejonie gajówki, świadczące o tym że Brawerman zrobił to co zamierzał.

Chłopcy ze wsi Budy Brodzkie podobno odprowadzili do policji w Brodach Iłżeckich jakąś Żydówkę, wykonując polecenie sołtysa a sołtys polecenie Niemców. Chłopcy byli w młodym wieku, w którym nie wszystko się rozumie i powszechnie uważano że kara była za surowa. Wystarczyłaby dla nich kara chłosty. Jeśli chodzi o Tomczyka, który przez wiele miesięcy pomagał obozującym Żydom i chronił ich przed niebezpieczeństwem, to nie powinien ponosić kary. Zrobił wszystko co mógł w tej sytuacji i nie po jego stronie leżała wina, że tak się skończyło.

Rozstrzelanie tych trzech osób nie było dla Brawermana korzystne. Zraził do siebie ludność i gdy na wiosnę 1943 r. przybył na czele małego oddziału GL na gajówkę Bekowiny, ktoś o tym doniósł Krügerowi. Partyzanci twierdzili że zrobił to gajowy Stojek, osadzony tam przez Krügera, i usiłowali go potem odnaleźć. Mogło jednak być inaczej, gdyż w pobliżu gajówki, na składzie drewna kolejki leśnej, pracowali robotnicy właśnie ze wsi Budy Brodzkie, z której Brawerman zastrzelił dwóch chłopców. Stojek faktycznie przybył rowerem na leśniczówkę Klepacze i przy mnie meldował ojcu o żydowskich partyzantach kwaterujących u niego. Chciał aby ojciec zatelefonował do Krügera, bo pan leśniczy Krüger kazał mu meldować natychmiast takie przypadki. Ojciec zapytał Stojka czy ci partyzanci robią mu coś złego. Nie, odpowiedział Stojek. W takim razie po co to meldować Krügerowi. Partyzanci odpoczną sobie i pójdą dalej, a jeśli zameldujecie o tym do Krügera, to dojdzie do walki w której nie wiadomo co się stanie. Jeśli chcecie meldować to proszę. Aparat telefoniczny stoi do dyspozycji. Po tej odpowiedzi Stojek spuścił głowę. Nie wiedział co mówić. Potem wsiadł na rower i jak mi wiadomo z innych źródeł, powrócił na Bekowiny. Meldunek do Krügera dotarł najwidoczniej z innego źródła.

Gajówkę Bekowiny otaczał ze wszystkich stron las, tak że Krüger z żandarmami otoczyli zabudowania nie zauważeni przez partyzantów, wśród których byli Polacy, Żydzi i Rosjanie. Brawerman nie wystawił żadnych ubezpieczeń a tylko posterunek obserwacyjny w oknie, z zadaniem obserwacji bramy wjazdowej. Tymczasem Niemcy swoim zwyczajem rzucili granaty pod stodołę, która się zapaliła. Od niej zaczęły płonąć obory, a na końcu budynek mieszkalny. Część partyzantów, łącznie z Brawermanem, rzuciła się natychmiast do ucieczki w kierunku bramy. Była to najkrótsza droga do lasu. Ostrzeliwał ją żandarm z pistoletu maszynowego. Zabił dwóch partyzantów i ranił innych. Przypuszczalnie skończyła mu się amunicja w magazynku a zanim założył następny, nie miał już do kogo strzelać. Druga część partyzantów podjęła walkę, względnie próbę przebicia się w odwrotnym kierunku. W innych kierunkach trzeba było przebiec przez otwarty teren ogrodu około 60 metrów, a potem sforsować płot za którym leżeli ukryci żandarmi. Zginęło pięciu partyzantów którzy usiłowali przebijać się w tych kierunkach. Ogółem oddział poniósł straty siedmiu ludzi zabitych i kilku rannych, w tym jeden radziecki oficer, ranny w prawe płuco i nogę. Udzielono mu pomocy we wsi Budy Brodzkie a Leon Baśkiewicz odwiózł go wozem do rejonu wsi Bór Kunowski. Gajówka Bekowiny spłonęła całkowicie i już nie została odbudowana. Na jej miejscu rośnie las. Pozostała jeszcze na moich zdjęciach fotograficznych. Można na nich zobaczyć jak wyglądała przed spalaniem i jak po spalaniu. Walka, która nastąpiła w warunkach narastającego zmierzchu, po której Niemcy z powodu ciemności nie byli w stanie zebrać pogubionej broni i zrobili to z samego rana ludzie, nie została odnotowana w literaturze historycznej. Przypuszczalnie żaden z jej uczestników nie dożył końca wojny.

Na początku lata 1943 r. Brawerman pojawił się ponownie ale już jako zastępca dowódcy oddziału GL liczącego około 40 ludzi. Dowódcą był radziecki kapitan Andrejew. Skład oddziału był w większości polski. Brawerman powracał z rejonu Pakosławia. Zarekwirowano tam placówkę AK rkm Browning, noszony potem przez kpt. Andrejewa na szyi, jak pistolet maszynowy. Kpt. Andrejew był niewysoki ale szeroki w barach i karabin maszynowy wisiał na nim jak zabawka. Brawerman wytłumaczył dowódcy placówki ppor. "Judymowi", że AK jeszcze nie prowadzi działań wojennych a oni już potrzebują broni. (Zapomniał o tym, że broń należy zdobywać na Niemcach a

nie Polakach). Dalsza działalność Brawermana miała miejsce w rejonie ostrowieckim, a latem 1943 r. doszły wieści, że utonął w Wiśle podczas kąpieli.

Za pomoc udzielaną partyzantom żydowskim Krüger pozbawił życia dwóch gajowych leśnictwa Klepacze, a mianowicie Jana Sadłosa, gajowego mieszkającego w Bekowinach (po śmierci którego Krüger osadził tu swojego Stojka) oraz gajowego Jana Głabisza, mieszkającego w gajówce Murowanką.

Jana Sadłosa wezwał Krüger do Marcul, wsadził na bryczkę i zawiózł do żandarmerii w Ilży. Tam, po przypuszczalnym przesłuchaniu, wyprowadzono Sadłosa w pole i zastrzelono.

Jana Głabisza natomiast wezwano do Forstinspekcji (Inspektorat Leśny) w Starachowicach. Głabisz wyczuwał, że coś się za tym kryje. Czuł jakieś niebezpieczeństwo. Pojechała z nim razem żona. Okazało się że miał rację. Gdy się zjawił kazano mu poczekać na korytarzu i zawiadomiono pobliską żandarmerię. Przybył żandarm i kazał Głabiszowi iść razem do gmachu żandarmerii. Droga niedaleka. Głabisz zrozumiał co będzie dalej. Młody mężczyzna, podoficer rezerwy WP, z pochodzenia Warszawiak, o mocnym uderzeniu ręki, zdzielił nią Niemca tak że ten upadł a Głabisz rzucił się do ucieczki. Uderzenie Głabisza nie odebrało Niemcowi przytomności. Może tylko na krótko. Zdażył on z pozycji leżącej strzelić celnie z pistoletu do Głabisza, gdy ten forsował parkan, chcąc uciekać w kierunku wysypiska żużla wielkopieczowego. Na odgłos strzałów wyskoczyli z budynku żandarmi, których zaatakowała zrozpaczona żona. Doszło do tego że i ją zastrzelili. Pozostał trzyletni synek, którym zaopiekowała się dalsza rodzina.

Na miejsce Głabisza został przyjęty na gajowego młody Józef Żabczyński ze wsi Zawady, którego ojciec pracował kiedyś w leśnictwie Klepacze jako gajowy. Józef Żabczyński pracował na miejscu Głabisza zaledwie kilka tygodni. Został także zastrzelony przez żandarmów za pomoc udzielaną ukrywającemu się Żydowi. Żyd wpadł w niemieckie ręce i na pytanie kto mu pomagał i zaopatrywał w żywność zobowiązał się wskazać. Przyjechał z Niemcami samochodem pod dom Żabczyńskiego w Zawadach. Niemcy pozostali w samochodzie, nieco zdała od domu, a Żydowi kazali iść do mieszkania po chleb. Żyd wszedł do środka i prosi Żabczyńskiego o chleb. Żabczyński wyczuł, że coś jest nie tak jak powinno, gdyż w biały dzień Żyd po chleb nie przychodził. Odpowiedział mu że chleb leży na stole i może go brać bez pytania. Żyd wziął chleb i wychodzi, a tuż za nim Żabczyński, chcąc się wymknąć z mieszkania. W progu sieni zastąpił mu drogę żandarm i bez słowa wypalił mu z pistoletu prosto w pierś. Żabczyński upadł na podłogę a żandarm zawrócił do samochodu. Niemiec przestrzelił Żabczyńskiemu płuco nie naruszając serca i postrzał był niegroźny. Żabczyński jednak doznał szoku i zerwał się do ucieczki. Uciekającego dosięgnęły niemieckie kule, tym razem skutecznie.

W ten sposób stracił życie szósty gajowy leśnictwa Klepacze. Siódmy gajowy, ostatni z przedwojennych gajowych, Władysław Kalinowski, zamieszkujący na polanie obok Klepacz, określanej na mapach jako Listki-Klepacze, również znalazł się o krok od śmierci. Wychodząc w obchód zabrał ze sobą prywatną dubeltówkę różniącą się od tych które Niemcy (Krüger) wydali. Z ta strzelbą schwytali go jesienią 1944 r., w rejonie Murowanki, własowcy, podporządkowani gestapowcom w Siennie. Krüger w tym czasie już nie żył. Z piwnic Gestapo wydobył go Forstmeister dr Hermann Meyer, zawiadomiony o zdarzeniu przez mego ojca i dra Leona Mroczkiewicza, nadleśniczego. Dr Meyer przyjechał natychmiast do budynku Gestapo swym samochodem i jak

opowiadał potem Kalinowski słychać było na górze podniesione głosy, a wkrótce drzwi do celi otworzyły się i gestapowiec kazał mu wyjść i usiąść w stojącym przed budynkiem samochodzie. Za chwilę przyniósł mu i wręczył dubeltówkę. Po chwili szybkim krokiem wyszedł z budynku Forstmeister, siadł za kierownicą samochodu i ruszyli. Przyjechali do Marcul, gdzie Forstmeister podał Kalinowskiemu rękę na pożegnanie, a dubeltówki nawet nie oglądał.

Powracając do sprawy oddziału partyzanckiego Stanisława Olczyka "Garbatego" i Brawermana "Bacy", to po jego rozbiciu na bagnach Klamochy, przybyła z Radomia trzyosobowa komisja, wysłana przez radomską PPR, w celu zbadania przyczyn niepowodzenia. Przybyła ona do wsi Jasieniec z rozkazu Józefa Jarosza, ps. Wicek, dowódcy radomskiego okręgu GL, zatrzymując się u Eugeniusza Iwańczyka "Wiślicza" (wtedy jeszcze dowódcy plutonu ZWZ w Jasieńcu). W skład delegacji wchodził: Czesław Banasiak "Czesław" (oficer bezpieczeństwa Okręgu Radomskiego Gwardii Ludowej), Józef Ziętala "Grab" (dowódca Gwardii Ludowej dla rejonu Radomia i oficer informacji Okręgu Radomskiego GL) i Lewandowski "Edek" (zbieg z getta iłżeckiego, członek specjalnej grupy tego okręgu). Dane te pochodzą z CA KC PZPR - Raporty, korespondencja, rozkazy Obwodu III AL.

Ktoś ze wsi zauważył kwaterujących i zawiadomił o tym Krügera. Efekt był taki, że Krüger na czele żandarmów otoczył w dniu 18. 12. 42 r. zabudowania E. Iwańczyka i wszyscy trzej działacze ponieśli śmierć. Eugeniusz Iwańczyk w czasie strzelaniny był na strychu i nic nie ucierpiał z tego powodu. Krüger, będący w bliskich stosunkach z E. Iwańczykiem, darował mu życie.

Po pojawieniu się w lasach pierwszych grup partyzanckich, jeden gajowy w leśnictwie Lipie został rozbrojony z karabinu. Natychmiast po tym zdarzeniu Krüger odebrał wszystkie karabiny, pozostawiając na użytek polskiego personelu leśnego tylko dubeltówki. Sam jeździł do lasu tzw. linijką w eskorcie gajowych z karabinami, które wydawał tylko na takie wyjazdy. Konie, jak widziałem, ciągnęły wielką bryłę ludzką, najeżoną we wszystkich kierunkach lufami karabinów. Jagdhaus w którym mieszkał, zabezpieczył pod oknami skrzyniami z piaskiem, sprawdzając czy kule karabinowe przez tę warstwę piasku nie przechodzą. W sali myśliwskiej wprowadził dyżury gajowych. W dzień dyżurowało przeważnie dwóch gajowych a w nocy więcej. Gdy uznał za potrzebne, sprowadzał także na dyżury iłżeckich żandarmów.

W dotychczasowej działalności Krüger mordował pojedynczych ludzi względnie rodziny. Można powiedzieć że mordował na małą skalę, chociaż doprowadził do pierwszej pacyfikacji wsi Gębice. W dniu 4 lipca 1943 r. Krüger pokazał co potrafi. Przy użyciu sprowadzonych jednostek żandarmerii i niemieckich kolonistów (przypuszczalnie z Lipska i okolic) otoczył z samego rana wieś Bór Kunowski. Tyraliery żandarmów przeczeszały pola i częściowo tereny leśne, docierając do zabudowań wsi. Tu według listy zgromadzono 41 osób oraz schwytano trzech chłopców, którzy opuścili jednostkę tzw. Baudienstu (Hufce Pracy) i przybyli do wsi, uznając ich za dezertersów. Chłopcy pochodzili z okolicy Sienna. Z tej grupy 20 osób (głównie matek z dziećmi) zamknięto w stodole, stojącej w polu, i podpalono. Pozostałych rozstrzelano lub zabito w czasie ucieczki (patrz załącznik nr 1). Został wśród rozstrzelanych zabity pierwszy organizator i dowódca placówki SZP-ZWZ w Borze Kunowskim Stefan Pasternak "Wicek" oraz jego ojciec Jan. Zastępca Stefana Pasternaka Julian Listek "Las" ukrył się w polu, w bujnie rosnących ziemniakach. Żandarm idący w tyralierze przez pola, który wyszedł na Listka okazał się dobrym człowiekiem. Powiedział do niego po polsku "leż

spokojnie i nie ruszaj się. Gdyby cię znaleziono, to mów że myślałeś iż jest to łapanka na roboty do Niemiec".

Mordując matki z dziećmi i do tego w tak bestialski sposób, Krüger i żandarmi dali świadectwo o sobie, iż są zwyrodnialcami w najwyższym stopniu. Nie skruszył ich nawet rozpaczliwy głos palących się żywcem ludzi. Gdy pewien chłopiec pod wpływem gorąca nie wytrzymał i wybijając deskę w ścianie wy dostał się z ognia, został natychmiast zastrzelony i wrzucony do płonącej stodoły. Usiłowano dojść czym się Niemcy kierowali wybierając swe ofiary ale było to bardzo trudne. Bo cóż winne kobiety i dzieci. Zajęte codzienną harówką w gospodarstwie nawet nie miały pojęcia co robią mężowie lub synowie, gdyż tylko ci mogli coś robić o co Niemcy mieli pretensje.

Ktoś po wojnie pisał na ten temat, że podobno wymordowane przez Krügera rodziny pomagały żydowskim uchodźcom i partyzantom. Wyjaśnienie to jest wiarygodne. Być może, że tak właśnie było. Gajowy Fornal, mieszkający obok wsi Bór Kunowski, był podejrzany o współpracę z Krügerem i został przez partyzantów AL zastrzelony, jako ten który Krügerowi sporządził listę nazwisk.

Sprawa likwidacji Krügera, jako niebezpiecznego gestapowca i zbrodniarza, rozpatrywana była przez władze AK. Uznano, że zabicie go pociągnie za sobą wielkie represje ze strony Niemców i zginie wielu Polaków. Stanisław Poreda "Świątek" (późniejszy dowódca 3 pp leg AK i sąsiad Krügera w Marculach) oraz Eugeniusz Dymitrow(vel Flis) "Robur" (I-szy oficer Komendy Obwodu AK) uznali że najlepszym rozwiązaniem będzie najście na mieszkanie Krügera i zabranie arsenału broni i amunicji jaki ma u siebie, w czasie gdy on wyjedzie do lasu. Takie zdarzenie wystraszy Krügera i wyniesie się on z Marcul a organizacja się w łatwy sposób dozbroi. Ten sposób pozbycia się Krügera wydawał się być optymalny. Wypadki potoczyły się jednak inaczej, i to w sposób niekontrolowany.

Wieść o masakrze mieszkańców wsi Bór Kunowski rozeszła się lotem błyskawicy i wywołała przygnębienie. Dylemat Krügera pozostał nadal nierozwiązany. Poczucie sprawiedliwości domagało się aby go za tę zbrodnię zastrzelić. Nie było nikogo, kto podjąłby taką decyzję. Zabić go.... i co dalej? Jeśli Niemcy bez widocznego powodu wymordowali tylu ludzi, to ile wymordują po jego śmierci?

Okazało się że kilka dni wcześniej Komendant Podobwodu DOLINA, Antoni Heda "Szary", będąc w obozie "Ponurego" na Wykusie, zaprosił go w lasy starachowickie, obiecując zaopatrzenie oddziałów w żywność. Po kilkudniowym odpoczynku "Ponury" przeprowadzi akcję zajęcia Iłży i zlikwiduje tamtejszą żandarmerię oraz konfidentów. W rozmowie "Szary" zwrócił uwagę "Ponuremu", że zanim by to nastąpiło, należałoby zlikwidować Krügera, mieszkającego w Marculach. Przy okazji opowiedział "Ponuremu" kto to taki. Równocześnie do sprawy włączyła się Maria Pałysiewicz "Marysia", łączniczka oddziału Jana Kosińskiego "Jacka", zamieszkująca w leśniczówce Zawady u rodziny Leśkiewiczów. Wiedząc, że "Jacek" jest dowódcą specjalnego oddziału ochrony radiostacji u "Ponurego", w którym służą jej bratankowie, zwróciła się do niego z prośbą o zastrzelenie Krügera. Opisała "Jackowi" co to za drań ten Krüger i że zlikwidowanie go nie będzie trudne, gdyż mieszka i porusza się w lasach. O innych aspektach tej sprawy przypuszczalnie mowy nie było, ponieważ obydwójce nie orientowali się jakie mogą być dalsze następstwa tego kroku.

Zadaniem oddziału "Jacka" był transport i ochrona radiostacji, a nie zajmowaniem się likwidacją konfidentów i niebezpiecznych osób. Zatem "Jacek" na pewno porozumiał się z "Ponurym", i uzyskał od niego zgodę na wysłanie połowy swego oddziału, który

liczył w tym czasie 18-tu ludzi. Przypuszczalnie argumentował tym, że właśnie ludzie których chce wysłać, znają tamten teren i najlepiej potrafią wykonać zadanie.

W dniu 6 lipca 1943 r. por. Jan Kosiński "Jacek" polecił swemu zastępcy, plutonowemu 4 pp z Kielc, Władysławowi Jerzemu Hajdenrajchowi, ps. Kruk, zrobienie zbiórki oddziału. Po odebraniu raportu polecił "Krukowi" dać komendę "spocznij", a następnie zreferował żołnierzom, że dziś udadzą się na akcję likwidacji "szefa Gestapo na okręg radomski". Na akcję pójdzie część oddziału, pod dowództwem plutonowego "Kruka". Ponieważ, prawie wszyscy zgłosili chęć udziału w wyprawie, zatem "Kruk" wybrał z nich 9 ludzi, których uznał za najlepiej nadających się do tego zadania. Byli to:

1. Antoni Pałysiewicz "Mikołaj",
2. Roman Pałysiewicz "Rom",
3. Andrzej Kazimierz Pałysiewicz "Andrzej",
4. Marian Cieślak "Marian",
5. Włodzimierz Okólski "Wicek",
6. Tadeusz Adamski "Longin",
7. Stanisław Malarecki "Krzych",
8. Antoni Zacharski "Zdzich",
9. Michał Basa "Mściciel".

Wszyscy byli młodymi chłopcami, uczniami szkół średnich, pełni patriotyzmu i zapалу do walki za Ojczyznę. Podobnie jak cała nasza młodzież z tych czasów.

W dniu 7 lipca 1943 r. oddział plut. "Kruka" znalazł się już w lasach starachowickich. Drogę znali, gdyż - jak wspomina "Kruk" - w 1939 r. był tu już z kolegami ukrywać broń po bitwie pod Iłżą. Z tego rejonu dostarczyli do Bodzentyna rkm i kilka skrzyń amunicji, które ukryli u Jana Pałysiewicza, mieszkającego przy ul. Kieleckiej. Tę samą broń mieli teraz ze sobą idąc zlikwidować Krügera. Gdy znaleźli się w rejonie Marcul obejrzeliby wstępnie sytuację, po czym udali się do Klepacz, gdzie przebywał Ireneusz Janczarski "Zdara", brat cioteczny Pałysiewiczów - partyzantów. Ireneusz Janczarski był wcześniej żołnierzem tego oddziału. Razem z Janczarskim udali się do leśniczówki Zawady, gdzie Pałysiewiczowie spotkali się z rodziną i omówili z "Marysią" szczegóły związane z akcją na Krügera. Rodzina leśniczego Władysława Leśkiewicza, który w tym czasie już nie żył, zajęła się wyżywieniem oddziału.

Po zapoznaniu się z sytuacją plutonowy "Kruk" podjął decyzję likwidacji Krügera w dniu 8 lipca, z samego rana.

Oddział przenocował w szopie, jaka pozostała z rozebranej gajówki Murowanka, a następnie maszerując przez Klepacze udał się w kierunku Marcul, odprowadzony przez Ireneusza Janczarskiego. Około dwóch kilometrów przed Marculami partyzanci napotkali dwóch gajowych, powracających z nocnego dyżuru u Krügera. Byli to gajowi Jan Maldzis i Klemens Borówka. Od gajowych otrzymali partyzanci najbardziej aktualne dane dotyczące Krügera oraz sytuacji w jego budynku. "Kruk" postanowił wykorzystać okazję i polecił Kazimierzowi Pałysiewiczowi, ps. Andrzej, oraz Marianowi Cieślakowi, ps. Marian, przebrać się w mundury gajowych, wypożyczając na pewien czas gajowym własne ubrania. Pozostawiwszy gajowych pod strażą Stanisława Malareckiego "Krzycha" reszta oddziału udała się pod dom Krügera.

W tym czasie w ogrodzie łączącym "Jagdhaus" i dom nadleśniczego Pierożyńskiego (obecnie hotel) spotkali się na porannym spacerku Krüger i Forstmeister Meyer, który tej nocy przebywał w Marculach. Po kilkuminutowej rozmowie Forstmeister wsiadł do

swego Mercedesa i pojechał do Małomierzyc. Krüger natomiast powrócił do swego domu na śniadanie. Po śniadaniu zamierzał wyjechać bryczką do Iłży i służący Antoni Klepacz zaprzągnął już konie, oczekując Krügera w podwórzu.

Była godz. 8³⁰ rano. Urzędnicy w pobliskim budynku nadleśnictwa rozpoczęli pracę przy swoich biurkach, rozkoszując się świeżym leśnym powietrzem, wpadającym przez otwarte okna. Nagle od strony budynku Krügera do ich uszu doszedł odgłos strzału pistoletowego i potworny ryk (Krügera). Wszyscy rzucili się do okien nad słuchując dalszych odgłosów. Usłyszeli jeszcze trzy strzały pistoletowe, oddawane w pewnych odstępach czasu i potem denerwująca cisza. Po kilku minutach znów odezwały się liczne strzały pistoletowe, a jeszcze później powietrze rozdarł huk długiej serii karabinu maszynowego.

Takie były odgłosy akcji likwidacji Krügera, słyszane przez pracowników Biura Nadleśnictwa, Mieczysława Frątczaka, Czapczyńskiego, Gilewskiego, Stępniewskiego i innych.

Śledztwo prowadzone przez Niemców, zeznania osób, wyjaśniały wiele rzeczy. W tajemnicy pozostali jedynie wykonawcy akcji, którzy znikli bezpowrotnie. W następnych dniach wiedzieliśmy już od Ireneusza Janczarskiego i Marii Pałysiewicz (obecnie Kazimierska), że byli to chłopcy ze Zgrupowania "Ponurego". Ze względu na bezpieczeństwo informacja ta pozostała tajemnicą wąskiego grona osób. Przez Bodzentyn i rodzinę Pałysiewiczów dotarły potem nawet pewne szczegóły akcji, jednak sprawa ta ogólnie pozostała nieznana. Po kilkudziesięciu latach zaczęły się pojawiać artykuły prasowe, że akcję tę wykonali partyzanci AL. Przyczyną tego że akcja ta pozostała tak długo w tajemnicy, była śmierć prawie wszystkich wykonawców tej akcji w dniu 28 października 1943 r., na Wykusie koło Wąchocka. Być może, że była to kara za zabicie Krügera. Niemcy ustalili przez "Matora" kto dokonał tej akcji i z jego pomocą dokonali najścia na oddział ochrony radiostacji, biwakujący pod bokiem Zgrupowania Głównych Sił "Ponurego". Niemcy dokonali akcji zastając partyzantów we śnie. Uratowało się tylko kilku partyzantów a wśród nich "Jacek", "Kruk" oraz "Mściciel", którzy nie spali dyżurując przy radiostacji. Radiostację udało się uratować. Poległo wtedy 27 chłopców. Była to największa klęska jaką dotknięte zostało Zgrupowanie Ponurego, o której pisze dr Cezary Chlebowski oraz płk. Wojciech Borzobohaty.

Dokładne rozpoznanie przebiegu akcji zamachu na Krügera nastąpiło po konfrontacji wyjaśnień dowódcy tej akcji Jerzego Hajdenrajcha "Kruka", z informacjami uzyskanymi przeze mnie w wyniku oględzin mieszkania Krügera i całego Jagdhausu wkrótce po wydarzeniach, oraz rozmów z mieszkańcami Marcul.

Otóż na teren Krügera, odgrodzony od strony lasu wysokim, szczelnym płotem z desek, weszli przebrani za gajowych Kazimierz Pałysiewicz "Andrzej" i Marian Cieślak "Marian", uzbrojeni tylko w pistolety. Za nimi poszli w pewnej odległości, jako ubezpieczenie, "Mściciel", "Rom" i "Wicek". "Mikołaja" i "Zdzicha" zatrzymał "Kruk" na ubezpieczeniu akcji od strony lasu, a sam z "Longinem" oraz karabinem maszynowym zajął stanowisko najważniejsze, osłaniając akcję od strony szosy. Z Iłży do Marcul jest 10 minut jazdy samochodem. Ze Starachowic niewiele więcej. Szosa była dość ruchliwa i stale przejeżdżały nią różne pojazdy niemieckie. Z tych powodów sam dowódca wziął na siebie obowiązek osłonięcia swych żołnierzy, na wypadek pojawienia się Niemców.

Idąc przez podwórko a następnie ogród do budynku Krügera, przebrani za gajowych partyzanci szli kilka kroków jeden za drugim. Pierwszy szedł Kazimierz Pałysiewicz

"Andrzej". Po wejściu niewielkimi schodkami na wejściową werandę skierował się do holu. Tu natknął się na wychodzącą w podwórze służącą Krügera Wandę Maj. Powiedział jej grzecznie "dzień dobry" i zapytał "czy pan leśniczy Krüger jest w domu?" Tak, odpowiedziała Wanda, je właśnie śniadanie w kuchni i wskazała ręką drzwi.

Po chwili zastanowienia Wanda uzmysłowiła sobie, że tego gajowego jeszcze nigdy nie widziała. Poza tym wyglądał za młodo i nie wytrzymała, ażeby się za nim nie obejrzeć. Z przerażeniem spostrzegła, że ten gajowy trzyma z tyłu w ręku pistolet. Krzyknęła ostrzegawczo w chwili gdy "Andrzej" naciskał klamkę drzwi. Krüger zrozumiał okrzyk Wandy i pchnął całą siłą stół ze śniadaniem na otwierane przez "Andrzeja" drzwi, wydając równocześnie okropny ryk, który miał go przestraszyć.

W niespodziewanej dla Krügera sytuacji stracił on głowę. Przyzwyczajony mieć stale na sobie pas z pistoletami, zamiast chwycić go ze ściany, rzucił się do ucieczki w prawo, do pokoju. "Andrzej" odepchnął stół drzwiami i zdążył jeszcze ujrzeć nogę Krügera znikającego w drzwiach pokoju. Strzelił trafiając Krügera w okolice kolana. Nie przeszkodziło to jednak Krügerowi w dalszej ucieczce. Pozostawiając za sobą krwawe ślady Krüger uciekał przez dwa pokoje, hol, wąski korytarz, na salę myśliwską, gdzie powinni pełnić dyżur trzej gajowi: Szeluga, Sadowski i Myszka. Uciekając zatrząskiwał za sobą drzwi, tak że "Andrzej" zanim je otworzył strzelał w nie z pistolem. Goniąc Krügera przestrzelił kolejno troje drzwi i wypadł do holu, przez który wcześniej wchodził do budynku. Następne drzwi do korytarza zostały niedomknięte i "Andrzej" się domyślił że wtedy uciekał Krüger. Ten zaś przebiegając wąskim korytarzykiem chwycił ze znajdującego się tam stojaka z sześcioma karabinami jeden z nich. Karabiny w stojaku były bez amunicji. Z taką bronią Krüger nie był groźny.

Gajowi dyżurujący w sali myśliwskiej słysząc strzały w mieszkaniu Krügera i jego straszny ryk, odgadli natychmiast co się dzieje i w przyspieszonym tempie opuścili salę myśliwską, kryjąc się w różnych zakamarkach.

Gdy Krüger wpadł na salę myśliwską, nie zastał w niej gajowych. Patrzyli tylko na niego z przeciwnych stron, z portretów, Hitler i Goering. Tuż za Krügerem wbiega na salę "Andrzej" i strzela do niego. Nastąpiła teraz dramatyczna sytuacja. Pistolet nie strzelił. Słychać było tylko stuknięcie iglicy. Krüger zatryumfował. Nie pozwalając "Andrzejowi" na zarepetowanie pistoletu natarł na niego karabinem. Widząc delikatnego chłopca (Krüger był masywnie zbudowany) zaatakował go ale "Andrzej" się wywinął i chwycił Krügera przewracając go na podłogę. Zaczęli się ze sobą szamotać gdy na salę wpadł biegnący za nimi "Marian". Temu także pistolet odmówił działania. Zamiast tym pistoletem zdzielić Krügera w głowę, wdał się z nim we wspólne zmagania na podłodze. Krüger zbudowany dość potężnie, wypoczęty, dobrze odżywiony, być może pokonałby chłopców w tych zmaganiach. Trwały one już kilka minut, aż zaniepokoiły pozostałych kolegów. "Mściciel", "Rom" i "Wicek" podsunęli się pod ścianę budynku i jeden z nich rozbił lufą pistoletu szybę w oknie do sali myśliwskiej. Usłyszeli wtedy jakieś sapania, stękania oraz porykiwania Krügera. Zajrzeli oknem do środka i zrozumieli co się dzieje. Natychmiast wbiegli na salę myśliwską aby pomóc kolegom. Tu okazało się, że w kłębowisku ciał trudno jest uchwycić chwilę, w której można strzelić do Krügera bez obawy trafienia któregoś z kolegów. W pewnej chwili pojawiła się dogodna sytuacja, w której "Rom" mający karabin z założonym bagnetem przyszpilił Krügera do podłogi. Krüger jęknął i dał za wygraną.

"Marian", który był najbardziej z maltretowany przez Krügera, gdy tylko wydostał się z jego uścisków, pierwszy uruchomił swój pistolet i zaczął do niego strzelać. Pistolet

tym razem działał sprawnie. Potem aby uzyskać pewność że bestia nie przeżyje zamachu, każdy z obecnych tu chłopców oddał do niego strzał.

Akcja przeciw Krügerowi wydłużyła się bardzo ponad czas przewidywany. Można się było spodziewać lada chwila przybycia odsieczy niemieckiej. Partyzanci w pośpiechu przetrzasnęli pomieszczenia budynku, zabierając zauważoną broń. Zdobyczą partyzantów było: 12 szt. karabinów, 5 szt. dubeltówek i jeden pistolet Mauser, kal. 9 mm. Pozostały w budynku niezauważone: pas Krügera z dwoma pistoletami "Vis", pistolet maszynowy Schmeisser, wz. 41, radziecki karabin automatyczny (samozariadka), sztucer z lunetą, dwie skrzynie granatów oraz amunicja. Wszystkie te rzeczy wynosili żandarmi z budynku, po przybyciu na miejsce zdarzenia. Należy przypuszczać że osobistą broń Krügera ukryła Wanda ze swoją młodszą siostrą (która w tym dniu przyjechała w odwiedziny), w czasie gdy partyzanci przebywali na sali myśliwskiej.

Zdobytą broń załadowali partyzanci na stojącą w podwórzu bryczkę, pilnowaną podczas akcji przez "Mikołaja", zastępcę "Kruka". Odjeżdżając ostrzelali budynek Krügera długą serią z karabinu maszynowego, rozbijając kulami kominek myśliwski.

Po powrocie do pilnowanych przez "Krzycha" gajowych, zwrócono im mundury i udano się w drogę powrotną w Góry Świętokrzyskie. Po kilku kilometrach jazdy zwolniono woźnicę wraz z bryczką. W nocy z 9 na 10 lipca partyzanci przekroczyli szosę Starachowice - Ostrowiec i w godzinach rannych znaleźli się w Rzepinie. Tu zarekwirowali podwodę oraz produkty żywnościowe ze spółdzielni i odjechali prosto na Wykus.

Po zameldowaniu inspektorowi "Jackowi", że zadanie zostało wykonane zgodnie z rozkazem, przeszedł on przed szeregiem i każdemu chłopcu uściśnął dłoń, dziękując osobiście za wykonaną akcję.

Następnego dnia inspektor "Jacek" poprosił "Kruka" do swego szalasu i założył mu słuchawki na uszy. Za chwilę usłyszał on z Londynu komunikat, że w dniu 8 lipca br partyzanci AK z oddziału inspektora "Jacka" Zgrupowania Ponurego zlikwidowali szefa Gestapo na okręg radomski, w miejscowości Marcule.

Komunikat nie był dokładny, gdyż Krüger nie był szefem Gestapo na Distrikt Radom ale jeśli chodzi o uprawnienia i możliwości na pewno nie ustępował tamtemu.

Tak jak przewidywano, śmierć Krügera spowodowała wielkie wrzenie wśród hitlerowców i niemieckie władze bezpieczeństwa postanowiły zdziesiątkować polską Służbę Leśną. Zamierzano zrobić w Marculach zbiórkę wszystkich polskich pracowników leśnych i co dziesiątego rozstrzelać. Padł strach na ludzi i wielu już przestało sypiać w domu.

Ten stan niepewności trwał szereg dni. Forstmeister dr Hermann Meyer czynił wszystko aby do tej masakry nie dopuścić. Aby Forstmeistra podbudować w jego działaniach, powiedziano mu że Marcule były otoczone przez wielki oddział partyzancki i czekano specjalnie aby Forstmeister wyjechał, nie chcąc aby mu się przy tym stała jakaś krzywda. (Forstmeister uwierzył w to i wspomniał o tym w swoich pamiętnikach).

Biorąc udział w naradach nad tym problemem u najwyższych władz w Radomiu, Forstmeister stwierdził że zabójstwa nie dokonali pracownicy leśni. Zdziesiątkowanie tych pracowników doprowadzi do osłabienia gospodarki Rzeszy Niemieckiej, która i tak boryka się z trudnościami, z powodu wojny. Argumenty Forstmeistra Meyera trafiły do przekonania uczestników narady i wszystko skończyło się dobrze.

Urządzono wielki pogrzeb Krügerowi w Iłży. Kondukt pogrzebowy złożony ze wszystkich pracowników administracji leśnej (którzy musieli przybyć obowiązkowo) oraz

kilku osób z okolicznych wsi Jasieniec i Pastwiska ruszył, idąc powoli z Marcul do Iłży. Ponieważ w pogrzebie uczestniczyły ważne osobistości niemieckie (także z głównej komendy władz bezpieczeństwa z Krakowa) kondukt pogrzebowy wyprzedzały oraz zamykały silne oddziały wojska. Także cmentarz w Iłży obsadzony był dokoła gniazdami karabinów maszynowych i wojska.

Polscy pracownicy leśni z trwogą patrzyli na to zgromadzenie sił niemieckich, bojąc się że po pogrzebie Krügera Niemcy zechcą wykonać swoje pierwotne zamiary. Na szczęście wszyscy powrócili do domów cało, dziękując w myśli Forstmeistrowi za uratowanie życia.



Fot. 57. Budynek Jagdhausu (Domu Myśliwego), w którym zamieszkiwał i został zabity Anton Krüger, po 47 latach. Dwa duże okna należą do Sali Myśliwskiej. Następne dwa okna wychodzą z korytarza. Ostatnie okno oświetla hol (sień). Dalej było mieszkanie Krügera (południowy szczyt budynku). Zamiast widocznego płotu z siatki był wysoki, szczelny płot z desek. Wejście w podwórkę - jak na zdjęciu. (Obok widocznego częściowo budynku gospodarczego). Tym wejściem przechodzili zamachowcy, idący zabić Krügera.



Fot. 58. Dom gł. nadleśniczego J. Pierożyńskiego w którym zatrzymywał się Forstmeister di Hermann Meyer. Obecnie hotel.



Fot. 59 i 60. Gęstwiny jodłowe koło Klepacz, w których miał schronienie Oddział Brawermana.

Fot. 61 i 62. Rozstrzelani przez Brawermana pod płotem gajówki Klepacze: gajowy Jan Tomczyk, Tadeusz Jagiełło i Stefan Kutera





Fot. 63. Widok gajówki Bekowiny od strony bramy. Przez okno widoczne na zdjęciu jeden z partyzantów GL Oddziału Brawermana obserwował bramę. Było to całe ubezpieczenie oddziału.



Fot. 64. Widok gajówki Bekowiny od strony bramy po walce żandarmerii niemieckiej pod wodzą Krügera z partyzantami Brawermana. Dziś rośnie tu las.

Leśniczy Marian Langer, ur. 30. 11. 1901 r. jako były uczeń rosyjskiego gimnazjum w Radomiu miał dość nauki w obcym języku na polskiej ziemi. Znał cenę wolności Narodu. Gdy została zagrożona w 1919/1920 roku odłożył książki i wziął do ręki karabin.



Fot. 65. Lida. Rok 1919. Pierwszy z lewej klęczy z karabinem.



Fot. 66. Marian Langer w mundurze wojskowym z roku 1919.



Fot. 67. Leśniczy Marian Langer „Długosz” w latach II-ej wojny światowej (1940).



Fot. 68. Leśniczówka Klepacze w czasie II-ej wojny światowej.



Fot. 69. Gajowi, od lewej: Jan Glabisz, Jan Tomczyk, Jan Sadłos i z karabinem Kazimierz Czaja. Należeli do sześciu gajowych leśnictwa Klepacze, którzy w okresie wojny stracili życie.



Fot. 70 i 71 przedstawiają gajowego Władysława Kalinowskiego, który jako jedyny przeżył wojnę. Zginął po wojnie w nieszczęśliwym wypadku na polowaniu.



Fot. 72. Gajowy Jan Sadłos z rodziną przed wejściem do swego mieszkania gajówce Bekowiny. Krüger zawiózł go osobiście do żandarmerii w Iłży i tam go zastrzelono za pomoc udzielaną Żydom.



Fot. 73. Gajówka Murowanką. Na pierwszym planie stoją gajowy Jan Glabisz z żoną i synkiem. Z tyłu dalsza rodzina gajowego. Jana Glabisza Niemcy wezwali do Forstinspekcji w Starachowicach gdzie go aresztowano za pomoc udzielaną Żydom. Podczas prowadzenia go do budynku żandarmerii uderzył eskortującego go żandarma i usiłował uciec. Podczas forsowania płotu został trafiony kulą. Towarzysząca mu żona rzuciła się na żandarmów i także została zabita. Pozostało po nich małe dziecko, które wzięła pod opiekę dalsza rodzina gajowego.



Fot. 74. Rodziny Płatkowi Pastuszków
nad zwłokami zastrzelonego
Stanisława Płatka.



OSTATNIA ZBRODNIA KRÜGERA

Fot. 75. Aleksander Madej.
Przy trumnie brat Antoni, żona i dzieci.



Fot. 76



(Pacyfikacja wsi
Bór Kunowski)

Fot. 77



Fot. 78



Fot. 79. Mieszkaniec
wsi Bór Kunowski po
pacyfikacji.



Fot. 80. Władysław Jerzy Hajden-
rajch „Kruk”, dowódca grupy któ-
ra pomściła zbrodnie Krügera. Był
uczestnikiem Kampanii Wrześnio-
wej, ranny podczas przebijania się
do Warszawy. Po Kampanii działa
w konspiracji na terenie Bodzen-
tyna. Ranny podczas walki party-
zanckiej w Pawłowie przebywa
w szpitalu w Kielcach. Bierze udział
w różnych akcjach „Ponurego”
a potem „Nurta”. W lutym 1944
aresztowany i zesłany do Gross Ro-
sen a potem Dachau (nr więźnia
17735). W 1951 r. aresztowany
i więziony w Gdańsku.

NIEKTÓRZY ŻOŁNIERZE Z GRUPY, KTÓRA DOKONAŁA ZAMACHU NA KRÜGERA



Fot. 81. Marian Cieślik
„Marian”



Fot. 82. Antoni Pałysiewicz
„Mikołaj”



Fot. 83. Roman Pałysiewicz
„Rom”



Fot. 84. Kazimierz Pałysiewicz
„Andrzej”

Żołnierze z fot. 81 do 84 polegli w dn. 28. 10. 1943 r. na Wykusie. Zdrajca „Motor” naprowadził Niemców na śpiący oddział ochrony radiostacji, biwakujący pod bokiem sił głównych „Ponurego”. Poległo wtedy 27 żołnierzy. Dyżurujący przy radiostacji por. Jan Kosiński „Jacek” i plut. Jerzy Hajdenrajch „Kruk” z nielicznymi żołnierzami zdołali się uratować. Była to największa klęska Zgrupowania Ponurego.

"Ponury"

Kilka dni po śmierci Krügera na teren lasów starachowickich przybyło Zgrupowanie Partyzanckie Ponurego.

"Ponury" założył obóz w odległości 2, 5 km na północ od Klepacz, pomiędzy działkami 8 i 9, blisko leżni H (tzw. austriackiej).

Natychmiast rozesłał po okolicy patrole w poszukiwaniu wody lecz chociaż na mapach były zaznaczone strumienie, patrole z powodu suszy wody nie znalazły. Studnie przy gajówkach Murowanką i Bekowiny były bardzo głębokie, a przy tym z powodu spalenia Bekowin i rozbiórki gajówki Murowanką, studnie przestały być użyteczne. Pozostała do dyspozycji studnia przy leśniczówce Klepacze. Przyjeżdżał tu co godzinę beczkowóz po wodę. Obsługiwało go stale dwóch tych samych ludzi. Jeden dorosły, ubrany po cywilnemu, a drugim był bardzo młody chłopiec, ubrany w płaszcz wojskowy i czapkę połówkę. Starszy napełniał wodą drewnianą beczkę a młodszy pilnował konia. Po napełnieniu dość dużej beczki odjeżdżali nie nawiązując rozmów z mieszkańcami leśniczówki.

Por. Jan Piwnik "Ponury" zjawił się u ojca na leśniczówce wyjaśniając sytuację. Powiedział, że wojsko ma trochę zmęczone ostatnimi walkami w lasach świętokrzyskich i chciałby mieć kilka dni odpoczynku. Rozumiem, rzekł, że ma pan obowiązek meldowania o pojawieniu się tzw. "band" i będzie pan musiał to zrobić. Chciałem jednak prosić aby pan to zrobił możliwie najpóźniej. Ustalili wspólnie, że meldunek będzie złożony w piątym dniu pobytu partyzantów.

Natychmiast po odjeździe "Ponurego" z leśniczówki zostałem wezwany przez ojca, który polecił mi abym z Wacławem Grolmanem (wysiedlonym z okolic Częstochowy) pojechał na leżnię K i w miejscu gdzie przewody telefoniczne zwisają nisko nad ziemią, przeciął je. Z chwilą przerwania połączenia telefonicznego leśniczy mógł się tłumaczyć z faktu niezgłoszenia pobytu partyzantów, mówiąc że nie miał możliwości, gdyż telefon nie działał a "bandyci" zabronili opuszczania leśniczówki.

Ponieważ "Ponury" już w przeszłości, w innych rejonach, zabraniał podobno wstępu do lasu lub robił inne utrudnienia, więc tego typu tłumaczenie się mogłoby być dla Niemców wiarygodne.

W uzgodnionym terminie ojciec pojechał do nadleśnictwa, meldując obecność w lasach partyzantów, o nieznanym miejscu obozowania. Podał, że nie wolno jest poruszać się po lesie i tylko z trudem udało mu się przedostać do Kuter, skąd pożyczonym rowerem dotarł do nadleśnictwa w Marculach.

"Ponury" zamierzał w dniu następnym opuścić lasy starachowickie, a po drodze zająć Iłżę i zlikwidować, zgodnie z propozycją "Szarego", iłżecką żandarmerię oraz miejscowych konfidentów. Nie wiem jak Niemcy zaplanowali przeprowadzenie akcji przeciw "Ponuremu", ale w krytycznym dniu, tj. w poniedziałek 25 lipca, uprzedzili zamiary "Ponurego". Oddział żandarmerii utworzony z żandarmów zebranych z okolicznych miasteczek: Iłży, Tamowa, Lipska, Ostrowca, Starachowic, Skarżyska, w sile 130 do 150 ludzi zapuścił się w lasy, zdążając najwyraźniej w stronę obozu "Ponurego". Oddział ten wyruszył o godz. 6-ej rano w dwóch grupach. Jedna grupa,

licząca około 60 ludzi, wyruszyła z Brodów Iłżeckich a druga z rejonu Marcul. Obie grupy spotkały się około godz. 11-ej w Kuterach, u wylotu drogi biegnącej z Marcul. Pojechałem w tym czasie do Kuter na imieniny Danuty, żony mego szefa z organizacji, kpt. Eugeniusza Dymitrowa "Robura". Okazało się, że kpt. "Robur" wyjechał rano do Starachowic i już powinien być z powrotem. Wyszedłem zatem na mały spacer drogą w kierunku Lubieni, spodziewając się go spotkać. Po przejściu pewnego odcinka drogi zawróciłem zbliżając się z powrotem do skrzyżowania leżni I z działką nr 14, przy którym stał domek "Robura". Gdy byłem dość blisko skrzyżowania, na drogę zaczęli się wysypywać ludzie w niemieckich mundurach, idący z południa czyli od strony Brodów Iłżeckich. Widząc mnie zaczęli mnie przywoływać machając rękami. Zrozumiałem, że jest to patrol od "Ponurego", który prawdopodobnie potrzebuje informacji. Po zbliżeniu się na małą odległość doszedłem do wniosku iż mam do czynienia z oddziałem niemieckiej żandarmerii. Na ucieczkę było trochę za późno. Nie miałem przy sobie nic kompromitującego mnie w Oczach żandarmów i poddałem się rewizji. Wyciągnęli wszystko co miałem w kieszeniach, znajdując rolkę niewywołanego jeszcze filmu. Żandarm, chyba działający na korzyść Polaków, wyciągnął z kasety cały film prześwietlając go automatycznie. Wyraziłem swoje oburzenie z tego powodu, a w gruncie rzeczy bardzo się ucieszyłem, gdyż ostatnie dwa zdjęcia na tym filmie zrobiłem sobie samowyzwalaczem, leżąc przy karabinie maszynowym. Po wylegitymowaniu mnie i stwierdzeniu, że mieszkam w Klepaczach, 4 km stąd, zapytali mnie w jakim celu ja tu przyjechałem. Odpowiedziałem że ojciec mój jest leśniczym i jeździł pożyczonym rowerem do nadleśnictwa aby zameldować, że w lesie są bandyci. Linia telefoniczna jest przecięta. Ja teraz przyjechałem aby oddać pożyczony rower. "A czy ty wiesz w którym miejscu są bandyci" - zapytali. Powiedziałem żeby dali mapę to im pokażę. Szybko rozwinęli przede mną mapę i z ciekawością pochyłili głowy. Podobno na tym terenie można ich spotkać i zatoczyłem ręką po prawie całym obszarze lasów na wschód od szosy Iłża-Lubienia. W odpowiedzi jakiś żandarm stojący za moimi plecami powiedział po polsku "o, tyle to i my wiemy".

Byłem przekonany że po tak pozytywnym zaprezentowaniu się żandarmom, puszcza mnie wolno. Okazało się że nie. Dowódca w stopniu Oberleutnanta (porucznika) kazał mi z nim iść drogą w kierunku leśniczówki. Za nami w szyku rozproszonym maszerowało kilkudziesięciu żandarmów, bokami przez pole maszerowały ubezpieczenia boczne. Niemcy na swoje szczęście postąpili prawidłowo. Gdyby mnie puścili pojechałbym prosto leżnią I do obozu "Ponurego" z informacją o zbliżających się od strony Kuter Niemcach. W nowej sytuacji maszerowałem działką 14-tą w kierunku północnym, idąc z niemieckim porucznikiem na czele oddziału. Zdziwiony byłem, że przed nami nie szło żadne ubezpieczenie. Powiedziałem do porucznika, że my idziemy na samym przodzie, a skąd możemy wiedzieć czy na skraju przeciwległego lasu nie leżą bandyci i nie ostrzelają nas. W odpowiedzi porucznik powiedział abym był spokojny, bo oni też mają dobrą broń i potrząsnął trzymanym w ręku radzieckim karabinem automatycznym. Powiedziałem wtedy że bandyci strzelą pierwsi i nic nam nie pomoże nasza dobra broń. Prosiłem go aby mnie zwolnił do domu, bo oni walczą z bandytami, a ja tu jestem niepotrzebny i tylko mogę oberwać kulą. Usłyszałem w odpowiedzi, że jak dojdziemy do majora, to on może wydać decyzję o zwolnieniu. W międzyczasie zbliżyliśmy się do leśniczówki z której wyszedł na spotkanie z żandarmami leśniczy Józef Kozłowski z bratem, niosąc w rękach przetaki z malinami.

Leśniczy był ubrany po cywilnemu i najwidoczniej uznał że poczęstowanie żandarmów malinami już na wstępie spotkania, wyjdzie na dobre. Oberleutnant z poczęstunku nie skorzystał, odwracając się tyłem, natomiast żandarmi w mig maliny rozchwyтали. Za chwilę maszerowaliśmy wszyscy dalej, z tym że do mojego towarzystwa zostali dołączeni obaj bracia Kozłowski oraz chłopak, pracujący w gospodarstwie leśniczego. Niemcy najwidoczniej bali się, że ktoś może zawiadomić "Ponurego" o zbliżającej się żandarmerii i na wszelki wypadek zabierali wszystkich napotkanych mężczyzn.

Gdy doszliśmy do obrzeża lasu, zrozumiałem dlaczego Oberleutnant szedł na czele oddziału bez ubezpieczenia przedniego. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć leżeli po lesie rozproszeni żandarmi. Wiedział o tym i nie musiał się bać.

Po skręcie w lewo drogą do Marcul i przejściu około 100 m, doszliśmy do majora, dowodzącego najwidoczniej całością sił niemieckich. Był w wieku około 40 lat, z lekka szpakowaty, w okrągłej czapce oficerskiej. Siedział pod drzewem na rozciągniętej płachetce namiotowo-maskującej, obok niego leżał pistolet maszynowy czeskiej produkcji.

Oberleutnant zameldował mu się i złożył raport. Usiłowałem zrozumieć coś z tego co powiedział, nie dopatrzyłem się jednak żadnych słów propozycji aby nas wypuścić. Major przez cały ten czas nie spojrzał na nas ani razu i zachowywał się tak jak by Polacy nie byli godni jego uwagi. Po chwili Oberleutnant kiwnął ręką na najbliższych leżących żandarmów i coś do nich powiedział. Podskoczyło kilku z karabinami i kazali nam iść przed siebie we wskazanym przez nich kierunku. Wyglądało to zupełnie na to, że polecił nas zastrzelić. Leśniczy Kozłowski załamał się. Padł na kolana i błagalnym głosem zawołał "za co nas chcecie rozstrzelać?" Na to odezwał się Oberleutnant po polsku: "nikt was nie chce rozstrzelać, idźcie". Odprowadzili nas kilkadziesiąt kroków i kazali siąść. Za chwilę rozległy się nawoływania żandarmów "weiter", co znaczyło że mają iść dalej. Mnie na plecy założyli Niemcy jakąś drewnianą skrzynię na szelkach a drugą analogiczną bratu leśniczego. Te skrzynie musieliśmy dźwigać do końca dnia. Były bardzo ciężkie i przypuszczałem że jest w nich amunicja, okazało się potem że była to radiostacja (nadajnik i odbiornik) i ciężkie były z powodu akumulatorów.

Zgrupowanie niemieckiej żandarmerii uporządkowało swe szyki na działce 14-ej, rozwijając się na długości około 300 m w tyralierę, z tym że lewe skrzydło tyraliery dotykało leżni H. Widać było że na końcu lewego skrzydła znajdowało się dwóch granatowych policjantów, którzy potem znikli bojąc się prawdopodobnie rozpoznania, przez prowadzonych cywilów.

Gdy tyraliera ruszyła przyjmując kierunek wschodni, las był stosunkowo rzadki i widoczność sięgała na odległość ponad 100 metrów. Niemcy szli w odległości średnio 2 metry jeden od drugiego. Wkrótce jednak las gęstniał i Niemcy stopniowo tyralierę skracali powiększając jej głębokość, przechodząc w tzw. rój. Żandarmi poruszali się w milczeniu, zwracając uwagę na dowódcę, który wydawał im polecenia za pomocą znaków. Widać było u Niemców dobre wyszkolenie w zakresie walk leśnych. Wiedzieli że idąc cicho, mogą zaskoczyć napotkane ubezpieczenia partyzanckie. Często były wypadki, że partyzant zmęczony wielogodzinnym marszem nocnym, potrafił zasnąć leżąc na ubezpieczeniu. Słoneczne ciepło i cichy szum poruszanych wiatrem gałęzi stwarzał atmosferę sprzyjającą drzemce.

Gdy tylko Niemcy ruszyli zdawałem sobie sprawę z tego, że w rejonie spalonej gajówki Bekowiny muszą wejść na placówkę "Ponurego", która zajęła stanowiska przy leżni H, po wschodniej stronie drogi łączącej Budy Brodzkie z Piotrowym Polem. Tuż

za placówką było skrzyżowanie leżni H z działką 11-tą. W dniu poprzednim jadąc rowerem leżnią H wjechałem na tę placówkę. Zatrzymano mnie i mimo wyjaśnień, że jestem mieszkańcem pobliskiej leśniczówki, nie pozwolono mi jechać dalej. Dowódca placówki wyjaśnił mi, że ma rozkaz przejeżdżające lub przechodzące osoby zatrzymywać i nie zwalniać. Pocieszył mnie iż za godzinę przybędzie tu oficer inspekcyjny ze zmianą placówki, to być może on mnie zwolni.

Placówkę obsadzała drużyna, która wg przedwojennych regulaminów, liczyła łącznie z dowódcą 19 ludzi. Dowódca, podoficer, uzbrojony był w pistolet maszynowy Sten, pozostali żołnierze w karabiny. Drużyna miała karabin maszynowy polski, tzw. rkm wz. 28. Dla zabicia czasu żołnierze grali w karty.

O godz. 18-ej przybył zapowiedziany oficer inspekcyjny z inną drużyną. W pewnej chwili obie drużyny stanęły w dwuseregach naprzeciwko siebie i można było przypatrzeć się żołnierzom tych drużyn. Widać było, że oddziały te składały się z ludzi bardzo różnych, którzy uniknęli aresztowania i znaleźli tu schronienie. Każdy z żołnierzy był inaczej ubrany i duże były różnice wieku. Widziało się dziadka z wąsami obok 16-toletniego chłopca. Jeden miał kompletne umundurowanie wojskowe, łącznie z hełmem, drugi stał w czarnym garniturze, białej koszuli, z muszką pod szyją i melonikiem na głowie. Widać było że uciekł sprzed ołtarza gdzie w chwili ostrzeżenia brał ślub. Trzeci miał na sobie mundur pocztowca, inny znów kolejarza lub policjanta. Połowa żołnierzy miała ubrania cywilne lub mieszane. Na głowach czapki różnego rodzaju, cyklistówki, berety, czapki mundurowe, hełmy polskie i niemieckie. Każdy jednak miał broń i pas z ładownicami oraz bagnetem. Chociaż był to lipiec 1943 r. i oddziały "Ponurego" były w stadium początkowym, to opisane drużyny nie stanowiły wzorca i były to jednostki świeżo zorganizowane, które dla celów szkoleniowych kierowano na ubezpieczenia. Spotykałem na drogach w lesie patrole umundurowane i dobrze uzbrojone a także dobrze wyszkolone. W samym obozie nie miałem możliwości przebywać. Otrzymałem z organizacji polecenie unikania kontaktów ze Zgrupowaniem Ponurego, gdyż jest ono pod obserwacją. W Zgrupowaniu mają szpicla, którego usiłuje się wykryć. Chodziło tu o "Motora", którego rozszyfrowano dopiero kilka miesięcy później.

Niemcy posuwając się w kierunku obozu "Ponurego" szli powoli, często robiąc kilkuminutowe odpoczynki. Po przejściu bardzo gęstych zarośli przekroczyliśmy działkę 12-tą i weszliśmy w stary dębowy las bez podszycia. Na skraju tego lasu major zarządził dłuższy odpoczynek. Przed nami rozciągał się teren wyrąbany lub pokryty małymi krzakami dębiny. Za nim widoczna była ściana młodego lasu w którym przebywała placówka ubezpieczająca "Ponurego". Niemcy najwidoczniej nie wiedzieli o niej, gdyż nie wystawiali by się przed jej frontem jak na dłoni. Placówka znajdowała się za niewielką górką i bezpośrednio widoczności w kierunku Niemców nie miała. Grzbiet góry pokryty był metrowej wysokości kępami dębowych krzaków, w których możliwe było dobre zamaskowanie żołnierzy oraz karabinu maszynowego. Można było stamtąd strzelać do odkrytych Niemców jak do kaczek. Odległość rzędu 100 m gwarantowała dobrą skuteczność ognia. Należy przypuszczać, że na górze umieszczone było ubezpieczenie placówki, w postaci czujki. Jeśli tak było i czujka ostrzegła placówkę o zbliżających się Niemcach, to sytuacja nie została wykorzystana.

Z chwilą rozpoczęcia dalszego marszu wiedziałem, że za chwilę usłyszę strzały i zacznie się bój. Widziałem oczyma wyobraźni partyzantów zajętych grą w karty i bałem się bardzo że partyzanci zostaną zaskoczeni. Jedynym ratunkiem dla nich będzie

ucieczka. Niemcy po znalezieniu się na górze będą mieli doskonały wgląd na pozycje placówki i to z odległości rzutu granatem.

W pewnej chwili moje obawy zostały przerwane. Prawe skrzydło niemieckiej tyraliery, przechodzące przez otwarty teren składowiska drewna kolejki leśnej Bekowiny, zostało dostrzeżone przez dwuosobową czujkę "Ponurego". Czujka ta zajmowała stanowiska obserwacyjne przy skrzyżowaniu toru kolejki leśnej z drogą Budy Brodzkie - Piotrowe Pole. Nie wiem czy czujka ta była bocznym ubezpieczeniem placówki czy też była niezależna. Widziałem jak dwóch ludzi w cywilnych ubraniach poderwało się do góry i zniknęło w ścianie lasu. Poruszały się jeszcze gałęzie po ich ucieczce, a kilkudziesięciu żandarmów strzelało w to miejsce z karabinów. Chociaż nikogo nie trafili to jednak ogień jaki prowadzili był przerażająco silny. Cieszyłem się, że placówka jest teraz na pewno ostrzeżona. Zdawałem sobie równocześnie sprawę z tego, że ten huraganowy ogień z karabinów, prowadzony z odległości około 200 m od placówki, w jej stronę, musiał bardzo źle wpłynąć na samopoczucie partyzantów. Pomyśleli sobie zapewne że idzie na nich straszna potęga, a ich tu kilkunastu. Brak ostrzelania i wiary w skuteczność własnych strzałów jeszcze bardziej potęguje niepewność żołnierzy.

W napięciu oczekiwałem wyjścia Niemców na placówkę i w wyobraźni odtwarzałem przebieg pierwszego starcia. Uważałem, że ze względu na bliskość stron walczących, od pierwszych strzałów padnie kilku żandarmów a potem partyzanci będą musieli szybko się wycofać.

Po chwili na lewym skrzydle niemieckim zahuczało. Wybuchy granatów, strzały karabinów zwykłych i maszynowych, wszystko to łączyło się ze sobą. Niemcy dokoła mnie, będąc zdaleka od miejsca walki, zapadli obserwując pilnie przedpole, w każdej chwili gotowi do otwarcia ognia. Major z pozycji półklęczącej bacznie lornetował krzaki przed sobą, a zagarniając prawą ręką do tyłu dał rozkaz zagięcia prawego skrzydła bardziej w tył. Strzelanina na lewym skrzydle wkrótce wygasła i po linii poszedł półgłosem przekazywany meldunek do dowódcy: "ein verwundet" (jeden ranny). Byłem tym meldunkiem zaskoczony i oczekiwałem na dalsze. Po takiej strzelaninie i to z bliskiej odległości, zaledwie jeden ranny? Dalszych meldunków jednak nie było. Został ranny Leutnant, czyli podporucznik, któremu przestrelono prawe płuco. Pochodził prawdopodobnie z ilżeckiej żandarmerii, gdyż jak się potem okazało, znał leśniczego z Kuter, Kozłowskiego. Niemcy ścięli dwie brzoźki i z trójkątnych maskujących płachetek, które co trzeci żandarm miał na sobie, zrobiono nosze na których ponieśli rannego. Po około 25 minutach postoju major dał rozkaz dalszego marszu.

Idąc do przodu Niemcy znajdowali różne przedmioty pogubione przez niektórych, zbyt szybko cofających się partyzantów. Między nimi był całkiem niezły radomski karabin, rkm, oraz kilka czapek. Jeden stary żandarm podniósł z ziemi zgubioną czapkę połówkę z dużym orłem. Zbliżył się w marszu do mnie i pokazując czapkę i orła zapytał "poznajesz chłopca z lasa? " (w tym czasie w miastach na partyzantów mówiono "chłopcy z lasu"). Powiedziałem mu, że rzeczywiście spotykałem takich. "A widziałeś jakie óny mają handgranaty? ", pytał. Widziałem takie jakie ma pan za pasem i takie okrągłe jak jajka, odrzekłem. Wtedy zaczął grzebać w bocznej kieszeni spodni i wyciągnął z niej łupinę granatu jajkowego, odlaną z ołowiu. Pokazując ją zapytał, "a takie u nich widziałeś? ". Takich to nie widziałem, odrzekłem kłamiąc. "Óny se same takie wyrabiają", powiedział. Pokiwałem głową udając zdziwienie i dalej szliśmy już w milczeniu.

Uszliśmy kilkadziesiąt kroków gdy przed nami zajazgotał długą serią pistolet maszynowy. Świst kul słyszany wyraźnie mówił nam, iż wypuszczona seria kierowana była w naszą stronę. Na odgłos strzałów wszyscy żandarmi padli na ziemię (my również), a gdy ucichły Niemcy rozpoczęli strzelaninę. Przez kilka minut prażyli z karabinów w kierunku niewidocznego wroga. Potem nastąpiła cisza. Po około pięciu minutach obserwacji przedpola major dał znak do dalszego marszu. Uszliśmy około 200 metrów i znów ktoś z przeciwka zasypał nas kulami. Tym razem strzelający był kilkadziesiąt kroków przede mną. Wykorzystał jakieś grubsze drzewo, przy którym rosły dwa świerki doskonale maskujące jego osobę. Strzelał z pozycji stojącej. Drzewo osłaniało jego osobę, a Stena przyłożył z prawej strony (patrzac od niego) i strzelał aż do opróżnienia magazynka. Widać było doskonale białą, krótką lufkę Stena, połyskującą w słońcu. Z lufy wydobywał się płomień i iskry. Nie celował tylko siał kulami, niby strażak wodą z sikawki. Gdy skończył, to zanim Niemcy podnieśli głowy, oddalił się na tyle, że nie było wiadomo gdzie zniknął. Z tego też powodu strzelanina niemiecka jaka potem następowała była bez wyniku.

Po kilkuminutowej strzelaninie i parominutowej obserwacji przedpola, major ponawiał marsz do przodu, i znów to samo się powtarzało co 200 do 300 metrów. Domyśliłem się, że to dowódca placówki "Ponurego", jakiś drużynowy, wykonuje to co powinni robić z nim jego ludzie. Był to naprawdę doskonały żołnierz. Tak umiejętnie dobierał sobie stanowiska do ostrzału Niemców a potem do wycofania się, że Niemcy byli bezradni. Gdyby wtedy jeszcze kilku takich przystąpiło do walki, to niemiecka wyprawa zostałaby nie tylko zatrzymana, ale poniosłaby znaczne straty. Także, gdyby ten żołnierz miał karabin zamiast Stena, jego strzały do wolno poruszających się żandarmów byłyby celniejsze, a oddawane z większej odległości zapewniałyby dogodniejsze warunki wycofania się. Niemcy zamiast walczyć musieliby dźwigać swoich zabitych i rannych.

Biorąc pod uwagę to, że wyposażenie w amunicję pistoletu maszynowego stanowiło sześć magazynków i pierwszy magazynek został zużyty na początku walki, zatem ten wyjątkowo dzielny żołnierz pięciokrotnie zatrzymywał Niemców swym ogniem.

Jego zadaniem było opóźnić posuwanie się Niemców tak, aby siły główne mogły przygotować się do walki. Zadanie to wykonał znakomicie. Zasłużył na Krzyż Virtuti Militari. 1200 metrów jakie Niemcy przebyli od działki 11-ej, przy której starli się z placówką, do działki 9-ej, na której zakończyli marsz, szli od godz. 12-ej do 14-ej, czyli dwie godziny. Podczas walki ranił dodatkowo trzech Niemców. Jeden miał przestrzelone prawe przedramię, drugi miał przestrzeloną dłoń, a trzeci dostał kulą w palec u ręki.

Po ostatnim starciu, które miało miejsce 200 m od działki 9-ej, kiedy to młody żandarm dostał w przedramię i opatrywano go w dole pod dawnej smołami, ten dzielny żołnierz opróżnił ostatni magazynek i wycofał się do sił głównych. Prawdopodobnie w tym czasie "Ponury" już opuścił obozowisko, udając się w kierunku leśniczówki Klepacze a potem na zachód, prowadzony przez "Szarego" który w tym czasie przebywał w obozie aby poprowadzić wieczorem akcję na Iłżę. Ostatni odcinek drogi do działki 9-ej Niemcy przebyli spokojnie i nie padł ani jeden strzał. Po drugiej stronie działki 9-ej rosło dużo młodych świerków utrudniających widoczność, a do obozu "Ponurego" było nie dalej niż 300 metrów. Nie wiem czy wiedział o tym major żandarmerii ale jako doświadczony oficer, mógł się domyślać, na podstawie odległości ubezpieczeń na które natrafił. Zdając sobie sprawę z tego, że siły główne "Ponurego"

nie są już zaskoczone, mógł się spodziewać że w gęstwinach po drugiej stronie działki 9-ej, może natrafić na zasadzkę, z której niewielu się uratuje.

Po dotarciu do działki 9-ej major postanowił nie iść dalej. Zrobił półgodzinny odpoczynek i kazał uruchomić radiostację. Operator radiostacji po wysunięciu anteny, nastawił aparaturę i powiedział dwukrotnie do mikrofonu "Adler links". Hasło to mówiło, że mógł być jeszcze inny oddział niemiecki, idący z innego kierunku, "Adler rechts".

Kilka minut po zatrzymaniu się żandarmów, udało im się schwytać jadącego rowerem działką 9-tą do "Ponurego", pchor. Władysława Dąbka "Bukowego", dowódcę 164 plutonu AK w Błazinach. Po doprowadzeniu go do majora, który siedząc na starym pniu studiował rozłożoną na ziemi mapę, tłumaczył się że jechał na Klepacze w sprawie kupna drewna. Kilka minut po nim żandarmi przyprowadzili, pod bagnetami, następnych dwóch rowerzystów. Byli to ppor. Zygmunt Kiepas "Krzyk", dowódca 171 plutonu AK w Iłży, oraz Henryk Nagrodkiewicz "Chan", żołnierz tego plutonu. Wszyscy zatrzymani jechali do "Ponurego" w związku z planowaną na wieczór akcją zajęcia Iłży.

Rewidując zatrzymanych żandarmi znaleźli w kieszeni Nagrodkiewicza jakąś kartkę, którą podawali sobie z rąk do rąk i czytali, komentując coś między sobą. Wyglądało na to, że treść kartki związana była z działalnością konspiracyjną.

Jakiś żandarm podszedł do Nagrodkiewicza i uderzył go w twarz mówiąc przy tym "du gescheiste Henius", czego nie będę tłumaczył na język polski. W odpowiedzi na tę obrazę Nagrodkiewicz kopnął żandarma w brzuch. Natychmiast kilku najbliższych żandarmów rzuciło się na Nagrodkiewicza i powalili go na plecy. Nagrodkiewicz ubrany w kombinezon koloru khaki, chociaż niedużego wzrostu, leżąc na wznak, kopał i boksował we wszystkich kierunkach, usiłując dosięgnąć pochylających się nad nim żandarmów. Ci z kolei tłukli go kolbami karabinów i byli poza zasięgiem jego rąk i nóg. Za chwilę Nagrodkiewicz opadł z sił i przestał się bronić. Gdy odpoczął kazano mu wstać.

Zrywając zatrzymanym trzem żołnierzom AK koszule z pleców, żandarmi uknęćili z nich powrozy i powiązali im ręce do tyłu. Okazało się, że wśród żandarmów byli żandarmi iłżeccy. Obok budynku żandarmerii w Iłży mieszkał Nagrodkiewicz, który niejednokrotnie pił z nimi wódkę. Gdy teraz uświadomili sobie, że tak bliskie kontakty łączyły ich z "bandytą", wpadli w gniew i stąd ta bijatyka.

Wkrótce wystrzelono kilka białych rakiet, które były sygnałem do zbiórki żandarmów i utworzenia kolumny marszowej w kierunku powrotnym.

Początkowo kolumna szła w kierunku północno-zachodnim na przełaj lasem, aby potem wyjść na działkę dziesiątą i nią w kierunku północnym. Leżnię F (tzw. strażową) przechodzili żandarmi bardzo ostrożnie, ostrzeliwując wcześniej widoczne z dala, podejrzane miejsca.

Przy leżni E major zrobił dłuższy postój, studiując mapę. Najwidoczniej miał ochotę pomaszerować do Marcul. Podszedłem wtedy bliżej niego i próbowałem zachęcić go do tego, mówiąc po niemiecku że jest tam szosa i są telefony. Liczyłem na to, że jeśli tam pomaszerują to nadleśniczy dr Mroczkiewicz z pomocą Forstmeistra Meyera uwolni mnie z ich rąk.

Major, pełen nienawiści do Polaków, udał że nie słyszy co ja do niego mówię i nawet nie spojrzał w moją stronę. Zrozumiałem, że muszę się wycofać i nie wdawać w jakiegokolwiek rozmowy z nim. Moje doradztwo musiało się majorowi wydać podejrzane, gdyż nie poszedł w kierunku Marcul a dalej w stronę gościńca ostrowieckiego, do rejonu

obecnie stojącego pomnika poległych partyzantów "Potoka". Gościńcem doszliśmy, już przy zachodzącym słońcu, do gajówki na skraju lasu, zamieszkałej przez gajowego Stencła.

Wszyscy byli bardzo zmęczeni. Dzień był upalny. Nigdzie nie można było napić się wody. Rannego trzeba było dźwigać na noszach. Skrzynie radiostacji dźwigali Polacy, nawet tzw. lekki karabin maszynowy, chłodzony wodą i strzelający z taśmy, który Niemcy mieli ze sobą, wstawiali do dźwigania Dąbkowi. Dostrzeżona furmanka na działce 10-ej, na widok Niemców uciekła w las, chociaż w tym miejscu drogi nie było. Dopiero wychodząc na gościniec ostrowiecki udało się Niemcom schwycić jakąś furmankę, jadącą od strony wsi Piotrowe Pole. Natychmiast położyli na niej rannego, karabin maszynowy dźwigany przez Dąbka, oraz skrzynie radiostacji dźwigane przeze mnie i Kozłowskiego.

Na gajówce Stencła obmywano przy studni rannych. Leśniczy Kozłowski podszedł napić się wody i został poznany przez rannego oficera żandarmerii, leżącego na noszach. Oficer ten miał dobre wspomnienia o leśniczym, gdyż kazał przywołać majora i powiedział mu, że zna leśniczego i prosi o uwolnienie go. Wtedy major pozwolił na uwolnienie trzech osób z leśniczówki. Na moją prośbę leśniczy zapytał czy i ja mogę z nimi odejść, gdyż praktycznie razem nas wszystkich schwytano. Otrzymaliśmy zgodę.

Z wielką radością oddalałem się od gajówki w stronę wsi Błaziny, sam sobie nie wierząc że już jestem wolny, i idąc nadal bałem się że Niemcom się odmieni i zechcą mnie zawrócić. Gdy doszedłem do pierwszych zabudowań wsi skręciłem poza stodoły i dalej poruszałem się tamtędy, bojąc się ponownego spotkania z żandarmami. Będąc w połowie długości wsi zobaczyłem jadące drogą ciężarówkę z żandarmami, a na jednej z nich stojących w poszarpanych koszulach i ze związanymi rękami, Władka Dąbka, Zygmunta Kiepas i Henryka Nagrodkiewicza. Wszyscy trzej zostali zawiezieni do Starachowic gdzie zajęło się nimi Gestapo. Po dwutygodniowych "badaniach" szykowano ich do wywózki na rozstrzelanie. W ostatniej chwili uwolnił ich Antoni Heda "Szary" -

Komendant Podobwodu AK DOLINA, obejmującego tereny iłżeckie. Przy okazji uwolnił kilkudziesięciu innych więźniów. Nie udało się uwolnić Henryka Nagrodkiewicza, którego krytycznej nocy gestapowcy nie odwieźli do więzienia. Gestapowcy musieli się nad nim bardzo znęcać, a początki tego widoczne' były już w lesie.

Akcję uwolnienia więźniów przez "Szarego" opisał już dość dokładnie Józef Stompor w książce "Partyzant od Starego", a jeszcze dokładniej sam "Szary" w książce "Wspomnienia Szarego". Po znalezieniu się na wolności Zygmunt Kiepas "Krzyk" opowiadał że gestapowcy wiedzieli o nim, iż jest dowódcą plutonu AK w Iłży. Pokazywali mu gazetkę o nazwie "Pobudka", drukowaną w Starachowicach, pytając "Krzyka" co to jest. Gdy odpowiadał że nie wie, otrzymywał ciosy.

Brak informacji o działaniach niemieckich nie pozwolił "Ponuremu" odpowiednio rozegrać walki. Źle się czując w lasach starachowickich ze względu na szachownicę dróg i oznaczenia (które kazał swym żołnierzom w najbliższej okolicy pousuwać), bał się podstępów ze strony Niemców. Miał złe doświadczenia. Wiedział, że ma konfidenta, który Niemców informuje. Wolał nie rozgrywać walki tam, gdzie chce tego nieprzyjaciół. Postanowił wycofać oddziały nie przyjmując walki. Chciał je przesunąć do rejonu Sadłowizny. Obecny w obozie Antoni Heda "Szary", znający dobrze te okolice, odradził "Ponuremu" to miejsce. Wykorzystując dwie bardzo szerokie drogi, gościńce ostrowiecki i kunowski, Niemcy mogli "Ponurego" wziąć w kleszcze. Po przeanalizowaniu

położenia "Ponury" zgodził się z "Szarym" i pozwolił mu przeprowadzić Zgrupowanie przez rejon Klepacz, a potem Kuter, koło kopalni "Władysław" i dalej prosto na zachód, aż w lasy za Skarżyskiem. Z akcji na Iłżę nic nie wyszło, a w lasy starachowickie nigdy już "Ponury" nie zawitał.

Uzbrojenie niemieckiej żandarmerii, która wypuściła się do lasu w poszukiwaniu "Ponurego", było następujące: 1 lekki karabin maszynowy na taśmę, chłodzony wodą, dwa czeskie ręczne karabiny maszynowe, około 5 do 7 pistoletów maszynowych i jeden radziecki karabin automatyczny. Każdy żandarm miał karabin, pistolet i kilka granatów, noszonych za pasem, za cholewami butów i w chlebakach.

Uzbrojenie partyzantów "Ponurego": 1 pistolet maszynowy na drużynę (19 ludzi), 1 rkm na drużynę, poza tym każdy partyzant miał karabin i rzadko który broń krótką. Słabe uzbrojenie w granaty. Zgrupowanie liczyło ponad 400 ludzi i dysponowało kompanią ciężkich karabinów maszynowych.

Podczas walk Niemcy zdobyli rkm wz. 28 i jeden karabin oraz schwytali trzech działaczy konspiracji. Straty niemieckie - czterech rannych.

Po zakończeniu walk i odmaszerowaniu obu stron, po wschodniej stronie działki 9-ej, znaleziono zabitego żołnierza AK z placówki wsi Podkońce, o nazwisku Madejski. Wiózł on rowerem do obozu "Ponurego" wojskowe plecaki. Gdy usłyszał blisko strzelaninę, skręcił w lewo w krzaki i usiłował biec na przełaj do obozu "Ponurego". Znaleziono go martwego. Obok leżał rower i plecaki. Nie udało się ustalić jak do tego doszło. Najbardziej prawdopodobne jest, że został trafiony jedną z kul posyłanych przez żandarmów za walczącym z nimi partyzantem. Las w tym rejonie był młody i stosunkowo rzadki, w którym kule mogły przenikać na odległość 300 metrów i dalej.

Trzy dni przed walką zjawił się na Piotrowym Polu jakiś mężczyzna w średnim wieku, dopytujący się o partyzantów. Mówił o sobie, że jest lekarzem i chciałby przyłączyć się do oddziału partyzanckiego, gdyż jako lekarz byłby na pewno bardzo przydatny. Mieszkańcy wsi nie zdradzili się, że wiedzą cokolwiek o partyzantach i osobnik ten poszedł sobie dalej. Kilka godzin potem, syn sołtysa wsi Piotrowe Pole, Jan Wrześniewski, ps. Lamp, wtedy jeszcze żołnierz AK, pojechał rowerem na Klepacze. Jadąc działką 9-tą obok obozu, został zatrzymany i doprowadzony na teren obozu do wyjaśnienia. Podczas krótkiego pobytu w obozie zauważył tego osobnika, który poszukiwał partyzantów. Stał rozebrany do naga pod drzewem. Mógł to być niemiecki konfident, jakich Niemcy wysyłali do lasu pod różnymi pretekstami. Należy przypuszczać że partyzanci dobrze go zbadali, co on za jeden.

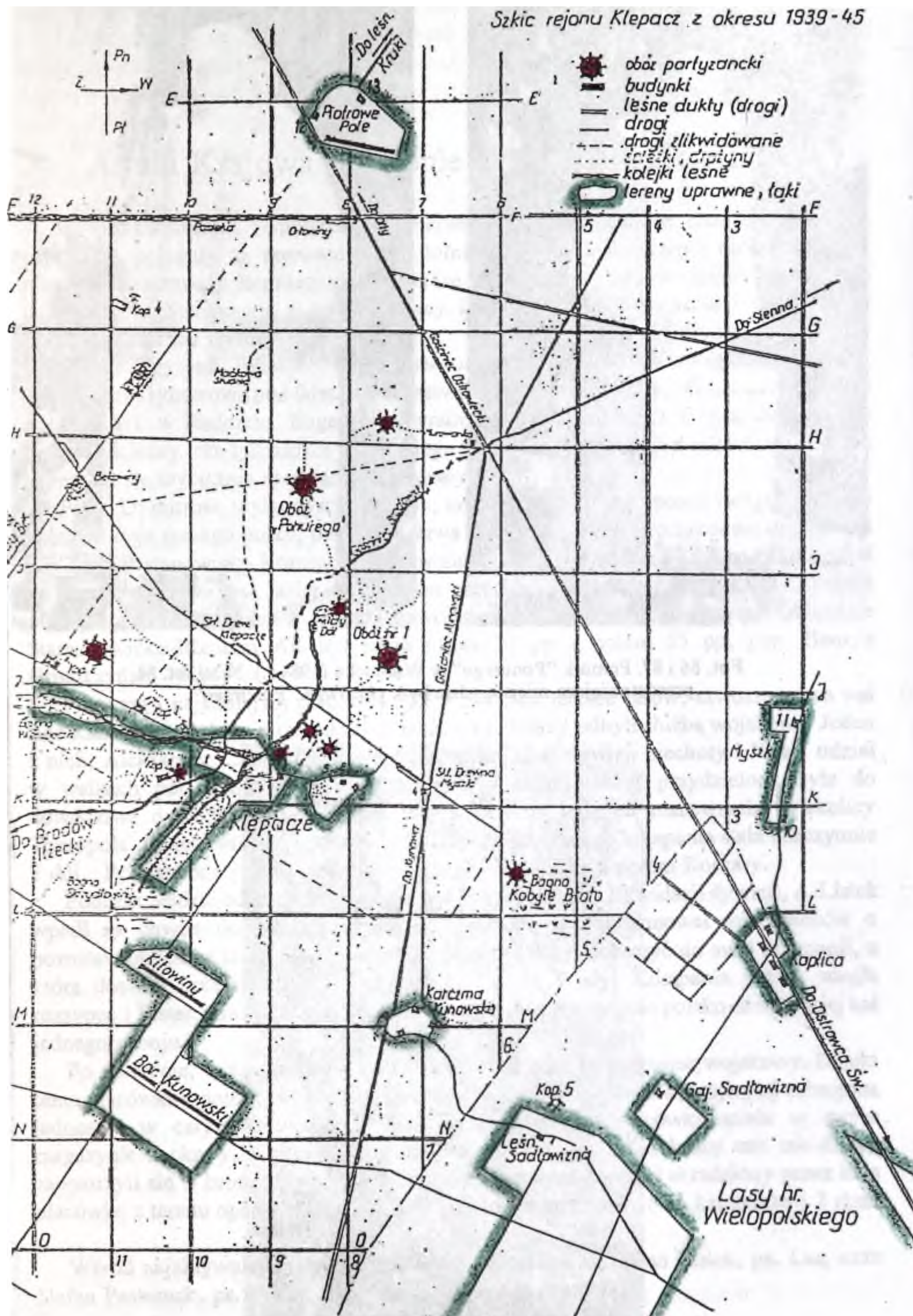


Fot. 85. Leśniczy Marian Langer za biurkiem w kancelarii leśnictwa. Tak wyglądał podczas pracy oraz przyjmowania interesantów.

Objaśnienia do szkicu rejonu Klepacz;

- 1-leśniczówka Klepacze (leśniczy Marian Langer),
 - 2- gajówka (gajowi Kazimierz Czaja, Józef Ziobro, Jan Tomczyk),
 - 3- gajówka (gajowy Władysław Kalinowski)
 - 4- gajówka (gajowy Zamczyk, leśnictwo Zawały),
 - 5- gajówka (gajowy Jan Glabisz),
 - 6- gajówka (gajowi Jan Tomczyk, potem Stojek i gaj. Jan Sadłos),
 - 7- zabudowania rodziny Góreckich,
 - 8- zabudowania rodziny Listków,
 - 9- zabudowania rodziny Cymerysów,
 - 10- gajówka (gajowy Klemens Borówka, leśnictwo Zawały),
 - 11- gajówka (gajowy Władysław Młynarczyk, leśnictwo Zawały),
- Obóz nr. 1- obóz szkoleniowy żołnierzy AK z podobowodu DOLINA i innych, w okresie lipca i sierpnia 1944 r., dowodzony kolejno przez por. Wincentego Tomasika "Potoka", por. Henryka Gruszczyńskiego „Błatego” i Ryszarda Brodeckiego „Błyskawicę”. Tu szkolono żołnierzy do akcji „Jodła” (3 pp leg AK) oraz do Iłżeckiego Pułku AK "Potoka".

Szkic rejonu Klepacz z okresu 1939-45





Fot. 86 i 87. Pomnik "Ponurego" w Wąchocku (1984 r.). Niżej fot. 88 przedstawiająca miejsce gdzie była placówka "Ponurego".



Armia Krajowa w rejonie lasów starachowickich

Jak już wcześniej wspomniałem, pierwsze działania mające charakter walki z najeźdźcą, polegały na ratowaniu tych żołnierzy Wojska Polskiego, którzy uniknęli niewoli. Powstawały komitety dostarczające ukrywającym się cywilnych ubrań oraz dokumentów. Starano się o miejsca pracy i mieszkania dla oficerów i podoficerów zawodowych i ich rodzin.

Nadleśniczy inż. Wiesław Ungeheuer umieścił w Kuterach swego zięcia ppor. Eugeniusza Dymitrowa pod fałszywym nazwiskiem Eugeniusz Flis, oficera zawodowego z 72 pp WP w Radomiu. Eugeniusz Dymitrow zamieszkał wraz z żoną Danutą jako pracownik leśny lecz tylko kilka tygodni jego zajęcia miały związek z leśnictwem. Potem zajmował się wyłącznie sprawami konspiracyjnymi.

Ppor. Dymitrow, wykorzystując teścia, umieścił w podobny sposób swego starszego kolegę z tego samego pułku, por. Stanisława Poredę, który w tworzącej się organizacji ZWZ objął stanowisko Komendanta Obwodu WOLA, czyli Starachowice. Zamieszkał on początkowo we wsi Jasieniec a potem przeniósł się z rodziną do Marcul. Wśród oficerów wchodzących w skład dowództwa ZWZ w późniejszym Obwodzie Starachowicko-Iłżeckim AK był także oficer 72 pp a potem 55 pp, por. Henryk Gruszczyński "Błady".

Pierwszą i najsilniejszą placówkę SZP - ZWZ na terenie lasów, utworzono we wsi Bór Kunowski. Było tu dużo młodych mężczyzn, którzy odbyli służbę wojskową. Jeden z nich, Aleksander Listek, był nawet żołnierzem 12-ej dywizji piechoty i "brał" udział w walkach pod Iłżą. Kompania łączności w której służył przydzielona była do dowództwa dywizji. Gdy wybuchła wojna dywizja była na manewrach, w okolicy Tarnopola. Po przewiezieniu koleją do Skarżyska Książęcego kompania stała beczynnie 7 dni. Przerzucono ją następnie do rejonu wsi Pastwiska a potem Koszary.

Podczas zbiórki oddziałów w rejonie wsi Piotrowe Pole i likwidacji dywizji, A. Listek wpadł na chwilę do wsi zobaczyć się z rodziną i poinformował mieszkańców o pozostawionych na leżni F taborach. Sam jeszcze zdążył dołączyć do swej kompanii, z którą doszedł potem przez lasy bałtowskie aż do Wisły. Kompania jednak uległa rozsypce i Listek powrócił do domu, nie wystrzeliwszy w wojnie polsko-niemieckiej ani jednego naboju.

Po powrocie, wraz z innymi ratował porzuconą broń i ekwipunek wojskowy. Dzięki temu placówka a potem 142 pluton AK w Borze Kunowskim, stał się najlepiej uzbrojoną jednostką w całym Obwodzie Starachowicko-Iłżeckim. Placówka miała w swym magazynie 2 ckm-y, 4 rkm-y oraz około 60 karabinów. Mieszkańcy wsi tak dalece zaopatrzyli się w broń, że gdy w 1941 r. cały ten magazyn został skradziony przez inną placówkę z terenu opatowskiego, zdołano powtórnie zgromadzić 55 karabinów i 2 rkm-

Wśród najaktywniejszych mieszkańców wsi znalazł się Julian Listek, ps. Las, oraz Stefan Pasternak, ps. Wicek, który został dowódcą placówki.

Inicjatywa tworzenia placówek SZP lub ZWZ w różnych miejscowościach tego rejonu wyszła ze Starachowic. Pamiętam, że do wsi Bór Kunowski często przyjeżdżali ze Starachowic Bogdan Klepacz (z Majówki) oraz bracia Śliwińscy, organizując narady z moim ojcem i Julianem Listkiem w leśniczówce Klepacze.

Na wiosnę 1940 r. zorganizowano placówki we wsi Połągiew i Brody Iłżeckie, a także w Nietulisku.

W Połągwi zorganizował placówkę plutonowy Kazimierz Karwacki "Wiech", absolwent Szkoły Podoficerskiej dla małoletnich w Jarosławiu, który po walkach pod Lwowem uniknął niewoli i znalazł się w rodzinnym domu. Analogicznie w Brodach Iłżeckich plutonowy Walery Michałowski "Lech" utworzył placówkę, wciągając swoich podkomendnych do Straży Ogniowej, której był komendantem. Ten ostatni fakt ułatwiał mu szkolenie żołnierzy, pod pozorem ćwiczeń strażackich. Nie był to przypadek odosobniony, bo w niedalekim Kunowie sierżant Wacław Wanat dowodził strażakami, którzy byli jego podkomendnymi z ZWZ.

Dowódcą placówki w Nietulisku został pchor. artylerii Franciszek Wydra "Gromski", mieszkający przy stacji kolejowej Kunów 2 (obecnie Staw Kunowski) i pracujący wraz z ojcem i bratem Eugeniuszem, na kolei.

W celu lepszego zakonspirowania powstającej organizacji tworzone sekcje maks. pięcioosobowe, w których każdy żołnierz znał tylko dowódcę. Nie wolno było robić zbiorów. Każdy dowódca szkolił indywidualnie swoich żołnierzy. (Takie zaostrezone kryteria tworzenia pierwszych komórek organizacyjnych zostały wprowadzone po pierwszych aresztowaniach, jakie Niemcy przeprowadzili w Starachowicach).

Do organizacji przyjmowano przede wszystkim osoby, które przeszły służbę wojskową.

Kandydaci do organizacji musieli mieścić się w przedziale wieku od 16-tu do 40-tu lat.

Przyjmowano tylko ludzi odważnych, zdolnych do zachowania tajemnicy, których cechował patriotyzm i wola walki o niepodległość Kraju.

Nie wolno było przyjmować ludzi lubiących alkohol, gadatliwych, niezdecydowanych i tchórzliwych.

Każdy nowoprzyjęty musiał złożyć przysięgę według ustalonej formuły a natępnie postarać się o broń i wojskowe wyposażenie (karabin, bagniet, łopatka, ładownice, chlebak, tornister, hełm, amunicja i granaty, dobrze widziana była także krótka broń).

Latem 1940 r. będący z wizytą u mego ojca, Eugeniusz Dymitrow "Dąb", zauważył że umiem pisać na maszynie. Zapytał mnie wtedy czy należę do organizacji i gdzie, a gdy mu powiedziałem, postanowił zrobić mnie swoim pisarzem i łącznikiem. Dwa razy w tygodniu (wtorki i piątki) przyjeżdżał do mnie i dyktował mi teksty na maszynę.

Po napisaniu tekstów na cienkiej bibule zwijaliśmy ją w rolkę, owijali czarnym papierem i lakowali. Potem pocztę tę przewoziłem pod wskazany adres. Zwykle na stację kolejową Kunów (Staw Kunowski) gdzie Franciszek Wydra "Gromski" dostarczał ją koleją do Starachowic. Punkt odbiorczy Komendy Obwodu znajdował się przy ul. Marszałka Piłsudskiego 65, u państwa Łukaszewiczów, pochodzących z Wilna.

Równocześnie z tworzeniem placówek ZWZ w rejonie doliny rzeki Kamiennej, zaczęły powstawać podobne i w innych rejonach.

W Siennie inicjatorem i aktywnym działaczem ZWZ stał się nauczyciel Władysław Cheda "Zawisza" (brat znanego powszechnie "Szarego"). Często przyjeżdżał na leśniczówkę naradzając się z moim ojcem. Pamiętam jak po jednej z takich wizyt ojciec

polecił mi przygotować około 20 karabinów oraz broń maszynową (lekki karabin maszynowy, chłodzony wodą, oraz rkm wz. 28), gdyż w następnym dniu mieli po nią przyjechać ludzie z organizacji. Po 45 latach, czytając relacje, dowiedziałem się że po tę broń przyjechali wozem ludzie z Sienna, a między nimi Jerzy Falkiewicz "Orlątko".

Do tworzenia ZWZ na terenie Iłży włączyli się dawni działacze POW, a wśród nich Adam Szymański, Antoni Sępioł oraz młodzi oficerowie lub podchorążowie Kazimierz Starowicz, Karol Męciwoda, Bolesław Ostrowski, Antoni Heda, Zygmunt Kiepas i wielu innych. Opinia niektórych osób wskazywała na to, że na terenie Iłży przywódcą i głównym organizatorem SZP - ZWZ był oficer rezerwy i POW Adam Szymański. Inni wskazywali na Karola Męciwodę.

Zdjęcie fotograficzne które zrobiłem w kwietniu 1940 r., na którym w leśniczówce Klepacze konferują z moim ojcem Karol Męciwoda oraz Kazimierz Starowicz, świadczy najlepiej o aktywności tych ostatnich. Por. Kazimierz Starowicz był do wybuchu wojny 1939 r. Powiatowym Komendantem Przysposobienia Wojskowego dla powiatu iłżeckiego, z siedzibą w Starachowicach. Przed wybuchem wojny kierował budową stanowisk dla dział przeciwlotniczych w Starachowicach. W dniach 3 i 4 września utworzył z uczniów Fabrycznej Szkoły Rzemieślniczej oraz Szkoły Zawodowej, członków organizacji strzeleckich oraz harcerzy, kompanię szturmową, na czele której pomaszerował za Wisłę. Kompania ta, z numerem 3, włączona została do składu Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej i broniła przepraw na Wiśle w rejonie Kępy Gosteckiej i Kamienia. Potem wycofała się do Lublina prowadząc dalsze, udane walki, w obronie tego miasta. Zostały one opisane w opracowaniu pt. "Oni bronili Lublina w 1939 r. ", którego autorem był Alojzy, Leszek Gzella. Opracowanie to zostało wydane przez Koło ZBOWiD nr 19 w Lublinie. Rok 1989.

Jego doskonałe zdolności dowódcze oraz patriotyczne zaangażowanie (ocena jego podkomendnych ze Starachowic, m. in. Mieczysława Uzara) mogą świadczyć o tym, że w tworzeniu iłżeckiej organizacji on mógł być najważniejszą osobą.

Po powrocie z Kampanii Wrześniowej zamieszkał z rodziną w Iłży i tu wykorzystał swoją energię oraz wiedzę wojskową do dalszej patriotycznej działalności.

Fakt, że na rozmowy z moim ojcem on właśnie przyjechał a nie Adam Szymański, żyjący w przyjacielskich stosunkach z ojcem, bardzo za tym przemawia.

Patriotyczny entuzjazm i zbyt żywiołowe organizowanie ZWZ na terenie Iłży, doprowadziło do dekonspiracji organizatorów przed Niemcami i wszyscy główni założyciele, poza wyjątkami, zostali przez Niemców aresztowani i rozstrzelani w Brzasku koło Skarżyska Kamiennej. Krążyła też opinia, że Niemcy mieli sporządzone listy polskiej inteligencji którą należy zniszczyć, zrobione już przed wojną. Opinia ta nie ma dobrego uzasadnienia, gdyż szereg aresztowanych osób pojawiło się w Iłży dopiero w czasie wojny.

Likwidacja kierownictwa ZWZ w Iłży już na początku wojny, bo w maju i czerwcu 1940 r. zahamowała na pewien czas rozwój tej organizacji w Iłży, jednak po okolicznych wsiach powstawały coraz to nowe placówki. Z upływem czasu placówki uległy przemianowaniu na plutony, a z nich tworzone jednostki większe.

Z plutonów: Nietulisko, Bór Kunowski, Połągiew, Brody Iłżeckie i Jasieniec, utworzono kompanię nad którą objął dowództwo ppor. Henryk Lewański "Bartek", mieszkający w Lubieni. W późniejszym czasie pluton Nietulisko przekazano do Obwodu Opatów, a pluton Jasieniec był tylko na papierze, gdyż prawie nie miał broni. Kompanię

tworzyły trzy dobrze uzbrojone plutony. Oficer Organizacyjny, którym był Eugeniusz Dymitrow "Dąb", a potem "Robur", polecił "Bartkowi" aby postarał się zorganizować jeszcze jeden pluton z ludzi zamieszkujących Lubienię, Przymiarki i Henryk. Po pewnym czasie "Bartek" zameldował "Roburowi", że nie jest w stanie utworzyć plutonu zgodnie z poleceniem, gdyż we wspomnianych wioskach mieszka niepewny element, zaglądający dużo do kieliszka i pracujący w Starachowicach, w styczności z Niemcami. "Robur" po wysłuchaniu "Bartka" wyraził przekonanie, że "Bartek" boi się poprostu dekonspiracji w terenie na którym mieszka i dlatego woli się tego zadania nie podejmować. Nie było innej osoby, która mogłaby się tym problemem zająć i tak już pozostało.

W latach 1941 - 1942 i częściowo 1943 "Robur" zajmował się scalaniem ZWZ, NSZ, BCh, i innych organizacji zbrojnych w jedną całość pod nazwą AK (w korespondencji używana była nazwa WK). Związek Walki Zbrojnej był organizacją liczną i dysponującą dużą ilością ludzi wojskowo przeszkolonych. Podobnie było w NOW (Narodowa Organizacja Wojskowa), z tym że organizacja ta była mniej liczna. Jeszcze mniejsza była PPS-WRN (Polska Partia Socjalistyczna), miała jednak w swym składzie wielu oficerów i podoficerów. Niektórzy z nich, jak np. Stanisław Kwasiborski "Krzew" weszli do grona oficerów Komendy Obwodu.

Dużą organizację zbrojną stanowiły Bataliony Chłopskie, zwane w skrócie BCh. Komendantem powiatowym BCh na powiat iłżecki był ppor. Jan Gruszka "Bartosz". Ponad dwa lata toczyły się rozmowy na temat połączenia się BCh z ZWZ, nie przynosząc efektu. Przywódcy BCh domagali się aby w nowej organizacji jaką miała być Armia Krajowa, połowę stanowisk dowódcach przydzielić bechowcom. "Robur" zwracał uwagę przedstawicielom BCh, że przedstawione przez nich listy żołnierzy BCh są zawyżone i na listach tych znajdują się osoby, które już od dawna aktywnie działają w ZWZ, nie wiedząc nic o tym iż BCh wciągnęły ich do swojej ewidencji. Poza tym BCh wnoszą do nowej organizacji bardzo małą ilość broni. Największym jednak mankamentem był brak w BCh ludzi z wojskowym wyszkoleniem. Związek Walki Zbrojnej tworzył się najwcześniej i wchłoniął w siebie prawie wszystkich byłych wojskowych, tworząc organizację czysto wojskową. Trudno jest teraz powierzać dowodzenie oddziałem komuś bez przeszkolenia wojskowego, tylko dlatego że jest z BCh. Bechowcom nie można było tego w żaden sposób wytłumaczyć.

"Robur" widząc że się z bechowcami nie dogada, złożył raport w tej sprawie. Raport poszedł do Warszawy, a może i dalej, i "Bartosz" otrzymał od swojej władzy polecenie nie targować się a łączyć szybko z ZWZ.

Ustalono ostatecznie, że dowódcy w nowej organizacji będą z ZWZ a ich zastępcy z BCh.

W ten sposób "Bartosz" został zastępcą Komendanta Obwodu AK, a ppor. Stanisław Piasek "Granit" został zastępcą Komendanta WSOP dla Inspektoratu. Poza tym bechowcy zastrzegli dla siebie inne mundury i oznaczenia. Chcieli nadal stanowić coś odrębnego.

Kłopoty z bechowcami na terenie iłżeckim istniały nadal aż do końca wojny, pod koniec której zaczęli dogadywać się z alowcami, po to by razem przebijać się przez front a po potem wziąć udział w tworzeniu milicji obywatelskiej w PRL. Wysyłane w czasie wojny przez "Robura" do "Ośki" pisma, domagające się podania do ogólnej ewidencji ilości ludzi i broni w oddziale którym dowodził, pozostawały bez odpowiedzi. Słyszałem jak Zygmunt Kiepas "Krzyk" mówił do "Szarego", iż widział się z "Oską" i ten po

wypiciu wódki zaczął ujawniać swe żale pod adresem akowców, a szczególnie "Szarego". Walił pięścią w stół aż szklanki podskakiwały, mówiąc że gdyby nie "Szary" to sprawa chłopska na terenie iłżeckim by inaczej stała.

Widać na tym przykładzie, że byli ludzie którzy swe ambicje polityczne przedkładali nad sprawy zjednoczenia Narodu w walce z groźnym okupantem. Na szczęście nie było ich dużo.

W pierwszej połowie 1943 r. akcja scalania została zakończona. "Robur" opracował schemat organizacyjny AK dla całego obwodu, obejmującego mniej więcej tereny iłżeckiego powiatu, i schemat ten został zatwierdzony. Dawne obwody ZWZ zostały przemianowane na podobwody, a obwodem była całość. Została sporządzona ewidencja wszystkich żołnierzy i podział na jednostki. Wykaz taki pisałem na maszynie do dyspozycji Komendy Okręgu. Jego odpis pozostał w moim archiwum. Krótki wyciąg z tego wykazu został przekazany do dyspozycji Referatu III-go (Operacyjno - Szkoleniowego), prowadzonego przez kpt. Jerzego Niemcewicza "Kłosa" i zachował się w jego archiwum, przechowywanym przez leśniczego Józefa Górkę, ps. Zawilec. Wykaz ten przytaczam na końcu rozdziału.

W wykazie przeznaczonym do dyspozycji Okręgu byli wyszczególnieni żołnierze każdego plutonu, z podaniem stopnia, pseudonimu oraz daty urodzenia. Na początku wykazu poszczególnych plutonów był podany numer plutonu i nazwa miejscowości, której pluton był przyporządkowany. Następnie podana była ilość broni którą pluton dysponował, a więc karabiny maszynowe (km), karabiny zwykłe (kb), karabiny przeciwpancerne (było ich w sumie około pięciu), granatniki (kilkanaście szt.), pistolety, granaty oraz ilość amunicji. Numery plutonów zaczynały się od 100 i kończyły się na 184. Do końca wojny ilość plutonów przekroczyła numerację 200. Plutony zostały przyporządkowane kompaniom o numerach od 50 w wyż.

Ewidencja oficerów była dokładniejsza, z podaniem imienia i nazwiska oraz jednostki WP, w której odbywał służbę dany oficer, a także w jakim okresie. Podana była również data wstąpienia do ZWZ. Nazwisko i imię oraz chyba data urodzenia, podane były szyfrem liczbowym.

Niezależnie od normalnych pseudonimów, oficerowie i podchorążowie mieli pseudonimy liczbowe, złożone z części literowej i cyfrowej. Oficerowie mieli pseudonimy liczbowe zaczynające się literą "S". Na przykład "Robur" miał S-309, a "Grad" S-2304. Podchorążowie WP mieli pseudonimy liczbowe zaczynające się literą "M". Na przykład "Włodek" miał pseudonim liczbowy M-380. Podchorążowie wyszkoleni już w AK mieli pseudonimy liczbowe zaczynające się literami "ZM". Na przykład mój pseudonim liczbowy brzmiał ZM-345, a np. dla "Bukowego" (Władysław Dąbek) ZM-85.

W załączniku nr 2 do niniejszego opracowania zamieściłem szereg ocalałych pism organizacyjnych, jakie pisałem na maszynie "Roburowi", w których wiele osób może jeszcze znaleźć swoje dane ewidencyjne, a czytelnik może wyrobić sobie pogląd na sposób i formę prowadzenia korespondencji w Referacie Organizacyjnym Komendy Obwodu Starachowicko-Iłżeckiego.

Dla zmylenia wywiadu przeciwnika stosowane są różne kryptonimy, przeważnie pisane umownymi skrótami. Nazwa Obwodu raz jest "Baszta" innym razem "Cykoria", z zastosowaniem skrótu "Cyk". "Robur" także podpisuje się różnie, stosując skróty: "Ubo", "Yzs", "Rb", a czasem podpisując się pełnym pseudonimem.

Są także pisma na których podpisuje się w imieniu Komendanta Obwodu "Dariusza" skrótem "Dar".

Obwód obejmujący tereny ilżeckiego powiatu, podzielony był na cztery podobwody o nazwach: Morwa, Wola, Dolina i Zorza. Jakie miejscowości należały do poszczególnych podobwodów, widać z wykazu plutonów liniowych, zamieszczonego na końcu rozdziału. "Zorza", obejmująca tereny Powiśla, nazywana była także "Niwą", a wcześniej "Tęczą".

Armia Krajowa organizując się i szkoląc, przygotowywała się do jednoczesnego powstania na całym terytorium. Powstanie takie miało nastąpić w porozumieniu z aliantami, w chwili gdy zaistnieją odpowiednie warunki. Nie miało żadnego sensu prowadzenie wojny z Niemcami w oderwaniu od sojuszników. Wszelkie akcje zbrojne przeciw Niemcom na terenie kraju powodowały okrutne represje okupanta na ludności. Z tych względów akcje zbrojne Armii Krajowej ograniczały się tylko do akcji koniecznych. Gdy trzeba było zastrzelić jakiegoś konfidenta lub wyjątkowo szkodliwego Niemca, starano się zamach tak przeprowadzić aby nie było pretekstu do zemsty na ludności. Wybierano miejsce na zasadzkę w rejonie odległym od wsi, a jeśli to nie było możliwe, starano się akcję tak przeprowadzić aby zmylić tropy przeciwnika. W szeregu przypadkach sugerowano Niemców, że akcji dokonali partyzanci żydowscy lub radzieccy, podrzucając na miejscu walki łuski z radzieckiej amunicji. W takich przypadkach Niemcy nie dokonywali represji.

Przygotowując poszczególne plutony do generalnego powstania, ich dowódcy otrzymywali przydziały zadań, które musieli opracować i przedstawić do oceny w Komendzie Obwodu. Tymi sprawami zajmował się Referat III-ci, prowadzony przez kpt. Jerzego Niemcewicza "Kłosa, późniejszego Komendanta Obwodu Końskie, a następnie dowódcę I-go baonu, 3 pp leg. AK.

Na użytek Referatu III-go, który nazywał się operacyjno-szkoleniowym, Referat II-gi, czyli wywiad, sporządzał aktualne wykazy jednostek niemieckich, stacjonujących na obszarze Obwodu. Jeden z takich wykazów jest przedstawiony jako załącznik nr 3. Do wykazu tego kpt. "Kłós" dorabiał jeszcze jedną rubrykę, w której umieszczał numery plutonów przeznaczonych do zniszczenia niemieckiej jednostki lub robił osobną tabelę w której zamiast pełnego określenia niemieckich jednostek, wstawione były tylko pozycje obiektów nieprzyjacielskich, przyjęte z przytoczonej tabeli.

W korespondencji zamiast słowa "powstanie" używano kryptonimu "dzień potu" lub poprostu "pot", ponieważ było to skojarzenie z maksymalnym wysiłkiem dla organizacji.

Z najlepiej uzbrojonego i zorganizowanego podobwodu "Dolina" (1200 ludzi, 445 karabinów i 18 karabinów maszynowych) 17 plutonów miało tworzyć samodzielny baon (batalion), którego zadaniem było oczyszczenie z nieprzyjaciela obszaru Radomia, położonego na wschód od linii kolejowej, z pominięciem lotniska wojskowego Sadków.

Na dowódcę tego baonu przewidziano kpt. Eugeniusza Dymitrowa „Robura”, doskonałego oficera, znającego przy tym dobrze Radom, gdzie służył w 72 pułku piechoty.

Na zastępcę "Robura" przewidziano aktualnego Komendanta Podobwodu "Dolina", por. Mariana Wujkiewicza "Judyma". Adiutantem dowódcy baonu miał być pchor. art. Franciszek Wydra "Gromski" (regulamin WP przewidywał na adiutanta dowódcy baonu, oficera lub podchorążego).

"Robur" po otrzymaniu zadania, natychmiast przystąpił do rozpoznania sił niemieckich, na przydzielonym sobie obszarze Radomia. Dane te były niezbędne do

opracowania planów operacyjnych. W związku z tym zostałem wysłany do Radomia aby obejrzeć interesujący nas teren i zorientować się jakie jednostki niemieckie są na nim zakwaterowane.

Po zatrzymaniu się u znajomych w dzielnicy Glinice (rodzina państwa Chamskich) wypuszczałem się na spacer i obserwację miejsc zakwaterowania jednostek niemieckich.

Stwierdziłem, że w Glinicach, na wprost wieży ciśień (zbudowanej jeszcze pod zaborem rosyjskim i istniejącej tam do dziś) w dwu długich, drewnianych barakach, mieści się kompania własowców. Inna jednostka mieściła się bliżej dworca kolejowego. Był to oddział SS, pilnujący obozu pracy dla Żydów.

Okazało się, że "Robur" nie polegał tylko na moim raporcie i w podobnym celu wysłał także "Judyma", a potem pojechał sam, obejrzeć osobiście pole przyszłych walk.

Pamiętam jak "Robur" po powrocie z Radomia rozmawiał na ten temat z kpt. Stanisławem Poredą "Świątkiem" i mówił mu, że przeprowadził konsultacje z szefem wywiadu AK w Radomiu, Józefem Teligą, ps. Habdank. Pamiętam jak mówił do St. Poredy, że Teliga ma w swej siatce jakiegoś pastora, który jest Niemcem, ale w rzeczywistości bardzo dobrym Polakiem. Pastor ten zdobywa dla niego bardzo cenne informacje. "Robur" wyrażał duże wątpliwości o wiarygodności tego pastora i dziwił się że Teliga mu wierzy.

Chociaż podobwód "Dolina" miał w całym obwodzie najlepsze uzbrojenie, to z uwagi na poważne zadania jakie mu przydzielono, otrzymał dodatkowo w połowie lipca 1944 r. broń ze zrzutów.

Jak widać z wykazu ludzi i broni, sporządzonym po akcji scalania, bardzo dużo plutonów, szczególnie w Starachowicach i Skarżysku było bez broni. Pamiętam jak w 1940 r. przyjechali do mego ojca przedstawiciele ZWZ ze Starachowic w poszukiwaniu uzbrojenia. Powiedzieli przy mnie do ojca, że w całych Starachowicach mają tylko dwa karabiny. Nie mogłem w to uwierzyć. Zaklinali się, że mówią prawdę. Patrząc teraz na ocalały wykaz ludzi i broni, widać wyraźnie iż nie kłamali.

Ojciec uzgodnił z nimi, że zostanie przesłany transport 16 karabinów, ukrytych w wagoniku kolejki leśnej, który odcepią w lesie przed tartakiem na Bugaju i rozładują. Wagonik uzna się za awaryjnie urwany.

Wagoniki o budowie skrzynkowej, załadowane zostały na składowisku drewna kolejki leśnej w Klepaczach tzw. szczapą, tj. łupanymi kawałkami drewna długości jednego metra. W ostatnim wagoniku, pomiędzy drewno, gajowy Kazimierz Czaja "Dąb" włożył nocą te karabiny, meldując rano ojcu o tym.

Dwa tygodnie później przyjechało dwóch ludzi ze Starachowic rowerami i wydałem im jeszcze 8 karabinów. Przypuszczalnie musieli te rowery do Starachowic prowadzić, gdyż nie wyobrażam sobie jazdy lasem, po nocy, z takim ładunkiem.

Patrząc na wykaz uzbrojenia dochodzę do wniosku, że prawie całe uzbrojenie organizacji starachowickiej w karabiny, pochodziło z Klepacz. Nie oznacza to, że uzbrojenie podane w wykazie było ostateczne. W 1944 r. do rąk żołnierzy AK wpłynęło sporo broni dodatkowej pochodzenia niemieckiego, radzieckiego, angielskiego, a także potajemnie produkowanego w Starachowickich Zakładach.

Równoległe z produkcją broni prowadzono w Zakładach intensywną akcję wywiadowczą. Jak podaje Wiesław Karwacki "Karp", w czasie wojny pracownik Zakładów Starachowickich, organizacja "Polska Niepodległa", która weszła w skład AK, utworzyła komórkę wywiadowczą do której należeli: inż. Robak, Bronisław Wietrzyński, Józef Niziołek, Helena Sobieraj, Eugeniusz Niebudek, Pawelec, Janina Kociówna (która

jako pracownica archiwum wynosiła dokumentację narzędziowni), Olszewski (robił kopie), Irena Koziczowska (ruch maszyn), Piotr Basa, Stanisław Filman "Gabriel" i Wiesław Karwacki "Karp". Grupa ta była jedną z wielu jakie działały na terenie Zakładów. Niektóre przykłady materiałów wywiadowczych zdobywanych przez tych ludzi, przedstawione są w załączniku nr 8.

Jeśli chodzi o organizację w środowiskach wiejskich, to jak wspomniałem, najlepiej wypadł podobwód "Dolina". Wprawdzie w samej Iłży organizacja została sparaliżowana już w 1940 r. gdy Niemcy aresztowali i rozstrzelali najbardziej czynny aktyw, to jednak w okolicznym terenie pozostało wielu takich, którzy nie dali się zastraszyć i dzięki nim organizacja żyła i rozwijała się. Do najbardziej aktywnych ośrodków "Doliny" należały Małomierzycy, Krzyżanowice i Pakosław.

W Małomierzycach i okolicznych państwowych lasach personel leśny zorganizowany był w tzw. "Przysposobieniu Wojskowym Leśników". Komendantem PWL był nadleśniczy inż. Stanisław Czech, ppor. rezerwy, a jego zastępcą leśniczy ppor. Jerzy Żmijewski, mieszkający w Małomierzycach. Do niego należało szkolenie wojskowe podległych mu gajowych i podobne funkcje pełnił potem w czasie wojny w ZWZ, pod pseudonimem "Zielony" lub "Szczęsny".

Po wrześniowych walkach pod Iłżą w 1939 r. gajowi Adam Barszcz, Stanisław Jaś, Jan Jaś, Smołuch, Julian Gębusia, i mieszkający w pobliżu Antoni Heda, a także inni mieszkańcy wsi, ukrywali porzuconą w lasach broń i sprzęt. Wszystko to potem przejął ZWZ. Gdy po aresztowaniach przywódców organizacji w Iłży Antoni Heda postanowił przedostać się na Zachód, wpadł w ręce NKWD. Potem gdy Niemcy wypuścili go z więzienia w Brześciu, podczas powrotu został zatrzymany przez Niemców i potraktowany jako żołnierz radziecki, którego skierowano do obozu jeńców. Po około rocznym pobycie w obozie udało mu się zbiec i powrócił do Małomierzyc. W tym czasie komendantem rejonu Iłży był ppor. Stanisław Piasek "Granit" z Pakosławia. Antoni Heda został jego zastępcą lecz na bardzo krótko. Ppor. "Granit" dał się namówić do przejścia w szeregi BCh i Antoni Heda "Ząb" objął po nim stanowisko. Był to już zorganizowany podobwód "Dolina". Zastępcą komendanta podobwodu został ppor. Jerzy Żmijewski "Szczęsny".

Na leśniczówce Małomierzycy, w której, mieszkał, opracowywał wraz z innymi oficerami instrukcje, regulaminy, odbywały się tu narady konspiracyjne, także z udziałem oficerów Komendy Obwodu.

Do częstych gości w jego domu należeli: szef III-go referatu Komendy Obwodu Jerzy Niemcewicz "Kłós", Zastępca Komendanta Obwodu Franciszek Walewski "Stryjek", Komendant Podobwodu Antoni Heda "Szary", Jan Pietrzykowski "Wąsik", "Wujek" (NN), "Pestka" (NN), i inni. Jeden z pokoi leśniczówki został zamieniony na pomieszczenie sztabowe. Działała tu radiostacja, pisano na maszynie dokumenty, wykonywano oleaty sytuacyjne i szkoleniowe. W pracy konspiracyjnej jaka się odbywała na leśniczówce brała udział w różnym stopniu cała rodzina leśniczego Żmijewskiego, tj. żona Maria, ps. "Mateńka" oraz synowie Włodzimierz i Andrzej. Oni to rozpinali na poddaszu budynku ukryte przewody antenowe do radiostacji, którą przywiozła z Kielc łączniczka Janina Grzegolec. Podczas transportu tej radiostacji koleją, natrafiła w Skarżysku na kontrolę pasażerów. Przez kordon żandarmerii, która otoczyła perony, przeprowadził łączniczkę jakiś niemiecki żołnierz, który chciał się jej przypodobać.

Radiostacja pracowała na leśniczówce do 31 marca 1943 r. tj. do chwili aresztowania leśniczego Jerzego Żmijewskiego. Został on przewieziony do Gestapo w Radomiu i zamęczony podczas badań.

Podstawową pracę łączniczki w Małomierzycach wykonywała Sabina Żyłko (z męża Kotfis), ps. Sabina. Utrzymywała ona łączność z dwoma skrzynkami pocztowymi Komendy Obwodu w Iłży. Jedną z nich prowadziła nauczycielka o pseudonimie "Miód", a drugą Lucyna Falińska z córką Wandą. Ta ostatnia skrzynka została ujawniona w Gestapo przez Tadeusza Sulimę, ps. Sarmata, oficera łączności w podobwodzie "Morwa" (patrz, raport Gestapo - załącznik nr 4). Według uzyskanych w Iłży informacji, żadna z pań Falińskich nie została aresztowana. Przypuszczalnie dlatego, że Gestapo nie likwidowało wykrytych skrzynek pocztowych a poddawało je obserwacji, o czym świadczy inny raport Gestapo (załącznik nr 5). Były w Iłży jeszcze inne skrzynki pocztowe AK, jak np. u Ireny Bajor, do której osobiście dostarczałem spore ilości konspiracyjnej prasy, a wśród niej prasę w języku niemieckim. Jadwiga Jastalska, Franciszka Halanka, i z pewnością wiele innych, były łączniczkami Komendanta Podobwodu "Szarego".

Żona leśniczego J. Żmijewskiego, członkini ZWZ - AK, po śmierci męża nie zaprzestała swej działalności w organizacji. Pod pseudonimem "Mateńka" spełniała rolę łączniczki oraz sprawowała opiekę nad rannymi partyzantami Iłżeckiego Pułku AK "Potoka", leczonymi w Szkole Rolniczej w Chwałowicach. Razem z nią działali w organizacji jej dwaj synowie Andrzej i Włodzimierz. Starszy Włodzimierz był uczestnikiem walk oddziałów AK w lasach małomierzyckich, które miały miejsce w sierpniu 1944 r.

Przez okres nieobecności Antoniego Hedy "Szarego", jednostki organizacyjne na terenie podobwodu iłżeckiego bardzo się rozwinęły. Przybyło ludzi i broni. Gdy "Szary" powrócił w 1942 r. i objął dowództwo nad podobwodem, z całą swoją niespożytą energią zajął się dalszą rozbudową organizacji i jej dobrojeniem. Dwoił się i troił jeżdżąc po całym terenie w poszukiwaniu dodatkowej broni. Był to już czas, kiedy broń było trudniej zdobyć. Ludzie, którzy ją mieli należeli zwykle do organizacji, a ci co nie należeli, też nie mieli skłonności do pozbycia się jej.

Miałem w tym czasie jeszcze jeden rkm wz. 28, który bardzo celnie strzelał i zacząłem chodzić z nim na polowania, a w perspektywie chciałem z nim iść do walki z wrogiem. Gdy pewnego dnia "Szary" poprosił mnie abym znalazł gdzieś dla niego karabin maszynowy, nie przyznałem się że go mam. Wspomniałem o tym "Roburowi". Reakcja "Robura" była dla mnie zaskakująca.

Z całą energią przekonywał mnie, że nie ma najmniejszego sensu iść na wojnę z rkm-em i zachęcał mnie abym go niezwłocznie przekazał "Szaremu". Rkm waży 9 kg i wkrótce poczujesz jego ciężar. Podczas walki karabiny maszynowe idą do przodu jako pierwsze, a podczas wycofywania się jako ostatnie. Nieprzyjaciół zwalczą przede wszystkim broń maszynową i wszyscy będą do ciebie strzelać. Tak mnie zasypał argumentami nie do odrzucenia, że gdy "Szary" ponownie przyjechał, a było to chyba w grudniu 1942 r., przekazałem mu ten rkm, uznając w duchu że zarówno on jak i ja będziemy z tego faktu zadowoleni.

Innym razem "Szary" poprosił mnie o wyszukanie mu pistolem typu "Vis". Powiedział, że gdy powrócił w rodzinne strony, tego typu broń ma już właścicieli, którzy nie chcą się jej pozbywać. Nie wypada jednak aby Komendant Podobwodu nie miał takiej broni.

Tak się złożyło że miałem "Visa". Strzelałem z niego tak celnie jak z karabinu i to na odległość rzędu 150 m. Pistolet ten źle był przechowywany przez poprzedniego właściciela i na całej powierzchni zewnętrznej zardzewiał. Aby poprawić jego wygląd oszlifowałem go na białą. Gdy się dowiedziałem, że "Szary" nie ma pistoletu, podarowałem mu go.

We wrześniu 1943 r. "Szary" objął dowództwo oddziału leśnego i wtedy zauważyłem, że mój pistolet wymienił z kimś na inny w nienagannym stanie.

Prawdopodobnie zamiany dokonał z Mieczysławem Śliwińskim, ps. Zew, który z takiego właśnie pistoletu zastrzelił agenta Gestapo, osadzonego przez ten urząd na miejscu zamordowanego przez gestapowców, leśniczego Jerzego Zmijewskiego. Z tego pistoletu M. Śliwiński zastrzelił jeszcze kilku Niemców, mszcząc swoich braci, także zamordowanych przez niemieckich najeźdźców.

"Szary" poruszając się w terenie nigdy nie wyznaczał daty następnego spotkania. Mówił zwykle, że zjawi się w najbliższym czasie. Stale zmieniał swój wygląd i środki lokomocji, tak że czasem trudny był do rozpoznania. Nawet będąc już dowódcą oddziału leśnego, unikał znajomości z ludźmi których nie znał i nie mógł im zaufać. Gdy przybywali do niego na rozmowy, podstawiał na swoje miejsce innych a sam przysłuchiwał się z boku.

Dziś widać najlepiej, że tak właśnie należało postępować. Wywiad niemiecki był bardzo wielostronny i nie łatwo się było przed nim ustrzec. Jak widać z raportu Gestapo (załącznik nr 5), już w 1943 r. Niemcy wykryli punkt kontaktowy do "Szarego", pisząc że znajduje się u Antoniego Dziury w Podkońcach. Był to adiutant Komendy Podobwodu, podporucznik "Szczęk". Trudno było Niemcom zorganizować obserwację tego punktu, znajdującego się na wsi, zdaleka od miasta, i zamiast obserwacji stosowali niespodziewane najazdy. Tu właśnie schwytali Czesława Michalca, który przybył z rejonu Tarłowa, aby dołączyć do swej drużyny w Iłżeckim Pułku AK, dowodzonej przez Mariana Zubrzyckiego "Czarskiego". Natychmiast przewieźli go do starachowickiego Gestapo, sądząc że trafili na trop po którym pójdą dalej. Na szczęście chłopak był z innego terenu i nic nie wiedział. Gestapowcy szybko się zorientowali w pomyłce i wysłali Michalca do obozu pracy w rejonie Królewca.

Po śmierci por. Jerzego Zmijewskiego zastępcą Komendanta "Doliny" został pchor. Marian Wujkiewicz "Judym", wytypowany na to stanowisko przez "Szarego". Urodzony 26. 10. 1918 r. otrzymał maturę w 1936 r. Podchorążówkę ukończył w Zambrowie. Praktykę wojskową przeszedł w 42 pułku piechoty w Białymstoku.

Studiując na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego brał udział w zajęciach Legii Akademickiej. Podczas powrotu w 1939 r. z sierpniowych ćwiczeń na Wołyniu, znalazł się 1-go września w Warszawie, witany wybuchami niemieckich bomb lotniczych.

Ochotników do 36 pułku Legii Akademickiej nie przyjmowano, więc zgłosił się na apel Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego do Oddziałów Obrony Warszawy i został przydzielony do 26-go pułku piechoty ze Lwowa. W III-cim batalionie tego pułku, walczył z Niemcami w rejonie Bemowa (dawniej Bernerowa), na przedpolu Babic.

Dowodząc drużyną został ranny w rękę lecz żołnierzy nie pozostawił, broniąc wraz z nimi budynku, aż do chwili rozkazu opuszczenia go.

Po kapitulacji Warszawy powrócił do rodziców, mieszkających w Pakosławiu koło Iłży. Ojciec "Judyma" pracował tam jako kierownik gorzelni, w majątku Bogdana Rauszera. Niemcy Rauszera usunęli do folwarku Michałów, a majątek Pakosław przejął

w posiadanie Kreislandwirt Kurt von Szczepański. Ponieważ Szczepański, jako wicestarosta do spraw rolnictwa musiał przebywać w Starachowicach, do kierowania gospodarką majątku osadził swego przyjaciela von Łukowicza, a sam dojeżdżał tylko co jakiś czas na odpoczynek lub na polowania. Zarówno Szczepański jak i Łukowicz byli polskimi renegatami, którym zaimponowała przynależność do "rasy panów". Obaj stali się nadgorliwcami w realizacji polityki hitlerowskiej. Bili i strzelali do ludzi gdy uznali to za stosowne, palili zabudowania rolnikom którzy nie dostarczali terminowo zboża lub powodowali ich aresztowanie. Obaj zostali skazani przez Armię Krajową na śmierć.

Nie chcąc narażać mieszkańców Pakosławia na represje, dokonano zasadzki na szosie, w lesie skaryszewskim.

Była to zima 1942 r. Von Łukowicz wyjechał sankami do Radomia i zamachowcy wyjechali mu na spotkanie także sankami. Do zamachu jednak nie doszło. W chwili dogodnej dla zamachowców pojawiły się na szosie niemieckie samochody. Po oddaleniu się samochodów puszczono się w pogoń za von Łukowiczem, lecz dworskie konie okazały się lepsze od tych, którymi jechali zamachowcy.

Na wiosnę 1943 r. oddział GL dowodzony przez radzieckiego kapitana Andrejewa, którego zastępcą (politnikiem) był Chyl Brawerman "Baca", wkroczył na teren majątku i von Łukowicza zastrzelono.

Ponieważ Niemcy uznali, że zastrzelenia dokonał oddział żydowski, nie było represji na mieszkańcach Pakosławia. W czasie tej akcji "Baca" schwycił "Judyma" i razem z nim poszedł gorzelnię podpalić. Po drodze "Judym" przekonał Brawermana, że nie ma sensu palić gorzelni, gdyż jest to zakład który po wojnie będzie produkował dla kraju, a lepiej będzie otworzyć krany i tylko wypuścić ze zbiorników spirytus. Tak też zrobili. Gdy Brawerman sobie poszedł "Judym" kurki pozakręcał, a spirytus ludzie wykorzystali dla siebie.

"Judym" należał do ludzi bardzo odważnych, nie ulegających zdenerwowaniu, dobrze przygotowanych wojskowo i doskonale nadawał się na dowódcę. "Szary" natychmiast dostrzegł te cechy u "Judyma" i nic dziwnego, że gdy trzeba było uwolnić ludzi z rąk Gestapo w Starachowicach, w akcji nadzwyczaj niebezpiecznej, wykonywanej przez niewielką grupkę ludzi, "Judym" stał się "prawą ręką" "Szarego".

We wrześniu 1943 r. "Szary" przeszedł na dowódcę oddziału leśnego a stanowisko Komendanta Podobwołu "Dolina" objął "Judym". Jego zastępcą został ppor. Ryszard Brodecki "Błyskawica", bardzo oddany i zdolny oficer.

Ppor. Ryszard Brodecki urodził się 1. 4. 1917 r. w Moskwie. Ojciec był pracownikiem kolejowym. Syn poszedł w ślady ojca i po skończeniu gimnazjum także poszedł na studia kolejarskie.

Jako wyjątkowo zdolny i pilny uczeń został przedstawiony na Zamku Prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu. Otrzymał od niego nagrodę w postaci książki o marszałku Śmigłym Rydzu. Będąc niepełnoletnim poszedł do wojska jako ochotnik i we wrześniu 1937 r. znalazł się w 4-ej kompanii Szkoły Podchorążych Centrum Wyszkożenia Saperów w Modlinie. Po wstępnym okresie znalazł się w grupie najlepszych saperów, wytypowanych do dalszego szkolenia w plutonie podchorążych saperów przy Batalionie Mostów Kolejowych w Krakowie. Po ukończeniu szkolenia otrzymał przydział do II-go Batalionu Mostów Kolejowych w Legionowie. W cywilu został zatrudniony w Dyrekcji Okręgowej PKP w Warszawie, w dziale techniczno-ruchowym. W maju 1939 r. powołany na ćwiczenia zdaje egzamin oficerski. Zmobilizowany 27 sierpnia 1939 r. zostaje dowódcą 3-go plutonu, 23-ej kompanii bojowej. 1-go września 1939 r. kieruje

w Warszawie ruchem transportów kolejowych, bombardowanych i ostrzeliwanych przez niemieckie lotnictwo, aż do chwili gdy wraz z konwojowanym transportem wjechał do Siedlec, nie wiedząc że miejscowość ta jest już zajęta przez nieprzyjaciela.

Transport, po wjechaniu na stację kolejową, został ze wszystkich stron ostrzelany silnym ogniem. Tylko ciemności i osłony terenowe umożliwiły wycofanie większości plutonu w kierunku Brześcia. Po dotarciu do tego miasta, częściowo pieszo, częściowo koleją, łączy się z kompanią saperów, dowodzoną przez kpt. Parońskiego. Zostaje wyznaczony na dowódcę plutonu.

Kompania, po różnych działaniach wojskowych, dotarła do Kowla. Były tu już oddziały radzieckie. W zaistniałej sytuacji kompania połączyła się z dużą jednostką piechoty, pod dowództwem płk. Płonki (brak pewności czy nazwisko nie zostało zniekształcone) i ppor. Ryszard Brodecki walczy dalej jako dowódca plutonu piechoty. W walkach z Niemcami dochodzi do starć na bagnety. 2-go października dostaje się do niewoli radzieckiej. Idąc do Zamościa w kolumnie jeńców ucieka, wykorzystując plantacje tytoniu oraz ciemności.

Po powrocie do domu w okolicę Łodzi grozi mu aresztowanie. Chroni się ucieczką w okolice Przytyka, a potem Rzeczniowa koło Iłży. Tu nawiązuje kontakt z "Judymem" i rozpoczyna działalność w ZWZ.

Rozkazem: Baszta 338/0184/Bi Komendanta Obwodu "Dariusza", mianowany dodatkowo z dniem 1. 8. 44 kierownikiem referatu saperskiego "Doliny". Rozkaz ten pozostał na papierze, gdyż w dniu tym wybuchło w Warszawie powstanie, po którym nastąpiły wydarzenia zmieniające zadania ppor. "Błyskawicy", o czym będzie mowa w dalszej treści.

Wśród innych, wyróżniających się oficerów "Doliny", był kierownik referatu Iii-go (operacyjno-szkoleniowego), ppor. Marcei Dusiński "Dym". Po wymarszu oddziałów na pomoc Warszawie (akcja "Jodła"), co nastąpiło w sierpniu, został mianowany Komendantem Podobwodu "Dolina". Pełnił te obowiązki do października, po czym przeniesiono go na identyczne stanowisko do Starachowic. W tym czasie z powodu zdobycia przez Niemców zbyt wielu informacji na temat starachowickiej organizacji AK, nazwa podobwodu "Wola" zmieniona została na "Barbara" i zmieniono komendantów podobwodów. Dotychczasowy komendant "Woli" Piotr Wróbel "Jawor" został przeniesiony na miejsce "Dyma" a "Dym" już jako "Jazon", na miejsce "Jawora".

Por. Marcei Dusiński "Dym", "Jazon", urodził się 2. 6. 1911 r. w Wilczym Ługu koło Radomia. Po ukończeniu wydziału chemii na Politechnice Warszawskiej zostaje absolwentem Szkoły Podchorążych w Zambrowie, a następnie przy 4-tym pułku piechoty w Kielcach. W 1935 r. nominowany na podporucznika, z przydziałem do 72 pułku piechoty w Radomiu.

We wrześniu 1939 r. walczy pod Zagnańskiem koło Kielc, jako dowódca kompanii karabinów maszynowych. Od 3. 1. 1940 r. staje się żołnierzem ZWZ.

Bardzo aktywnym oficerem "Doliny" był także por. Wacław Cieśla "Siarka". Urodzony 5. 11. 1912 r. odbywał służbę wojskową w 43 pp. W ZWZ działał od 1. 2. 1941 r. W "Dolinie" był dowódcą kompanii.

Innym, dobrze znanym żołnierzom ZWZ- AK, był także dowódca kompanii, ppor. Stanisław Kowalczyk "Grad". Urodził się 16. 11. 1916 r. Awans na porucznika otrzymał już w Armii Krajowej. Był oficerem bardzo zdyscyplinowanym, stawiającym podobne wymagania innym. W sierpniu 1944 r. poszedł do 3 pp leg. AK w ramach akcji "Jodła" i poległ w walce z Niemcami w okolicy Końskich.

Do grona najdzielniejszych i najbardziej aktywnych oficerów "Doliny" należy zaliczyć ppor/por. / Wincentego Tomasika "Potoka". Był wojskowym zawodowym, o dużym doświadczeniu i zdyscyplinowaniu. Urodził się 31. 3. 1910 r. w Kolonii Wierzchowiska, w powiecie iłżeckim. Średnie wykształcenie zdobywa w Ostrowcu Św. i Radomiu. Rok przed maturą, zmęczony warunkami (brak pomocy ze strony rodziny), przerywa naukę i idzie do wojska. Od 1933 r. kształci się w zawodzie wojskowym, kończąc w 5-tym pułku strzelców podhalańskich szkołę podoficerską dla nadterminowych a potem dla zawodowych. Wyróżniony przez dowództwo, zostaje skierowany w 1936 r. na dalsze szkolenie w Szkole Podchorążych dla podoficerów w Bydgoszczy. Tu szkoląc się w zawodzie wojskowym kończy równocześnie szkołę średnią, otrzymując maturę. W 1938 r. zostaje przeniesiony do Szkoły Podchorążych w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Po jej ukończeniu otrzymuje przydział do 58 pułku piechoty w Poznaniu.

Przed wybuchem wojny buduje umocnienia wojskowe w Biedrusku pod Poznaniem, potem walczy w obronie Poznania jako dowódca plutonu. Organizuje nowe jednostki. Pod naporem wroga dociera wraz z pułkiem w okolice Łucka. Po walkach pod Hrubieszowem i Lublinem unika niewoli i szczęśliwie powraca w rodzinne strony. W 1940 r. wstępuje do ZWZ.

Niezwykle aktywnym oficerem, bardzo zaangażowanym w budowę i rozwój ZWZ-AK, był Franciszek Sikorski "Felek", mieszkający w Pakosławiu. Urodzony 1. 12. 1917 r. ukończył w 1938 r. Dywizyjny Kurs Szkoły Podchorążych Rezerwy przy 24 pułku piechoty w Łucku. Po wyjściu z wojska pracuje na kolei. W lipcu 1939 r. ponownie wraca do wojska, powołany na ćwiczenia w 24 pp. Otrzymuje przydział do Iii-go baonu, 7-ej kompanii i 2-go plutonu. Dowódcą baonu był mjr. Skulski, były dowódca Dywizyjnej Szkoły Podchorążych. 20-go sierpnia 1939 r., w ramach 27-ej dywizji piechoty, pod dowództwem gen. Drapelli, znalazł się na Pomorzu, w Borach Tucholskich.

W trudnych i ciężkich bojach Armii Pomorze, w dniu 2-go września prowadzi do natarcia żołnierzy w zastępstwie poległego dowódcy kompanii.

Z rozstrzaskaną nogą dostaje się do niemieckiej niewoli. Przebywa w wielu szpitalach i obozach jeńców. Z krótszą o 7 cm nogą i niewygojoną raną, zostaje w listopadzie 1941 r. zwolniony z niewoli i powraca do domu.

Gdy tylko znalazł się w Pakosławiu, natychmiast włącza się do pracy w ZWZ, uznając ją za dalszy ciąg służby w Wojsku Polskim, do której czuł się zobowiązany jako Polak i w którym dożył przysięgę.

Jesienią 1942 r. ppor. Franciszek Sikorski "Felek", ze względu na inwalidztwo, zostaje przeniesiony z oddziałów liniowych do Wojskowej Służby Ochrony Powstania, czyli WSOP. Zostaje mianowany Podinspektorem WSOP (początkowo używano nazwy SOP). Od tej chwili podlega Inspektorowi - Kierownikowi Wydziału VII-go Komendy Obwodu, którym był ppor. Władysław Cheda "Zawisza".

Zadaniem WSOP było zabezpieczanie obiektów wojskowych lub ważnych dla wojska oraz zwalczanie dywersji wroga, w okresie ogólnokrajowego powstania. Działalność WSOP kończyła się z chwilą przejęcia władzy przez organa cywilne.

Do oddziałów WSOP kierowani byli ludzie w wieku powyżej 40 lat, nie nadający się z różnych względów do służby w oddziałach liniowych lecz którzy mieli ukończoną służbę wojskową.

Żołnierze WSOP odróżniali się od żołnierzy liniowych opaskami. Zamiast opasek biało-czerwonych mieli nosić opaski zielone z biało-czerwoną szachownicą lotniczą, o wymiarach 6x6 cm. Pomagałem w swoim czasie robić te opaski i przechowywałem je.

Zastępcami Inspektora Obwodu ppor. Władysława Chedy "Zawiszy" byli kolejno:

ppor. cz. w. Marian Langer "Długosz" (leśniczy),
kpt. Zdzisław Leśniak "Leśny" (leśniczy),
por. Dziedziul "Palarski" (lekarz weterynarii),
ppor. Stanisław Piasek "Granit" (po scaleniu BCh z ZWZ).

Zastępcami Podinspektora ppor. Franciszka Sikorskiego "Felka" byli kolejno:

kpr. z cenzusem Stanisław Bródka "Słup" (prac. leśny),
pchor. Władysław Sikorski "Cichy".

Inspektorat WSOP na Obwód podzielony był na 6 podinspektoratów, o kryptonimach:

"Fabryczny" - obejmujący rejon Skarżyska Kam.
"Świętokrzyski" - obejmujący rejon Starachowic,
"Południowy" - obejmujący rejon Sienna,
"Wisła" - obejmujący rejon Lipska i Solca,
"Północny" - obejmujący rejon Kazanowa,
"Centralny" - obejmujący rejon Iłży.

Podinspektorat "Centralny" podlegał ppor. "Felkowi" i obejmował obszar niewiele mniejszy od podobwodu "Dolina". Ilość żołnierzy w podinspektoracie "Centralny" wynosiła w 1943 r. około 100.

W pierwszej fazie organizowania WSOP regulaminy i instrukcje opracowywało dowództwo we własnym zakresie. Na przełomie lat 1942/43 przysłano z Komendy Głównej w Warszawie doskonale opracowaną Instrukcję dla Oddziałów W. S. O. P., podpisaną przez Grota-Roweckiego. Ocalałe fragmenty tej instrukcji przedstawione są na fotografiach, na końcu rozdziału.

Inną, niezmiernie ważną w życiu konspiracyjnym organizacją pomocniczą, była Wojskowa Służba Kobiet (WSK).

Kierownikiem Referatu WSK w Komendzie Obwodu była Wanda Otwinowska "Babcia", a po jej aresztowaniu Helena Śmigielska "Leszczyna". Ilość członkiń WSK w całym Obwodzie wynosiła 420.

Na terenie "Doliny" Komendantką WSK była Wacława Kotlicka "Narcyza" (po wojnie żona Antoniego Hedy "Szarego"), a od jesieni 1944 r. funkcję tę przejęła dotychczasowa zastępczyni, nauczycielka Bogumiła Latra "Ewa".

Twórcą i organizatorem WSK na terenie "Doliny" był kierownik Iii-go referatu, por. Marceli Dusiński "Dym".

Płec żeńska podporządkowana WSK wykonywała bardzo niebezpieczne zadania, pozostając w cieniu działalności mężczyzn, i do dziś pozostaje w swej skromności, nie starając się ażeby historia o pracy tych dziewcząt pamiętała. Jedynie pani Henryka Sasal-Sadowska, Komendantka WSK w Obwodzie Koneckim, w książce pt. "W Poszumie Lasów Koneckich" opisała złożoną działalność WSK na terenie Obwodu Koneckiego.

Gdy trzeba było przewieźć rannego, zaopiekować się nim, dostarczyć potrzebną żywność lub materiały wojskowe, najczęściej te niebezpieczne zadania wykonywały dziewczęta z WSK. Często na drogach można było zobaczyć konny wóz i dziewczynę trzymającą lejce. Nie było to spowodowane brakiem mężczyzny do jazdy wozem. Była to dziewczyna z WSK wykonująca samotnie niebezpieczne zadanie. Opieka nad rannymi,

ukrywanie ich podczas kontroli wsi, bez pomocy tych dziewcząt byłyby często niemożliwe.

Dowódcy oddziałów leśnych niechętnie widzieli u siebie sanitariuszki ale były ku temu inne powody, ogólnie wszystkim znane. Dopiero w 1944 r. gdy wojna zbliżała się ku końcowi, pozwolono nielicznym sanitariuszkom na stałe przebywanie w oddziałach.

W toku walk dziewczęta te świeciły przykładem odwagi godnej pozazdroszczenia i wielu przypadkach traciły życie.

Dużą wagę przywiązywało kierownictwo organizacji do spraw szkolenia. Na szczeblu Obwodu szkoleniem zajmował się kpt. Jerzy Niemcewicz "Kłós" a gdy odchodził na inne stanowisko, przekazał sprawy szkolenia Komendantowi Obwodu "Dariuszowi" (kpt. Piotr Kulawik).

Odnoszę wrażenie, że Komendant Obwodu mając dużo innych spraw w swojej gestii, przekazał sprawy szkolenia kpt. "Roburowi". Świadczyły za tym różne pisma w sprawach szkolenia, jakie "Roburowi" pisałem na maszynie. Niektóre z nich można zobaczyć wśród tych które ocalały (załącznik nr 2).

Pamiętam przepisywanie instrukcji ramowych, opracowywanych przez Komendę Główną w Warszawie. Były one przeznaczone do indywidualnego szkolenia żołnierzy AK na temat, np. "Jak zdobyć broń, nie mając broni? "

Treść jednego z takich opracowań pozostała mi w pamięci. Wyglądało to następująco:

"W pewnej wsi, położonej blisko lasu, kwateruje niemiecka jednostka wojskowa. Na drodze, pomiędzy lasem i wsią stoi posterunek dwuosobowy, kontrolujący przechodniów i ubezpieczający jednostkę. Odległość posterunku od lasu około 60 metrów.

Należy wysłać z lasu do wsi dwóch ludzi niosących np. siekierę i piłę, pozorujących robotników leśnych, powracających po pracy do domu. W tym czasie czterech lub pięciu ludzi bez broni powinno leżeć ukrytych na skraju lasu. Gdy dwaj "robotnicy" zbliżą się do Niemców i będą przez nich legitymowani, rzucą się w pewnej chwili na nich i będą chcieli im wyrwać broń. Nastąpi szamotanina. W tym czasie grupa leżąca na skraju lasu ma się poderwać i możliwie najszybciej przyjść z pomocą szamotającym się kolegom. Kilka sekund wystarczy aby dobiegli i pomogli obezwładnić żołnierzy. "

W instrukcji była uwaga, że podany przykład może ulegać zmianom w szczegółach, w zależności od aktualnych warunków. Należy tu wykorzystać samą zasadę przeprowadzenia akcji.

Przepisywałem także instrukcje analizujące budowę niemieckich karabinów maszynowych, m. in. MG-15 (tzw. Dreyse) i pospolitego MG-34. Instrukcje te były rozsyłane do poszczególnych podobwodów w celach szkoleniowych.

Niezależnie od szkolenia za pomocą instrukcji, organizowane były dla chętnych i wyróżniających się żołnierzy Kursy Podoficerskie i Podchorążówki. W moim przypadku szkoliłem się na Kursie Podoficerskim zorganizowanym i prowadzonym przez dowódcę plutonu nr 141 (Połagiew), sierżanta Kazimierza Karwackiego, ps. Wiech. Równolegle odbywał się analogiczny kurs w sąsiednim plutonie nr 142 (Bór Kunowski), pod kierunkiem jego dowódcy sierżanta Ignacego Skrzydło, ps. Ptak. Obaj instruktorzy byli podoficerami zawodowymi WP.

Uczyliśmy się ze znanego w Wojsku Polskim podręcznika, tzw. "Podręcznika Drużynowego", wpajając sobie do głowy jego treść podczas przebywania w domu. W lesie spotykaliśmy się potem aby ćwiczyć praktycznie. Przerabialiśmy wszystkie ćwiczenia jakie kiedyś w wojsku przerabiali nasi instruktorzy.

Do nauki walki na bagnety wykonaliśmy sobie drewniane karabiny. Gdy po jakimś czasie instruktor uznał, iż poznaliśmy dostatecznie ten rodzaj walk, musieliśmy przejść próby walki prawdziwą bronią. Stwierdziłem, że walka na bagnety nie jest groźna. Takim ciężkim przedmiotem jak karabin z założonym bagnetem, nie można zbyt szybko poruszać i zawsze przeciwnik jest w stanie odtrącić go na bok. W największym niebezpieczeństwie są w tej walce nogi, które stosunkowo najłatwiej jest dosięgnąć.

Po ukończeniu kursu odbył się egzamin, który należało zdać przed Komendantem Podobwołu "Wola", wtedy por. Piotrem Wróblem, ps. Jawor.

Oczywiście, nikt z kursantów nie miał prawa wiedzieć, kto jest egzaminatorem. Dowiedzieliśmy się tego później. Należało wejść do izby, gdzie za stołem siedział elegancko ubrany pan w średnim wieku i należało się mu zameldować jako kapitanowi. W odpowiedzi kapitan dziękując dawał komendę "spocznij" i zaczynała się rozmowa.

Bardzo kulturalny wygląd i miłe obejście z egzaminowanym budziło zaufanie do egzaminatora i uspokajało kursanta.

W moim przypadku pan kapitan przedstawił następującą sytuację. Powiedział tak: "Dowodzicie drużyną patrolową. Maszerujecie polną drogą. Około 100 m od drogi stoją zabudowania jakiegoś gospodarstwa, z którego w waszym kierunku zaczynają padać strzały. Z nasilenia ognia przeciwnika wnioskujecie, że w zabudowaniach znajduje się kilku żołnierzy wroga. Dokoła szczere pola. Proszę o podawanie rozkazów swoim ludziom. " W odpowiedzi rozwinąłem drużynę w tyralierę i rozpocząłem normalne natarcie w kierunku zabudowań. Okazało się, że postąpiłem nie najlepiej. Należało dać komendę "bagnet na broń" a potem "do budynków, biegiem marsz".

Pan kapitan wyjaśnił mi, że jest to przypadek zaliczany do tzw. zasadzki. W takich przypadkach należy działać szybko. Wdawanie się w normalne natarcie, kiedy wróg jest ukryty a moi ludzie na otwartym polu, może mi przysporzyć duże straty. Gdy żołnierze ruszą biegiem, to po kilku lub kilkunastu sekundach znajdą się przy budynkach. W tym czasie zdenerwowany przeciwnik zdąży raz lub dwa razy wystrzelić i to nie celnie. Takie postępowanie przynosi najmniejsze straty. Ogólnie pan kapitan ocenił mnie nie najgorzej, dając mi ocenę "dobrą". Do dziś pamiętam ten egzamin, rozumiejąc doskonale że kapitan miał całkowitą rację.

Innym razem "Robur" chciał poznać czy jesteśmy dobrze wyszkoleni do działań na polu walki. Kazał mi zrobić "padnij", "czołgaj się" i "w tył zwrot". Okazało się, że nie potrafiłem dobrze zrobić "padnij". Nie miałbyś już nogi, rzekł "Robur" i sam mi pokazał jak się to poprawnie robi. Człowiek musi padać jak kłoc drewna. Nie wolno dopuścić aby którakolwiek noga, podczas padania na ziemię, oderwała się od niej. Nie jest to praktycznie łatwe, gdyż człowiek ma niekontrolowane odruchy. Jak się przekonałem, można je opanować. "Robur" robił to wzorcowo. Zacząłem tę czynność ćwiczyć i po niedługim czasie nauczyłem się poprawnego padania.

Kursy Podoficerskie organizowano na całym terenie Obwołu i wielu żołnierzy AK je ukończyło. W podobwodzie "Dolina", to poza kursami, założono w czerwcu 1944 r. obóz szkoleniowy w lasach małomierzyckich. Utworzono w tym celu kompanię wojska wraz ze służbami pomocniczymi, szkoląc żołnierzy teoretycznie i praktycznie. Dowódcą obozu był "Judym"(Marian Wujkiewicz), a do wykładowców należeli: "Potok" (Wincenty Tomasik), "Dym" (Marceli Dusiński), "Odwet" (Adam Jędrzejewski), "Siarka" (Wacław Cieśla), "Grad" (Stanisław Kowalczyk), "Błyskawica" (Ryszard Brodecki), "Sęp" (Jan Jurek), "Zew" (Mieczysław Śliwiński). Dowództwo zajmowało kwatery we wsi Budki Cieciorowskie, w zagrodach przylegających do lasu.

Poza ćwiczeniami prowadzonymi na terenie lasu, wysyłano grupy żołnierzy na różnego rodzaju akcje, jak np. zasadzki na szosie, akcje sabotażowe lub uśmierzanie elementów proniemieckich. Jedną z akcji na szosie w lesie skaryszewskim wykonała grupa w składzie: "Sęp", "Rawa", "Ziomek" i "Jastrząb". Zaatakowano niemiecki wojskowy łazik, ostrzeliwując go z karabinu maszynowego MG-34. Zniszczono samochód. Z czteroosobowej załogi trzech Niemców było lekko rannych. Zdobyto pistolet maszynowy Schmeisser oraz broń krótką. Ta sama grupa urządziła zasadzkę po raz drugi, tym razem na szosie koło Marcul. Zaatakowano pomyłkowo pierwszy samochód kolumny wojskowej. Niemcy ponieśli straty lecz uczestnicy zasadzki zmuszeni byli przez wojsko do wycofania się. Chcąc sobie powetować nieudaną akcję, ta sama grupa i w tym samym dniu, usiłowała zatrzymać samotną ciężarówkę wojskową, na szosie koło wsi Pastwiska. Rozbito tylko szyby w szoferce. Samochód na maksymalnej prędkości przejechał, nie zatrzymując się. Uparci koledzy wracając do obozu zrobili trzecią zasadzkę, tym razem na szosie Lipsko-Ilża i zranili kierowcę samotnej ciężarówki. Samochód zatrzymał się dość daleko za zasadzką i zrezygnowano ze zbliżania się do niego. Była to ciężarówka Wehrmachtu. Ci sami koledzy, już bez pozwolenia, usiłowali jeszcze parokrotnie zatrzymywać samochody lecz z różnych przyczyn akcje się nie udawały. Powodem niepowodzenia była za mała ilość uczestników akcji, licząca więcej na szczęście, niż na poprawnie przeprowadzoną zasadzkę.

Inna grupa ludzi dokonała z rozkazu "Judyma" zniszczenia we wsi Rudka kilkunastu bimbrowni. Bimbrownie były teoretycznie przez Niemców zakazane, jednak praktycznie Niemcy ich nie zwalczali, dążąc do rozpijania polskiego społeczeństwa. Od pijaków łatwiej było Niemcom zdobywać o Polakach potrzebne wiadomości. Z tych powodów podziemne organizacje musiały się zająć niszczeniem tej szkodliwej dla społeczeństwa produkcji.

Po zakończeniu ćwiczeń w lasach małomierzyckich, poszczególne jednostki powracały do swych rejonów. Grupa żołnierzy, maszerująca pod dowództwem ppor. "Błyskawicy" (Ryszard Brodecki) natrafiła na osobnika, który szantażował ludzi we wsiach i obrabowywał z pieniędzy. Przedstawiał się za "skoczką z Anglii" który potrzebuje pieniędzy na przeżycie. Jeśli mu ktoś nie dał dobrowolnie, to zabierał siłą. "Skoczek" zatrzymał patrol w składzie: Jerzy Falkiewicz "Orlątko", Witold Cieśla "Skaleń" oraz Edward Fura "Kamień". Podczas zatrzymywania "skoczek" odrzucił swój pistolet, zauważony przez żołnierzy patrolu. Znalaziono przy nim Kennkartę (dowód osobisty) z którego wynikało, iż pochodził z Wielgiego, miejscowości odległej kilkanaście kilometrów. Przesłuchał go Jan Wiśniewski "Sęp", zapisał sobie jego nazwisko i adres, a następnie polecił dać mu 50 kijów, na właściwe do tego celu miejsce.

W okresie istnienia tego ćwiczebnego obozu, "Robur" zastanawiał się czy nie byłoby dobrze wysłać także i mnie do tego obozu. Doszedł jednak do wniosku, że nasi instruktorzy tu na miejscu wystarczająco nas przeszkolili. Obiecywał, że skieruje mnie na jakieś ćwiczenia w strzelaniu, prowadzone w specjalnie zrobionym pomieszczeniu pod ziemią. Nie wiem gdzie taki schron był zrobiony.

Powróć jeszcze do spraw zwalczania Niemców, przez likwidowanie konfidentów, stanowiących najważniejszy element niemieckiego wywiadu. Było dość sporo takich przypadków na terenie Obwodu. Dopóki nie było oddziałów leśnych akcję likwidacji niemieckich donosicieli musieli przeprowadzać żołnierze z placówek. Wielu

uczestników tego rodzaju działań już nie żyje. Inni mało pamiętają. Postaram się szereg z nich przytoczyć.

Pewnego razu wywiad AK stwierdził niezbicie, że kierownik sklepu w Iłży, o nazwisku Czerny, jest agentem Gestapo. Należało go zlikwidować.

Akcje na terenie Iłży należały do niebezpiecznych, gdyż Iłża leży w kotlinie, a dokoła niej rozciągają się daleko pola, przez które ucieczka, w przypadku interwencji Niemców, nie byłaby łatwa. Ze względu na duże ryzyko podczas tej akcji, rozkaz jej wykonania otrzymał Wincenty Tomasik "Potok", wojskowy zawodowy. Akcję tę przeprowadził na początku czerwca 1944 r. Do pomocy wziął dwóch ludzi, którymi byli Stefan Górski "Nadzieja" oraz Władysław Zychowicz "Rębacz".

W nocy zarekwirowali u wójta w Rzechowie parokonny wóz i udali się nim w kierunku Iłży, jadąc przez Podkońce. Zabrali ze sobą ręczny karabin maszynowy, broń krótką i granaty. Przed Iłżą, w polach, był spalony kościółek i chatka pustelnika. Tam doczekano dnia.

Tak się zbiegło, że w tym dniu od rana, żandarmi urządzili sobie strzelnicę na wzgórzach zamkowych. Fakt ten uniemożliwiał dalszą jazdę.

Około godz. 11-ej zrobiła się burza i lunął rześisty deszcz. Zmusiło to żandarmów do zakończenia ćwiczeń i powrotu do bazy. Wykorzystał to "Potok" i zajechał przed sklep Czernego, położony przy głównym placu w Iłży. Teraz znów okazało się, że Czernego nie ma, bo wyszedł na pocztę, dość odległą od sklepu. Postanowiono na niego poczekać. "Potok" i "Rębacz" zatrzymali się w korytarzu, a "Nadzieja" pozostał na ulicy, karmiąc z ręki konie.

Gdy Czerny pojawił się w korytarzu, został z dwóch stron chwycony pod ręce i zaciągnięty na wóz. Drogą koło zamku w kierunku Kotlarki pojechał Czerny do lasu. Tam po przedstawieniu mu dowodów obciążających i odczytaniu wyroku, został zastrzelony. Akcja bardzo niebezpieczna świadczyła o dyscyplinie wojskowej, dla której wykonanie rozkazu nie podlegało dyskusji.

Podobnie było z akcją palenia maszyn omłotowych w majątkach Bąkowa, Łaziska i Wielgie.

Zastępca dowódcy 181 plutonu AK w Ostrownicy, kpr. 2-go pułku strzelców podhalańskich, Wąsiel Paulin "Lipnicki", otrzymał od ppor. Stanisława Kowalczyka, ps. Grad, rozkaz spalenia maszyn omłotowych w majątku Wielgie, odległym od Ciepiewa 3 kilometry. W Ciepiewie stacjonowała kompania żandarmerii niemieckiej, licząca 180 ludzi. Z drugiej strony, w pobliskim Kazanowie, znajdował się duży posterunek policji granatowej. Dodatkowo pech chciał, że w przeddzień akcji bechowcy zastrzelili Niemca, zarządzającego majątkiem. W pałacu i okolicy roilo się od żandarmów, którzy z pomocą psów usiłowali odnaleźć sprawców zamachu. Wytworzyły się wyjątkowo trudne i niebezpieczne warunki wykonania zadania. "Lipnicki" udał się do dowódcy kompanii ppor. "Grada", meldując mu o tym. Ten po wysłuchaniu raportu powiedział, że rozkazu nie odwołuje i zadanie musi zostać wykonane.

Nie było wyjścia. Wykorzystując zapadający mrok, "Lipnicki" z grupą żołnierzy, niosąc pojemniki z naftą, podsunęli się do zabudowań gospodarczych. Tu napotkali robotników folwarcznych, którzy dopomogli w szybkim obłożeniu maszyny snopkami słomy, a następnie po oblaniu całości naftą podpalono ją.

Robotnicy folwarczni byli przerażeni widząc dywersantów i usiłowali ich odciągnąć od zamiaru, ale zdecydowana postawa "Lipnickiego" nie dała im czasu myśleć i włączyli się do wspólnych działań.

Sytuacja była o tyle gorsza, że spalenia maszyn w dwu pozostałych majątkach dokonano z samego rana, gdyż było tam lepsze dojście z powodu bliskości lasu. Ten fakt spowodował u Niemców zaostrenie czujności. Jednak zadanie wykonano.

Snop iskiek spowodował natychmiastowy alarm u Niemców. Poleciały w górę rakiety i wyruszyły samochody, podwożąc Niemców w strategiczne miejsca. Grupa "Lipnickiego" została osaczona. Brnąc przez stawy, po szyję w wodzie, udało się dywersantom wyjść z matni.

W Bąkowej spalenia maszyn omlotowych dokonali "Łokietek", a wtedy jeszcze "Róża" i Adam Bakalarczyk "Dulka". Byli wtedy żołnierzami AK. W późniejszym czasie przeszli do AL. Po wojnie "Dulka" pisząc książkę, zaliczył tę akcję jako wykonaną w AL. Napisał przy tym, że po spaleniu maszyn w Bąkowej, poszli przy okazji i spalili także maszyny w majątku Wielgie. (Co na to "Lipnicki"? Poszedł palić maszyny..... nie wiedząc, że już zostały spalone).

Warunek spalenia maszyn w trzech majątkach w tym samym dniu został dotrzymany.

We wsi Krępa Kościelna Gestapo umieściło swego agenta na niewinnym stanowisku instruktora rolnego. Praca w tym charakterze pozwalała mu na swobodę poruszania się w terenie, nie dając powodów do podejrzeń. Wywiad AK jednak zdobył niedwuznaczne informacje i dowody obciążające agenta. Rozkaz zastrzelenia go wydał ppor. St. Kowalczyk "Grad", wysyłając w tym celu "Potoka" z ludźmi. Pomiędzy agentami Gestapo, wykrytymi na terenie "Doliny", trafiały się również kobiety. Pracownicy wywiadu AK rekrutowali się głównie z policji. Rzadko się zdarzały wypadki, że zdrajca nie został ukarany.

W sąsiednim podobwodzie "Zorza", zwanym także "Niwą" lub "Rybą", obejmującym Powiśle, grupa żołnierzy z kompanii ppor. Józefa Dziwisińskiego, ps. Kruk, pod dowództwem plutonowego Stanisława Czajkowskiego, ps. Miły, w składzie: Zbigniew Wnuk "Mały", Władysław Nowakowski "Mirski", Zdzisław Musiał "Wróbel", Tadeusz Nowak "Narta", Karol Paciorkiewicz "Lotnik", Zygmunt Stawnicki, Tadeusz Sajnog, Józef Wolski, rozbroiła w lipcu 1944 r. duży posterunek policji granatowej w Solcu nad Wisłą, zdobywając 16 karabinów z amunicją.

Do likwidacji agentów Gestapo na terenie "Zorzy" powołano grupę, do której wchodził: Franciszek Łukasik "Oracz", Aleksander Cynarski "Topola" i Zbigniew Zychowicz. Zlikwidowano groźnego agenta, niejakiego Kalinę, wójta w Solcu nad Wisłą. W tym samym roku 1942 zlikwidowano innego agenta, o nazwisku Chmielewski. W Kazanowie zastrzelono współpracujące z Gestapo małżeństwo Granica (jesień 1942 r.), a także pewnego młynarza. W Bałtowie zastrzelono policjanta granatowego, któremu zachciało się współpracy z gestapowcami.

Niemcy też nie byli dłużni. Z aktywu organizacji w Siennie, już w 1940 r. wpadli w ręce Gestapo: Albin Lachowski, Stanisław Bednarek, Franciszek Poprzeczko, Stanisław Listek, Józef Chorośński. W Lipsku, na przełomie lat 1941/42 aresztowano oddanych sprawie walki o niepodległość, członków organizacji, takich jak Stefan Kolenda, Stefan Mirowski "Mirt", prof. Jan Wnuk z synami Jerzym i Lolkiem, Henryk Miedzowski "Granica" z bratem i szwagrem. W Pawłowicach Niemcy spalili rodzinę ppor. Bolesława Jakubowskiego, ps. Błaszko (późniejszego szefa wywiadu AK w Starachowicach).

Podchorąży Stanisław Łęcki "Bos" z Błazina koło Iłży, wspólnie z Teofilem Stawskim "Kretem" ze Starachowic, dokonali zamachu na gestapowca Przewoźnego, zabijając go w dniu 16 lipca 1943 r. na peryferiach Wierzbnika.

Podchorąży Zdzisław Zieniewicz "Alter" i Bolesław Papi "Czerw", dokonali w dniu 25 maja 1944 r. zamachu na inspektora Sipo (Gestapo) z Radomia Ericha Schütz. Akcja rozegrała się na rynku w Wierzbniku. Zginęło dwóch gestapowców i ciężko ranny został Schütz. Po stronie polskiej stracili życie Bolesław Papi "Czerw" i Michał Nowak "Pierwiosnek", który z Feliksem Łęckim "Bąkiem", jako żołnierze kontrwywiadu pomagali w akcji.

Na terenie Starachowic działał pluton dywersyjny, podlegający VI-temu Referatowi Komendy Obwodu (BIP- Biuro Informacji i Propagandy) - patrz raport Gestapo z dnia 29 listopada 1943 r. (załącznik nr 5). Z raportu wynika, że kierownikiem podreferatu "WC" (Walki Cywilnej) oraz "N" (prowadzenie dywersji i dezinformacji w szeregach niemieckich) był Kret-Dąbrowski "Szary", którego aresztowano. Z raportu wynika, że badania Gestapo nie wydobyły z Kreta-Dąbrowskiego żadnych informacji. Zmarł śmiercią męczeńską nie wydając nikogo. Do aresztowania pracowników i żołnierzy dywersji wydz. VI-go doprowadził agent Gestapo w Starachowicach o nazwisku Czesław Wrona. Był on zastępcą Kierownika Referatu VI-go, którym był Józef Rut, ps. Tur. Po zadenuncjowaniu kolegów Wrona zniknął i dotychczas nie został ukarany (patrz wspomnienia Teofila Stawskiego, w rozdziale "Szary"). Bojówką wchodzącą w skład plutonu dywersyjnego dowodził Czesław Chrząszcz "Żak" (Niemcy zmienili mu w raporcie nazwisko na Pokrzywka, lub być może miał w dowodzie fałszywe nazwisko o takim brzmieniu). Po jego aresztowaniu dowództwo bojówki przeszło w ręce Teofila Stawskiego "Kreta", a gdy i on chroniąc się przed aresztowaniem, znalazł się u "Ponurego" a następnie "Szarego", dowódcą bojówki został Zdzisław Zieniewicz "Alter". Bojówka dywersyjna dokonała wielu akcji w Starachowicach i w Radomiu. Szereg z nich jest opisany w raporcie Gestapo.

W 1942 r. przekonałem "Robura" o potrzebie zmiany maszyny do pisania. Dotychczasowa maszyna była starej daty i pisała kursywą. Fakt ten łatwo mógł na nas naprowadzić Niemców. Zdobyć nową maszynę zlecił "Robur" "Bartkowi" (Henryk Lewański). Ten, jako dowódca kompanii, dał tę sprawę do załatwienia dowódcom plutonów w Jasieńcu i Połęgwi. Chodziło o zabranie maszyny z urzędu gminnego w Brodach Iłżeckich. Dowódca plutonu Połęgiew, Kazimierz Karwacki "Wiech" wyznaczył do tej akcji Kazimierza Kutere "Kukułkę", a Eugeniusz Iwańczyk "Chmura", dowódca plutonu Jasieniec, przysłał kilku ludzi od siebie. Zespół ten włamał się w nocy do urzędu gminnego i zabrał maszynę oraz akta kontyngentowe. Po wojnie E. Iwańczyk opisał tę akcję, wyolbrzymiając ją i podając, że sam brał w niej udział. Podał nawet, że dostał za nią Krzyż Walecznych.

Maszynę do pisania, zabraną z urzędu gminnego, przekazał mi w następnym dniu "Wiech".

Okazało się, że maszyna była bardzo wyeksploatowana i bardzo nierówno pisała. Łatwo można było ustalić, które pisma były na niej pisane.

Gdy nastąpiła wpadka archiwum BIPu w Starachowicach, na Majówce, opisana w sprawozdaniu Gestapo (załącznik nr 5), "Robur" miał obawy, że w przechwyconym archiwum mogą być także nasze pisma. Uznaliśmy za konieczne znów zmienić maszynę.

Minęło kilka dni i Janek Wrześniewski, syn sołtysa wsi Piotrowe Pole, powiedział mi iż w gminie Brody Iłżeckie mają nową, bardzo dobrą maszynę do pisania. Poprosiłem wtedy "Robura" aby postarał się o dwóch ludzi na rowerach, z krótką bronią, i ja pojedę z nimi po tę maszynę. Minęło trzy dni i zameldowało się u mnie dwóch młodych, dobrze

zbudowanych młodzieńców. Jednym z nich był chyba "Kruk" (syn chorążego Wrzeszcza "Dęba"). Pojechaliśmy w trójkę rowerami, w samo południe, do gminy. Ja zostałem na dworze, na obserwacji, czy na naszej drodze odwrotu nie pojawili się Niemcy. Chłopcy weszli do środka, pokazali urzędnikom broń, wzięli maszynę pod pachę i wychodzą. Na to któryś z urzędników zaproponował, aby przy tej okazji spalić jakieś tam papiery ewidencyjne. Chłopcy cofnęli się i razem z urzędnikami zaczęli palić papiery, w stojącym tam piecu kaflowym. Palenie tych papierów okazało się czasochłonne. Wtedy pracownicy urzędu gminnego powiedzieli do chłopców, że mogą już odjeżdżać, a oni sami będą dalej te papiery palić. Tak też się stało. Wszyscy byli zadowoleni. W ciągu 15 minut akcja była skończona i wracaliśmy z powrotem, wioząc nową maszynę. Krótki czas akcji był bardzo wskazany, ponieważ urząd gminny znajdował się przy szosie, po której co chwila przejeżdżały niemieckie pojazdy, a posterunek policji granatowej oddalony był nie dalej niż 100 kroków.

Innym razem sierż. Kazimierz Karwacki "Wiech" ze swoim podkomendnym, Tadeuszem Sosnowskim, ps. Leo, dokonali napadu na wagon pocztowy, zabierając przewożone pieniądze i rozbrajając niemiecką eskortę.

Tadeusz Sosnowski "Leo", pracownik kolejowy na stacji Kunów (Staw Kunowski), wykradał z wagonów kolejowych niemiecki sprzęt wojskowy. Pewnego razu wykradł pięć dużych waliz z napisem "Wien 41". Były w tych walizach jakieś aparaty, przystosowane do noszenia na plecach, które przypominały budowę i wyglądem radiostacje polowe. Robiliśmy z nimi różne próby ale nie mogliśmy schwycić żadnej radiostacji. W słuchawkach można było usłyszeć tylko różne piski i wycia. Aparaty obejrzał nasz specjalista, radiotechnik z Ostrowca, Józef Marszałek, z którym ojciec mój wojował w 1920 r. i także nie doszedł do czego służą te aparaty. Ostatecznie wysłaliśmy 4 szt. do Warszawy aby specjaliści z Głównej Komendy wypowiedzieli swoją opinię. Odpowiedziano nam, że są to niemieckie, nowoczesne aparaty, do wykrywania min. Nie przyszło nam wtedy do głowy, że z ich pomocą można było wykrywać nie tylko miny ale także inne elementy metalowe, ukryte pod ziemią. Można było z ich pomocą wyszukiwać w lasach jeszcze leżącą broń, ukrytą we wrześniu 1939 r.

Na przełomie lat 1942/43 zapowiadała się doskonała okazja przechwycenia na stacji Kunów (Staw Kunowski) całego wagonu z bronią, załadowaną w Wytwórni Krabinów w Radomiu. Akcję tę montował "Robur"(Eugeniusz Dymitrow) z pomocą "Gromskiego"(Franciszka Wydry), mieszkającego przy stacji kolejowej.

Akcji tej nie można było przeprowadzić bez udziału w niej kolejarzy, pracowników tej stacji. Z tego powodu przyjęto do organizacji i wtajemniczono w sprawę dyżurnego ruchu, którym był plutonowy rezerwy Czesław Jagielski.

Plan akcji polegał na tym, że wagon kolejowy, załadowany w Radomiu karabinami oraz pistoletami typu "Vis", miał jechać bez eskorty, w składzie pociągu towarowego, do Skarżyska Kam. Tu w nocy miał być przez kolejarzy odczepiony i doczepiony do innego pociągu, który jechał w kierunku Ostrowca Św. Na stacji Kunów miał być ponownie odczepiony i odstawiony na boczny tor. W nocy wagon miał być błyskawicznie rozładowany na pojazdy konne, a broń rozwieszona i ukryta. Pusty wagon byłby znowu doczepiony do innego pociągu i pojechałby dalej. Ślady prowadziłyby do nikąd.

Stacja Kunów (Staw Kunowski) miała bardzo dogodne położenie. Nie było tu domów mieszkalnych. Las oddalony był zaledwie 150 metrów od stacji. Niemieckie siły wojskowe i policyjne były bardzo oddalone, gdyż znajdowały się w Starachowicach i

Ostrowcu. Jedyną przeszkodą była Niemka Sobczakowa, właścicielka tartaku położonego przy drodze pod lasem. Koło jej posiadłości musiały przejeżdżać korowody sań z bronią. Można było założyć, że Niemka w nocy będzie spała i niczego nie zauważy. Miała jednak stróża. Był to jednak problem do pokonania.

W określonym dniu dyżurny ruchu miał otrzymać ze Skarżyska Kam. telefon z zapytaniem, czy w Kunowie jest list przewozowy na wagon nr... i tu miało nastąpić podanie dowolnego numeru. Jeśli na stacji w Kunowie nie zaszło nic, co mogłoby przeszkodzić w przyjęciu wagonu z bronią, dyżurny ruchu miał odpowiedzieć: "tak, wagon jest u nas".

Wszystko zostało zapięte i w określonym dniu pchor. "Gromski" usiadł w pomieszczeniu dyżurnego ruchu, oczekując sygnału ze Skarżyska, aby natychmiast zawiadomić o tym "Robura", który z kolei miał uruchomić akcję przygotowania środków transportu nocnego.

Dyżurny ruchu Cz. Jagielski rozpoczął pracę w tym dniu o godz. 6-ej rano i spodziewano się telefonu ze Skarżyska przed godziną 10-tą.

Czesław Jagielski, który się bardzo do tej akcji zapalił i był w tej sprawie dużym optymistą, przemyślał ją potem i zaczął się denerwować. Tymczasem zbliżała się godzina 10-ta a telefonu nie było. W pewnej chwili zmuszony był na krótko opuścić dyżurkę. Kilkanaście sekund po jego wyjściu zaterkotał telefon. Słuchawkę podjął praktykant na dyżurnego ruchu Mieczysław Długosz, nie wtajemniczony w sprawę. Wysłuchał on mowy z drugiego końca drutu i zwrócił się do urzędującego w sąsiednim pokoju zawiadowcy stacji Darczaka, mówiąc do niego: "pytają o jakiś list...." Darczak, także nie wtajemniczony w sprawę, posłuchał chwilę a potem wrzasnął "nie mam żadnego listu".

Akcja spaliła na panewce. W Skarżysku Niemcy szybko odnaleźli odczepiony wagon i według opinii "Gromskiego" zostało aresztowanych co najmniej dwóch kolejarzy.

W siei pniu 1944 r. na tej samej stacji dokonano rozładunku dwóch wagonów cukru z Cukrowni Częstocice. Dokonali tego żołnierze AK z kompanii Kunów, pod dowództwem ppor. Władysława Krzemińskiego, ps. Samotnik, w tym czasie dowódcy tej kompanii. Cukier został wykorzystany do zaopatrzenia mobilizowanych wtedy oddziałów AK, m. in. "Zgrupowania Ostoja" a potem "Iłżeckiego Pułku AK", dowodzonego przez "Potoka".

Kolejarze stacji Kunów (Staw Kunowski) oddali społeczeństwu duże usługi już w listopadzie 1939 r. W tym czasie Niemcy konfiskowali polskie podręczniki szkolne znajdujące się w księgarniach oraz drukarniach. Przesyłali je do papierni na makulaturę. Dwa takie wagony odstawiono na boczny tor i zawartość ich miała przejąć papiernia w Nietulisku.

Kolejarze wagony otwarli i zawiadomili okolicznych mieszkańców, że kto tylko jest zainteresowany tymi książkami, to niech bierze ile chce.

Z Klepacz poszło nas kilku, a między nami Jan Waszczyński, student Wydziału Prawa na Uniwersytecie Wileńskim a potem Warszawskim. Orientował się doskonale w wartości tych książek i dyktował nam, które mamy brać. Zaopatrzyliśmy się wtedy we wszystkie książki, jakie były potrzebne do przerabiania programu szkoły średniej. Potem korzystając z nich uczyliśmy się w domu, zdając egzaminy w Gimnazjum w Ostrowcu Św., które w czasie wojny funkcjonowało w konspiracji. Pani prof. Burda i jej mąż, mieszkający przy ul. Polnej, z narażeniem życia organizowali egzaminy pod samym bokiem niemieckich koszar wojskowych. Jeśli było trzeba to córeczka państwa Burdów

prowadziła na egzamin pod inny adres, do mieszkania odpowiedniego egzaminatora. Dzięki temu ja i wielu innych, mogliśmy w 1944 r. zdać egzaminy maturalne.

Równolegle z nauką w gimnazjum, pod kierunkiem "Robura" przerabiałem podręczniki dla dowódców plutonu, kompanii i baonu. Wiedzę z zakresu artylerii, potrzebną podchorążemu piechoty, przekazywał mi podchorąży artylerii Franciszek Wydra "Gromski". Pewne wiadomości z zakresu topografii wyłożył mi sam "Robur". Gdy zdałem egzaminy maturalne, wciągnął mnie na listę podchorążych, nadając mi pseudonim liczbowy ZM-345.

Społeczeństwo okresu wojny było bardzo skonsolidowane i każdy coś robił aby zwalczać wroga. Opisałem szereg różnych akcji o charakterze walki zbiorowej. Były jednak także działania indywidualne, gdzie pojedynczy człowiek potrafił zadawać wrogowi ciosy, niewiele mniejsze niż nie jeden oddział partyzancki.

W pewnym okresie mieszkał, przy nieczynnej już kopalni Sadłowizna, na jakimś folwarku lub leśniczówce, pan Janusz Barański z żoną i dwoma córeczkami. Był oficerem artylerii. Prawdopodobnie musiał się ukrywać przed Niemcami i tu znalazł zaciszne miejsce, dość dobrze ukryte w lasach. Miejsce to było nagminnie wykorzystywane przez partyzantów wszelkich odmian, o czym mogłem się przekonać później. Tu także przywiózł swych rodziców Antoni Heda "Szary", gdy się dowiedział że grozi im aresztowanie.

Organizacyjnie pan Barański związany był z kompanią Kunów. Gdy zamieszkał w Sadłowiźnie, nawiązał także kontakty z moim ojcem i co jakiś czas bywał w naszym domu. Miał dużą, masywną budowę ciała, lekko pochyloną. Był zwykle uśmiechnięty i miły dla otoczenia.

Nie wiem czy mój ojciec go do mnie skierował, czy też sam się domyślił że ja mu mogę pomóc, gdyż pewnego razu wziął mnie na bok i dyskretnie zapytał, czy ja nie znalazłbym jeszcze dla niego jakiegoś karabinu.

Ponieważ imponował mi swoją osobą i widziałem w nim jakiegoś oficera broni pancernej, kogoś o dużej odwadze i sile fizycznej, postanowiłem zaofiarować mu karabin, nie najnowszej produkcji ale w niezniszczonym stanie i do tego wyjątkowo celny. Powiedziałem mu o tym.

Uradowany schował karabin w słomie, na wozie którym przyjechał, i ujrzałem go ponownie dopiero po kilku tygodniach. Wziął mnie znów na bok i rzekł: "miałeś rację mówiąc że ten karabin jest bardzo celny. Zabiłem z niego Niemca z odległości 600 metrów".

Słyszając to, pomyślałem sobie iż pan Barański chce mi zrobić przyjemność, chwalać broń którą mu podarowałem. Odwzajemniłem się miłym uśmiechem i udawaniem, że uwierzyłem w to co mi powiedział. Nie pytałem go o żadne szczegóły, ponieważ uważałem że będą zmyślane. Trudno mi było wyobrazić sobie w lesie miejsce, gdzie byłaby widoczność 600 metrów, szczególnie w rejonie Sadłowizny. Rosły tam głównie lasy młode i bardzo zagęszczone.

Po upływie 40-tu lat, w rozmowie z ludźmi, dowiedziałem się że faktycznie zastrzelił z tej odległości ostrowieckiego żandarma. Dwóch żandarmów z Ostrowca pojechało motocyklem na przejażdżkę lub na patrol do Kunowa, a stąd polną drogą w kierunku Sadłowizny. Od strony Kunowa wdzierało się pasmo pól w las, dochodząc aż pod samą kopalnię. Żandarmi wjechali w tę drogę i po zatrzymaniu motocykla jeden żandarm stanął w przyczepie i lornetował okolicę. Pan Janusz Barański w tym czasie przebywał z karabinem na obrzeżu lasu i dostrzegł go. Był świetnym strzelcem i nie wytrzymał aby

nie wykorzystać okazji. Ocalały żandarm ruszył z miejsca do Kunowa, wioząc w przyczepie konającego kolegę. W Kunowie się zatrzymał przed pocztą i telefonował po Pogotowie Ratunkowe do Ostrowca. Świadkiem tej rozmowy był kierownik poczty Wanat.

W lipcu 1944 r. por. Barański zabił podoficera SS ale tym razem przy pomocy kija. Taki był zbieg okoliczności.

Nie wiem ilu w sumie wrogów padło z ręki por. Barańskiego ale w podziękowaniu za podarowany mu karabin, zrewanżował mi się podarunkiem w postaci pistoletu maszynowego Schmeisser. Uradowany tym pięknym prezentem dziękowałem za niego, nie pytając już o szczegóły jego zdobycia.

Fenomen w postaci por. Barańskiego nie był w tych czasach odosobniony. Znałem także innego, który nazywał się Józef Orczykowski "Fezuj". Pochodził z okolicy Kutna, przyłączonej przez Niemców do Rzeszy. Znał język niemiecki i przeszedł przed wojną w wojsku przeszkolenie w zwalczaniu dywersji niemieckiej na pograniczu Prus Wschodnich. Ten również każdą okazję wykorzystał aby rozbroić lub zastrzelić wroga. Miał duże osiągnięcia w okresie istnienia Łżeckiego Pułku AK "Potoka", w którym był zastępcą dowódcy plutonu. Robił jednoosobowe wypadki do wiosek gdzie kwaterowało wojsko niemieckie i powracał przynosząc mundury i broń, nie chwając się w jaki sposób je zdobył.

Pewnego dnia, jesienią 1944 r., już po demobilizacji Pułku, Stefan Urbański "Rzeka" i Józef Orczykowski "Fezuj" oczekiwali kogoś na szosie koło gajówki Grochulskiego, położonej pomiędzy Marculami i wsią Pastwiska. "Fezuj" jak zwykle miał pistolet przy sobie, który na czas oczekiwania ukrył przezornie pod jakąś skarpą.

W pewnej chwili zauważono, że do gajówki podjechał na koniu własowiec i wszedł do mieszkania. "Fezuj" nie wytrzymał. Natychmiast wyciągnął z ukrycia swoje Parabellum i pobiegł do gajówki. W ciągu paru minut własowiec był goły, a "Fezuj" i "Rzeka" oddalali się prowadząc konia i to wszystko co własowiec miał na sobie (oczywiście, poza bielizną).

Przykłady indywidualnego zwalczania wroga przytoczyłem po to, aby pokazać jak bardzo nasze społeczeństwo angażowało się w walce z najeźdźcą. Mógłbym przytoczyć więcej podobnych przykładów. Całe społeczeństwo, bez względu na osobiste zapatrywania czy przynależność polityczną, dokładało starań w zmniejszaniu potencjału przeciwnika. Każdy Polak w granicach swego bezpieczeństwa starał się zwalczać wroga, czy to w ramach organizacji czy też indywidualnie, czego dowodem są przytoczone przykłady. Niemcy też Polaków nie oszczędzali, o czym była już mowa i będzie jeszcze dalej.

Wykaz stanu ludzi i broni w jednostkach liniowych Obwodu AK "Baszta", po zakończeniu akcji scalania

Jednostka	Miejscowość	Ilość ludzi	KB szt.	KM szt.	Pist. szt.	Gra-naty szt.
Sztab obwodu "Baszta"		39/9				
Sztab podobwodu "Morwa"		14/2				
Pluton piechoty nr 100	Bliżyn	27	4			
Pluton piechoty nr 101	Bliżyn	19	12			
Pluton piechoty nr 102	Zbrojów	57	20	2		9
Pluton piechoty nr 103	Mostki	46	10		1	10
Pluton piechoty nr 104	Parszów	41	1	2		6
Pluton piechoty nr 105	Majków	55	6		2	19
Pluton piechoty nr 106	Wąchock	46			1	
Pluton piechoty nr 107	Mirzec	44	17	1		40
Pluton piechoty nr 108	Tychów St.	31	17	2		
Pluton piechoty nr 109	Tychów Nw.	29	21	1		
Pluton piechoty nr 110	Gadka	61	40	2		7
Pluton piechoty nr 111	Zbijów	54	22	1		
Pluton piechoty nr 112	Jagodne	42	21	1		
Pluton piechoty nr 113	Skarżysko	55				
Pluton piechoty nr 114	Skarżysko	37	10	2	1	8
Pluton piechoty nr 115	Milica	46	1		1	
Pluton piechoty nr 116	Pogoizale	70	23	1	3	35
Pluton piechoty nr 117	Skarżysko	36	20	1	3	
Pluton piechoty nr 118	Bzin	52	4		1	
Pluton piechoty nr 119	Skarżysko	46				
Pluton piechoty nr 120	Rejów	35		1	2	
Pluton piechoty nr 121	Bliżyn	36				
Pluton piechoty nr 122 w trakcie organizacji						
Pluton piechoty nr 123	Wąchock	43				
Pluton piechoty nr 124	Skarżysko	73				

Pluton piechoty nr 125	Milica	39				
Pluton piechoty nr 126	Bzin	45				
Pluton piechoty nr 127	Majków	73		7		
Sekcja łączności	Skarżysko	10/2				
Sztab podobwodu "Wola"		11	1		5	
Pluton piechoty nr 128	Starachowice K. R.	51	4		2	
Pluton piechoty nr 129	Starachowice Orl.	40	4		2	1
Pluton piechoty nr 130	Wierzbnik	38	4		2	
Pluton piechoty nr 131	Majówka	42	10		1	
Pluton piechoty nr 132	Majówka	54				
Pluton piechoty nr 133	Majówka	41				
Pluton piechoty nr 134	Majówka	38	6		1	
Pluton piechoty nr 135	Wierzbnik	62				
Pluton piechoty nr 136	Łazy	50				
Pluton piechoty nr 137	Wierzbnik	55				
Pluton piechoty nr 138	Star. Dolne	61				
Pluton piechoty nr 139	Dziurów	50				
Pluton piechoty nr 140	Brody Hż.	56	10	2	1	
Pluton piechoty nr 141	Połągiew	40	15	1	3	4
Pluton piechoty nr 142	Bór Kunowski	50	55	2	1	
Pluton piechoty nr 143	Jasieniec	45	8		3	8
Pluton piechoty nr 144	Małyszyn	54	45	1	2	2
Pluton piechoty nr 172	Pokrzywnica	53	7		6	
Pluton piechoty nr 173	Pawłów	52	2			
Pluton piechoty nr 174	Dąbrowa	55	4			
Pluton piechoty nr 175	Rotkowice	69	2		8	2
Pluton piechoty nr 176	Sierzawy	43	2		5	
Pluton piechoty nr 177	Świętomarz	74	2		6	
Pluton łączności nr 2	Starachowice	70				

Sztab podobwodu "Dolina"		13				
Pluton piechoty nr 159	Chwałowice	69	24	5	1	30
Pluton piechoty nr 160	Alojzów	52	27		2	2
Pluton piechoty nr 161	Krzyżanowice	40	14	1	4	2
Pluton piechoty nr 162	Pakosław	61	17			
Pluton piechoty nr 163	Seredzice	50	22			
Pluton piechoty nr 164	Błaziny	63	27	1	1	31
Pluton piechoty nr 165	Prędocin	75	10			5
Pluton piechoty nr 166	Rybczyzna	84	30		3	18
Pluton piechoty nr 167	Kochanówka	83	47	1	4	
Pluton piechoty nr 168	Sienno	65	17	2	3	19
Pluton piechoty nr 169	Rzeczniów	63	3			5
Pluton piechoty nr 170	Jawor	64	54	2	1	3
Pluton piechoty nr 171	Iłża	51	5	1	1	
Pluton piechoty nr 178	Pawliczka	50	17	1	1	3
Pluton piechoty nr 179	Antoniów	57	23	1	1	27
Pluton piechoty nr 180	Wielgie	57	28	1	4	
Pluton piechoty nr 181	Ostrownica	54	20	1	2	2
Pluton piechoty nr 182	Kowalków	66	20	1	1	20
Pluton piechoty nr 183	Kazanów	54	30		2	
Pluton piechoty nr 184	Niedarczów	55	10			
Sekcja łączności nr 3	Iłża	5				
Sztab podobwodu "Zorza"		24	1	1		15
Pluton piechoty nr 145	Tarłów	59	16	2	3	10
Pluton piechoty nr 146	Pstkowice	58	11	1		100
Pluton piechoty nr 147	Ciszyca	50	11	1		
Pluton piechoty nr 148	Zęborzyn	50	10		7	11
Pluton piechoty nr 149	Sadkowice	42	U		2	10
Pluton piechoty nr 150	Solec	49	3	1	1	
Pluton piechoty nr 151	Dziurków	51	7	2		6
Pluton piechoty nr 152	Lipsko	43	17	1		88

Pluton piechoty nr 153	Wiśniówek	85	17	1		
Pluton piechoty nr 154	Bałtów	61	17	2	1	
Pluton piechoty nr 155	Borsuki	43	17	2		
Pluton piechoty nr 156	Chotcza	72			3	300
Pluton piechoty nr 157	Ciepielów	67				
Pluton piechoty nr 158	Wola Solecka	64	4		1	
Sekcja łączności nr 4	Lipsko	19				
Drużyna saperska	Solec	20				

ORGANIZATORZY I KOMENDANCI PODOBWODU

"DOLINA"



Fot. 89. Adam Szymański, prezes POW w Ilży, w mundurze Komendanta Straży Pożarnej.



Fot 90. Stanisław Piasek „Granit”. Po przejściu do BCh i scaleniu BCh z ZWZ zostaje zastępcą Inspektora WSOP dla Obwodu „Baszta”.



Fot. 91. Antoni Heda „Ząb”, „Szczupak”, „Szary”



Fot. 92. Marian Wujkiewicz „Judym”



Fot. 93. Marcelego Dusińskiego „Dym”



Fot. 96. Leśniczy z Małomierzyc, por. Jerzy Żmijewski „Szczęsny”, zastępca Komendanta Podobwołu „Dolina”, ur. 2. 12. 1900 r. Zamordowany przez gestapowców w dn. 30. 06. 1943 r. Przed wojną Instruktor Przysposobienia Wojskowego Leśników.

Fot. 97. Nadleśniczy lasów małomierzyczych, por. Stanisław Czech „Lalka”. Kwatermistrz Podobwołu „Dolina” (do czasu aresztowania J. Żmijewskiego).

Fot. 98. Odznaka Przysposobienia Leśników, do którego należeli tylko leśnicy lasów państwowych.

Fot. 94. Południowa część lasów małomierzyczych, bardzo wykorzystywanych przez żołnierzy konspiracji. Tu często kwaterowały oddziały „Szarego” i „Ośki”. Zorganizowany był obóz szkoleniowy podobwołu „Dolina”. Tu w gajówce Topiel oraz wsi Budki Cieciorowskie w dniu 10 sierpnia 1944 r. oddziały AK pod dowództwem Marcelego Dusińskiego, ps. Dym, stoczyły wielogodzinną bitwę z oddziałami Wehrmachtu.





Fot. 99. Bogusława Latra-Sikorska „Ewa”, zastępca Komendanta Wojskowej Służby Kobiet dla Podobwodu „Dolina”, następnie Komendantka WSK.



Fot. 100. Komendantka Wojskowej Służby Kobiet dla Podobwodu „Dolina”, Wacława Kotlicka-Heda „Narcyza”.

Fot. 101. Mieszkańcy Pakosławia zasłużeni dla Armii Krajowej: od lewej Marian Wujkiewicz „Judym”, Bogusława Latra-Sikorska, kierownik szkoły Władysław Bogucki z żoną, Franciszek Sikorski „Felek”, małżeństwo Wardasowie (nauczyciele), Stanisław Bródka „Słup”.





Fot. 102 — Por. Ryszard Brodecki „Błyskawica”. Zastępca Kom. Podobwodu „Dolina”.



Fot. 103. Por. Wincenty Tomasik „Potok”, dowódca plutonu w Jaworze Soleckim, organizator i dowódca 1-go Pułku AK Ziemi Łżeckiej, ostatni Komendant Podobwodu „Dolina”.



Fot. 104. Por. Jan Kaczmarczyk „Młokos”, dowódca kompanii w Podobwodzie „Niwa” (Powiśle), przewidziany do kierowania akcją „Deszcz” (atakowanie wycofujących się oddziałów niemieckich).



Fot. 105. Por. Stanisław Kowalczyk „Grad”, dowódca kompanii w Podobwodzie „Dolina”. Poległ w listopadzie 1944 roku jako dowódca plutonu w 3 pp leg AK Korpusu „Jodła”.



Fot. 106. Kpt. Piotr Kulawik „Dariusz”, ostatni Komendant Obwodu Iłzecko-Starachowickiego AK, „Baszta”.



Fot. 107. Kpt. Stanisław Poreda „Strzecha”, „Świątek”, Komendant Obwodu ZWZ „Wola” następnie oficer Inspektoratu Starachowice-Końskie, ostatnio dowódca 3 pp leg AK w 2-ej dywizji. Przed wybuchem wojny oficer 72 pp WP w Radomiu.

Fot. 108. Kpt. Eugeniusz Dymitrow „Dąb”, „Robur”. Kierownik Referatu I. (organizacyjnego) Komendy Obwodu „Baszta”. Przed wybuchem wojny oficer 72 pp WP w Radomiu.



Fot. 109. Pchor. art. Franciszek Wydra „Gromski”. Początkowo dowódca placówki ZWZ w Nietulisku, następnie adiutant Eugeniusza Dymitrowa „Robura”. Ciężko ranny w wyniku bezpodstawnego postrzelenia go przez działaczy PPR.

PODOBWÓD „WOLA”

Fot. 110. Por. Kazimierz Bujnowski „Sowa”, ur. 26. 12. 1907 r. w Łasku koło Sieradza. Pracownik Zakładów Starachowickich. Oficer rezerwy WP. W dniu 6 września 1939 r. dowodzi obroną Wanacji, zmuszając Niemców do wycofania się, następnie walczy pod Iłżą. W dalszej kolejności organizuje SZP — ZWZ w Starachowicach i zostaje Komendantem Obwodu ZWZ „Wola”. W kwietniu 1941 r. unikając aresztowania chroni się w leśniczówce Klepacze i tu nad stawem zrobione jest jego zdjęcie.



Fot. 112. Stefan Langer „Wiśnia”. Strzelec wyborowy 84 pp WP w Pińsku. Żołnierz placówki ZWZ Bór Kunowski. Instruktor strz.



Fot. 111. Por. Piotr Wróbel „Jawor”, adiutant Kom. Obwodu, w 1944 r. Komendant Podobwodu AK „Wola”, przeniesiony następnie na Kom. Podobwodu „Dolina” do Iłży gdzie go aresztowano.



Fot. 113. Władysław Kita „Lis” w mundurze 5 pułku strz. podhalańskich. Żołnierz placówki SZP—ZWZ—AK we wsi Bór Kunowski, najsilniejszej i najlepiej uzbrojonej w Podobwodzie „Wola”.



Fot. 114. Zdzisław Leśniak „Leśny”, por. rez., leśniczy lasów starachowickich, zastępca Inspektora WSOP dla Obwodu „Baszta”.



Fot. 115. Kazimierz Starowicz jako ppor.
6 pułku strz. podhalańskich w Stryżu.



Fot. 116. Por. K. Starowicz po ślubie z Janiną
Iwanicką 29. 07. 1939 r. w Truskawcu.



Fot. 117. Jedno z ostatnich zdjęć por. Kazimierza Starowicza. (patrz — fot. 50). Por. Kazimierz Starowicz był przed wybuchem wojny Komendantem Powiatowym Przystosowania Wojskowego dla powiatu iłżeckiego, podlegający 2 pp leg WP w Sandomierzu.

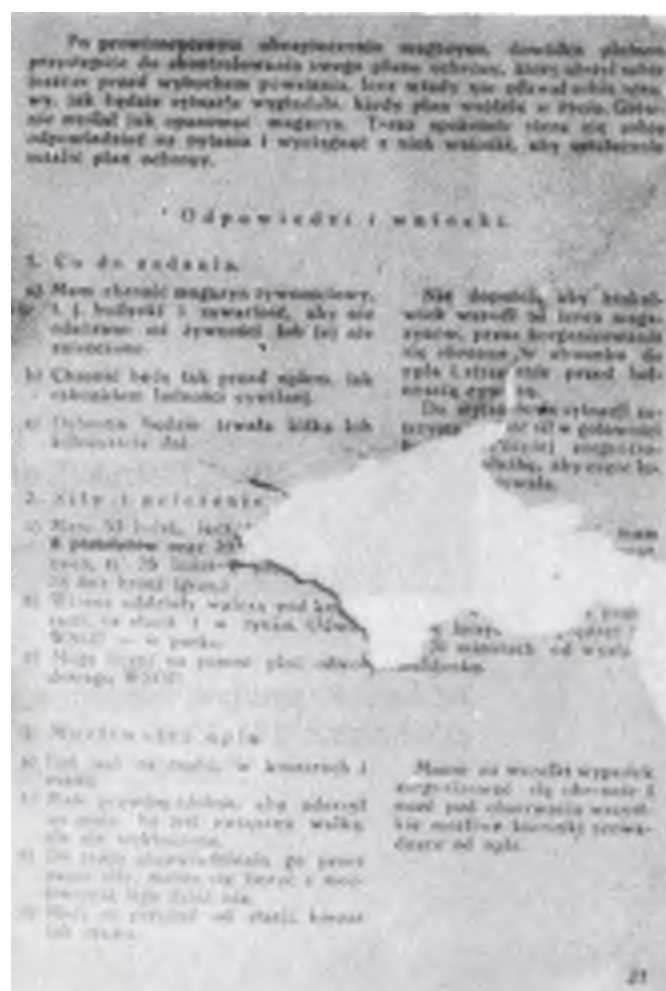
WOJSKOWA SŁUŻBA OCHRONY POWSTANIA



Fot. 118. Por. Franciszek Sikorski „Felek”, Komendant Podinspektoratu WSOP „Centralny”, obejmującego tereny Podobwodu „Dolina”.



Fot 119. Zastępca Komendanta Podinspektoratu „Centralny”, Stanisław Bródka „Słup”



Fot. 120 i 121. Fragmenty obszernej instrukcji dla oddziałów WSOP wydanej dn. 8. 12. 1942 r. przez Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju, gen. Grota - Roweckiego.

ĆWICZENIA WOJSKOWE



Fot. 123 i 124. Ujęcia fotograficzne wykonane podczas ćwiczeń na Kursie Podoficerskim, prowadzonym przez sierż. WP Kazimierza Karwackiego, ps. Wiech, w Podobwodzie „Wola”.



Fot. 125. Instruktor, d-ca plutonu Połagiew, sierż. Kazimierz Karwacki „Wiech”, w czasie szkolenia podległych żołnierzy. Trzymany w ręku niemiecki granat jest jednym ze zdobytych przez oddział „Szarego” w Pakosławiu, których dwa otrzymał autor od „Szarego” do celów szkoleniowych.



Fot. 126. Od lewej: Kazimierz Karwacki „Wiech”, Jan Waszczyński „Kruszyna”, Kazimierz Kutera „Kukułka”, Bogusław Sałek „Selim”, Tadeusz Sosnowski „Leo” (siedzi).

"Szary"

Antoni Heda "Szary" - już gdy był Komendantem Podobwodu "Dolina" - dał się poznać jako człowiek wyjątkowy, nie dającym się z nikim porównać. Nie dość, że oddał się całkowicie walce o uwolnienie kraju z niewoli, ale czynił to z entuzjazmem i w sposób bardzo przemyślany, pozwalający na wiarę, że to co robi musi się udać.

"Szary" wychodził z założenia, że organizacja zbrojna utworzona w konspiracji, winna chronić ludność polską przed krzywdą ze strony Niemców, a także i Polaków, jeśli taki przypadek się zdarzy.

Ludność musi odczuwać, że zbrojne podziemie nie tylko istnieje, ale potrafi ją bronić w potrzebie, a Niemcy muszą odczuć że nie są panami tej ziemi i że jest siła, zdolna ich ukarać za zbrodnie, które dokonują.

Uważał, że w warunkach jakie zaistniały, nie czas na zajmowanie się polityką, a cały wysiłek każdego Polaka powinien być skierowany na walkę z wrogiem.

Takie stawianie sprawy nie odpowiadało miejscowym politykom, niezależnie od tego jaki kierunek polityczny reprezentowali. "Szary" natomiast, urodzony na wsi, znał niedolę ludności wiejskiej i uważał za swój święty obowiązek nieść jej pomoc i ochronę. Czynił to przez cały czas swej działalności, wykorzystując każdą okazję.

Gdy doszło do niego, że ktoś źle się zachował w stosunku do ludzi, zjawiał się u niego i w zależności od stopnia przewinienia albo dawał karę chłosty albo kończyło się to na ostrzeżeniu i mowie wyjaśniającej jak Polak Polaka winien traktować, szczególnie w tym ciężkim okresie.

Gdy się dowiedział, że pewien leśniczy uderzył człowieka w twarz, zjawił się u niego i zrobił to samo z nim, aby wiedział jak to wygląda, gdy Polak Polaka bije po twarzy.

Nie pozwalał właścicielom majątków na wyzyskiwanie swoich robotników. W przypadkach drastycznych potrafił nawet karać chłostą winnych takiego postępowania.

Były przypadki, że karane przez "Szarego" osoby miały tzw. "długie ręce" i "Szary" miał z tego powodu kłopoty. Był zawieszany w swych czynnościach. Byli także tacy, co myśleli jak "Szarego" uśmiercić. "Szary" zawsze wychodził z tych kłopotów szczęśliwie gdyż masy ludzkie stały w jego obronie. Wdzięczność ludzka procentuje i jej należy zawdzięczać to, że gdy po wojnie "Polacy" skazali go na śmierć, wyszedł z tej opresji cało.

W sierpniu 1943 r., gdy działający dla oddziału "Ponurego", trzech jego podkomendni znaleźli się w gestapowskim więzieniu w Starachowicach, nie było komu ich odbić. "Ponury" pewnie nawet o tym nie pomyślał. "Szary" nie oglądając się na innych, sam zorganizował szybko grupę, biorąc swych ludzi z terenu. Oprócz "Szarego" w akcji wzięli udział:

- ppor. Marian Wujkiewicz "Judym",
- ppor. Bolesław Jakubowski "Błaszk", szef wywiadu i dywersji, Komendy Obwodu,
- pchor. Jan Jurek "Sęp",

-szer. Zygmunt Żurek (Ślązak, zbiegły do GG)

-szer. Ryszard Koszelnik "Spokojny"(ranny 5 lipca 1943 r. w lasach małomierzyckich i przebywający na leczeniu w Krzyżanowicach).

Po uwolnieniu kilkudziesięciu więźniów, część z nich nie miała możliwości powrotu do swych rodzin i utworzono z nich mały oddział leśny. Dowództwo nad nim objął ppor. Zygmunt Kiepas "Krzyk". Wtedy to "Szary" wystąpił do władz zwierzchnich z prośbą o wyznaczenie go na dowódcę oddziału. Uzasadnił, że Niemcy wiedzą o nim tak dużo, iż dalsza jego praca w terenie stała się zbyt niebezpieczna. Prośba "Szarego" została uwzględniona i "Szary" rozpoczął nowy etap swej działalności.

Pierwszym zadaniem jakie sobie postawił, było zdobycie dla oddziału nowej broni i amunicji. Broń z 1939 r. była złej jakości, często niecelna, a karabiny maszynowe bez niezawodnej amunicji były groźne tylko z nazwy.

W dniu 15 września 1943 r. "Szary" postanowił rozbroić oddział niemiecki, liczący 45 ludzi, stacjonujący w majątku Pakosław, odległy 5 km od Ilży. Dysponując ludźmi z oddziału, którzy robią w partyzantce pierwsze kroki, są jeszcze niesprawdzeni w boju, gorzej uzbrojeni niż przeciwnik, "Szary" zorganizował dodatkową pomoc z terenu podobwołu. Przed walką oddział został podciągnięty do lasu koło folwarku Michałów i tam oczekiwał meldunku "Judyma" o sytuacji w Pakosławiu. Meldunek doręczył ppor. Franciszek Sikorski "Felek".

Majątek Pakosław położony jest na otwartej przestrzeni pól i dużą trudność stanowiło przerzucenie w biały dzień dość sporego oddziału partyzanckiego na pozycje wyjściowe do walki. Akcja rozpoczęła się między godz. 16-tą i 17-tą, od przecięcia przewodów telefonicznych Pakosław-Ilża, co wykonali w ostatniej chwili dwaj ludzie w kombinezonach, wyposażeni w narzędzia i słupolazy, jadący wcześniej rowerami. Jednym z nich był ppor. Stanisław Kowalczyk "Grad", który po wykonaniu zadania powrócił z meldunkiem o przecięciu linii, a następnie objął dowództwo nad grupą żołnierzy. Przerzucenie oddziału z Michałowa do Pakosławia "Szary" rozwiązał wykorzystując do tego 9 dworskich wozów z wielkimi skrzyniami do przewozu ziemniaków, w których ukrył dużą część swego oddziału. Reszta ludzi posuwała się polnymi ścieżkami, udając powracających z pola robotników folwarcznych.

Oddział niemiecki zakwaterował w murowanym budynku piętrowym, przy którym zbudowano wieżyczkę dla wartownika, z której było wygodniej obserwować okolicę. Budynek otoczono zasiekami z drutu kolczastego, a dla zapewnienia lepszej obrony zbudowano specjalny bunkier. Aby ułatwić akcję rozbrojenia Niemców, "Szary" myślał nad tym, jakby tu wywabić żołnierzy z budynku. "Judym", jako syn kierownika gorzelni, mieszkaniac majątku, poznał się trochę z tymi Niemcami. Pomyślał, że może uda się Niemców namówić na grę w piłkę nożną. Wtedy zaabsorbowani grą i kibicowaniem znaleźliby się na zewnątrz budynku i łatwo można by ich zaskoczyć. Niestety. Komendant niemiecki wiedziony złym przeczuciem nie wyraził zgody na tę zabawę. Wy tłumaczył się złą pogodą i jeszcze czymś.

W zaistniałej sytuacji "Judym" przesłał do "Szarego" meldunek iż planowana gra w piłkę nie odbędzie się i akcję trzeba będzie przeprowadzić bez żadnych udogodnień. Tak się zbiegło, że jeden z niemieckich żołnierzy wybrał się na konną przejażdżkę do folwarku Michałów. Tu został schwytany. Wydarzenie to nasunęło "Szaremu" pewien pomysł. Zaproponował Edmundowi Kamińskiemu "Czerkiesowi" przebranie się w mundur tego Niemca i podjechanie na koniu do niemieckiego wartownika w Pakosławiu, z zadaniem przywołania niemieckiego dowódcy aby mu zameldować o zbliżającej się

jednostce wojska i potrzebie przygotowania dla niej kwater. "Czerkies" służył w artylerii i dobrze jeździł na koniu. Znal też dobrze język niemiecki. Mundur zdjęty z Niemca leżał na nim jak ulany. Wjazd "Czerkiesa" na podwórze majątku miał nastąpić w chwili gdy partyzanckie grupy uderzeniowe zaczynały wchodzić na przewidziane dla nich pozycje wyjściowe.

Sposób wymyślony nagle, okazał się dobry. Do majątku Pakosław ciągnął teraz sznur dworskich wozów, a pierwszym powoził sam "Szary". Pozostali partyzanci szli pieszo przez pola, wymieszani ze służbą folwarczną, która o tej porze powracała z pracy. Przed tym konduktem jechał konno, z pewnym wyprzedzeniem, przebrany za Niemca, Edmund Kamiński "Czerkies". Po zbliżeniu się do budynków gospodarczych partyzanci sprawnie zeskoczyli z wozów, znikając między zakamarkami i zajmując planowane stanowiska do walki. W tym czasie "Czerkies" wywołał niemieckiego komendanta do furtki.

Już na wstępie rozmowy koń nagle pod nim skoczył, a "Czerkies" niby to chciał go uspokoić. Wyczyniając na koniu harce wywabił z budynku prawie wszystkich Niemców. Nawet alarmowy żołnierz niemiecki gapił się na pędzącego po dworskim podwórzu jeźdźcę. W tym czasie partyzanci zdążyli niepostrzeżenie podejść od tyłu do zasieków i po nakryciu workami i kocami, sforsowali je. Nagle Niemcy zostali zaskoczeni i wezwani do poddania się. Wśród żołnierzy niemieckich powstało zamieszanie. Wartownik z wieży, który usiłował ostrzeliwać partyzantów z pistoletu maszynowego, padł zabity. Część żołnierzy niemieckich rozbiegła się w kierunku zabudowań gospodarczych, a niektórym udało się jeszcze cofnąć do budynku, a jeszcze inni leżeli ranni lub zabici przed budynkiem. Zaczęło się teraz zdobywanie budynku oraz bunkra-wartowni, do którego zdążył się schronić niemiecki komendant. Niemcy z wartowni oraz budynku uruchomili ogień z pistoletów maszynowych oraz ciężkiego karabinu maszynowego. Po stronie polskiej udział wzięło siedem ręcznych karabinów maszynowych lecz już na początku walki pięć się zacięło, jeden strzelał tylko ogniem pojedynczym, a pełną sprawność wykazywał tylko karabin maszynowy przyniesiony i obsługiwany przez Wincentego Tomasika "Poloka". Walka się przeciągała i minęło już dwie godziny. Aby tę walkę zakończyć "Szary" zdecydował się na wysłanie parlamentariusza. Zgodził się nim być administrator majątku Walczak, którego Niemcy znali, a on sam dobrze mówił po niemiecku. Podeszedł do bunkra z białą szmatą na kiju i powiedział Niemcom, że partyzanci dostali się piwnicami pod wartownię i jeśli się natychmiast nie poddadzą to zostaną wysadzeni w powietrze. Jeśli się poddadzą, życiu ich nie zagraża niebezpieczeństwo.

Po krótkiej naradzie komendant niemiecki zdecydował się na kapitulację. Żołnierze niemieccy wyszli z budynku i bunkra z podniesionymi rękami.

Inni niemieccy żołnierze, którzy oglądali wyczyny hippiczne "Czerkiesa" i rozbiegli się po chlewniach, stajniach i oborach, są teraz z pomocą służby folwarcznej wyciągani z ukrycia. Tylko jeden żołnierz niemiecki umknął w bagna rozciągające się po północnej stronie majątku i nie wiadomo jaki był jego los. Jeśli nie utonął w bagnach to z pewnością przedostał się do Mirca, gdzie stacjonowała żandarmeria niemiecka.

Całe wyekwipowanie i uzbrojenie niemieckie zostało zdobyte. Żołnierze niemieccy, oprócz rannych, zostali rozebrani do bielizny i ustawieni na podwórzu, a z drugiej strony ustawiono służbę folwarczną, która z polecenia "Szarego" razem z partyzantami odśpiewała Hymn Narodowy "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy" oraz "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". Zauważono, że nawet niektórzy Niemcy włączyli się do

śpiewania polskich pieśni narodowych. Zapewne robili to z radości, że polscy "bandyci" darowali im życie.

Tak oto "Szary" zainauguował swą działalność jako dowódca oddziału leśnego i przez cały czas swej partyzanckiej działalności potwierdzał czynnie słowa naszego hymnu.

Rannych niemieckich żołnierzy, zgodnie z umowami międzynarodowymi, opatrzone i odesłano do szpitala w Iłży. Jeńców zwolniono. "Szary" zawsze przestrzegał tych zasad i nigdy nie zabijał żołnierzy przeciwnika, którzy się poddali. Zasady te nie dotyczyły policji niemieckiej, gdyż członkowie tych formacji mieli na sumieniu tak dużo zbrodni iż było niemożliwością okazywanie im litości.

W walce, po stronie polskiej, został ranny tylko jeden partyzant. Był nim Franciszek Sławiński "Szczodry". Usiłował on, przez otwór strzelniczy, wrzucić granat do wartowni. Został ranny w twarz i nogę. Umieszczono go potem na leczeniu we wsi Seredzice. Stąd został wkrótce przeniesiony do Krzyżanowic i przebywał u kpr. Stefana Ferencza, pod opieką Wacławy Kotlickiej "Narcyzy", Komendantki Wojskowej Służby Kobiet w podobwodzie "Dolina". Po pewnym czasie "Szczodrego" przeniesiono do domu Jana Jurka, ps. Sęp, w którym opiekę nad rannym pełniła Eugenia Jurek, żołnierz WSK.

Po akcji w Pakosławiu ponad połowa żołnierzy "Szarego" otrzymała nowe karabiny, a broń maszynowa, nową, niezawodną amunicję. Wzrosła też siła ogniowa broni maszynowej, gdyż przybył w oddziale nowy, niemiecki karabin maszynowy MG-34 oraz kilka pistoletów maszynowych.

Obserwujący z pewnej odległości tę walkę ppor. Franciszek Sikorski "Felek" wspomina, że w czasie gdy trwała największa strzelanina, kury znajdujące się w pomieszczeniu obok niemieckiego bunkra, podniosły niesamowity wrzask, wywołujący wrażenie. Być może tym sposobem pomogły partyzantom złamać opór niemiecki, stawiając się w nie gorszym świetle niż "gęsi kapitolinские".

Następnym problemem, poza sprawą uzbrojenia, który "Szaremu" nie dawał spokoju, był problem ubrań i obuwia. Wkrótce i to rozwiązał. Wysłał do Lipska jedną drużynę z zadaniem opanowania magazynów pocztowych i przywiezienia stamtąd ubrań i obuwia, które Niemcy tam magazynowali na potrzeby pracowników poczty. Przywieziono kilka wozów czapek narciarek, mundurów oraz obuwia, które natychmiast zostały ukryte w gajówkach i leśniczówkach. Duża część tych rzeczy została ukryta w leśniczówce Klepacze, gdzie nocą trzeba było kopać ogromny dół dla zamelinowania skrzyń i worów przywiezionych z Lipska. Lipsko położone jest dość daleko od terenów leśnych. Akcja musiała być prowadzona w nocy i w takim czasie aby grupa operacyjna zdążyła powrócić przed świtem w lasy starachowickie. Ze względu na to, że zarekwirowane materiały były w nadmiarze w stosunku do potrzeb oddziału, "Szary" polecił aby podczas powrotu przez biedne wioski, położone bliżej lasów, postawić pod progiem każdemu gospodarzowi jedną parę butów. Przebywający na leśniczówce Klepacze "Szary" rozmyślał głośno, że chciałby widzieć jakie miny będą mieli gospodarze, gdy nad ranem wstaną do obrządku inwentarza i zobaczą pod progami takie prezenty.

Chcąc dopomóc ludziom w ubogich wioskach, "Szary" zaczął zatrzymywać samochodowe transporty zboża, zabrane ludziom w ramach kontyngentów. Pierwszy zabrany transport kierował bezpośrednio przez wsie i zwracał ludziom zboże. Doszedł jednak do wniosku, że po śladach samochodów Niemcy mogą dojść gdzie zboże było rozwożone i będą mścić się na ludności. Następne transporty kierował do lasu, w rejon gajówki Murowanką, gdzie nie było wsi i liczne drogi rozchodziły się we wszystkich

kierunkach. Tu zboże przeładowywano na wiejskie furmanki i rozwożono do okolicznych wiosek. Puste samochody stały potem przez kilka dni, aż je Niemcy odnaleźli i zabrali. W tym czasie wymontowywałem z nich różne elementy, takie jak prądnice, rozruszniki, wycieraczki, itp. Niektóre z nich mam do dzisiaj.

Po rozwiązaniu problemów uzbrojenia oraz ubraniowych, "Szary" pomyślał nad zdobyciem pieniędzy dla potrzeb oddziału. Organizacja nie dysponowała dostatecznymi funduszami, tworzonymi głównie z dobrowolnych składek ludności oraz niewielkich kwot napływających z zagranicy. Aby nie obciążać organizacji utrzymaniem oddziału, "Szary" postanowił pieniądze zdobyć. Dojrzał taką możliwość w kasie głównej Zakładów Starachowickich. Zagarnięcie jednak tych pieniędzy nie było łatwe. Kasa znajdowała się w gmachu dyrekcji, tzw. Biurze Głównym, położonym obok głównej bramy z wartownią obsadzoną przez oddział tzw. Werkschutzu, a po drugiej stronie gmachu dyrekcji znajdowały się koszary Werkschutzu, w których skoszarowanych było około 200 żołnierzy, głównie pochodzenia ukraińskiego. Zakłady pracowały dla potrzeb uzbrojenia, w związku z czym były pod szczególną ochroną wojskową i policyjną.

Zadanie jakie sobie "Szary" postawił należało do szczególnie trudnych. Akcję opracował z udziałem 13-tu ludzi (łącznie ze sobą), gdyż jak potem mówił do mojego ojca, ma duże zaufanie do trzynastki. Do tych, którzy musieli wejść wrogowi do gardła, należeli:

1. Antoni Heda "Szary",
2. Zygmunt Kiepas "Krzyk",
3. Władysław Dąbek "Bukowy",
4. Edmund Kamiński "Czerkies",
5. Zbigniew Michalski "Fuchs",
6. Józef Małek "Tygrys",
7. Teofil Stawski "Kret",
8. Zdzisław Łęcki "Skalbmierz",
9. Tadeusz Łęcki "Krogulec",
10. Aleksander Kosiur "Zant",
11. Mieczysław Mączyński "Mat",
12. Wacław Sołtyk "Liść",
13. Jan Pączek "Szkłanka".

Większość dobranych ludzi pracowała w przeszłości w tych Zakładach, co znacznie zwiększało szansę dobrego wykonania akcji, ponieważ znali już teren oraz panujące tam warunki.

Akcja została poprzedzona dobrym wywiadem i ustaleniem kiedy kasa będzie pełna oraz jak jest zabezpieczona urządzeniami alarmowymi.

Klucze od kasy zabierał ze sobą do domu kasjer. Od niego też rozpoczęto całą akcję. Na żądanie "Szarego" wydania mu kluczy od kasy, kasjer próbował wprowadzać w błąd partyzantów, tłumacząc się wykrętnie, że kluczy nie ma. Pokonano jego upór i pozostawiając do pilnowania go, aby nie opuścił mieszkania, Tadeusza Łęckiego "Krogulca", "Szary" z resztą ludzi udał się do Zakładów.

Na teren fabryki przedostano się przez wysoki płot z desek, od strony Orłowa, wykorzystując ciemności oraz porastający tu las. Ponieważ niedaleko miejsca, w którym partyzanci usiłowali forsować parkan, stała wieżyczka z wartownikiem, należało w jakiś sposób odwrócić jego uwagę. Wykonał to doskonale "Liść" idąc ulicą w stronę Orłowa

i udając pijanego. Powodował on zamieszanie na ulicy oraz wesołość robotników powracających z pracy do domu. Sceny jakie wywoływał oglądał z ciekawością wartownik przebywający na służbie. W tym czasie niektórzy dywersanci przeskoczyli już płot oraz zauważono, że jedna z desek w płocie jest oderwana. Po jej odsunięciu wszyscy z łatwością przeszli na drugą stronę. Partyzanci, poubierani w robocze kombinezony, mogli robić wrażenie robotników. Tylko "Fuchs" i "Czerkies" ubrani byli na podobieństwo Niemców. Tyrolskie kapelusiki, czerwone opaski z hakenkreuzem i hitlerowskie znaczki wpięte w klapy, pozwalały im na udawanie Niemców -cywilów, jakich wielu kręciło się po Zakładach.

W biurowcu w którym była kasa, pełniło służbę dwóch żołnierzy Werkschutzu. Na noc, gdy nie było ruchu, zamykali drzwi od środka na łańcuch. Gdy grupa partyzancka dotarła do drzwi, "Fuchs" próbował je otworzyć. Na przeszkodzie był łańcuch, który "Fuchs" usiłował drzwiami zerwać lecz bezskutecznie. Nadbiegli dyżurni żołnierze i widząc przez uchylone drzwi Niemca, otworzyli je. "Fuchs" wszedł do środka i po niemiecku zaczął wymyślać Werkschutzom za to, że on Niemiec, z powodu ich opieszałości traci czas a oni zamiast czuwać zajmują się nie wiadomo czym. Krzycząc po niemiecku, uderzył w twarz jednego z Werkschutzów. Tamten przeżył się i tłumaczył, a gdy przez uchylone drzwi wkroczył do środka "Szary" i celując w nich z pistoletu krzyknął "ręce do góry", Werkschutze zupełnie zgłupieli.

Po ich rozbrojeniu partyzanci zajęli się przydzielonymi zadaniami. "Kret"(Teofil Stawski) pobiegł do centrali telefonicznej, gdzie dwie Polki telefonistki, porozbierane z powodu gorąca panującego wewnątrz, wylegiwały się na stołach. Pokazując broń dał im do zrozumienia, że od tej chwili podlegają jemu. Poleciał im prowadzić swą pracę dalej, jak gdyby nic nie zaszło. Dziewczynki, powiedział im, trzymajcie słuchawki na uszach i natychmiast dajcie mi znać, jeśli zauważycie że w Zakładach powstał alarm. Dziewczyny, szczęśliwe, że i one mogą wziąć udział w jakiejś konspiracyjnej akcji, bacznie czuwały nad tym co im powierzył "Kret".

Tymczasem na parterze powstały trudności. Wejście do pomieszczeń kasowych było od strony holu zabezpieczone kratą, do której wykonawcy akcji nie mieli kluczy. Zapytani Ukraińcy z Werkschutzu odpowiedzieli, że oni byli tu do pilnowania budynku i o kluczach nic nie wiedzą. Jeden z nich w końcu wskazał jakąś skrzynkę, mówiąc że tu są jakieś klucze. Okazało się że są dobre i krata, którą już usiłowano zniszczyć, została otwarta.

Pierwszy wszedł do wnętrza "Szary", rozpoczynając swe czynności od opuszczenia rolet w oknach. Światło zauważone w tych pomieszczeniach o tej porze, wzbudziłoby u Niemców podejrzenia że coś się dzieje złego. Po opuszczeniu rolet w pierwszym a potem w drugim pomieszczeniu, "Szary" zapalił światło. Wtedy spostrzegł w podłodze przycisk alarmowy. Nie miał pewności czy go przypadkiem nie nacisnął. Na wszelki wypadek zapytał chłopców czy zgadzają się prowadzić akcję dalej, gdyż nie ma pewności czy przycisk alarmowy nie został przypadkiem naciśnięty. Wszyscy byli zdecydowani prowadzić akcję do końca.

Gdy przystąpiono do otwarcia kasy pancernej, to okazało się że nie można znaleźć zamków. Na szczęście "Szary" wziął ze sobą żołnierza, który był obeznany z pancernymi kasami i szybko sobie z problemem poradził. W czasie, gdy partyzanci zajmowali się kasą, a inni strzegli rozbrojonych wartowników oraz ubezpieczali budynek przed nagłym wejściem Niemców, do biurowca zbliżał się "rozprawiający warty", prowadzący zmianę Werkschutzów. "Czerkies", dowodzący grupą ubezpieczającą,

pozwoili niemieckiemu podoficerowi oraz towarzyszącym mu dwóm żołnierzom, wejść do holu biurowca i tu ich rozbroił. Niemiecki podoficer w średnim wieku, który rozprawdzał wartowników, szedł sobie pewnym krokiem, z czeskim pistoletem maszynowym na szyi. Prędey spodziewałby się końca świata niż tego, że tu natknie się na "bandytów". Był tak przerażony, że aż dostał czkawki i leżąc potem w białiznie na podłodze cały czas łkał. Gdy potem zatelefonowano z wartowni, pytając się dlaczego rozprawdzający nie wraca, telefon odebrał "Czerkies" i po niemiecku, w myśl wskazówek Niemca, pytającego uspokoił.

Po otwarciu kasy pieniądze załadowano do worków i wyniesiono na zewnątrz budynku. Tu "Czerkies" pozorujący Niemca zatrzymał dwóch przechodzących robotników, każąc im wziąć na plecy "ten węgiel" i nieść we wskazanym kierunku. Robotnicy wyczuli, że w workach jest coś innego i zaczęli się domyślać że jest to jakaś akcja konspiracyjna, o czym mówiły ich znaczące uśmiechy.

Podczas całej akcji na terenie Zakładów, przy wyjściu w płocie, dyżurowali ppor. Zygmunt Kiepas "Krzyk", pchor. Władysław Dąbek "Bukowy" i inni, z karabinem maszynowym.

Po opuszczeniu Zakładów oddział udał się przez Lipie w kierunku leśnictwa Klepacze. W Lipiu zrobiono odpoczynek i przeliczono pieniądze, stwierdzając że jest ich ponad dwa miliony złotych. Po powrocie "Szary" rozmieścił pieniądze po różnych melinach, dość dużą część oddając pod moją opiekę.

Zbliżała się zima. "Szary" postanowił zrobić zapasy żywności dla oddziału. Uznał że dobrze by było przechwycić transport masła i po przetopieniu zakopać w beczkach. Iłżecką mleczarnię poddano obserwacji. Niemiec Klein, kierujący tą mleczarnią, prawdopodobnie wyczuwał że wysyłanym przez niego transportom grozi niebezpieczeństwo ze strony "Szarego". Terminy transportów okryte były tajemnicą, a także tajemnicą okryta była trasa którą ma jechać transport. W grudniu 1943 r. udało się nareszcie "Szaremu" upolować transport z mleczami. Na wielkiej ciężarówce znajdowały się.....jedna beczka masła i trochę sera. "Szary" uznał że transport był odwracający uwagę od normalnego transportu, który pojechał inną trasą. Z tą znikomą zdobyczą, upolowaną na szosie Marcule - Lubienia, oddział przybył na leśniczówkę Klepacze, gdzie spędził Święta Bożego Narodzenia. Na dworze leżała już gruba warstwa śniegu i był dość duży mróz. Warunki atmosferyczne nie pozwalały już na noclegi w lesie. (Święta Wielkanocne oddział spędził dla odmiany na leśniczówce Kutery).

Już jesienią "Szary" przewidywał częściowe rozpuszczenie ludzi na meliny w okresie zimowym. Zwrócił się do mnie z zapytaniem, jak szybko mógłbym zrobić wszystkim żołnierzom zdjęcia fotograficzne do lewych Kennkart. Powiedziałem, że zdjęcia zrobię po południu, a rano będą gotowe odbitki. Wyraził zgodę na te warunki. Powiesiliśmy na jakimś krzaku worek, jako jasne tło do zdjęcia, i po kolei wszystkich sfilmowałem. Natychmiast film wywołałem, wysuszyłem, i pojechałem z nim wieczorem do Marcul, gdzie w pokoiku Stanisława Stępniewskiego, obsługującego centralę telefoniczną, miałem kopiarkę do zdjęć. Płukanie i suszenie odbitek wykonywałem już u siebie, w leśniczówce.

Rano odbitki miał do swej dyspozycji "Szary". Jeszcze przy mnie, na wielkim pniu, ppor. "Krzyk" z pomocnikami, przyklejali zdjęcia do blankietów Kennkart, stemplowali, i wręczali zainteresowanym.

Po Świętach Bożego Narodzenia "Szary" rozpuścił na meliny maksymalną ilość ludzi. Pozostała tylko mała grupka, która pod dowództwem pchor. Jana Ziębory musiała się

tułać po lasach, znajdując stale gdzie indziej nocleg i wyżywienie. W grupie tej było dwóch braci: Zdzisław Łęcki "Skalbmierz" i Tadeusz Łęcki "Krogulec". Podczas noclegu w zabudowaniach niemieckiego kolonisty Albekiera, położonych blisko lasu w Michałowie pod Wierzbnikiem, gospodarz swoją gościnnością zdobył zaufanie partyzantów. Pozwolili mu na chwilę pójść do brata, mającego w pobliżu młyn. Ten z kolei zawiadomił żandarmów. Gdy po śniadaniu chłopcy zakładali na siebie oporządzenie i zamierzali wychodzić w drogę, spostrzegli żandarmów wychylających się zza budynków gospodarczych. Natychmiast rzucili się oknem do ucieczki w kierunku do lasu, jeszcze przez żandarmów nie zagrożonym. Ostatni z chłopców, Zdzisław Łęcki "Skalbmierz", który dowodził w tym czasie grupą, podobno chwycił swój pistolet maszynowy ze ściany gdy do pokoju wpadł granat. Wybuch granatu ranił go ciężko i podobno Niemcy go jeszcze żywego zawieźli do Starachowic, a co było z nim dalej to można się tylko domyślić. Pchor. Ziębora w tym czasie poszedł odwiedzić swą rodzinę w Starachowicach, przekazując na czas swej nieobecności dowództwo "Skalbmierzowi". O całej tej tragedii opowiedział mi kilka dni później jego brat Tadeusz. Można sobie wyobrazić przeżycia Tadeusza gdy z odległości patrzył na walkę samotnego brata z żandarmami, słuchając huku wystrzałów i wybuchów granatów. Zdzisław i Tadeusz Łęccy byli uczniami gimnazjum w Starachowicach. Albekier, u którego chłopcy nocowali, natychmiast uciekł w nieznane i nie udało mu się wymierzyć kary. Nie ominęła natomiast jego brata, młynarza.

Gdy tylko zaczęły się odwilże, zwiastujące koniec zimy, "Szary" zmobilizował ludzi i ponownie przystąpił do walki z wrogiem, zwłaszcza że w końcu lutego przewidziano zrzut broni na terenie Powiśla.

Na akcję zrzutową "Szary" wysłał pluton liczący około 30 ludzi, pod dowództwem ppor. "Krzyka". Do zrzutu nie doszło ale doszło do walki z żandarmerią i policją granatową z Iłży. Był to dzień 26-go lutego 1944 r. i na dworze panowała zima, nie pozwalająca na kwaterowanie w lesie. "Krzyk" rozmieścił oddział w czterech ostatnich gospodarstwach wsi Edwardów. W pewnej chwili ubezpieczenie doniosło, że do wsi zbliża się korowód sań z żandarmerią i policją granatową. Było za mało czasu, aby oddział wycofać w sposób niedostrzeżony do lasu. "Krzyk" postanowił przepuścić Niemców i dał rozkaz swoim żołnierzom aby się ukryli po gospodarstwach w których mają kwatery i nie strzelali do Niemców bez koniecznej potrzeby.

Żandarmi spokojnie przejechali przez wieś, ale gdy się znaleźli na jej końcu, przysłała im ochota coś zjeść. Zatrzymali sanie i zaczęli wysiadać, zdążając do budynków mieszkalnych. Efekt był taki, że wchodzących Niemców przywitano ogniem. Innego wyjścia nie było. Żandarmi, którzy byli jeszcze na drodze, rzucili się do rowów i zaczęła się strzelanina. Przebieg walki był chaotyczny gdyż trudno było dowodzić całością i poszczególne grupy partyzantów walczyły w oderwaniu od siebie. Niemcy też nie potrafili zapanować nad sytuacją i zostali zmuszeni do wycofania się. Zginęło w tej walce trzech iłżeckich żandarmów oraz jeden granatowy policjant. Drugi granatowy policjant zmarł w szpitalu. Obydwaj granatowi policjanci należeli do AK i dawali organizacji duże usługi. Śmierć ich była dużą stratą dla społeczeństwa. Zginął także kucharz żandarmerii, bardzo duży i gruby żandarm, znany ogólnie jako porządny Niemiec, nie starający się szkodzić Polakom. On to pierwszy wchodził do izby, ażeby sobie podjąć i niestety drogo go to kosztowało. Partyzant widząc takiego kolosa strzelił w niego bez namysłu, zabijając na miejscu.

Walka z żandarmami toczyła się na odległość rzutu granatem. Strzelającemu z karabinu maszynowego Józefowi Maikowi, ps. Tygrys, niemiecki granat wybuchł dwa kroki przed stanowiskiem. Nic mu się jednak nie stało, poza tym że zaproszyło mu oczy piachem. Plutonowy Witold Kotwica "Brzeszczot" strzelał do jakiegoś żandarma, który uciekając zniknął za jakąś przeszkodą. Aby go jeszcze dojrzeć "Brzeszczot" się za dużo wychylił, co wykorzystał inny żandarm, trafiając "Brzeszczota" śmiertelnie. Również ppor. "Krzyk" stracił w tej walce lewe oko. (Prawe oko chcieli mu wybić ubowcy, gdy po wojnie go aresztowali w Iłży).

Miesiąc później, w dniu 24 marca 1944 r. "Szary" postanowił zająć Starachowice i zdobyć broń znajdującą się w koszarach Werkschutzu. Koszary te mieściły się w dwu równoległych, parterowych budynkach, obok Głównego Biura Zakładów Starachowickich. Przed wybuchem wojny w budynkach tych mieściła się Zawodowa Szkoła Rzemieślnicza oraz Gimnazjum Ogólnokształcące, im. Józefa Piłsudskiego. Budynki te trudne były do zdobycia, ze względu na grube mury, wykonane z kamienia. Za budynkami tymi rozciągał się teren Zakładów, a przed nimi ulica i wąski teren ze stromą skarpą, opadającą na południe, do tzw. Kolonii Robotniczej. Budynki te, miały dużo otworów okiennych i drzwiowych, co pozwalało Werkschutzom na skuteczną obronę i wzajemne się osłanianie z obu budynków. Atakować można było tylko jedną stronę zewnętrzną i tylko jednego budynku. Zdobycie tych koszar możliwe było tylko przez zaskoczenie lub jakiś podstęp. Na rozległym terenie Starachowic i Wierzbnika znajdowało się wiele różnych formacji niemieckich, mogących przyjść z pomocą Werkschutzom. Po północnej stronie Zakładów, w budynku Szkoły Powszechnej, kwaterowała kompania Wehrmachtu. W kierunku wschodnim, kilkaset metrów od koszar Werkschutzów, rozciągała się dzielnica niemiecka. Tam też znajdowała się żandarmeria, Gestapo, i inne jednostki policyjne. W Wierzbniku również były jednostki żandarmerii i policji. Aby zabezpieczyć akcję główną przed atakiem tych jednostek, potrzebne były duże siły. W akcji miały wziąć udział dodatkowe siły, w postaci plutonu sierż. "Buczyńskiego" ze Skarżyska. Według słów kolegów, którzy brali udział w akcji, pomocy tej nie było i "Szary", który się na tę akcję nastawił, postanowił ją zrealizować o własnych siłach. Dwa dni po akcji pisałem na maszynie, pod dyktando "Szarego", raport z tej akcji, adresowany do Komendanta Obwodu. W raporcie tym "Szary" podawał rozmieszczenie swych sił pozorujących atakowanie różnych jednostek niemieckich na terenie Starachowic. Największą grupę ludzi 1+5, tj. dowódcę i 5 żołnierzy, przeznaczył do atakowania koszar Wehrmachtu w Szkole Powszechnej. Do atakowania innych jednostek przydzielił mniejsze siły 1+3 a nawet 1+2. Ludzie ci strzelali w okna budynków i rzucali granaty, zmieniając w ciemnościach swe stanowiska. Niemcy nie mogli się zorientować jakie siły nieprzyjacielskie ich atakują, gdyż wszystkie niemieckie jednostki meldowały to samo, nie wiedząc co w tej sytuacji robić. W tym czasie główne siły "Szarego" uderzyły frontalnie od południowej strony Zakładów. Lewe skrzydło sił atakujących, nie zrealizowało postawionego zadania, tj. zdobycia wartowni przy głównej bramie i przejścia na tyły koszar Werkschutzu. Werkschutz zdażyli zorganizować się obronnie i z zaskoczenia nic nie wyszło. W tej sytuacji "Szary" postąpił najrozsądniej, wycofując się z dalszej akcji. Dalsza walka przyniosła by tylko ofiary. Zginęło w niej 7 żołnierzy Werkschutzu, a po naszej stronie poległ Stanisław Seweryn i kpr. Stefan Kozłowski "Jola" został ranny.

W wyniku strzelaniny słyszanej na całym terenie Starachowic i Wierzbnika, miejscowi Volksdeutsche i reichsdeutsche poczuli się zagrożeni. Powychodzili na strychy

swoich domów i strzelali z posiadanej broni w celach odstrasżających. Partyzanci już dawno opuścili Starachowice, a strzelanina trwała (podobno do rana)

Akcja na Starachowice nie przyniosła wprawdzie osiągnięcia zamierzonego celu, dała jednak Niemcom świadomość, że nawet w tak dużych miastach jak Starachowice, nie mogą czuć się bezpieczni. Miasto nasycone licznymi jednostkami policji i wojska, bardziej niż inne, nie dawało od tej pory poczucia bezpieczeństwa zamieszkującym tu Niemcom. Potwierdził to w swych pamiętnikach Forstmeister dr Hermann Meyer, kierownik Urzędu Leśnego oraz obszarów leśnych od Końskich aż do Wisły. Przytoczę tu fragment jego wspomnień w oryginale:

" Wer konnte damals ahnen, dass die Winterschlacht um Stalingrad Ende 1942 zur Schicksalwende für das deutsche Volk werden würde? Spürbar vermehrte sich bald die von Russland gesteuerte Diversantentaetigkeit in unserem Hinterland. Brückensprengungen, Ueberfaelle auf Forstgebaeude, Post- und Bahnanlagen, Kassenraub und das Mederbrennen von zwoelf Saegewerken waren die Folgeerscheinungen. Ein Divisionsstab wurde am hellichten Tage Überfällen und bis auf den letzten Mann niedergemacht. Selbst vor einem Angriff mit 300 Mann auf das Rüstungswerk Starachowice schreckten die Stoertrupps nicht zurück. "

Tekst ten w języku polskim brzmi następująco:

"Kto mógł wówczas przewidywać, że bitwa zimowa pod Stalingradem, w końcu 1942 r. tak niekorzystnie wpłynie na losy narodu niemieckiego. W sposób znaczący spotęgowała się działalność dywersyjna na tyłach frontu, sterowana ze Związku Radzieckiego.

Następstwem tego stały się wypadki palenia mostów, napady na urzędy leśne, pocztowe, kolejowe, kasy, i spalenie 12 tartaków.

Jeden ze sztabów dywizyjnych został w biały dzień zaatakowany i wybity "do nogi". Osobiście byłem świadkiem zdarzenia gdy siły ochronne nie odstraszyły 300 osobowej grupy partyzantów przed atakiem na zakłady zbrojeniowe w Starachowicach. "

Forstmeister Meyer należał do. niemieckiej elity w Starachowicach. Dyrektor Zakładów, szef Gestapo, starosta (Kreishauptmann) i podobne osobistości stanowiły towarzystwo, w którym przebywał Forstmeister. Opinia wyrażona przez niego była opinią wszystkich Niemców tej kategorii.

Wspominając o likwidacji sztabu dywizji przez partyzantów, miał na myśli likwidację sztabu 174 dywizji Wehrmachtu, dokonaną 26 sierpnia 1943 r. na szosie Ożarów-Ćmielów, przez oddział AK "Tarzana".

Ciekawa jest ocena akcji "Szarego" na Starachowice. Niemcom się w głowie nie mieściło, że akcji tej mógł dokonać oddział liczący około 100 ludzi. Ocenili go na 300 partyzantów, aby się usprawiedliwić przed wyższymi władzami za swą bezsilność.

Zaledwie kilka dni po akcji na Starachowice oddział "Szarego" miał poważne starcie z oddziałami żandarmerii ostrowieckiej w Jeleńcu. Dość szczegółowo opisuje to wydarzenie żołnierz oddziału "Szarego" Tadeusz Chmielowski "Bartek":

"W czwartek 30 marca 1944 r. dotarliśmy do Jeleńca. Na zaoranych polach śnieg już znikł ale w lesie leżał jeszcze miejscami dość grubą warstwą. Zajęliśmy kwatery w pięknym dworku a właściwie raczej pałacyku. Ściany obszernego hallu ozdobione były malowanymi misami, talerzami i trofeami myśliwskimi, także z egzotycznych krajów. Jako popielniczki służyły specjalnie spreparowane kopyta słonia. W jadalni luksus i wykwint. Obiad podano - nam obdartusom - na pięknej złożonej porcelanie. Sztućce oczywiście srebrne, itd.

Po obiedzie część naszego partyzanckiego towarzystwa słuchała z płyt muzyki poważnej, część zajęła się czyszczeniem broni, a niektórzy, między innymi ja, przeglądali książki w zasobnej bibliotece. Zainteresowały mnie szczególnie "Słówka Boya", o których wiele słyszałem a które w Końskich były niedostępne.

W piątek 31 marca, po południu, wydzielona grupa zrobiła zbrojny wypad zaopatrzeniowy do Sienna, skąd przywiozła między innymi kilka skrzynek wódki w litrowych butelkach.

Obowiązywał taki porządek, że bez rozkazu dowódcy nikomu nie wolno było tknąć alkoholu. Tym razem znalazło się kilku żołnierzy, którzy naruszyli ten zakaz i wkrótce można było po nich poznać, że sobie popili.

Reakcja "Szarego" była natychmiastowa. Na oczach całego oddziału rozkazał woźnicy potłuc wszystkie butelki stanowiące zdobycz z Sienna. Sprawcy tak ukaranego wyskoku byli na długo pogrążeni w opinii kolegów i nie przypominam sobie, żeby jeszcze kiedykolwiek zdarzył się podobny przypadek niesubordynacji.

W sobotę 1 kwietnia - jeszcze przed świtem - "Szary" poderwał oddział na nogi, wydając plutonowi "Lisa" (Stefan Sławiński) rozkaz zajęcia stanowisk bojowych w głębi lasu, niezależnie od normalnego ubezpieczenia pełnionego przez jedną z drużyn plutonu "Orkana" (Stanisław Kołodziejczyk) w postaci placówki i systemu czujek. Pozostałym dwóm drużynom - w tym mojej - Komendant pozwolił nadal na spanie lecz bez zdejmowania obuwia i w pełnym oporządzeniu.

Przedsięwzięte przez "Szarego" kroki okazały się zbawienne.

Rankiem Niemcy wyładowali z ciężarówek w głębi lasu znaczne siły (wg mojej oceny pełną kompanię żandarmów) i przystąpili - mając nadzieję na całkowite zaskoczenie naszego oddziału - do natarcia od tej właśnie strony, na Jeleniec, chcąc zepchnąć nas na pola, co równałoby się zagładzie oddziału.

Zmasowany ogień plutonu "Lisa" był dla skradających się żandarmów niespodzianką, która pomieszała im szyki. Tyraliera niemiecka utknęła i wdała się w przewlekłą wymianę ognia.

W tym czasie "Szary" wyprowadził resztę oddziału wraz z taborem z zabudowań Jeleńca do lasu. Przez cały ten czas grzmiały serie karabinów maszynowych i palba karabinowa z pozycji zajmowanych przez pluton "Lisa".

Po przejściu chyba ze trzystu metrów lasu ujrzałem biegnącego do nas i słaniającego się na nogach łącznika. Dobiegł do "Szarego", złożył krótki meldunek i padł martwy na ziemię. Odbiliśmy ukosem, bardziej w prawo od linii obronnej "Lisa". Posuwaliśmy się kilka minut szybkim krokiem w luźnym szyku, na czele z "Szarym". Znajdowałem się kilkanaście metrów z tyłu za Komendantem i kilka kroków od "Orkana" - mego najbliższego sąsiada z prawej strony, gdy od przodu, nieco z lewej strony, posypała się na nas nagła seria niemieckiego karabinu maszynowego. Ujrzałem jak idący za "Szarym" "Szkłanka" (Jan Pączek) chwyta się za brzuch. Padając odruchowo na ziemię poczułem silne smagnięcie po plecach i piekący ból. Patrzę na "Orkana", a ten chwije się trafiony tą samą serią w rękę. Z przestrzelonego na wylot nadgarstka tryska struga krwi. Słysząc okropny jęk i krzyk wijącego się z bólu "Szkłanki". Próbuję ruszyć prawą łopatką. Boli i piecze, ale mogę ruszać ręką. W tym momencie słyszę "Szarego" jak woła: "prowadzić ogień". Leżący obok mnie mój celowniczy wpakował rkm wz. 28 lufą w mech i patrzy nieprzytomnym wzrokiem. Strzelaj s... synu - krzyknąłem - i gdy nie pomaga zamierzam się na niego kolbą. Ocknął się wreszcie z szoku i rozpoczął ostrzał. Na ślepo ale we właściwym kierunku.

Oddałem kilka strzałów z kbk i widzę jak "Wojnat" spokojnie pruje z pistoletu maszynowego. Czuję, że drużyna wraca do równowagi. Pluton - mimo wyeliminowania z walki rannego "Orkana" - znów jest sprawnym narzędziem w rękach "Szarego".

Podrywamy się i torując sobie drogę ogniem maszerujemy w głąb lasu. Przez chwilę pomagam "Orkanowi" umocować opatrunek. Poza ręką ma jeszcze lekko draśnięte udo i przestrzelony płaszcz. Przy okazji pytam "Orkana" czy nadal płynie mi krew z łopatki. Okazuje się, że już nie. Tylko polski szynel kawaleryjski stracił cały swój fason, poprzecinany na przestrzeni kilkunastu centymetrów przez co najmniej cztery pociski, z których tylko jeden poszedł głębiej, raniąc mnie w łopatkę.

Dołącza pluton "Lisa". Meldują o znacznych stratach. Wycofujemy się rojem, w środku wóz taborowy.

Niby wszystko w porządku tylko te krwawe straty zadane nam przez nieprzyjaciela, którego na dobrą sprawę nawet nie ujrzałem na oczy. Ogarnia mnie wściekłość. Podchodzę do "Szarego" i zdecydowanie proszę o pozwolenie udania się z moją drużyną z powrotem do Jeleńca, celem ostrzelania nie spodziewających się czegoś takiego Niemców. "Szary" namyśla się długo. Daje zgodę lecz po chwili mówi: "ale poprowadzę sam".

Mam w drużynie jeden ręczny karabin maszynowy wz. 28 z niezbyt pewnym celowniczym. "Szary" decyduje się wzmocnić drużynę jeszcze jednym karabinem maszynowym (Diektarowa) z celowniczym "Szpaczkiem" i obsługą. Przed odejściem "Szary" ustala miejsce spotkania po akcji i przekazuje oddział "Błademu" (por. Henryk Gruszczyński). Wracamy do Jeleńca. Jest nas bodajże 18-tu. Na czele "Szary" i ja. Podchodzimy wreszcie do skraju lasu, z którego mamy dobry wgląd w to co dzieje się w Jeleńcu. Widzę, że roi się tam od Niemców. Wałęsają się między zabudowaniami upojeni zwycięstwem. Słyszą nawoływania, głośnie rozmowy, śmiechy.

Zajęliśmy stanowiska ogniowe i już byliśmy gotowi do sprawienia hitlerowcom krwawej łaźni, gdy doszły nas z tyłu śpiewy i pohukiwania. Na rozkaz "Szarego" natychmiast zmieniliśmy front i po podczołganiu się kilku metrów zajęliśmy nowe stanowiska, dające wgląd w niezbyt gęsty las na odległość około 50 metrów. Słyszę trzask łamanych gałęzi i wreszcie moim - uzbrojonym w lornetkę oczom - przedstawia się taki obraz: Z przeciwka, nieco ukośnie, z lewej strony, sunie wężem oddział żandarmerii. Na czele, rozkołysanym krokiem, idzie drab niosący na prawym ramieniu taśmowy karabin maszynowy MG-34. Za nim około trzydziestu zupełnie rozluźnionych i swobodnych Niemców. Jedni niosą broń na pasach, inni na ramieniu trzymając za lufy. Kompletne poczucie bezpieczeństwa i siły. Doliczam się u nich dwóch lkm-ów i kilku pistoletów maszynowych. Doprowadza mnie do rzeczywistości cichy rozkaz "Szarego" aby czekać z rozpoczęciem ognia na jego sygnał. Jeden z żołnierzy (Azerbejdżanin) nie wytrzymał napięcia i odczołgał się może o metr do tyłu. "Szary" z miejsca zareagował, zmuszając go do powrotu.

Namierzam muszkę celownika na drugiego lkm-istę. Pierwszego rezerwuje dla siebie "Szpaczek". Napięcie rośnie. "Szary" uspokaja zbyt nerwowych. On sam rozpocznie ogień we właściwym momencie. Niemcy zbliżają się coraz bardziej, wydaje się na dotknięcie ręki. W rzeczywistości są o 20 metrów.

Pada strzał z VISa "Szarego", a równocześnie serie dwóch naszych rkm-ów i salwa karabinowa. "Szpaczek" to pewniak, na którego zawsze można liczyć. Także mój celowniczy chce się zrehabilitować za poprzednią chwilę słabości. Strzelam ze swego karabinu i widzę jak "mój" elkaemista pada na twarz, wprost na bezwładny lkm. Żaden

z Niemców nie zdążył nawet oddać strzału. Słyszeć było tylko charkot i wrzaski rannych.

Ta strzelanina spowodowała w pobliskim Jeleńcu alarm. Niemcy zajmują stanowiska ogniowe. Któryś z nich posyła w naszą stronę mocno górującą serię. Zmieniamy ponownie front i otwieramy ogień w kierunku folwarku. Nie ma jednak sensu wdawać się w dłuższy pojedynek ogniowy. "Szary" daje rozkaz wycofania się. Nie zdążymy już - a szkoda - zebrać broni po zabitych Niemcach. Cofamy się w innym kierunku, pozwalającym na szybkie oderwanie się od przeciwnika. Widzę jak "Szary" ostatni opuszcza naszą pozycję, strzelając raz po raz z VISA w stronę Niemców, posyłając im swojsko brzmiące wiązanki.

Wkrótce ogarnia nas cisza. Idziemy podnieceni i rozradowani. Nikt z nas nie jest nawet ranny, a Niemców natłukliśmy sporo. Nie jestem skory do przeceniania skuteczności partyzanckiego ognia i wyolbrzymiania strat niemieckich, ale w tym przypadku nie mogły one być mniejsze od kilkunastu zabitych i znacznie więcej rannych. W miejscu w którym Niemcy natknęli się rankiem na pluton "Lisa" znajdujemy liczne ślady walki. Na zdeptanym śniegu czerwienieją się krwawe plamy. Dokoła leżą opakowania po opatrunkach. Niemal nadeptuję w pewnej chwili na zakrwawiony bandaż. A więc i tutaj spotkała Niemców zasłużona kara.

Po blisko godzinnym marszu napotykamy ubezpieczenia oczekującego nas oddziału. Włączmy się do kolumny, aby po kilku kilometrach dotrzeć do Sadłowizny, będącej planowanym miejscem postoju".

Tu lekarz oddziałowy dr Muszeg kolejno opatrzył rannych. Ciężej ranni idą na meliny, a między nimi "Orkan".

Wśród poległych partyzantów znaleźli się:

"Szkłanka"(Jan Pączek),

"Wiśniewski" (NN),

"Piotr"(NN),

Michaił Banderenko(Rosjanin).

Rannych było trzech, a między nimi pchor. "Orkan" i pchor. "Bartek". Wg informacji uzyskanych od miejscowych ludzi, Niemcy ponieśli straty około 20 zabitych. Rannymi i zabitymi żandarmami załadowano podobno 7 ciężarówek.

Walka była zacięta. W wyniku odwilży jaka w tym dniu panowała, wilgotne powietrze dobrze przenosiło odgłosy strzałów. W Klepaczach oddalonych o około 6 km doskonale było słyszeć strzelaninę, w której serie broni maszynowej prawie się ze sobą zlewały.

Następne duże starcie z Niemcami, miał "Szary" na szosie Marcule - Iłża, w dniu 24 kwietnia. W tym dniu oddział kwaterował w lasach 2 km na wschód od leśnej wioski Lipie. Z rejonu tego wypływa szereg strumieni spływających w stronę rzeki Kamiennej oraz Iłżanki. Teren ten często był wykorzystywany przez partyzantów i można tam było znaleźć szałas, wykorzystywane kolejno przez różne oddziały. Bieżąca woda pozwalała partyzantom porządnie się umyć i odpocząć. Kwaterując tu przydarzyła się partyzantom śmieszna przygoda. Pewnego dnia patrol zauważył powieszoną za szyję łanię. Jakiś kłusownik ze wsi Lipie lub Jasieniec założył pułapkę na zwierzynę. Była to pętla z drutu, uwiązana do specjalnie przygiętego drzewka. Gdy zwierzę weszło głową do pętli, uwalniało się przygięte drzewo i pętla zaciskała się na szyi zwierzęcia, unosząc go do góry. Jest to niehumanitarny sposób polowania na zwierzynę i jest przez wszystkich tępiony. "Szary" polecił wykorzystać uduszoną łanię w kuchni obozowej. Partyzanci pracujący przy obsłudze kuchni wpadli na pomysł aby skórę z jelenia delikatnie zdjąć

i wypchać słomą lub ściółką leśną, tak aby robiła wrażenie że zwierzę jest całe i nie naruszone. Potem łanię powieszono na dawnym miejscu. Oddział tego dnia odmaszerował aby po kilku dniach powrócić. "Szary" i inni partyzanci udali się na miejsce gdzie powieszona była łania, ale zamiast jej znaleźli umocowaną kartkę z napisem "drugi raz ty sukinsynu już ci się to nie uda. " Kłusownik pomyślał sobie, że łanię sprzątnął mu sprzed nosa inny kłusownik, wywołując treścią swego "listu" dużą wesołość wśród partyzantów.

Powracając do sprawy starcia z Niemcami w dniu 24 kwietnia, to w dniu tym "Szary" pokonał w walce i rozbroił oddział liczący 24 Forstschutzów. "Forstschutz" znaczy po polsku "straż leśna". Byli to normalni poborowi żołnierze, dowodzeni przez doświadczonych, starszych wiekiem od nich, podoficerów i oficerów. Umundurowanie mieli w kolorze stosowanym w formacjach lotniczych, gdyż marszałek Hermann Goering był naczelnym dowódcą wojsk lotniczych i zarazem Wielkim Łowczym Rzeszy Niemieckiej. Również karabiny maszynowe używane przez Forstschutzów były te same co w formacjach lotniczych, tj. MG-15 (Dreyse). Bazę i koszary Forstschutz urządził sobie w szkole w Lubieni. Stąd już od początku roku 1940 jeździli Forstschutze rowerami po całej okolicy, patrolując lasy i napędzając w wioskach ludzi do roboty w lesie.

W krytycznym dniu oddział Forstschutzów wybrał się z Lubieni do Błazin aby zmusić gospodarzy, posiadających konie, do transportu kłóców na składowiska kolejek leśnych. Wieś Błaziny jest długa. Zanim Forstschutze wykonali swe zadanie, ktoś pojechał rowerem do "Szarego" i zawiadomił go o tym. "Szary" natychmiast przez tego łącznika polecił aby sołtys starał się Niemców zatrzymać we wsi możliwie jak najdłużej, nawet jeśli się da to niech poczęstuje ich wódką. Tak też się stało.

W tym czasie "Szary" poderwał oddział i urządził na Niemców zasadzkę na składowisku drewna kolejki leśnej, położonym przy szosie pomiędzy Marculami i wsią Pastwiska. Składowisko to istnieje do dziś. Była to wtedy końcowa stacja kolejki, której tory po wojnie przedłużono aż do Iłży. Na składowisku tym leżały długie pryzmy żużla wielkopiecowego, wyładowanego tu do naprawy nawierzchni szosy. Wtedy nawierzchnia szos w tych okolicach wykonywana była z żużla wielkopiecowego, ugniatanego za pomocą walców drogowych. Pryzmy te "Szary" wykorzystał do zamaskowania swoich żołnierzy, leżących w zasadzce.

Jak każdy oddział wojskowy, Forstschutze jechali jeden za drugim, wysuwając około 50-60 m do przodu ubezpieczenie złożone zwykle z dwóch lub trzech żołnierzy. Aby i tych żołnierzy nie stracić, "Szary" urządził dla nich osobną zasadzkę, dowodzoną przez por. "Błatego"(Henryk Gruszczyński). Akcję miała rozpocząć grupa dowodzona przez "Błatego".

W oczekiwaniu na Forstschutzów nadjeżdżające szosą furmanki kierowane były leżnią C w las i tam w bezpiecznym miejscu musiały oczekiwać aż się akcja zakończy.

Ponieważ czas oczekiwania w zasadzce się wydłużał, "Szary" wysłał szosą w kierunku Iłży zwiadowcę. Był nim Teofil Stawski "Kret", który wyruszył na zwiady rowerem. Od miejsca zasadzki do skraju lasu i wsi Pastwiska jest około jednego kilometra drogi. Tuż za wsią szosa opada w dół i potem przechodzi w pagórek, zasłaniający widoczność w kierunku Iłży. "Kret" właśnie podjeżdżał pod ten pagórek, gdy dostrzegł wychylające się z drugiej strony pagórka lufy karabinów, wjeżdżających na pagórek Forstschutzów. Natychmiast zawrócił i ile sił w nogach pedałowal, co nie było łatwe gdyż Niemcy też

szybko jechali. Walka zaczęła się od chwili, gdy ubezpieczenie przednie Niemców znalazło się na wysokości grupy dowodzonej przez "Błatego".

Na wezwanie "halt, Haende hoch" Niemcy się zatrzymali, stojąc okrakiem na rowerach i trzymając ręce do góry. W chwilę później rozpoczęła się walka oddziału głównego partyzantów i Niemców. Padły pierwsze strzały, które Niemcy z ubezpieczenia źle zrozumieli. Pomyśleli sobie, że to strzelają ich koledzy w ich obronie i rzucili się do ucieczki. Grupa "Błatego" otworzyła do uciekających ogień. Najskuteczniej strzelał sam "Błady" ze swojej pepeszy z bębniem. Jeden z uciekających Niemców padł zabity a drugi z przestrzeloną dłonią, bez karabinu, dotarł do Marcul gdzie udzielono mu pierwszej pomocy.

Oddział główny Forstschutzów widząc zatrzymanie ubezpieczenia, porzucił na szosie rowery i zajął stanowiska do walki w rowie, po drugiej strome szosy. Niemcy, których sołtys w myśl instrukcji "Szarego" poczęstował wódką, nie zamierzali się poddawać. Walka toczyła się z odległości niewiele większej niż szerokość szosy. Poszły w ruch granaty, które walczącym nie szkodziły, ale ogołociły słupy z przewodów telefonicznych, które nad Forstschutzami w dużej ilości przebiegały. Od granatów ucierpiały także rowery leżące na jezdni.

Minęło kilka minut a na koniec walki się nie zanosilo. Wtedy "Szary" dał rozkaz ostrzelania Forstschutzów z karabinu maszynowego wzdłuż rowu. Ten manewr poskutkował natychmiast. Niemcy, trzymając ręce do góry, zaczęli się podnosić z ziemi. Partyzanci widząc to, natychmiast dopadli przeciwnika, pozbawiając go broni i oporządzenia. Zdobyto wtedy bardzo dobry, używany w formacjach lotniczych i przeciwlotniczych, karabin maszynowy MG-15. Karabin ten, strzelający z magazynków o pojemności 150 naboju, podawanych raz z jednej strony, raz z drugiej, przewyższał znacznie szybkostrzelnością inne karabiny maszynowe polskie i niemieckie. Jeden ze zdobytych niemieckich karabinów miał odstrzeloną muszkę. Świadczyło to, że partyzant strzelający do Niemca nieźle celował.

W czasie gdy partyzanci rozbijali Niemców, do miejsca zasadzki zbliżał się samochód osobowy, jadący od strony Marcul. W samochodzie jechało dwóch Niemców. Zauważyli oni, że na szosie dzieje się coś dla nich niedobrego i zatrzymali się w porę. Oddana w ich kierunku seria karabinu maszynowego zniszczyła samochód i zraniła w udo kierowcę. Jadący w samochodzie drugi Niemiec, ubrany po cywilnemu, z teczką w ręku, zdołał zbiec.

Żołnierzy niemieckich, którzy nie odnieśli obrażeń, pozbawiono mundurów, rannych opatrzono.

Z oddziałem Forstschutzów jechało na rowerach dwóch Polaków umundurowanych w kolorze stosowanym w polskich formacjach wojskowych lub leśnych. Byli nieuzbrojeni. Fakt przebywania z Forstschutzami Polaków, bez względu na to co tam robili, był karygodny. "Szary" był oburzony i polecił każdemu "wlepić" 25 kijów, aby nie zapomnieli że źle zrobili.

Podczas walki z Forstschutzami zużyto prawie wszystkie granaty, co było powodem ubolewania "Szarego", gdyż i Niemcy niewiele ich pozostawili. Poza zdobytą bronią i osprzętem, w ręce partyzantów wpadło 26 rowerów. Po bliższym obejrzeniu okazało się, że tylko 14 z nich nadaje się do użytku. Pozostałe z nich były zniszczone odłamkami granatów lub kulami karabinowymi.

Po zdobyciu tak dużej ilości rowerów powstał projekt utworzenia drużyny cyklistów. Po zastanowieniu się nad jej przydatnością w warunkach partyzanckich, zrezygnowano z tego zamiaru.

Odsyłając do Lubieni kondukt Forstschutzów w kalesonach, dźwigających rannych i zabitych kolegów, "Szary" przekazał im swe polecenie, aby w przeciągu 48 godzin opuścili Lubienię. Zagroził im, że jeśli tego polecenia nie wykonają, rozprawi się z nimi tak iż śladu po nich nie zostanie.

Będąc następnego dnia na leśniczówce Klepacz "Szary" mówił o tym do mego ojca. Był bardzo ciekawy czy Niemcy go posłuchają.

Niemcy jednak nie zlekceważyli polecenia "Szarego" i w nakazanym terminie przenieśli się do Starachowic. Fakt podporządkowania się Niemców poleceniom polskiego przywódcy był bez precedensu, przynajmniej w tym rejonie. Dowodziło to że buta niemiecka słabnie i że nie czują się na ziemi ilżeckiej zwycięzcami, za jakich się dotychczas uważali. Był to z pewnością skutek zajęcia przez "Szarego" Starachowic. Niemcy stracili orientację do czego polscy partyzanci są zdolni.

W maju 1944 r. Komenda Okręgu skierowała oddział "Szarego" na tereny bliżej Kielc, co ze smutkiem przyjęli mieszkańcy lasów starachowickich i okolic, zdając sobie sprawę z tego że Niemcy nie czując nad sobą bata, znów staną się bezkarni. Psychoza, że w trudnej sytuacji istnieje jeszcze nadzieja iż "Szary" się zjawi i uratuje, przetrwała u ludzi do końca wojny. Schwytni w Starachowicach chłopcy, zamknięci w towarowych wagonach, przeznaczeni na roboty w Rzeszy, pocieszali się wzajemnie mówiąc "nie martwcie się, "Szary" nas wypuści".

Wielu ludzi zawdzięcza swe życie "Szaremu". Zawsze szedł na ratunek tym, którzy tego potrzebowali. Żołnierza nie wypuścił na przepustkę do domu, aby nie spytać wcześniej o jego rodzinę i warunki materialne w domu. Byłem wielokrotnie świadkiem takich scen. Gdy się dowiedział, że żołnierz ma w domu tylko matkę z nieletnią córką, kazał natychmiast wydać urlopowanemu kilka kilogramów słoniny i cukru. Zanieś to matce, powiedział, niech to jej choć trochę ulży w jej trudnym tyciu.

Gdy pewnego razu zawędrował z oddziałem do księcia bałtowskiego, ten wyszedł mu na spotkanie, wyciągając rękę do powitania. "Szary", który już wiedział iż księżę nie interesuje się biedotą wiejską i jest obojętny na ludzką niedolę, nie podał mu ręki.

Księżę widząc to rzekł: "cóż to komendancie, nie chcecie mi podać ręki?" A na to "Szary": "zanim ja księciu podam rękę, chciałbym wcześniej usłyszeć komu to księżę pomógł w ciężkiej sytuacji. Ile dzieci wiejskich księżę wychował? Ilu dzieciom dopomógł księżę się wykształcić?, itd.

Księciu twarz poszarzała i ręka zaczęła mu opadać. Zrozumiał cel wizyty "Szarego", a ten mówił dalej. Księżę chętnie by się pod podłogę schował aby nie słyszeć słów, które od "Szarego" usłyszał. Były przypadki, że "Szary" właścicielowi majątku wymierzał karę chłosty, jeśli stwierdził że właściciel źle traktuje swoją służbę folwarczną i działa na jej niekorzyść.

Te starania "Szarego" o utrzymanie jakiejś sprawiedliwości społecznej, walka z wyzyskiem człowieka przez człowieka, specjalna troska o ludzi biednych, sprawiły to że zaczęto mu zarzucać sympatie do komunizmu. Przyczyniło się też do tego rozdawanie w oddziale do czytania prasy komunistycznej. "Szary" widząc jak w tych gazetkach obrzuca się, w myśl stalinowskich instrukcji, Armię Krajową błotem. Jak każdy artykuł w tych gazetkach prześciga się w opluwaniu żołnierzy AK oraz prawdziwych Polaków,

specjalnie dał raz do poczytania żołnierzom, aby wiedzieli jak komuniści traktują ludzi walczących o wolność Ojczyzny. Każdy kto przeczytał taką gazetkę, miał już wyrobiony pogląd o komunistach.

Chciałbym jeszcze nakreślić sylwetkę "Szarego" jako dowódcy oddziału partyzanckiego.

Mieszkając w głębi dużych lasów miałem w okresie wojny okazję poznać wielu dowódców oraz wiele oddziałów leśnych AK, BCh, AL i nawet NSZ. Żaden z nich nie mógł się równać z oddziałem "Szarego" i z "Szarym". "Szary", pracując do wybuchu wojny w przemyśle zbrojeniowym, był uczulany na działalność obcego wywiadu. To uczulenie weszło mu w krew. Potrafił znakomicie dostrzegać wszelkie niebezpieczeństwa ze strony wywiadu wroga i wiedział jak postępować aby wróg był bezsilny. Przede wszystkim starał się bezwzględnie zachować tajemnicę miejsca postoju oddziału. Kontakty ze światem zewnętrznym mogły być prowadzone przez nielicznych i pewnych łączników. Nikomu nie wolno było opuścić oddziału, a jeśli kogoś wypuszczał do domu, to musiał być całkowicie pewny tej osoby, że nie zdradzi miejsca postoju. W obozie obok bagna Kobyle Błoto, na północ od Sadłowizny, postarał się o zrobienie małej studzienki, aby jeżdżeniem po wodę do gajówki Myszki, nie dekonspirować miejsca postoju. Na jednym miejscu nigdy nie przebywał dłużej niż 3 do 4 dni. Starał się aby jak najmniej ludzi znało jego osobę. Gdy z innych organizacji lub oddziałów przybywali przedstawiciele aby z nim porozmawiać, często zastępował swoją osobę kimś innym a sam przysłuchiwał się rozmowie z boku. Planowane akcje utrzymywał w tajemnicy przed ludźmi z oddziału do ostatniej chwili. "Szary" zakładał fikcyjnie, że w oddziale ma szpiega, i starał się tak postępować aby ten wyimaginowany szpieg był bezsilny. Często podkreślał, że warunki walki trzeba przeciwnikowi narzucić, a nie przyjmować jej tam gdzie on by chciał. Nie akceptował nigdy umawiania się na określony termin lub miejsce spotkania. Jeśli zachodziła taka potrzeba to rezerwował dla siebie decyzję w tej sprawie. W walce świecił przykładem odwagi, pewności siebie, i konsekwencji działania. Wszystkie te cechy wpływały korzystnie na podległych mu żołnierzów, którzy wiedzieli że dowódca nigdy nie zawiedzie i sami starali się być podobni do niego.

Wszystkie akcje zbrojne "Szarego" były udane, przy bardzo niewielkich stratach własnych lub bez strat. Jedynie akcja na koszary Werkschutzu w Starachowicach nie osiągnęła celu bezpośredniego ale dała inne korzyści, o których wcześniej pisałem. Akcja ta, moim zdaniem, nie mogła się udać. Znałem te koszary, gdyż uczyłem się w nich chodząc do gimnazjum. Było to porywanie się z motyką na słońce. "Szary" słusznie liczył na moment zaskoczenia, a gdy nie wyszło, zrobił najbardziej rozsądny krok, wycofując się z walki.

Poza opisanymi przeze mnie akcjami, "Szary" wykonał wiele innych lecz o mniejszym znaczeniu militarnym, kładąc głównie nacisk na uświadomienie Niemców, że zbrodnicza działalność przeciw Polakom nie będzie tolerowana. Np. we wrześniu 1943 r. "Szary" wkroczył do wsi Gozdawa koło Sienna, zamieszkałej przez przedwojennych niemieckich kolonistów. Niemcy z tej wsi nosili czarne mundury i czerwone opaski hitlerowskie na rękach. Zafascynowani zwycięstwami Hitlera czuli się w pełni "narodem panów". Manifestowali swą wyższość nad Polakami zamieszkującymi okolicę, wspomagali działania żandarmerii niemieckiej i Gestapo. "Szary", pozorując oddział niemiecki, wkroczył do wsi i odebrał kolonistom broń a następnie wymierzył karę chłosty tym, którzy najbardziej na nią zasługiwali. Zaznaczył przy okazji, że jeśli będą się nadal źle odnosić do Polaków, to kara będzie większa.

Lekcja jaką "Szary" udzielił niemieckim kolonistom, dobrze im zrobiła. Stracili pewność siebie i zaczęli inaczej traktować polskich sąsiadów.

Innym razem, na wiosnę 1944 r., "Szary" zatrzymał na szosie w rejonie Marcul, ciężarówkę. W szoferce jechała pewna volksdeutschka z Ilży. Wracła ze Starachowic i wiozła w torebce odpowiedź od władz niemieckich, na jej prośbę, aby jej męża (Polaka) także uznano za volksdeutscha.

Niemiecka odpowiedź była negatywna. Stwierdzono że mąż jej nie ma podstaw o ubieganie się o wpisanie go na listę Volksdeutschów. Napisali jej, że może złożyć podanie o wpisanie go na listę tzw. Stammdeutschów (czyli Niemców z pochodzenia). Fakt starania się o przyjęcie na Volksdeutscha w kwietniu 1944 r. gdy Rzesza niemiecka waliła się w gruzy, a front wschodni był już w rejonie granic Polski przedwojennej, wywołał wśród partyzantów ogromną wesołość. Wszyscy tę kobietę oglądali, nie mogąc uwierzyć że może istnieć człowiek tak bezgranicznie głupi. Volksdeutschka nie wystraszyła się partyzantów i jeszcze zaczęła im grozić. W tej sytuacji "Szary" polecił dać jej na odpowiednie miejsce 25 kijów, co na nią wpłynęło uspokajająco. Po powrocie do Ilży przemyślała sprawę i podobno zmieniła się na korzyść.

Na poczet działalności oddziału "Szarego" w lasach starachowickich i okolicy, należy także zaliczyć akcje oczyszczania terenu z niemieckich konfidentów.

Po przejściu "Szarego" na tereny koneckie nastąpiło wiele efektownych akcji lecz wychodzą one poza zakres niniejszego opracowania, obejmującego tylko wydarzenia z którymi się bezpośrednio zetknąłem lub byłem bardzo blisko nich.

Chciałem jeszcze napisać trochę o żołnierzach "Szarego", których wielu znałem lub poznałem, których z polecenia "Szarego" uwieczniałem na zdjęciach fotograficznych, choć niewiele z tych zdjęć ocalało.

Żołnierze "Szarego" rekrutowali się z bardzo różnych środowisk. Nie był to oddział powstały w wyniku mobilizacji, a był raczej schroniskiem dla tych, którzy mieli zginąć z rąk niemieckich i uciekli, jak to się zwykło mówić, "spod łopaty". Istniejący w tym czasie oddział "Ponurego" także rekrutował się z takich ludzi. Nie był to jeszcze czas, kiedy można było wypowiedzieć Niemcom otwartą wojnę, gdyż byłoby to Niemcom na rękę. Czuli by się wytłumaczeni mordując masowo ludność polską. Należało się zbroić, szkolić i czekać na stosowną chwilę, prowadząc ograniczone akcje zbrojne;

Propaganda stalinowska, prowadzona za pośrednictwem organizacji prokomunistycznych, usiłowała sprowokować Armię Krajową do przedwczesnego wystąpienia. Było to na rękę i Stalinowi i Hitlerowi. Celowo głoszone że Armia Krajowa nie walczy, a tylko "stoi z bronią u nogi", że prowadzi politykę "dwóch wrogów", i w rzeczywistości jest wrogiem Związku Radzieckiego, itd.

W istocie rzeczy Armia Krajowa choć stanowiła liczebnie wielką organizację, to nawet gdyby chciała, nie mogła w pełni rozwinąć swych sił do walki, ze względu na brak broni. Proszę popatrzeć na wykaz liniowych oddziałów Obwodu, podany w jednym z poprzednich rozdziałów, gdzie podane jest uzbrojenie poszczególnych plutonów Obwodu AK "Baszta". Około 20 plutonów liczących 50 do 60 ludzi nie miało nawet jednego karabinu. 22 plutony miały od 1 do 6 karabinów. Inne też niewiele więcej.

Szkolenie i organizowanie ludzi robione było z myślą, że w decydującej chwili broń otrzyma się od sojuszników drogą lotniczą. W rezultacie broń (w nadmiarze) otrzymywały tylko oddziały AL ze Związku Radzieckiego. ALowcy, mając doskonałe uzbrojenie, woleli bezpiecznie wysadzić pociągi towarowe niż wdawać się w większe

akcje zaczepne w stosunku do Niemców. Jeśli już dochodziło do większych walk, to zwykle Niemcy byli stroną atakującą. (Bitwa pod Janikiem, bitwa pod Gruszką). Powracając do sprawy żołnierzy "Szarego", to każdy z nich mógłby o sobie napisać książkę. Ja pozwolę sobie napisać parę słów o niektórych, znanych mi bezpośrednio. Bardzo cenionym przez "Szarego" był partyzant Zbigniew Michalski "Fuchs" przysłany do oddziału z rejonu Tarłowa. Mówiono o nim że jest Ślązakiem i dezerterskim z armii niemieckiej. Cechowała go wielka odwaga i opanowanie. W oddziale szkolił kolegów w zakresie budowy i obsługi niemieckich karabinów maszynowych. W akcjach wykorzystywał swoją znajomość języka niemieckiego. Podejmował się każdego zadania. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Dostał się w ręce gestapowców w Starachowicach razem z Edmundem Kamińskim "Czerkiesem", w lutym 1944 r. Obaj przebywali w chwili aresztowania w mieszkaniu Szeffa Kontrwywiadu Komendy Obwodu por. Zygmunta Procha, który został ranny podczas wymiany strzałów.

Wg relacji inż. Kazimierza Czerniewskiego "Korebki", kierującego produkcją pistoletów maszynowych dla AK w Suchedniowie, a który znalazł się w więzieniu radomskim, "Czerkiesa" wywieziono na rozstrzelanie 10 marca 1944 r. Prawdopodobnie w tym samym czasie rozstrzelano również "Fuchsa".

Bardzo odważny i bojowy, dużego wzrostu, partyzant ze Starachowic, Aleksander Kosiur "Zant", uczestnik wielu akcji, między innymi na kasę w Zakładach Starachowickich, stracił życie zastrzelony przez Niemca-leśniczego z dubeltówki. Został wysłany przez "Szarego" z drugim kolegą aby Niemca-leśniczego zastrzelić. Chcąc to zrobić siedli sobie na skraju lasu, przy drodze, blisko leśniczówki, i czekali na niego, spodziewając się że będzie wkrótce przejeżdżał.

Niemiec wyjechał bryczką siedząc na drugim siedzeniu i trzymając z tyłu za woźnicą strzelbę gotową do strzału, czego nie było z daleka widać. Gdy zbliżył się do chłopców i poznał, że to są partyzanci, strzelił do nich po myśliwsku "z rzutu" zabijając "Zanta" i lekko raniąc jego kolegę. Drugi partyzant uratował się, lecz Niemiec zniknął unikając kary. Chłopcy popełnili błąd nie mając znajomości sposobów strzelania przez myśliwych i nie docenili niebezpieczeństwa jakie im ze strony Niemca-leśnika groziło.

Prawie wszyscy żołnierze "Szarego" byli ludźmi, którzy ratowali się przed aresztowaniem lub zostali uwolnieni z więzienia. Był między nimi także policjant granatowy Czesław Rogowski "Gołąb", który dopomógł w uwolnieniu z więzienia ppor. Zygmunta Kiepasza "Krzyka" oraz pchor. Władysława Dąbka "Bukowego". Byli także żołnierze radzieccy, którym udało się zbiec z niewoli. Był również partyzant narodowości żydowskiej, o pseudonimie "Warszawiak". Nazwisko jego było niestety nieznane. Był bardzo uczynnym, grzecznym i skromnym kolegą. Lubił go bardzo "Skalbmierz" (Zdzisław Łęcki). "Warszawiak" przeżył wojnę. Widząc jednak prześladowania akowców, postanowił udać się przez "zieloną granicę" na Zachód. Należy przypuszczać, że wyprawa ta skończyła się dla niego śmiercią, gdyż do tej pory nie dał znaku życia.

Tragiczny los spotkał także braci Zdzisława i Tadeusza Łęckich ze Starachowic. Zdzisław ("Skalbmierz") stracił życie w walce z żandarmami w Michałowie zimą 1943/44, natomiast Tadeusz ("Krogulec") został zabity już po wojnie, gdy powracał z akcji uwolnienia więźniów w Kielcach, w 1945 r. Wszedł podczas nocy do jakiegoś mieszkania, spytał się o drogę, i został zastrzelony przez ubowca lub żołnierza radzieckiego, który tam akurat przebywał.

Powrócę jeszcze do sprawy Zdzisława, z którym i z jego siostrą Reginą, bardzo ładną i skromną dziewczyną, uczęszczałem do gimnazjum w Starachowicach. Otóż gdy "Szary", nie mając więcej melin do dyspozycji, zdecydował że pewna mała grupka żołnierzy będzie musiała przezimować chodząc z bronią, a wśród nich Zdzisław i Tadeusz Łęccy, Zdzisław przyszedł do mnie na leśniczówkę pożegnać się. Miał smutną minę i powiedział, że czuje iż widzimy się ostatni raz. Zrobiło mi się go żal i pocieszałem go jak umiałem. Myślałem również o tym, aby iść do ojca i prosić o zatrzymanie obu braci na leśniczówce. Była to pełnia zimy. Duży śnieg i duży mróz. Nie było możliwości spania w stodole. Leśniczówka tak była "wypchana" różnymi ludźmi, że nie było szans umieszczenia tu dodatkowo dwóch osób. Jedną osobę może by się dało "upchnąć". Przyjąc Zdzisława, który był moim przyjacielem, a młodszego Tadeusza puścić na poniewierkę, nie wypadało. W tej sytuacji nie zwróciłem się do ojca o pomoc i do dziś mam wyrzuty sumienia.

Podczas wojny zauważyłem wielokrotnie, że ludzie przeczuwają swoją śmierć. W tym przypadku też mogło tak być, gdyż minęło około 10 dni, gdy dowiedziałem się z ust Tadeusza, że Zdzisław nie żyje.

Wśród partyzantów "Szarego" znalazł się także robotnik leśny z leśnictwa Klepacze. Nazywał się Wacław Lipski, ps. Kula. W poszukiwaniu pracy przywędrował w te strony spod Warszawy i osiedlił się w Krynkach. Dużego wzrostu chłopisko wędrowało codziennie kilkanaście kilometrów, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Pewnego dnia jesienią 1943 r. po powrocie z pracy do domu, zastał z niego tylko dymiące zgłiszcza, a w nich spalone żonę, syna i córkę. Kilka godzin wcześniej, w samo południe, przyjechali tu Niemcy i dokonali tej zbrodni.

Można sobie wyobrazić rozpacz, tego już około 30 lat liczącego, mężczyzny. Przybył splakany do mego ojca, opowiadając o swym nieszczęściu. Z bólem słuchałem tego co mówił, stojąc z boku. Wg dalszych wyjaśnień Lipskiego, ukrył on w 1939 r. karabin. Wiedział o tym tylko jego sąsiad o nazwisku Kwiecień. Rodzina Kwietniów zaczęła się bratać z Niemcami i utrzymywać z nimi zażyłe stosunki. Od niej to dotarł donos do Niemców. W tej sytuacji ojciec mój przekazał tego, tak tragicznie przez los dotkniętego człowieka, "Szaremu". "Szary" zlecił organizacji przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie. Po jakimś czasie otrzymał potwierdzenie tego co mówił "Kula". Na początku kwietnia 1944 r., w samo południe, wysłany przez "Szarego" oddział wymierzył zasłużoną karę zdradzieckiej rodzinie. Wzburzeni do granic żołnierze "Szarego" postąpili w tym przypadku zgodnie z Kodeksem Hammurabiego.

W odwet za likwidację rodziny Kwietniów, złożoną z męża, żony i trzech synów, jeszcze tego samego dnia Niemcy żywcem spalili sąsiednią rodzinę Kanclerza, złożoną z ojca, matki i pięciorga dzieci.

Na tym przykładzie widać jak mało warte było podczas niemieckiej okupacji życie ludzkie. Piętnaście osób zginęło tylko z powodu jednego karabinu.

Partyzantem, o wyjątkowym sprycie i odwadze oraz nieprzeciętnych przeżyciach, był pchor. Teofil Stawski "Sęp" a potem "Kret". Ojca zamordowali mu Niemcy w 1943 r. z poręki słynnego gestapowskiego agenta Wittka (pisze na ten temat Maria Michalczyk w książce pt. "Diabeł V-ej Kolumny").

"Kret" urodzony 18 maja 1923 r. w Lipsku, pracował w konspiracji w Starachowicach od roku 1940, jako żołnierz do zadań specjalnych, przy Kierownictwie Walki Cywilnej. Dowódcą Grupy był Czesław Chrzaszcz "Żak", aresztowany i rozstrzelany 23 grudnia 1943 r. w Radomiu. Po aresztowaniu "Żaka" w 1942 r. "Kret" obejmuje dowództwo

Grupy, ale po wydarzeniach w dniu 31 sierpnia 1943 r. musi uciekać do lasu i przebywa w Zgrupowaniu Ponurego (oddział ppor. "Szorta"). Wkrótce jednak zostaje przeniesiony do oddziału "Szarego" i tu pozostaje do końca wojny. Dowództwo Grupy objął po nim pchor. Zdzisław Zieniewicz "Alter".

"Kret" był drobnej budowy ciała i bez trudu potrafił udawać chłopca idącego np. do szkoły. Zakładał na siebie podkolanówki, krótkie spodenki, brał tornister z książkami i w takim stroju bezpiecznie poruszał się po ulicach. Niemcom, którzy go zaczepiali, nie przyszło do głowy że ten smarkacz ma już 20 lat a za pasem nosi pistolet "Walter 7, 65", z którym się nigdy nie rozstawał. "Kret" nazywany pospolicie "Krecikiem" wykonał cały szereg bardzo niebezpiecznych akcji. W dniu 16 lipca 1943 r. razem z pchor. Stanisławem Łęckim, ps. Boss, z Błazin, zastrzelili na peryferiach Wierzbnika gestapowca o nazwisku Przewoźny. W dniu 6 września 1942 r wykonał zdjęcia fotograficzne egzekucji wieszania przez Niemców ludzi na rynku w Wierzbniku. Filmy przekazał Kierownictwu Walki Cywilnej i nie wiadomo co się z nimi dalej stało. Brał udział w niszczeniu dokumentów w Arbeitsamcie w dniu 14 sierpnia 1943 r. W dniu 10 października 1943 r. brał udział w akcji konfiskaty butów w sklepie BATA w Wierzbniku, które potem razem z Marią Walendzik, ps. Sfinks, zawieźli na Wykus do "Ponurego". Najbardziej jednak dramatyczne przeżycie miał "Kret" w dniu 31 sierpnia 1943 r.

Otóż ówczesny szef Grupy Dywersyjnej nazywanej umownie KEDYWEm, w Starachowicach, Tadeusz Rut "Tur", polecił urządzić melinę dla potrzeb oddziału specjalnego. (Wg W. Borzobohatego, "Jodła" - wyd. II, str. 160, miał to być lokal na potrzeby tajnej drukarni). Członek organizacji a równocześnie agent Gestapo Czesław Wrona, ożeniony w rodzinie Staneckich na Majówce w Starachowicach, ustalił miejsce na melinę do przechowywania materiałów konspiracyjnych, u swego teścia w ogrodzie. Wykorzystano do tego celu murowany budynek, niedawno zbudowany na tyłach ogrodu. Miał on jedno wejście i jedno okno, usytuowane od strony budynku mieszkalnego. Wewnątrz pomieszczenia zbudowana była kuchnia, a podłoga przed paleniskiem pokryta była blachą, jaką się daje jako zabezpieczenie przed wypadającymi węglami. Blacha ta wraz z częścią podłogi była podnoszona i otwierała wejście do pomieszczenia piwnicznego, przeznaczonego na cele konspiracyjne.

W krytycznym dniu 31 sierpnia 1943 r., w budyneczku tym przebywali Teofil Stawski "Kret", Arseniusz Kufalski "Twardy"(mówiono na niego Heniek) i Władysław Piasecki "Sum".

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i do wnętrza budyneczku weszli Kazimierz Stanecki z patelnią smażonych jaj oraz Czesław Wrona z butelką wódki, oznajmiając że mają dużą ochotę napić się z kolegami. Wypito po kieliszku i "Kret" zakomunikował, że dalszego picia już nie będzie, gdyż jest to sprzeczne z zasadami konspiracji oraz nakazami przełożonych. Polecił im wódkę zabrać, a jeśli tego nie zrobią butelka zostanie rozbita. Powstała nieprzyjemna sytuacja ale fundatorzy zastosowali się do polecenia.

Jak się potem okazało Wrona chciał chłopców upić, aby Niemcy mieli z nimi ułatwioną robotę. Plan Wrony nie udał się. Po wyjściu z ogrodu zawiadomił on Niemców iż chłopcy siedzą w ogrodowej altanie i można ich brać.

Nie minęło 20 minut, gdy w ogrodzie pojawili się Niemcy. Nastąpiła strzelanina przez okno. Chłopcy postawili na podłodze kosz pełen amunicji i ostrzeliwali się z krótkiej broni. Byli jednak w sytuacji beznadziejnej, nie mając żadnego wyjścia z tej pułapki w której się znaleźli. W pewnej chwili "Kret" przypomniał sobie, w piwnicy są

granaty. Było ich 16 szt. Rozdzielił między kolegów. Biorąc granaty zauważył jakieś dokumenty, które zwinął w rulon i włożył za pas. Na dworze zaczęło się robić ciemno, gdy chłopcy zaczęli obrzucać ogród granatami. Zmusiło to Niemców do wycofania się na bezpieczną odległość. Oni też zaczęli ciskać granaty pod ścianę domku. Jeden z niemieckich granatów wpadł pod podłogę drewnianej sionki i zrujnował ją wybuchem. Przez to drewniane rumowisko wyskoczyli na zewnątrz "Kret" i "Sum". Poruszając się chyłkiem pomiędzy krzewami porastającymi ich ogród i sąsiada, przy zapadających ciemnościach dotarli do pobliskiego lasu. Gdy "Kret" przesadził ostatni plot i miał już świadomość ujścia z życiem, dojrzał dwa kroki przed sobą Niemca w hełmie, z pistoletem maszynowym skierowanym w niego. Wtedy "Kreta" opanowało coś, czego sobie do dziś nie potrafi wytłumaczyć. Ciągnął za język spustowy pistoletu raz po raz, pistolet nie strzelał. Krzyczał, a kolega biegnący obok żadnego krzyku nie słyszał. Trwało to może sekundy ale dla "Kreta" była to wieczność. Nie wie dlaczego Niemiec nie strzelał. Chyba i jego opanował analogiczny stan, przerwany celnymi strzałami "Suma", po których zwałił się na ziemię. Być może zaciął mu się pistolet maszynowy, co może się zdarzyć przy za bardzo naładowanym magazynku.

Trzeci kolega, Arseniusz Kufalski "Twardy", nie uratował się. Podczas rzucania granatów oknem został trafiony kulą, a pośmiertne oględziny wskazywały na to, że sam się dobił. Choć ranny, odstrzeliwał się Niemcom, odwracając tym sposobem ich uwagę od uciekających "Kreta" i "Suma".

Po tej wpadce niemiecki agent Wrona zniknął i chociaż wykryto dokąd, nie udało się go schwycić. Komenda Obwodu wysłała za nim list gończy (znajdujący się do dzisiaj w Archiwum Akt Nowych w Warszawie). Po wojnie uszedł bezkarnie na Zachód.

Ponieważ w niemieckie ręce wpadło szereg dokumentów, wśród których mogły być dokumenty pisane przeze mnie, mój szef doszedł do wniosku, że maszynę musimy zmienić. Wg relacji "Kreta" archiwum nie wpadło, gdyż wszystkie dokumenty które widział, zabrał ze sobą. Maszynę jednak po tym wydarzeniu zmieniłem. Z odnalezionego przeze mnie dokumentu Gestapo (załącznik nr 5) wynika, że "Kret" wyniósł tylko część dokumentów. Coś tam jeszcze dla Niemców zostało.

3 czerwca 1944 r. pchor. Teofil Stawski "Kret" razem z por. Henrykiem Gruszczyńskim "Bładym" oraz łączniczką Jadwigą Szumowską "Jadzią" wędrowali ulicami Skarżyska Kamiennej, idąc na dworzec kolejowy. Por. "Błady", który wychowywał się w Skarżysku kończąc tu szkołę średnią, był na tym terenie znany. Skarżysko nasycone było agentami Gestapo i jeden z nich go zauważył, dając znać o tym policji. Zaobserwowano też do którego wagonu wsiadła podejrzana trójka. Pociąg jechał w kierunku Końskich. Partyzanci powracali do oddziału, wioząc paczkę z amunicją do pistoletów maszynowych. Paczkę tę niósł "Błady", nie informując osób mu towarzyszących, co w tej paczce wiezie. Na jednej ze stacyjek, do wagonu w którym jechali partyzanci, wsiadła grupa żandarmów. Niemcy wsiedli równocześnie z obu końców wagonu i zaczęli się, przemieszczać korytarzem, legitymując pasażerów w przedziałach. Widząc to, por. "Błady" ukrył wiezioną paczkę oraz posiadany pistolet pod ławką w przedziale. W tym czasie "Kret" stał na korytarzu, obserwując przemieszczające się za oknem widoki. Gdy Niemcy doszli do niego, kazali mu podnieść ręce do góry i dokonali rewizji osobistej. Za chwilę to samo z pozostałymi. Paczkę z amunicją i pistolet znaleziono w przedziale i chociaż nikt się do tych przedmiotów nie przyznawał, całą trójkę wysadzono na stacji w Końskich i dostarczono do Gestapo.

Przypadek zrzucił, że w tym samym wagonie, na pomoście, jechał inny partyzant z tego samego oddziału Adolf Paszkiel, ps. Pozew. Widząc scenę aresztowania kolegów i koleżanki, chociaż jego obecność w tym wagonie była od nich niezależna, wyskoczył w biegu z pociągu i dotarł szybko do oddziału, meldując o tym „Szaremu”. „Szary” natychmiast przystąpił do działania. Zwrócił się z prośbą do Komendanta Obwodu Końskie o pozwolenie na uderzenie w siedzibę Gestapo oraz więzienie. Równocześnie rozwinął działania rozpoznawcze na terenie Końskich, niezbędne dla dobrego przeprowadzenia akcji. W tym czasie gestapowcy „badali” zatrzymanych. Gdy dalsze śledztwo było już niepotrzebne, jeden z gestapowców wyprowadził „Kreta” na zamknięte podwórko i tu robił mu zdjęcia fotograficzne. Chciał mieć pamiątki, aby po zwycięskiej wojnie pokazywać rodzinie i znajomym, jakich to on polskich bandytów posyłał na śmierć. „Kret” był półprzytomny i nie rozumiał co po niemiecku gestapowiec do niego mówi. Temu natomiast chodziło o odpowiednie ustawienie się do zdjęcia. Aby jaśniej to „Kretowi” wytłumaczyć, walił go pięścią po twarzy, odwracając mu głowę według jego potrzeb. Po południu gestapowcy przewieźli „Kreta” do więzienia. Nad ranem miał odjechać transport więźniów na rozstrzelanie i „Kret” figurował na liście, którą zdobyto przy rozbiciu więzienia. Właśnie tej nocy „Szary” zaatakował więzienie oraz siedzibę żandarmerii i Gestapo. Była to noc 5/6 czerwca 1944 r. Po zażartej walce pokonano załogę więzienia oraz dokonano masakry żandarmów, jadących na pomoc. Pozwolono żandarmom aby się załadowali na ciężarówki i wtedy położono na nich ogień z karabinów maszynowych. W ten sposób „Kret” po raz kolejny uniknął śmierci, gdy wydawało się że ratunku nie ma.

10 czerwca, czyli kilka dni po uwolnieniu więźniów, „Szary” zorganizował zasadzkę na szosie Końskie-Stomporków. Wykorzystano tu słupy wysokiego napięcia, które wysadzono w powietrze, gdy w zasadzkę wjechała kolumna niemieckich samochodów. Słupy zwalono na jezdnię przed kolumną i za nią. Niemcy widząc w jakiej sytuacji się znaleźli, poddali się. Na tylnym ubezpieczeniu zasadzki leżał przy karabinie maszynowym, jak się wydaje, Józef Małek „Tygrys”. Wśród żołnierzy leżących w pobliżu stanowiska „Tygrysa”, znajdował się „Kret”. Stanowisko to usytuowane było na skarpie, przy zakręcie szosy. Około 20 minut po wysadzeniu słupów, gdy Niemcy byli już rozbrojeni, pojawiło się na szosie czarne auto, jadące w tym samym kierunku, w którym jechała kolumna niemiecka. Gdy auto zbliżyło się do zwalonego słupa, jadący w nim gestapowcy odgadli co się tu dzieje. Natychmiast zaczęli manewrować samochodem w sposób niedwuznacznie mówiący, iż chcą uciec. Wtedy „Tygrys” pociągnął po nich z karabinu maszynowego, unieruchamiając auto i zabijając niektórych pasażerów. Podekscytowany widokiem „Kret” nie wytrzymał i samorzutnie zbiegł ze skarpy, do gestapowskiego auta, być może tego samego, którym gestapowcy odwozili go do więzienia. Trzymając „Stena” wezwał gestapowca, który był jeszcze cały, do podniesienia rąk. Gestapowiec miał podwieszony pistolet maszynowy, skierowany do nadbiegającego „Kreta”. Wydarzenia jednak biegły tak szybko, że gestapowiec stracił głowę i podniósł ręce do góry. Być może wzięło tu górę przyzwyczajenie do posłuszeństwa. Po wszystkim „Kret” sobie uświadomił, że biegnąc do Niemca w ten sposób, mógł zostać przez niego zabity. Niemiec, młody mężczyzna, pochodził z Łodzi i doskonale mówił po polsku. Gdy zapytano go czy gdyby odzyskał wolność, pracowałby nadal w Sipo (Gestapo), odpowiedział że tak. Był to jeden z tych Niemców, którzy „Kreta” badali. Mało jest ludzi, którym udało się dostać w swe ręce kogoś, kto jeszcze parę dni wcześniej był jego katem.

ŻOŁNIERZE „SZAREGO”



Fot. 127. Antoni Heda „Szary” z Zygmuntem Kiepasem „Krzykiem” w obozie na Kobylim Błocie w lasach starachowickich. 22. 09. 1943 r.



Fot. 128. Zygmunt Kiepas „Krzyk” na tle grupy partyzantów. Od prawej Wacław Lipski „Kula”, czwarty od prawej Eugeniusz Zięboła „Wierch”, piąty „Warszawiak” (NN), szósty „Krzyk”, siódmy Józef Małek „Tygrys”, pierwszy z lewej Zdzisław Łęcki „Skalbmierz”, z lewej strony psa kpr. Mieczysław Mączyński „Mał”.



Fot. 129. Antoni Heda „Szary” ze swoim zastępcą Zygmuntem Kiepasem „Krzykiem”, kilka tygodni po uwolnieniu „Krzyka” z rąk gestapowców.



Fot. 130. Kobyle Błoto. Pierwszy wóz taborowy. Na wozie widoczny pchor. Władysław Dąbek "Bukowy". Drewno do kuchni rąbie Wacław Sołtyk.



Fot. 131. Aleksander Kosiur „Zant” ze Starachowic w leśniczówce Klepacze. Był żołnierzem „Szarego”. Został zabity przez Niemca—leśniczego na wiosnę 1944 r.



Fot. 132 przedstawia od lewej Jana Waszczyńskiego „Kruszynę”, Aleksandra Kosiura „Zanta” i Henryka Kostrzewskiego ze Starachowic, na tle leśniczówki Klepacze.



Fot. 133. Marian Langer "Brzoza" (autor) z lewej i kpr. Zdzisław Łęcki „Skalbmierz” w oddz. „Szarego”. Razem uczęszczali do gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Starachowicach. „Skalbmierz” poległ w walce z Niemcami na początku 1944 r. w Michałowie pod Wierzbnikiem.

Fot. 134.

Wiercenia w poszukiwaniu rudy żelaza w Klepaczach. Na urządzeniu siedzi Mieczysław Rąbalski „Rezuła” (nazwisko prawdopodobnie fałszywe) z Warszawy, ukrywający się w leśniczówce Klepacze. Po wstąpieniu do oddz. „Szarego”, będąc w lipcu 1944 r. w rejonie leśniczówki Klepacze schwytał dwóch zwiadowców Gestapo. Zginął od własnej broni w nieszczęśliwym wypadku.



Fot. 135.
Ćwiczenia z karabinem maszynowym MG 34.





Fot. 136 Antoni Heda „Szary” obserwuje ćwiczenia.



Fot. 137 Zdzisław Łęcki „Skalbmierz” (z karabinem) i „Warszawiak” (NN).



Fot. 138. Strzeła celowniczy rkm-u „Księżyc”



Fot. 139. Z rkm-u wz 28 strzela Zdzisław Łęcki „Skalbmierz”.



Fot. 140. Zmiana magazynka. Amunicyjny podaje magazynek celowniczemu.

Fot. 141.
Komendant oddziału „Szary”
i partyzant „Księżyc”



Fot. 142.

Kpr. „Skalbmierz” demonstruje
strzelanie z pozycji klęczącej.

Fot. 144.
Teofil Stawski „Kret”.



Fot. 143.
Józef Małek
"Tygrys".



RANNI NA MELINIE



Fot. 145. Zdjęcie wykonane 25 czerwca 1944 r. Pierwszy z lewej Kazimierz Grzybowski „Chyży”, ranny w łokieć na patrolu. W środku siedzi Teofil Stawski „Kret” po uwolnieniu go z rąk gestapowców w Końskich. Akcję przeprowadził „Szary” w nocy 5/6 czerwca 1944 r. uwalniając 61 więźniów, zabijając 17 Niemców i raniąc 8, przy stratach własnych 4 ludzi i 2 rannych. Na zdjęciu „Kret” leczy rękę po torturach w Gestapo. Z prawej strony siedzi Stefan Kozłowski „Jola”, ranny w nogę podczas ataku na koszary Werkschutzu w Starachowicach w dn. 25 marca 1944 r. Z tyłu za nimi wygląda zza drzwi „Szary”, który przybył odwiedzić rannych, a z wrodzonej ostrożności woli się cały nie pokazywać.



Fot. 146 przedstawia pchor./ppor. Zdzisława Zieniewicza „Altera”, który po Teofilu Stawskim objął dowództwo grupy dywersyjnej przy Komendzie Obwodu „Baszta” (tzw. „DE-WU”). 25 maja 1944 r. dokonał zastrzelenia gestapowca z Radomia Erika Schutz oraz dwóch innych którzy mu towarzyszyli, za co został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.



Fot. 147 przedstawia pchor. Bolesława Papi, ps. Czerw, który zginął osłaniając zamach na Erika Schutz.



Fot. 148 przedstawia Michała Nowaka, ps. „Pierwiosnek”, żołnierza kontrwywiadu AK, który podstawiał gestapowców, literowi” i sam zginął od kul wysyłanych w kierunku Niemców.



Fot. 149 przedstawia Arseniusza Kufalskiego, ps. „Twardy” z grupy dywersyjnej, który poległ 31. 08. 1943 r. na Majówce w Starachowicach, osłaniając ucieczkę „Suma” i „Kreta” z pułapki, którą zgotował im agent Gestapo Czesław Wrona (gestapowcy przypisują mu imię Stefan — patrz załącznik nr 5).

„ALTER” I „KRET” W ZGRUPOWANIU PONUREGO



Fot. 150. Po masowych aresztowaniach w sierpniu 1943 r. jakie miały miejsce w Starachowicach, zarówno Teofil Stawski „Kret” jak i Zdzisław Zieniewicz „Alter” znaleźli schronienie w Zgrupowaniu Ponurego. Stąd „Kret” został przeniesiony do oddziału „Szarego”. Na zdjęciu msza św. u „Ponurego” na Wykusie, która odbyła się w dn. 12. 09. 1943 r. Dwuszeręgi stojący bliżej ołtarza należy do plutonu „Szorta” (Tomasz Waga).

W pierwszym szeregu stoją od lewej:

1. D-ca plutonu Tomasz Waga „Szort”.
2. Czesław Spytkowski „Bat”.
3. Mieczysław Zamilski „Mietek”.
4. Józef Kowalski „Wąsik”.
5. August Olender „Lis”.
6. Teofil Stawski „Sęp”, „Kret”.
7. Czesław Oświęcimski „Dziur”.
8. NN.
9. Tadeusz Orzechowski „Jędrak”.
10. NN.
11. NN.

W drugim szeregu od lewej:

1. NN.
2. Alfons Fiszlak „Gajowy” (za „Wąsikiem”).
3. NN.
4. Zdzisław Zieniewicz „Alter”.



Fot. 151. Współczesny widok na miejsce rozgromienia oddziału niemieckiego Forstschutzu (Straży Leśnej) przez oddział „Szarego” (skład drewna przy szosie Marcula — Ilża).

Sosny na pierwszym planie, po lewej stronie szosy, są świadkami walki i wtedy koronami swymi zasłaniały partyzantów przed słońcem. Na składowisku tym (wówczas był mniejszy teren) po lewej stronie szosy ułożone były pryzmy kruszonego żużla wielkopiecowego do naprawy szosy, za którymi ukryli się partyzanci. Zdjęcie wykonano patrząc w kierunku Ilży, z miejsca w którym por. Henryk Gruszczyński „Błady” zatrzymał przednie ubezpieczenie Forstschutzów.



Fot. 152. Szkoła w Lubieni, w której Forstschutz miał kwatery. Na żądanie „Szarego” Niemcy opuścili Lubienię, dając tym dowód że na Ziemi Iłżeckiej nie są zwycięzcami, za jakich się dotychczas uważali.

Lipiec 1944

13 lipca 1944 r. zmobilizowano w podobwodzie "Dolina" szereg plutonów w celu wyprawy po zrzutową broń, którą mieliśmy do odebrania na terenie Obwodu Opatów. Koncentracja oddziałów przeznaczonych na tę akcję nastąpiła w lasach starachowickich, koło Klepacz, w miejscu określanym na szkicach, jako obóz nr 1.

Zapytany przez "Robura", gdzie widziałbym najlepsze miejsce na taką koncentrację, wytypowałem właśnie to i "Robur" je zaakceptował. Uważałem, że miejsce to jest odsunięte od dróg komunikacyjnych, ma dobrze maskowane drogi dojścia i bardzo dogodnie wyjście w kierunku Ostrowca Św.

Z polecenia "Robura", w dniu 13 lipca o godz. 6-ej rano, stałem na skrzyżowaniu leżni "I" oraz działki 7-ej, aby kierować nadchodzące oddziały na ustalone miejsce. Zadziwiła mnie punktualność z jaką pojawiły się zmobilizowane oddziały, z których pierwszy wprowadziłem w starą, dawno nie używaną drożynę, a następne już poszły za nim.

W tym samym dniu, około godz. 17-ej, gdy słońce było jeszcze dość wysoko, całość ruszyła w kierunku Ćmielowa, po odbiór broni ze zrzutu. Nad przebiegiem akcji sprawował nadzór z ramienia Komendy Obwodu kpt. Eugeniusz Dymitrow "Robur", który po raz pierwszy w konspiracji włożył na siebie swój oficerski rynsztunek bojowy, a na głowę gabardinową furażerkę kroju francuskiego. Zgrupowaniem dowodził por. Marian Wujkiewicz "Judym", komendant podobwodu "Dolina". Każdy z uczestników wyprawy zabrał ze sobą pełne uzbrojenie oraz prowiant żywnościowy na dwa dni. W marszu tym uczestniczyłem idąc w poczcie dowódcy zgrupowania.

Z miejsca koncentracji oddziały pomaszerowały leżnią "J" w kierunku wschodnim, a następnie gościńcem ostrowieckim na południe. Gdy kolumna schodziła z gościńca w kierunku wsi Kurzacze zaczynało się ściemniać. Idąc jeszcze w świetle słonecznym, prostym i szerokim gościńcem ostrowieckim, widać było jak długą kolumnę tworzył oddział. Od tzw. szpicy do oddziału tylnego odległość wynosiła kilkaset metrów. Można było to zauważyć po tumanach pyłu jaki wznosili idący poboczem po obu stronach gościńca żołnierze. Szli ociężale po sypkim piasku, którym pokryta była droga. Po tym samym piachu maszerowali we wrześniu 1939 r. żołnierze 12-ej dywizji piechoty, spod Piotrowego Pola. Obecnie w środku kolumny jechało 5 wozów, przewidzianych do transportu broni.

Nikt z żołnierzy, poza dowództwem, nie znał miejsca do którego zdążaliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że idziemy po odbiór broni zrzutowej.

Ze współczuciem patrzyłem na swego kolegę Apoloniusza Janczarskiego "Kmicica", z plutonu Sienno, który z kroplami potu na czole człapał po piachu, dźwigając na ramieniu ręczny karabin maszynowy.

Co chwila dowództwo wysyłało mych kolegów z pocztu jako łączników do dowódcy szpicy lub oddziału tylnego. Drżałem na myśl, że za chwilę ja otrzymam taki rozkaz. Z trudem poruszałem nogami idąc w normalnym tempie, a co dopiero byłoby gdybym musiał po tym piachu biec. Na szczęście dla mnie do tego nie doszło. Najwidoczniej

"Robur" i "Judym" oszczędzali mnie. Cieszyłem się, że nie zabrałem ze sobą hełmu, który też nie należał do lekkich przedmiotów.

Przechodząc w rejonie na północny-wschód od Ostrowca dowódcy zwrócili uwagę żołnierzom, że przechodzimy bardzo blisko niemieckich magazynów wojskowych i że należy zachować maksymalną ostrożność. Nie wolno prowadzić rozmów, palić papierosów, a luźne elementy uzbrojenia jak bagnety, łopatki, itp. przytrzymywać rękami aby o siebie nie uderzały.

Po przejściu dalszych kilku kilometrów kolumna przemieszczała się drogą, gdzie po prawej stronie był las a po lewej pole. Zaobserwowaliśmy wtedy ciekawe zjawisko. Nad polem, około 100 m od nas, zapalały się na wysokości około 150 m światła, powoli opadające na małych spadochronach. Dość jasno oświetlały teren i często paliły się jeszcze po upadku na ziemię. Domyśliłem się, że zrzuca je radziecki samolot, tzw. kukuruźnik. Usiłowałem go wypatrzyć lecz noc była wyjątkowo ciemna i niczego na niebie nie dostrzegłem. Domyśliłem się, że poszukuje niemieckich magazynów, koło których niedawno przechodziliśmy. Pomyślałem sobie, że może dostrzec nasze maszerujące oddziały i biorąc je za Niemców ostrzela lub obrzuci bombkami.

W dniu 14 lipca, około 6-ej rano, gdy było już zupełnie widno, dotarliśmy do celu.

Gdy zdążyłem wyciągnąć nogi, chcąc się trochę przespać, podszedł do mnie ppor. Franciszek Sikorski "Felek" i dając mi rkm z obsługą dał rozkaz sprawdzenia kto strzelił z karabinu około kilometra od naszego miejsca postoju.

Ppor. Sikorski był oficerem odpowiedzialnym za ubezpieczenie naszego biwaku.

Na obolałych nogach poszliśmy na patrol, zajmując co kilkadziesiąt metrów stanowiska obserwacyjne i patrząc czy w polu naszego widzenia coś się nie rusza. Obecność żywych istot w lesie zdradza przede wszystkim ich ruch. Spodziewałem się, że "upolujemy" jakiegoś kłusownika, gdyż strzał o tej porze najbardziej za tym przemawiał. Nie napotkaliśmy jednak nikogo. W pewnej chwili stwierdziliśmy, że las się kończy a przed nami łąki pokrywające dolinę rzeki Kamiennej i po drugiej stronie widoczny Ćmielów.

Po powrocie i zameldowaniu ppor. Sikorskiemu, iż niczego niebezpiecznego dla nas nie stwierdziliśmy i że był to najprawdopodobniej strzał kłusownika, położyłem się pod drzewem nabierając sił do marszu w kierunku powrotnym.

Broń zrzutowa wg rozdzielnika Komendanta Okręgu została dostarczona do leśniczówki Wrzawy i tu odebrał ją już poprzedniego dnia por. Zygmunt Kiepas "Krzyk", przysłany w tym celu przez "Szarego". Broń wydawał dowódca kompanii Ćmielów, por. Jan Pękalski "Molenda", "Borowy", a kwitował "Krzyk". Do tej broni Komendant Obwodu "Młodzian" kazał dodać 5 spadochronów dla "Szarego", którego darzył szczególnym uznaniem i sentymentem. Spadochrony wykorzystywane były jako materiał na koszule dla żołnierzy.

Wśród otrzymanej broni były niemieckie karabiny maszynowe, pistolety maszynowe Steny, pistolety bębnekowe Smith Wesson, ręczne granaty i materiały minerskie. Dwa angielskie granaty, znacznie większe od polskich, otrzymałem z rąk "Robura" do mego użytku. Wśród otrzymanej broni były także dwie wyrzutnie min, tzw. piaty, używane do walki z bronią pancerną lub do mszczenia umocnień betonowych.

W drogę powrotną wyruszyliśmy około godz. 15-ej. Po wyjściu na jakąś szeroką, piaszczystą drogę, przypominającą do złudzenia gościniec ostrowiecki, po bokach której rozciągały się sosnowe zagajniki z małym dodatkiem brzozy, padła komenda "stój", co w warunkach wojennych jest równoznaczne z komendą "padnij". Po chwili padła

następna komenda: "karabiny maszynowe na stanowiska". Ucieszyło mnie to nagle zatrzymanie marszu, gdyż narobiłem sobie odcisków na nogach i z przyjemnością leżałem teraz za jakąś górą darni, która mogła stanowić doskonałą osłonę przed ewentualnymi kulami. Myśl, że napotkaliśmy Niemców, zupełnie mnie nie martwiła. Strzelałem szybko i celnie, szkolony przez mego stryja Stefana Langerę, Strzelca wyborowego z 84 pp, stacjonującego w Pińsku. Wzrok miałem doskonały. Czekałem z ciekawością na dalszy rozwój wypadków, licząc na możliwość praktycznego Sprawdzenia na Niemcach swych umiejętności.

Minęło kilka minut i nic. Stojąca obok na drodze grupa oficerów wypatrywała czegoś przez lornetki. Z rozmowy, jaką między sobą prowadzili, wywnioskowałem że widzą coś ale nie wiedzą co. Zapytałem więc blisko stojącego kpt. "Robura", co tam się dzieje na drodze? Odpowiedział że widać coś, co wygląda na niemiecką kawalerię. Wyjąłem zatem z futerału swoją lornetkę, odziedziczoną po por. Aleksandrze Orłowskim z 12-ej dywizji piechoty, a która była wyjątkowo dobra. Wyprodukowały ją nie Polskie Zakłady Optyczne a jakaś prywatna firma. Ujrzałem przez nią natychmiast, że w odległości około 800 metrów przed nami zdąża w naszym kierunku gromada kobiet, dźwigających na plecach w płachtach świeżo obłamane gałęzie sosnowe. Wysoko, ponad głowami tych kobiet, unoszące się zielone igliwie sosnowe przypominało swym kolorem niemieckie mundury. Kobiety, ubrane w stroje o przewadze białych kolorów, przypominały wyglądem konie. Wlokące się po ziemi końce gałęzi powodowały unoszenie się kłębow kurzu. W ogólnej scenerii przypominało to faktycznie kałmucką kawalerię, której wszędzie można się było spodziewać. Mając dobry wzrok i jeszcze lepszą lornetkę, natychmiast rozpoznałem "przeciwnika". Chwycono moją lornetkę i z jej pomocą stwierdzono, że miałem rację.

Padł rozkaz dalszego marszu. "Przeciwnik", dostrzegając przed sobą duże ilości uzbrojonych osób płci odmiennej, wołał unikać spotkania. W pewnej chwili kobiety zniknęły z drogi, wykorzystując gęsto rosnący zagajnik. Następnego dnia o świcie byliśmy ponownie koło Klepacz.

W ciągu dnia usiłowano dojść do tego jak naciąga się iglicę w piatach. Wiadomo było, że po strzale iglica naciąga się samoczynnie, ale nikt nie wiedział jak to zrobić pierwszy raz. Sam próbowałem rozszyfrować tę zagadkę, jednak bez wyniku; Pod koniec dnia udało się ten problem rozwiązać i to w sposób niesłychanie prosty. Wystarczyło stanąć na kolbie o kształcie litery "T" i pociągnąć piata rękami do góry. Czynność tę można było wykonywać także na leżąc, co w wielu sytuacjach było nawet konieczne.

Por. Zygmunt Kiepas "Krzyk" po zabraniu swego przydziału broni pomaszerował w koneckie, natomiast resztę broni ukryto na terenie podobwodu "Dolina". Piaty zabrał na przechowanie Antoni Dziura "Szczęk", mieszkający w Podkońcach, karabiny maszynowe ukryto na innych placówkach, a pewną część materiałów zrzutowych ukryto na plebanii ks. Dusińskiego w Krzyżanowicach, który był bratem por. Marcelego Dusińskiego "Dyma", oficera Komendy Podobwodu. Schowek zrobiono dość dowcipnie, bo pod ubikacją. Miejsce to tylko pozornie wydawało się być dobre. Gdy w sierpniu organizowano odsiecz dla walczącej Warszawy i trzeba było wydobyć z niego broń, na plebanii zakwaterowała jednostka niemiecka, a ubikacja stała się miejscem najbardziej uczęszczanym przez nieprzyjaciela. Fakt ten bardzo utrudnił wykonanie zadania ale jakoś się udało.

Z powodu tej zrzutowej broni wydarzył się inny przypadek, który o mało nie miał tragicznego zakończenia.

Kilku ludzi z plutonu 161 w Krzyżanowicach, którego dowódcą był ppor. Adam Jędrzejewski "Odwet", bez pozwolenia i wiedzy dowódcy, wykorzystało zrzutowy karabin maszynowy do zrobienia zasadzki na szosie, aby na własną rękę zdobyć dla siebie nową, niemiecką broń. Zasadzkę urządzono w lesie skaryszewskim.

Koledzy Zygmunt Żurek "Ziomek", Stanisław Kiełbasa "Rawa" i Stanisław Bogucki "Piła" zajęli stanowiska przy karabinie maszynowym, w pewnym oddaleniu od szosy, wzdłuż której Niemcy wyrabiali dla własnego bezpieczeństwa pięćdziesięć metrów pas lasu. Stanowisko celowniczego zajął "Ziomek". Czwarty kolega, Władysław Niziołek "Kula", jeżdżąc rowerem po szosie obserwował jakie pojazdy się zbliżają i w chwili gdy uzna, że zbliża się obiekt godny zaatakowania, miał podać znak.

Koledzy, zajęci nocą przygotowaniami do tej akcji, byli przypuszczalnie zmęczeni i nie wyspani, gdyż Zygmunt Żurek "Ziomek" leżąc przy karabinie maszynowym, przygrzewany słońcem, zdrzemnął się na chwilę. Gdy otworzył oczy, spostrzegł że w pole jego ostrzału wjeżdża łazik wojskowy z oficerami. Nie mając czasu do namysłu, wziął ich na cel i nacisnął spust karabinu maszynowego. Samochód gwałtownie zahamował a następnie stoczył się do rowu, gniotąc postrzelanych oficerów niemieckich.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że samochód był pierwszym samochodem kolumny wojskowej.

Dramatyczna ucieczka amatorów zasadzki udała się, ale nie dużo było potrzeba aby stracili broń, którą ze sobą przynieśli.

Wyprawa po broń zrzutową do Ćmielowa dała okazję sprawdzenia zdolności mobilizacyjnej "Doliny" oraz pozwoliła oficerom i żołnierzom szeregowym sprawdzić własne możliwości działania w warunkach polowych. Po raz pierwszy od początku wojny kilkuset ludzi, nie znających się, figurujących tylko na papierze, w ciągu kilku godzin utworzyło sprawnie działającą jednostkę, dużej jak na owe czasy wielkości. Dało to na pewno dużą satysfakcję oficerom, dzięki którym takie wyniki osiągnięto.

Po wymarszu oddziału "Szarego" w koneckie, w lasach starachowickich nie było żadnych oddziałów leśnych AK. Pojawiły się natomiast stosunkowo niewielkie oddziały AL, doskonale uzbrojone w broń pochodzącą z radzieckich zrzutów.

Prawie każdy żołnierz oddziałów AL otrzymał tzw. MPi, czyli niemiecki pistolet maszynowy Schmeisser, pospolicie używany w Wehrmachcie.

Pistolet ten ładnie się prezentował i był często marzeniem partyzantów, nie zdających sobie sprawy z tego, że broń ta poza wyglądem, nie miała zalet które by ją wyróżniały. Do tych Schmeisserów partyzanci AL mieli tylko po jednym magazynku amunicji a resztę nosili w woreczkach lub kieszeniach. Mankament ten był jedną z przyczyn niepowodzenia ataku na grupę własowców, w dniu 8 lipca 1944 r.

Otóż każdego roku na wiosnę prowadzone były prace remontowo-konserwacyjne torów kolejki leśnej. Remont torów wzdłuż leżni "F" czyli "strażowej", wykonywali Junacy, nazywani przez Niemców "Baudienst" (Służba Budowlana). Usuwali oni na torach różne zielska oraz wymieniali nadgniłe podkłady lub uszkodzone szyny. Junacy byli skoszarowani w barakach we wsi Młynek i stąd codziennie przychodzili do pracy. Nie wiadomo dlaczego w tym roku Niemcy przydzielili oddział własowców, którzy ubezpieczali Junaków w czasie pracy. Junacy byli Polakami i nie groziło im żadne niebezpieczeństwo ze strony partyzantów. Niemcy byli jednak innego zdania.

Oddział własowców ubezpieczający Junaków liczył 24 żołnierzy, poruszających się konno.. Przywozili ze sobą ciężki karabin maszynowy, produkcji radzieckiej, tzw.

Maxim, który ustawiali w rejonie wykonywanych prac, licząc na to że takie zabezpieczenie wystarczy.

Problem rozbrojenia tego oddziału własowców był tak bardzo nęcący iż podobno zawiadomiono "Szarego", aby przysłał pluton żołnierzy do przeprowadzenia akcji. Rozeszła się wieść, że taki pluton już jest w drodze.

Równocześnie chęć rozbrojenia tych własowców zrodziła się w oddziale AL-Świt Tadeusz Maja "Łokietka". Był to oddział utworzony w maju 1944 r. i jak dotychczas nie dokonał żadnej akcji zaczepnej. Była więc okazja aby się wykazać.

Opracowania planu zasadzki dokonał szef sztabu AL Eugeniusz Iwańczyk "Wiślicz". Był on wcześniej dowódcą plutonu ZWZ-AK we wsi Jasieniec, będąc w stopniu kaprała a potem plutonowego.

Widząc, że zbliża się chwila wkroczenia wojsk radzieckich na nasze terytorium, postanowił zasłużyć się dla przyszłej władzy i razem z innymi osobami o podobnych poglądach, założyli lokalną organizację AL-Świt. Dotychczasowy pseudonim "Chmura" zamienił na "Wiślicz" i szybko awansował na szefa sztabu.

Niestety, wiedza nie przychodzi wraz ze stanowiskiem. Opracowując plan zasadzki na własowców wyobrażał sobie naiwnie, że należy zrobić "worek", do którego własowcy wejdą i nie będą mieli wyjścia. Podzielił oddział "Łokietka" na dwie części, które zajęły tyralierą stanowiska po obu stronach drogi naprzeciwko siebie i czekały na łup.

Wyobrażał sobie, że własowcy będą jechać gromadą (w tzw. "szyku familijnym"), jak to często można było widzieć u maszerujących alowców. Będą sobie gawędzić o różnych sprawach i nawet nie zauważą, kiedy się znajdą w zasadzce.

Tymczasem oddział własowców jadąc koń za koniem, w kilkumetrowych odstępach, tworzył kolumnę długości około 200 metrów. Do tego około 50 metrów przed oddziałem jechało ubezpieczenie, złożone z dwóch własowców.

Jak relacjonował przebieg wydarzeń sam "Łokietek", który przybył z grupą ludzi o godz. 16-ej na leśniczówkę Klepacze, aby spotkać się z oczekującym go Mieczysławem Róg-Świostkiem, własowcy nie weszli w zasadzkę. W zasadzkę wjechało tylko ubezpieczenie. Własowcy siedząc wysoko na koniach, mieli dobry wgląd w głąb lasu. Natychmiast dostrzegli leżących tyralierą partyzantów i ci również to zauważyli. Nie było innego wyjścia jak otworzyć do nich ogień. Lepszy rydz niż nic. Obaj własowcy spadli z koni. Jeden zabity, drugi ranny. Jednemu partyzanci jeszcze zdążyli zabrać Stena (zdobytego pewnie w walkach leśnych).

Strzelanie z bliskiej odległości do przeciwnika równocześnie z przeciwnych stron jest w wojsku niedopuszczalne, ale skąd szef sztabu mógł o tym wiedzieć? Nikt mu tego w życiu nie powiedział.

Partyzanci strzelając do własowców razili się wzajemnie ogniem. Doprowadziło to do wycofania się dużej części oddziału w sposób niezorganizowany i jak mówił "Łokietek", dotychczas nie udało mu się tych ludzi odnaleźć.

Główny oddział własowców, widząc że ubezpieczenie wpadło w zasadzkę, otworzył do partyzantów ogień. Uruchomiono też ciężki karabin maszynowy. Partyzanci, którzy pozostali pod komendą "Łokietka" ostrzeliwali własowców ze swych Schmeisserów. W ferworze walki magazynki szybko się opróżniają i co chwila, jak mówił "Łokietek", trzeba było robić odskok do tyłu aby nappełnić magazynki.

"Łokietek" składając relację Mieczysławowi Róg-Świostkowi, w mojej obecności, podkreślił że winę za nieudaną akcję ponosi Eugeniusz Iwańczyk "Wiślicz", który sporządził taki fatalny plan akcji.

Gdy "Łokietek" skończył swą relację zbliżała się godz. 17-ta i był to wtorek (lub piątek), kiedy to zawoziłem do "Robura" pocztę organizacyjną. Udałem się zatem rowerem w kierunku Kuter. Gdy tylko zagłębiłem się w lesie zostałem zatrzymany przez grupę partyzantów "Łokietka", którzy tu na niego czekali. Jeden z nich przystawił mi Visa do piersi wołając "jadziesz Niemców zawiadomić że my m jesteśmy? " Ręka mu drżała i widziałem u niego ogromne zdenerwowanie, które prawdopodobnie jeszcze mu nie przeszło po walce z własowcami. Wyczułem, że był zdecydowany pociągnąć za spust. Ostudziłem go natychmiast, mówiąc że jeżeli strzeli to za parę minut "Łokietek" go powiesi za nogi. "Łokietek" wie gdzie ja jadę, powiedziałem kłamiąc.

Wiedziałem, że jeżeli mnie zaprowadzą do "Łokietka" aby sprawdzić czy powiedziałem prawdę, to wtedy ujawnię przed "Łokietkiem" prawdziwe powody wyjazdu i byłem pewien, że mi się nic nie stanie.

"Łokietek" (Tadeusz Maj) miał ukończoną podchorążówkę rezerwy i pełnił obowiązki dowódcy plutonu w Rzecznowie, pod pseudonimem "Róża". Gdy zwerbowano go do AL-Świt zniknął tajemniczo, pozorując uprowadzenie przez nieznaną sprawców. Tymczasem nie został uprowadzony a przeszedł do lasu dowodzić oddziałem partyzanckim utworzonym przez organizację. Razem z innymi grupami AL udał się na drugą stronę Wisły, gdzie otrzymano broń ze zrzutów radzieckich. Po przeprawieniu się tego zgrupowania z powrotem na lewy brzeg Wisły, urządzono nocleg w miejscowości Sulejów. Następnego dnia rano, a było to 6 czerwca 1944 r., do wsi wjechały ciężarówki niemieckie po ludzi do kopania okopów. Wywołało to panikę wśród oddziałów AL, które uciekały do pobliskiego lasu, pozostawiając wóz z zapasową bronią i amunicją. Wtedy to oddział "Łokietka" popisał się, podejmując walkę z Niemcami i ratując pozostawiony wóz.

Stąd zgrupowanie AL, złożone z oddziałów "Łokietka", "Wrzosa" i "Brzozy", udało się w rejon Kunowa, zatrzymując się w rejonie kopalni Sadłowizna.

W dniu 7 czerwca jechaliśmy z bratem rowerami do Ostrowca Św. na egzaminy maturalne w tamtejszym gimnazjum, działającym w konspiracji. Droga wiodła przez kopalnię Sadłowizna. Gdy wyjechaliśmy z lasu, tuż przed ogrodzeniem domu mieszkalnego jaki tam stał, zostaliśmy zatrzymani przez wartowników i odprowadzeni do ogrodu, gdzie przebywało już kilka innych osób zatrzymanych podobnie jak my. Korzystając ze swobody poruszania się w ogrodzie przysiadłem się do grupy kilku partyzantów, którzy opowiadali sobie różne przygody jakie im się zdarzyły w lubelskiem. Jeden z nich opowiedział jak zastrzelili grupę siedmiu akowców, którzy przyjechali do wsi po świnie, nie wiedząc że we wsi kwaterują alowcy. Bardzo się szczycił tym wyczynem.

Chodząc po terenie widziałem, że partyzanci mieli rozciągniętą w podwórzu antenę i dwie dziewczyny w granatowych spódnicach i zielonych bluzach, z naganami u pasa, obsługiwały radiostację.

Po pewnym czasie jakiś "komandir" przyszedł z "bojcami" i kazał wszystkich zatrzymanych ludzi spędzić do jednego pokoju w budynku. Pod drzwiami postawił wartę z pepesami. Za pół godziny przyszedł ponownie ze swymi ludźmi i kazał się wszystkim rozebrać do naga a "bojcy" przystąpili do szczegółowej rewizji ubrań. Wszystkie znalezione przedmioty wykładano na stół.

Po tej rewizji przyszedł do naszego pokoju inny człowiek z dowództwa, ubrany po cywilnemu w szary garnitur, nawiązując z nami rozmowę i wypytując co ten Żyd* "komandir" od nas chciał. Stwierdził, że była to z jego strony samowola. Gdy chciałem

się skarżyć na jego postępowanie inni "aresztowani" dawali mi znaki, aby nic nie mówić.

Po upływie godziny zostałem wezwany do sąsiedniego pokoju, w którym zostałem przebadany przez oficera informacji kpt. Władysława Sobczyńskiego "Władka" i Czesława Boreckiego "Brzozę" w obecności jakiegoś cywila, ubranego dość elegancko, który się nie odzywał, tylko słuchał. Na stole leżał mój podręczny notatnik-kalendarz "Iskier".

Zaczął się od pytania "skąd miałem pistolet, który rzuciłem w trawę gdy byłem zatrzymywany". Odpowiedziałem, że nie mogłem odrzucić żadnego pistoletu, gdyż nic takiego nie miałem. Odpowiedź moja nie zadowalała go i dalej męczył mnie abym powiedział skąd miałem ten pistolet. Twierdził, że w trawie znaleziono pistolet i to na pewno jest mój. Odpowiedziałem, że nie mogę wiedzieć co w trawie leży. Może go tam ktoś zgubił. Ja jadę do Ostrowca i nawet gdybym miał pistolet, to nie zabrałbym go ze sobą, gdyż w przypadku napotkania żandarmów nic by mi nie pomógł a tylko zaszkodził.

Dał wreszcie spokój sprawie pistolem a zajął się moim notesem. Strona po stronie wertował gruby kalendarz "Iskier" pytając się o każdą kreskę w nim, o każdą kropkę, o każde zapisane słowo. Tłumaczenie mu tego wszystkiego trwało ze dwie godziny. Przyczepiał się do wszystkiego. We wszystkim dopatrywał się jakichś umówionych haseł lub szyfrów.

Gdy skończyło się badanie notesu, zapytał mnie jakie to ja zdjęcia miałem przy sobie. Kto to jest na tych zdjęciach? Odpowiedziałem, że mam aparat i robię zdjęcia, a potem wożę ze sobą aby danym osobom te zdjęcia doręczyć. Niech mi je pokaże, to mu powiem kto na nich jest.

Znów zaczęła się nieprzyzwoita rozmowa. "Co ty mi tu będziesz pier..... że nie wiesz kto jest na zdjęciach; " Ja znów do niego "jak ja mam powiedzieć kto jest na zdjęciach, jeśli nie wiem o jakie zdjęcia chodzi. Pokażcie je i zaraz wyjaśnimy". Ta głupia polemika ciągnęła się, aż "Brzoza" się znecierpliwiał i powiedział do niego. " No, pokaż mu te zdjęcia. Niech powie kto na nich jest. "

Wtedy Sobczyński odsunął szufladę i wyjął z niej film oraz przeglądarkę do takich filmów.

Poznałem z miejsca, że jest to mój film, który z jakichś powodów dałem do schowania memu bratu, a ten włożył go do kieszonki w spodniach i o nim zapomniał. Teraz jadąc do Ostrowca wiozł go nieświadomie ze sobą.

Film był zrobiony w oddziale "Szarego" i przedstawiał partyzantów częściowo w strojach niemieckich, zdobytych w Pakosławiu. "Szary" miał zwyczaj palenia wrogich mundurów i jeden z kolegów prosił mnie abym mu zrobił w niemieckim stroju zdjęcia póki jeszcze nie zostały zniszczone i uzyskał na to zgodę "Szarego". Taki właśnie film wpadł w ręce Sobczyńskiego.

Ustawił jedną z klatek w przeglądarce i pyta mnie co ja tu widzę? Odpowiedziałem, że sądząc po wyglądzie jest to polski partyzant. Przesunął film i pokazuje mi drugą klatkę. " A teraz co widzisz? " - zapytał. Widzę tego samego partyzanta i obok kogoś w stroju niemieckim. Trzecia klatka to samo. Dalej już nie przesunął, tylko zapytał mnie, czy słyszałem o tym, że są w Polsce organizacje szkolone przez Niemców?

Odpowiedziałem, iż krążą takie opinie o Narodowych Siłach Zbrojnych. " No widzisz. Co w takim razie powiesz o tym filmie? "

Mogę o nim powiedzieć tylko to, że nie znaleźliście go u mnie. " Faktycznie..... był u twojego brata, ale czy to nie to samo? "

Postanowiłem odwlekać sprawę powiedzenia prawdy, możliwie jak najdłużej. Byłem wściekły na brata za tę wpadkę, ale z drugiej strony uważałem że lepiej się stało, niż gdyby ten film znaleźli Niemcy. Powiedziałem, że jeśli mają jakieś pytania na temat tego filmu, to niech się o to brata pytają. Niech się teraz "gimnastykuje" jeśli tak głupio wpadł, pomyślałem.

Wprowadzono brata i zapytano go skąd ma ten film i w jakim celu?

Brat odpowiedział, że film ten otrzymał od kogoś (tu wymienił nazwisko) aby doręczyć go pewnemu fotografowi w Ostrowcu Św.

Widząc, że to wyjaśnienie sprawy niczego nie załatwi, gdyż mamy do czynienia z ludźmi bezwzględnyymi, którzy strzelają do każdego przy byle okazji, najchętniej do ludzi bezbronnych, i w tym przypadku nie będą sobie zadawać trudu aby zbadać czy wyjaśnienie jest prawdziwe, zdecydowałem się ujawnić prawdę.

Na wiadomość, że zdjęcia były robione w oddziale "Szarego" a nie w NSZ, zmienili natychmiast ton przesłuchania. Zaczęli grzecznie wypytywać mnie o różne rzeczy na temat osoby "Szarego" i usiłowali się dowiedzieć o nim jak najwięcej.

Odpowiadałem iż wiem, że pochodzi ze wsi i bardzo stara się bronić ludzi biednych i potrzebujących pomocy. Jest jednak osobą tajemniczą, która nie ujawnia szczegółów dotyczących jego samego. Po około trzech godzinach tego badania dali mi chwilę odpocząć. Wkrótce zostałem znów wezwany do tego pokoju na dalsze rozmowy. Tym razem w pokoju było tylko dwóch przesłuchujących i zupełnie innych.

Przyjęli mnie grzecznie i rozmowa toczyła się w przyjemnej atmosferze. Dowiedziałem się z niej, że mój główny rozmówca jest porwanym tajemniczo dowódcą plutonu z Rzeczniowa "Róża", a obecnie "Łokietkiem". Zna osobiście "Szarego" i chciałby nawiązać z nim kontakt.

Wiedząc jak bardzo "Szary" nie znosi ujawniania informacji o nim, powiedziałem że nie wiem gdzie aktualnie kwateruje oddział "Szarego" i zawsze jego miejsce postoju jest okryte tajemnicą.

Oddział "Szarego" kwaterował wtedy na Kobylim Błocie, tj. w odległości 1500 metrów od miejsca naszej rozmowy.

Odpowiedziałem wykrętnie, że postaram się w ciągu trzech dni odnaleźć "Szarego" i ewentualnie umówić na spotkanie.

Po rozmowie z Tadeuszem Majem "Łokietkiem" kpt. "Władek" wziął mnie na spacer drogą biegnącą przez pola, aby porozmawiać ze mną o polityce i wysondować moje poglądy. Opowiadał mi jak to w nowej Polsce będzie dobrze. Otrzymamy ziemie dawne aż do Odry, a taką ziemię jak tu (wskazał przy tym leżące wszędzie polodowcowe kamienie) zalesimy.

Powiedziałem mu wtedy, że o ile wiem, społeczeństwo nasze nie bardzo się godzi na utratę Wilna i Lwowa, a z pewnością miasta te znajdą się poza granicami naszego państwa. "Nic podobnego", odpowiedział. "Związek Radziecki ma tak dużo ziem, że Stalin na pewno nam te miasta pozostawi. To jest dla niego drobiazg z powodu którego nie będzie robił problemu."

Po powrocie ze spaceru powiedziano nam, że możemy razem z bratem wracać do domu. Kpt. Sobczyński chciał mnie na odchodne obdarować pistoletem maszynowym Schmeisser, gdyż mieli na wozie jeszcze 40 szt. niewykorzystanych. Podziękowałem za dobre chęci, ale odmówiłem przyjęcia prezentu. Pomyślałem sobie że takim podarunkiem związę się i potem będę miał kłopoty. Filmu mi nie zwrócił, mówiąc że zatrzyma go do

archiwum. Umówiłem się z "Łokietkiem", że zgłosi się do mnie za trzy dni w sprawie kontaktu do "Szarego".

Gdy minęło trzy dni zjawił się u mnie "Łokietek". Podał mi rękę na powitanie i równocześnie drugą ręką podał mi mój film. Jak widać sprawę przemyśleli i aby nie psuć dobrych stosunków, o które zabiegali, postanowili mi ten film oddać. Dzięki tym zdarzeniom film ten został ukryty osobno i przetrwał wojnę.

Zgrupowanie oddziałów AL wraz ze zrzutową bronią otrzymało także radiostację wraz z obsługą oraz kilku działaczy partyjnych. Wśród nich był przesłuchujący mnie oficer informacji kpt. Władysław Sobczyński "Władek", "Jurand", pochodzący z Ostrowca Św. Ze sposobu przesłuchiwania mnie widać było, że przeszedł przeszkolenie i praktykę w NKWD. Mogłem to kilka lat potem zauważyć podczas "przesłuchań" mnie przez pracowników UB, którzy jak wiadomo szkoleni byli przez tych samych instruktorów.

Kpt. "Władek" nabył podczas' szkolenia w Związku Radzieckim uczucia strachu przed uzbrojonym nieprzyjacielem. Był tak przewrażliwiony, że gdy w Sulejowie zjawili się Niemcy, to jedyną jego myślą było uciekać. Pozostawił w stodole, w której spał, ubranie i buty. Teraz, będąc w Sadłowiźnie, chodził boso, w spodniach i koszuli, które miał na sobie podczas snu.

Bardzo niewdzięcznym dla partyzantów AL prezentem zrzutowym była radiostacja. Uważali, że jeśli się ma taki sprzęt, to trzeba z niego korzystać.

Korzystać mieli z niej, jak się okazało, Niemcy. Za pomocą urządzeń radiolokacyjnych ustalili miejsce postoju zgrupowania i w dniu 8 czerwca, o świcie, uderzyli na partyzantów z kilku stron. Walkę z Niemcami podjął, podobnie jak w Sulejowie, tylko oddział "Łokietka", tracąc tym razem kilku ludzi. Wśród poległych znalazł się brat "Łokietka". Inni, a przede wszystkim sztab urzędujący w domu zamieszkałym przez rodzinę Janusza Barańskiego, przy kopalni, ratowali się ucieczką w głąb lasów. Ucieczka musiała być paniczna, bo jak mi mówił potem pan Janusz Barański, Niemcy przeczesując przyległe lasy, uzbierali 67 szt. broni maszynowej (z tego 40 szt. znaleźli na pozostawionym wozie). Znaleźli także część odbiorczą radiostacji.

O tym, że sztabowcy AL łatwo wpadali w panikę, świadczy jeszcze jedno wydarzenie, które miało miejsce w lipcu, koło Klepacz.

Pewnego dnia kpt. "Robur" umówił się ze mną, że o godz. 17-ej w określonym miejscu zrobimy sobie strzelnicę. Chodziło o wypróbowanie dwóch pistoletów maszynowych, Schmeissera i Stena, który z nich jest lepszy. Dodatkowo zabrałem jeszcze mój karabin. W tym samym dniu przyjechał z rana na koniu "Łokietek", aby zamienić z moim ojcem kilka słów. Widząc go powiedziałem mu, że o 17-ej urządzimy niedaleko stąd strzelaninę i żeby się tym nie przejmował. Oddział jego obozował koło Wilczego Dołu, tj. w odległości około 1500 metrów.

Tego samego dnia wieczorem przyjeżdża "Łokietek" i mówi "aleście narobili". Pytam się go cośmy takiego "narobili"?

Okazało się, że przy jego oddziale przebywał w tym dniu sztab AL. Na odgłos pobliskiej strzelaniny w obozie zarządzono alarm i oddział zaczął się szybko przygotowywać do wymarszu. Sztab natomiast ruszył w drogę jako pierwszy. W pewnej chwili "Łokietek" przypomniał sobie to co mu rano mówiłem i odwołał alarm, wysyłając tylko patrol w kierunku strzałów. Wysłał również pogoń za sztabem, której jednak nie udało się sztabu dopędzić.

Nie wykluczam, że "Łokietek" celowo tak sprawę załatwił, gdyż słyszałem wcześniej jego wypowiedź, iż nie cieszy się z tego, że sztab u niego gości.

Po przybyciu zgrupowania oddziałów AL w lasy starachowickie sztabowcy z tych oddziałów z miejsca dążyli do nawiązania kontaktów z dowództwem AK, pod pozorem nawiązania współpracy w dziedzinie wojskowej.

Bali się prawdopodobnie, że AK może nie zaakceptować ich pobytu i działalności na tym terenie. W dalszej perspektywie widzieli możliwość przeciągania żołnierzy z AK do AL.

W końcu lipca 1944 r. doszło do spotkania przedstawicieli obu stron na leśniczówce Klepacze. O określonej godzinie przybyli na spotkanie Eugeniusz Iwańczyk "Wiślicz" (lub "Stary Jakub"), jako komendant obwodu III-go AL oraz szef bezpieczeństwa tego obwodu Władysław Sobczyński "Jurand". Spodziewali się, że na spotkanie z tak wielkimi osobistościami z AL, przybędzie co najmniej komendant obwodu AK i ktoś inny, odpowiedni rangą. Leśniczówkę otoczono z różnych stron gęstą tyralierą partyzantów AL, uzbrojonych w pistolety maszynowe i karabiny maszynowe, którzy mieli zapewniać prawdopodobnie bezpieczeństwo ich przywódcom, a na delegacji AK wywrzeć wrażenie że stanowią dużą siłę i że należy się z nimi liczyć. Tyraliera została dziwnie rozmieszczona, bo leżała frontem do leśniczówki, jak gdyby ją zamierzała zdobywać.

Spotkało ich duże rozczarowanie gdy zamiast wysokich osobistości z AK, których się spodziewali, przyjechała tylko jedna osoba, tj. kpt. Eugeniusz Dymitrow "Robur", doskonale Iwańczykowi znany. Komendant obwodu AK, kpt. Piotr Kulawik "Dariusz", nie miał najmniejszej ochoty pertraktować z AL i pokazywać im swego oblicza (o co na pewno Sobczyńskiemu chodziło, gdyż wiedział że już niedługo będzie potrzebował go aresztować, jako jednego z przywódców AK). Przedstawiciele AL udali obrażonych za takie ich lekceważenie i uznali że jeden przedstawiciel AK to za mało, aby podpisać jakieś wiążące porozumienie. Z impasu wyprowadził ich mój ojciec, wyrażając zgodę na parafowanie ewentualnego porozumienia, jako druga osoba delegacji AK.

Podczas rozmów "Robur" nie wyraził zgody na wspólne akcje zbrojne. Wyrażono natomiast zgodę na wzajemne przechodzenie z bronią z AK do AL i odwrotnie. Dla uniknięcia starć zbrojnych obie strony będą co miesiąc uzgadniać między sobą hasło i odzew. Na miesiąc sierpień ustalono, że hasło i odzew będzie sumą liczb wynoszącą 11.

Ałowcy liczyli na pozyskanie z szeregów AK dodatkowych sił ludzkich, szerząc propagandę że AK stoi z bronią u nogi, że tylko u nich można będzie walczyć z Niemcami i to za pomocą ładnej i dobrej broni. Po wkroczeniu wojsk radzieckich alowcy zostaną wykorzystani do tworzenia nowej władzy i tu będzie najlepsza okazja do uzyskania korzyści i ustawienia się na różnych, intratnych stanowiskach.

Działaczom AL-Świt udało się przeciągnąć na swą stronę dość dużą grupę żołnierzy AK z Sienna, trochę z Rzeczniowa i okolic Iłży. Na przełomie lipca i sierpnia wszystkie oddziały AL zostały skierowane na Wykus, gdzie nastąpiła koncentracja i odbiór dalszych zrzutów. Przed wymarszem "Łokietek" zwrócił się do "Potoka", który już dowodził nowoutworzonym oddziałem AK, aby zgodnie z niedawnym porozumieniem między AL i AK, dokonać wymiany chętnych.

Jeden z żołnierzy "Potoka" był już wcześniej umówiony przez alowców i podczas spotkania oddziałów miał przejść do AL, zachęcając swym przykładem innych.

Gdy oddział "Potoka" stanął na zbiórce w dwuszeregu, a naprzeciwko podobnie ustawił się oddział "Łokietka", obaj dowódcy przemówili do żołnierzy, informując ich o porozumieniu, i dając im możliwość zmiany przynależności. Od "Potoka" przeszedł

tylko ten jeden żołnierz, wcześniej umówiony, a od "Łokietka", ku jego zdumieniu, przeszło do "Potoka" kilku.

Po tej niefortunnej dla "Łokietka" wymianie ludzi, pomaszerował on na Wykus, aby powrócić już z całym zgrupowaniem oddziałów AL dopiero w październiku.

Cofnę się jeszcze do wydarzeń czerwcowych, kiedy to alowcy tak mnie badali na Sadłowiźnie. Jak wiadomo, następnego dnia Niemcy zaatakowali alowców i rozpędzili ich po lasach. Poczekalem wtedy trzy lub cztery dni i kiedy miałem pewność, że Niemców na drodze nie spotkam, znów udałem się tą drogą do Ostrowca. Był to prawdopodobnie 11 czerwca. Ku mojemu zdumieniu znów wjechałem w Sadłowiźnie na kwaterujący oddział partyzancki.

Tym razem nikt mnie nie zatrzymywał ani rewidował. Nawet nikt się mnie nie spytał skąd jestem i dokąd jadę. Dla przyzwoitości i aby mnie nikt nie posądzał o złe intencje, pozostałem na miejscu z własnej woli. Oddział, który zakwaterował w budynkach leśniczówki, przypominającej z zabudowy jakiś folwark, usytuowany przy nieczynnej kopalni Sadłowizna, wyglądał nietypowo. Wszyscy żołnierze tego oddziału nosili mundury WP i byli dobrze uzbrojeni. Widziałem stojące koło budynków gospodarczych trzy karabiny maszynowe niemieckie MG-15, a na nasypie kopalnianym, tuż przy drodze, zamaskowane stanowisko polskiego, ciężkiego karabinu maszynowego. Zapytałem przechodzącego, młodego żołnierza, z dystynkcjami kaprała podchorążego, co to jest za oddział. Odpowiedział mi grzecznie, że jest to oddział "Bończy". Nigdy o takim nie słyszałem ale wstydziłem się tego powiedzieć podchorążemu. Udałem, że jest mi znany i wdałem się w dalszą pogawędkę, chcąc się czegoś więcej dowiedzieć o tym oddziale. Podchorąży w moim wieku, najwidoczniej wziął mnie za kogoś z organizacji wspierającej oddział, i swobodnie mi o różnych sprawach mówił. Narzekał, że te okolice są "czerwone" i że oni maszerując przez nie, berety chowają do kieszeni a zakładają połówki, podając się za akowców. Wiedziałem, że w tym czasie w beretach chodzili tylko żołnierze NSZ i natychmiast wszystko było dla mnie jasne. Mówił mi, że przechodząc przez okolice Radomia mieli starcie z Niemcami i mają jednego rannego, którego muszą wieźć na wozie. Potem chciał mnie przedstawić kapitanowi (przypuszczałem, że to był dowódca), jednak od tego się wymówiłem. Zgodziłem się tylko iść do budynku gdzie pokazał mi dziwny pistolet maszynowy. Ogólnie przypominał czeski pistolet maszynowy kal. 9 mm, ale miał boczny krótki magazynek, zakończony bębniem. Obok w pokoju zabawiało się rozmową kilku oficerów.

Około godz. 15-ej dowódca zarządził zbiórkę oddziału do wymarszu w drogę. Po raz pierwszy wtedy usłyszałem modlitwę partyzancką "O, Panie, któryś jest na Niebie.... ", odśpiewaną przez stojących w dwuszeregu żołnierzy. Po sprawdzeniu stanu oddziału i załatwieniu niezbędnych czynności, dowódca dał rozkaz aby wyruszyło przednie ubezpieczenie, i kilkadziesiąt kroków za nim pomaszerował oddział, za nim wóz taborowy z rannym i potem mały oddział ubezpieczający kolumnę z tyłu. Oddział liczył około 80 do 100 ludzi i udał się w kierunku zachodnim.

Jak się dowiedziałem po kilkudziesięciu latach z literatury wojennej, był to oddział z terenów okręgu łódzkiego AK, który z NSZ przeszedł w szeregi AK. Mocno naciskany przez Niemców na terenie łódzkim zrobił rundę idąc koło Radomia na Powiśle, a potem z powrotem, przez okolice Ostrowca Św.

Powrócę jeszcze do sprawy oddziałów AL.

Łączny stan osobowy tych oddziałów na terenie lasów starachowickich i bałtowskich nie przekraczał w lipcu 200 ludzi. Partyzanci AL byli doskonale uzbrojeni, gdyż każdy

kto tylko chciał nosił broń maszynową. Byli tacy co nosili np. karabin automatyczny (samozariadkę) i pistolet maszynowy równocześnie. Brakowało w AL ludzi z wojskowym wyszkoleniem. Tylko nieliczni (poza "Łokietkiem") mieli zaledwie podstawowe przeszkolenie wojskowe. Dopiero w sierpniu znalazło się w AL trochę ludzi, którzy przeszli tam z AK i którzy wnieśli do tych oddziałów nieco więcej wiedzy wojskowej. Dużą pomocą dla oddziałów AL byli oficerowie radzieccy, zbiegli z niemieckich obozów jenieckich. Kilku z nich pełniło rolę dowódców.

Na terenie iłżecko-starachowickim tylko raz alowcy wystąpili zaczepnie w stosunku do Niemców. Była to nieudana akcja na własowców, o której pisałem. Była jeszcze druga akcja, którą trudno potraktować jako akcję zaczepną. Polegała ona na tym, że połączone oddziały AL zajęły nocą Iłżę. Otoczono posterunek żandarmerii niemieckiej, liczący około 30 żandarmów, nie atakując go. Zadanie to wykonywali partyzanci radzieccy. Partyzanci pochodzenia polskiego zabierali w tym czasie towary ze sklepów oraz zbierali "dobrowolne" składki pieniężne na rzecz AL, od bogatszych obywateli Iłży.

Tę "poważną operację wojenną" opracował znakomicie szef sztabu AL, ten sam który opracował plan akcji na własowców. Był z niej tak dumny, że upamiętnił ją po wojnie pomnikiem.

W literaturze na tematy wojenne, którą drukowano w PRL, przedstawiano AL jako jedyną siłę walczącą z okupantem, dopuszczając stopniowo do udziału w tej walce także oddziały BCh. Akowców najchętniej utożsamiano z NSZ, przypisując im zmyślane historyjki o mordowaniu alowców. Na końcu rozdziału umieściłem zdjęcia fotograficzne, przedstawiające ppor. Władysława Lasotę "Rawicza" z 3 pp leg. AK, batalion "Szarego", jak zabiera ze sobą byłych żołnierzy AK z Sienna, którzy chcieli dołączyć do zgrupowania AL Moczara, a nie posiadając broni bali się iść bez niej w tak daleką drogę. Jest to najlepszy dowód jaki był stosunek AK do AL. Po wojnie ci sami ludzie z AL, ale już na stanowiskach w aparacie bezpieczeństwa, ganiłi za swymi dawnymi kolegami z AK, aby ich aresztować i gnębić.

Jeśli ktoś myśli że AL była organizacją liczną, to proszę popatrzeć na autentyczne wykazy określające ilość ludzi i broni w organizacjach PPR - GL (to samo co AL) u schyłku roku 1943, podane w załączniku nr 11. W stutysięcznym mieście, tzw. czerwonym Radomiu, było aż 15-tu gwardzistów, a w powiecie radomskim 10-ciu. Uzbrojenie tej grupki to dwa karabiny i dwie fuzje (broń zabroniona w wojsku umowami międzynarodowymi). Komentarze są chyba zbyteczne.

Inny raport, z dnia 29 marca 1944 r., sporządzony przez mjr. Henryka Połowniaka "Zygmunta" i prawdopodobnie przez niego pisany na maszynie, mówi najlepiej o poziomie organizacji wojskowej AL oraz czym się ta organizacja zajmowała. Należy tu podkreślić, że mjr. "Zygmunt" należał do ludzi o najwyższych kwalifikacjach wojskowych i był naczelnym dowódcą oddziałów AL zgrupowanych pod wsią Gruszka, gdzie w końcu września 1944 r. oddziały te otrzymały duże zrzuty broni i równocześnie zostały otoczone przez Niemców. W bitwie jaka się przy tym wywiązała, dowództwo ostatecznie przejął "Łokietek" i nocą, przez luki w niemieckich pozycjach, większość oddziałów wyprowadził. W lipcu i sierpniu 1944 r. oddziały AL zaczęły otrzymywać duże zrzuty broni i zaopatrzenia. Wiele z tych zrzutów zagarnęli Niemcy, ale pozwoliły one alowcom na znaczne zwiększenie swej liczebności. Duży udział w oddziałach AL mieli żołnierze radzieccy, zbiegli z niemieckich obozów lub zrzućeni w celach dywersyjno-zwiadowczych.

Oddziały AL na kielecczyźnie zorganizowane były w trzy brygady. Były to małe zgrupowania, liczące po około 200 ludzi. Na pewno liczono, że brygady te rozbudują się w przyszłości, jednak chętnych brakowało. Działania przeciw Niemcom ograniczyły się tylko do wysadzenia kilku pociągów i kilku drobnych akcji zaczepnych, nie zawsze udanych.

Powrócę jeszcze do sprawy skontaktowania alowców z "Szarym". Podczas zatrzymania mnie 7 czerwca w Sadłowiźnie, obiecałem, że tę sprawę w ciągu trzech dni załatwię. Okazało się jednak, że w czasie gdy prowadziłem z alowcami rozmowy "Szary" wyruszał z oddziałem na zachód, do rejonu Końskich. Do spotkania nie doszło. Po odmarszu "Szarego", ponad miesiąc nie było w lasach starachowickich oddziałów AK. Dopiero w drugiej połowie lipca powołano pod broń resztki 168-go plutonu z Sienna, dowodzonego przez chorążego Jana Wrzeszcza, ps. Dąb. Był to pluton, z którego około połowa żołnierzy dała się namówić do przejścia w szeregi AL. Aby nie dopuścić do całkowitego rozkładu plutonu, powołano go do lasu. 17-go lipca zarządzono mobilizację ochotników "do lasu" na całym terenie podobwodu "Dolina" (patrz - pismo "Robura" do Komendanta Obwodu oznaczone kryptonimem Baszta 345/0584/Bi w załączniku nr 2). Chodziło o młodzież najbardziej rwącą się do lasu, która była najbardziej podatna na propagandę PPR.

Nad oddziałem, którym początkowo dowodził chorąży "Dąb", powierzono dowództwo Wincentemu Tomasikowi, ps. Potok, dowódcy plutonu w Krępie Kościelnej. Chorąży "Dąb" został jego zastępcą. Początkowo oddział kwaterował w rejonie pomiędzy Lipiem, Henrykiem i Lubienią. Potem przeniósł się na Klepacze. Mała liczebność początkowa oddziału, wynosząca około 40 ludzi, pozwalała mu skryć się w gęstwinie jodłowej jaka rosła po wschodniej stronie działki 9-ej, w pobliżu przecięcia się działki ze strumieniem Klepackim. Po kilkudniowym pobycie w tym miejscu, w ostatnich dniach lipca, "Potok" przeniósł oddział do obozu nr 1, miejsca, z którego wyruszały 13 lipca oddziały po broń do Ćmielowa.

Oddział szybko rósł i na początku sierpnia liczył około 120 ludzi. W tym czasie front radziecko-niemiecki przesunął się na linię Wisły. Na drogach pełno było uchodźców ze wschodu, głównie ludzi którzy kolaborowali z Niemcami, volksdeutschów i żołnierzy niemieckich z rozbitych jednostek. Wielu z nich, niezorientowanych, dla skrócenia sobie drogi, maszerowało do Ilży idąc od strony Kunowa i Ostrowca przez lasy. Stawali się łatwym łupem dla partyzantów.

W dniu 20 lipca przed wieczorem, brat mój Zbigniew wyszedł na skrzyżowanie działki 9-ej i leżni "J". Patrząc w kierunku dróg dojrzał w pewnej chwili jak od południowej strony zbliża się działką 9-tą trzech jeźdźców. Poznał po kolorze mundurów, że są to Niemcy. Zauważył także, że od strony wschodniej, nadjeżdża grupa jeźdźców, na czele której jadą "Łokietek" i Adam Bakalarczyk "Dulka". Byli oni znacznie dalej niż Niemcy. Brat zszedł z pola widzenia Niemców i zaczął ręką przywoływać partyzantów aby szybciej jechali. Zrozumieli i przyśpieszyli jazdę. Zdażyli dokładnie razem dojechać do skrzyżowania. "Łokietek" i "Dulka" mierząc do Niemców ze swoich Schmeisserów wezwali ich do odrzucenia broni i podniesienia rąk. Niemcy bez oporu pozwolili się rozbroić. W tym czasie niespodziewanie z krzaków wyskoczył chorąży Jan Wrzeszcz "Dąb", który też biegł za Niemcami aby ich rozbroić, i chwycił za uzdę konia, jednego z Niemców. Ostatecznie po podziale łupów "Dębowski" przypadł koń wraz z siodłem oraz pistolet Parabellum, a alowcy zabrali jeńców, dwa konie,

pistolet maszynowy Schmeisser i dwa pistolety zwykłe. Schwytani Niemcy byli artylerzystami i jak wynika z literatury alowskiej, zostali rozstrzelani.

W następnym dniu z rana, stojąc na drodze przed leśniczówką z sierż. Kazimierzem Karwackim, ps. Wiech, oraz Tadeuszem Sosnowskim, ps. Leo, dostrześliśmy, że działką 9-ta maszeruje samotny żołnierz niemiecki. Odległość do niego wynosiła około 400 metrów. Ocenilem, że za minutę żołnierz ten wejdzie w las i natknie się na ubezpieczenie oddziału "Potoka", który 300 m dalej biwakuje. Oceniliśmy szybko, że trafia się dobra okazja zdobycia nowej, niemieckiej broni. Żaden z nas nie miał przy sobie pistoletu, a wydobyć go ze schowka zajęłoby mi kilka minut. Postanowiliśmy rozbroić Niemca gołymi rękami.

Podsunałem myśl aby "Wiech" i "Leo" pojechali szybko rowerami do Niemca i nawiązali z nim rozmowę, a następnie rzucili się na niego wyrywając mu karabin. Zarówno "Wiech" jak i "Leo" byli roslymi, dobrze zbudowanymi mężczyznami i każdy z nich był w stanie samotnie Zmierzyć się z przeciwnikiem. Plan był dobry ale szybkość jego realizacji doprowadziła do błędu. Gdy koledzy, jadąc ścieżką przez pole, byli już 60 metrów od Niemca, ścieżka zbaczała w prawo i wychodziła na drogę kilkadziesiąt metrów za Niemcem. Zamiast jechać spokojnie dalej ścieżką a potem drogą do Niemca, koledzy rzucili rowery i po oranym polu zaczęli biec bezpośrednio do Niemca. Ten zaś już wcześniej zauważył szybko jadących w jego kierunku ludzi i maszerował z obróconą w ich stronę głową. Najwidoczniej wyczuwał że z ich strony grozi mu niebezpieczeństwo. Widząc, że chłopcy porzucili rowery i biegną do niego na przełaj, zrozumiał że o niego chodzi. Dał susa przez płot z żerdzi i zniknął w lesie.

Błąd popełniony przez rozpędzonych kolegów mógł zakończyć się gorzej. Żołnierz mógł zdjąć z ramienia niesiony na pasie karabin i zastrzelić obu, jak przysłowiowe kaczki na wodzie.

Po tym niefortunnym rozbrojeniu niemieckiego żołnierza koledzy odjechali, a ja postanowiłem uzbroić kilku innych mieszkańców leśniczówki i pójść z nimi na zasadzkę. Wiedziałem, że jeżeli od Ostrowca i Kunowa ciągną żołnierze z niemieckich, rozbitych jednostek, to najlepiej będzie zrobić zasadzkę przy którymś gościńcu koło Murowanki. Zebrałem pięciu lub sześciu ludzi i po wydaniu im broni, poszedłem z nimi do tego rejonu, wybierając miejsce zasadzki przy jednym z pagórków, jakie są tam na gościńcu kunowskim.

Wyzaczyłem wszystkim stanowiska wzdłuż gościńca i poleciłem się zamaskować. Sam, ubrany w zielony mundur, ukryłem się w krzaku przy samej drodze i obserwowałem gościniec.

Już po kilku minutach zauważyłem idących poboczem drogi dwóch żołnierzy/niemieckich. Szli w naszym kierunku powoli, rozglądając się bacznie na boki. Byli w odległości około 300 metrów.

Zajęty obserwacją nieprzyjaciela usiłowałem upewnić się, czy dwaj żołnierze nie są przypadkiem szperaczami większego oddziału. W tym czasie, zszedł samowolnie ze stanowiska jeden z moich ludzi i za moimi plecami wysunął na drogę głowę. Ubrany w granatową furażerkę z miejsca został zauważony przez Niemców, którzy natychmiast zmienili kierunek marszu o 90 stopni. Z zasadzki nic nie wyszło.

Osobnik, który spłoszył niemieckich żołnierzy, jak się później okazało, był niemieckim agentem przysłanym na Klepacze przez starachowickie Gestapo. Przybył do nas przyprowadzając dwóch Rosjan z bronią, którą rzekomo ukradli Niemcom. Powiedział nam, że jest mieszkańcem Starachowic, a Rosjanie byli zatrudnieni przy

technicznej obsłudze samochodów w żandarmerii. Widząc, że Niemcy uciekają a front przesuwa się na zachód, postanowili uciec od Niemców i on im w tym dopomógł. Zastanawialiśmy się dlaczego fatygował się z tymi Rosjanami aż na odległe prawie 20 km Klepacze, gdy miał pod dostatkiem partyzantów na Wykusie, odległym od Starachowic zaledwie kilka kilometrów. Nie zadaliśmy mu jednak takiego pytania, będąc przekonanym, iż obecność Niemców na naszym terenie jest już tylko kwestią kilku dni.

Ze względu na narodowość zbiegów, ojciec przekazał całą trójkę "Łokietkowi", stojącemu z oddziałem koło Wilczego Dołu. Z Polakiem, mieszkańcem Starachowic, który Rosjan przyprowadził, "Łokietek" i Mieczysław Róg-Świostek przeprowadzili rozmowy, prawdopodobnie na temat jego zapatrywań politycznych, po których przyjęli go do AL. Osobnik ten przyjął sobie pseudonim "Skręt". Rosjanie pozostali w oddziale "Łokietka" i podobno sprawdzili się jako godni zaufania, natomiast "Skręt" nie siedział na miejscu. Spotykano go wszędzie. Urządzał wieczorami w gajówkach libacje alkoholowe, przygrywając na skrzypcach, które ze sobą nosił. Szybko zawierał znajomości i przyjaźnie. Najwięcej jednak czasu poświęcał na obserwację leśniczówki. Leżał ukryty w pobliskich krzakach i patrzył kto przyjeżdża lub wyjeżdża. Gdy tylko zauważył, że przed leśniczówką stoją jakieś osoby, nagle się pojawiał i przyłączał do towarzystwa.

Gdy wyruszałem z ludźmi na zasadzkę, nagle się pojawił i wyraził chęć uczestniczenia w niej. Nie podejrzewając go o złe zamiary dałem mu broń. Przy okazji zauważył wiszącą na wieszaku granatową furazerkę i poprosił aby mu ją wypożyczyć. Wyraziłem zgodę ale byłem zdziwiony, że ktoś idąc na zasadzkę, chce na głowę włożyć tak widoczne w lesie nakrycie głowy. Gdy mi spłoszył Niemców zrozumiałem jego intencje.

"Skręt" buszował w rejonie Klepacz do czasu, aż zainstalował się tu inny gestapowiec, także przyjęty do AL, pod pseudonimem "Blok". "Blok" po zadomowieniu się na Klepaczach i rozpoznaniu ludzi oraz okolicy, jako bardziej odpowiedzialny pracownik Gestapo, uznał że "Skręt" jest tu teraz niepotrzebny i skierował go do oddziału BCh "Ośki".

Niemcy mieli duże trudności z ulokowaniem w BCh swoich agentów i wpadli na pomysł aby to zrobić za pośrednictwem AL. Ludzi nieznanych "Ośka" do siebie nie przyjmował, przynajmniej w pierwszej fazie istnienia oddziału, ale gdy jakiś żołnierz oddziału AL zgłosił chęć przejścia do niego, nie czynił przeszkód.

Po wojnie "Skręt" chodził po ulicach Starachowic z opaską MO, gdyż partyzanci z oddziału "Ośki" zajmowali głównie etaty milicyjne. Mieszkańcy Starachowic informowali władze bezpieczeństwa kim jest ta osoba lecz byli wyrzucani za drzwi jako wrogowie ludu, oczerniający najlepszych towarzyszy partyjnych, budujących Polskę Ludową. W ten sposób agent Gestapo, zwalczający polskie podziemie w służbie Hitlera, po zakończeniu wojny robił to samo, ale już w służbie organów bezpieczeństwa PRL. Zmarł naturalną śmiercią, ciesząc się jak najlepszą opinią kolegów z UB.

Od 21 lipca oddział "Potoka" kwaterował w szałasach obozu nr 1. Wśród żołnierzy "Potoka" można było spotkać Józefa Kępińskiego "Alfę" z Błazin, Jerzego Falkiewicza "Orlątko" z Sienna, Tadeusza Włodarskiego "Śmiałego" z Seredzic, Jana Pryciaka "Węża" i jego brata Wacława "Sokoła" z Prędocina, Jana Fryzla "Sahajdacznego" z Kotlarki, Stanisława Chedę "Rysia" z Seredzic, chorążego Jana Wrzeszcza "Dęba" z synem o pseudonimie "Kruk" z Kalinowa, i wielu innych. Chcąc oddział dobroić nową

bronią, "Potok" wysyłał ludzi na szosę Marcule-Lubienia, gdzie w kilku zasadzkach zdobył kilka karabinów i pepeszę z bębniem.

W dniu 22 lipca "Potok" otrzymał wiadomość, że szosą koło Marcul będą przejeżdżać żandarmi z policją granatową z Iłży. Dostał rozkaz zniszczenia tej grupy, za wyjątkiem policjantów granatowych, którzy w dużej części należeli do AK. Na zasadzkę poszedł cały oddział pod dowództwem "Potoka".

Jak to często bywa, wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej niż było przewidziane. Zamiast żandarmerii w zasadzkę wjechała kolumna samochodów wojskowych, jadących z frontu. Padły pierwsze strzały po których samochody stanęły. Niemcy zdezorientowani paniczną ucieczką z terenów lubelskich, gdzie podczas odwrotu atakowały ich oddziały partyzanckie, zatrzymali samochody i zaczęli się wysypywać na szosę z podniesionymi rękami. Byli to żołnierze Wehrmachtu. Rzucali broń, wśród której już leżały na szosie dwa karabiny maszynowe MG-34. Chłopcy w napięciu czekali na rozkaz zbierania broni. Oczy im się iskrzyły patrząc na ten majątek, leżący na drodze. Nagle z szoferki pierwszej ciężarówki wyskoczył na szosę młody podporucznik, dowódca jadącego plutonu. Trzymał ręce do góry nie wypuszczając z ręki pistoletu i krzyczał w stronę partyzantów, że chce rozmawiać z dowódcą.

"Potok", który już wcześniej wstrzymał ogień do Niemców, wyszedł na szosę w asyście tłumacza, którym był wysiedleniec, chorąży Jan Wrzeszcz "Dąb".

Zbliżając się do Niemca "Potok" wezwał go do odrzucenia broni. Niemiec odpowiedział, że broni nie rzuci. W takim razie niech ją schowa do futerału, rzekł "Potok". Na to Niemiec się zgodził i schował pistolet do kabury. Zaczęła się rozmowa.

Niemiec zapytał: "kto wy jesteście i co wy od nas chcecie?" "Jesteśmy oddziałem Wojska Polskiego i żądamy od was jako naszych wrogów, złożenia broni" - powiedział "Potok".

Na to Niemiec: "Jesteśmy oddziałem Wehrmachtu, który jedzie na odpoczynek z frontu. Nie walczymy z wami i nic do was nie mamy. Chcemy tylko abyście nas przepuścili."

"Potok" odpowiedział: "Przepuścić was możemy, ale bez broni."

Na to Niemiec: "Jest pan oficerem i wie pan dobrze, co grozi oficerowi za dobrowolne oddanie broni."

Jak potem na ten temat rozmawiałem z "Roburem", jego zdaniem "Potok" powinien nieposłusznego oficera zastrzelić, a pozostałym żołnierzom odebrać broń.

"Potok" nie potrafił tego zrobić. Zrobiło mu się żal tego młodego, odważnego oficera. Z natury sprzecznego z jego zawodem, nie lubił zabijania. Po walce wewnętrznej jaką przeżył, krzyknął do Niemców: "zabierajcie tę swoją broń i odjeżdżajcie".

Niechęć do zabijania i honor oficerski nie pozwolił mu strzelić do bezbronnego, który w dodatku mu zaufał. Pomyślał sobie, że Niemców nie brakuje. Nie będą ci, to będą inni.

W tym okresie jeszcze się spodziewano, że Wehrmacht nie będzie uczestniczył w walkach z partyzantami i nie atakując Wehrmachtu liczono na to że Wehrmacht się odwzajemni i nie będzie się włączał do walk prowadzonych dotychczas tylko przez niemieckie oddziały policji i SS. Szybko jednak te iluzje prysły. Oddziały Wehrmachtu nie tylko się włączyły do walki z partyzantami ale jeszcze do tego dokonywały zbrodniczych egzekucji na ludności i wziętych do niewoli partyzantach.

Podczas panicznej ucieczki Niemców zza Wisły, psychoza sugerująca koniec wojny udzieliła się licznym mieszkańcom Starachowic i Ostrowca Św. Ludzie uznali, że w lasach będzie najbezpieczniej przesiedzieć kilka dni, aż się front przesunie. Analogicznie

jak we wrześniu 1939 r. wielu ludzi schroniło się w Klepaczach. Przybyli tu rowerami, wozami i pieszo. Było ciepłe, lipcowe powietrze, więc koczowali na wolnym powietrzu. Mieszkając cały czas w miastach, pomiędzy Niemcami, zaskoczeni byli tym co tu zobaczyli. Tu był inny świat. Zamiast Niemców wszędzie spotykało się przechodzące oddziały i patrole partyzanckie, poruszające się pieszo, konno i na pojazdach mechanicznych. Nikt się tu nie bał, że może spotkać Niemców. Był tu całkiem inny, wolny kraj. Każdy czuł się tu jak przed wojną. A wystarczyło przebyć tylko kilkanaście kilometrów aby się w nim znaleźć. Przybysze patrzyli nie wierząc własnym oczom.

Po upływie kilku dni, okazało się że front wschodni zatrzymał się a atmosfera paniki u Niemców zaczęła przemijać. Uchodźcy zaczęli stopniowo powracać do miast, opowiadając po powrocie co też w tych lasach widzieli. Oczywiście, przy tak masowej informacji, często przesadzonej, sporo jej dotarło do Niemców. Gestapo (Sipo) panice nie uległo. W każdych warunkach swoje powinności wykonywało. Słyszając, że w lasach jest taka sytuacja, natychmiast przystąpiło do działania.

Na początek przysłano na Klepacze agentów, którzy podawali się za uchodźców ze wschodu, których Niemcy przysłali tu na kwatery. Przybyło pewnego dnia przed wieczorem dwóch mężczyzn w wieku około 25 lat, ubranych po cywilnemu, oświadczając że przysłano ich tu do zamieszkania w leśniczówce. Gdy ojciec im powiedział iż jest to niemożliwe, gdyż dom jest państwowy i kwater się tu nie udziela, nie wiedzieli co dalej mówić. Poprosili o jakieś jedzenie a następnie zapytali się, jak się stąd idzie do stacji kolejowej. Ponieważ przyszli od strony stacji kolejowej, powiedzieliśmy im aby szli w odwrotnym kierunku niż do tej pory. Po wyjściu na drogę naradzali się, a potem nie poszli w kierunku stacji a dalej w głąb lasów.

Przypadek zrzucił, że w tym dniu dość blisko leśniczówki zakwaterował pluton od "Szarego", który przybył z koneckiego pod dowództwem por. Zygmunta Kiepasa "Krzyka". Jeden z żołnierzy oddziału Rębalski, ps. Rezuła, pochodzący z Warszawy, wybrał się na leśniczówkę aby odwiedzić znajomych, wśród których ukrywał się kilka miesięcy. "Rezuła" natknął się na tych dwóch przybyszów, którzy chcieli zamieszkać w leśniczówce. Poznał od razu, że nie są to miejscowi. Rozpoczął z nimi rozmowę, pytając się co tu robią i skąd są, a ci widząc przed sobą partyzanta, natychmiast oświadczyli że poszukują partyzantów aby się do nich przyłączyć.

"Rezuła", mając dobre poczucie humoru, rzekł do nich iż dobrze trafili i zaraz ich zaprowadzi tam gdzie chcą. Wkrótce znaleźli się w pobliżu biwaku "Krzyka", który polecił tych nieznanych ludzi dobrze zrewidować.

Gdy ich rozebrano, okazało się że mieli na sobie żandarmską bieliznę i jakieś inne elementy niemieckiego umundurowania, a co najgorsze w portfelach mieli mnóstwo swoich zdjęć indywidualnych i zbiorowych w mundurach żandarmerii niemieckiej. Mówili po polsku z akcentem wschodnim, że pochodzą z Jarosławia, więc można było się bez trudu domyślić iż są to Ukraińcy, którzy byli na służbie okupanta. Wszystkim było wiadomo, jak zbrodniczo postępowała żandarmeria ukraińska i "Krzyk", który już przeszedł przez ręce Gestapo, nie zastanawiał się długo co z takimi gagatkami zrobić.

O godz. 17-ej dwa karabinowe strzały dały znać, że misja agentów Gestapo została zakończona.

W następnym dniu przybyła na Klepacze z kolei jakaś kobieta, która podobnie jak dwaj poprzednicy chciała tym razem zamieszkać w gajówce. Aż dziw brał jak jacyś obcy ludzie docierali na Klepacze, zaszyte głęboko w lasach, gdzie na prawdę trudno było trafić. Kto z tych obcych ludzi mógł wiedzieć, że istnieją jakieś Klepacze.

Kobiecie, która zgłosiła się na kwaterę w gajówce, także odmówiono możliwości zamieszkania. Poszła z powrotem w kierunku wsi Bór Kunowski i stacji kolejowej Kunów. Wiadomość o niej dotarła na leśniczówkę z pewnym opóźnieniem i wysłana za nią pogoń nie zdołała jej schwycić.

Po tej nieudanej próbie ulokowania w Klepaczach swych wywiadowców Gestapo zmieniło metodę. Zamiast wysyłać agentów rekrutowanych z tzw. uchodźców ze wschodu, zaczęło wysyłać w lasy rodzimych volksdeutsche, znających dobrze język polski i polskie obyczaje.

Pierwszym tego rodzaju agentem był wspomniany już "Skręt", przyjęty lekkomyślnie w szeregi AL-Świt, a potem do oddziału "Ośki". Gdy kiedyś natrętnie mi towarzysząc poszedł ze mną do obozu "Potoka", jakiś kolega ze Starachowic odciągnął mnie na bok i zapytał "skąd pan zna tego człowieka?" Następnie powiedział mi, że jest to volksdeutsch i cała jego rodzina to Volksdeutsche, a brat jego został zastrzelony za współpracę z Gestapo. Na koniec powiedział do mnie "niech się pan strzeże tego człowieka".

Byłem wtedy przekonany, że za kilka dni wejdą wojska radzieckie i różnych takich ludzi rozliczy się za ich działalność. W tej chwili nie ma warunków aby to zrobić, poza tym "Skręt" był już członkiem AL i jakiegokolwiek działania przeciw niemu zostałyby uznane jako działania polityczne przeciwko AL.

Następnym agentem Gestapo był rutynowany pracownik tej instytucji z Lublina, także przyjęty w szeregi AL-Świt, Józef Kaczmarczyk "Blok" (nazwisko z pewnością nieprawdziwe ale wtedy takim się legitymował). Był to wyjątkowo inteligentny i sprytny agent, który jak kot w każdej sytuacji potrafił upaść na cztery łapy. Przyprowadził go skądś Stanisław Łęcki "Boss", mieszkający w Błazinach, członek AK a potem BCh względnie AL. W każdym razie on go przekazał do AL. "Blok" powiedział, że pracował w Lublinie w żandarmerii jako kierowca, a teraz wykorzystując bałagan u wycofujących się Niemców, załadował do auta żonę i dziecko i razem z nimi uciekł do lasu. Musiał być jakimś znajomym "Boss", który go zarekomendował do AL. Razem z "Blokem" i niektórymi osobistościami z AL "Boss" przyjechał autem Steyer 200, kierowanym przez "Bloka", na Klepacze. Poubierali się przy tym w mundury SA, które "Blok" przywiózł ze sobą. Prosił mego ojca aby znalazł dla "Bloka" i jego rodziny jakąś melinę, ponieważ "Blok" spalił za sobą mosty i musi się teraz dobrze przed Niemcami ukryć.

Ojciec nie potrafił odmówić zrobienia przysługi osobom od dawna mu znajomym. Umieścił "Bloka" z rodziną w gajówce na Klepaczach, u gajowego Romanowskiego. Był to niesamowity błąd. Od tej pory Gestapo miało w samym sercu lasów swoją ekspozyturę.

Także do oddziału "Potoka" przedostał się niemiecki agent. Został przyjęty na podstawie rekomendacji danej mu przez kilku kolegów z Sienna, z którymi zdążył się zaprzyjaźnić.

Był to bardzo młody chłopiec o pseudonimie "Pomsta", którego działalność nie wyszła poza obręb oddziału. Jako niemiecki agent ujawnił się dopiero w październiku, po bitwie stoczonej przez Iłżecki Pułk AK w okolicy Piotrowego Pola i Kruków.

Pchor. art. Franciszek Wydra "Gromski" będąc żołnierzem "Potoka" w okresie lipiec-sierpień, rozpoznał znów żandarma niemieckiego, który przybył do oddziału z grupą ochotników z Powiśla. Żandarm ów, widząc że jest rozpoznany, zniknął bezpowrotnie najbliższej nocy, ratując się ucieczką.

Najbardziej aktywnym agentem Gestapo był "Blok". Jego działalność całkowicie przypominała działalność "Motora" w zgrupowaniu "Ponurego". Niemcy jeszcze raz powtórzyli tę samą metodę.

Gdy tylko zamieszkał z żoną i dzieckiem w gajówce Klepacze, rozpoznał otoczenie, zaczął krążyć po okolicy, jak jastrząb. Wy tłumaczył alowcom, że ze względu na żonę i dziecko, nie może przebywać w leśnym oddziale, ale bardzo chętnie włączy się do pracy w terenie. Argument nie do odrzucenia.

Tak się zbiegło, że w tym czasie oddział BCh "Ośki" stanął biwakiem pod Kuterami. Oddział ten był dla Niemców szczególnie niebezpieczny. Do oddziałów BCh Niemcy nie mieli dostępu. Nie mogli znaleźć sposobu ulokowania tam swych informatorów. Żołnierze "Ośki" ubrani w większości w niemieckie mundury, poruszający się na niemieckich zdobytych pojazdach wojskowych, sprawiali Niemcom ogromny kłopot. Bardzo łatwo można było się pomylić i ostrzelać własne oddziały. Podczas akcji niemieckich skierowanych przeciwko "Ośce", żołnierze niemieccy wiązali sobie na rękawach kolorowe szmatki lub nawet powróśla ze słomy. Te ostatnie miały tę wadę, że w gąszczach leśnych zawadzając o gałęzie rozpadały się.

Nie wiem jakim sposobem "Blok" dowiedział się o miejscu postoju "Ośki", ale przyszedł do mnie, proponując mi abyśmy razem pojechali moim motocyklem do niego. Miał swoje auto Steyer 200 ale z jakichś względów wolał jechać ze mną. Zgodziłem się chętnie gdyż sam byłem ciekawy jak ten oddział wygląda. Dużo o nim słyszałem.

Gdy zbliżyliśmy się do rejonu obozowania oddziału "Ośki" zwolniłem prędkość jazdy, aby nie narazić się na ostrzelanie przez ubezpieczających żołnierzy, zamaskowanych i niewidocznych dla mnie. Starłem się dostrzec ubezpieczenie i w pewnej chwili zauważyłem stojącego pod jodłą żołnierza w niemieckim mundurze. Jego spłaszczony nos i kościste policzki świadczyły o tym, że był z kompanii włosowców, która zbiegła do "Ośki" i wchodziła w skład jego oddziału. Zgasilem silnik i pozostawiliśmy motocykl przy drodze a dalej udaliśmy się pieszo.

Mongoł stał pod drzewem kilkanaście metrów od drogi, trzymając broń na pasie i patrzył przed siebie, całkowicie ignorując naszą obecność.

Nie widząc żadnego zainteresowania naszymi osobami ze strony ubezpieczającego żołnierza (był to najwidoczniej posterunek alarmowy), szliśmy dalej drogą przed siebie. Po przejściu kilkudziesięciu kroków i wejściu w wysoki las jodłowy, ujrzelśmy w różnych kierunkach stojące pojazdy wojskowe, a na ziemi leżące grupki żołnierzy BCh grających w karty lub czytających książki a obok nich stojące karabiny maszynowe, gotowe do natychmiastowego użycia. Zapytaliśmy najbliższej leżącej grupki gdzie można znaleźć "Oskę". Wskazali nam grzecznie kierunek i podali odległość. Za chwilę wyszedł do nas z szalasu "Ośka. Był w mundurze niemieckiego kapitana. Miał nawet na piersi jakieś odznaczenia niemieckie. Przywitał się z nami i zapytał co nas do niego sprowadza. Wtedy "Blok" wyjaśnił, że jest przedstawicielem AL. Nadmienił dalej, że ponieważ dążenia ideologiczne BCh i AL są podobne, chciałby porozmawiać na temat możliwości współpracy tych organizacji. Ale za chwilę dodał: "my to się już znamy. Siedzieliśmy w jednej ławie szkolnej". Na to "Ośka": "gdzie? W jakiej ławie szkolnej? "Blok" wymienił miejscowość. "Ośka" myślał chwilę i powiedział, negując ruchami głowy; "Ja sobie nie przypominam". Speszyła najwyraźniej "Błoka" ta odpowiedź. Przez chwilę nie wiedział co powiedzieć, a potem rzekł "to zresztą nie ważne, rozmawiajmy o sprawach które mnie tu przywiodły".

Zdziwiła mnie wypowiedź "Bloka" o tym siedzeniu we wspólnej ławie szkolnej z "Oską", gdyż jak mi mówił ojciec, podobno "Blok" miał być kolegą z ławy szkolnej Tadeusza Łęckiego "Orkana", ważnego oficera AL. Co za dziwna zbieżność, pomyślałem.

Myślę dziś, że to był chwyt psychologiczny ze strony "Bloka". Najczęściej w takich sytuacjach obie osoby zaczynają się ściskać i cieszyć ze spotkania, nie dociekając wiele czy to jest prawda. W tym przypadku "Ośka" zachował się chłodno, zbijając "Bloka" z tropu.

Ponieważ mnie polityka nie interesowała i znalazłem się tu jako kierowca, więc pozostawiłem rozmówców i udałem się do samochodów, popatrzeć jakie to "Ośka" ma pojazdy. Wcześniej obejrzałem stojący na trójnogu obok szalasu "Ośki", radziecki, ciężki karabin maszynowy, z tarczą osłonową. Był cały czerniony. Lufę miał uźebrowaną podobnie jak polski rkm. Pierwszy raz widziałem taką broń.

Potem udałem się kolejno do różnych stojących ciężarówek oraz łazika. Na drodze obok, żołnierze uczyli się jeździć motocyklem. Nikt na mnie nie zwracał uwagi i mogłem się wszystkiemu przyjrzeć do woli. Po zaspokojeniu ciekawości powróciłem do "polityków". Gdy już byłem bardzo blisko, usłyszałem wypowiedź "Ośki": "to wszystko, co mi tu opowiedzieliście, jest bardzo ładne.... aleja Rosji nie wierzę".

"Blok" widząc mnie rzekł że mogę wracać do domu bez niego, ponieważ on pozostanie u "Ośki" na noc.

Idąc do mego motocykla podszedłem do Mongoła, aby go zapytać dlaczego nas nie legitymował i nie próbował zatrzymać. Patrzył przez chwilę na mnie nie rozumiejąc o co chodzi. Po chwili zrozumiał i uśmiechając się, powiedział: "a.... tu wsie są partizanten" i machnął ręką. Przyznałem mu rację.

Oddział "Ośki" znany był z tego, że biwakował przy drogach, którymi każdy mógł swobodnie przejeżdżać. Pozornie można było przypuszczać, że to jest oddział niemieckiego wojska. Jednak było takie postępowanie ryzykowne.

Należy przyznać, że nie zdarzył się przypadek aby ktoś tego zaufania do ludzi nadużył. Pewnego dnia "Ośka" przyjechał motocyklem do mego ojca prosić go o trochę ziemniaków do kuchni, gdyż mu zabrakło. Był wtedy tzw. przednówek i piwnica była pusta. Ziemniaki każdorazowo trzeba było kopać.

Ojciec powiedział że ziemniaki ma ale w polu. Powiedział "Ośce" aby przysłał ludzi i ukopią sobie.

Za pół godziny przybiega do ojca zdenerwowana gospodyni i mówi: "panie leśniczy, Nimce nam kartofle kopią". Ojciec, udając zdziwionego mówi: "no... ale co możemy na to poradzić? Przecież ich nie wypędzimy. "

Wyszedłem na drogę i widzę, że na drodze stoi ciężarówka, a w polu tyraliera żołnierzy w niemieckich mundurach, za pomocą łopatek, bagnetów i innych narzędzi, kopie ziemniaki. Miałem dużą ochotę sfotografować tę scenę. Zrezygnowałem jednak z zamiaru, gdyż obcy partyzanci mogliby potraktować ten fakt dla mnie co najmniej niekorzystnie.

W następnym dniu z rana "Blok" się pojawił, proponując mi aby po jutrze, w środę, znów z nim pojechać na strażową (leżnia F), gdyż tamtędy będzie się przemieszczał oddział "Ośki".

Nie wytrzymał jednak tak długo i jeszcze tego samego dnia pojechał ponownie do "Ośki" rowerem.

W środę, z rana o godz. 9-ej, zgodnie z zapowiedzią pojechaliśmy działką nr 9 i zatrzymaliśmy się przy skrzyżowaniu z leżnią "F". Za chwilę odebraliśmy defiladę oddziałów "Ośki".

Wojsko maszerowało bokami drogi w tumanach kurzu wznieszanego przez jadące środkiem drogi pojazdy mechaniczne. Samochody poruszały się na drugim biegu, aby przystosować swą prędkość do idących poboczem żołnierzy. Część z nich jechała na ciężarówkach. Przypuszczałem, że "Blok" znów umówił się z "Oską" ale do żadnego spotkania nie doszło. Chciał poprostu mieć pewność, czy "Ośka" mu prawdę powiedział i chciał stale mieć aktualne informacje gdzie się "Ośka" znajduje.

Oddziały "Ośki" maszerowały spod Kuter aby się rozłożyć biwakiem przy działce nr 7, bardzo blisko wsi Piotrowe Pole. Tam również pojechaliśmy z "Blokem" w następnych dniach ale "Ośka" był nieobecny. Na dalsze kontakty z "Oską" "Blok" już jeździł rowerem.

Na początku września "Ośka" zwrócił się do "Bloka" z prośbą aby wziął od niego pod opiekę pojazdy mechaniczne, gdyż ma trudności z paliwem. "Blok" zapytał mnie gdzie ja widzę dobre miejsce na ich zaparkowanie. Uznałem, że najlepiej będzie je zaparkować obok obozu nr 1, obecnie nie wykorzystywanego przez "Potoka". Uważałem że ich obecność w niczym nie będzie przeszkadzać partyzantom w dalszym użytkowaniu obozu.

Na wskazane przeze mnie miejsce "Blok" przyprowadził nową ciężarówkę 3, 5 t Mercedes Benz z silnikiem ropnym, auto Mercedes Benz typ V170, przerobione na półciężarówkę i łazik wojskowy. Na platformie ciężarówki umieszczony był motocykl BMW z przyczepą, typu Sahara, (tj. z napędem na przyczepę). Leżał tam też w ładnej, politurowanej skrzyni, pancerfaust, do którego brakowało zapalnika czołowego. Motocykl solówkę "Victoria 350" zatrzymał "Blok" do własnego użytku i postawiliśmy ją w krzakach w pobliżu leśniczówki, nakrywając tylko gałęziami.

Podczas czesania lasów przez wojsko niemieckie, co miało miejsce w październiku 1944, ojciec mój zauważył na rozłożonej przez oficera niemieckiego mapie, zaznaczone ołówkiem miejsca, w których stały zaparkowane nasze pojazdy.

Do pojazdów tych Niemcy dotarli i teraz stało się coś, co niedwuznacznie świadczyło o "Bloku", iż jest niemieckim agentem.

Niemcy zabrali moje dwa motocykle "Sokół 600", a nie ruszyli samochodu "Bloka" stojącego obok nich, chociaż stał bliżej drogi. Także nie zabrali motocykla "Bloka" "Victoria 350", który odnaleźli i odrzucili z niego gałęzie. Zapomnieli gałęzie z powrotem na niego położyć, co by mogło wyglądać na to że go nie zauważyli.

Samochodów ciężarowych "Ośki" także nie zabrali, gdyż ktoś zdemontował im koła. Zadowolili się zabraniem motocykla BMW, stojącego na ciężarówce oraz skrzyni z pancerfaustem.

"Blok" w swojej działalności miał taki tupet i beczelność, że potrafił w biały dzień chodzić do niemieckiej żandarmerii w Iłży. Zapytany o to czego tam szukał, odpowiedział że wezwano go dla sprawdzenia czy jest zatrudniony. Fakt ten trudno jest pogodzić z jego oświadczeniem po przybyciu w lasy, że spalił za sobą mosty i musi się dobrze ukryć z rodziną przed Niemcami. Argument ten zadecydował przeciw o ukryciu go w Klepaczach.

Różne wydarzenia świadczyły o tym, że żadnych mostów za sobą nie spalił. Było to powtórzenie metody zastosowanej wcześniej w oddziale "Ponurego", kiedy to "Motor"

podobnie jak teraz "Blok" jeździł bezkarnie samochodem po kraju udając wielkiego cwaniaka, który w każdej sytuacji oszuka Niemców i wyjdzie z opresji cało.

Pewnego dnia w lipcu Tadeusz Łęcki "Orkan" z AL postanowił "Błoka" wykorzystać do zrobienia akcji na szosie. Przebrani w niemieckie mundury naprawiali na niby swój samochód na szosie, ażeby poprosić o pomoc inny i jadących w nim Niemców rozbroić. Po wojnie "Orkan" w swojej książce opisał jak to świetnie im ta zasadzka wyszła. Ja jednak pamiętam jak mi ojciec powiedział, że "Orkan" z "Błokiem" cały dzień przesiedzieli na szosie i nic nie "upolowali". "Blok" pewnie wcześniej zawiadomił Niemców o tej zasadzce, aby tą szosą nie jeździli. Chciał tylko zrobić wrażenie na kolegach partyzantach jakich to on się akcji podejmuje.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. do obozu nr 1 został przysłany por. Henryk Gruszczyński "Błady", obejmując dowództwo. Por. "Potok" został jego zastępcą. Por. Henryk Gruszczyński urodził się 27. 1. 1907 r. w Skarżysku Kamiennej i tu kończył szkołę średnią. W 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych i przeszedł do zawodowej służby w 72 pp w Radomiu. W 1937 r. zostaje przeniesiony do 55 pp, a we wrześniu 1939 r. walczy pod Kutnem jako dowódca kompanii karabinów maszynowych.

W ZWZ rozpoczął działalność od 1940 r. Gestapo aresztowało mu rodzinę w odwecie za to, że nie zdołało go schwytać.

W okresie 1943/44 znalazł się w oddziale "Szarego" i był przez jakiś czas jego zastępcą. Jak już pisałem został w pociągu Skarżysko - Końskie aresztowany podczas przewożenia amunicji, a następnie uwolniony przez "Szarego" z więzienia w Końskich.

Po torturach jakie przeszedł musiał się leczyć i został mianowany referentem do spraw zrzutów, w Komendzie Obwodu Iłżecko-Starachowickiego. W końcu lipca Komendant Obwodu skierował go do obozu "Potoka" aby tam objął dowództwo i razem z "Potokiem" organizował nowe oddziały.

Napływ ludzi był bardzo duży i dwukrotnie zabierano spore grupy ochotników do 3 pp leg AK, którzy chcieli służyć pod komendą "Szarego". W tym okresie Komenda Okręgu Radomsko-Kieleckiego organizowała 2-gą dywizję AK i miała w planie zorganizowanie następnej dywizji, tzw. świętokrzyskiej. W jej skład miał wejść pułk, zwany iłżeckim, którego jeszcze nie było.

Postanowiono że oddział, którym aktualnie dowodzą "Błady" i "Potok", stanie się załącznikiem Iłżeckiego Pułku.

Ustny rozkaz o tworzeniu Iłżeckiego Pułku AK przywiózł od Komendanta Obwodu kpt. "Robur", w dniu 2 sierpnia, z zaznaczeniem że na dowódcę tego pułku przewidziany jest por. Wincenty Tomasik "Potok". O ile dobrze pamiętam, był to poniedziałek. Gdy przyszedłem do obozu nr 1, koledzy natychmiast mi to opowiedzieli, ciesząc się że Wicek (bo tak powszechnie koledzy nabywali "Potoka") będzie dowódcą pułku. Żołnierze bardzo "Potoka" lubili i taka wiadomość bardzo ich uradowała. Już z miejsca zaczęli się zastanawiać jaki numer otrzyma ten pułk. Ponieważ wiadano już że istnieją pułki 2-gi i 3-ci, uznano że powinien otrzymać nazwę 1-szy. Jak potem przyszłość pokazała, oznaczenie takie zostało przyjęte.

Nad tym czy Iłżecki Pułk może mieć w nazwie "Pierwszy" dyskutował por. "Potok", w mojej obecności, z ppłk. dypl. Wojciechem Borzobohatym "Wojanem", awansowanym pośmiertnie na generała brygady, przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę. Dyskusja miała miejsce już po wojnie i ppłk. "Wojan" nie miał żadnych zastrzeżeń, uważając że taka nazwa może pozostać.

Przeprowadzając częściową mobilizację w podobwodzie "Dolina", zarządzono również mobilizację w podobwodzie "Wola".

Powołano pod broń ochotników z plutonów 140 (Brody Iłżeckie, d-ca st. sierż. Walery Michałowski "Lech"), 141 (Połagiew, d-ca sierż. Kazimierz Karwacki "Wiech") i 142 (Bór Kunowski, d-ca sierż. Ignacy Skrzydło "Ptak").

Plutony te były w podobwodzie najlepiej uzbrojone. Dowództwo nad tą kompanią sprawował ppor. Henryk Lewański "Bartek", który z pewnych względów miał dołączyć do kompanii nieco później.

W zastępstwie "Bartka" dowództwo nad kompanią liczącą około 100 ludzi, objął ppor. Julian Juskiewicz "Fin", były oficer wojsk kozackich z I-ej wojny światowej, który po rewolucji w Rosji schronił się w Polsce i pracował jako leśniczy lasów starachowickich w Krynkach.

Zastępcą "Fina" został sierż. Kazimierz Karwacki "Wiech". Kompania miała zadanie operować w rejonie lasów kryneckich i ratajskich, po południowej stronie rzeki Kamiennej.

Żołnierze kompanii uzbrojeni w broń z września 1939 r. bardzo pragnęli dozbroić się na Niemcach. Szosą od Ostrowca Św. do Starachowic i Skarżyska Kamiennej ciągnęły liczne grupy żołnierzy niemieckich z rozbitych i nierozbitych jednostek, dezorientowanych, moralnie podupadłych i w związku z tym łatwych do rozbrojenia. Na prośby żołnierzy aby zrobić na szosie zasadzkę, ppor. "Fin" dawał odpowiedzi odmowne, mówiąc uspokajająco, że na wszystko przyjdzie czas. Sam spędzał dni głównie na reperacjach siodła i zajmowaniem się swoją kłaczą, którą miał od czasu rewolucji. Nazywała się "Maszka" i była wyjątkowo inteligentna. Rozumiała wszystko, co "Fin" do niej mówił i wykonywała wszystkie jego polecenia, oczywiście w granicach możliwości konia. Tak ją szanował, że na leśniczówce zrobił dla niej osobny pokój w budynku mieszkalnym.

"Fin", bardzo miły człowiek, świetny kumpel do kieliszka, nie tylko nie dbał o dozbrojenie oddziału ale także o dostateczne wyżywienie ludzi.

Chodził z oddziałem przez kilka dni, aż około 5 sierpnia zaprowadził kompanię na Wykus (góra w lasach świętokrzyskich, położona 8 km na południe od Wąchocka). Miał się tu połączyć z plutonem policji granatowej, pod dowództwem ppor. "Bałtyka". Pluton, liczący 45 policjantów + dowódca ppor. Jan Ruca "Bałtyk", pochodził ze Starachowic, gdzie był zorganizowany w tzw. Korpusie Bezpieczeństwa, formacji AK obejmującej policję granatową.

Okazało się, że w tym czasie na Wykusie odbywała się koncentracja oddziałów AL, które akurat otrzymały zrzucone broni, mundurów i wojskowego zaopatrzenia.

Ppor. "Fin" został zaproszony do sztabu AL i odpowiednio ugoszczony. Spotkał tam znajomych Czesława Boreckiego "Brzozę" i Henryka Połowniaka "Zygmunta" z Nietuliska, Eugeniusza Iwańczyka "Wiślicza" z Jasieńca, i wielu innych. W przyjacielskiej rozmowie zaproponowano "Finowi" przejście wraz z kompanią do AL.

"Fin" miał przez całe życie obsesję na punkcie tego, co się z nim stanie gdy do Polski wkroczą wojska radzieckie (bolszewicy). Obawiał się bardzo poważnie, że gdy to nastąpi, to zostanie (jak to sam mówił) powieszony.

Widząc teraz dużą szansę na uniknięcie tak okrutnej kary, zgodził się na przejście do AL.

W tym czasie na Wykus przybył wspomniany oddział policji granatowej. Ałowcy natychmiast ich rozbili uznając za ludzi współpracujących z okupantem. Wkrótce

wśród alowców znaleźli się tacy, którzy mieli jakieś osobiste pretensje do niektórych policjantów. Wybrano z nich siedmiu, których uznano za winnych czegoś tam i że należy ich ukarać. Zginęli wtedy zastrzeleni: ppor. Józef Chwostek, Jan Kucharzów, Szczygiel, Pawelczyk, Kotliński, oraz dwóch innych.

W tym celu przed frontem zgromadzonych partyzantów kazano tym rzekomo winnym policjantom rozbierać się. Ci odgadli, co chcą z nimi zrobić i rzucili się do ucieczki. Ogień maszynowy licznych partyzantów AL, nie pozwolił żadnemu z tych policjantów uratować życia.

Po tym wydarzeniu przyszła kolej na rozliczenie się z przybyłą kompanią "Fina". "Fin" zrobił zbiórkę kompanii do której przemówił "Wiślicz" obiecując doskonałe warunki bytu oraz walki w szeregach AL i świetlaną przyszłość w PRL, po zakończeniu wojny. Potem "Fin" zapytał czy są żołnierze, którzy nie chcą wstąpić do AL. Kto nie będzie chciał, niech wystąpi z szeregu, i ma prawo udać się do domu.

Żołnierze "Fina", którzy widzieli jak postąpiono z policjantami, bali się że to samo może stać się z tymi, którzy nie wyrażą zgody na pozostanie w AL. Znalazła się tylko niewielka grupka tych którzy wystąpili z szeregu, a wśród nich st. sierż. Walery Michałowski "Lech" oraz Jan Waszczyński "Kruszyna". Odeszli licząc się z tym, że może posypią się za nimi strzały z pistoletów maszynowych. Wyszli jednak cało z tej opresji.

Ponieważ zdecydowana większość pozostała, "Fin" oznajmił że dowódcy miejsce jest tam gdzie są jego żołnierze, a zatem i on pozostaje.

Ppor. H. Lewański "Bartek" przybył na Wykus aby objąć dowództwo nad kompanią i trafił właśnie na opisaną sytuację. Widząc co się dzieje wskoczył na konia i umknął. Tak to sam opisał, lecz wiedząc że był w bliskich stosunkach z E. Iwańczykiem, którego pluton w Jasieńcu także mu podlegał, mogło być inaczej. Gdy rozmawiałem z nim po wojnie, mówił mi że E. Iwańczyk załatwił mu przyjęcie do Ludowego Wojska Polskiego na stanowisko dowódcy batalionu, którego nie przyjął, zadowolając się stanowiskiem dowódcy kompanii. Mówił że wzywano go do wydziału politycznego i wypytywano skąd zna E. Iwańczyka i M. Świostka, gdyż wystawili mu znakomite opinie.

Żołnierze kompanii "Fina", którzy powrócili na Klepacze, wkrótce mieli okazję dołączyć do plutonu por. Władysława Lasoty "Rawicza", którego "Szary" przysłał po broń i następnych ochotników. Na fotografii, którą wykonałem na skraju lasu, obok leśniczówki Klepacze, jest właśnie przedstawiony odbiór tych kolegów oraz grupy ludzi z Sienna, którzy opuścili szeregi AK i chcieli się przedostać do zgrupowania Moczara. Nie mając broni bali się iść na tak dużą odległość i por. "Rawicz" zgodził się ich eskortować. Ustalono, że razem dojdą do baonu "Szarego", a potem gdy znajdą się w pobliżu alowców, będą mogli do nich przejść. Na czas pobytu u "Szarego" otrzymali broń, ale gdy przyszła chwila że opuszczali oddział, "Szary" polecił im oddać broń oraz orzelki, gdyż jak powiedział tam otrzymacie inne.

W literaturze powojennej alowcy starali się obrzucać "Szarego" błotem, twierdząc że złamał porozumienie jakie zawarli z "Roburem", w którym była mowa że mogą przechodzić z bronią.

Jeśli chodzi o pozostałych żołnierzy kompanii "Fina", to część z nich stopniowo uciekała przy różnych okazjach, innych przyjęły oddziały AK lub nawet NSZ. Gdy jesienią Moczar powrócił w lasy starachowickie, to w zgrupowaniu miał tylko "Fina". Kilka dni potem powrócił jeszcze "Wiech" z podległym mu żołnierzem o pseudonimie

"Pik", których rzucono na stracenie w bitwie pod Gruszką i którzy szczęśliwie uniknęli śmierci, docierając na własną rękę do stron rodzinnych.

Wśród codziennych meldunków o wydarzeniach, sporządzanych przez komendanta SS i policji dla dystryktu Radom, pod datą 3. 8. 44 znajduje się następujący meldunek:

Starachowice-o 135 in der Nacht zum 3. 8. sind saemtl. poln. Polizisten der Kreises und des Kommissariates Starachowice in Staerke von 1/45 vor dem Abtransport unter Mitnahme ihrer Waffen geflüchtet. Der Kreiskommandant in Starachowice ist erkrankt.

Meldunek ten w języku polskim brzmi następująco:

Starachowice-o 135. W nocy 3. 8. 44 wszyscy polscy policjanci z komendy powiatowej oraz komisariatu Starachowice, w sile 1 +45, oczekujący na transport, zbiegli wraz z bronią do lasu. Komendant powiatowy policji w Starachowicach rozchorował się.

Był to niemiecki komunikat dotyczący policji granatowej, która z rozkazu dowództwa AK, miała się na Wykusie połączyć z kompanią "Fina" i którą alowcy wcielili w swe szeregi, rozstrzeliwując na wstępie kilku policjantów.

Oczywiście siłą wcieleni policjanci, w ciągu najbliższych dni, puciekali do swych rodzin lub przeszli do NSZ, bojąc się o swój los.

W aktach Gestapo (Sipo) z Radomia, dotyczących wydarzeń jakie miały miejsce w lipcu 1944 r. znajduje się także komunikaty komendanta SS i policji dla dystryktu Radom o następującej treści:

Kreis Końskie:

19. 7. 44. Czarnecka Gora, 1 km o, Czarna, o 119, unbek. Anzahl bew. Banditen hielt einen Güterzug an und beraubte ihn. 1 deutscher Bahnbeamter (Nahme noch nicht bekannt) wurde verschleppt. Bahnschutzpolizei und WH. zur Verfolgung der Bande eingesetzt. Ergebniss noch nicht bekannt.

19. 7. 44.

Eisenbahnstrecke 500 m w. Bahnhof Soltykow, o 120, etwa 100 bew. Banditen überfielen 1 Güterzug gegen 16 Uhr. Die in der Mitte des Zuges befindlichen 2 Waggon mit 1. 470. 000

sME-Patronen (Uebungsmunition), die für die Muni-Anstalt Posen bestimmt waren, wurden z. T. ausgeraubt. Bewachungspersonal (3 Mann) eröffneten das Feuer, musste aber fliehen. 1 Uffz. mit leichten Verletzungen zurückgekehrt, die beiden anderen WH-Angehörigen werden noch vermisst. (Taeter verm. AK-Bande "Szary", die es besonders auf Munitions-Transporte abgesehen hat).

19. 7. 44

500 m w. Bahnhof Soltykow, o 120, Nachtrag z-EM. v. 19. 7:

Eingesetzte Kraefte d. Orpo und WH Gefechtsberührung(Orpo) im Waldgebiet Las Maj. -Chlewiska, n. Punkt, o 107, und bei Foersterei Cecylia, o 107, 4 Feindtote. 3 Gewehre erbeutet. Bei weiterem Feuerkampf im Wald no. Aleksandrów Huta, o 107, mit etwa 50 bew. Banditen 4 Feindtote und 600 Schuss Inf. Munition erbeutet. Bande zersprengt, unter Mitnahme weiterer Toten und Verwundeten geflichtet.

Von WH. 1 Panjefuhrwerk mit Munition (Mengen noch nicht bekannt) erbeutet. Bei Feindtoden gefundene Schriftstücken Sipo, übergeben.

Eigene Verluste:

Rev. -Obw. Graeser, 5/SS-Pol. 11 gefallen.

Im überfallenen Güterzug befand sich ausserdem der Reichsbahn-Bau-Inspektor Kaes vom Bhf. Tomaschow, der seit dem vermisst wird.

*Vermutl. von der Bande verschleppt.
Sühnemassnahmen sind vorgesehen.*

W języku polskim komunikaty te brzmią następująco:

Powiat Końskie:

19. 7. 44. Czarnecka Góra, 1 km na wschód od m. Czarna, o 119, nieznana ilość uzbrojonych bandytów zatrzymała i obrabowała pociąg towarowy. 1 niemiecki urzędnik kolejowy (nazwisko jeszcze nieznane) został przez bandę zabrany. Do działań przeciwko bandzie zostały wysłane jednostki policji kolejowej oraz Wehrmachtu. Brak informacji o wynikach akcji.

19. 7. 44

Linia kolejowa 500 m na zachód od stacji Sołtyków.

O godz. 16-ej banda licząca około 100 uzbrojonych ludzi napadła na pociąg towarowy. Znajdujące się w środku pociągu dwa wagony z 1 470 000szt. naboju typu sME(amunicja ćwiczebna) przeznaczone dla składu amunicji w Poznaniu zostały częściowo zrabowane.

Eskorta (3 ludzi) otworzyła ogień lecz zmuszona była do ucieczki. 1 podoficer lekko ranny zdołał się uratować, dwaj pozostali Żołnierze należący do Wehrmachtu zaginęli. (Sprawcą napadu jest przypuszczalnie banda AK " Szary", która ostatnio szczególnie interesowała się transportami amunicji).

19. 7. 44

Linia kolejowa 500 m na zachód od stacji Sołtyków. Uzupełnienie do raportu z dn. 19. 7. 44:

Do walki z bandą wysłano sily złożone z żandarmerii i Wehrmachtu. Doszło do styczności ogniowej pomiędzy żandarmerią i bandą w lesie majątku Chlewiska oraz w rejonie leśniczówki Cecylia. Zabito 4 bandytów. Zdobyto 3 karabiny. W czasie dalszej wymiany ognia w lesie na północ od Huty Aleksandrowskiej z bandą liczącą około 50 ludzi, zabito 4 bandytów i zdobyto 600 szt. naboju karabinowych.

Banda rozbiegła się zabierając ze sobą dalszych zabitych i rannych kolegów.

Wehrmacht zdobył jedną chłopską furmankę z amunicją(ilość amunicji jeszcze nie znana).

Pisma znalezione przy zabitych bandytach przekazano do Sipo(Gestapo).

Straty własne: St. wachmistrz Graeser oraz 11 poległych z oddziałów SS i policji.

W napadniętym pociągu znajdował się ponadto inspektor budowy kolei Kaes z Tomaszowa, którego los jest dotychczas nie znany. Prawdopodobnie został zabrany przez bandę. Zostały nakazane represje.

"Szary" wyładował z wagonów 30 wozów amunicji, z której część natychmiast dostarczono na teren ilżecki. Pamiętam jak od tego czasu zniknęły problemy z zaopatrzeniem w niezawodną amunicję. Ja osobiście wypełniłem nią swoje ładownice i chlebak, fasując do swego użytku 200 szt. naboju.

Niemcy, aby zmniejszyć wagę tego wydarzenia i nie narażać się swoim wyższym władzom, zaznaczyli w komunikacie że amunicja była ćwiczebna, a nie przeznaczona na zaopatrzenie frontu. Chodziło tu o to, że amunicję miały wykorzystywać oddziały będące w trakcie ćwiczeń. Nie wspomniano w niemieckim komunikacie o tym, że "Szary" wyładował z pociągu jeszcze 5 ton materiałów wybuchowych.

Partyzanci "Szarego" nie ponieśli żadnych strat osobowych i jeśli to prawda że Niemcy zabili 4 osoby, to prawdopodobnie kogoś z ludności, gdyż w podobnych przypadkach każdy napotkany na drodze Polak był dla Niemców bandytą. Zaniżono również w komunikacie ilość żołnierzy eskortujących pociąg. Było ich dziesięciu a nie trzech, jak podano w komunikacie.



Fot. 153. Zdjęcie przedstawia przejście ochotników do partyzantki AK i AL przez por. Władysława Lasotę „Rawicza” z batalionu „Szarego”, w dn. 8 sierpnia 1944 r. koło leśniczówki Klepacze. Z lewej strony, w mundurach, stoją st. sierż. Walerian Michałowski „Lech” oraz por. Władysław Lasota „Rawicz”. Niżej zdjęcie tych samych osób.



Fot. 154. Siedzą od lewej: Jan Waszczyński „Kruszyna”, Marian Bemaciak „Pik”, Bogusław Adamczyk, Edward Bemaciak, Leszek Adamczyk, Walerian Michałowski „Lech”, (NN), Leon Pora „Wesoły”, Mieczysław Mazurkiewicz „Przełom”, Ryszard Klimczak „Wola”, Edward Simbierowicz „Miś”, własowiec. Kłęczą w drugim rzędzie od lewej: Kazimierz Mazurkiewicz „Śmiga”, (NN), Apoloniusz Janczarski „Kmidc”, Jan Pora „Rozłucki”, własowiec. Stoją od lewej: Zbigniew Langer „Jodła”, Ireneusz Janczarski „Zdara”, Zdzisław Stanisław „Bej”, Lenek Adamczyk, Sylwester Wątrobiński „Wieniawa”, Kazimierz Simbierowicz „Zew”.



Fot. 155. „Pomsta” (NN)
po powrocie do pracy w
Gestapo w Siennie (z psem).

Fot. 156. „Skreć” po przybyciu na Klepacze rozmawia z Mieczysławem Róg-Świostkiem. Obok widoczne skrzypce w futerale, które „Skreć” początkowo nosił ze sobą. Pomagały mu urządzać alkoholowe libacje, podczas których poznawał ludzi oraz zdobywał informacje.



Akcja "JODŁA"

Początek sierpnia 1944 przynosi dalszy szybki wzrost liczby żołnierzy AK w obozie nr 1, dowodzonym przez "Błedego" i "Potoka". Część ludzi (ochotnicy) jest dwukrotnie zabierana przez por. Zygmunta Kiepasza "Krzyka" i ppor. Władysława Lasotę "Rawicza" do "Szarego". Ubytki i to dość znaczne wypełniały się już po 2 - 3 dniach.

Wybuch powstania w Warszawie podniecił wszystkich. Z wielką ciekawością i napięciem czekano na dalszy rozwój wypadków, oczekując wiadomości o całkowitym oczyszczeniu Warszawy z Niemców. To jednak nie następowało.

Około 6-7 sierpnia Komenda Okręgu Radomsko-Kieleckiego "Jodła" wydała rozkaz organizowania odsieczy dla walczącej Warszawy.

Akcji tej nadano również kryptonim "Jodła". W ślad za tym rozkazem poszły następne, na co raz to niższych szczeblach.

Por. Marian Wujkiewicz "Judym" zarządził mobilizację w podobwodzie "Dolina".

Żołnierze z południowej części podobwodu, tj. z okolic Sienna, Rzeczniowa, Podkońc, Rybiczyny, i Prędocina, zebrali się w lasach starachowickich pod dowództwem por.

Ryszarda Brodeckiego "Błyskawicy", zastępcy Komendanta Podobwodu i w liczbie około 120 ludzi przybyli do obozu nr 1 koło Klepacz.

Żołnierze z miejscowości: Kazanów, Zakrzówek, Odechów (kompania ppor. Wacława Cieśli, ps. Siarka), Ostrownica, Krępa Kościelna, Jawor (kompania ppor. Stanisława Kowalczyka, ps. Grad), Małomierzyce, Alojzów, Krzyżanowice (kompania ppor. Marcelego Dusińskiego, ps. Dym) oraz Iłża, Seredzice, Błaziny (kompania ppor. "Bystrego", który nie stawiał się) skoncentrowali się w lasach małomierzyckich. Dołączył do nich oddział około 60 żołnierzy z podobwodu "Zorza" pod dowództwem ppor. Jana Kaczmarczyka, ps. Młokos. Łącznie zgrupowanie to liczyło około 250 ludzi, a dowództwo nad nim objął ppor. Marcelego Dusińskiego "Dym".

W tym samym czasie w gajówce gajowego Barszcza w Budkach Cieciorowskich zainstalował się sztab podobwodu, liczący około siedmiu osób.

Do 10-go sierpnia prowadzono z żołnierzami intensywne ćwiczenia, gdyż większość zmobilizowanych nie służyła w wojsku. Dokonano akcji zbrojnych na niewielkie oddziały nieprzyjaciela, biorąc do niewoli kilku żołnierzy niemieckich, którzy chcieli przejeżdżać przez lasy, nie wiedząc że są obsadzone przez oddziały AK. Wkrótce doszło do większych starć pomiędzy siłami polskimi i Niemcami. Marcelego Dusińskiego "Dym" tak pisze o tych wydarzeniach:

" Około 10 sierpnia, jut po zakończeniu mobilizacji, w mojej obecności doszło do incydentu z trzema żołnierzami niemieckimi, którzy niespodziewanie podjechali półciężarówką pod samą gajówkę. Gdyby nie meldunek złożony nam przez żołnierza z ubezpieczenia, o pojawieniu się samochodu (żołnierz przybiegł tutaj przed samochodem), Niemcy zaskoczyliby sztab przy porannej toalecie.

Sztabowcy natychmiast samorzutnie rozproszyli się w zabudowaniach zajmując stanowiska do obrony, a na podwórzu zostałem sam z nieposiadającym broni sierżantem.

W chwili gdy Niemcy przekroczyli furtkę i zbliżyli się do mnie wyszarpnąłem z kieszeni pistolet i krzyknąłem " Haende hoch". Niemcy natychmiast podnieśli ręce do góry, nie

pozbywając się jednak trzymanej broni. (W tym czasie mierzył zza węgła z rkm-u "Judym", czego obrońcy do niego plecami "Dym" nie mógł zauważyć). Gdy wyrwałem jednemu z nich pistolet maszynowy, tzw. MPi, pozostali rzucili broń (karabin i pistolet Parabellum).

Po zrewidowaniu samochodu okazało się, że znajdują się na nim materiały kancelaryjne oraz żywe ciele. Jeden z Niemców był w stopniu oficera (lub podoficera), pozostali w stopniach szeregowców. Zdobyty samochód natychmiast ukryliśmy w gęstwinie leśnej, natomiast jeńców odprowadzono do oddziału ubezpieczającego.

Tego samego dnia, w godzinach południowych, na tej samej drodze którą przybyła wspomniana trójka Niemców, pojawił się samochód ciężarowy.

Tym razem nie dopuściliśmy go w pobliże gajówki i otworzyliśmy ogień z dość znacznej odległości. Strzelali wszyscy ludzie ze sztabu oraz kilku żołnierzy z oddziału ubezpieczającego. Niemcy w ilości około 30 żołnierzy wyskoczyli z samochodu i rozproszyli się po lesie.

Strzelanina przeciągała się. Stało się oczywiste, że Niemcy wiedzą już o postoju naszej grupy w gajówce. Nie mogliśmy jednak odskoczyć od nich, ponieważ właśnie w tym miejscu oczekiwaliśmy na wysłany przeze mnie na zasadzkę przy szosie radomskiej niewielki oddział z grupy ubezpieczającej.

Mijały długie chwile oczekiwania na tę grupę, gdy w tym czasie Niemcy wycofali się.

Około godz. 14-ej "Judym" oświadczył mi, że musi w pewnych sprawach odjechać motocyklem. Odjechał nie dając żadnych rozkazów co do dalszego postępowania.

Na szczęście po odjeździe "Judyma" przybyła do gajówki, okrężnymi drogami, oczekiwana grupa z zasadzki. Chłopcy przyprowadzili ze sobą duży niemiecki wóz taborowy na pneumatykach, zaprzężony w dwa belgijskie konie.

Gdy podległy mi oddział ubezpieczający znalazł się wreszcie w komplecie, zarządziłem naradę oficerów (było ich czterech a wśród nich ppor. "Siarka"j. Ludzi ze sztabu podobwodu "Dolina" już w tym czasie w gajówce nie było. Jak się później okazało część z nich dołączyła do stojącej w lesie grupy ubezpieczającej a część rozproszyła się. Podczas narady większość zebranych oficerów była za podjęciem działań zaczepnych. Nim podjąłem decyzję zameldowano mi, że od strony Cieciorówki nadciągają tym razem poważne siły niemieckie.

Po nawiązaniu z nieprzyjacielem kontaktu ogniowego okazało się, że atakuje nas batalion z ciężką bronią piechoty. Niemcy zaczęli strzelać już z odległości około 2 kilometrów od skraju lasu. Po niedługim czasie doszedł do mnie po linii meldunek, że od ognia broni maszynowej, granatników i moździerzy, rannych jest czterech moich ludzi. Zaraz potem jeden z chłopców w mojej obecności otrzymał śmiertelną kulę. Straty ponosiliśmy, chociaż oddział mój zajmował bardzo dogodne stanowiska w rowie biegnącym wzdłuż skraju lasu.

Gdy słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, a napór nieprzyjaciela nie ustawał, wydałem po linii rozkaz cofnięcia się w głąb terenu zalesionego. W tym czasie przygotowano do odmarszu cały nasz tabor oraz znajdujący się w obozie zgrupowania sztab.

Gdy wycofaliśmy się Niemcy nie przeszli do pościgu ale przerwali ogień i wycofali się do Cieciorówki. Widząc to zgromadziłem wojsko w obozie, utrzymując nadal stanowiska obserwacyjno-obronne na skraju lasu.

Niemcy jednak rozpoznali nasze ruchy i przegrupowali się na nowe stanowiska ogniowe do ponownego ataku. W tej sytuacji naszym najważniejszym zadaniem stało się przetrzymanie naporu niemieckiego do zapadnięcia mroku.

Ogień niemiecki położony na nasze stanowiska oraz obóz wzmagał się z każdą chwilą, a moim ludziom zaczęło już brakować amunicji. Nie czekając dłużej zaryzykowałem i jeszcze przed zachodem słońca dałem rozkaz marszu zgrupowania w kierunku na Jedlankę. Niemcy ostrzeliwali las dalej aż do zapadnięcia nocy.

Nie jest mi wiadome jakie straty poniósł nieprzyjaciel w tym boju. Po naszej stronie był jeden zabity i pięciu lub sześciu rannych.

Idąc lasem małomierzyckim dotarliśmy do młyna w Starej Jedlance. Była już noc. Zrobiliśmy krótki postój i posililiśmy się nieco. Trasa naszego dalszego marszu prowadziła między Krzyżanowicami a Itzą do małego majątku Starosiedlice, gdzie właścicielem był por. Jerzy Kamiński "Bolko", Ziemiński, zastępca Komendanta Obwodu. Tam pobraliśmy owies dla naszych koni taborowych. Następny postój zarządziłem w Pakosławiu, gdzie miejscowa ludność upiekła nam spore ilości chleba. Z Pakosławia, idąc w pobliżu Mirca i Tychowa, dotarliśmy w lasy starachowickie. Tam dopiero miejscowe placówki AK odebrały naszych rannych. Po drodze niespodziewanie natknąłem się na oddział BCh "Ośki". Po wymianie informacji grupy nasze rozeszły się. Moja grupa wraz z taborem, prowadzona przez leśniczego, ruszyła w stronę Klepacz, docierając do obozu nr 1. "

Ppor. Franciszek Sikorski "Felek" (Komendant Podinspektoratu WSOP "Centralny"), który przybył do gajówki Barszcza aby spotkać się z "Judymem", był świadkiem rozgrywających się tam walk. "Judym" właśnie odjechał, odwożąc księdza kapelana Słabego do Szydłowca, więc ppor. "Felek" postanowił wracać do Pakosławia. Razem z łącznikiem Komendy Obwodu Władysławem Niziołkiem "Kulą" z Chwałowic wyruszyli w drogę powrotną. Podczas jazdy zauważyli duże ruchy jednostek niemieckich i po dojechaniu do Chwałowic zrobili sobie punkt obserwacyjny w stodole.

Jak opisuje te wydarzenia ppor. "Felek", ze wszystkich stron w kierunku Budek Cieciorowskich szły tyraliery Niemców, a szczególnie dobrze było widać Niemców posuwających się od szosy Lipsko-Itża. Niemcy bez przerwy strzelali w kierunku lasu. Ogień był bardzo silny, więc zmusił Niemców na niektórych odcinkach do wycofania się. Widać było, że musieli ponosić duże straty, lecz inni zalegli w terenie i prowadzili ogień. Na niektórych odcinkach, tak jak widziałem z mego punktu obserwacyjnego, Niemcy wdarli się do lasu, skąd słychać było jazgot pistoletów maszynowych i wybuchy granatów. Bardzo się denerwowałem takim obrotem sprawy, tym bardziej że widziałem następne tyraliery niemieckie w natarciu.

Na szczęście zapadała już noc. Strzały powoli cichły, a ja szybko podążyłem do Pakosławia licząc się z tym, że oddziały nasze po wycofaniu się będą potrzebowały kontaktu i rozeznania w terenie.

Okolo godz. 24-ej usłyszałem tętent koni i pod moim oknem zobaczyłem por. "Dyma". Poinformował mnie o wyniku walki. Ilu Niemców zostało zabitych nie wiedział ale oceniał na dosyć dużą ilość. Sam miał jednego zabitego.

Jak mnie informował później "Judym", poległy żołnierz nazywał się Stefan Cyprowski "Jordan". Był synem policjanta z Lipska. Ranny w twarz był pchor. Chrzanowski "Zek", inny z grupy "Młokosa" w głowę. Poza nimi było jeszcze kilku lżej rannych, którym niemieckie kule nie naruszyły kości.

Cieężko rannych zabraliśmy na meliny Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Podchorążego "Zeka" umieściliśmy w szkole w Pakosławiu, w mieszkaniu nauczyciela Wardasa. Rannego w głowę umieściliśmy w stołówce majątku Pakosław. Pozostał również Stanisław Bogucki "Piła" z Krzyżanowic, ranny w rękę, zatrzymując się u swych krewnych w Pakosławiu. Rannego ze stołówki zabrano potem do Jana Celucha w Pakosławiu.

Opiekę nad rannymi roztoczyły Mieczysława Kotlicka "Narcyza" i Bogusława Latrzanka "Ewa", nauczycielka, kierujące pracą WSK.

Drużyna BCh z Pakosławia, która stawiała się na koncentracji w lasach małomierzyckich, przy okazji przemarszu zgrupowania "Dyma" przez Pakosław, rozeszła się do domów, nie biorąc udziału w dalszych działaniach.

Połączone oddziały "Potoka", "Błyskawicy" i "Dyma" liczyły około 400 ludzi. W tym także znalazła się grupa około 30 żołnierzy ze Starachowic oraz kilku ludzi ze stacji kolejowej Kunów (Staw Kunowski).

W tym samym czasie co w podobwodzie "Dolina" zarządzono mobilizację w podobwodzie "Wola" dowodzonym przez por. Piotra Wróbla, ps. Jawor. W końcu lipca podobwód ten powołał pod broń kompanię "Fina", która akurat zakończyła niefortunnie swoją działalność na Wykusie, co zostało już opisane w poprzednim rozdziale. Obecnie powołano do lasu ludzi ze Starachowic, wyznaczając im miejsce koncentracji na tzw. Dębowej Górze, zwanej również Grzybową Górą, położonej w rejonie wsi Lipie. Według relacji kpr. pchor. Witolda Będkowskiego, ps. Zagroda, na miejscu koncentracji znalazł się także Komendant Podobwodu por. "Jawor" oraz inni oficerowie.

Nie wiadomo czy z przypadku czy zdrady, w rejonie koncentracji oraz wsi Lipie pojawiły się oddziały własowców. Doszło do wymiany ognia. Chłopcy z jednostek starachowickich przybyli do lasu prawie bez broni, gdyż jak widać na wcześniej przytoczonym wykazie, na pluton liczący średnio 50 ludzi, przypadało w Starachowicach po cztery karabiny lub nic. W tych warunkach poszczególni chłopcy przekradali się lasem z powrotem do Starachowic, natomiast ci którzy mieli broń przedostali się do rejonu Klepacz, łącząc się ze zgrupowaniem w obozie nr 1.

Por. Marceli Dusiński "Dym" po doprowadzeniu swego zgrupowania z lasów małomierzyckich do obozu nr 1, przebywał w nim 2 lub 3 dni, sprawując naczelne dowództwo. Potem został przesłany na teren podobwodu w celu organizowania zaopatrzenia oddziałów, a wkrótce przejął obowiązki Komendanta Podobwodu "Dolina". Wprawdzie Komendantem Obozu był mianowany por. "Błady", to jednak po przybyciu por. "Błyskawicy" on praktycznie kierował całą działalnością zgrupowania, czyniąc to z rozkazu "Judyma".

Zaszło tu nie jasne postawienie sprawy przez Komendanta Obwodu "Dariusza", który nie odwołał por. "Błatego" z powierzonego mu wcześniej stanowiska, a równocześnie wydał nowe rozkazy por. "Judymowi", bez sprecyzowania zależności pomiędzy por. "Bładym" i por. "Judymem".

Por. "Błyskawica" z miejsca rozpoczął intensywne szkolenie podległych żołnierzy. Ćwiczenia odbywały się codziennie (oprócz niedziel) od godz. 8-ej do 12-ej i po obiedzie od 14-ej do 18-ej. W niedzielę przed południem ksiądz Słaby lub Domański odprawiali msze św., a w godzinach przedwieczornych organizowano imprezy rozrywkowe, tzw. "ogniska".

Ponieważ był problem z myciem się lub kąpielą tak dużej ilości ludzi, por. "Błyskawica" przyprowadził pewnego dnia wieczorem ponad stu ludzi do kąpieli w

stawie przy leśniczówce Klepacze. Staw ma dno muliste. Gdy weszło do niego tak dużo ludzi naraz wodę szybko zmacili i stwierdzili, że nie nadaje się do kąpieli. Można było zrobić tamę na strumieniu płynącym jarem 500 m od obozu i zrobić zupełnie dobre miejsce do kąpieli, ale nikt na ten pomysł nie wpadł.

Poza problemem mycia się powstał problem gotowania strawy. Gotowano w kotłach, wymontowanych w 1939 r. z wojskowych kuchni polowych. Kotły zawieszano na drągach i pod spodem palono ogniska. Wiązało się z tym unoszenie dymu, który doskonale widoczny był z samolotu.

Codziennie krążyły nad lasem jednopłatowe śmigłowce typu Storch, wypatrując partyzantów. Doszło nawet do tego, że samolot ostrzelał grupę robotników na składzie drewna kolejki leśnej Klepacze. Byli to wozacy, którzy w południe zaobrokowali konie, a sami siedli dokoła ogniska jedząc obiad. Na szczęście nikt nie został trafiony, poza koniem wozaka o nazwisku Surdy, zamieszkałego w Brodach Iłżeckich. Rana była powierzchowna i konia dało się wyleczyć.

Ojciec mój natychmiast wykorzystał fakt ostrzelania robotników przez samolot i złożył do nadleśnictwa meldunek iż niemieccy lotnicy strzelają do robotników leśnych, uniemożliwiając pracę. Nadleśniczy dr Leon Mroczkiewicz zgłosił to Forstmeisterowi Meyerowi a ten z kolei zrobił awanturę w Radomiu iż niemieckie władze policyjne paraliżują gospodarkę leśną III-ej Rzeszy, osłabiając jej zdolności ekonomiczne w prowadzeniu wojny.

Skutek był natychmiastowy. Ustalono, że zanim samolot zaatakuje obiekt na terenie leśnym, wcześniej Niemcy będą się informować telefonicznie u władz leśnych czy nie zachodzi pomyłka.

W ciągu najbliższych pięciu dni dwukrotnie telefonowali z nadleśnictwa, pytając się czy we wskazanym sektorze leśnym, gdzie lotnik zauważył dym, pracują robotnicy leśni? Za każdym razem otrzymywali taką samą odpowiedź, że tak. Trzeci raz już nie telefonowali, wiedząc już z góry jaka będzie odpowiedź.

Ażeby uchronić partyzantów przed demaskowaniem swego miejsca postoju dymem, ojciec zaproponował "Błyskawicy" wykorzystanie zapasów węgla drzewnego, składowanego obok toru kolejki leśnej przy leźni "J", bardzo blisko obozu. Wkrótce żołnierze dostarczyli do kuchni ten rodzaj paliwa, który znacznie mniej dymu wydzielał niż normalne drewno.

Niemieckie samoloty patrolowały las także nocami. Wprawdzie dym był mniej widoczny, ale można było dostrzec płomienie.

Podczas nocnego patrolu niemiecki samolot zrzucił bombę w rejonie drogi Klepacze-Kutery, zwalając wybuchem dość grubą sosnę. Ofiar jednak nie było.

Apropozycja oddziału partyzanckiego liczącego kilkuset ludzi jest poważnym problemem. Na potrzeby zgrupowania przebywającego w obozie nr 1 pasło się w lesie stado krów i owiec, pilnowane przez partyzanta "Pomstę". W miarę zapotrzebowania zabijano zwierzęta na użytek kuchni.

Trudniej było z chlebem. Ten wypiekany był zwykle po wsiach i nocą dowożony do obozu. Od czasu do czasu udawało się także wykorzystywać piekarnie miejskie, jak np. Sępioła w Iłży. Inne artykuły rekwirowano w niemieckich sklepach spożywczych. Np. pewnego dnia kpt. Eugeniusz Dymitrow "Robur" zapytał mnie czy nie przeprowadziłbym akcji konfiskaty artykułów żywnościowych z pewnego sklepu w Wierzbniku (obecnie dzielnica Starachowic). Powiedział mi, że otrzymam od "Potoka" kilku ludzi po cywilnemu z krótką bronią i pojedą z nimi wozami do tego sklepu, w którym

kierownikiem jest Niemiec współpracujący z organizacją. Z jego strony nie będzie kłopotów, wystarczy pokazać mu lufę pistolem, a dalej problemu już nie będzie. Jeśli w drodze powrotnej będziemy legitymowani, mam się tłumaczyć że wieziemy żywność ze starachowickiego "Konsumu" dla robotników leśnych w nadleśnictwie Marcule. Nosilem na sobie leśny mundur, więc można było uwierzyć że tak jest.

Wyraziłem zgodę na tę akcję, chcąc dopomóc kolegom partyzantom. Sklep położony był w centrum miasta, blisko stacji kolejowej. W mieście duży ruch żołnierzy niemieckich i żandarmów stacjonujących za rynkiem, koło kościoła, oraz na ul. Kolejowej, blisko sklepu.

Po zajechaniu przed sklep wszedłem do środka aby pokazać kierownikowi broń, ale ten mnie uprzedził, najwidoczniej czekając na mnie. Zabiegł mi drogę tuż przy drzwiach, mówiąc półgłosem ażebym broni nie wyciągał, a woźnicom kazał wjechać na zaplecze i szybko ładować towar na wozy. Dwie ekspedientki stały za ladą usiłując usłyszeć co kierownik do mnie mówili o co tu chodzi.

Kierownik sklepu był średniego wzrostu, blondyn, w wieku około 32 lat. Ubrany był po cywilnemu, tylko w klapie marynarki miał znaczek z hakenkreuzem, noszony przez volksdeutschów, przypominający z daleka fioletowy guzik.

Bardzo był miły, uśmiechnięty, tłumaczył mi że sklep niewiele ma towaru poza wódką. Trudno, pomyślałem. Przyjechaliśmy prawie 20 km, więc bierzemy co jest. Wódka może służyć jako środek płatniczy. Po załadowaniu wozów ruszyliśmy w drogę powrotną, jadąc szosą w kierunku Lubieni.

W połowie drogi pomiędzy Wierzbnikiem i wsią Henryk natknęliśmy się na niemiecką drużynę patrolową, która szła lasem po południowej stronie szosy, w kierunku miasta. Był to na szczęście Wehrmacht.

Gdy niemiecki dowódca w stopniu podoficera dał nam znak do zatrzymania się, a co najmniej połowa niemieckich żołnierzy trzymała karabiny gotowe do strzału, zaniepokoiłem się o swoich ludzi. Nie znałem ich. Pomyślałem sobie, że mogą nie wytrzymać nerwowo i wyciągną broń, co byłoby dla nas katastrofą.

Nie było warunków do ucieczki, gdyż trzeba było wtedy forsować całą szerokość szosy, potem rów, a dalej był dość rzadki las i należało przebiec około 50 metrów ażeby zniknąć z oczu. Frontowy żołnierz strzela na tyle szybko i celnie, że nie pozwoli na tak długiej drodze bezkarnie uciekać.

Zdając sobie sprawę z powstałej sytuacji, natychmiast odezwałem się do niemieckiego dowódcy po niemiecku, że wieziemy żywność z "Konsumu" w Starachowicach do nadleśnictwa w Marculach, z przeznaczeniem dla robotników leśnych. Spodziewałem się, że moje odezwanie się do Niemca i dalsza rozmowa, podziała na chłopców uspokajająco.

Tak też się stało. Niemiec nie kwestionował tego co mu powiedziałem, spojrzał na przewożony towar i zażądał okazania dowodów tożsamości. Wszyscy je mieli, więc po sprawdzeniu oddał, mówiąc "koennen Sie weiter fahren" czyli że możemy jechać dalej. Dalsza droga przebiegła już bez zakłóceń.

Ponieważ na wozy nie zdołaliśmy zabrać wszystkiego co było w sklepie, kierownik Niemiec, mówiący bardzo dobrze po polsku, powiedział że nie zgłosi napadu na sklep i zaczeka jeszcze jeden dzień, abyśmy mogli jeszcze raz przyjechać i zabrać resztę.

W następnym dniu nie mogłem z chłopcami pojechać, ale ci znając już drogę i wiedząc jak się tłumaczyć, pojechali sami. Wszystko poszło im sprawnie. Powrotną drogę przebyli do Lubieni bez przeszkód i skręcili w lewo szosą do Marcul. Wjechali

powoli na górę i ruszyli dziarsko do przodu widząc przed sobą brzeg lasu i drogę w kierunku Kuter i Klepacz. Gdy dojechali do kępy olszyn stojących po lewej stronie szosy, za którymi szosa skręca w lewo, ujrzeni stojącą na szosie kolumnę samochodów żandarmerii. Część żandarmów spacerowała, część siedziała na trawie w przydrożnym rowie, delektując się zdrowym, leśnym powietrzem.

Przed osiągnięciem zakrętu szosy żandarmów zasłaniały drzewa, gdy minęli tę zasłonę byli tak blisko Niemców, że nie było możliwości uniknąć z nimi spotkania.

Po dojechaniu do pierwszych samochodów żandarmi zatrzymali wozy, interesując się tym co na nich leży oraz legitymując woźniców. Uwierzyli, że są to artykuły żywnościowe dla robotników leśnych i nieoczekiwanie zaproponowali wymianę. Za dwie skrzynki wódki chcieli dać dwa worki cukru (100 kg), który mieli na jednej z ciężarówek. Oczywiście chłopcy "nie umieli odmówić" i do transakcji doszło. Do rozmowy z żandarmami nie był potrzebny tłumacz, gdyż jak opowiadali chłopcy, prawie co drugi żandarm doskonale mówił po polsku.

Wymiany dokonano i partyzanci ruszyli w drogę, nie mogli jednak w obecności żandarmów skręcić w drogę do Kuter. Pojechali szosą pod górę w kierunku Marcul. Gdy znaleźli się na wysokości leżni "H" i nie byli już dla żandarmów widoczni, skręcili w prawo i przez kopalnię "Władysław", Bekowiny, powrócili do obozu koło Klepacz. Zdarzenie śmieszne ale prawdziwe. Żandarmi, których zadaniem była walka z partyzantami, tym razem popełnili gafę, udzielając im pomocy żywnościowej.

W dniu 15 sierpnia wypadało święto Wojska Polskiego (rocznica "Cudu nad Wisłą"). W niedzielę 14 sierpnia, czyli w przeddzień święta, por. "Błyskawica" postanowił uczcić je uroczystym "ogniskiem", na które zaprosił mieszkańców leśniczówki Klepacze.

Około godz. 17-ej zaproszeni goście grupkami ciągnęli do obozu. Jako ostatni szedł ze swoją żoną "Blok", który chociaż nie proszony podążył za innymi i nie wypadało go nie wpuścić.

Na oczach wchodzących na teren obozu gości por. "Błyskawica" dokonał zbiórki żołnierzy wolnych od zajęć, którzy mogli uczestniczyć w uroczystości. Sprawnie uformował się dwuszereg długości kilkadziesiąt metrów, ustawiony jak pod sznur. Widać było, że te codzienne ćwiczenia, chociaż najmniej dotyczyły musztry, zrobiły swoje. Dwuszereg, po zrobieniu zwrotu w prawo, pomaszerował do miejsca, gdzie miała się odbyć impreza. Tu poszczególne drużyny i plutony zajmowały miejsca na ziemi, tworząc duży pierścień, wewnątrz którego pośrodku stał przygotowany stos drewna do zapalenia.

Uroczystość rozpoczęła się przemówieniem por. Ryszarda Brodeckiego "Błyskawicy", nawiązującym do okoliczności w jakich przyszło nam świętować i że nasza obecność tutaj świadczy najlepiej iż Wojsko Polskie istnieje i walczy nie tylko poza granicami Kraju ale przede wszystkim na własnej ziemi. Żołnierze tu obecni są świadectwem nieugiętej woli Narodu walki aż do zwycięstwa, które obecnie jest już bliskie. Dzięki takim żołnierzom jak wy, powiedział, Niemcy nigdy nie mogli czuć się zwycięzcami na tej ziemi i nigdy nimi nie będą.

Po przemówieniu por. R. Brodeckiego zapalono przygotowany stos drewna i rozpoczęła się część artystyczna. Ważną rolę w przygotowaniu części artystycznej odegrał pchor. Marian Sadowski "Lubicz" z Pakosławia.

Najpierw były patriotyczne recytacje, potem odśpiewano różne popularne wtedy piosenki, jak np. piosenkę chóru "Dana" o "Chłopcach z Albatrosa", były różne humorystyczne scenki i tańce. Znaleźli się tacy, którzy umieli grać na różnych instrumentach i muzyką uprzyjemniali imprezę. W celu zwiększenia repertuaru

muzycznego przywiozłem motocyklem harmonistę Wróblewskiego, który ukrywał się w Klepaczach u rodziny Góreckich.

Impreza bardzo udana, zakończyła się zgodnie z planem przed zapadnięciem ciemności. Chodziło o to, że w ciemnościach płomienie dużego ogniska mogłyby zostać zauważone przez patrolujące samoloty niemieckie.

W środę 17-go sierpnia 1944 r. nastąpił wymarsz oddziałów na koncentrację 2-ej dywizji w koneckim. Przed wymarszem żołnierze zostali uprzedzeni iż całość w najbliższym czasie wy maszeruje na akcję, z której może nie być powrotu. W związku z tym, ci którzy nie czują się na siłach, lub mają inne obowiązki z powodu których powinni pozostać, zostaną zwolnieni do domu. Początkowo nie podawano co to ma być za akcja, akcentując tylko to że jest wyjątkowo niebezpieczna i należy się liczyć z najgorszym.

W rozmowie z kpt. "Roburem" dowiedziałem się, że powstała sytuacja w której należy dopomóc powstańcom w Warszawie. Rozpatrywana była kwestia, czy maszerować z oddziałami bezpośrednio na Warszawę, czy też przebić się przez linię frontu i dotrzeć z pomocą do Warszawy od strony wschodniej. Dowództwo nie miało pewności, czy po przebiciu się przez linię frontu wojska radzieckie nie zechcą rozbrajać żołnierzy AK, jakie to wypadki zostały już odnotowane. Ostatecznie zwyciężyła idea pójścia na pomoc przez tereny okupowane przez Niemców.

Wśród żołnierzy zgromadzonych w obozie nr 1 wiedzano już, że ta niebezpieczna akcja to pójście na pomoc Warszawie, a to już dostatecznie wyjaśniało jakie z tą akcją wiąże się niebezpieczeństwa. Część ludzi odesłano do domu formując dwie kompanie, których dowódcami byli por. R. Brodecki "Błyskawica" oraz ppor. Stanisław Kowalczyk "Grad". Całością dowodził por. M. Wujkiewicz "Judym".

"Judym" jako Komendant Podobwodu "Dolina", z którego głównie rekrutowali się żołnierze, otrzymał od Komendanta Obwodu rozkaz doprowadzenia wojska do rejonu koncentracji, znajdującego się w trójkącie Niekłań - Chlewiska - Ruski Bród, a dokładnie: leśniczówki Cecylia.

W dniu odmarszu przyjechał motocyklem por. Zygmunt Kiepas "Krzyk", przekazując w mojej obecności "Judymowi" szczegółowe instrukcje, jak ma maszerować i gdzie ma szukać II-go baonu, 3-go pułku AK, którym dowodził A. Heda "Szary".

Podziwiałem odwagę "Krzyka" ubranego w czarny skórzany płaszcz (prawdopodobnie po jakimś gestapowcu), z czarnym beretem i dużym orłem na głowie oraz pistoletem maszynowym typu Schmeisser na piersiach. Razem z kierowcą ubranym po cywilnemu w skózaną kurtkę, w biały dzień spod Końskich przyjechali do Klepacz i potem już przy zapadających ciemnościach odjechali. Tego samego wieczoru "Judym" oddał mi na przechowanie swój motocykl i pomaszerował w kierunku Skarżyska Kamiennej.

Gdy całe zgrupowanie "Judyma" znalazło się w miejscu gdzie lasy się kończyły i należało kilka kilometrów koło Skarżyska przejść otwartym terenem, "Judym" zarządził postój aż do nastania ciemności. Widać było z tego rejonu rozległe Skarżysko i duży ruch pojazdów niemieckich na szosie do Radomia. Dokoła słychać było strzały, serie karabinów maszynowych i wybuchy granatów. Gdzieś z oddali na zachodzie dochodziły odgłosy kanonady artyleryjskiej. To toczył się bój pod Ciechołowicami, gdzie walczyły z Niemcami oddziały AK ciągnące na koncentrację z Puszczy Kozienickiej. Cała ta sceneria podziałała deprymująco na młodych chłopców, którzy jeszcze nigdy nie brali udziału w walkach i na twarzach ich można było zauważyć trudny do ukrycia lęk.

Skutek wyczekiwania w tej atmosferze był taki, że w plutonie z Powiśla, dowodzonym przez ppor. "Młokosa", część żołnierzy odmówiła dalszego marszu, mówiąc że oni chcieliby walczyć ale na swoim terenie. Ppor. "Młokos" oświadczył, że on także solidaryzuje się z tą częścią ludzi.

Powstała swego rodzaju konsternacja. "Judym" zawrócił całość z powrotem do Klepacz. Por. "Potok" zajął się organizacją kolumny marszowej i całość pomaszerowała w drogę powrotną. Równocześnie "Judym" przesłał meldunek o sytuacji do Komendanta Obwodu "Dariusza".

W piątek 19-go sierpnia przybył w zastępstwie Komendanta Obwodu por. Piotr Wróbel "Jawor" (Komendant Podobwodu "Wola") i na zapleczu kopalni nr 2 (przy drodze Klepacz-Kutery) odbył spotkanie z żołnierzami. Stwierdził, że marsz na pomoc Warszawie jest organizowany wyłącznie z ochotników i ktokolwiek nie chciałby w nim uczestniczyć ma prawo pozostać na miejscu.

Por. "Jawor" po uzgodnieniu z "Judymem" wyznaczył na dowódcę pozostających żołnierzy por. "Potoka".

W dniu 20 sierpnia, tj. w sobotę wieczorem, "Judym" pomaszerował ponownie na koncentrację oddziałów AK. Po drodze miał starcie z Węgrami, pilnującymi torów kolejowych, lecz bez strat dotarł do 3-go pułku.

Podległe "Judymowi" oddziały utworzyły 6-tą kompanię II-go baonu, 3-go pułku leg. AK. Dowódcą pułku w tym czasie był kpt. Stanisław Poreda "Świątek", a dowódcą I-go baonu kpt. Jerzy Niemcewicz "Kłos" (były Kierownik III-go Referatu Komendy Obwodu Iłżecko-Starachowickiego a potem Komendant Obwodu Końskie), III-ci baon nie został jeszcze sformowany.

Szósta kompania złożona była z trzech plutonów. Dowódcą 1-go plutonu i zarazem zastępcą dowódcy kompanii został por. Ryszard Brodecki "Błyskawica". Dowódcami następnych plutonów zostali ppor. Stanisław Kowalczyk "Grad" i sierż. pchor. Jan Jurek "Sęp". Szefem kompanii został st. sierż. Mieczysław Śliwiński "Zew".

Dowódcami drużyn w 6-ej kompanii byli: kpr. pchor. Marian Sadowski "Lubicz", kpr. pchor. Władysław Dąbek "Bukowy", kpr. rez. Adam Kosiak "Roland", kpr. Jan Wiśniewski "Sęp", kpr. Stanisław Kiełbasa "Rawa", kpr. pchor. rez. Marian Kubiś "Szczapa", kpr. Tadeusz Włodarski "Śmiały", kpr. Zbigniew Wnuk "Mały", i inni.

Uzbrojenie 6-ej kompanii: 9 karabinów maszynowych, 10 pistoletów maszynowych, 2 rusznice przeciwpancerne typu "Piat", 15 pistoletów, karabiny i granaty.

Dalszej historii tej kompanii nie opisuję, gdyż miała miejsce na innym terenie, co wychodzi poza ramy niniejszego opracowania.

Komendant obozu nr 1 koło Klepacz, por. Henryk Gruszczyński "Błady", dotarł razem z kompanią "Judyma" do 3-go pułku, gdzie jako doświadczony oficer, o dużym stażu wojskowym, objął funkcję oficera operacyjnego pułku.



Fot. 157. Chorąży Jan Wrzeszcz „Dąb” (z lewej) z por. Henrykiem Gruszczyńskim „Bładym” na terenie obozu szkoleniowego koło Klepacz.



Fot. 158. Ppor. Stanisław Kowalczyk „Grad” (z lewej) i ppor. Franciszek Sikorski „Felek”.



Fot. 159. Por. Henryk Gruszczyński „Błady”, oficer Komendy Obwodu, skierowany do organizowania nowych jednostek w obozie koło Klepacz.



Fot. 160. Strumień płynący od leśniczówki Klepacze do Wilczego Dołu. Wzdłuż tego strumienia wypasało się bydło przeznaczone na potrzeby kuchni partyzanckiej. Obecnie w wyniku osuszenia bagien strumień ten istnieje tylko w czasie deszczów.



Fot. 161. Uroczyste „ognisko” które odbyło się w niedzielę 14 sierpnia 1944 r. w obozie szkoleniowym koło Klepacz, dla uczczenia Święta Wojska Polskiego, przypadającego w następnym dniu. W uroczystości uczestniczyły oddziały AK zgrupowane w ramach akcji „Jodła”, które w środę 17 sierpnia wyruszyły na koncentrację 2-ej dywizji. Na tle ogniska siedzi ppor. „Grad”, dalej w prawo por. „Błyskawica”, następnie „Blok” i Janina Borecka (goście z AL), za nimi siedzi por. Wincenty Tomasiak „Potok” z opaską na rękę oraz wyłożonym kolnierzem koszuli na marynarkę. Za „Potokiem” goście zaproszeni z leśniczówki Klepacze.



Fot. 162. Por. Ryszard Brodecki „Błyskawica” przemawia do żołnierzy zgromadzonych na „ognisku” w dniu 14 sierpnia 1944 r.



Fot. 163



Fot. 164.

Trzy dni po „ognisku” wyselekcjonowana część żołnierzy pomaszerowała pod dowództwem „Judyma” do 3—go pułku a część dla której zabrakło dobrej broni, odesłano do domów.

Fot. 163. Pchor. Tadeusz Włodarski „Śmiały”, drużynowy 6-ej kompanii II. baonu 3 pp leg AK (odmaszerował z „Judymem”).

Fot. 164. St sierż. Zbigniew Szymanowski „Orzeł” ze Starachowic, z powodu braku broni odesłany wraz z wieloma innymi do domu.

ŻOŁNIERZE Z POWIŚLA (PODOBWÓD „NIWA”, „ZORZA”)



Fot. 165. Grupa żołnierzy z Powiśla przybyłych do obozu koło Klepacz aby wziąć udział w akcji „Jodła”.



Fot. 166. Por. Henryk Gruszczyński „Błady” (drugi z lewej) z grupą żołnierzy nadwiślańskich. Por. Jan Kaczmarczyk „Młokos” (piąty od lewej), pierwszy z prawej Stanisław Wilczyński, pchor. WP.



Fot. 167. Kilku żołnierzy z Powiśla widzianych z bliska. W środku, w ciemnej marynarce dowódca, por. Jan Kaczmarczyk „Młokos”.



Fot. 168. Por. Jan Kaczmarczyk „Młokos” w młodszym wieku. Podczas marszu na koncentrację wycofał się z częścią żołnierzy, powracając na Powiśle gdzie zajął się przygotowaniem jednostek do akcji „deszcz” (atakowania wycofujących się oddziałów wroga).

"Potok" organizuje ponownie Iłżecki Pułk Piechoty. Bitwa pod Dębowym Polem. Pacyfikacja Klepacz.

Po odmarszu "Judyma" z rejonu Klepacz, opuścił go także oddział BCh "Ośki", stacjonujący w tym czasie blisko Wilczego Dołu. Lasy na wschód od szosy Iłża-Lubienia zostały zupełnie pozbawione oddziałów partyzanckich.

"Ośka" przeniósł się w lasy małomierzyckie, oddziały AL skoncentrowane podjęły marsz w kierunku Częstochowy, a oddziały AK odeszły na koncentrację "Korpusu Jodła" w koneckiem.

Wywiadowcy niemieccy natychmiast donieśli o tym swoim zwierzchnikom, informując że nastąpiła doskonała okazja aby bezpiecznie zajrzeć do wnętrza lasów, których opisy znali dotychczas tylko z raportów donosicieli.

Dwa dni po odmarszu "Judyma", czyli 22 sierpnia, Niemcy wysłali w głąb lasów ekspedycję.

Kompania wojska licząca około 150 żołnierzy przeszła bezkarnie przez Kutery i dotarła na Klepacze. Tu zrobiono przerwę w marszu aby przyjrzeć się dobrze tej miejscowości. Razem z jednostką wojskową przybyli na pewno odpowiedzialni funkcjonariusze Sipo(Gestapo), którzy w następnym czasie przygotowali akcję zaskoczenia mieszkańców leśniczówki i ich aresztowania.

Po półgodzinnym odpoczynku oddział niemiecki pomaszerował gościńcem brodowskim do Brodów Iłżeckich.

Najbardziej znamienne w tym wydarzeniu było to, że Niemcy po raz pierwszy od początku wojny przybyli na Klepacze i po raz pierwszy wypuścili się do lasu w godzinach przedwieczornych. Przybyli także drogą znaną tylko ludności miejscowej i trudną do znalezienia dla obcych. Tą drogą, jako całkowicie bezpieczną, woziłem stale pocztę konspiracyjną do "Robura", mieszkającego w Kuterach. Przy tej drodze biwakował często oddział "Ośki" i tu przyjeżdżał do niego na rozmowy "Blok". Przy tej drodze biwakował "Judym" przed wymarszem w koneckie. W latach wcześniejszych przy tej drodze biwakował oddział żydowski Brawermana "Bacy".

Natychmiast odgadłem, że niemiecka wyprawa i okoliczności jej towarzyszące są wynikiem działalności niemieckiego wywiadu. Przypomniałem sobie chwilę gdy nieopatrznie powiedziałem do "Bloka" iż Niemcy zapuszczają się do lasu tylko z rana, ażeby zdążyć wyjść z niego za dnia. Fakt ten umożliwia bezpieczne poruszanie się po lasach w godzinach popołudniowych. Zauważyłem wtedy, że "Blok" zwrócił uwagę na moją wypowiedź i przez chwilę o czymś myślał. Teraz pomyślałem sobie "czyżby "Blok" był inspiratorem tej wyprawy? "

Dziś mogę powiedzieć, że na pewno tak. Mieszkał w Klepaczach na gajówce, przesiadując nieproszony całymi dniami na ganku leśniczówki i obserwując kto tu przyjeżdża i co się tu robi.

Kpt. "Robur" tylko raz przyjechał. Zapytał mnie co to za "gość" i gdy mu powiedziałem że to uciekinier z Lublina, gdzie był podobno kierowcą w niemieckiej policji a teraz jest w AL, więcej się nie pokazał. Mówił mi wcześniej, że AL przyjmuje ludzi bez

rekomendacji. Wystarczy, że ktoś zadeklaruje się jako lewicowiec i wyrazi chęć wstąpienia do organizacji, to go przyjmują. W ten sposób Niemcy podstawiają do AL swoich agentów, którzy stają się bezkarni będąc w szeregach komunistów. Dziś gdy wielu takich agentów ujawniono, należy przyznać kpt. "Roburowi" całkowitą rację. Gdyby wtedy chciał zwrócić komuś z AL uwagę, że ktoś jest w ich szeregach niemieckim agentem, byłaby to wypowiedź "wroga ludu", "reakcjonisty", który usiłuje oczerniać najlepszych towarzyszy.

Niemiecka wyprawa na Klepacze była z inicjatywy "Bloka", który chciał bezpośrednio zapoznać swojego szefa z warunkami w których obecnie pracuje i przez rozpoznanie dróg dojścia oraz okolicy ułatwić przygotowanie planu nagłego najazdu na Klepacze. Niemcom zależało na schwytaniu ojca i wielu innych osób, które Niemcy podejrzewali że są z organizacji. Najazd ten zrealizowali dwa tygodnie później. Zanim o nim napiszę wrócę jeszcze do innych spraw.

Otóż widząc, że lasy opustoszały z partyzantów, zdawałem sobie sprawę z tego, że Niemcy się o tym wkrótce dowiedzą i zaczną bezkarnie i bezpiecznie robić wypadki w głąb naszych terenów. Będzie to koniec wolności jaką mieliśmy tutaj już dwa miesiące. Tak było przyjemnie żyć w Wolnej Polsce, iż myśl o tym że to już będzie koniec, nie dawała mi spokoju.

Udałem się do kpt. "Robura" i przedstawiłem mu sprawę, powołując się na wczorajsze wejście Niemców na nasze, dotychczas wolne terytorium. Zaproponowałem utworzenie małego oddziału liczącego około 10 ludzi, który zrobiłby od czasu do czasu zasadzkę na szosie lub linii kolejowej i tym sposobem dał Niemcom do zrozumienia, że w lesie jeszcze są partyzanci. Powiedziałem, że taką samą propozycję wysunął pchor. Franciszek Wydra "Gromski", który ze względu na zdrowie nie mógł pójść na koncentrację "Korpusu Jodła" (miał niedawno usuniętą nerkę z powodu postrzału przez ludzi z AL). Pchor. art. "Gromski" znał doskonale wojskowe rzemiosło i proponowałem go na dowódcę tego oddziału. Siebie widziałem jako zastępcę dowódcy.

Kpt. "Robur" po wysłuchaniu moich argumentów zgodził się z nimi. Powiedział aby jednak poczekać jeszcze z tworzeniem oddziału, gdyż w najbliższych dniach ten problem się wyjaśni. Faktycznie, już następnego dnia dowiedziałem się od "Robura", iż nie będzie potrzeby tworzenia oddziału, ponieważ taki oddział już się tworzy pod dowództwem "Potoka" i już jutro przybędzie do obozu koło Klepacz (obóz nr 1). Powiedział mi następnie aby paczkę niemieckiej amunicji karabinowej, którą otrzymał od "Judyma" i dał mnie, przekazać "Potokowi".

Ucieszyłem się z wiadomości, że "Potok" znów będzie dowodził oddziałem w naszym rejonie, gdyż jak wielu jego żołnierzy zdążyłem go polubić. Poznałem go po raz pierwszy gdy naprowadzałem poszczególne plutony na miejsce zbiórki (obóz nr 1) do wyprawy po broń zrzutową, w opatowskie. Odebrałem wtedy defiladę wszystkich plutonów biorących udział w tej akcji. Wielu dowódców tych plutonów ubranych było w mundury wojskowe i w pełni uzbrojonych. Dowódca jednego z maszerujących oddziałów szedł sobie w szarym, cywilnym garniturze, bez broni, z patykiem w rękę. Dowodzony przez niego pluton szedł sprawnie i dowódca, idący z boku, tylko czasem podawał bardzo krótkie komendy. Pluton jakby odczytywał myśli swojego dowódcy. Widać że był dobrze wyszkolony, a dowódca robił wrażenie kogoś kto w życiu tylko zajmował się wojskiem. Widać było, że dowodzenie plutonem było dla niego zabawą i przypomnieniem czegoś, co w przeszłości stale robił.

W innych plutonach maszerowano dość głośno. Dowódcy podawali co chwila różne komendy, najpierw dowódca plutonu, potem drużynowi, a na końcu sekcijni. Wszystko to doprowadzało do wielkiego wrzasku, bardzo rażącego na tle ciszy leśnej. Przypomniałem sobie jak cicho posuwali się w lesie żandarmi w obławie na "Ponurego" i że szkoda że ci dowódcy nie mogli tego zobaczyć.

Gdy pojechałem do Kuter aby kpt. "Roburowi" zameldować przybycie oddziałów na ustalone przez nas miejsce, "Robur" zapytał mnie jak mi się podobały poszczególne plutony oraz ich dowódcy. Powiedziałem wtedy swoje uwagi, mówiąc że bardzo mi się podobał jakiś dowódca, nieco starszy od innych, który dowodził z wielką swobodą i wyglądał na kogoś, kto tylko zajmował się wojskiem.

"Robur" z miejsca odpowiedział: "to był na pewno "Potok", wojskowy zawodowy". Gdy z "Potokiem" spotykałem się w późniejszym czasie, stwierdziłem że jest człowiekiem o bardzo pogodnym usposobieniu, życzliwy dla każdego, uczynny, dający się szybko polubić. Równocześnie w kwestiach wojskowych bardzo wymagający i zdyscyplinowany.

Jako późniejszy dowódca Iłżeckiego Pułku także dał się poznać podległym sobie oficerom jako wojskowy w pełni kwalifikujący się na to stanowisko. Nie ma ani jednego oficera lub dowódcy niższych szczebli, u którego nie zrodziłaby się sympatia i szacunek dla tego dowódcy.

Wiedząc już jak sprawy organizowania nowego oddziału partyzanckiego wyglądają, udałem się do obozu "Potoka". Ucieszył się z przyniesionej amunicji karabinowej, gdyż oddział dysponował głównie amunicją z 1939 r. bardzo zawodną.

Aleksander Filipowski "Jastrząb", wtedy młodziutki żołnierz, z polecenia "Potoka", z zadowoleniem przejął ode mnie przy dźwigany ciężar, kwitując go miłym uśmiechem. Była to amunicja z transportu, którą 19-go lipca "Szary" wyładował koło Wólki Plebańskiej. Zapasy tej amunicji zostały zabrane przez "Judyma" na niebezpieczną wyprawę a dla "Potoka" pozostała amunicja przedwojenna. Obecny przy odmarszu "Judyma" kpt. "Robur" zatrzymał sporą paczkę tej amunicji, oddając ją w moje ręce. Teraz oddałem ją do dyspozycji "Potoka", uważając że jemu ona jest teraz bardziej potrzebna.

Po przybyciu do obozu (nr 1) stwierdziłem, że żołnierze "Potoka" rozlokowali się w szałasach położonych bliżej działki 7-ej. Było ich mało. Po odliczeniu tych, którzy w tym czasie byli na ubezpieczeniach lub patrolach, na terenie obozu krzątało się dwudziestu paru ludzi. Zauważyłem między nimi sierż. Józefa Orczykowskiego "Fezuja", st. sierż. Stanisława Trzaskę "Jastrzębia", Jana Fryzla "Sahajdacznego", Wacława Pryciaka "Sokola" i jego brata Jana, ps. Wąż, kpr. Stanisława Chedę "Rysia", plut. Tadeusza Kasprzyckiego "Graba". W następnych dniach dołączyli kpr. Wiesław Karwacki "Karp", kpr. Józef Książek "Góral" oraz wielu innych.

Broni maszynowej było mało. Zauważyłem wiszące na sękach dwa niemieckie pistolety maszynowe typu Schmeisser oraz pepeszkę z bębniem (prawdopodobnie zdobytą jeszcze w lipcu w niemieckiej ciężarówce). Gdy przybyłem do obozu dwa dni później, koledzy się pochwalili że już mają pierwszy rkm(wz. 28).

2-go września do oddziału "Potoka" dołączył oddział wydzielony z opatowskiego "Zgrupowania Ostoja". Było to zgrupowanie zmobilizowane z myślą, że będzie włączone do "Korpusu Jodła" aby pójść na pomoc Warszawie. Gdy zapadła decyzja, że odsieczy dla Warszawy nie będzie, postanowiono Zgrupowanie zdemobilizować. Część ludzi z

tego zgrupowania wyraziła zdecydowanie że chce pozostać w lesie. Nie chcąc czynić zawodu tym żołnierzom dowództwo postanowiło przekazać ich do formującego się Iłżeckiego Pułku "Potoka". W grupie tej znaleźli się między innymi:

- ppor. Witold Mrowiński "Fiedler",
- ppor. Jan Kamiński "Walek",
- ppor. Zygmunt Cyran "Sor",
- ppor. Stanisław Dukat "Talar",
- pchor. Jerzy Sułocki "Gozdawa",
- pchor. Wojciech Targowski "Vis",
- pchor. Władysław Bińczak "Konrad",
- plut. "Sitek" (NN),
- plut. "Wojciech" (NN),
- plut. Henryk G rudnik "Konrad",
- kpr. Wacław Chajec "Sum",
- kpr. Jerzy Pałka "Leśnik",
- kpr. Roman Skoczylas "Piorun".

Razem z nimi przybył dowódca Zgrupowania OSTOJA, kpt. Dezyderiusz Lenartowicz "Wiemy" oraz oficerowie por. Piotr Szczepaniak "Paweł" i por. Stanisław Roguski "Ostoja". Oficerowie ci po jednodniowym pobycie w obozie "Potoka" powrócili na teren opatowski, a kpt. "Wiemy" został organizacyjnie skierowany na teren krakowski. Grupa opatowska przyprowadziła ze sobą trzy konie i wóz, które stały się załączkiem taboru. W ciągu najbliższych dni dało się zauważyć, że żołnierze opatowscy są bardzo sprawni i dobrze wyszkoleni. W wyniku tych spostrzeżeń "Potok" wykorzystał ich potem, w miarę rozbudowy Pułku, do obsadzania różnych stanowisk dowódczych.

Zgrupowanie OSTOJA miało krótki żywot i brak jest w literaturze szerszych a przy tym całkowicie prawdziwych informacji na jego temat.

Zgrupowanie liczyło kilkuset żołnierzy mobilizowanych na terenie Obwodu Opatowskiego AK, w celu pójścia na pomoc Warszawie. Koncentracja oddziałów tego zgrupowania nastąpiła w lesie pomiędzy Jeleńcem i wsią Dębowe Pole. Jeden z uczestników tej koncentracji, pchor. Marian Godlewski "Ront", biorący udział w walkach jakie żołnierze tego Zgrupowania stoczyli we wsi Dębowe Pole, ciężko ranny w tych walkach i odznaczony Krzyżem Walecznych, tak wspomina te wydarzenia:

W dniu 7 sierpnia 1944 r. sześciuosobowy oddział, wydzielony z plutonu Bodzechów, przejął broń zrzutową ze schronu przy leśniczówce Władkowice pod Ćmielowem i przetransportował ją w lasy koło Jeleńca gdzie miała nastąpić koncentracja "Zgrupowania OSTOJA". W skład oddziału wchodził:

- por Julian Kaczmarczyk "Sławomir" (Komendant podobwodu Ostrowiec),
- pchor. Władysław Roguski "Paweł" (magazynier broni we Władkowicach),
- pchor. Marian Godlewski "Ront",
- strz. Tadeusz Matz "Ochotnik II",
- strz. Jerzy Poniatowski "Leszek",
- strz. Jan Koczmarowski "Jańcio" (woźnica).

Oddział uzbrojony był w pistolety maszynowe "Sten" i granaty.

Ze schronu pobrano:

- dwie wyrzutnie min typu "Piat" z amunicją,
- dwa ręczne karabiny maszynowe "Bren",
- dwadzieścia sztuk pistoletów maszynowych "Sten",

- kilkanaście sztuk pistoletów Smith Wesson,
- granaty, amunicję, materiały wybuchowe (plastik), magazynki i żywność (konserwy mięsne).

O świcie w dniu 8 sierpnia, wymienioną broń dowieziono do rejonu Jeleńca, gdzie w lesie już przebywali partyzanci oraz stały przy gotowane szalasy, kuchnie i inne urządzenia, świadczące o tym, że postój partyzantów w tym miejscu potrwa dłużej.

W ciągu najbliższych dni przybywały do obozu coraz to nowe oddziały a 15 sierpnia przybyli kpt. Dezyderiusz Lenartowicz "Wiemy" (Kierownik III-go referatu Komendy Obwodu) oraz por. Stanisław Roguski "Ostoja". Kpt. "Wiemy" objął dowództwo zgrupowania, które określane jest nazwą "Zgrupowanie OSTOJA".

W tym samym dniu odbyły się uroczystości z okazji Święta Żołnierza. Wkrótce do zgrupowania dołączyła kompania z podobwodu "300" tj. rejonu Ożarowa, dowodzona przez por. Piotra Szczepaniaka "Pawła". W skład kompanii wchodziły plutony dowodzone przez ppor. Witolda Mrowińskiego "Fiedlera", ppor. Jana Kamińskiego "Walka", ppor. Zygmunta Cyrana "Sora" i ppor. Stanisława Dukata "Talara". Przybył także pluton z Kunowa pod dowództwem ppor. Władysława Krzemińskiego, ps. Samotnik oraz st. sierż. Wacława Wanata, ps. Gorliwy. Pluton ten kwaterował osobno, po zachodniej stronie drogi Kurzacze-Mołdawa.

Ppor. "Samotnik", dowódca kompanii Kunów, kilka tygodni wcześniej dokonał akcji zabrania Niemcom dwóch wagonów cukru na stacji kolejowej Kunów (Staw Kunowski). Cukier ten ulokowano w różnych miejscach, między innymi we wsi Janik. Pozostawiając pluton pod dowództwem "Gorliwego", ppor. "Samotnik" udał się do Janika aby przywieźć dwa wozy cukru na potrzeby "Zgrupowania OSTOJA" (w Janiku zamelinowane było 10 ton cukru, część na terenie szkoły i część w zabudowaniach rodziny ppor. Krzemińskiego). Wracając z cukrem przez Myszkę i dojeżdżając do pierwszej gajówki ppor. Krzemiński został powitany przez zdenerwowanego gajowego Klemensa Borówkę. Okazało się, że w gajówce śpi trzech żołnierzy niemieckich, którzy przyjechali tu wozem.

Ppor. Krzemiński nie zdenerwował się tą informacją a dał rozkaz swoim żołnierzom obudzić Niemców i uświadomić ich, że są w niewoli u polskich partyzantów. Ostatecznie ppor. Krzemiński dostarczył do obozu "Zgrupowania OSTOJA" transport cukru, trzech jeńców i wóz.

Podczas nieobecności ppor. Krzemińskiego w dniu 28 sierpnia, kiedy to wyjechał do Janika po cukier, miały miejsce inne wydarzenia. Z rana, kiedy żołnierze w obozie jedli śniadanie, przybiegł chłopiec ze wsi Dębowe Pole, prosząc kpt. "Wiernego" o pomoc, ponieważ we wsi kręcą się jacyś żołnierze w niemieckich mundurach i rabują mieszkańców.

Kpt. "Wiemy" dał rozkaz ppor. W. Mrowińskiemu "Fiedlerowi" aby wziął kilku żołnierzy i udał się do wsi, w celu wyjaśnienia sytuacji. Ppor. "Fiedler" wybrał siedmiu żołnierzy, którzy już zjedli śniadanie i ruszył z nimi we wskazanym kierunku. Krótko po tym kpt. "Wiemy" doszedł do wniosku, że grupa ppor. "Fiedlera" może okazać się za mała i dał dodatkowo rozkaz kapralowi WP, Wacławowi Chajecowi, ps. Sum, aby wziął sześciu ludzi i udał się w ślad za ppor. "Fiedlerem".

W grupie ppor. "Fiedlera" pomaszerowali: pchor. Wojciech Targowski "Vis", pchor. Franciszek Ryczan "Zefir", pchor. Jerzy Sułocki "Gozdawa", kucharz (NN), i inni. Oto co na temat tych wydarzeń podali mi por. Witold Mrowiński "Fiedler", pchor. Wojciech Targowski "Vis" i pchor. Jęży Sułocki "Gozdawa":

Pierwsze zabudowania wsi zaczynały się kilkadziesiąt metrów od lasu. Partyzanci idąc jeden za drugim, szybko znaleźli się przy pierwszych zabudowaniach. Idąc dalej za opłotkami wzdłuż wsi, starali się dostrzec intruzów. We wsi rzeczywiście była grupka 4 lub 5 jeźdźców, zachowująca się agresywnie w stosunku do mieszkańców. Ta pewność w ich zachowaniu się świadczyła, że gdzieś w pobliżu muszą być większe siły. Gdy "Fiedler" z żołnierzami starał się zbliżyć do kawalerzystów, ci akurat oddalali się w kierunku Sienna. Idąc za nimi partyzanci dotarli do końca wsi. Dalej rozciągały się szczerze pola a na ich tle ujrzano zdołujących do wsi oddział kawalerii, liczący około 80 ludzi. Oddział ten był już w odległości maks. 200 m.

Ppor. "Fiedler" natychmiast dał rozkaz odwrotu.

Przemykając się chyłkiem partyzanci "Fiedlera" znaleźli się w pewnej chwili za jakimś żywopłotem lub krzakami przypominającymi żywopłot, rosnącymi wzdłuż wiejskiej drogi. Ukryci za nimi liczyli na to, że szwadron niemiecki przejedzie i ich nie zauważy. Tymczasem ubezpieczenie szwadronu, liczące trzech jeźdźców, przemknęło obok partyzantów nie widząc ich, i podążyło do drugiego końca wsi, przy którym akurat znalazł się już patrol "Suma". "Sum", kapral żandarmerii WP z Grudziądza, wielkiego wzrostu i równie wielkiej odwagi żołnierz, pochodzący z okolicy Solca nad Wisłą, otworzył wraz z podległymi mu żołnierzami ogień do ubezpieczenia szwadronu. W grupie "Suma" był także pchor. Marian Godlewski "Ront". Od ognia partyzantów spadło z koni dwóch kawalerzystów a trzeci ratował się ucieczką w stronę jednostki, którą ubezpieczał.

Oddział główny niemieckiej kawalerii, słysząc strzały w drugim końcu wsi, zatrzymał się do wyjaśnienia sytuacji i zrobił to akurat na wprost stanowisk żołnierzy "Fiedlera". Nad partyzantami zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie było innego wyjścia. "Fiedler" rzekł do żołnierzy: "drogo się sprzedajemy, chłopcy" i otworzył ogień z pistolem maszynowego. Równocześnie zagrzmiała pozostała broń partyzancka, licząca w sumie 3 pistolety maszynowe i 5 karabinów. Cele znajdowały się w odległości kilku lub kilkunastu metrów, po drugiej stronie krzaków.

Ten nagły i niespodziewany dla kawalerzystów ogień wywołał u nich szok. Na drodze powstało kłębowisko koni i ludzi. Jedni chcieli uciekać, inni usiłowali się bronić, a jeszcze inni spadali zabici na ziemię. Część niemieckich żołnierzy, którymi okazali się własowcy z dywizji SS Galizien, grupa Szadi, z powodu utraty koni usiłowała zorganizować obronę. Ogień prowadzony z obu stron ścinał krzaki do połowy wysokości i partyzanci już częściowe widoczni, dokańczali dzieła zniszczenia.

W trakcie strzelaniny Wojciechowi Targowskiemu zaciął się Sten. Udało mu się błyskawicznie usunąć zacięcie i włączyć do dalszej walki.

Gdy ucichły serie broni maszynowej i słychać było jeszcze sporadyczne wystrzały, a zdolni do ucieczki kawalerzyści opuścili pole walki, na wiejskiej drodze leżało mnóstwo ciał końskich i ludzkich. Przytoczę słowa Wojciecha Targowskiego: "Przed nami przykry widok. Dochodzą do uszu jęki konających. Z naszej strony, o dziwo, nikt nie jest ranny ani zabity. Odchodzę nieco na bok i widzę jak zza piwnicy-ziemianki wynurza się żołnierz w czarnym mundurze. Równocześnie zaczynamy do siebie strzelać. Pociągnął po mnie serię na wysokości pasa. Jedna z jego kul przeszła mój pas główny, tuż przy zawieszonym na nim angielskim granacie obronnym, następnie przeszła przez mundur rysując lekko skórę na moim ciele. Inna kula przeszła mi z drugiej strony bluzę munduru, a jeszcze inna bryczesy.

Moja seria była skuteczniejsza. Dostał w oko i czoło. "

Pchor. Wojciech Targowski "Vis" był żołnierzem oddziału "Nurta". Po dekonspiracji na terenie Czyżowa Szlacheckiego został skierowany do dyspozycji ppor. "Fiedlera". Przenosząc się na nowe, bezpieczne miejsce, przetransportował ze sobą radiostację, ukrytą dotychczas na folwarku w Czyżowie Szlacheckim.

Była to rezerwowa radiostacja dowódcy 2-ej dywizji leg. AK, ppłk. "Lina"(Antoni Żółkiewski), nad którą pchor. "Vis" sprawował pieczę.

Ppor. Witold Mrowiński "Fiedler" był w terenie dowódcą kompanii. W Zgrupowaniu OSTOJA objął dowództwo plutonu, w którym 1-szą drużyną dowodził plut. pchor. AK Franciszek Ryczan "Zefir", 2-gą drużyną dowodził pchor. AK Wojciech Targowski "Vis" a 3-cią pchor. WP Jerzy Sułocki "Gozdawa".

Walkę we wsi Dębowe Pole prowadziło 15-tu żołnierzy Zgrupowania OSTOJA, z których udało się ustalić następujących:

- ppor. Witold Mrowiński "Fiedler",
- pchor. Franciszek Ryczan "Zefir",
- pchor. Wojciech Targowski "Vis",
- pchor. Jerzy Sułocki "Gozdawa",
- pchor. Marian Godlewski "Ront",
- plut. Henryk G rudnik "Konrad",
- kpr. Marian Jaworski "Lach",
- kpr. Wacław Chajec "Sum",
- strz. Józef Łuczak "Ziuk",
- strz. Jan Stachurski "Róg",
- kucharz (NN)

Ta grupka żołnierzy AK, licząca 15 ludzi, zlikwidowała w dniu 28 sierpnia 14-tu żołnierzy dywizji SS-Galizien oraz w drodze powrotnej do obozu dodatkowo jeszcze jednego własowca. Było to tak:

Po zebraniu z poboju we wsi Dębowe Pole broni oraz oporządzenia, połączone grupy "Fiedlera" i "Suma" udały się w kierunku obozu, prowadząc ocalałe konie.

Po wejściu na teren leśny żołnierze szli w szyku rozproszonym, zdążając do drogi Mołdawa-Kurzacze. Będąc już blisko niej, nagle wypadł na nich jakiś żołnierz niemiecki, którego z bliskiej odległości ustrzelił idący obok "Ronta" kucharz. Po strzale kucharza posypały się do partyzantów, oddawane z przeciwka, serie broni maszynowej i strzały oddawane z karabinów zwykłych. "Ront", który dźwigał 4 zdobyczne karabiny, został trafiony w obojczyk, a Marian Jaworski "Lach" został lekko ranny w bok.

Okazało się, że na odgłos strzelaniny we wsi Dębowe Pole, "Gorliwy" poderwał swój pluton i biegł z nim na kierunek strzałów aby udzielić pomocy walczącym partyzantom. Przebiegając przez drogę Kurzacze - Mołdawa partyzanci "Gorliwego" natrafili na jadący konny wóz, na którym w stronę Mołdawy jechało dwóch własowców. Gdy własowcy ujrzeli biegnących partyzantów jeden z nich zeskoczył z wozu i ratował się ucieczką w las, wpadając na kucharza, który go zastrzelił. Drugi własowiec podciął konie i udało mu się szczęśliwie umknąć, chociaż wysłano za nim pogoń.

Partyzanci "Gorliwego" widzieli uciekającego w krzaki własowca a następnie usłyszeli strzał oddany z miejsca w którym zniknął własowiec. W przekonaniu, że był to strzał odstrzeliwującego się własowca, puścili w te krzaki kilka serii z karabinu maszynowego i trochę strzałów z broni ręcznej. Nie wiedzieli, że strzał nie pochodził od własowca i że w tym rejonie mogą być powracający po walce koledzy. Winnych tu nie było. Taki, chyba wyjątkowo rzadki, zbieg okoliczności. Po wyjaśnieniu sytuacji i

wstrzymaniu ognia, rannych żołnierzy, "Ronta" i "Lacha", umieszczono na zdobycznych koniach i odwieziono do obozu. Pomagali w tym wszyscy koledzy, a wśród nich Stefan Wojtas "Szczygieł" i Jerzy Pałka "Leśnik".

W obozie, lekarz Stefan Lewandowski zakwalifikował Mariana Godlewskiego do leczenia w szpitalu, natomiast ranę u Jaworskiego (lekkie draśnięcie) uznał za nadającą się do leczenia ambulatoryjnego na melinie. Z rany tej jednak wywiązało się po paru dniach zakażenie i chociaż przewieziono potem Jaworskiego do szpitala, nie uratowano mu życia.

Mariana Godlewskiego odwiózł do szpitala w Ostrowcu Św. sam właściciel majątku w Jeleńcu, Halpert. Halpert miał pochodzenie niemieckie lecz swoje dobre stosunki z Niemcami wykorzystywał dla dobra Armii Krajowej, do której należał także jego syn. Tu partyzanci mieli stałe, niezawodne oparcie. Tu ukrywał się przez pewien czas, zestrzelony z samolotem, angielski oficer-nawigator John Symington. Tu ukrywało się wielu ludzi konspiracji oraz ranni partyzanci. Po wkroczeniu wojsk radzieckich pracownicy UB aresztowali ojca i syna i nie udało mi się spotkać kogoś kto wiedziałby coś o dalszych losach rodziny Halpertów, dla Polski bardzo zadłużonej.

Halpert zawiózł bezpiecznie, bryczką, Mariana Godlewskiego do szpitala, umieszczając go tam jako cywila, rannego w strefie przyfrontowej. Po drodze przejeżdżali przez szereg niemieckich kontroli, gdyż w tym rejonie Niemcy budowali okopy i umocnienia wojskowe.

W szpitalu, chirurg pani dr Brandt uznała, że konieczna będzie amputacja ręki. Na szczęście, ordynator dr Roman Drews nie podzielał tej opinii. Ponieważ wszystkie środki przeciw zakażeniu zabrali Niemcy, dr Drews zalecił karmienie chorego dużą ilością sałatek opartych głównie na cebuli. Kuracja była prawidłowa i chory szybko wracał do zdrowia. Po wyjściu ze szpitala "Ront" został umieszczony u Władysława Roguskiego we Włdkowicach pod Ćmielowem i tam już przebywał do końca wojny, spędzając czas z Anglikiem Symingtonem, przeniesionym tu z Jeleńca.

Po walkach we wsi Dębowe Pole Zgrupowanie OSTOJA przeniosło się bliżej Myszek (miejsca postoju oznaczone na mapce symbolem III, a potem IV), a następnie zostało rozwiązane.

W zgrupowaniu wystąpiły objawy niezadowolenia z powodu rezygnacji pójścia na pomoc Warszawie, a około 40 chętnych pozostało w lesie, dołączając do Zgrupowania Potoka.

Około 5 września "Potok" przerzucił oddziały do rejonu Kruków, budując nowe obozowisko, oznaczone na szkicu, jako obóz nr 4. Gdy minęło kilka dni i w rejonie Klepacz nie spotykało się już partyzantów, Niemcy postanowili dokonać przez zaskoczenie aresztowania mieszkańców leśniczówki.

Wybrali sobie na tę akcję dzień 8 września (Święto Narodzenia Matki Boskiej). Sądzieli przypuszczalnie, że w dniu Święta wszystkich zastaną w domu.

Do akcji użyto własowskiej brygady antypartyzanckiej (prawdopodobnie Dolla), której część poszła w lasy od północy a część od południa, z zadaniem dotarcia do Klepacz. Część idąca z południa miała krótszą drogę i przypuszczalnie jej zadaniem było zaskoczenie mieszkańców jeszcze w czasie snu.

Plan niemiecki był dobry i opracowany najwidoczniej przy współudziale "Bloka". Jedyne chyba Opatrzności należy zawdzięczać że żyję.

Zaczął się od tego, że w dniu odmarszu "Judyma" na koncentrację w koneckie (była to sobota), postrzeliłem się poważnie w rękę. Ten pozornie nieszczęśliwy wypadek pociągnął za sobą inne, które pozwoliły mnie oraz memu ojcu i innym, uratować życie.

Gdy Zgrupowanie Potoka przeniosło się w okolice Kruków, intuicyjnie wyczuwałem że Klepacze stały się zagrożone i że stanie się tu coś niedobrego.

Wykorzystując argument iż muszę być bliżej lekarza przeniosłem się do Iłży, nie podając w domu gdzie będę przebywał.

Będąc w Klepaczach polowałem w lesie zaopatrując dom w mięso. Na leśniczówce schroniło się wiele osób i należało dbać o zaopatrzenie w żywność.

Gdy się postrzeliłem nie miał kto tego robić. Postanowił mnie zastąpić ojciec, który wprawdzie dobrze strzelał ale polować nie lubił.

Pozostawiłem mu mój karabin.

Ojciec miał inne zasady polowania niż ja. Uważał że najlepszą porą na polowanie jest świt, gdy zwierzyna budzi się i zaczyna żerować.

Właśnie w dniu 8 września, gdy jeszcze było ciemno, wyjechał na polowanie wozem w towarzystwie gajowego Władysława Kalinowskiego, amatora polowań, oraz woźnicy Władysława Zasady, który od lat zajmował się gospodarstwem leśniczego.

Dziesięć minut po ich wyjeździe, leśniczówka była otoczona przez własowców, a mieszkańcy wyrwani ze snu i zapędzeni do pomieszczeń piwnicznych.

Znajdując się w rejonie Murowanki "myśliwi" zauważyli duże ilości wojska niemieckiego, przekraczające w oddali leżnię H z kierunkiem ruchu w stronę Klepacz.

Ojciec intuicyjnie wyczuł, że dzieje się coś niedobrego, broń ukrył, gajowego odesłał do domu, a sam na piechotę, idąc na przełaj lasem udał się do Marcul. Władysław Zasada pojechał wozem w kierunku leśniczówki i na wszelki wypadek pojechał nie na leśniczówkę a działką 10-tą, która przebiegała lasem za leśniczówką, skąd można było zauważyć co dzieje się w obrębie zabudowań.

Zobaczył, że na podwórku leśniczówki i na terenie ogrodów które ją otaczały, było pełno wojska niemieckiego. Byli to własowcy, którzy także dostrzegli jadący lasem wóz i ile sił w nogach biegli do niego, aby go schwycić. Wł. Zasada widząc to, rzucił się do ucieczki. Popędzany strzałami mknął jak tylko mógł na zachód, aż dotarł do wsi Budy Brodzkie, kryjąc się w zagrodzie Baśkiewiczów. W ręce własowców wpadł wóz i konie.

Tymczasem na leśniczówce buszowali Niemcy i własowcy. Wiedzieli już, że ukrywa się tu trzech radzieckich żołnierzy, zbiegłych z niemieckiej niewoli. Wiedzieli też, że śpią w stodole. Ponieważ stodoła po żniwach zapelniona była aż do dachu więc zaczęli z niej wynosić snopki. W miarę ubywania słomy Rosjanie zakopywali się głębiej. Wtedy własowcy rozebrali ściany stodoły i mając dobry dostęp do słomy prawie całkowicie ją wynieśli, wydobywając zbiegów.

Z ludzi konspiracji schwytali w budynku mieszkalnym por. Teofila Tomczyka - oficera KRIPO w Starachowicach, a w konspiracji Komendanta Korpusu Bezpieczeństwa dla powiatów: iłżeckiego, radomskiego, kozienickiego, puławskiego i Janowa Podlaskiego. Schwytali także mgr Piotra Szymczyka (Delegata Rządu na powiat iłżecki) oraz jego brata Józefa (obaj byli działaczami Stronnictwa Ludowego i równocześnie pracownikami starostwa w Starachowicach), Antoniego Langerę (stryja leśniczego i także działacza ludowego, posła na Sejm z rejonu Kruszwicy).

Odbываły się tu narady konspiracyjne, na które przybywali Jan Sońta "Ośka", Jan Kowalski (skarbnik BCh), Jan Gruszka "Bartosz" (Komendant Powiatowy BCh), Tomasz Sulima (działacz BCh), i inni. Nie udało się Niemcom schwycić leśniczego i jego synów.

Młodszy syn Zbigniew poszedł na odsiecz Warszawie i był żołnierzem 3-go pułku leg. AK, batalionu "Szarego", ja natomiast w wyniku postrzału opuściłem leśniczówkę, przenosząc się bliżej łąki i lekarzy, pełniąc funkcje pomocnicze dla Łżeckiego Pułku AK "Potoka".

Poza aresztowanymi działaczami konspiracji których wymieniałem aresztowano jeszcze około 10 osób, które jako znajome lub dalsza rodzina, schroniły się tu przed Niemcami lecz w konspiracji bezpośredniego udziału nie brały.

Badano wszystkie schwytane osoby, usiłując się dowiedzieć gdzie jest leśniczy i ten syn z postrzeloną ręką (chodziło o mnie). Badano także dlaczego obce osoby tu się znajdują a nie w Ostrowcu, Starachowicach lub Warszawie.

Na temat mojego miejsca pobytu nikt nie umiał nic powiedzieć a o leśniczym mówiono, że pojechał do lasu i zapewne powróci. Czekano na ojca aż dwie doby, ale bezskutecznie. Po dotarciu do Marcul spotkał się wieczorem z nadleśniczym dr Leonem Mroczkiewiczem, od którego usłyszał iż obława jest skierowana przeciw Klepaczom i nie pozwolił ojcu tam powracać. Powiedział dalej, że wiadomość o obławie uzyskał wcześniej i telefonował do Kuter (do Klepacz linia była zerwana), aby ktoś o niej zawiadomił mieszkańców leśniczówki. Leśniczy z Kuter, Józef Kozłowski, który wiadomość odebrał, nie mógł się zdecydować na udanie się do Klepacz, tłumacząc się że ma pod opieką dwie siostry. Mieszkający w pobliżu Eugeniusz Dymitrow "Robur" miał także pod opieką żonę Danutę i jej matkę. Obok w gajówce mieszkały też same kobiety z dziećmi. Ostatecznie z wiadomością pojechał "Robur". Zrobił to jednak dopiero w następnym dniu z rana, gdy w leśniczówce byli własowcy. Został zatrzymany i dołączony do grupy aresztowanych w Klepaczach.

W drugim dniu pobytu w Klepaczach Niemcy postanowili zakończyć akcję rozstrzelaniem najbardziej podejrzanych. Jak wspomina por. T. Tomczyk, kazano wszystkim klęknąć rzędem na drodze przed leśniczówką, a naprzeciwko ustawił się pluton egzekucyjny. Gdy dowódca plutonu podniósł szablę aby dać znak do oddania salwy, nadjechali autem gestapowcy, wstrzymując egzekucję. Jeden z gestapowców polecił zabrać wszystkich aresztowanych do Starachowic.

Por. Tomczyk wspomina, że tylko Piotr Szymczyk nie wierzył że zginie, gdyż jak powiedział "dziś jest Święto Matki Boskiej i Matka Boża w dniu swego święta do tego nie dopuści".

Oficer dokonujący egzekucji zdążył tylko przeczytać wyrok sądu doraźnego, skazujący klęczących na śmierć za współpracę z leśnymi bandami oraz komuną. Trudno jest powiedzieć czy wstrzymanie egzekucji było inscenizacją czy przypadkiem?

Własowcy dokładnie splądrowali zabudowania leśniczówki usiłując znaleźć jakieś dowody działalności konspiracyjnej. Moje filmy fotograficzne przejrzeni szczegółowo i wyrzucili za okno. Nie było na nich nic z tego co chcieli znaleźć.

Odrywano deski w podłogach, kłuto w ziemi, w piwnicach. Znaleziono zakopaną skrzynkę wódki, którą prawdopodobnie żołnierze rozdzielili między sobą. Tereny dokoła leśniczówki wyglądały jak wielkie pobojuwisko. Wszystkie płoty leżące. Pełno porzuconych świeżych skór z zabitych krów, świń i owiec. Zboże w spichlerzu wymieszane z karbidem, którego beczka stała tam na potrzeby oświetleniowe. Słoma ze stodoły rozniesiona po okolicy, nawet w lesie leżała (żołnierze ją roznosili robiąc sobie na noc pośłania). Cały teren był jednym wielkim śmietnikiem.

W drugim dniu, przed wieczorem, własowcy opuścili Klepacze. Zabrali z leśniczówki bryczkę, dwa wozy oraz konie, a także wszystkich aresztowanych ludzi. Na

szczęście nie podpalili zabudowań (był to wynik interwencji Forstmeistra Meyera, po spaleniu gajówki w Kadysowinach koło Kuter). Gdyby to zrobili doszłoby do eksplozji granatów i amunicji ukrytych przeze mnie w budynku mieszkalnym. Wtedy nie ulegało wątpliwości, że byliby rozstrzelani wszyscy mieszkańcy leśniczówki.

Własowcy nie mając przez dwa dni wiele do roboty sprawdzili także stojącą po drugiej stronie pola gajówkę. "Aresztowano" także mieszkającego tam "Błoka". Najprawdopodobniej aresztowanie to było planowane. Miało ono jednakże sens tylko w przypadku schwytania leśniczego i pozostałych osób. W sytuacji która powstała "aresztowanie" "Błoka" było pomyłką. Nie mógł on nic wyjaśnić w Gestapo na temat zatrzymanych ludzi, a osoby o które gestapowcom chodziło nie zostały schwytane.

Już w pierwszym dniu pobytu w więzieniu starachowickim "Blok" poruszał się swobodnie po korytarzu więziennym, pomagając przy nalewaniu kawy lub zupy, a także chodził i zaglądał przez wizjery do cel. W tym samym dniu został zwolniony i powrócił na Klepacze. Opowiedział po powrocie jak to on sprytnie Niemców kołował, powodując wypuszczenie go na wolność.

Wszyscy od tej pory patrzyli na niego jako na osobę podejrzaną. Szybko jednak zdobył zaufanie wśród alowców, którzy powierzyli mu jesienią stanowisko Komendanta Rejonu Ilży.

Dwa dni później Niemcy zwolnili z aresztu braci Szymczyków oraz "Robura". W sprawie Szymczyków interweniował starosta niemiecki Zetelmeyer, a w sprawie "Robura" Forstmeister Meyer.

"Robur" zaniepokojony o losy archiwum personalnego Obwodu, ukrytego w budynku leśniczówki Klepacze, natychmiast się tam udał. Miejsce ukrycia znane było tylko jemu i mnie. Zabrał ze schowka wszystkie dokumenty oraz filmy, znajdujące się razem, pozostawiając tylko moją broń i oporządzenie wojskowe. Gdy się z nim spotkałem filmy były już spalone, gdyż jak mnie dwukrotnie przestrzegał, nie wolno było robić zdjęć partyzanckich lub podobnych. Filmy robiłem w oddziale "Szarego", z jego polecenia, a uważałem że są mniejszym zagrożeniem w razie wpadki niż przechowywane dokumenty, z którymi były razem. Gdybym wiedział, że tak się stanie, trzymałbym te filmy osobno. Mielibyśmy dziś doskonale zdjęcia z życia partyzantów, gdyż "Szary" polecił mi filmować wszystko co uznaję za ciekawe i warte utrwalenia.

Nie mając w rękach leśniczego, gestapowcy "użyli sobie" na jego stryju Antonim Langerze. Został przez nich mocno poturbowany ale dzielnie się trzymał.

Na pytanie dlaczego leśniczy ukrywał u siebie zbiegłych z obozu jeńców Rosjan, odpowiedział że wcale ich nie ukrywał. Wszyscy dokoła widzieli ich pracujących w gospodarstwie a chyba lepiej że tu pracowali niż gdyby poszli do lasu i strzelali do was. Argument do Niemców trafił.

Innych konkretnych zarzutów trudno było znaleźć i w zasadzie mieszkańcy leśniczówki kwalifikowali się do zwolnienia.

Dwie młode kobiety z Warszawy wysłano do pracy przymusowej w Niemczech, a innych stopniowo zwalniano do domu.

Źle natomiast potoczyły się sprawy por. Teofila Tomczyka. Jako oficer KRIPO (Policja Kryminalna) był dobrze znany gestapowcom w Starachowicach. Jego tłumaczenie się że jechał rowerem przez lasy i został schwytany przez partyzantów, którzy nakazali mu pozostawanie na leśniczówce i nieoddalanie się z niej, było naiwne. Sąd złożony z gestapowców, pod przewodnictwem Beckera (szefa Gestapo w Starachowicach) skazał Tomczyka na karę śmierci. Jedynie zastępca Beckera Lahban usiłował bronić Tomczyka

w czasie "rozprawy". (Lahbana też Niemcy zamordowali z jakichś powodów, kilka tygodni potem).

Aby ratować Tomczyka, jeden z jego podkomendnych, ppor. Kurski, postanowił Beckera zaszantażować. Udał się do sklepu "nur fur Deutsche", prowadzonego przez Wacława Skwarlińskiego, żonatego z Niemką, i telefonicznie zagroził Beckerowi że jeżeli zginie Tomczyk, to zginą również jego kochanka i syn.

Zaraz po tej rozmowie Kurski udał się do żony por. Tomczyka i namówił ją aby poszła do Beckera i prosiła o uratowanie męża.

Szantaż widocznie poskutkował. Becker powiedział: "wyroku sądu ja zmieniać nie mam prawa, mogę jednak wystąpić do Generalnego Gubernatora Franka z wnioskiem, o zamianę kary śmierci na obóz koncentracyjny. Nie było jeszcze wypadku ażeby Gubernator odrzucił taki wniosek. W obozie nie giną wszyscy i może pani wierzyć że mąż powróci. "

0 transporcie do obozu zawiadomiono kpt. Romana Tomczyka, łącznika Komendy Głównej AK, który jako kpt. Roman Sadurski utrzymywał kontakt w 1940 r. pomiędzy Komendą Główną ZWZ i organizacją starachowicką. On spowodował, że pociąg w którym jechał Tomczyk do obozu, został zatrzymany przez oddziały BCh pod Wolbromiem, a por. Tomczyk uwolniony pozostał wśród tamtejszych bechowców aż do wkroczenia wojsk radzieckich.

Por. Teofil Tomczyk pracując w KRIPO miał stale służbowe kontakty z gestapowcami w Starachowicach i znał ich wszystkich. Stwierdził on, że przesłuchania aresztowanych w Klepaczach prowadził starszy wiekiem gestapowiec z Lublina i że starachowickie Gestapo zostało wzmocnione ewakuowanymi gestapowcami z Lublina. Ta informacja znakomicie uzupełnia informacje na temat "Bloka". Otóż po wkroczeniu wojsk radzieckich odbył się w Iłży wiec, na którym przemawiały osobistości partyjne a wśród nich była delegacja z Lublina. Kpt. LWP Potwardowski oraz Delegat Rządu Lubelskiego, nazwiskiem Niemiec, dostrzegli pomiędzy kręcącymi się alowcami "Bloką" i z ogromnym zdziwieniem zapytali "a skąd ten gestapowiec znalazł się między wami? "

Nastąpiła konsternacja lecz po jakimś czasie znaleźli się wśród alowców obrońcy "Bloka" i ostatecznie sprawa w sądzie zakończyła się, niewielkim jak na owe czasy wyrokiem, 6 lat więzienia. Nie siedział długo i po pewnym czasie zmienił nazwisko i pracował na całkiem niezłych stanowiskach we władzach PRL.

Analizując sprawę "Bloka" widać wyraźnie, że Gestapo w Lublinie ewakuując się do Starachowic, zaplanowało wcześniej, jak i gdzie rozmieścić swych pracowników. Część z nich zasiadła za biurkami w urzędach Gestapo a część, jak np. "Blok" przeniknęła do organizacji tajnych, podając się za uchodźców ze wschodu lub takich którzy rzekomo wykorzystali zamęt ewakuacyjny u Niemców i uciekli od nich. "Blok" uciekając w szeregi AL, przywiózł ze sobą dwa mundury SA i pistolet Walter 7, 65, który zatrzymał dla siebie. Wozził alowców swoim autem, poubieranych w mundury SA, robiąc im wielką atrakcję. Stanisław Łęcki "Boss" robiąc alowcom ten "prezent", nie przewidział jego skutków. Zupełnie nie zrozumiał był jego postępek. "Blok" używający nazwiska Józef Kaczmarczyk, rozpoznał doskonale całą sieć konspiracyjną AL-Świt i inne, BCh, i na pewno w jakimś stopniu AK. Masowe aresztowania młodzieży wiejskiej w okolicy Iłży i aresztowania przywódców terenowych AL, jakie nastąpiły jesienią 1944 r. świadczyły o tym najlepiej. Piszą o tym także członkowie AL-Świt, których relacje napotkałem w Centralnym Archiwum Wojskowym. Gestapo zorientowało się dzięki "Blokowi" i "Skrętowi" że cała młodzież wiejska uczestniczy w konspiracji i na wszelki wypadek

lepiej będzie ją aresztować i wysłać na roboty do Rzeszy lub do obozów koncentracyjnych. Koniec wojny na tym terenie przeszkodził Niemcom w całkowitej realizacji swych zamiarów.

Błąd jaki Niemcy popełnili "aresztując" "Błoka", z powodu całkowitej pewności że uda im się schwycić wszystkich mieszkańców leśniczówki, którego w następnym dniu trzeba było wypuścić, przypuszczalnie wpłynął na tok spraw. Gdyby teraz Niemcy wymordowali pozostałych aresztantów, "Blok" byłby spalony. I tak swoim nagłym powrotem wprowadził wszystkich w zdumienie. Należy przypuszczać, że on właśnie załatwił iż wszyscy wyszli z życiem. Niemcom bardziej zależało na pozostawieniu "Błoka" w warunkach w których był dotychczas, niż na zabiciu kilkunastu mało znaczących osób.

W czasie gdy mieszkańcy leśniczówki Klepacze siedzieli zamknięci w piwnicy, do Klepacz zbliżał się idący forsownym marszem pluton 3 pp AK. Pluton ten, dowodzony przez por. Ryszarda Brodeckiego "Błyskawicę", maszerował z koneckiego na Powiśle, po karabiny maszynowe.

W plutonie tym maszerował młodszy syn leśniczego z Klepacz, Zbigniew Langer "Jodła", obiecując kolegom że po przybyciu do leśniczówki dobrze sobie odpoczną i podjedzą. W dniu 9-go września przed południem pluton przemieszczał się przez jodłowe gęstwiny, w okolicy skrzyżowania działki 13-ej i leżni "I". W pewnej chwili zauważono na drodze, kilkadziesiąt metrów przed sobą, grupę własowców. Ci także zauważyli partyzantów i jeden z nich zaczął krzyczeć do kolegów "dawaj DP, dawaj DP", co znaczyło że przywoływał kolegę z karabinem maszynowym. W odpowiedzi por. Brodecki "Błyskawica" donośnym głosem zakomenderował "karabiny maszynowe na stanowiska". Własowcy słysząc to, a było ich prawdopodobnie niewielu, uciekli.

Dochodzące serie broni maszynowej z rejonu Orłowin (skrzyżowanie leżni "F" z gościńcem ostrowieckim) przemawiały za tym, że w lasach jest jakaś oblawa. Wtedy brat mój Zbigniew oraz pchor. Jan Waszczyński "Kruszyna", także kilkuletni mieszkaniec leśniczówki Klepacze, wystąpili jako przewodnicy plutonu. Poprowadzili go przez rejon Wierzbeczek (mokradło położone na zachód od Klepacz) do okolicy, w której spotykało się sporadycznie rosnące kępy młodych jodełek. Kępy te o średnicy około 50 m znakomicie nadawały się do ukrycia plutonu, który w jednej z nich znalazł schronienie. Leżąc w tych jedlinach partyzanci "Błyskawicy" przeżyli chwile napięcia. Blisko kępy, starą, nieużywaną już drogą, przejeżdżał w pewnej chwili konny oddział około 20-tu własowców. Gdyby dowódcy tego oddziału przyszła do głowy myśl aby sprawdzić te krzaki, doszłoby do walki. Pluton łatwo pokonałby własowców ale wtedy na odgłos strzałów przypędziłoby tysiąc innych, z odległej o kilometr leśniczówki. Własowcy na koniach z łatwością osaczyliby pluton "Błyskawicy" i chyba nikt z partyzantów nie wyszedłby żywy z tej matni. Na szczęście nic takiego się nie stało.

Po dotrwanu do nocy partyzanci wysłali zwiad w kierunku leśniczówki, stwierdzając że własowcy ją opuścili. W nowej sytuacji "Błyskawica" pomaszerował z plutonem w kierunku północnym, docierając do obozu "Potoka" pod Krukami. Tu zwolnił kilku chłopców na urlop aby mogli odwiedzić rodziny, a z resztą oddziału udał się dalej po broń.

Zawiadomiony przez pewnego mieszkańca Błazin, że w moim domu są wszyscy aresztowani, opuściłem swe miejsce pobytu i udałem się do obozu "Potoka". Tu spotkałem brata i razem udaliśmy się na leśniczówkę obejrzeć jak teraz wygląda.

Przy okazji wyciągnąłem ze schowka swój nowiuteńki, radomski karabin, hełm, pas z ładownicami, bagnetem i łopatką, chlebak pełen amunicji i granatów, kilka pistoletów i lornetkę. Z tym balastem udaliśmy się z leśniczówki w kierunku północnym, do mojego motocykla "Sokół 600 z przyczepą", który stał spokojnie zamaskowany pod wielką, rozłożystą leszczyną. Gdy zapalałem silnik usłyszeliśmy serię karabinu maszynowego oddaną koło leśniczówki. Zrozumiałem, że seria jest oddana przez własowców, którzy nadjechali niespodziewanie od strony Brodów Iłżeckich lub Boru Kunowskiego. Kilka minut im zabrakło aby nas w leśniczówce schwytali. Licząc się z tym, że własowcy mogą dalej jechać w głąb lasów i za kilka chwil mogą się znaleźć na drodze, którą zamierzamy jechać do obozu "Potoka", dałem polecenie bratu aby zajął miejsce w przyczepie i ruszyłem w drogę.

Po przyjeździe do obozu wyszedł do mnie ze swego szałasu "Potok". Po przywitaniu się dałem mu swoją broń i oporządzenie aby dał komuś w użytkowanie, gdyż ja jeszcze nie nadaję się do tego. Kilka kroków od nas siedział pod drzewem bez broni, jak mi się wydaje na podstawie zdjęcia fotograficznego, Zdzisław Bugaj. Słyszając moje słowa podskoczył do nas i "Potok" wręczył mu mój karabin i oporządzenie. Wyglądał na kogoś, kto już odbywał służbę wojskową i w przypadku Bugaja, tak właśnie było. Został drużynowym, dzięki uzbrojeniu które mu przywiozłem.

Mój pistolet, dawniej własność jednego z iłżeckich żandarmów zabitych w walce z oddziałem "Szarego", wypożyczyłem sierżantowi "Wazonowi", widząc jak ten ogromnie gruby a bardzo lekko poruszający się szef kompanii, nie ma przy pasie broni. Wydawało mi się, że mój pistolet będzie bardzo mu pasował. Potem dowiedziałem się że "Wazon" miał wielki pistolet Steyera, którego ze względu na ciężar nie nosił. Mimo to mój pistolet Mauser 7, 65 chętnie przyjął.

Po trzech dniach pobytu w lasach starachowickich, pluton "Błyskawicy" odmaszerował z powrotem w koneckie. Pomaszerował z nim także plut. Stanisław Cheda "Ryś", jeden z drużynowych w Iłżeckim Pułku AK "Potoka".

Pluton "Błyskawicy" miał dramatyczną drogę powrotną. Maszerując wszedł na teren objęty niemiecką obławą i prawie cudem udało się partyzantom wyjść z opresji cało. Stracili jednak konia z przytroczonym karabinem maszynowym. Koń nie był przyzwyczajony do huków wystrzałów, zerwał się i pobiegł z ładunkiem, w tzw. siną dal.

Leśniczówka Klepacze stała opustoszała. Leśniczy się ukrywał, śpiąc w obozie "Potoka" lub biwakując w lesie.

Ja przeniosłem się chwilowo na melinę do Tadeusza Langer w Stanisławowie koło Pakosławia, który był bratem stryjecznym mego ojca. W tym czasie na Klepacze przybyła niespodziewanie grupa ludzi z Warszawy, zwolniona przez Niemców po upadku Powstania Warszawskiego. Wśród nich matka Jana Waszczyńskiego, mieszkańca leśniczówki, przebywającego w tym czasie w 3-cim pp, u "Szarego".

Osoby te zastały pustą leśniczówkę i zamieszkały w niej, robiąc porządki w pomieszczeniach mieszkalnych. Z biegiem czasu zaczęły wracać inne osoby, wypuszczane stopniowo z aresztu w Starachowicach. Równocześnie Forstmeister Meyer i dr Leon Mroczkiewicz czynili starania aby Gestapo uznało mego ojca za praworządnego leśniczego, który w istniejących warunkach nie mógł inaczej postępować. Ich starania uwieńczone zostały sukcesem a Forstmeister przydzielił ojcu wóz i konia, jako rekompensatę za straty poniesione w wyniku najazdu własowców. Okoliczni ludzie dopomogli w zaopatrzeniu w żywność, a "Potok" podarował ojcu mleczną krowę jako zaczątek odradzającego się inwentarza. Antoni Heda "Szary" gdy się dowiedział o

sytuacji, przysłał ojcu bryczkę z parą koni, przesyłając ją za pośrednictwem demobilizowanych żołnierzy. Doprowadził ten prezent st. sierż. Walery Michałowski "Lech", dowódca plutonu w Brodach Iłżeckich.

Choć ojciec mój niedowierzał Niemcom i zachowywał ostrożność, obawiając się ponownej próby aresztowania go, do końca wojny nic takiego się nie zdarzyło. Teraz zajął się wraz z innymi leśnikami organizacją pomocy w odbudowie spalonych domów we wsi Dębowe Pole i okolicy.

Po walce w Dębowym Polu nie było wątpliwości co teraz nastąpi. Mieszkańcy wsi schronili się w lasach i gdy przybyły niemieckie oddziały pacyfikacyjne, we wsi znajdowało się tylko kilka starszych osób, głównie kobiet, które godząc się z losem wsi nie chciały opuścić. Oczywiście osoby te zostały zastrzelone i spalone razem z budynkami.

Prawdopodobnie gdyby nie doszło do walki partyzantów we wsi, zginęliby wszyscy jej mieszkańcy. Oddział własowców, który przybył do wsi, miał na celu ją spacyfikować. Grupa żołnierzy z tej jednostki, wiedząc że tę wieś będą w tym dniu pacyfikować, pojechała wcześniej do wsi aby dokonać rabunku mieszkańców, zanim domy zostaną podpalone a mieszkańcy wybici.

Można mieć tylko takie przypuszczenia. Organizacja AK biorąc pod uwagę, że przyczyną spalenia wsi była walka żołnierzy tej organizacji, starała się potem pomóc w jakiś sposób mieszkańcom wsi. Wystąpiła więc do okolicznych leśników o pomoc w uzyskaniu drewna budowlanego, a także wręczano mieszkańcom pieniądze na odbudowę i potrzeby żywnościowe.

Kilka dni po najeździe Niemców na leśniczówkę Klepacze, do obozu nr 1 koło Klepacz przybył "Potok" wraz z oddziałami Iłżeckiego Pułku. Po krótkim pobycie przerzucił się do rejonu Lipia, a następnie Kruków, zmieniając miejsce postoju co trzy lub cztery dni. W tym to czasie rozegrała się tragedia wsi Piotrowe Pole.



Fot. 169. Por. Witold Mrowiński „Fiedler” jako podchorąży ze swoją siostrą Ireną na ulicach Warszawy.



Fot. 170. Podoficer żandarmerii WP Wacław Chajec „Sum” z siostrą Stanisławą. Poległ w walkach Iłżeckiego Pułku AK w dn. 1. 10. 1944 r.



Fot. 171. Kpr. Waław Chajec „Sum” (pierwszy z prawej) z kolegami.



Fot. 172. Szpital Miejski w Ostrowcu Św. Tu leczyli się ranni żołnierze konspiracji. Na zdjęciu postrzelony przez alowców pchor. Franciszek Wydra „Gromski” z pielęgniarką Eleonorą Bochniak. Z lewej Ireneusz Janczarski „Zdara”. Tu leczył się ranny pod Dębowym Polem pchor. Marian Godlewski „Ront”.

Fot. 173. Wojciech Targowski „Vis” (z lewej) i Marian Godlewski „Ront”, uczestnicy walki 28. 08. 1944 r. we wsi Dębowe Pole, odznaczeni za nią Krzyżami Walecznych, przybyli na uroczystość odsłonięcia pomnika w dniu 16. 09. 1990 r., na miejscu dawnej walki.



Fot. 174. Od lewej: Wojciech Targowski „Vis”, Marian Godlewski „Ront”, Marian Langer „Brzoza”, mieszkanka wsi, Stefan Wojtas „Szczygieł”, Jerzy Falkiewicz „Orlątko”, Julian Sadłós „Biedny”.





Fot. 175. Mapa rejonu wsi Dębów Pole oraz lasów w którym obozowało Zgrupowanie AK „Ostoja”. Na planie widać oznaczone liczbami rzymskimi kolejne miejsca obozowania. Dwa punkty oznaczone I dotyczą obozu głównego (po prawej stronie) oraz miejsca postoju plutonu z Kunowa, pod dowództwem st. sierż. Wacława Wanata „Gorliwego”. Na dole mapki widać folwark Jeleniec obok którego stoczył walkę oddział „Szarego”.

Piotrowe Pole

Mała leśna wioska, oznaczona na mapach z XIX w. jako wieś Myszczyzna, licząca 17 gospodarstw i dwie gajówki, przetrwała szczęśliwie prawie 5 lat wojny, chociaż niebezpieczeństwo zagłady, jak miecz Damoklesa, wisiało nad nią przez cały ten czas. Położona dość głęboko w lasach może do dziś nie byłaby znana gdyby nie wojna.

Tu wycofała się 12-ta podolska dywizja piechoty WP i wiele innych jednostek wojska, we wrześniu 1939 r., po nieudanej akcji przebicia się w kierunku Wisły. Tu przy skrzyżowaniu leżni "F" (zwanej strażową) z gościńcem ostrowieckim, generałowie Skwarczyński i Paszkiewicz opuścili swoje wojsko udając się za Wisłę, dając podległym oficerom rozkaz niszczenia ciężkiego sprzętu i przedzierania się małymi grupkami w tym samym kierunku (Leszek Siemion, "Iłża pamiętna klęską").

Lasy w rejonie Piotrowego Pola zaproszone były porzuconą bronią, dyskretnie ukrytą przez spadające jesienią liście. Tu właśnie ciągnęły potem rzesze poszukiwaczy broni, grzebiących w leśnej ściółce. Dużo tej broni ukryli mieszkańcy wsi, przekazując potem nadmiar powstającym organizacjom wojskowym.

Na wioskę tę przez cały czas wojny Niemcy patrzyli uważnie, nie wierząc w to że jej mieszkańcy nie uczestniczą w rozwijającym się wszędzie zbrojnym Ruchu Oporu.

Leśna polana, na której gospodarzyli mieszkańcy wsi oraz gajowi liczy około 50 ha powierzchni, czyli tyle co jedno duże gospodarstwo rolne. Gdy przyszło oddawać Niemcom pierwsze kontyngenty zbożowe, ludzie nie mieli czym się dzielić z okupantem. Już pierwszego roku wojny sołtys Antoni Wrześniewski, razem z innymi sołtysami, przesiedział 6 tygodni w areszcie iłżeckiej żandarmerii, za to że ludzie z jego wsi nie dostarczyli Niemcom w terminie zboża. Represje takie zaprowadził Kreislandwirt von Szczepański, polski renegat, mianowany przez Niemców vicestarostą do spraw rolnictwa. Sołtys Antoni Wrześniewski był wyjątkowo dobrym i czynnym sołtysiem, żyjącym na co dzień sprawami swej gromady. Należały do niej także Klepacze (za wyjątkiem gospodarstwa Góreckich należących do wsi Bór Kunowski). Ze wszystkimi problemami zjawiał się Antoni Wrześniewski u mojego ojca i radzili wspólnie jak przeciwdziałać złu. Pamiętam zdarzenie gdy na początku wojny jakiś obcy człowiek zamieszkał we wsi. Lubił dużo pić i mówić niepotrzebne rzeczy. Doszło do tego, że zaczął szantażować mieszkańców wsi, mówiąc że wie o nich więcej niż przypuszczają i postara się aby i Niemcy o tym wiedzieli.

Ojciec, po naradzie z sołtysiem, przeprowadził w tej sprawie rozmowy z kierownictwem ZWZ i osoba ta w krótkim czasie otrzymała dwukrotne ostrzeżenie, które nie poskutkowało.

Nie było innego wyjścia. Lepiej niech zginie jeden pijak niż cała wieś. Był to czas, że na żarty nie było miejsca i obowiązujące prawa były bezwzględne.

Latem 1943 r. iłżeccy żandarmi przebrali się w cywilne ubrania i pojechali w lasy, udając partyzantów.

Oczywiście zaczęli od Piotrowego Pola. Przyjechali do wsi z rana i przebywali tam cały dzień. Myli się, jedli, i obserwowali zachowanie się mieszkańców.

Po ich odjeździe sołtys Antoni Wrześniewski przyjechał zaraz rowerem na Klepacze i opowiedział ojcu, co za dziwny oddział przebywał we wsi. Około 30 ludzi, na rowerach. Tylko niektórzy rozmawiali z ludźmi, mówiąc bardzo ładnym językiem polskim. Inni jak niemowle nic się nie odzywali. Prosimi o jedzenie, smażyli jajka, gotowali kury, myli się, ale nic na swój temat nie mówili. Wszyscy byli dobrze odżywieni i ubrani oraz mieli zupełnie nie zniszczoną broń i nowe wyposażenie. Wyglądali z tego powodu podejrzanie. Ludność, która już nie raz oglądała partyzantów i wiedziała jak wyglądają, nie dała się zwieść. Na wszelki wypadek odniosła się do nich chłodno, wykonując tylko polecenia.

Dziś wiemy, że byli to ilżeccy żandarmi.

Jak wspomina Władysław Bimek ze wsi Miłkowska Karczma, jechał on latem 1943 r. na rowerze gościńcem ostrowieckim w kierunku wsi Piotrowe Pole. W okolicy gajówki Murowanką zatrzymała go grupa rowerzystów, ubranych po cywilnemu lecz z karabinami. Zabrali mu bańkę bimbru, którą wiozł na handel oraz dokumenty. Powiedzieli mu, ażeby po dokumenty zgłosił się w Iłży w żandarmerii. W ten sposób wyszło przysłowiowe "szydło z worka".

Jak wspomina dalej Władysław Bimek, pojechał on do Iłży i zgłosił się w budynku żandarmerii.

Gdy napotkany w korytarzu żandarm zapytał go po co tu przyszedł, Bimek odpowiedział zgodnie z prawdą. W odpowiedzi żandarm zamknął Bimka w jakiejś ciemnej komórce pod schodami i możliwe że o nim zapomniał. Po kilku godzinach do komórki zajrzał inny żandarm i wyciągnął go na korytarz, pytając Bimka co on tu robi? Gdy mu odpowiedział że przyjechał odebrać dokumenty dostał kopniaka w tył, po którym z trudnością się podniósł..... ale już z ulicznego chodnika.

Po takim załatwieniu sprawy żałował, że jechał niepotrzebnie tyle kilometrów, a do tego stracił rower na którym przyjechał i który pozostał na podwórku u żandarmów.

Stojąc pod bramą rozmyślał jak tu odzyskać pozostawiony rower. Bał się wejść na teren podwórka aby ponownie nie narazić się żandarmom. W końcu, pracujący w podwórzu Żydek, domyślił się o co chodzi i wyprowadził mu rower na ulicę.

Ilżeccy, a może także inni żandarmi, przebierali się po cywilnemu i zapuszczali do różnych leśnych wsi i osad, obserwując mieszkańców.

Ofiarami takiego podstępu stali się między innymi mieszkańcy dworku hr. Wickenhagena, położonego między Zawalami i Rybiczyną. Brat hrabiego, rotmistrz kawalerii Karol Wickenhagen, zasłynął w szarży kawalerii przebijającej się we wrześniu 1939 r. przez linie niemieckie z Łomianek do Warszawy. Píše o tym Marian Porwit w książce "Obrona Warszawy wrzesień 1939 r."

Po wkroczeniu Niemców do naszego kraju hr. Wickenhagen zniknął, kryjąc się przed okupantem. W samotnie położonym zespole budynków, oddzielonych od wsi lasem, zamieszkiwał tylko ogrodnik oraz kilka nieznanymi kobiet z Warszawy, a z nimi kilkoro małych dzieci w różnym wieku. Osoby te nie utrzymywały kontaktów z okoliczną ludnością. Można je było widzieć w niedzielę, gdy z nieco starszymi dziewczynkami przychodziły na nabożeństwo do kościoła w Grabowcu.

Gdy grupa żandarmów przebranych po cywilnemu zajechała do nich, nieorientowane kobiety wzięły ich za polskich partyzantów. Prawdopodobnie przyjęły ich odpowiednio gościnnie i nie kryły przed nimi swego patriotyzmu. Rezultat tych odwiedzin był taki,

że pewnego dnia po południu, mieszkańcy wsi Rybiczyna i innych dostrzegli słup dymu i ognia, w miejscu gdzie stał dworek Wickenhagen. Równocześnie słychać było liczne strzały. Z dotychczasowych doświadczeń można się było spodziewać, że nie jest to zwykły pożar i nikt nawet nie pomyślał ażeby tam biec z jakąkolwiek pomocą. Dopiero po paru godzinach sprawdzono ostrożnie co się stało.

Znaleziono pozabijanych wszystkich mieszkańców łącznie z dziećmi. Jedno bardzo małe dziecko znaleziono zastrzelone w wanience podczas kąpieli. Zabudowania spalone. Świadców tego wydarzenia nie było, lecz na podstawie podobnych praktyk niemieckich w innych miejscach, nie ulega wątpliwości że zrobili to żandarmi.

Gdy front radziecko-niemiecki oparł się na linii Wisły, w Siennie zainstalowało się Sipo(Gestapo) frontowe, dysponujące sporą jednostką własowców. Własowcy tej jednostki zapuszczali się w głąb lasów, aż do rejonu Murowanki i Piotrowego Pola.

W dniu 22 września 1944 r., około godz. 6-iej rano, do wsi Piotrowe Pole przybył konny oddział kilkudziesięciu własowców w towarzystwie pracowników Sipo. Tak wczesne przybycie niemieckich oddziałów do wsi mogło świadczyć o złych zamiarach w stosunku do mieszkańców wioski. Dodatkowo sprawę pogorszyło starcie się przybyłych żołnierzy niemieckich z partyzantami. W okolicy gajówki w której zamieszkiwał gajowy Edward Młynarczyk, usytuowana była placówka ubezpieczająca oddziały "Potoka". W krytycznym dniu dowódcą placówki był kpr. Jan Fryzel "Sahajdaczny". Należał on, jak mogłem to zauważyć, do żołnierzy mało zdyscyplinowanych. Lubił bardzo samotne spacerować po lesie i miałem okazję spotykać go na nich. Był kiedyś moim szkolnym kolegą w gimnazjum starachowickim. Jestem przekonany, że na samotne spacerować po lesie nie otrzymywał zgody swoich przełożonych. Będąc na placówce nie wytrzymał zbyt długiego na niej pobytu i poszedł na spacer do rejonu wsi, gdzie zamieszkiwała jego ciotka, Władysława Kucharska, z domu Kiepas. Doszło do strzelaniny pomiędzy nim i własowcami, których kilku ranił. Opatrywano ich przy studni gajowego Szelugi, także znajdującej się obok wsi Piotrowe Pole.

"Sahajdaczny" po powrocie złożył meldunek że placówka była zaatakowana przez Niemców, których trzech zabił a po obrzuceniu pozostałych granatami, wycofał się do obozu. Informację o tym zanotował w swoim pamiętniku, kronikarz oddziału "Potoka" "Zadra". W niemieckim komunikacie, zamieszczonym na końcu rozdziału, brak jest informacji na temat strat niemieckich. Najwidoczniej nie były one duże.

Po tym zajściu oddział niemiecki spalił wieś i aresztował wszystkich mężczyzn. Zabrano także żywy inwentarz mieszkańców wsi, rabując przy okazji cenniejsze przedmioty. Trudno jest odpowiedzieć na pytanie czy Niemcy przybyli do wsi z zamiarem pacyfikacji, czy też pacyfikacja była wynikiem starcia z partyzantami. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy wiedzieli iż w okolicy wsi Piotrowe Pole stacjonowały oddziały partyzanckie "Łokietka", "Ośki", a ostatnio także "Potoka", który miał swój obóz (nr 4) dość daleko od wsi, bo w odległości około 2 km, co jak na warunki leśne było dość daleko.

Jak potem opowiadali świadkowie, którzy przeżyli pacyfikację, Władysław Lis, Władysława Kucharska z. d. Kiepas, i inni, własowcy po przybyciu do wsi czuli się bardzo niepewnie. W stosunku do ludzi zachowywali się względnie dobrze i śpieszyli się, bojąc się prawdopodobnie spotkania z partyzantami. Swoje zadania wykonywali bez strzelaniny jak gdyby bali się, że strzałami mogą zaalarmować znajdujące się bliżej oddziały partyzanckie. Ludziom nie przeszkadzali w ratowaniu dobytku.

Świadek tych wydarzeń, wtedy 13-to letni mieszkaniec wsi, Edward Lis (obecnie b. zastępca dyrektora Zespołu Szkół Zawodowych w Ostrowcu Św.), wspomina jak jego wujek Władysław Lis, widząc nadjeżdżających własowców wskoczył do stodoły. Własowcy jednak to zauważyli i natychmiast dwóch konnych podjechało do budynku i z dwóch stron podpalili strzechę.

Władysław Lis przechytrzył czekających własowców. Trwał w płonącej stodole jak mógł najdłużej i równocześnie przebierał się za kobietę. Wrzucił na siebie wiszącą tam spódnicę, na głowie zawiązał chustę, nabrał w płachtę siana ile tylko mógł i dźwigając ten wielki ładunek na plecach, w pozycji bardzo pochylonej wyszedł na zewnątrz. W zamęcie jaki się we wsi wytworzył, własowcy uznali go za kobietę ratującą dobytek. Władysław Lis doszedł z tym sianem do lasu po drugiej stronie drogi i zniknął w gęstym poszyciu porzucając swój ładunek. Rodzina, która zauważyła że ukrył się w stodole, nie wiedziała że z niej wyszedł. Uznała go za nieżyjącego. Opłakując go grzebała w popiołach, szukając jego szczątków. Zjawił się po trzech dniach zdrów i cały, przyprowadzając jeszcze ze sobą krowę, która zbiegła własowcom i błąkała się po lesie.

Własowcy, po zgromadzeniu mężczyzn poprowadzili ich drogą w kierunku Kruków, aby potem skręcić w prawo leżnią "D" do wsi Rybiczyna. Wybranie tej trasy przemarszu przez Niemców, świadczyło o tym iż nic nie wiedzieli o obozujących oddziałach "Potoka", przechodząc prawie pod ich bokiem.

Podczas przemarszu przez lasy, własowcy byli dla aresztowanych ludzi względnie dobrzy. Po wyjściu z lasu, gdy poczuli się bezpieczni, stali się ordynarni i pewni siebie.

W dniu 22 września oddziały "Potoka" stacjonowały w obozie nr 4, odległym od trasy przemarszu własowców o około 1, 5 km. "Potoka" w tym dniu nie było w obozie. Zastępował go młody podporucznik "Włodek"(NN). Miał on informacje, że do wsi Piotrowe Pole przybyli Niemcy. Nie wiedział tylko ilu ich przyszło i w jakim celu. Miał prawo przypuszczać, że są to normalne ruchy wojsk, jakie ciągle widziało się na tym terenie. Rozpoczynanie z nimi walki mogłoby spowodować na wieś represje. Nie wiedział, że właśnie w tym celu Niemcy przyszli.

Gdy patrole zwiadowcze doniosły mu, że Piotrowe Pole się pali, nie wiedział w pierwszej chwili co należy robić. Rozpoczynanie walki z nieznaną ilością Niemców, którzy na pewno przyszli przygotowani na taką ewentualność, mogło nie przynieść pożądanых efektów, a Niemcom dać argument że wieś współpracuje z partyzantami, którzy ją bronią.

Ponieważ wśród partyzantów domagano się pójścia z odsieczą, "Włodek" zdecydował poprawnie lecz za późno. Wysłał trzy grupy partyzanckie w celu przecięcia dróg odwrotu Niemców. Zadaniem grup miało być ostrzelanie Niemców i wywołanie zamieszania, które pozwoliłoby na ucieczkę aresztowanym. Decyzja "Włodka" była spóźniona. Partyzanci przecięli własowcom drogę 20 minut za późno. Opowiadał mi o tym kpr. Wacław Pryciak "Sokół", który był w tej grupie. To samo mówił mi "Potok", który dwa lub trzy dni potem pojawił się z oddziałami w obozie nr 1, koło Klepacz. Był bardzo zasmucony faktem pacyfikacji wsi pod bokiem jego oddziałów i nie mógł się z tym pogodzić. Zawsze witając się ze mną był uśmiechnięty, a tym razem miał twarz zasmuconą i natychmiast go zapytałem o przyczyny. Wtedy to dowiedziałem się po raz pierwszy o nieszczęściu wsi, udając się natychmiast z tą wiadomością do ojca.

"Potok" zaczął rozważać możliwości zrobienia wypadu do Sienna w celu uwolnienia aresztowanych. Nasycenie Sienna i okolicy oddziałami niemieckiego wojska, przekreślały ten wariant. Wkrótce wpadł w ręce żołnierzy "Potoka" dyrektor zakładów zbrojeniowych

w Starachowicach, gen. rez. Fritz Hofmann. Trafiła się okazja dokonania wymiany tego bardzo ważnego Niemca na ludzi z Piotrowego Pola. Zaczęły się nawet rozmowy na ten temat, jednak dalsze wydarzenia o których będę pisał, nie doprowadziły do tego.

Niemcy poszli na rozwiązanie siłowe. Prowadząc z "Potokiem" rozmowy, organizowali akcję zbrojną na wielką skalę, mającą na celu rozbięcie oddziałów "Potoka" i uwolnienie Hofmanna. Akcja ta oznaczona była przez Niemców kryptonimem "Wotan" a nadzór nad nią miał sam Gen. Gubernator Frank. Podczas walk, przybyły z Ostrowca kpt. J. Grzywacz "Mars", odprowadził samowolnie do Niemców Hofmanna i tym samym utraciono element przetargowy. Po zakończeniu walk, prawdopodobnie w połowie października 1944 r., Niemcy w Siennie zamordowali aresztowanych we wsi Piotrowe Pole ludzi. Wykaz ich umieszczony jest w załączniku nr 1.

Na koniec chcę przytoczyć niemiecki komunikat o pacyfikacji wsi Piotrowe Pole, znajdujący się w aktach Gł. Kom. Bad. Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie:

Der SS und Polizeiführer im Distrikt Radom Radom, 27. Sept. 1944

lc(KdS) Betrifft: Tägliche Ereignismeldung

22. 9. 44 Kreis Starachowice:

Wald bei Piotrowe Pole, o 137(12-7-5), bei Erkundungsunternehmen der WH/Sipo in Piotrowe Pole Feuerüberfall durch Banditen. Nach Feuerkampf Banditen vertrieben. Ortschaft in Brand geschossen. Groessere Mengen Munition explodiert. Vermutl. mehrere Banditen verwundet. 30 Bandenverdachtige festgenommen.

Tekst ten po przetłumaczeniu na język polski:

22. 9. 44 Powiat Starachowice:

Podczas akcji zwiadowczej w lesie koło wsi Piotrowe Pole, przeprowadzonej przez oddziały Wehrmachtu i Sicherheitspolizei(Gestapo), zostały one ostrzelane przez bandytów. Po wymianie ognia bandyci zostali wyparci. Wieś została spalona. W ogniu eksplodowały większe ilości amunicji. Według poufnych wiadomości wielu bandytów zostało rannych. 30 osób podejrzanych o przynależność do bandy lub współpracę z nią zostało aresztowanych.

Wybuchy amunicji podczas palenia wsi, o których wspominają Niemcy, prawdopodobnie miały miejsce. Świadkowie wydarzeń, mieszkańcy wsi, twierdzą że ze strony Niemców nie padł ani jeden strzał, natomiast partyzanci "Potoka" słyszeli huk, dochodzący od strony płonącego Piotrowego Pola. Były to najprawdopodobniej wybuchy spowodowane pożarem.



Fot. 176. Widok spalonej wsi Piotrowe Pole. Fot. Stanisław Kosicki „Bohun”, żołnierz Iłżeckiego Pułku „Potoka”.



Fot. 177. Zbiorowy grób mieszkańców wsi Piotrowe Pole zamordowanych w Siennie, eks-humowanych i pochowanych w Iłży.

1 Pułk AK Ziemi Iłżeckiej

W dniu 22 września 1944 r., w którym paliło się Piotrowe Pole, do Zgrupowania Potoka przybył skierowany przez Komendę Obwodu dość duży oddział leśny "Wrzosa".

Zgodnie z ustaleniami oba oddziały miały się spotkać w rejonie Dębowej Góry (zwanej też Grzybową Górą) koło Lipia, czyli jak się to potocznie mówiło "nad Kotyską".

Oddział "Wrzosa" liczył w chwili przybycia około 110 ludzi. Dowódcą był. ppor. Andrzej Bielański "Wrzos", który pod nazwiskiem Seweryn Maczuga pracował wcześniej na stanowisku leśniczego lasów państwowych w Gadce, położonej kilka kilometrów na północ od Wąchocka.

Niemcy od dawna podejrzewali "Wrzosa" o działalność konspiracyjną, a w 1943 r. aresztowali go i przewieźli do Gestapo w Radomiu. Po dłuższych badaniach zwolnili, aby jednak dalej mieć go na uwadze. "Wrzos" czując niebezpieczeństwo ponownego aresztowania przeszedł do lasu, obejmując dowództwo nad zorganizowanym przez siebie oddziałem.

Żołnierze, którymi dowodził, pochodzili z podobwodu "Morwa", obejmującego tereny okolic Skarżyska Kamiennej i Wąchocka.

Ppor. Andrzej Bielański "Wrzos", ur. 8. 11. 1905 r. operował ze swym oddziałem w lasach na południe i na północ od Wąchocka. Kilka dni przed przybyciem do "Potoka" rozbił oddział własowców pacyfikujących wieś w rejonie wsi Kaczka, koło Suchedniowa. Zdobył przy tym sporo broni i sprzętu wojskowego oraz zwrócił ludziom zrabowany im przez własowców inwentarz żywy i martwy.

Zastępcą "Wrzosa" był ppor. Roman Chrzanowski "Korab", były oficer policji, podobny wiekiem do "Wrzosa".

Oddział, zaprawiony już trochę w walkach, miał stosunkowo dużo broni maszynowej. Oprócz dwóch polskich rkm-ów wz. 28, oddział miał jeszcze trzy rkm-y pochodzenia czeskiego, francuskiego i radzieckiego. Był także karabin maszynowy niemiecki MG-34 oraz ciężki karabin maszynowy radziecki, tzw. Maxim, który nie miał podstawy i dorobiono mu dwie nóżki.

Do rkm-u francuskiego było mało amunicji, co zmniejszało jego wartość bojową, a ckm miał też jakieś usterki i w chwili gdy był bardzo potrzebny znalazł się w rusznikarni. Poza tym w oddziale było 6 lub 7 pistoletów maszynowych. Uzbrojenie było imponujące i razem z innymi kolegami chodziłem je oglądać. Szczególnie interesował nas czeski rkm, bardzo przypominający wyglądem "Bren", używany na Zachodzie a także zrzucany do Polski.

Wśród żołnierzy "Wrzosa" pochodzących głównie z wiosek rejonu Wąchock - Skarżysko - Mirzec było kilku Rosjan ale sensację wzbudzało dwóch dezertów z armii niemieckiej. Jednym był Kazimierz Bigadło "Walery", pochodzący z Torunia, a drugim był plutonowy "Sosna", o którym było wiadomo że ma na imię Stanisław i pochodzi z okolic Śląska. W ostatnich latach udało się zdobyć informacje, że "Sosna" miał faktycznie na imię Mieczysław, pochodził z rejonu Mielca, w niemieckim wojsku wcale

nie służył. Doskonale jednak władał językiem niemieckim i nosił w partyzantce mundur żołnierza Wehrmachtu, stąd niewtajemniczeni brali go za niemieckiego dezertera. Zmarł w 1984 r. nie życząc sobie ujawniania nazwiska. "Walery" natomiast zginął tragicznie po wojnie, podczas jednego z przyjazdów do kolegów w Skarżysku.

"Walery" i "Sosna" bardzo się przyjaźnili i razem dokonywali różnych akcji bojowych, udając niemieckich żołnierzy. Oni to bez jednego strzału zlikwidowali 13-to osobową obstawę mostu na rzece Żarnówce, zdobywając broń, oporządzenie i zapasy żywności jakie Niemcy zgromadzili. W Mircu rozbili Niemca, kierownika magazynu żywności, zabierając mu pistolet maszynowy "pepeszę", karabin i dwa pistolety. Niemiec w meldunku do policji podał, że napadu na jego mieszkanie dokonało dwóch mężczyzn w mundurach Wehrmachtu, doskonale władających ludowym językiem niemieckim, a jeden z nich miał na piersiach wysokie odznaczenia niemieckie (chodziło tu o "Walerego", który po walkach pod Stalingradem otrzymał Krzyż Żelazny). Włodzimierz Bielnicki "Sten", który również w tej akcji brał udział, podaje że zabrano wtedy Niemcowi bryczkę załadowaną papierosami i żywnością. Obaj "dezertery" bardzo się wyróżnili podczas walk toczonych przez Iłżecki Pułk w dniach 1-2 października 1944 r. Wielu kolegów podkreśla ich doskonałą znajomość rzemiosła wojennego. W wielu przypadkach przejmowali dowodzenie grupami żołnierzy, dając przykłady odwagi. "Sosna" nawet wyszedł z tego boju ranny.

Oddział "Wrzosa" po dołączeniu do Iłżeckiego Pułku wzbudzał sensację posiadaniem owieczki. Było to takie mądre lub wytresowane zwierzę, że podczas zbiórki oddziału ustawiało się samo na końcu dwuszeregu. Dziś nikt nie umie powiedzieć jakie były dalsze losy owieczki.

Od chwili przybycia do Iłżeckiego Pułku oddziału "Wrzosa" zaczyna się szybki wzrost Zgrupowania. Przybywają następne oddziały, głównie z opatowskiego obwodu AK "Grzegorz".

Obwód ten podzielony był na 5 podobwodów o kryptonimach: 100, 200, 300, 400 i 500. Do Iłżeckiego Pułku kierowano ludzi z podobwodów 100 oraz 300.

Podobwód 100 obejmował miejscowości oraz gminy: Ostrowiec Św., Częstocice, Kunów, Bodzechów, Grzegorzowice, Waśniów i Mominę.

Podobwód 300 obejmował: Ćmielów, Ożarów, Lasocin, Julianów, Wojciechowice, Rudę Kościelną i Zawichost.

Macierzystą jednostką zasilaną przez ludzi z obwodu opatowskiego był 2 pp leg. AK. Część ludzi z podobwodów 100 oraz 300, która nie zdążyła znaleźć się w 2-gim pułku, zostaje teraz skierowana do formującego się Iłżeckiego Pułku AK. Należy przy tym zauważyć, że dużą część obwodu opatowskiego zajęły wojska radzieckie, co spowodowało że pozostałą część przyłączono do obwodu iłżeckiego, w którym właśnie formował się Pułk.

Pierwsza grupa przybyła na początku września z rejonu Jeleńca, po walce z Niemcami we wsi Dębowe Pole. Złożona była głównie z oficerów i podoficerów, wykorzystanych przez "Potoka" do obsadzenia stanowisk dowódczych. Zorganizowano 1-szą kompanię pod dowództwem ppor. Witolda Mrowińskiego "Fiedlera", który został zastępcą dowódcy Zgrupowania "Potoka".

Dowódcami plutonów 1-ej kompanii zostali:

1-szy pluton: d-ca ppor Jan Kamiński "Wałek", zastępca kpr. Wojciech Krzysztanowski "Zawierucha",

2-gi pluton: d-ca ppor. Zygmunt Cyran "Sor", zastępca pchor. Jerzy Sulocki "Gozdawa",

3-ci pluton: d-ca ppor. Stanisław Dukat "Talar", zastępca st. sierż. Józef Orczykowski "Fezuj".

W drugiej połowie września zaczęła się formować 2-ga kompania, z ludzi napływających z podobwodu 100, czyli Ostrowca Św. i Kunowa. Na koniec września kompania ta liczyła około 100 ludzi i złożona była z 6-ciu drużyn. Organizacji w plutony jeszcze nie przeprowadzono.. Dowódcą kompanii został ppor. Janusz Marczyński "Kwiatkowski". Był on dowódcą plutonu w Częstocicach i został zmobilizowany do 2-go pp leg. AK. Z rejonu koncentracji 2-ej dywizji AK został wysłany do "Potoka" aby zająć się doprowadzeniem następnych jednostek. Przybył uzbrojony w zrzutowy pistolet maszynowy Thompson i już w Iłżeckim Pułku pozostał.

Były rozważania dowództwa wyższego szczebla czy należy Iłżecki Pułk dołączyć do Korpusu "Jodła" lecz po decyzji iż odsiecz dla Warszawy nie będzie, zrezygnowano z tego. Pod koniec września postanowiono użyć go do akcji "Burza".

Ppor. Janusz Marczyński ur. 1. marca 1910 r. w Sandomierzu, ukończył podchorążówkę w latach 1931/32 w Jarocinie. Służył w 71 pp. W 1939 r. zmobilizowany do jednostki w Kutnie, brał udział w Kampanii Wrześniowej na trasie Otwock-Chełm. Po przekroczeniu rzeki Wieprz znalazł się w pułku artylerii, tocząc dalej walki ale z wojskami radzieckimi. Gdy walki te stały się niemożliwe przeprowadził się ze swoją jednostką na lewą stronę Wieprza, niszcząc znajdującą się tu jednostkę niemiecką i zdobywając wiele sprzętu i pojazdów. W dniach 6-7 października ostrzelano jednostki radzieckie w rejonie Piasków Luterskich, pozorując że ogień prowadzi Niemcy. Była to już ostatnia walka wrześniowa, w której brał udział ppor. Marczyński.

W czasie okupacji przebywał na terenie Warszawy a następnie Ostrowca Św. gdzie ojciec był kierownikiem magazynów cukrowni w Częstocicach. Używał fałszywego nazwiska Borkowski.

Zastępcą ppor. Marczyńskiego był ppor. Mieczysław Robaczekiewicz "Brzozowski", także pracownik cukrowni, wysiedlony z poznańskiego.

Szefem Kompanii ostrowieckiej został późniejszy dowódca kompanii Kunów, st. sierż. awansowany później na podporucznika, Wacław Wanat "Gorliwy".

W nowoutworzonej kompanii dowódcami drużyn byli:

1. kpr. Zbigniew Manowski "Giermek",
2. kpr. Jerzy Pałka "Leśnik",
3. kpr. Eugeniusz Lechniak "Fok",
4. nie ustalono,
5. kpr. Robert Janos "Hoplita",
6. kpr. "Tur"(NN)

Zastępcą Szefa Kompanii był plutonowy "Śmigły"(NN). Znaczącą postacią w kompanii był także sierż. "Pszczółka"(NN), uważany za przyszłego dowódcę 2-go plutonu.

Poza tymi dwoma kompaniami zorganizowano pluton łączności, którego dowódcą został bardzo aktywny i energiczny ppor. Józef Palus "Selim", ze Starachowic. Pluton liczył 31 ludzi, częściowo uzbrojonych, gdyż dysponował 17-toma karabinami i jednym pistoletem Smith-Wesson, użytym przez dowódcę.

Pluton miał do dyspozycji 4 aparaty telefoniczne, dwie zrzutowe radiostacje polowe o zasięgu 12 km, jedno radio, 12 bębnow kablowych telefonicznych oraz inny sprzęt techniczny, niezbędny do wykonywania zadań.

Podczas postoju Zgrupowania instalowano połączenia telefoniczne pomiędzy placówkami i oddziałem głównym.

W trakcie organizacji była drużyna sapersko-minerska, której dowódcą oraz instruktorem został ppor. Zygmunt Musialik "Garbaty".

Ppor. Z. Musialik, ur. w 1911 r. odbywał służbę wojskową w Kompanii Mostów Ciężkich w Modlinie-Kazuniu. We wrześniu 1939 r. jako podchorąży dowodził jednostką saperów, chroniących mosty na środkowej Wiśle, od Sandomierza do Puław.

Działając w konspiracji na terenie Ostrowca Św. znalazł się wraz z kompanią ostrowiecką w Zgrupowaniu Potoka. Wykorzystując jego fachową wiedzę "Potok" powierzył mu zadanie zorganizowania i wyszkolenia grupy sapersko-minerskiej.

Z różnych jednostek wybrano zdolniejszych i chętnych żołnierzy, między którymi byli: kpr. Wiesław Karwacki "Karp", pchor. Andrzej Jabłoński "Erg", kpr. Zenobiusz Kozłowski "Kurzawa", Tomasz Kempa "Jur", Tadeusz Tylkowski "Olcha", Tadeusz Przybysławski "Tadek", i inni.

Brak materiałów minerskich nie pozwolił na wykorzystanie nabytej wiedzy w walce z Niemcami, poza jednym przypadkiem, o którym będzie mowa w rozdziale o bitwie 1. X. 44 r.

Oczekiwano na rzuty, które nie następowały. Tymczasem zajęcia drużyny ograniczały się do szkolenia teoretycznego i w małym zakresie praktycznego.

Sprawy gospodarcze Pułku trzymał w ręku Szef Zgrupowania, st. sierż. Stanisław Trzaska "Jastrząb", wachmistrz 5-go pułku ułanów. Zastępcą jego był bardzo gruby ale pełen energii, lekko poruszający się, sierż. Donat Stywryn "Wazon", zajmujący się kuchnią i sprawami wyżywienia oddziałów. On to pilnował aby zapasy żywnościowe, leżące na wozach taborowych, nie znikwały tajemniczo a były sprawiedliwie rozdzielane żołnierzom. Miał do pomocy podoficera gospodarczego, którym był chorąży Edward Życki oraz pisarza st. strz. Jerzego Orlińskiego "Borutę", i innych.

Do prac gospodarczych, gotowania, wydawania posiłków, mycia kotłów, sprzątania i zamywania, dowożenia wody, obsługi taborów i innych, wykorzystywani byli ludzie, którzy przybyli do Zgrupowania bez broni.

Dużą część jednostki gospodarczej stanowili Rosjanie zbiegli z obozów jenieckich. Jedynie dwaj oficerowie radzieccy, ubrani w czarne olimpijki, używane przez niemieckich żołnierzy z broni pancernej, nie mieli zajęcia. Przebywali w Zgrupowaniu na prawach gości. Jeden z nich dla zabicia czasu pisał wiersze.

Jan Staciwa oraz Stefan Wierzchowski "Lipa", bardzo zdolni i nadzwyczaj pracowici rusznikarze ze Starachowic, uwijali się bez przerwy nad doprowadzeniem do stanu używalności stosu różnej broni, dostarczonej im do naprawy.

Piękne komplety rozmaitych narzędzi ślusarskich (prawdopodobnie ich prywatna własność) leżały rozłożone na kocach i plandekach, a rusznikarze korzystając z nich, bezbłędnie i szybko wykonywali swe czynności.

Przebywając w obozie Zgrupowania nie mogłem się napatrzeć jak wspaniale szła im praca.

Miałem wrodzony pociąg do mechaniki i stąd brało się moje szczególne zainteresowanie tym co robili.

Pewnego dnia "Potok" zapytał mnie czy nie mam przypadkiem zapasowego magazynka do Visa, gdyż jest mu bardzo potrzebny. Odpowiedziałem że mam, ale ktoś go rozpruł chcąc zapewne zobaczyć co jest w środku, i jest tak pognięty i zniszczony iż nie wyobrażam sobie aby można było z niego jeszcze coś zrobić.

Przynieś mi go zaraz, rzekł "Potok", a zobaczysz co moi rusznikarze potrafią.

Rzeczywiście, dwa dni po dostarczeniu tych blaszanych zwitków, jestem znów w obozie. "Potok" widząc mnie, wyciąga z kabury zapasowy magazynek i podaje mi mówiąc: "zobacz, jak teraz wygląda to co mi przyniosłeś".

Magazynek był tak wspaniale i precyzyjnie zrekonstruowany, że nikt by nie uwierzył iż nie jest prosto z fabryki. Byłem zdumiony fachowością naszych rusznikarzy. Z wielkim żalem przyjąłem kilka dni potem wiadomość, że w bitwie z Niemcami, która się tu rozegrała, rusznikarz Stefan Wierzchowski stracił życie, a te wspaniałe komplety narzędzi które przynieśli do lasu, wpadły niewątpliwie w niemieckie ręce.

Poza warsztatem rusznikarskim były jeszcze warsztaty szewskie i krawieckie. Antoni Adamczyk "Kruk" ze Starachowic, podobnie jak kiedyś Jan Kiliński, był wzorem patrioty. Cały swój warsztat szewski zabrał do Zgrupowania i tu w cieniu młodej sosny, w zdwojonym tempie, robił buty dla żołnierzy. Pracę przerywał tylko na posiłek i nocny sen. Przyprowadził do Zgrupowania także swego młodego syna Witolda, ps. Jeź, który został żołnierzem plutonu łączności. Obaj stracili życie w wyniku bitwy, która tu wkrótce miała miejsce i podczas której obaj dostali się do niewoli.

Obok warsztatu szewskiego widać było szyjących na maszynach krawców. Byli to Żydzi, wykradzeni z obozu pracy w Starachowicach. Z dostarczonych im zielonych materiałów szyli partyzantom mundury lub naprawiali zniszczone.

Sprawami kulturalno-oświatowymi zajął się, przywieziony przez Komendanta Obwodu "Dariusza", kapral z cenzusem, Roman Pacholec "Zadra". Był z zawodu nauczycielem. Starał się urządzać z żołnierzami pogadanki i dyskusje na tematy społeczno-polityczne, wypełniając tym wolny czas. Zorganizował dla chętnych kurs języka angielskiego, wykorzystując przywiezionego do Zgrupowania angielskiego oficera J. Symingtona. John Symington był oficerem-nawigatorem w samolocie dokonującym 24. 6. 1944 r. zrzutu dla AK w okolicy wsi Teofilów pod Ożarowem. Niemcom udało się zestrzelić samolot i załoga ratowała się na spadochronach.

J. Symington ukrył się w przydrożnej kapliczce i tu znaleźli go ludzie z organizacji, którzy doprowadzili go do Ćmielowa, do Piotra Pękalskiego, ps. Kormin, a ten umieścił go z kolei u "Babci"- Walerii Szrajberowej. W Ćmielowie wyrobiono mu autentyczną kennkartę z uwagą, że jest niemową. Z tym dokumentem mieszkał u dr Szrajberowej a w chwili mobilizacji został przeprowadzony do Właskowic, skąd już z oddziałem pomaszerował przez Jeleniec do Zgrupowania "Potoka". Tu zdjął z siebie otrzymane cywilne ubranie i włożył ponownie swój lotniczy mundur, podobny kolorem do polskiego. Na lewej piersi miał wyszyte białe kółko z długim poziomym skrzydłem. W kółku była litera "N", co znaczyło że posiadacz tego znaku jest nawigatorem. Znał język niemiecki i francuski, co bardzo ułatwiało porozumiewanie się z nim. Podobnie jak inni angielscy lotnicy, miał ze sobą chustkę, na której była wydrukowana mapa okolic, obejmujących teren jego działania. W końcu września, z powodu przeziębienia, został odesłany na dawne meliny. Tu doczekał się wkroczenia wojsk radzieckich i powrócił do Anglii.

W rozmowie z nim dowiedziałem się, że startował z lotniska na terenie Włoch i że na tym lotnisku były także samoloty polskie, a wśród jego przyjaciół lotników byli także Polacy.

Oprócz działalności kulturalno-oświatowej "Zadra" prowadził tzw. "Pamiętnik Oddziału Potoka". W pamiętniku tym notował pewne wydarzenia, ale nie wszystkie. Pamiętnik miał charakter prywatny, gdyż w zasadzie ze względów konspiracyjnych nie wolno było takich zapisów robić. Zrobione w nim wpisy lub zapisy dotyczyły tylko

niektórych wydarzeń, z którymi "Zadra" się zetknął lub o nich usłyszał. Był w pamiętniku m. in. szereg wpisów żołnierzy radzieckich oraz Anglika, dziękujących "Potokowi" za gościnne przyjęcie i opiekę. Po wojnie, gdy pracownicy UB zaczęli ścigać żołnierzy AK, "Pamiętnik Oddziału Potoka" został przez nich zabrany, jako dokument mogący się przydać przy sporządzaniu aktu oskarżenia.

Zawędrował on aż do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie nie znaleziono w nim niczego, co mogło być przydatne w oskarżaniu "Potoka" lub jego żołnierzy. Argumenty na ich korzyść nie były brane pod uwagę i należało je przemilczeć.

Włożono pamiętnik do szuflady i przeleżał w MBP do czasów gdy złagodzono nieco stosunek do Armii Krajowej. Wtedy płk. Marian Janie z MBP, były partyzant AL ze sztabu M. Moczara, który jak mi się wydaje rozumiał w jakimś stopniu krzywdę której żołnierze AK doznali ze strony władz PRL, przejeżdżając przez Iłżę przekazał pamiętnik do prywatnych zbiorów Adama Bednarczyka, zasłużonego zbieracza pamiątek regionu iłżeckiego.

Sprawami opieki zdrowotnej żołnierzy zajmował się lekarz narodowości żydowskiej "Wyrwa". Został on w tym celu wykradziony z żydowskiego obozu pracy w Starachowicach (podobno w beczce z trocinami). Był bardzo uczynny, przynajmniej dla mnie, i znalazł się na medycynie. Przez pewien czas robił mi opatrunki oraz dawał mi wskazówki jak należy leczyć ubytki ciała, jakie miałem na rękę. Wkrótce otrzymał do pomocy dwie sanitariuszki z Ćmielowa: Marię Kabałę "Aldonę" i Jadwigę Wolańską "Grażynę".

W ostatniej dekadzie września przybył do Iłżeckiego Pułku z Ćmielowa dr med. Eustachy Kawiński "Bojar". Dr Kawiński, ur. 1 maja 1905 r. studiował medycynę w Grazu i Krakowie. Dyplom lekarza uzyskał na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1935 r. Brał udział w Kampanii Wrześniowej jako dowódca grupy sanitarnej. W czasie wojny pracował jako lekarz w Ćmielowie i wielu innych miejscowościach. Był typowym lekarzem-społecznikiem. Szczególnie zasłużył się w zwalczaniu epidemii tyfusu rozniesionego przez zbiegłych z obozu jeńców radzieckich na Świętym Krzyżu (Niemcy zlikwidowali ten obóz w 1943 r. tj. po pojawieniu się w lasach oddziałów partyzanckich).

Po przybyciu do Iłżeckiego Pułku dr E. Kawiński objął kierownictwo drużyny sanitarnej, wzmocnionej przybyłą z Ćmielowa łączniczką Henryką Sławińską "Iskierką" oraz Marią Niepokoyczycką "Emilią Plater" ze Starachowic. Sanitariuszem został także żołnierz kompanii ostrowieckiej, ks. zakonnik Bogdan Sworowski "Modrak", wysiedlony z Poznania.

W okresie gdy w Zgrupowaniu nie było rannych i dla Służby Sanitarnej brak było zajęcia, lekarz "Wyrwa" organizował wykłady i prelekcje z zakresu pomocy sanitarnej dla żołnierzy. Tematykę dobierał wg własnego uznania i z wypowiedzi niektórych słuchaczy wynikało, że nie wszystkim się te wykłady podobały. Zbyt mało uczył jak udzielać rannym pierwszej pomocy, natomiast zajął się wpływem obecności kobiet na męską część Zgrupowania.

W okresie tworzenia się, Zgrupowanie Iłżeckiego Pułku przebywało najczęściej w obozie koło Kruków, oznaczonym na szkicu jako obóz nr 4. Obóz położony był około 2 km na zachód od leśniczówki Kruki, zamieszkałej przez leśniczego Wiktora Lipko, ps. Bej. Brat jego, Roman Lipko "Skała", był w tym czasie żołnierzem Zgrupowania.

Co kilka dni "Potok" przerzucał wojsko w inne miejsce, lecz na krótko. Do obozu nr 3, koło Lipia, oddziały szły jak do łaźni. Płynąca tam czysta woda w strumieniu Kotyska (dopływ rzeki Iłżanki), pozwalała na przyzwoite umycie się. Koło Kruków wodę do mycia przydzielano kubkami. Trzeba było ją dowozić beczkowozem z leśniczówki Kruki.

Pewnego razu Zgrupowanie zatrzymało się biwakiem w okolicy leśniczówki Błaziny, zamieszkałej przez leśniczego Zdzisława Leśniaka, ps. Leśny. Biwakował tam wtedy oddział specjalny BCh "Ośki", który miał w swym składzie kompanię własowców zbiegłych z formacji niemieckich. Własowcy ci tworzyli mieszanekę mongolsko-gruzińską. Zgrupowanie Potoka tak im się spodobało, że uparcie prosili go aby ich przyjął do siebie. "Potok" z ogromną trudnością przekonywał ich że jest to niemożliwe. W końcu aby się uwolnić od natrętów, odmaszerował w inne miejsce.

We wrześniu najchętniej używanym obozem był obóz nr 4, koło Kruków. Wprawdzie o wodę było tu trudno, ale obóz ten miał inne walory. Po pierwsze był blisko baz zaopatrzeniowych jakimi były okoliczne wsie: Borsuki, Podkońce, Plusy, Maziarze, Kotlarka, Błaziny, Iłża oraz majątki ziemskie. Po drugie znajdował się w gęstym sosnowym zagajniku, bardzo wygodnym do obrony. Dolne, uschnięte już gałęzie młodych sosen tak się ze sobą splatały, iż nie można było w tym zagajniku poruszać się bez ich obłamywania. W takiej gęstwinie trudno było rzucać granatami, które zaczepiały o gałęzie i upadały bliżej niż należało. Widoczność była tylko na małą odległość, korzystną dla partyzantów, którzy mieli w większości starą, mało celną broń lub pistolety maszynowe. Dokoła obozu porobiono w ramach ćwiczeń pola ostrzału dla broni maszynowej, oczyszczając niektóre drzewa z gałęzi, widocznych na kilku zdjęciach fotograficznych.

Wadą tego obozu był szeroki gościniec ostrowiecki oraz inne drogi pozwalające Niemcom na skuteczne odcięcie Zgrupowania od masywu leśnego.

Wielomiesięczny brak jakichkolwiek akcji niemieckich przeciw partyzantom w tych lasach, robił wrażenie że Niemcy nie chcą się wdawać w walki i myślą o tym aby jak najszybciej wrócić do swego kraju. Tak zresztą wynikało z wypowiedzi Niemców przebywających na kwaterach, z którymi rozmawiałem. Pewien st. sierżant niemiecki, kwaterujący w Iłży u moich kuzynów, widząc mnie domyślił się skąd mogę być i nastawił mi swoje radio na Londyn abym posłuchał audycji, a on w tym czasie pilnował czy nie idzie do niego ktoś z sąsiedniej kwatery. Był to podoficer z kwatermistrzostwa. Miał w swej dyspozycji auto osobowe. Powiedział, że gdy tylko ruszy radziecka ofensywa, Niemcy nie będą się bronić, a jedynie będą się cofać w kierunku własnej ojczyzny. W kwatermistrzostwie orientowano się z pewnością jakie są ogólne plany dowództwa niemieckiego.

Logicznie rozumując każdy z Polaków uważał, iż Niemcy muszą sobie zdawać sprawę z tego że wojnę przegrali. Jaki zatem byłby sens atakowania partyzantów i narażania życia, nie odwracając tym sposobem losów wojny.

Z drugiej strony należy stwierdzić, iż we wszystkich większych miejscowościach otaczających lasy, stacjonowały jednostki własowców, używanych przez Niemców do ochrony zaplecza frontu. Niezależnie od nich, blisko lasów rozmieszczone były też frontowe jednostki Wehrmachtu. Nie stwarzało to bezpiecznych warunków dla pozostających w lasach oddziałów leśnych AK. Do tego wszystkiego należy dodać fakt pocięcia terenów leśnych lasów starachowickich szachownicą dróg, które pozwalały Niemcom w każdym miejscu otoczyć partyzantów w sposób bezbłędny. Utrzymanie

przed Niemcami tajemnicy miejsca postoju partyzantów możliwe było jedynie dla małych oddziałów, liczebnie nie większych od plutonu. Zgrupowanie Iłżeckiego Pułku było za wielkie aby je można było na terenie tych lasów skutecznie ukryć. Duży ruch zaopatrzeniowy, napływ stale nowych ludzi z terenów opatowskich, którzy jak pielgrzymi ciągnęli gościńcem ostrowieckim do "Potoka", przyjazdy łączników, wszystko to bardzo niekorzystnie wpływało na zachowanie tajemnicy miejsca postoju oddziałów. Szczególną dekonspiracją objęty był Ostrowiec Św. gdzie chłopcy w szkołach wzajemnie się informowali o możliwości pójścia do partyzantki i niektórzy bez wiedzy rodziców prosto ze szkoły wędrowali z kolegami do lasu. Na pytanie dowódcy ile chłopiec ma lat, często dawali odpowiedzi kłamliwe aby nie zostać odesłanym do domu. Wielu przychodziło ze Starachowic i innych miejscowości bez broni i po kilku dniach, widząc że tu broni nie otrzymają, wracało do domu aby tam starać się o jej zdobycie. To wszystko bardzo źle wpływało na zachowanie tajemnicy miejsca postoju Zgrupowania. Najlepszym dowodem zupełnej dekonspiracji była jedna z ostatnich niedziel września. Tłumy ludzi odświętnie ubranych przybyły rowerami, pojazdami konnymi i pieszo z Ćmielowa, Ostrowca, Starachowic oraz pobliskich wsi, aby spotkać się ze swymi najbliższymi, przebywającymi w partyzantce. Plac apelowy w obozie wyglądał jak plac przed kościołem podczas odpustu. Brakowało tylko straganów. Ten napływ obcych ludzi na teren obozu Zgrupowania świadczył dobitnie o zupełnym braku utajnienia miejsca postoju oddziałów. Wszystkim się już zdawało, że żyją w Wolnej Polsce, a Niemcy przebywają u nas jak w jakiejś poczekalni. Rzeczywistość była inna. Niemcy mieli na miejscu wielkie jednostki różnych rodzajów broni i byli w stanie dokonywać czesania dużych połaci leśnych. Przerzucanie oddziałów Iłżeckiego Pułku w różne miejsca tego samego kompleksu leśnego nie ratowało sytuacji, mogło jedynie akcję niemiecką utrudnić. Wydarzenia, które wkrótce nastąpiły, były tego dowodem. Dowództwo zdawało sobie sprawę z tego, że lasy starachowickie nie nadają się do przebywania na ich terenie dużych zgrupowań partyzanckich i podjęło kroki aby ten stan zmienić. Nie doszło jednak do tego w wyniku innych wydarzeń, o których będzie mowa w dalszej treści.

Prawie w każdą niedzielę przed południem, Kapelan Obwodu ks. Józef Słaby "Skład" lub ksiądz z Rzeczniowa Józef Lipidalski, lub jeszcze inni księża, odprawiali żołnierzom mszę św.

Po południu urządzano imprezy rozrywkowe, tzw. ogniska, rozpoczynane krótkim przemówieniem "Potoka", po czym były recytacje, muzyka, śpiew, itd.

Do organizatorów tych rozrywek należeli między innymi: Władysław Bembenek "Szkot" i Stanisław Haba "Mączka".

W dni robocze poszczególne oddziały Zgrupowania prowadziły ćwiczenia. Żołnierzom nie pozwalano na beczynne przebywanie w lesie. Gdy się wchodziło na tereny obozowe, widać było wszędzie grupy żołnierzy wykonujących różne czynności lub słuchających wykładów instruktora.

Duży nacisk położono na doskonalenie celności strzelania. Aby nie psuć amunicji i nie robić huków, powszechnie prowadzono ćwiczenia zwane "trójkątem błędów".

Polegały one na tym, że żołnierz miał karabin unieruchomiony i starał się na celownik tego karabinu naprowadzić "lizak" trzymany przez innego żołnierza, na tle arkusza białego papieru.

Gdy celujący uznał "lizak" za dobrze naprowadzony na cel dawał znak a trzymający "lizak" robił ołówkiem kropkę na papierze, wykorzystując otworek w środku "lizaka".

Po trzech takich próbach naprowadzania "lizaka", na papierze powstawał trójkąt, utworzony przez trzy oznaczone ołówkiem punkty.

W zależności od tego jak duży powstał trójkąt oceniano się jakoś celowania. Kto miał złe wyniki musiał więcej ćwiczyć, a jak się wkrótce okazało dobre strzelanie było najbardziej potrzebne.

Żołnierze plutonu łączności intensywnie szkolili się w wykorzystaniu otrzymanych ze zrzutu radiostacji polowych. Były to bardzo dobre aparaty, wielkością i kształtem podobne do nowoczesnego aparatu telefonicznego, używanego w Wojsku Polskim oraz niemieckim. Nie znając długo trwałości akumulatorów w tych radiostacjach doprowadzono do ich zupełnego rozładowania i gdy były potrzebne nie można było z nich skorzystać. Przyglądałem się ćwiczeniom w nawiązywaniu łączności pomiędzy dwoma radiostacjami i stwierdziłem, że obsługi aparatów podają swoje położenie, posługując się autentyczną numeracją dróg (działek) oraz literowymi oznaczeniami leżni. Zameldowałem o tym "Potokowi" i "Potok" natychmiast zabronił stosowania autentycznego nazewnictwa. Radiowcy tłumaczyli się małym zasięgiem tych radiostacji, który według nich nie mógł umożliwić Niemcom podsłuchania prowadzonych rozmów.

Poza ćwiczeniami w lesie, żołnierze byli wysyłani na różne drobne akcje, podczas których likwidowano lub rozbrajano żołnierzy wroga. Na jednej z nich, patrol wysłany pod dowództwem kpr. Wiesława Karwackiego, ps. Karp, aby ukarać sołtysa i jego córę za zadawanie się z Niemcami, wziął do niewoli żołnierza niemieckiego, który był w mieszkaniu tego sołtysa. Niemiec w pierwszej chwili chciał się bronić i nawet wystrzelił z karabinu ale widząc że przeciwników ma kilku, pozwolił się rozbroić. Gdy Niemca prowadzono do obozu, ten bardzo płakał i prosił o darowanie mu życia, gdyż w Niemczech pozostawił żonę i troje dzieci. Po kilku kilometrach marszu kpr. Karwacki ulitował się nad nim i zwolnił go, puszczając w samej bieliźnie.

Po powrocie złożył raport "Potokowi", a ten się zapytał: "no, a gdzie jest ten Niemiec?" Na wiadomość o tym, że "Karp" go zwolnił, "Potok" bardzo się wzburzył. Zwymyślał go, mówiąc "co to za wojsko? Jak tak można postępować?" itd.

Innym razem Kazimierz Gorzkiewicz "Zawierucha", wysłany z grupą żołnierzy do rejonu Brodów Iłżeckich, w celu odszukania ukrytej tam łącznicy telefonicznej, rozbroił dwóch żołnierzy niemieckich.

Kpr. Roman Skoczylas "Piorun" z kompanii ostrowieckiej miał inną przygodę. Oczekując na łączniczkę w okolicy Jeleńca, rozbroił sam dwóch żołnierzy niemieckich, prawdopodobnie nadzorujących tam kopania okopów.

Niemcy wybrali się na jeżyny porastające skraj lasu. Za jeżynami leżał ukryty "Piorun". Widząc zbliżających się Niemców "Piorun" się przestraszył, nie wiedząc po co tu idą. Gdy upewnił się, że jest ich tylko dwóch, że się rozdzielili i skubią jeżyny, każdy w innym miejscu, zrozumiał w czym rzecz. Po chwili jeden z Niemców uznał, że karabin mu przeszkadza i postawił go pod drzewem. "Piorun" dłużej nie czekał. Wyciągnął swój pistolet i dał do zrozumienia Niemcowi, że karabin już do niego nie należy. Po chwili zrobił to samo z drugim Niemcem. W ten sposób "Piorun" zdobył dwa karabiny, hełmy i oporządzenie wojskowe. Miał tylko trudność z przeniesieniem tej zdobyczy przez pole, gdyż zajście miało miejsce w kępie leśnej odsuniętej od lasu na pewną odległość. Bał się, że zostanie zauważony przez innych niemieckich żołnierzy, którzy mogą się znajdować w pobliżu. Wybrnął z sytuacji w ten sposób, że wyjął zamki z karabinów i karabiny Niemcom oddał, każąc im maszerować przed sobą aż do lasu, w którym pozbawił ich całego dobytku.

Kpr. Alfons Bugaj "Delfin" miał inną przygodę.

Będąc w niedzielę na przepustce u rodziny pod Siennem, wracał piechotą idąc przez wieś Dębowe Pole. Tu spotkał żołnierza Wehrmachtu pytającego o drogę do Sienna. Żołnierz szedł w towarzystwie niewielkiego chłopca, mieszkańca wsi.

Po rozstaniu się z Niemcem "Delfinowi" przyszła do głowy myśl, ażeby Niemca rozbroić. Do lasu było kilkadziesiąt kroków, a przy sobie miał pistolet.

Zawrócił z powrotem, dopędził idących i pozbawił żołnierza karabinu i oporządzenia. Chłopcem, który towarzyszył Niemcowi był Stanisław Falecki "Gałązka", nieco później także żołnierz Iłżeckiego Pułku (kompanii ostrowieckiej). Fakt ten ujawnił się dopiero po 40-tu latach, gdy otrzymałem relacje obu tych kolegów.

Inny partyzant, także powracający z urlopu, rozbroił niemieckiego żołnierza pracującego w polu, zabierając mu pistolet Parabellum. W tym przypadku partyzant postąpił nieetycznie, gdyż pracujący w polu żołnierz niemiecki pomagał w pracy polskiej rodzinie. Pragnienie zdobycia ładnej broni było większe niż więzy moralne. Niestety. Ten sam partyzant, po wojnie poszedł na współpracę z UB i razem z pracownikami NKWD i UB przyjechał aresztować "Potoka", leżącego w ostrowieckim szpitalu.

W czasie postoju oddziałów nad Kotyską zlikwidowano dwóch żołnierzy formacji SS, którzy nieostrożnie znaleźli się w strefie kontrolowanej przez partyzantów.

St. sierż Józef Orczykowski "Fezuj", pochodzący spod Kutna, znający dobrze język niemiecki, robił samotne wypadki na żołnierzy niemieckich kwaterujących po wsiach. Z tych wypadków zawsze wracał, niosąc ze sobą zdobytą broń i mundury. Nie lubił opowiadać w jaki sposób się o nie postarał.

Pewnego razu, na początku września, przy skrzyżowaniu gościńca ostrowieckiego i działki 9-ej, wzięto do niewoli 6-ciu żołnierzy niemieckich. Przypadek ten wiąże się z szeregiem innych wydarzeń, o których warto wspomnieć.

Otóż gdy w sierpniu kompania AK z podobowodu "Wola", pod dowództwem ppor. Juliana Juskiewicza "Fina", znalazła się w II-ej Brygadzie AL, żołnierze tej jednostki wychodząc na patrole napotykali oddziały NSZ. Przy takim spotkaniu NSZ-towcy zabierali broń partyzantom AL, uznając ich działalność za niezgodną z interesami Polski lub proponowali przejście w ich szeregi.

Wielu żołnierzy "Fina" skorzystało z tej propozycji.

Trzej żołnierze tej kompanii: Kazimierz Kutera "Kukulka", Paweł Kutera "Stary" i Stanisław Łodej "Łyk", po spotkaniu z NSZ-towcami wybrali powrót do domów. Pochodzili z Połagwi i Brodów Iłżeckich, gdzie wojsko niemieckie zainstalowało piekarnię połową. Piekarnia umiejscowiona była obok szkoły w Brodach Iłżeckich i miała do ochrony przydzieloną kompanię własowców. Żołnierze tej jednostki zakwaterowali w budynkach mieszkalnych wsi Połagiew, Brody Iłżeckie i Krynki.

Gdy trzej wspomniani partyzanci powrócili do swych domów, zastali w nich kwaterujących własowców. Własowcy znali język polski i zaczęli się dopytywać co robili chłopcy tak długo poza domem. Dociekliwe pytania, jakie zadawali, nie wróżyły nic dobrego. Należało możliwie szybko uciekać z domu. Wypuścili się zatem do "Potoka". "Potok" przyjął ich do Zgrupowania ale ponieważ byli bez broni, przydzielił ich do drużyny gospodarczej. Gdy przyjechałem do obozu, ujrzałem "Kukulkę" jak w tumanach kurzu zamiata plac apelowy. Takie zajęcie nie bardzo im odpowiadało i w najbliższą niedzielę poprosili "Potoka" o pozwolenie pójścia do rodzin, aby zmienić bieliznę i postarać się o jakąś broń. "Potok" wyraził zgodę.

Pomaszerowali działką 9-tą na południe, aby przez Klepacze a potem nieistniejącą już dzisiaj gajówkę Niwa, dotrzeć najkrótszą drogą do Połagwi. Gdy przecięli gościniec ostrowiecki, będąc niecałe 2 km od obozu, usłyszeli nagle okrzyki: "halt, halt". Kilku żołnierzy niemieckich leżało ukrytych za grubymi dębami, które tu rosły. Po zatrzymaniu partyzantów kazali im podejść bliżej. Okazało się wtedy, że między żołnierzami znalazło się dwóch takich, którzy mieszkają na kwaterze w domu "Kukułka". Od razu go poznali i już zatrzymanych nie rewidowali, traktując ich jako znajomych. Oczywiście rozmowę zaczęli od pytania skąd chłopcy się tu wzięli. Kutera sprytnie wyjaśnił im, że bali się łapanek na roboty do Niemiec i schronili się u rodziny we wsi Kotlarka, a teraz wracają do domu. Odpowiedź była wiarygodna. W toku dalszej rozmowy żołnierze zapytali chłopców czy nie wiedzą przypadkiem gdzie mogą się znajdować partyzanci. Powiedzieli, że chcą się do nich przyłączyć. Kutera, który znał już tych własowców i wiedział czego się można po nich spodziewać, odpowiedział iż nie wie, i od paru tygodni nikt tu o partyzantach nie słyszał. Odpowiedź Kutery wydała się własowcom wykrętna. Wy chyba się nas boicie i nie chcecie mówić - rzekli. Może udałoby się kupić tu gdzieś butelkę wódki, to rozmowa lepiej by nam poszła - zaproponował jeden z nich. "Kukułka" przytomnie wykorzystał propozycję. Powiedział, że tu blisko jest wieś Piotrowe Pole i tam na pewno wódkę mają. Jeżeli jednak wy tam pójdziecie, to wódki nikt wam nie sprzeda - rzekł. Ustalono ostatecznie, że po wódkę pójdzie tylko "Kukułka" a oni tu na niego zaczekają. "Kukułka" wychodząc z obozu widział wychodzącą równocześnie drużynę patrolową i był przekonany, że drużyna ta udała się do wsi Piotrowe Pole. W rzeczywistości drużyna ta poszła w kierunku leśniczówki Kruki, natomiast przed domem sołtysa, Antoniego Wrześniewskiego, "Kukułka" spotkał tylko jednego partyzanta. Był nim bardzo młody, bo urodzony w 1929 r. poznański harcerz, Mieczysław Sroka "Pirat". "Kukułka" starał się szybko wytłumaczyć "Piratowi" jaka powstała sytuacja i że trzeba koniecznie rozbroić niemieckich żołnierzy, gdyż w przeciwnym razie może się to dla zatrzymanych partyzantów źle skończyć. "Pirat" z kolei nie wyobrażał sobie jak z pomocą jednego karabinu można będzie sterroryzować i rozbroić sześciu żołnierzy niemieckich. Nastąpiły gorączkowe rozmowy a czas płynął. Zniecierpliwieni własowcy podeszli pod wieś i zajęli stanowiska obserwacyjne koło gajówki Edwarda Młynarczyka, czekając na powrót "Kukułki". "Kukułka" namówił ostatecznie "Pirata" do wspólnej akcji i obaj wyruszyli w kierunku oczekującej ich grupy. "Kukułka" poszedł prawą stroną szerokiego gościńca ostrowieckiego, trzymając demonstracyjnie w ręku butelkę wódki. Gdy dostrzegł oczekujących, już z dala dawał im znaki że wódkę ma. Starał się tym sposobem odwrócić ich uwagę, gdy w tym czasie lasem po drugiej stronie drogi, podchodził ich z bronią "Pirat". Gdy "Kukułka" doszedł do oczekujących go żołnierzy i wszyscy zgromadzili się wokół butelki, z tyłu zaskoczył ich "Pirat", wzywając do podniesienia rąk. Równocześnie Paweł Kutera wyciągnął, ukryty dotychczas pistolet FN 7, 65, i czynnie poparł żądanie "Pirata". Akcja udała się idealnie. Rozbrojeni żołnierze niemieccy zostali doprowadzeni do rejonu obozu. Tu poddano ich szczegółowej rewizji i okazało się że trzech z nich miało na rękach aż do łokci, umocowane zegarki. W ich kieszeniach znaleziono sporo różnej

biżuterii. Jasne było, że przedmioty te uzyskali z rabunku swoich ofiar, których z pewnością wiele zamordowali. Własowcy byli znani z tego rodzaju działalności. Podczas badań przyznali się, że zostali wysłani na zwiad. Chcieli odnaleźć miejsce postoju oddziału partyzanckiego, z którym starli się kilka dni wcześniej, koło Kuter. Powiedzieli także, że kilkaset metrów od miejsca w którym ich schwytano, pozostawili trzech kolegów z karabinem maszynowym MG-34. "Potok" natychmiast wysłał kilka silnych patroli w celu schwytania pozostałych żołnierzy niemieckich lecz z powodu upływu około 3 godzin, akcja poszukiwania nie dała wyniku. Żołnierze niemieckiej kompanii, przydzielonej do ochrony piekarni, mieli również zadanie dostarczać drewno opałowe z lasu. Znaleźli rejon pomiędzy Klepaczami i Ku terami gdzie leżało dużo ściętych i okorowanych drzew, z tzw. trzebieży. Drewno to było przeznaczone do przeróbki tartacznej ale żołnierzy to nie obchodziło. Nie pytając się administracji leśnej o pozwolenie, brali kłose kiedy chcieli i ile chcieli. Oczywiście ewidencja tego drewna, którą miał mój ojciec, stała się nieaktualna. Wykorzystując ten fakt, na który nie miał wpływu, zawiadomił różnych ludzi z okolicznych wiosek, że jeśli ktoś potrzebuje drewna na budowę, to może go brać z tego rejonu na konto Niemców. Wielu ludzi skorzystało z okazji. Po to drewno Niemcy jeździli najkrótszą drogą, tj. leżnią "L" koło nieistniejącej obecnie gajówki Niwa i potem na północ działką 12-tą. Pewnego dnia Niemcy wpadli na pomysł aby sprawdzić inną trasę dojazdu. Pojechali prosto działką 14-tą do Kuter, aby potem skręcić w prawo leżnią "I". Pech chciał że po prawej stronie działki 14-ej, tuż przed Kuterami, w dużym jodłowym lesie, biwakował oddział BCh "Ośki". Zaraz za nieistniejącą dziś, po prawej stronie działki 14-ej gajówką Kadysowiny, znajdowała się placówka ubezpieczająca oddział. Gdy niemiecki konwój dotarł do miejsca gdzie była placówka, doszło do wymiany ognia. W dniu tym "Ośka" był nieobecny w oddziale i zastępował go "Hiszpan" (poległ w październiku, podczas forsowania frontu pod Chotczą) Na odgłos strzałów na miejsce walki podążył oddział dyżurny pod dowództwem Tadeusza Wojtyniaka "Bacy". Podczas strzelaniny, ten dużego wzrostu i jeszcze większej odwagi partyzant BCh, został ranny w przedramię. Dzień wcześniej przyjeżdżał do mnie razem z "Ułankiem" na motocyklu i dokonywaliśmy wymiany amunicji. On mi przywiózł do mojego Mausera 7, 65 kilkanaście naboí, a ja mu za nie dałem trochę amunicji do jego pistoletu, tzw. 15-tki belgijskiej. Ranny "Baca" uważał się za tak zdrowego i wytrzymałego człowieka, że nie chciał korzystać z pomocy lekarskiej. Gdy po trzech dniach zaczął poważnie gorączkować, wtedy zdecydował się na kontakt z lekarzem. Było już jednak za późno. W ciężkim stanie leżał ukryty w Stanisławowie, u mego kuzyna Tadeusza Langer. Na kilka godzin przed śmiercią został przewieziony na inną melinę, gdzie go pochowano. Potyczka z Niemcami koło Kuter skończyła się wycofaniem się bechowców z walki. Oddział niemiecki był w sile plutonu i oddział "Ośki" mógł go bez większego trudu zlikwidować, jednak "Hiszpan" o tym nie wiedział. Wolał nie ryzykować, decydując się na walkę z nieznaną ilością przeciwnika. (Oddział "Ośki" liczył około 200 ludzi, a Niemców było około 50)

Wycofanie się partyzantów z walki Niemcy źle zrozumieli. Pomyśleli sobie, że partyzanci są słabym oddziałem i po ustaleniu ich aktualnego miejsca pobytu, możnaby ich zlikwidować. Z tego powodu wysłali w lasy grupy zwiadowcze i jedną z nich była grupa schwytana przez "Pirata" i "Kukulkę".

Jeśli kula wystrzelona w kierunku "Bacy" pochodziła od któregoś ze schwytanych własowców, to można uważać że "Baca" został pomszczony.

Podczas starcia żołnierzy "Ośki" z Niemcami, o mało nie stracił życia gajowy Michał Mysza, zamieszkujący w gajówce obok której toczyła się walka.

Widząc z okna co się dzieje, usiłował uciekać do lasu. Gdyby tego nie zrobił Niemcy by go zastrzelili za to, że ich nie ostrzegł przed bandytami, leżącymi na stanowiskach tuż za jego domem.

Udało mu się dopaść pierwszych drzew, gdy kula karabinowa powaliła go na ziemię. Był jednak tylko ranny. Udał zabitego i czekał aż Niemcy przestaną na niego patrzeć. Po paru minutach, gdy uwaga Niemców znów skupiła się na walce z partyzantami, gajowy poderwał się i zniknął w gęstwinie.

Ten, niemłody już gajowy, biegł 4 km na leśniczówkę Klepacze z przestrzeloną klatką piersiową, poniżej lewego szczytu płucnego.

Tu został fachowo opatrzony przez sanitariuszkę Wojskowego Przysposobienia Kobiet, Irenę Błażejewską, żonę ppor. Romana Błażejewskiego, lekarza weterynarii z Lipska, zamordowanego w Katyniu, która była krewną leśniczego i przebywała na leśniczówce z dwoma córeczkami Hanią i Marysią.

W wyniku wielu drobnych akcji, z których szereg opisałem, żołnierze Zgrupowania "Potoka" zdobywali mundury, broń i wyposażenie wojskowe. Co czwarty lub piąty żołnierz nosił niemiecki mundur. Na wielu z nich widać było pocerowane dziury po kulach.

Na jednym z patroli w rejonie Lubieni, idący ze swą drużyną kpr. Eugeniusz Wojciech Krzysztanowski "Zawierucha", z plutonu ppor. Jana Kamińskiego "Walka", zabrał Niemcom dwie parokonne platformy na pneumatykach, wysłane w kierunku Iłży po siano. Były one własnością oddziału, tzw. Baudienstu, mającego koszary w barakach obok wsi Młynek.

Innym razem ppor. Jan Kamiński "Walek" dokonał wyprawy do rejonu Starachowic, aby rozbroić ćwiczącą się tam na strzelnicy młodzież z Hitlerjugend. W tym dniu, jak się okazało, Niemcy nie przeprowadzili ćwiczeń. W drodze powrotnej, ppor. "Walek" przechwycił platformę wiozącą koce, dostarczając ją do obozu. Woźnica tej platformy chciał koniecznie przyłączyć się do partyzantów lecz ppor. "Walek" absolutnie na to się nie zgodził.

W ten sposób tabor rósł dość szybko i w końcu września liczył 8 wozów dwukonnych.

Por. Marcei Dusiński "Dym", jako komendant podobwodu "Dolina", starał się o zaopatrzenie Iłżeckiego Pułku w żywność.

Pewnego dnia udało mu się zdobyć informację, że jest przygotowywany do wysyłki transport artykułów z Iłżeckiej Mleczami. Natychmiast zawiadomił o tym "Potoka". Dalsze załatwianie sprawy przejął w swe ręce por. Wacław Cieśla "Siarka", organizując szczegółowo dalszą akcję.

Podchorąży WP Jerzy Sułocki "Gozdawa" oraz kpr. Wacław Pryciak "Sokół" otrzymali rozkaz przechwycenia ciężarówki i doprowadzenia jej do lasu.

Pojechali do Iłży rowerami, uzbrojeni w broń krótką i granaty. Rowery pozostawili w zabudowaniach piekarni Sępiołów a sami udali się do mleczami.

Gdy tam przyszli odbywało się właśnie ładowanie ciężarówki. Młode dziewczęta, pracownice mleczarni, układały towar w skrzyni samochodu. Partyzanci przyglądając się ich pracy pochwalili je, mówiąc że dobrze pracują.

Dziewczyny intuicyjnie odgadły, że przyglądający się ich pracy dwaj młodzi mężczyźni mogą być z konspiracji. Odpowiedziały, że pracowałyby jeszcze lepiej, gdyby wiedziały że to co załadują pojedzie do partyzantów.

Aby nie stwarzać niebezpiecznych podejrzeń, "Sokół" i "Gozdawa" udali się na przechadzkę po mieście. Spacerowali trochę za długo, bo gdy przyszli z powrotem do mleczarni, ciężarówka ruszała już w drogę.

Na szczęście podjechała jeszcze pod stację benzynową. Stacja benzynowa, zbudowana krótko przed wybuchem wojny przez firmę "Limanowa" znajdowała się na głównym placu w Iłży, oddalona od mleczarni około 200 m.

Partyzanci szybko ją dopędzili, pytając siedzącego w szoferce właściciela mleczarni Kleina o to, czy mogą się zabrać tą ciężarówką do Ostrowca Św.

Klein wykrętnie odpowiedział, że o pozwolenie muszą zapytać stojącego obok oficera niemieckiego, otoczonego grupą żołnierzy.

W tym czasie do Iłży przybyła duża jednostka własowców i wielu z nich kręciło się po rynku.

Pchor. "Gozdawa", znający język niemiecki, podszedł do oficera i zapytał o pozwolenie. Oficer nie wyraził zgody.

Zakłopotani chłopcy pozostali w pobliżu samochodu, spacerując koło niego.

Gdy kierowca skończył pobieranie benzyny, siadł za kierownicą i samochód ruszał do przodu, partyzanci sprytnie wskoczyli z tyłu do skrzyni samochodu krytej plandeką.

Oficer niemiecki w tym czasie zajął się czymś innym, nie zwracając uwagi na partyzantów a siedzący w szoferce Klein pomyślał sobie, że pewnie partyzanci otrzymali zgodę oficera.

Ciężarówka wyładowana jajami, masłem i twarogiem, ruszyła szosą w kierunku Marcul i Lubieni, wioząc zaopatrzenie dla wojsk niemieckich walczących na froncie. Gdy wjechała w las i minęła stojącą po lewej stronie gajówkę Grochulskiego, partyzanci jednocześnie z dwu stron zajrzeli do szoferki, kierując na Kleina i kierowcę lufy swoich Visów i dając im rozkaz skrętu w lewo, leżnią "C". Tu oczekiwała ich grupa partyzantów, która Kleina i kierowcę ciężarówki przywiązała do drzew, zabierając Kleinowi broń. Za kierownicą samochodu usiadł teraz plut. Józef Paśnik "Topola" i przewiózł ładunek bliżej obozu nr 4, gdzie go rozładowano. Pustą ciężarówkę zwrócono właścicielowi oraz kierowcy, uwalniając ich z więzów. Nakazano im jechać do Ostrowca, zgodnie z ich pierwotnym planem, i tam złożyć meldunek o napadzie, z zastrzeżeniem że meldunek mają złożyć nie wcześniej niż o godz. 17-ej.

Aby nie dopuścić do zepsucia się tak dużej ilości twarogu gdyż były w tym czasie ciepłe dni, sierżant "Wazon" kazał przed każdym szalasem ustawić beczkę twarogu aby partyzanci mogli jeść ile tylko zapragną.

Młodzi chłopcy i dziewczęta z grupy sanitarnej robiły sobie tzw. kogiel-mogiel, wykorzystując jajka oraz cukier zdobyty wcześniej, na stacji Kunów.

Jak wspomina ppor. J. Kamiński "Wałek", ktoś z żołnierzy powiedział: "tak nas karmią, jak na zabicie". Miał to być żart lecz najbliższe dni wykazały że nie był daleki od prawdy.

W związku z akcją na mleczarnię w Iłży zostałem "siarczyście" zwymyślany przez por. "Siarkę".

Otóż w tym dniu byłem w Iłży i spotkałem "Sokoła" z "Gozdawą" na ulicy przed piekarnią Sępiolów. "Sokół" powiedział mi krótko, że czekają z kolegą, tu wskazał ręką "Gozdawę" gapiącego się na ruiny iłżeckiego zamku, na ciężarówkę z mleczarni, która w tej chwili jest ładowana i że mają ją zmusić do jazdy w kierunku obozu. Zapytał mnie czy ja teraz nie będę jechał przypadkiem też do obozu, ponieważ w takim razie miałby do mnie prośbę. Chodziło mu o odprowadzenie roweru. Opowiedziałem, że chętnie to zrobię. Prosił aby rower przekazać por. "Siarce" i powiedzieć mu że nie jest to ten rower którym przyjechał do Iłży na akcję, aby się nie denerwował.

Mając dwa rowery ("Sokoła" i swój) nie mogłem jechać równocześnie na obu po polnej drodze, jaka prowadziła od zamku do wsi Kotlarka. Musiałem iść pieszo.

Gdy przybyłem do obozu, zgodnie z prośbą "Sokoła" wręczyłem rower por. "Siarce", wyjaśniając skąd go przyprowadziłem i że nie jest to ten rower, na którym "Sokół" pojechał do Iłży.

Por. "Siarka" słysząc że rower jest "Sokoła" nie słuchał już dalszych wyjaśnień a ryknął na mnie jak tylko potrafił, dając mi rozkaz natychmiastowego odprowadzenia roweru do Iłży.

Niech im się akcja nie uda, krzyczał, to na czym będą uciekać. Narobił takiego wrzasku, że moje tłumaczenia były niesłyszalne.

Na szczęście scenę tę obserwował z boku Jan Pryciak "Wąż", brat "Sokoła", który podbiegł i uspokoił "Siarkę".

W życiu nie widziałem tak zdenerwowanego człowieka jakim był wtedy "Siarka". Pomyślałem sobie, że nie z przypadku przyjął taki pseudonim.

Gdy po 40-tu latach spotkałem się z nim we Wrocławiu, przypomniałem mu jak mnie beształ (robiąc to z resztą w dobrej myśli). Udał prawdopodobnie, że już sobie tego nie przypomina. Jednak na pożegnanie bardzo mnie wycalaował, chyba chcąc w ten sposób zrekompensować mi dawne przykrości.

Pewnego dnia, grupa złożona z dwóch partyzantów, pod dowództwem plut. Tadeusza Kasprzyckiego "Graba", przewoziła ze Starachowic do Zgrupowania lekarza "Wyrwę" oraz środki opatrunkowe i lekarstwa. Wyjeżdżając z Wierzbnika szosą w kierunku Lubieni zauważono pasące się obok gajówki Łazy niemieckie konie taborowe, należące do biwakującej trochę dalej w lesie jednostki wojskowej.

Za zgodą plutonowego "Graba", st. strz. Aleksander Filipowski "Jastrząb" wykorzystał nieuwagę Niemców i zdjął pęta dwu koniom. Następnie odjechał na jednym z nich, trzymając na wodzy drugiego. Plutonowego "Graba" dopędził prawie pod samą Lubienią. Po przyjeździe do obozu stwierdzono, że konie były wcześniej własnością Wojska Polskiego. Świadczyły o tym znaki wypalone na kopytach. Tym razem odebrano swoje. Bywały też przypadki humorystyczne.

Podczas pewnej akcji na szosie Marcule-Lubienia (w sierpniu 1944), zatrzymano samochód ciężarowy. W szoferce jechali dwaj żołnierze, a z tyłu na platformie nie było nic poza jedną wielką walizą.

Po rozbrojeniu żołnierzy dowódca akcji postanowił wracać do obozu, gdyż robiło się ciemno a droga dość daleka. Kazał też zabrać walizę w całości. Była zabezpieczona kilkoma zamkami i była bardzo ciężka, dając powody do podejrzeń iż zawiera jakieś cenne rzeczy.

Dowódca postanowił, że otwarcia walizy dokona się po przybyciu do obozu, uradując widokiem oczy "Potoka" i kolegów.

Z powodu dużych wymiarów i ciężaru walizy, niosący ją żołnierze musieli się często zmieniać. Potykali się w ciemnościach o korzenie i nierówności leśnych dróg, aż wreszcie dotarli do obozu. Tu, nie bez trudności, uporano się z zamkami i oczom ciekawskich ukazał się duży zbiór starych gazet, które prawdopodobnie kolekcjonował jeden z niemieckich żołnierzy. Dla ścisłości należy dodać, że były tam jeszcze brudne kalesony.

Wywołało to burzę śmiechu a szef kompanii "Jastrząb" polecił gazety podrzeć i zanieść do latryny.

Po kilku dniach dowcipni zaczepiali "Jastrzębia", mówiąc "szefie, kiedy pójdziemy na szosę, bo... bo, papier się skończył".

Prowokowany sierż. "Jastrząb" wziął pewnego dnia grupę ludzi i poszedł z nimi na szosę. Założył zasadzkę gdzieś w okolicy Zębca. Zatrzymano wojskową ciężarówkę z przyczepą, kryte brezentem.

W szoferce jechało dwóch żołnierzy, z których jeden wyskoczył na szosę i usiłował uciekać do lasu. Ucieczka mu się nie powiodła i został zabity. Prawie wszyscy ludzie z zasadzki pobiegli do zabitego aby go obejrzeć z bliska. Wykorzystał to żołnierz kierowca, pozostający w szoferce. Uruchomił silnik i ruszył pełnym gazem przed siebie. Oddane za nim strzały nie potrafiły go zatrzymać.

Jak wspomina ppor. J. Kamiński "Walek", miał on w swym plutonie dwóch zbiegłych z niemieckiej niewoli radzieckich żołnierzy. Jeden nazywał się Szasza a drugi Misza. Szasza był wcześniej marynarzem na Wołdze i należał do bardzo odważnych żołnierzy. Gdy znaleziono ich w lesie byli boso i bez broni.

Po dwóch dniach pobytu z partyzantami Szasza zwrócił się z prośbą do dowódcy aby mu wypożyczono broń, to on pójdzie na szosę i tam się uzbroi. Zaufano mu i spełniono jego prośbę. Po kilku dniach Szasza powrócił w niemieckich butach i ze zdobyczną bronią.

Pewnej nocy, podczas marszu, Szasza szedł jako przedni szperacz. W pewnej chwili zauważono, że z przeciwka również maszeruje jakiś oddział.

Szasza krzyknął "stoj, kto idiot? ". Odpowiedź brzmiała "BCh, a wy kto? " AK-odpowiedział Szasza.

Szasza stał się ulubieńcem oddziału i do dziś wszyscy go wspominają, podkreślając jego waleczność i koleżeńskość.

W październiku dołączył do oddziałów AL i BCh przedzierających się przez linię frontu pod Chotczą.

Podczas postoju Zgrupowania w rejonie Kruków wyjeżdżano za zgodą dowódcy konnym wozem na polowania. Liczono na możliwość dodatkowego zaopatrzenia kuchni w mięso.

Kiedyś będąc w obozie widziałem jak trzech lub czterech amatorów polowania wyjeżdżało wozem zmontowanym na wzór tzw. linijki.

Prawdopodobnie nic nie upolowali, gdyż nie sądzę aby mieli doświadczenie pod tym względem. Aby zastrzelić jelenia lub dzika trzeba nie tylko go trafić, ale trzeba jeszcze wiedzieć w które miejsce.

Zdarzyło się natomiast, że do żołnierza leżącego na ubezpieczeniu podszedł dzik i ten nie wytrzymał aby do niego nie strzelić. Dzik poszedł do kotła a żołnierz na "stójkę pod karabinem" za spowodowanie niepotrzebnego alarmu.

Pewnego razu czujka podoficerska w składzie: kpr. Kasprzycki "Grab", Tadeusz Tylkowski "Olcha" i "Wrona"(NN), powracała z rejonu wsi Piotrowe Pole do obozu.

Napotkano stado dzików. Kpr. "Grab" nie wytrzymał ażeby nie strzelić. Zranił lochę. Na szczęście "Olcha" poprawił strzał i dzik został zabity. Por. "Potok" zbeształ chłopaków za niepotrzebną strzelaninę ale wysłał wóz i dzika przywieziono.

Przebywający w tym czasie w obozie jako jeniec, dyrektor Zakładów Starachowickich Fritz Hofmann, orzekł że dzik miał dwa lata.

Kłopotliwą przygodę z dzikami miał Zdzisław Jankowiak "Żbik", z kompanii ostrowieckiej.

Pojechał w eskorcie wozu po wodę na leśniczówkę Kruki. Była godzina wczesna rano i na polu koło leśniczówki buszowało stado dzików. Spłoszone dziki pocwałowały w las, natomiast jeden prosiak zakleszczył się między żerdziami płotu okalającego pole.

Żbik nie chcąc robić alarmu strzelaniem i budzić mieszkańców leśniczówki, próbował ogłuszyć dzika uderzeniem kolby karabinu.

Efekt był taki, że dzik ostatkiem sił wyswobodził się z pułapki, natomiast "Żbikowi" ułamała się kolba.

Groziła mu teraz kara za uszkodzenie broni.

Z kłopotu wybawili go rusznikarze, którzy szybko i dobrze skleili drewno i nikt z dowództwa się o tym nie dowiedział.

Inny śmieszny przypadek zdarzył się w obozie nad Kotyską.

Przyprowadzono do zabicia wielkiego buhaja. Okazało się, że nie znalazł się nikt, kto potrafiłby to zrobić. Wtedy to szef "Wazon", któremu podlegała kuchnia i sprawy wyżywienia, strzelił mu w głowę z pistoletu kal. 7, 65 (prawdopodobnie mojego).

Okazało się, że taki kaliber broni był za mały.

Byk stał przez chwilę jak gdyby się zastanawiał nad tym co to było? Po chwili pochylił łeb i ruszył do przodu, zrywając łańcuch za pomocą którego był przywiązany. Zwierzę tak się rozjuszyło, że ganiało wszystkich, tratując szalasy, kuchnię, wóz i inne rzeczy. Kto mógł ratował się wchodząc na drzewa lub kryjąc się za nie. Po kilku minutach zwierzę się zatrzymało aby chwilę odpocząć. Wykorzystał to por. "Siarka" i zastrzelił byka z karabinu.

Na zakończenie rozdziału o sprawach ogólnych Iłżeckiego Pułku podam jeszcze inny, także zabawny fakt.

Otóż wśród raportów komendanta SS i policji dla dystryktu Radom jest taki* komunikat:

18. 9. 1944. Wald 1 km. s. Olechów, o 138(12-7-9), auf der Strasse Sienno-Ostrowiec hielten 5 mit MPi. bew., in deutschen WH-Unifonnen bekleidete Banditen den LKW. eines Rd. an.

1 Bandit fuhr den LKW. in den Wald, wo 17 440 Eier, 260 kg Butter, 633 kg Quark geraubt wurden.

LKW wurde zuruckgegeben.

Ta sama treść w języku polskim

18. 9. 1944. W lesie, 1 km na południe od Olechowa, na szosie Sienno-Ostrowiec, 5 bandytów ubranych w mundury Wehrmachtu, uzbrojonych w pistolety maszynowe, zatrzymało ciężarówkę należącą do reichsdeutscha.

Jeden z bandytów siadł za kierownicą i pojechał w głąb lasu, gdzie zrabowano z niej: 17 440 jaj, 260 kg masła i 633 kg twarogu.

Ciężarówkę zwrócono.

Jest to bez żadnych wątpliwości komunikat na temat akcji "Gozdawy" i "Sokoła" na ciężarówkę Kleina z Iłży. Zgadza się w nim data akcji oraz wyszczególnienie skonfiskowanych artykułów. Nie zgadza się tu jednak sposób zatrzymania samochodu oraz miejsce zdarzenia.

Okazało się że (jak podaje prof. Politechniki Łódzkiej Jerzy Sułocki, wtedy pchor. "Gozdawa" i uczestnik akcji) zwalniając Kleina nakazano mu złożyć meldunek o napadzie w Ostrowcu Św. i nie wcześniej niż o godz. 17-ej, z podaniem miejsca napadu i okoliczności - jak w przytoczonym niemieckim komunikacie.

Chodziło o zmylenie niemieckich sił policyjnych.

Nakazując Kleinowi takie postępowanie nie liczone się poważnie, że Klein postąpi zgodnie z życzeniem partyzantów. Teraz po blisko 50 latach dowiedzieliśmy się, że Klein zrobił dokładnie to co mu partyzanci nakazali.

Jak widać Klein był typowym Niemcem i rozkaz choć wydany przez "bandytów" wykonał sumiennie. "Befehl ist Befehl". Szkoda że nie będzie tego wiedział nieżyjący już Wacław Pryciak "Sokół", który rozmawiając ze mną po akcji zastanawiał się nad tym czy Klein postąpił tak jak mu nakazano. Uśmiełby się teraz, czytając ten komunikat.

Ostatnie dni września

W piątek 22 września 1944 r. o godz. 20-ej, pod nieobecność "Potoka" ale zgodnie z jego rozkazem, Zgrupowanie wyruszyło z obozu koło Kruków, udając się nad Kotyskę. Ppor. "Włodek", zastępca "Potoka", zarządził zachowanie ciszy podczas marszu aby przerzucić wojsko w sposób możliwie niezauważalny.

Aby utrudnić rozpoznanie dokąd wojsko zostało przerzucone, poprowadzono je dłuższą trasą, idąc koło Lubieni. Pomyłono przy tym drogę, wychodząc na pola i zawracając z powrotem w lasy. Ostatecznie do obozu dotarto od południa, drogami mało uczęszczanymi, przebiegającymi przez podmokłe i grząskie tereny.

Odległość między obozami wynosiła 8 km, a pokonanie jej dłuższą i nieznaną trasą zabrało 8 godzin i naraziło tabor na utonięcie w błotach i potem bardzo trudne jego wydobywanie.

Przy tym wszystkim padał deszcz i było zimno. Bardzo wszyscy odczuli dolegliwości tej przeprawy a kronikarz "Zadra" odnotował je w swoim pamiętniku.

Nawet na najlepszej drodze dojazdowej do tego obozu, którą była leżnia "E", były doły wypełnione wodą, w których oddział "Ośki" utopił prawie nową ciężarówkę Forda. Jeździłem tam z Józefem Kaczmarczykiem "Błokiem" aby na prośbę "Ośki" wydobyć ją z tego błota. Niestety. Oparła się podwoziem o twardy grunt i zawisła na nim. Musieliśmy zrezygnować z jej uratowania. Nie wiem jakie były jej dalsze losy. Prawdopodobnie wydobyli ją Niemcy.

O godz. 4-ej nad ranem kolumna dotarła do obozu. Zmoknięci żołnierze zajęli stojące tu, całkiem dobre szałas. Było ich jednak za mało i wielu zmordowanych chłopców musiało się zająć budową nowych. Rozpalono ogniska ażeby się ogrzać i wysuszyć. Nastrój żołnierzy zmęczonych całonocnym marszem uległ poprawie. Zaczęto korzystać z kąpieli w strumieniu.

Trzy dni później, tj. w poniedziałek 25 września wieczorem dołączyły do Zgrupowania oddziały z terenu opatowskiego, doprowadzone przez chorążego Stanisława Różalskiego "Grażynę".

Według jego relacji napisanej po wojnie 12. 2. 1973 r. w Ćmielowie i przesłanej "Potokowi", "Grażyna" otrzymał 21 września rozkaz zebrania z okolic Ćmielowa wszystkich chętnych, którzy jeszcze nie poszli na koncentrację 2-ej dywizji AK i doprowadzenia ich w koneckie. Mieli być włączeni do 3-go pułku, batalionu Antoniego Hedy "Szarego". Zbiórkę tych żołnierzy przeprowadził w leśniczówce Władysława Roguskiego we Wławkowicach, pod Ćmielowem.

"Grażyna" podał, że na zbiórkę stawili się 280 ludzi, w tym 5 oficerów, kilku podchorążych, około 30 podoficerów i 6 Rosjan. Z tych ludzi zaledwie 30 miało broń. Po otrzymaniu u w leśniczówce Jeziórko od dr Szrajberowej 150 kocy i kilku skrzynek konserw oraz od Władysława Roguskiego pary koni i wozu, "Grażyna" przeszedł w dniu 24 września do leśniczówki Czarna Głina. Tu otrzymał od leśniczego brakujące uzbrojenie.

(Podana przez "Grażynę" ilość ludzi (280) wynikała z bilansowania ich u "Potoka", gdyż istnieją dane mówiące, że ludzie z kompanii opatowskiej przybywali w kilku mniejszych oddziałach). Uzbrojenie kompanii opatowskiej według "Grażyny" wynosiło:

- 8 karabinów maszynowych,
- około 50 Stenów,
- około 180 karabinów,
- dwie skrzynki granatów ręcznych,
- broń krótka,
- amunicja(ile kto mógł zabrać, reszta na wozie taborowym).

Podczas marszu w kierunku lasów starachowickich i przechodzenia przez wieś Jelenia Góra, łącznik z Ostrowca Św. przekazał "Grażynie" rozkaz dołączenia do Zgrupowania Potoka, aby z nim razem iść w koneckie.

W oddziale, który doprowadził "Grażyna" do Zgrupowania Iłżeckiego Pułku, znajdował się kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz", dowódca kompanii w podobwodzie 300 oraz dowódcy plutonów z tej kompanii: ppor. Jan Młynarczyk "Mieczyk", ppor. Tadeusz Kwiecień "Dąb", ppor. Józef Rawluk "01bromski" oraz ppor. Leon Targosiński "Jastrząb". Komendant podobwodu 300, czyli zwierzchnik wymienionych, por. (kpt.) Piotr Szczepaniak "Paweł" przybył do zgrupowania Iłżeckiego Pułku w dniu 29 września przed wieczorem, pilotowany z Jeleńca przez specjalnie po niego wysłany oddział z kompanii ostrowieckiej, pod dowództwem ppor. Mieczysława Robaczewicza "Brzozowskiego". Tuż za nim przybyła ostatnia część kompanii opatowskiej, także pilotowana przez ten oddział. Razem z "Pawłem" przybył jeszcze jeden oficer, por. Stanisław Roguski "Ostoja".

Oficerowie ci przybyli bezpośrednio do obozu pod Krukami, gdyż w dniu poprzednim nastąpiła zmiana miejsca postoju Iłżeckiego Pułku.

Dwa dni wcześniej, tj. 27-go września, do obozu nad Kotyską przybył Komendant Obwodu Iłżecko-Starachowickiego, kpt. Piotr Kulawik "Dariusz" i na zwołanej naradzie oficerów zakomunikował iż Zgrupowanie Pułku nie pójdzie na koncentrację w koneckie, ponieważ sprawa pomocy dla Warszawy stała się nieaktualna. Skoncentrowane jednostki mają przejść do akcji "Burza", a Iłżecki Pułk również przejdzie do takich działań ale na terenie lasów świętokrzyskich. Ustalono, że Pułk należy zreorganizować, dzieląc go na trzy bataliony:

- baon I. - dowódca ppor. "Włodek",
- baon II. - dowódca ppor. "Fiedler",
- baon III. dowódca ppor. "Wrzos".

Bataliony te mają utrzymywać odległość między sobą nie większą niż 10 km, a dowódca pułku por. "Potok" ma przebywać przy jednym z nich, w zależności od potrzeb.

Dla realizacji tych zadań wskazane było dozbrojenie Pułku, w którym około 80 ludzi nie miało broni a jeszcze więcej z tych samych powodów musiało się udać do domów.

"Potok" natychmiast rozwinął akcję poszukiwania broni. Pewną ilość broni miał uzyskać ze zrzutu, na odbiór której otrzymał wytyczne od Komendanta Obwodu. Pewną ilość broni miał uzyskać z terenów świętokrzyskich, po którą została wysłana grupa żołnierzy "Wrzosa", pod dowództwem pchor. "Rafała". Trzecim źródłem zaopatrzenia w broń był magazyn w Jaworze Soleckim, i tam udał się "Potok" osobiście (był tam poprzednio dowódcą plutonu). Dodatkowo wysłał ludzi na rozmaite placówki aby tam szukali jeszcze niewykorzystanej broni. Stanisław Wróbel "Warta", Antoni Madejski "Wiśnia", Tadeusz

Madejski "Kret" i Tadeusz Bębenek "Berys" otrzymali rozkaz poszukiwania broni w placówce wsi Cieciorówka.

W następnym dniu po naradzie z Komendantem Obwodu, czyli w dniu 28 września po południu, miał wyruszyć na zrzutowisko wzmocniony pluton ppor. Jana Kamińskiego "Walka". Z rana tego dnia została wysłana drużyna kpr. "Giermka" z kompanii ostrowieckiej do Jeleńca w celu przyprowadzenia kpt. "Pawła". Dowództwo tej grupy objął ppor. Mieczysław Robaczekiewicz "Brzozowski". Razem z tą grupą pomaszerował także Jerzy Józefowski "Warta", który był z kompanii opatowskiej i znał osobiście kpt. "Pawła".

Oddział ten otrzymał polecenie zrobienia zasadzki na szosie Iłża-Lubienia i zdobycia broni, a następnie udania się w kierunku Jeleńca.

Żołnierze drużyny "Giermka" jak również ppor. "Brzozowski" byli prawie wszyscy poznaniakami, wysiedlonymi przez Niemców do Ostrowca Św. Należeli do nich: Zbigniew Manowski "Giermek", Kazimierz Manowski "Orzeł", Stanisław Kosicki "Bohun", Florian Kaczmarek "Bejn" ("Florek"), Henryk Kaczmarek "Sęp", Ludwik Krzywiński "Legwan" ("Gryf"), Józef Łuczak "Ziuk", Jerzy Poniatowski "Leszek", Mieczysław Pietrzak "Pik", Henryk Lebioda "Korsarz", Janusz Duchnicki "Szeniawa", Sajakiewicz "Dudek", Mieczysław Janiak, Tadeusz Mrówka, i inni.

Zasadzkę zrobiono na przecięciu się leżni "E" z szosą Marcule-Lubienia. Przejeżdżających lub przechodzących ludzi kierowano w las obok szosy aby ich nie narażać na niebezpieczeństwo. Wśród zatrzymanych ludzi Jerzy Józefowski "Warta" rozpoznał właściciela sklepu żelaznego w Iłży Cybucha, który wioził wozem konnym różne naczynia emaliowane i sztucce, których część przy okazji zakupili partyzanci. Wśród zatrzymanych znalazł się także Inspektor Rolny Samorządowy ze Starachowic Otwinowski, który przejeżdżał bryczką.

W pewnej chwili zauważono, że od strony Lubieni zbliża się samochód osobowy. Gdy zbliżył się do miejsca zasadzki na odległość kilkudziesięciu metrów, na szosę wyszedł z pistoletem maszynowym "Giermek", dając znak ręką do zatrzymania się.

Samochód natychmiast zahamował i okazało się że za daleko. "Giermek" skinął ręką, dając znak kierowcy aby podjechał bliżej. Wtedy z samochodu padł strzał, na szczęście niecelny. W odpowiedzi "Giermek" wypuścił serię z pistoletu maszynowego w powietrze, co było znakiem dla partyzantów aby też oddali strzały ostrzegawcze. Taki był rozkaz, aby nie uszkodzić samochodu.

Na odgłos strzałów z samochodu wyskoczył kierowca i ukrył się w rowie. Gdy partyzanci dopadli do samochodu, jeden z dwóch siedzących w nim Niemców szykował sztucer myśliwski do strzału.

Ładował go kulami dumdum, stosowanymi w myślistwie. Był to Kreislandwirt von Stschepansky (zniemczone nazwisko Szczepański), vicestarosta do spraw rolnictwa. Drugim Niemcem był generalny dyrektor zakładów zbrojeniowych w Starachowicach, Ostrowcu Św. i Pionkach, generał rezerwy Fritz Hofmann. Podobno krewny marszałka Hermanna Goeringa. Ostatnia sugestia wynikała z tego, że Zakłady Starachowickie były przez Niemców nazwane Hermann Goering Werke.

Kierowcą samochodu był Polak, żołnierz AK, Radzikowski ze Starachowic.

Po rozbrojeniu Niemców, eskorta złożona z sześciu ludzi pod dowództwem "Giermka", odwiozła jeńców samochodem do obozu. Samochodem kierował żołnierz drużyny "Giermka" Mieczysław Janiak, a w eskorcie pojechali między innymi; Henryk

Lebioda "Korsarz, Józef Łuczak"Ziuk" i Janusz Duchnicki"Szeniawa". Reszta oddziału pomaszerowała pod dowództwem ppor. "Brzozowskiego" do Jeleńca.

Mieczysław Pietrzak"Pik" wspomina, że w samochodzie znaleziono butelki koniaku i francuskiego szampana. Podobno szampan otworzono i każdy się nim poczęstował. "Pik" wspomina, że był to pierwszy szampan jaki w życiu pił.

Napoje te miały być wykorzystane w Marculach, dokąd Niemcy się wybrali polować na jelenie. Była jesień i jelenie miały tzw. rykowiska (zwierzęce zaloty), podczas których łatwo się na nie poluje.

W Marculach oczekiwał gości Forstmeister dr Hermann Meyer, z którymi rozmawiał telefonicznie kilkanaście minut temu. Forstmeister ostrzegał Szczepańskiego iż w lesie jest niebezpiecznie i może polować ale na własne ryzyko.

Szczepański nie przejął się uwagami Forstmeistera i postanowił przyjechać (takie widocznie było przeznaczenie).

Wiedząc ile się jedzie ze Starachowic do Marcul, w odpowiedniej chwili Forstmeister w towarzystwie nadleśniczego dra Leona Mroczkiewicza wyszedł na szosę, aby powitać gości. Z odległości około 700 metrów obserwowali scenę zatrzymania samochodu przez partyzantów. Gdy Forstmeister uświadomił sobie co się stało, podążył do telefonu aby zaalarmować odpowiednie władze.

Dowódcą SS i policji dystryktu Radom był wówczas Obersturmbannführer Illmer. Ze względu na rangę wydarzenia, prawdopodobnie do niego zatelefonował wtedy Forstmeister. Nie ulega wątpliwości, że wiadomość tę władze bezpieczeństwa z Radomia przekazały natychmiast do Krakowa a stąd także do Berlina.

Radomskie władze w Radomiu otrzymały rozkaz aby uczynić wszystko co możliwe dla ratowania pojmanych Niemców, znających bardzo ważne tajemnice państwowe.

Pierwszą reakcją było wysłanie na miejsce zdarzenia ekspedycji wojskowej, z towarzyszeniem żandarmerii i Sipo, w celu odbicia Szczepańskiego i Hofmanna.

Nasycenie w tym czasie lasów oddziałami partyzanckimi było tak wielkie, że wszelkie oddziały wojskowe i policyjne jakie Niemcy w tej okolicy mieli, zaangażowane były w ciągłych akcjach, i gdy zaszła potrzeba natychmiastowego wysłania odsieczy, nie było kogo wysłać. Dopiero pod koniec dnia udało się Niemcom "wygospodarować" jakąś kombinowaną jednostkę wojska i wysłać do rejonu Marcul. Na miejsce w którym była zasadzka i w którym pojmano Niemców, przyjechał jakiś opancerzony ciągnik z dwoma przyczepami żołnierzy.

Niemcy obejrzeli rejon zasadzki a następnie udali się leżnią "E" w kierunku obozu "Potoka", idąc po śladach uprowadzonego samochodu. Uszli około 400 m i zatrzymali się na skrzyżowaniu z działką 18-tą. Zrobiło się ciemno. Dokoła duży las sosnowy z dość gęstym podszyciem. Nieznany przeciwnik i w nieznanym miejscu. Wszystko to przemawiało za rezygnacją z dalszych poszukiwań.

Dowódca niemiecki zdawał sobie sprawę z tego, że nie tylko nie odbije porwanych ludzi ale jeszcze może zginąć wraz z całym oddziałem, który tu przyprowadził.

W tym właśnie czasie wyruszył z obozu "Potoka" wzmocniony pluton ppor. Jana Kamińskiego "Walka", idący na zrzutowisko po obiecaną broń.

Żołnierze plutonu maszerowali lasem po obu stronach leżni "E". W przodzie oddziału szli dowódca plutonu ppor. Kamiński"Walek" oraz dowódca kompanii ppor. Witold Mrowiński "Fiedler". Przed nimi szli szperacze czołowi, jak wspomina ppor. "Walek", po przedwojennej maturze. Jednym z nich był kpr. Józef Książek"Góral" ze Starachowic a drugim strz. Marian Trela "Jur", pochodzący z okolic Inowrocławia. W tyle kolumny

marszowej jechał wóz taborowy, na którym oprócz woźnicy siedział szef kompanii st. sierż. Stanisław Trzaska "Jastrząb". Za wozem siedł uwiązany, biały byk, zabrany na wyprawę jako zapas świeżego mięsa. Przewidywano, że pobyt na zrzutowisku może potrwać kilka dni. (Zrzutowisko miało kryptonim "Dracena" i znajdowało się na polach pomiędzy wioskami Borsuki i Rybiczyna.)

Zdaniem ppor. "Fiedlera", Niemcy słysząc w ciszy leśnej jadący drogą wóz, czekali na niego. Ppor. "Walek" nie sądził aby tak było, gdyż wóz był na pneumatykach i jechał cicho. Tak czy owak Niemcy pozostawiali na skrzyżowaniu dróg w chwili gdy szperacze partyzanci dochodzili do niego. Właśnie w owej chwili dowódca niemiecki, będąc na środku drogi, chciał przy świetle lampki elektrycznej obejrzeć mapę. Był to z jego strony niesamowity błąd, który okazał się być ostatnim błędem w jego życiu.

Szperacze ppor. "Walka" otworzyli z bliskiej odległości ogień do gromady Niemców, zajętych oglądaniem mapy. Po opróżnieniu magazynków odskoczyli nieznacznie do tyłu, kryjąc się w leśnych zagłębieniach. Straty niemieckie od tego ognia musiały być duże. W niemieckim komunikacie, zamieszczonym na końcu rozdziału, podano że został zabity st. sierżant oraz ciężko ranny dowódca w stopniu kapitana, który zmarł wkrótce. Z pewnością są to straty zaniżone, ze względu na to iż komunikaty te przesyłane były do wyższych władz, a te mogły wyciągnąć wnioski niekorzystne dla tych, którzy źle dokonali akcji i ponieśli tak duże straty.

Partyzanci przeglądając później pobojuwisko znaleźli automatyczny niemiecki karabin oraz czapkę niemieckiego kapitana, u którego naszywki na czapce świadczyły że walczył wcześniej w dywizji "Condor", w Hiszpanii. Był także odznaczony "żelaznym krzyżem".

Niemcy, nie widząc nic w ciemnościach, wystrzelili rakiety i rozpoczęli ślepy ale bardzo intensywny ostrzał wzdłuż leżni "E" oraz w innych kierunkach. Szczególnie zaciekle zwalczali stanowiska polskiej broni maszynowej.

Strzelec Edward Chołuj "Vis", celowniczy rkm-u w 1-ej drużynie plutonu "Walka", podaje że większość rannych po stronie partyzantów, to żołnierze z obsługi jego karabinu maszynowego.

Gdy w pewnej chwili "Visowi" zamilkł jego karabin, pomyślał sobie że się zaciął. W czasie gdy rozmyślał nad przyczyną zacięcia, koledzy doszli do wniosku że został zabity lub ciężko ranny i zaczęli go za nogi wyciągać spod niemieckiego ognia. •

"Vis" poczuł w pewnej chwili, że jedzie wraz z rkm-em do tyłu. Dopiero gdy głośno krzyknął na nich, puścili go.

Okazało się, że rkm się nie zaciął, tylko skończyła się w magazynku amunicja. W ferworze walki "Vis" zapomniał, że magazynki nie mają nieograniczonej pojemności i że trzeba je co chwila zmieniać.

"Potok" słysząc strzelaninę jaka się wywiązała pomiędzy Niemcami i plutonem "Walka" wysłał natychmiast pomoc w postaci plutonu ppor. Zygmunta Cyrana "Sora" oraz grupy ludzi pod wodzą "Gorliwego". Nadchodzące oddziały zaczęły Niemców oskrzydlać, a plutonowy "Sosna" podczołgał się bliżej Niemców i zaczął ich po niemiecku wzywać do poddania się. Dał im do zrozumienia, że są odcięci i nie mają wyjścia.

Słyszając to Niemcy zamilkli i jak gdyby zastanawiali się nad propozycją. Po przeanalizowaniu sprawy postanowili się nie poddawać ale ustąpić z pola walki. Nie mając pewności, czy partyzanci nie przecięli im drogi odwrotu, pojechali działką 18-tą w kierunku północnym, a następnie leżnią "D" do szosy.

Przybyli ponownie na miejsce walki w następnym dniu o świcie gdy partyzantów już tu nie było. Pozostał w tym rejonie tylko jeden partyzant, st. strz. Mieczysław Sroka "Pirat". Maszerował on krytycznego dnia w składzie plutonu "Walka" lecz na końcu kolumny. Gdy czoło plutonu wdało się w walkę z Niemcami, "Pirat" bardzo zmęczony w tym dniu, wykorzystał przerwę w marszu i położył się blisko drogi pod jakąś leszczyną i zasnął. W ciemnościach nikt z kolegów tego nie zauważył. W tym czasie "Potok" z całym Zgrupowaniem odszedł na nowe miejsce postoju, a "Pirat" spał. Gdy rano się obudził, spojrzał na drogę, wtedy dojrzał że na skrzyżowaniu, miejscu wczorajszej walki, widać mnóstwo niemieckich żołnierzy. Widząc, że na osi drogi ma przeszkodę nie do przebycia, "Pirat" skierował się lasem na północ i zataczając duży łuk przekroczył szosę Marcule-Iłża a następnie podążył do obozu koło Kruków, gdzie dołączył do Zgrupowania.

Podczas strzelaniny na leżni "E" zostały ciężko ranne oba konie taborowe i ppor. "Walek" musiał je dobić z pistoletu. Natomiast byk idący za wozem, nie był nawet draśnięty. Stał sobie potem majestatycznie na środku drogi i czekał aż się nim ktoś zajmie.

St. strz. Władysław Bembenek "Szkot", z plutonu łączności, pełnił w czasie walki pod Marculami służbę w oddziale wartowniczym obozu nad Kotyską. Gdy rozległy się strzały ogłoszono w obozie alarm, a następnie "Potok" wysłał na miejsce walki pomoc. Po upływie godziny do obozu zaczęli napływać ranni. Kilka metrów od wartowni lekarz urządził punkt opatrunkowy. Chłopcy z wartowni razem ze "Szkotem" oświetlali to miejsce lampami naftowymi (pajakami). "Szkot" zapamiętał dobrze te opatrunki i opisał stan rannych:

1. "Doliwa" (Janusz Wierzchowiecki) - przestrzelone ramię powyżej łokcia, kość nie uszkodzona, małe krwawienie, rana wyglądała na czystą.
2. "Gniew" (Zbigniew Mazurek) - postrzał w udo, kość cała, pocisk uwiązł w mięśniach, małe krwawienie rany.
3. "Sum" (Wacław Chajec) - rozplątany pośladek na długości około 15 cm i głębokości 1, 5 cm. Duże krwawienie.
4. "Jaskółka" (Józef Skwarek) - twarz pocięta odłamkami pocisku karabinowego, który rozprysł się trafiając w muszkę karabinu "Jaskółki". Oczy całe, silne krwawienie ran twarzy.

Gdyby kula niemiecka zboczyła ze swego toru o kilka milimetrów, "Jaskółka" otrzymałby śmiertelny strzał w głowę. Chociaż dopisało mu szczęście, to uratował życie tylko na trzy dni. Podobnie stało się z "Doliwą" i "Sumem".

Z chwilą gdy chłopcy drużyny "Giermka" doprowadzili do obozu samochód i pasażerów, por. Wincenty Tomasik "Pctok" natychmiast zarządził zbiórkę oddziałów, przed frontem których poprowadzono jeńców. Chodziło o znalezienie świadków, którzy mogliby coś powiedzieć na temat pojmanych Niemców.

W Zgrupowaniu było dużo ludzi ze Starachowic i Ostrowca Św., którzy dali dobrą opinię dyrektorowi F. Hofmannowi. Twierdzono, że chronił pracowników nie pozwalając na aresztowania w zakładach pracy, że dobrze traktował ludzi i że nic złego nie można o nim powiedzieć.

Gorzej było z Kreislandwirtem von Szczepańskim. Znało go wielu ludzi ze wsi powiatu iłżeckiego, a sam Janusz Wierzchowiecki "Doliwa" pracował w jego urzędzie. Za sabotaż robiony przez "Doliwę", w postaci fałszowania i mszczenia dokumentów, Szczepański chciał go oddać w ręce policji.

"Doliwa" nie czekając schronił się w Zgrupowaniu Potoka. Teraz się znów spotkali i "Doliwa" był jednym z tych, którzy usiłowali zmusić Szczepańskiego do mówienia po polsku. Wiedział, jak zresztą wielu innych, że Szczepański zna język polski, gdyż podobno był nawet oficerem w Wojsku Polskim, a dopiero po wkroczeniu Niemców do naszego kraju stał się hitlerowcem i do tego nadgorliwym.

Już w 1940 r. dał się poznać zamykając w aresztach sołtysów za to, że oddawanie przez ludzi kontyngentów zbożowych nie szło tak sprawnie jak sobie życzył. Osobiście jeździł po wsiach wymierzając ludziom kary za opieszałość w dostawach produktów rolnych. Powszechnie znany był przypadek z wiatrakiem. Jadąc nocą autem Szczepański zauważył pracujący wiatrak. Należy tu zaznaczyć, że praca wiatraków była zakazana, gdyż Niemcom trudno było kontrolować przemiały w tego typu młynach, rozrzuconych daleko w polach. Szczepański zatrzymał samochód i kazał kierowcy oblać wiatrak benzyną z kanistra a następnie podpalić. Gdy z płonącego wiatraka wyskakiwali ludzie, Szczepański strzelał do nich z pistoletu maszynowego.

Wśród partyzantów znalazł się ktoś, komu Szczepański zastrzelił brata, innemu znów rodziców.

Informacje te szalenie wzburzyły partyzantów, a Wojskowy Sąd Polowy skazał Szczepańskiego na karę śmierci. Wyrok wykonano natychmiast.

W stosunku do Hofmanna nie było zarzutów, a były nawet dobre opinie o nim, co spowodowało że Sąd Polowy postanowił go uwolnić. Podano mu to do wiadomości. Podobno po wojnie, gdy stanął przed sądem amerykańskim, miał się powołać na to, że w Polsce już był sądzony i został uniewinniony. Zwracał się podobno w tej sprawie do znajomych w Polsce, aby mu to potwierdzili.

Gdy niemiecka ekspedycja nie zdołała odbić pojmanych osobistości, władze bezpieczeństwa z Radomia poleciły Forstmeisterowi Meyerowi aby jak najszybciej nawiązał kontakt z dowódcą partyzantów i prowadził z nim rozmowy na temat ich uwolnienia. Forstmeister tak napisał w swych wspomnieniach:

*"Ich blieb in der Obeifoersterei Marcule und erhielt am Abend von der Sicherungsgruppe Radom den Auftrag, unter allen Umstaenden mit der Partisanengruppe Verbindung aufzunehmen und mit ihr über die Bedingungen für die Herausgabe der beiden, im Gewahrsam der Partisanen befindlichen "Geheimnistraeger erster Klasse" zu verhandeln *.*

Po przetłumaczeniu tego tekstu na język polski brzmi to następująco:

"Pozostałem w nadleśnictwie Marcule i wieczorem otrzymałem od władz bezpieczeństwa w Radomiu polecenie bezwzględnego nawiązania kontaktu z grupą partyzancką oraz prowadzenia rozmów na temat warunków uwolnienia obu jeńców, znających bardzo ważne tajemnice państwowe

W powyższej sytuacji Forstmeister wezwał natychmiast leśniczego Zdzisława Leśniaka, mieszkającego blisko Marcul na leśniczówce Błaziny, aby prosić go o nawiązanie kontaktu z partyzantami. Leśniczy Leśniak znał język niemiecki i był dobrze znany Forstmeisterowi z uwagi na to, że administrował terenem leśnym wokół Marcul. Forstmeister zwrócił się do Leśniaka z prośbą, aby ten odnalazł partyzantów i umówił go na spotkanie z ich dowódcą.

Leśniczy, por. rez. Zdzisław Leśniak, ps. Leśny, był oficerem jeszcze z okresu I-ej wojny światowej, a w Armii Krajowej pełnił odpowiedzialne funkcje.

Opowiadał mi potem, że gdy go Forstmeister wezwał do Marcul była już godz. 21. Na prośbę ażeby go skontaktować z partyzantami odpowiedział, że nie wie jak to zrobić i gdzie ich szukać. (Nie chciał się zdradzić, że jest w tych sprawach doskonale zorientowany i z "Potokiem" ma stały kontakt).

Forstmeister domyślił się jakie "trudności" ma Leśniak i podpowiedział mu: "Partyzanci uwiązali do samochodu gałęzie. Idź po tych śladach i na pewno ich znajdziesz".

Leśniak odpowiedział, że może tak zrobić ale dopiero jutro, gdyż teraz po ciemku nie jest to możliwe.

W czasie gdy Forstmeister prowadził rozmowę z Leśniakiem, "Potok" przerzucał wojska do obozu pod Krukami.

Pluton "Walka", po wycofaniu się Niemców, otrzymał rozkaz obsadzenia skrzyżowania leżni "E" z szosą i ubezpieczenia przeprawy. Poszczególne oddziały wychodziły na szosę, skręcając w prawo i potem leżnią "F" w kierunku Piotrowego Pola, aż do działki 10-ej i tą do obozu. Pluton "Walka", po przejściu kolumny, włączył się do niej z tyłu, jako jej ubezpieczenie.

W dniu następnym, tj. 29 września (piątek) z rana, leśniczy Leśniak pojechał wprost do obozu koło Kruków i przedstawił "Potokowi" sprawę.

Ustalili wspólnie, że o godz. 14-ej "Potok" spotka się z delegacją niemiecką w rejonie skrzyżowania leżni "C" i działki 14-ej. Ustalono, na prośbę Forstmeistera, że obie delegacje przybędą na rozmowy bez broni.

Do spotkania doszło z pewnym opóźnieniem. Ze strony niemieckiej na rozmowy przybył tylko Forstmeister Meyer, biorąc ze sobą na tłumacza nadleśniczego dra L. Mroczkiewicza. Gestapowcy nie mieli odwagi przybyć, byli zresztą w tym czasie bardzo zajęci czymś innym, a czym, to się okazało dwa dni później.

"Potok" skompletował na rozmowy delegację 6-cioosobową, do której weszli poza nim: ppor. Jan Kamiński "Walek", ppor. Roman Chrzanowski "Korab" (jako tłumacz), ppor. John Symington (Anglik), st. sierż. (ppor.) Wacław Wanat "Gorliwy", i plut. Henryk Grudnik "Konrad".

Miejsce rozmów zostało przez "Potoka" ubezpieczone przez specjalnie sformowany, dobrze uzbrojony oddział, pod dowództwem ppor. "Sora". Żołnierze oddziału ubezpieczającego leżeli zamaskowani blisko osób prowadzących rozmowy, gotowi w każdej chwili do akcji, w przypadku gdyby Niemcy szykowali jakiś podstęp.

Jak wspomina ppor. "Walek", każdy z delegacji polskiej miał jednak ze sobą broń krótką, ukrytą dyskretnie i gotową do użycia. Jedynie ppor. "Gorliwy" twierdzi, że wszyscy byli normalnie z bronią na wierzchu, na co zwrócił uwagę w swych wspomnieniach Forstmeister dr Meyer, pisząc że było to wbrew ustaleniom.

Rozmowy trwały około pół godziny.

Gdy Forstmeister zwrócił się do "Potoka", pytając o warunki wypuszczenia obu więzionych Niemców, "Potok" dysponował już tylko jednym. Nie zdradzając faktu, że Szczepański nie żyje, "Potok" odpowiedział że rozmowy mogą dotyczyć tylko jednego Niemca, tj. Hofmanna. Szczepański jest Polakiem i przestępcą wobec Narodu Polskiego. Za swoje przestępstwa będzie odpowiadał przed sądem polskim.

"Potok" wyraża zgodę na uwolnienie Hofmanna, pod warunkiem uwolnienia ludzi ze wsi Piotrowe Pole, przetrzymywanych w więzieniu Gestapo w Siennie.

Forstmeister odpowiedział, że przedstawione przez "Potoka" warunki zostaną przez władze niemieckie przeanalizowane. Spotkają się potem ponownie, ażeby rozmowy prowadzić dalej.

Następnie Forstmeister zapytał o straty partyzanckie we wczorajszej walce. Gdy się dowiedział, że było tylko czterech rannych i że walką dowodził stojący przed nim ppor. "Walek", pogratulował mu sukcesu. Podał przy tym wysokość strat niemieckich, które wg niego wynosiły: trzech zabitych i kilku rannych. Po latach, pisząc pamiętniki, określił straty niemieckie na jednego zabitego i dwóch rannych. (Jeszcze inne dane są w niemieckim komunikacie, przytoczonym na końcu rozdziału, a wg informacji uzyskanych przez wywiad AK poległo dwóch Niemców i czterech było rannych).

Dalej rozmowy przyjęły charakter kurtuazyjny i wkrótce strony rozeszły się.

Po powrocie do obozu "Potok" zebrał oficerów i zreferował im sprawy, podając instrukcje do dalszego działania. Na zakończenie zapowiedział, że teraz musi jechać do Jaworu Soleckiego i przywieźć znajdujące się tam karabiny. Zapowiedział powrót w następnym dniu, tj. w sobotę, do północy.

W tym czasie ppor. "Włodek" ma przerzucić wojska do lasów hr. Wickenhagen, położonych około 3 km na wschód od wsi Piotrowe Pole. Na wypadek gdyby się spóźnił, należy pozostawić przy leśniczówce Kruki jedną drużynę, która doprowadzi go do nowego miejsca postoju.

Sprawa dozbrojenia ludzi stała się teraz dla "Potoka" niecierpiącą zwłoki. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozmowy z Niemcami mogą wypaść różnie i tak czy owak wkrótce dojdzie do dużych walk. Sprawa zrzutu broni na terenie zrzutowiska "Dracena" na razie upadła, został jeszcze w perspektywie zrzut na terenie świętokrzyskim, po który miał się w sobotę udać oddział z kompanii "Wrzosa".

Żołnierze wysłani przez "Potoka" do Cieciorówki znaleźli tam tyłka dwa aparaty telefoniczne, a w drodze powrotnej dotarli tylko do wsi Plusy i stwierdzili, że są odcięci przez Niemców od swej jednostki.

Podobnie stało się z "Potokiem", który razem z "Piratem" wprowadził broń przywiózł ale tylko do wsi Podkońce (3 km od obozu). Była niedziela rano i właśnie rozpoczęła się bitwa. "Włodek" nie przerzucił wojsk na nowe miejsce postoju zgodnie z rozkazem "Potoka" i w nocy z soboty na niedzielę Niemcy dużymi siłami otoczyli Zgrupowanie. "Pirat" z "Potokiem" wjeżdżając wozami do wsi Podkońce ujrzeli z daleka pod lasem poruszające się czołgi niemieckie a z lasu dochodził odgłos wielkiej strzelaniny. Natychmiast wjechano do pierwszej z brzegu zagrody i broń ukryto w stodole a woźniców odprawiono w drogę powrotną.

"Potok" widząc, że jego wojsko jest otoczone i musi walczyć bez niego, załamał się psychicznie. Patrzył w kierunku lasu, skąd dochodził potężny szum strzelaniny i z oczu płynęły mu łzy.

Gdy szok ustąpił, zaczął szukać sposobu przedostania się do swoich żołnierzy. Pomyślał, że może "Ośka", mający duży oddział własowców oraz swoich żołnierzy w mundurach niemieckich, zechciałby mu pomóc. W sposób podstępny przedarliby się przez niemiecki pierścień. Oddziały BCh "Ośki" w nocy z soboty na niedzielę wyszły z lasów starachowickich i zakwaterowały we wsiach Ostroźnica, Kochanówka i Warszówka. Tam też udał się "Potok" na rozmowy, które jednak nie przyniosły zamierzonego celu. "Ośka" zdawał sobie sprawę z tego, że plan "Potoka" jest desperacki i nie chciał się na niego zgodzić. "Potok" udał się następnie do Iłży, oczekując tam z nadzieją na jakiś nieznany a pomyślny obrót wypadków.

Liczył na to, że może "Włodek" uderzy całością sił i wyjdzie z niemieckiego pierścienia. Nic takiego nie następowało.

Dopiero po bitwie szereg grup partyzanckich, które wydostały się z terenu walk i połączyły w rejonie Myszki-Kurzacze, otrzymały przez łączników rozkaz przemarszu w lasy małomierzyckie, gdzie "Potok" ponownie objął nad nimi bezpośrednie dowództwo. Kronika wydarzeń w rejonie Marcul, dotycząca wydarzeń w dniach 28-29. 9. 1944 r. w komunikatach niemieckiego dowódcy SS i policji dla dystryktu Radom:

W języku niemieckim:

28. 9. 1944. *Auf Strasse Lubienia Oberfoersterei Marcule, o 136(12-5-8) 1 km s. Marcule, wurde PKW. mit Generaldirektor Hoffmann von Stahlwerken Starachowice und Kreislandwirt von Zepanski aus dem Wald beschossen. Beide Personen mit PKW. von etwa 20 Banditen entführt.*

Zur Verfolgung eingesetzte Kraefte WH. 2/77, Orpo 3/17 und Sipo 1/4 stiesen 18⁴⁵ Uhr 2 km s. Marcule auf Lauerstellung der Banditen. Nach kurzem heftigen Feuergefecht Bande geflüchtet. Feindverluste nicht bekannt.

Eigene Verluste: Fwb. Botte, 2. A. 17gefallen. Hptm. Meyer 2. pz. Nachr. Regiment IV, nach schwerer Verwundung gestorben. Hoffmann und v. Zepanski vermisst.

29. 9. 1944. *4⁰⁰ Uhr auf Waldstrasse Lubienia-Ilza Ansammlung von 60-80 Panjefuhrwerken mit einem PKW. beobachtet, die in noerdlicher Richtung abfuhren. Aufklaerungstreifen eingesetzt.*

29. 9. 1944. *Auf Strasse Lubienia-Oberfoersterei Marcule, o 136(12/58) 1 km südlich Marcule(Nachtrag z. EM. v. 29. 9. 44):*

Kampfplatz vom 28. 9. abgesucht, 2 tote Pferde, Kleidungsstücke und Blutlachen vorgefunden. Bande muss Verluste gehabt haben. Ihr Aufenthalt ist festgestellt. Sie will Generaldirektor Hoffmann freigeben, wenn Festgenomme von Piotrowe Pole, o 137(12/78), freigelassen werden. Kreislandwirt von Szczepański wird von der Bande als Pole angesehen und soll Bandengericht übergeben werden.

W języku polskim:

28. 9. 1944. *Na szosie Lubienia-nadleśnictwo Marcule został ostrzelany z lasu samochód osobowy wiozący generalnego dyrektora Zakładów Starachowickich Hoffmanna oraz starostą von Szczepańskiego. Obaj z samochodem zostali uprowadzeni przez bandę liczącą około 20 ludzi. W pościg za bandytami wysłano oddział wojska(Wehrmacht), policji (Ordnungspolizei) i gestapo (Sicherheitspolizei). Oddział ten, 2 km na południe od Marcul, o godz. 18⁴⁵ natrafił na czatę wystawioną przez bandytów. Po krótkiej lecz silnej wymianie ognia banda uciekła. Straty bandytów nieustalone. Straty własne: zabity st. sierżant Botte z oddziału policji i ciężko ranny kapitan Meyer z pancernego pułku zwiadowczego, który po przewiezieniu do szpitala zmarł.*

Hoffmann i von Szczepański nie odzyskani.

29. 9. 1944. *O godz. 4-ej rano, na szosie Lubienia-Ilza, zaobserwowano przemieszczanie się 60-80 wozów konnych i samochodu osobowego w kierunku północnym. Uruchomiono akcję zwiadowczą.*

29. 9. 1944. *Szosa Lubienia-nadleśnictwo Marcule, o 136(12/58), 1 km na południe od Marcul (Informacje uzupełniające do meldunku z dn. 29. 9. 44):*

Pole walki z 28. 9. przeszukane, znaleziono 2 zabite konie, elementy ubrań i kałuże krwi. Banda musiała ponieść straty. Ustala się aktualne miejsce postoju bandy. Banda zgadza się na uwolnienie generalnego dyrektora Hoffmanna w zamian za uwolnienie ludzi ze wsi Piotrowe Pole, o 137(12/78). Starosta von Szczepański uznawany jest przez bandę za Polaka i będzie przez bandę sądzony.



Fot. 178. Dr Leon Mroczkiewicz, ur. 12. 04. 1900 r. w Dramburgu, obecnie Drawsko na Pomorzu Zachodnim. Pracownik Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, wysiedlony przez Niemców, pracował jako nadleśniczy w Marculach.



Fot. 179. Dr Herman Meyer, Forstmeister, Kierownik Urzędu Leśnego w Starachowicach.



Fot. 180. Dr L. Mroczkiewicz w otoczeniu swych pracowników biurowych w Marculach. Od lewej: Eugeniusz Czapczyński, dr Leon Mroczkiewicz, Mieczysław Frątczak (wysiedlony z Łodzi) i Tadeusz Gilewski z Iłży (niżej).

Jak doszło do otoczenia oddziałów Iłżeckiego Pułku, czyli sytuacja przed bitwą 1. X. 1944 r.

Noc z piątku na sobotę minęła spokojnie. Nie było żadnych zakłóceń. W sobotę przyjechał z Ostrowca Św. kwatermistrz Obwodu Opatowskiego, kpt. Józef Grzywacz "Mars", wraz z ppor. Bogdanem Barskim "Kryńskim". Przywieźli na dwóch wozach bułki (rozdane wkrótce żołnierzom kompanii ostrowieckiej) oraz dużo jabłek, marchwi i innych produktów ogrodniczych, których partyzantom brakowało.

Po południu "Włodek" dał rozkaz przygotowania oddziałów do wymarszu na nowe miejsce postoju, zgodnie z poleceniem "Potoka".

Wieczorem wszystko było załadowane na wozy taborowe a żołnierze w pełnym rynsztunku siedzieli pod drzewami gotowi do drogi.

Oczekiwali na powrót ppor. "Włodka", który wraz z por. "Siarką" i kimś trzecim, pojechali konno na leśniczówkę Błaziny, w której oczekiwali ich oficerowie wywiadu AK ze Starachowic.

Ponieważ osoby z wywiadu nie życzyły sobie aby za dużo ludzi ich widziało, przebywającą na leśniczówce żonę por. "Fiedlera" Jadwigę Mrowińską, ps. Sama, wraz z córeczką przeniesiono do Krzyżanowic, na plebanię księdza Dusińskiego.

Oficerowie wywiadu przybyli aby zapoznać "Potoka" z ich spostrzeżeniami oraz reakcją Niemców na przechwycenie Szczepańskiego i Hofmanna. Według ich wypowiedzi Niemcy zachowali spokój i na terenie Starachowic nie dało się zauważyć żadnych oznak świadczących o tym, że Niemcy przygotowują przeciw "Potokowi" akcję zbrojną. Oficerowie wywiadu uważali, że Niemcy będą chcieli odzyskać Szczepańskiego i Hofmanna drogą pokojową.

Był to bluff ze strony Niemców, którzy orientując się na terenie Starachowic kto może pracować w akowskim wywiadzie, puścili mylne informacje i podstęp im się udał. Dziś wiadomo, że w czasie gdy "Włodek" prowadził rozmowy z oficerami wywiadu, z różnych stron zdążały niemieckie jednostki, aby zająć pozycje wyjściowe do wielkiej akcji "Wotan", mającej na celu zniszczenie Iłżeckiego Pułku "Potoka".

Informacje na temat rozmów w leśniczówce Błaziny podał mi w końcu 1944 r. leśniczy Zdzisław Leśniak, który był ich uczestnikiem.

Ze względu na to, że informacja o tych rozmowach jest niesłychanie ważna i rzuca światło na przebieg wydarzeń, udałem się po wojnie do pory Siarki", który pracował we Wrocławiu na stanowisku Kierownika Administracyjnego Uniwersytetu. Por. Wacław Cieśla "Siarka" w obecności Stanisława Kacperczyka, ps. Kruszyna, także mieszkańca Wrocławia, całkowicie potwierdził to co napisałem.

Według wypowiedzi kpr. Wacława Pryciaka "Sokoła" oraz innych kolegów, z którymi rozmawiałem w Iłży trzy dni po bitwie, por. "Siarka" i "Włodek" powrócili z leśniczówki już po godz. 22-ej. Wielu żołnierzy zaczęło "Włodkowi" sugerować, że lepiej

będzie gdy jeszcze tę noc pozostaną na miejscu. Jest późno, żołnierze oczekujący wymarszu pozasypiali, siedząc pod drzewami. Na nowym miejscu brak szałasów. Zgrupowanie, po dołączeniu kompanii opatowskiej bardzo wzrosło na sile, i gdyby nawet się zdarzyło że Niemcy by ich zaatakowali, to będą mieć niespodziankę. Przy obecnym stanie ludzi i uzbrojenia nie ma się czego obawiać.

"Włodek" uspokoiony przez przedstawicieli wywiadu, z którymi się pół godziny temu rozstał, rzekł po namyśle: "dobrze, zostajemy".

Ta błędna decyzja, wynikła ze splotu okoliczności, stała się powodem wielkiej tragedii. Ppor. "Włodek" od początku nie traktował poważnie różnych meldunków jakie do niego dochodziły na temat wzmożonego ruchu jednostek niemieckich. Uznawał je jako normalne ruchy, które zawsze na tyłach frontu mogą mieć miejsce.

Nabrał przekonania do wywiadu AK i wierzył w skuteczność jego działania.

Chorąży Józef Orczykowski "Fezuj" stwierdził, że już o 19-ej nadszedł meldunek z nadleśnictwa w Marculach o niezwykle intensywnym ruchu niemieckich pojazdów wojskowych na szosie Iłża-Lubienia. Chorąży "Fezuj" wraz z plutonowym "Topolą" poszli do "Włodka" proponując pójście na patrol w celu zbadania sytuacji. Ppor. "Włodek" był przesadnie ambitny i nie lubił słuchać uwag swych podkomendnych. Powiedział im, że to nie ich sprawa i że jeśli będzie nam coś zagrażało to otrzymamy sygnały od organizacji terenowej.

Oficerem dyżurnym w nocy z soboty na niedzielę był ppor. Jan Kamiński "Wałek". W sobotę wieczorem zostały wyznaczone osobowe składy patroli na dzień 1-go października (niedzielę).

Pierwszy sygnał nocny o pojawieniu się nieznanych sił na terenie lasów pochodził od żołnierzy "Wrzosa". Oddział z tej kompanii, pod dowództwem pchor. Juliana Kosińskiego "Rafała", wymaszerował późnym wieczorem udając się na teren świętokrzyski, w celu dostarczenia broni ze zrzutów. Po przejściu kilku kilometrów pchor. "Rafał" wziął od kpr. Mariana Kobierskiego, ps. Roger, jego rkm wz. 28, aby sprawdzić działanie po odbiorze z naprawy.

Oddał z niego kilka strzałów pojedynczych, a następnie wypuścił serię. W odpowiedzi z przeciwka odezwały się długie serie broni maszynowej, świadczące że niedaleko przed nimi znajduje się nieznane stanowisko ckm-u. Wyczuli z miejsca, że serie te mogli oddać tylko Niemcy. Zawrócili do obozu składając odpowiedni meldunek. Do wymarszu nie doszło.

Stanisław Kubrak "Kosz" był rozprawdzającym warty w nocy z soboty na niedzielę. Opowiada, że teren był mu mało znany więc lampką elektryczną oświetlał słupki na skrzyżowaniach dróg i w ten sposób ustalał gdzie się znajduje. (Na każdym skrzyżowaniu leżni i działki stał słupek z numerem oznaczającym działkę i literą oznaczającą leżnię). Stwierdził on iż przez całą noc dochodziły ze wszystkich stron odgłosy silników ciężkich pojazdów. O swoich spostrzeżeniach zameldował oficerowi dyżurnemu.

Edward Ślusarczyk "Krótki" ze strzelcem Bochyńskim, w nocy z soboty na niedzielę, leżeli na czujce od strony wsi Maziarze-Kotlarka. Nad ranem dostrzegli Niemców, składając natychmiast meldunek. Również od strony północnej, patrol w składzie: kpr. Tadeusz Gerlach "Góral", kpr. Alfons Bugaj "Delfin" i strzelec (NN), stwierdzili okopywanie się Niemców na skraju lasu. Kpr. "Delfin" podążył z meldunkiem do obozu a pozostali koledzy pozostali dalej na obserwacji. Meldunek złożył bezpośrednio "Włodekowi", który już stał ubrany, a obóz pogrążony był we śnie. "Włodek" wysłuchał meldunku i na tym się skończyło.

Kazimierz Tarkowski "Pazur" razem z Tadeuszem Nowakiem "Żelaznym" i Marianem Domagałą "Klingą" zostali wysłani na patrol przez ppor. Jana Młynarczyka "Mieczyka" z kompanii opatowskiej. Mieli zadanie przeprowadzić zwiad w rejonie gościńca ostrowieckiego. Było jeszcze ciemno, gdy stwierdzili okopywanie się Niemców wzdłuż tej drogi.

Potwierdza to również w swej relacji chorąży "Grażyna", pisząc że patrol wysłał o 4-ej rano. Gdy otrzymał meldunek o pojawieniu się Niemców ogłosił alarm swej kompanii i obsadził stanowiska obronne, jakie mu dowództwo wcześniej przydzieliło.

Nad ranem zostały wysłane w trzech kierunkach czujki podoficerskie, które natrafiły na Niemców i powróciły meldując o sytuacji.

Jedna z tych czujek w składzie: kpr. Mieczysław Sałek "Dąbek"-dowódca, Henryk Gąsiewicz "Bryś", Adolf Szlęzak "As", Zenon Stodulski "Zenit"-rkm, "Błady" (NN), udała się w rejon spalonej gajówki Młynarczyka obok wsi Piotrowe Pole. Czujka zauważyła przejeżdżającego na koniu niemieckiego żołnierza oraz stojący na gościńcu ostrowieckim czołg.

Druga czujka, pod dowództwem pchor. Jerzego Sułockiego "Gozdawy", z plutonu ppor. "Sora", udała się pod gajówkę gajowego Szczecha, położoną na wschodnim skraju lasu, przy drodze Maziarze-Borsuki.

W poświacie jaka powstaje przed wschodem słońca, czujka dojrzała na polach, okopujących stanowiska karabinów maszynowych, Niemców.

Równocześnie zauważono, że drogą Maziarze-Borsuki jedzie wolno łązik, pełen oficerów niemieckich*. Po dużej ilości srebrzystych i złocistych emblematów, jakie mieli na swych mundurach, można było poznać że byli to oficerowie wysokiej rangi. Zapewne objeżdżali stanowiska swoich wojsk przed mającą się rozpocząć bitwą. Odległość do nich wynosiła nie więcej niż 100 m.

Chociaż zadaniem czujki nie była walka a tylko przeprowadzenie rozpoznania, pchor. „Gozdawa” nie wytrzymał aby nie dać rozkazu ostrzelania oficerów z karabinu maszynowego. Okazało się wtedy, że karabin maszynowy jest niesprawny, gdyż celowniczy który nie poszedł na patrol, wyjął z niego pewną część.

Pchor. „Gozdawa” natychmiast zawrócił z ludźmi do obozu, meldując że na polach, wzdłuż wschodniej lizjery lasu, Niemcy okopują stanowiska broni maszynowej.

W trzecim kierunku, tj. od strony Ilży, na patrol udał się osobiście ppor. Janusz Marczyński „Kwiatkowski” t kilkoma ludźmi, wśród których znalazł się Robert Janos „Hoplita”, Henryk Kaczmarek „Sęp” - rkm, i inni.

Również ten patrol, podchodząc do skraju lasu młodym zagajnikiem, stwierdził okopywanie się Niemców. Słychać było uderzanie łopatek o kamienie oraz rozmowy prowadzone w języku niemieckim.

Ppor. Jan Kamiński „Walek” już kilka godzin wcześniej, na podstawie nocnych meldunków, obudził „Włodka” meldując mu o sytuacji i proponował ogłosić alarm.

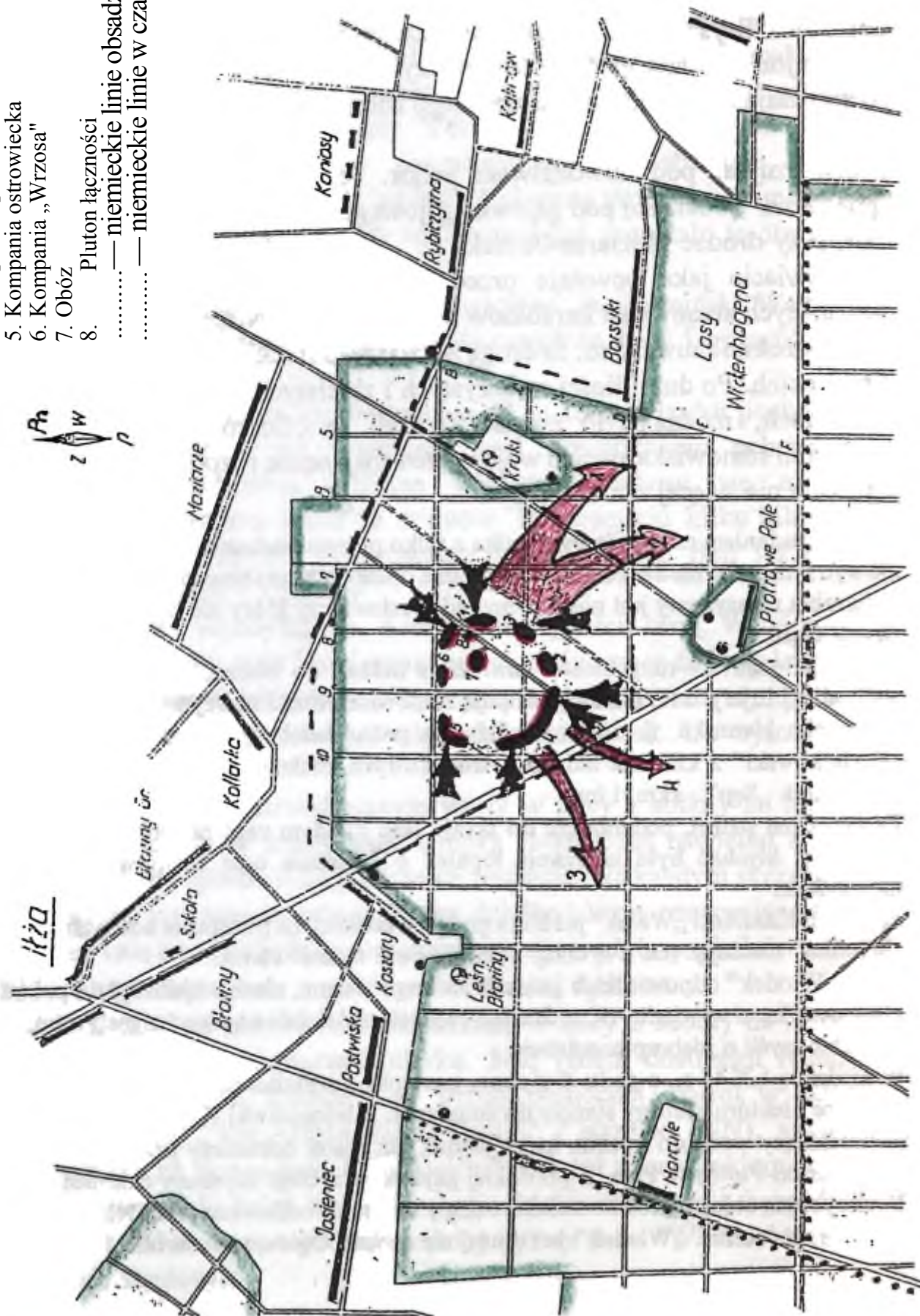
Na to „Włodek” odpowiedział: „nie rób żadnego alarmu, niech wojsko śpi do pobudki”. Rozmowa z pracownikami wywiadu AK ze Starachowic tak podziałała na niego sugestywnie, że nie dopuszczał do siebie myśli o niebezpieczeństwie.

W niedzielę LX. 44 r., o godz. 6-ej rano, nastąpiła normalna pobudka żołnierzy Ilżeckiego Pułku. Wkrótce niektóre plutony stanęły do śniadania. Z leśniczówki Kruki zdążył powrócić beczkowóz dostarczający wodę do kuchni, który jednak już został ostrzelany przez Niemców obsadzających drogę Kruki-Piotrowe Pole. Z pobliskiej gajówki przybiegł zdyszany chłopiec (NN) alarmując, że Niemcy robią oblławę. Równocześnie rozległy się strzały oddawane przez Niemców do partyzanckich patroli i odwrotnie. „Włodek” już dłużej nie czekał. Ogłoszono alarm.

OZNACZENIA DO SZKICU BITWY 1 X. 1944 R.

1. Pluton „Wałka”
 2. Pluton „Sora”
 3. Pluton Talara”
 4. Kompania opatowska
 5. Kompania ostrowiecka
 6. Kompania „Wrzosa”
 7. Obóz
 8. Pluton łączności
- — niemieckie linie obsadzone nocą 30. 09 /1. 10. 1944 r.
 — niemieckie linie w czasie bitwy

- Kierunki uderzenia oddziałów polskich:
1. Kompania ostrowiecka, pluton „Talara” „Wałka” 1 „Wrzosa”
 2. Kompania opatowska
 3. Pluton „Rafała” z komp. „Wrzosa”
 4. Pluton „Gazdowy” („Sora”)



Dzień 1 października 1944 r. Bitwa pod Piotrowym Polem.

Po ogłoszeniu alarmu wszystkie oddziały partyzanckie stanęły na zbiórkach. Przeprowadzono szybkościowy przegląd ludzi i broni, eliminując najmłodszych żołnierzy oraz tych którzy broni nie mieli. Brakowało broni dla co najmniej 80 ludzi, więc tę która była do dyspozycji przydzielano żołnierzom starszym i lepiej przeszkolonym.

Jak wspomina Juliusz Molski "Cień", piętnastoletni poznaniak, jako jeden z najmłodszych stał blisko końca dwuszeru kompanii ostrowieckiej. Robiąc przegląd kompanii "Gorliwy" wskazał ręką i powiedział: "od tego miejsca do końca najmłodszy żołnierze pozostają w obozie". Na pocieszenie dodał: "broń otrzymacie po zabitych lub rannych, ale na razie musicie poczekać".

Część nieuzbrojonych ludzi przydzielano na amunicyjnych do karabinów maszynowych lub łączników, a także do służby sanitarnej.

Na terenie obozu rządził szef kompanii "Fiedlera", który w miarę rozbudowy zgrupowania stał się szefem dla całości. Był nim st. sierż. Stanisław Trzaska "Jastrząb", wachmistrz 5 pułku ułanów.

Pech chciał aby "Jastrząb" w sobotę wieczorem wyszedł do pobliskiej wsi Płusy, gdzie przebywała jego rodzina (żona i troje dzieci) wysiedlona z okolic Ostrołęki. Gdy ogłoszono alarm "Jastrząb" był nieobecny. Zastępował go st. sierż. Donat Stywryn "Wazon", z pochodzenia lwowiak.

Sprawnie wydawał żołnierzom dodatkową amunicję, opatrunki osobiste, konserwy i papierosy, leżące dotychczas na wozach taborowych. Dla żołnierzy, których większość bez śniadania pobiegła na stanowiska obronne, przygotował pajdy chleba z serem lub twarogiem i polecił je roznieść. Oczywiście nie do wszystkich dotarło to zaopatrzenie. W czasie gdy poszczególne oddziały szykowały się do wymarszu, dowodzący całością ppor. "Włodek"(NN) zrobił błyskawiczną naradę oficerów aby podjąć decyzję co do dalszego postępowania.

Był w zasadzie do rozstrzygnięcia problem czy uderzyć w Niemców natychmiast czy też przyjąć na dzień walkę obronną a uderzyć wieczorem.

Uderzenie wieczorem miało tę zaletę, że w ciemnościach Niemcy nie mogli prowadzić skutecznego ognia i przełamanie linii niemieckich mogło się odbyć przy minimalnych stratach.

Za takim rozstrzygnięciem walki byli starsi oficerowie, do których należeli kpt. Józef Grzywacz "Mars", kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz" i por. (kpt.) Piotr Szczepaniak "Paweł".

Młodszy oficerowie byli zdania, że należy uderzać natychmiast.

Autorytet starszych oficerów skłonił ppor. "Włodka" do przyjęcia walki na miejscu.

Według ustaleń jakie udało mi się zrobić, stan ludzi i uzbrojenie w broń maszynową w dniu bitwy, były następujące:

Lp.	Jednostka	Ilość żołnierzy	Ilość KM	Ilość PM
1	Kompania "Fiedlera"	160	8	10
2	Kompania "Pawła"	180	8	41
3	Kompania "Wrzosa"	110	6	7
4	Kompania "Kwiatkowskiego"	100	1	15
5	Pluton łączności "Selima"	30		
6	Drużyna "Rogacza" z 3 pp	26	1	2
7	Jednostka gospodarcza	30		
Razem		636	24	75

Oznaczenia: KM - karabiny maszynowe, PM - pistolety maszynowe

Ta ilość broni maszynowej podsumowana została jeszcze przed bitwą. Liczby te znane były wielu żołnierzom i stąd chyba wykorzystał je Władysław Zarzycki, piszący relację w imieniu Stanisława Różalskiego "Grażyny", który takie uzbrojenie przypisał wyłącznie kompanii opatowskiej. Ilość żołnierzy w kompanii "Pawła" powinna wynosić wg relacji "Grażyny" 280 ludzi. Prawdopodobnie tylu ludzi było w zgrupowaniu "Potoka" z obwodu opatowskiego i wszystkich "Grażyna" przypisał kompanii opatowskiej. Skorygowałem tę liczbę na 180, co na pewno będzie bardziej prawdziwe.

Plan obrony dla każdego miejsca postoju oddziałów ustalany był zaraz po przybyciu. Znali go poszczególni dowódcy i w krótkim czasie wszystkie jednostki zajęły przydzielone sobie odcinki (patrz - szkic na końcu rozdziału).

Kompania "Fiedlera" rozwinęła się frontem na wschód, wzdłuż działki 8-ej. Pluton 3-ci, dowodzony przez ppor. "Talara", był plutonem środkowym. Zajął on stanowiska w rejonie skrzyżowania działki 8-ej i leżni "C". Tu przebywał także d-ca kompanii, por. Witold Mrowiński "Fiedler". W lewo od niego rozwinął się, po wschodniej stronie działki 8-ej, pluton 1-szy, dowodzony przez ppor. Jana Kamińskiego "Walka".

Prawoskrzydłowy pluton 2-gi, dowodzony przez ppor. Zygmunta Cyrana, ps. Sor, rozwinął się po zachodniej stronie działki 8-ej i południowej stronie leżni "C", zaginając swe prawe skrzydło w kierunku zachodnim.

Dalej w prawo, frontem na południe, rozwinęła się kompania opatowska "Pawła", sięgając prawym skrzydłem aż do skrzyżowania działki 10-ej z leżnią "C" (rejon obecnego pomnika, zbudowanego ku czci poległych w tej bitwie). W tym miejscu jest pewna niezgodność, gdyż "Potok" który opracował plan obrony, twierdzi iż rejon skrzyżowania leżni "C" i działki 10-ej, przewidział dla kompanii "Wrzosa". Możliwe, że "Potok" opracowując plan nie wiedział iż po jego wyjeździe w piątek wieczorem przybędzie dodatkowa jednostka z terenu opatowskiego, która zastąpiła kompanię "Wrzosa" w tym miejscu. W każdym razie, opis lasu w którym walczyli żołnierze

"Wrzosa", odpowiada terenom północno-wschodnim, czyli w okolicy skrzyżowania działki 8-ej i leżni "B".

Mogło też być tak, że kompania "Wrzosa" była podzielona i włączana do walki na różnych odcinkach, co potwierdzają żołnierze tej kompanii.

Rejon północno zachodni, czyli od strony Iłży, obsadziła kompania ostrowiecka, dowodzona przez por. Janusza Marczyńskiego "Kwiatkowskiego". Około 100 m na wschód od działki 10-ej, równoległe do niej, począwszy od leżni "B" ciągnął się w kierunku południowym pas starego sosnowego lasu. W lesie tym oraz częściowo wzdłuż leżni "B", w kierunku wschodnim, rozwinęła się kompania por. Marczyńskiego, wykorzystując stare, austriackie okopy. Pomiędzy stanowiskami kompanii, czyli starym lasem i działką 10-tą był pusty teren, po wyrąbanym lesie. Po zachodniej stronie działki rósł młody zagajnik, z którego wyszedł atak niemiecki.

Od północnej strony, czyli od pół wsi Maziarze aż do leżni "B" rósł mały, metrowej wysokości zagajnik, sięgający dorosłej osobie do wysokości pasa. Z tych względów strona ta nie nadawała się dla Niemców do prowadzenia walk. Przez ten zagajnik nie można było ani iść ani się czołgać. Partyzanci ubezpieczyli tę stronę małymi siłami o charakterze obserwacyjnym i nie doszło na tym odcinku do żadnych walk.

Rejon skrzyżowania leżni "B" z działką 8-ą broniony był, jak już wspomniano, przez żołnierzy "Wrzosa". Stanowiska rozmieszczone były łukiem, którego prawe skrzydło opierało się o działkę 8, a lewe o leżnię "B". Było tam dużo dołów porośniętych jeżynami oraz leszczyn.

Pluton łączności, dowodzony przez ppor. Józefa Palusa, ps. Selim, jako mała i słaba jednostka (17 karabinów) uzupełniała początkowo front zachodni, zajmując stanowiska na lewo od kompanii por. Marczyńskiego i w odpowiednim czasie ppor. Palus porozumiał się z por. Marczyńskim aby wspólnie przebić się przez linie niemieckie. W godzinach późniejszych, część plutonu oddana została pod komendę plut. Kasprzyckiego "Graba" i zajęła rejon skrzyżowania działki 8-ej z duką biegnącą do obozu. Część plutonu łączności, wśród nich Stanisław Orzeł "Łezro", wykorzystana została do ukrycia sprzętu. Podobno po zakopaniu go napalono na nim ognisko aby zamaskować ślady kopania. Z niemieckiego komunikatu wynika, że Niemcy sprzęt odnaleźli. Albo ślady ukrycia źle były zamaskowane albo ktoś zdradził miejsce ukrycia. W ostatniej chwili do grupy żołnierzy łączności przydzielono podchorążego "Barwuickiego"(NN) z oddziału sierż. "Rogacza"(3 pp AK). Pchor. "Barwuicki" przybył w lasy starachowickie w grupie jedenastu podchorążych z oddziału kpt. "Lancy", z okolicy Jeziornej pod Warszawą. Oddział "Lancy" należał do sił NSZ, które weszły w skład Armii Krajowej. Kpt. "Lanca" nie podporządkował się rozkazowi i rozpoczął działalność na własną rękę (Eugeniusz Wawrzyniak "Na rubieży Okręgu AK Łódź", Warszawa 1988, Wyd. PAX).

Grupa podchorążych nie aprobowwała postępowania dowódcy i odłączyła się od oddziału "Lancy" aby przejść do 3 pp AK. Przewodnikiem grupy był pchor. Janusz Grolman, ps. Janusz, starszy o jeden stopień od kolegów, który bardzo chciał służyć pod komendą "Szarego".

Pchor. "Janusz" był wysiedleńcem z terenów przyłączonych do Rzeszy. Matka jego posiadała 200 hektarowy majątek w miejscowości Mierzęcice koło Pajęczna, ojciec był ambasador RP, już nie żył.

Janusz Grolman po wysiedleniu znalazł się wraz z bratem Wacławem i wujkiem Władysławem Gwiazdzińskim w leśniczówce Klepacze, gdzie ojciec mój wykorzystywał

go w miarę potrzeby, jako leśnego praktykanta. Drugi brat Janusza, Andrzej Grolman, zamieszkał w Marculach, pod opieką Wiesława Ungeheuera, bliskiego rodzinie Grolmanów.

W połowie wojny "Janusz" wyjechał do Warszawy aby powrócić we wrześniu 1944 r. razem z grupą podchorążych. Przebywając w Klepaczach zdążył poznać "Szarego" i teraz chciał z kolegami dołączyć do jego oddziału, wchodzącego w skład 3 pp leg AK.

Przypadek zrządził, że przebywając w lasach koło Skarżyska Kamiennej napotkali drużynę z 3 pp dowodzoną przez sierż. Zygmunta Woźniakowskiego "Rogacza", który pierwsze swe doświadczenia partyzanckie zdobywał jeszcze pod dowództwem mjr. "Hubala".

Drużyna "Rogacza" liczyła 15 ludzi i razem z podchorążymi utworzyli oddział 26-cio osobowy.

Dowiedzieli się przypadkowo, że w lasach starachowickich stoi duże zgrupowanie partyzanckie "Potoka", które w najbliższych dniach ma maszerować do rejonu koncentracji korpusu "Jodła" w lasach niekłańskich. Postanowili skorzystać z okazji i pomaszerować razem. Kiedy dołączyli do zgrupowania okazało się, że do wymarszu nie dojdzie. Zanim zdecydowali się co robić dalej, doszło do bitwy 1. X. 44., która przesądziła o dalszych losach tej grupy.

W dniu bitwy grupa "Rogacza" otrzymała przydział ochrony stanowiska dowodzenia kompanii opatowskiej, pozostając w rejonie skrzyżowania działki 9-ej z leżnią "C".

Omawiając przygotowania sił niemieckich do walki z Iłżeckim Pułkiem Piechoty AK, należy zauważyć że Niemcy zlecając w czwartek, 28 września, Forstmeisterowi Meyerowi podjęcie rozmów z partyzantami, równocześnie rozpoczęli przygotowania do akcji zbrojnej, utrzymując ten fakt przed Forstmeisterem w tajemnicy.

Jak się okazało, rozmowy miały na celu zatrzymanie zgrupowania w lasach starachowickich, w których najdogodniej było je otoczyć i zniszczyć.

Forstmeister przekonany, że powierzono mu uczciwe zadanie, czuł się potem urażony powierzeniem mu oszukańczej roli.

Był wprawdzie członkiem NSDAP i wysokim urzędnikiem państwowym, ale był również oficerem w stopniu majora, uczestnikiem I-ej i II-ej wojny światowej, dla którego sprawy honoru były bardzo ważne.

Dał potem wyraz temu w rozmowach z nadleśniczym dr Leonem Mroczkiewiczem, który mu jako tłumacz w tych dniach stale towarzyszył. Jeszcze po latach, pisząc wspomnienia, dr Meyer pamiętał aby o tym wspomnieć.

Przytoczę tu fragment jego wypowiedzi, dotyczący wydarzeń jakie nastąpiły po rozmowach z "Potokiem", na temat uwolnienia jeńców:

.... "Dalszy przebieg wydarzeń miał tragiczne zakończenie. Następnego nocy, bez mojej wiedzy, wojsko otoczyło obóz partyzancki i z samego rana, z pomocą czterech samobieżnych dział opancerzonych zaatakowało partyzantów.

Ze stratą około 20 zabitych, partyzanci przełamali pierścień niemiecki.... Chociaż w dalszych wydarzeniach o charakterze wojskowym udziału nie brałem, przybyłem do punktu zbornego, gdzie zastałem jeńców ustawionych w dwuszeręgu.

Polecilem polskiemu nadleśniczemu aby powiedział partyzantom, że na dalsze wydarzenia, które nastąpiły po naszych rozmowach, wpływu nie miałem"

Widać z tej wypowiedzi dr Meyera, że czuł się urażony swoiście niełojalnym potraktowaniem go przez władze z Radomia i stąd jego krytyka akcji wojskowej, która jego zdaniem nie przyniosła zniszczenia zgrupowania partyzantów.

Znamienna jest jego ocena strat partyzanckich, wynosząca około 20 zabitych.

Forstmeister na pewno interesował się stratami partyzanckimi i z pewnością rozmawiał na ten temat z oficerami dowodzącymi akcją. Liczba zabitych została przez niego specjalnie pomniejszona, ale w rzeczywistości na pewno nie była wiele większa.

Fakt iż we wspólnym grobie pogrzebano 58 osób był wynikiem dobijania przez Niemców rannych partyzantów, a także zabijaniem wziętych do niewoli.

Niemcy i własowcy mścili się za poniesione w bitwie duże straty.

Do akcji przeciw Iłżeckiemu Pułkowi Niemcy użyli jednostki 17-ej dywizji piechoty, (które w tym czasie rozlokowane były w rejonie Zwolenia), 1-szą dywizję R. O. A. jednostki VIII-go Korpusu Pancernego, wojska 3-ej lub 6-ej brygady moździerzy, samoloty z lotniska radomskiego, wszystkie podległe dowództwu 4-ej Armii Pancerniej, mającej swój sztab w Zagnańsku, a także wiele jednostek policyjnych, podlegających władzom bezpieczeństwa w Radomiu. Nadzór nad akcją, określoną przez Niemców kryptonimem "Wotan", przejęły najwyższe władze policyjne Rzeszy, tzw. Reichssicherheitshauptamt, czyli RSHA w Berlinie, którego przedstawicielem przy gubernatorze w Krakowie był Befehlshaber der Sicherheitspolizei und SD, czyli BdS, dr Walter Bierkamp, pułkownik policji. Rozdzielnik raportów dziennych Dowódcy SS i policji w Radomiu przewidywał w pierwszym rzędzie przesyłanie telexem raportu pod tym właśnie adresem, a potem także do wiadomości gubernatorowi i wielu innym adresatom.

Już od początku sierpnia oddziały własowców stały rozlokowane dokoła lasów starachowickich w miejscowościach takich jak Sienno, Iłża, Pakosław, Mirzec, Tychów, Wąchock, Brody Iłżeckie, Krynki.

W przededniu bitwy, tj. w sobotę 30 września wieczorem, o zmierzchu, duże ilości niemieckiej piechoty przemieszczały się z Brodów Iłżeckich koło wsi Budy Brodzkie, kierując się w stronę Bekowin i Piotrowego Pola. Inne jednostki niemieckiego wojska zdążyły od strony Ostrowca Św. i Sienna, idąc w ciemnościach lasami aby ukryć swe ruchy. Jednostki te obsadziły leżnię "F", czyli "strażową", na odcinku od szosy Marcule-Lubienia aż do 2awał. Miały one zadanie odciąć drogę ucieczki partyzantom w głąb lasów. Inne jednostki obsadziły szosę Lubienia-Pastwiska.

Tuż po zachodzie słońca wjechała do Iłży od strony Radomia, duża kolumna samochodów ciężarowych z wojskiem, kierując się na szosę do Błazin. Czoło tej kolumny zatrzymało się w pobliżu jeziora. Niemcy, którzy wyskoczyli z samochodów na szosę, byli bardzo nieufnie i wrogo nastawieni do przechodniów, legitymując ich i robiąc rewizje osobiste. Przejeżdżałem między nimi rowerem i nie zostałem zatrzymany gdyż w półmroku brali mnie za żołnierza niemieckiego, który prawdopodobnie mieszka tu gdzieś na kwaterze. Nosiłem na sobie mundur, który w ciemnościach mógł być brany za mundur Wehrmachtu. W Iłży dowiedziałem się o dużym napływie wojska niemieckiego i o tym, że sprawdzają również mieszkania, w poszukiwaniu osób obcych. W Błazinach Dolnych przez całą sobotę wojsko niemieckie zakładało połączenia telefoniczne w stronę lasu i w ostatnim gospodarstwie, po stronie północnej, zainstalowało centralę telefoniczną, mocno ją ubezpieczając gniazdami broni maszynowej.

Nie mając pewności czy Iłżecki Pułk będzie przebywał w obozie koło Kruków, Niemcy odcięli na wszelki wypadek dość duży obszar leśny, budując nocą umocnienia wzdłuż leżni "F".

Były one rozmieszczone po stronie południowej leżni oraz toru kolejki leśnej, jaki wtedy przebiegał aż do gościńca ostrowieckiego. Dołki strzeleckie "dla leżącego" były od siebie oddalone o 2, 5 do 3 m, a od drogi i toru około 15 m.

Co 40 do 50 m wykonane były stanowiska dla karabinów maszynowych. Te które oglądałem, w rejonie obecnej kopalni piasków żelazistych Zębiec, ściśle w miejscu gdzie droga dla pieszych i rowerzystów łącząca Kutery i Marcule przecinała się z leżnią "F", zrobione były dla obsługi stojącej.

Głębokie doły, nakryte z góry podkładami kolejki leśnej (pozostałość po wiosennym remoncie torów), a także ściętymi drzewami o grubości kilkunastu centymetrów, maskowane były z wierzchu darnią i ściółką leśną.

Tego rodzaju wykopy, trudne do wykonania w lesie z powodu korzeni, wymagały wielogodzinnej pracy.

Podobną linię zaporową utworzyli Niemcy wzdłuż gościńca ostrowieckiego i leżni "D", tworząc drugą linię zaporową i okopując się tym razem płytko.

Dodatkowo obsadzono w ostatniej chwili własowcami drogę Piotrowe Pole-Kruki. Wtedy to rozeszła się po okolicy wieść, że partyzanci otoczeni są potrójnym pierścieniem wojsk niemieckich.

Kto taką informację puścił w obieg nie wiadomo, ale informacja ta błyskawicznie się rozeszła.

Faktycznie, jeśli weźmie się pod uwagę linię Niemców atakujących, to partyzanci mieli na swej drodze przebicia trzy zapory nieprzyjacielskie.

Nad ranem wywiad niemiecki ustalił, że partyzanci z całą pewnością znajdują się w rejonie Kruków i dowództwo niemieckie uznało linię zaporową wzdłuż leżni "F" za zbędną. Niemcy oceniali liczebność partyzantów na około 400 ludzi (pisze o tym Forstmeister) i prawdopodobnie lekceważąco podeszło do wartości bojowej oddziału.

Uznano, że linia zaporowa położona wzdłuż gościńca ostrowieckiego, począwszy od skraju lasu (gajówki gajowego Stencla) do leżni "D", a potem leżnią "D" do wsi Rybiczyna (Borsuki) będzie wystarczająca. Drogę Piotrowe Pole-Kruki oraz szosę od Zębca do wsi Pastwiska obsadzono placówkami z bronią maszynową i strzelcami wyborowymi. Szosę od Zębca do Lubieni zabezpieczono tylko patrolami.

Licząc się z możliwością wymknięcia się sił partyzanckich przez tereny polne, wzdłuż całego obrzeża lasu, w odległości około 300 m od krawędzi lasu, rozmieszczono łańcuch placówek niemieckich z ciężką bronią maszynową. Stanowiska te miały charakter odstraszający gdyż wycofywanie się partyzantów w kierunku pól było równoznaczne z samobójstwem. Nie było blisko żadnych lasów, do których oddziały partyzanckie mogłyby się wycofać, a przyjęcie walki w szczerym polu było nie do pomyślenia.

Nie wiadomo, czy oddziały niemieckie zabrane z leżni "F" zasiliły dodatkowo linię gościniec ostrowiecki-leżnia "D", czy też wróciły do swych baz.

O świcie, niemiecki samolot zwiadowczy typu Storch przeleciał nad obozem, upewniając się ostatecznie czy informacje konfidentów (nazywanych w raportach niemieckich Vertrauenspersonen albo skrótowo V-Personen, tj. osób zaufanych) są prawdziwe.

Partyzanci znaleźli się w bardzo niebezpiecznych kleszczach. Uderzając na wschód i potem na południe mieli do pokonania dwie linie zaporowe. Uderzając w kierunku południowym lub zachodnim mieli do przebycia bardzo szeroki i piaszczysty gościniec

ostrowiecki, kilkakrotnie szerszy od innych normalnych dróg. Gościniec gęsto obsadzony przez Niemców, był dodatkowo pilnowany przez czołgi. Dla znajomego te warunki, gościniec był zaporą nie do przebicia. Wydarzenia jakie wkrótce nastąpiły udowodniły, że w warunkach szczególnych nie ma rzeczy niemożliwych.

Świadkiem likwidacji linii zaporowej wzdłuż leżni "F" był łącznik Komendy Obwodu ze Starachowic, Mieczysław Uzar "Grab". Jechał on 1. X. 44 r. z rana, przez lasy, z pocztą konspiracyjną do "Potoka".

Gdy dojeżdżał do składu drewna kolejki leśnej "Strzelnica", położonego po zachodniej stronie szosy Marcule-Lubienia (rejon obecnego Zębca) został zatrzymany przez żołnierzy niemieckich. Podczas prowadzenia go do gromady ludzi zatrzymanych na szosie, udało mu się niepostrzeżenie połknąć zwitek przewożonej poczty. Zrobił to w samą porę, gdyż za chwilę został poddany szczegółowej rewizji. Po wyjaśnieniu z jakich powodów przyjechał tu rowerem ze Starachowic, został zatrzymany, a następnie odprowadzony do wsi Pastwiska. Tu jeszcze raz sprawdzono z jakiej przyczyny się tu znalazł i pozwolono mu odjechać do domu.

Podczas pobytu w rejonie Zębca Uzar widział szereg wagoników kolejki leśnej wyładowanych ciężką bronią maszynową i amunicją, którą zwieziono z likwidowanej linii umocnień wzdłuż "strażowej". Była wtedy godzina 8³⁰ rano.

W tej samej okolicy, na szosie, zatrzymany został przez własowców pracownik nadleśnictwa w Marculach, Tadeusz Drachal, który jechał rowerem, zdążając do Wąchocka. Schwytych ludzi odprowadzano na targowisko w Iłży. Wkrótce przyjechał tam Forstmeister Meyer, który Drachala uwolnił.

W pierwszej fazie przygotowań Niemcy obsadzili obszar leśny o obwodzie wynoszącym około 22 km oraz linię wewnętrzną o długości około 7 km.

Przyjmując na podstawie pozostawionych śladów (dołki strzeleckie, okopy) że na odcinku 50 m zajmowało stanowiska około 20 żołnierzy, można wyliczyć iż do wstępnego obsadzenia linii zaporowych Niemcy musieli użyć co najmniej 11 600 ludzi, czyli praktycznie jedną dywizję. Biorąc dalej pod uwagę jednostki pomocnicze, używane do patrolowania okolic, ubezpieczenia tyłów, transportu, służb sanitarnych, łączności oraz grupy uderzeniowe, wyposażone w samobieżne działa, czołgi, jednostki moździerzy i miotaczy min, kilka samolotów, wszystko to razem pozwala ocenić wielkość zaangażowanych sił niemieckich na 14 do 16 tysięcy ludzi.

Nie stanowiło to dla Niemców wielkiego problemu, gdyż dość blisko stały bezczynnie różne jednostki frontowe, które niemieckie dowództwo chętnie oddało do akcji oczyszczania swego zaplecza z "bandytów". W końcu lipca 1944 r., gazeta niemiecka wydawana w języku polskim, tzw. "Dziennik Radomski" podawała, że wojska niemieckie wycofujące się z terenów lubelskich na linię Wisły zostały poważnie atakowane przez leśne bandy. W artykule zwrócono uwagę na to, że zjawisko takie nie może się powtórzyć. Z tych powodów dowództwo niemieckie sprowadza na tereny kieleckie specjalną brygadę antypartyzancką, która oczyści lasy z bandytów. Artykuł mówił niedwuznacznie, że armia niemiecka nie lekceważy zagrożenia ze strony oddziałów leśnych, przebywających na jej zapleczu.

Bój pod Piotrowym Polem rozpoczęli Niemcy.

O godz. 7-ej jednostki Wehrmachtu, posuwając się od zachodu po osi leżni "B", zbliżyły się do stanowisk kompanii ostrowieckiej, dowodzonej przez ppor. Janusza Marczyńskiego "Kwiatkowskiego".

Niemcy poruszali się powoli, ostrożnie, wypatrując stanowisk polskich. Jeden z podoficerów widząc jak od strony Iłży przemykają się żołnierze niemieccy oddał w ich kierunku kilka strzałów. Niemcy znikli ale po pewnym czasie, jak podaje Stanisław Kosicki "Bohun", żołnierz drużyny kpr. Zbigniewa Manowskiego "Giermka", na przedpolu dostrzeżono jakiegoś niemieckiego oficera, który stojąc na skraju zagajnika przez lornetkę usiłował dojrzeć gdzie znajdują się stanowiska Polaków. Miał trudności z wypatrywaniem przeciwnika, gdyż musiał patrzeć pod słońce, które akurat wschodziło. Odległość do niego wynosiła około 100 m i widać było jak w promieniach słońca srebrzyły mu się epolety, które na tle zieleni zagajnika od razu wpadały w oczy. Widząc to "Giermek" odłożył swego Schmeissera i wziął od leżącego obok żołnierza karabin. Mierzył krótko, a po strzale sposób upadania Niemca świadczył, że został trafiony.

Kompania otrzymała rozkaz, mówiący iż ogień rozpoczyna broń maszynowa. Została więc naruszona zasada. Po strzale "Giermka" otworzono ogień na całej linii. Trwał on około 15 minut, aż stwierdzono że Niemcy całkowicie zniknęli z pola widzenia.

Walka ta dla Niemców miała charakter wyłącznie rozpoznawczy.

Po upływie godziny Niemcy ponownie ruszyli do ataku z udziałem większych "sił i koniecznie chcieli się zbliżyć do stanowisk polskich na odległość szturmową. Wtedy mieli by możliwość atakowania ręcznymi granatami, których zawsze mieli w bród, i które bardzo lubili stosować. Niestety, w tym przypadku wchodzili w zasięg skutecznego ognia pistoletów maszynowych, a tych w kompanii ostrowieckiej było dość dużo.

Po trwającej około godziny zaciętej walce Niemcy się wycofali. Na odcinku zajmowanym przez kompanię ostrowiecką zapanował spokój, który trwał aż do godziny 12⁴⁵.

W tych przedpołudniowych walkach poległ po stronie partyzantów kompanii ostrowieckiej, a także całego Zgrupowania, tylko jeden żołnierz. Był nim młody chłopiec, uczeń Szkoły Handlowej w Ostrowcu Św., Czesław Lis "Kula".

Obok "Kuli" zajmowali stanowiska: Stanisław Kowalski "Skarga" i Zdzisław Jankowiak "Żbik". Widzieli oni, że "Kula" strzelał z pozycji klęczącej aby mieć lepszy widok. W wyniku swej nieostrożności został przez Niemca trafiony w głowę. Śmierć jego wywołała potem wielką rozpacz rodziców, którzy mieli tylko jednego syna. Poszedł do lasu prosto ze szkoły, bez ich wiedzy.

Dwa tygodnie później przywieźli go ukrytego w gałęziach do Ostrowca aby pochować na cmentarzu.

Śmierć jego przeżyli bardzo także jego koledzy, których potrafił zabawiać różnymi dowcipami i opowiadaniem wesołych anegdot.

Zrobiono mu na polu walki prowizoryczny, płytki grób, we mchu, czyniąc to pod ogniem niemieckim. Podczas tych czynności został ranny w nogę jego przyjaciel Stanisław Kowalski "Skarga".

Nieco później, niż na odcinku kompanii ostrowieckiej, rozpoczęły się walki pod stronie wschodniej.

Około godz. 8-ej, na lewoskrzydłowy pluton kompanii "Fiedlera", dowodzony przez ppor. Jana Kamińskiego "Walka", wyszła niemiecka tyraliera.

Żołnierze "Walka" mieli więcej czasu i zdążyli sobie przygotować dobre stanowiska do obrony. Ogólnie wykorzystywano naturalne zagłębienia terenowe, robiąc tylko przednią osłonę z ziemi, maskowaną mchem i ściółką leśną.

Nie wszyscy żołnierze partyzantcy zadbali o wyposażenie się w łopatki, które potem przechodziły z rąk do rąk lub zamiast łopatką posługiwano się bagnetem.

Stanowiska kompanii "Fiedlera" rozciągały się w 40-toletnim lesie, w którym widoczność sięgała miejscami ponad 100 metrów.

Pozwalało to żołnierzom "Walka" dostrzec Niemców już w większej odległości.

Prosto na "Walka" szedł niemiecki oficer dowodzący plutonem.

Z daleka było widać jak się odwracał, to w lewo, to w prawo, podając dość głośno komendy. Można było nawet zrozumieć jego słowa.

Ppor. Kamiński był dobrym strzelcem ale jako dowódca plutonu nie nosił broni długiej a zadowalał się Stenem i dwoma pistoletami Smith Wesson. Widząc zbliżającego się przeciwnika wziął od swego łącznika karabin i podał po linii rozkaz aby otworzyć ogień dopiero po jego strzale.

"Walek" cierpliwie wytrzymał aż Niemcy zbliżyli się na odległość 40 do 50 metrów i wtedy oddał strzał do niemieckiego dowódcy. Prawie równocześnie zagrzmiało od wystrzałów na całej linii. Padł niemiecki oficer i kilku innych niemieckich żołnierzy. Pozostali uciekali z szybkością na jaką ich było stać. Być może padł tam olimpijski rekord szybkości w biegach przełajowych.

Ppor. "Walek" natychmiast dał rozkaz "skoku do przodu na odległość 100 metrów", aby pozbierać porzuconą broń niemiecką oraz tę która była przy zabitych lub rannych żołnierzach niemieckich. Następnie cofnął linię swego plutonu, przyjmując zmienione pozycje do dalszej obrony.

Plutonowy Tadeusz Giernadowicz "Lis", który już w 1938 r. ukończył Kurs Przysposobienia Wojskowego prze Szkole Zawodowej w Starachowicach, brał udział w tym starciu i przeżył chwile emocji.

Podczas zbliżania się Niemców do pozycji plutonu "Walka", wprost na Giernadowicza szedł starszy, grubawy Niemiec, z pistoletem maszynowym. Był to przypuszczalnie dowódca drużyny, gdyż w niemieckim wojsku taką broń nosili drużynowi. Niemiec ten był już bardzo blisko Giernadowicza, a ppor. "Walek" nie strzelał. Giernadowicz zaczął się denerwować. Gdy padł strzał ppor. "Walka", zagrzmiało na całej linii. Giernadowicz również strzelił do swego Niemca. Niemiec upadł ale za kłodą leżącego drzewa w ten sposób, że wyglądało na to że żyje i próbuje celować ze swego MPika. Gdy padł rozkaz ppor. "Walka" aby ruszyć do przodu, Giernadowicz rozkazu nie wykonał, bojąc się że zostanie trafiony przez Niemca. Po jakimś czasie Giernadowicz zorientował się, że nie ma się czego bać, ale było za późno. Niemca już pozbawiono MPika, hełmu i innych przydatnych elementów wyposażenia.

Po zmianie stanowisk Giernadowicz wybrał sobie miejsce za piaskową fałdą. Strzelanina ucichła i było względnie spokojnie. Nagle poruszyła się ziemia, z której usypał sobie osłonę. Domyślił się że to musiał uderzyć pocisk karabinowy. Zaczął grzebać w piachu ręką i rzeczywiście odnalazł niemiecki pocisk karabinowy, rozgrzany energią uderzenia. Schował go na pamiątkę w chlebaku.

Zgodnie z powiedzeniem "żołnierz strzela a Pan Bóg kulę nosi" Giernadowicz uniknął śmierci.

Analogicznie, jak na odcinku kompanii ostrowieckiej, pierwszy atak niemiecki miał tylko na celu rozpoznanie polskich pozycji.

Po upływie godziny nastąpił atak większych sił nieprzyjaciela.

Wymiana strzałów trwała około godziny i zakończyła się wycofaniem się Niemców. Nastąpił teraz spokój do godz. 12⁴⁵.

Środkowy pluton kompanii "Fiedlera", dowodzony przez ppor. Stanisława Dukata, ps. Talar, został zaatakowany przez Niemców dopiero około godz. 9-ej. Pluton miał dużo czasu na przygotowanie się do walki i żołnierze obsadzający rejon skrzyżowania leżni "C" i działki 8-ej porobili sobie dołki strzeleckie, które jeszcze dziś są trochę widoczne.

Plutonowy (sierżant) Andrzej Zięba "Stalowy", celowniczy rkm-u wz. 28, był strzelcem wyborowym w 17 pp a potem w KOP. Leżąc na stanowisku z amunicyjnymi Tadeuszem Lisowskim, ps. Naroczi Eugeniuszem Hartungiem, ps. Czamy, dostrzegł w pewnej chwili, że zbliża się niemiecka tyraliera. Niemcy nie widząc zamaskowanych partyzantów, zrobili sobie postój 50 m przed polskimi stanowiskami. W pewnej chwili "Stalowy" dostrzega, że w lewo w skos Niemiec ustawia na ziemi karabin maszynowy MG-15 (Dreyse), a po prawej stronie podobnie inny Niemiec stawia MG-34 (Bergmana).

"Stalowy", doświadczony podoficer, natychmiast bierze na cel jedno stanowisko niemieckie i puszcza w niego króciutką serię, a następnie kieruje lufę rkm-u w kierunku drugiego i znów małą serią likwiduje obsługę.

Do stanowiska karabinu maszynowego Dreyse strzelało wielu żołnierzy, w tym drugi erkaemista Władysław Myszka "Kijek", któremu wielu kolegów przypisuje efekty zniszczenia obsługi.

Jeden z niemieckich podoficerów, uzbrojony w MPi (pistolet maszynowy) oraz krótką broń (15-to strzałową belgijską), chcąc dać przykład swoim żołnierzom wysforował się do przodu i znalazł się najbliżej polskich stanowisk. Ustrzelił go ze starego ale celnego karabinu francuskiego Tadeusz Tylkowski "Olcha". Gdy Niemcy pod wrażeniem polskiego ognia uciekli, do zabitego podczołgał się amunicyjny "Kijka", zabierając Niemcowi broń i oporządzenie. "Kijek" także strzelał do tego Niemca z karabinu maszynowego Dreyse (zdobytego przez partyzantów w okresie wcześniejszym).

"Olcha" widząc, że mu łup sprzed nosa zabrano, podczołgał się z "Chrabąszczem" (Kulig Marian) do Niemca, aby jeszcze coś "uratować" dla siebie. Znaleźli w chlebaku jeszcze tylko kilka dropsów i paczkę papierosów.

Podczas tak intensywnej wymiany ognia trudno jest ustalić kto i kogo ustrzelił. W plutonie ppor. "Talara" było trzy karabiny maszynowe. Jeden, niemiecki (Dreyse), obsługiwał kpr. Władysław Myszka "Kijek", drugi, radziecki (Diktiarew), obsługiwał kpr. Tadeusz Gerlach "Góral", a trzeci, polski rkm wz. 28, obsługiwany był przez plut. Andrzeja Ziębę "Stalowego". Wiedząc jak skutecznie strzelają strzelcy wyborowi, dla których trafienie przedmiotu wielkości orzecha laskowego z odległości 50 m nie stanowi problemu, można wierzyć w skuteczność ognia Andrzeja Zięby.

Prawoskrzydłowy pluton komp. "Fiedlera", dowodzony przez ppor. Zygmunta Cyrana, ps. Sor, zajmował stanowiska po zachodniej stronie działki 8-ej i południowej stronie leżni "C".

Na oczach tego plutonu przesuwwały się oddziały niemieckie, które wyszły na pozycje plutonu ppor. "Talara".

Odległość od Niemców nie zapewniała skutecznego ognia, więc ppor. "Sor" przepuścił ich.

Pluton w godzinach przedpołudniowych nie wszedł do walki. Także oddziały opatowskie, zapewniające obronę od południa czyli od strony gościńca ostrowieckiego, nie były przez Niemców atakowane.

Na odcinku bronionym przez żołnierzy "Wrzosa" również z samego rana wyszedł niemiecki atak rozpoznawczy. Podpuszczeni na niewielką odległość Niemcy nie

wytrzymują ognia partyzantów i po stracie kilku ludzi uciekają. Po pewnym czasie pojawiają się sanitariusze by pozbierać rannych i zabitych. Po stronie partyzantów strat nie ma.

Gdy zaczęła się walka, przypominano sobie, że partyzanci nie zdali w dowództwie swoich dokumentów. Kpr. Czesław Dąbrowski "Krzysztof" czołgając się od stanowiska do stanowiska zebrał dokumenty i zakopał w bezpiecznym miejscu.

Po godzinnej przerwie Niemcy ponawiają atak na stanowiska żołnierzy "Wrzosa".

Jest to atak znacznie silniejszy i przy użyciu większych sił. Dochodzi do walki na odległość rzutu granatem i granaty niemieckie eksplodują wśród stanowisk polskich. Żołnierze "Wrzosa" nie pierwszy raz toczą walkę i bronią się odważnie, z determinacją odpierając wroga.

Niemcy, widząc przed sobą twardego przeciwnika, dają za wygraną i wycofują się. Z oddali słychać brzęk menażek co by świadczyło, że Niemcy otrzymali posiłek.

Wykorzystując spokój jaki teraz na tym odcinku walki nastał, sierżant "Wazon" dostarcza żołnierzom "Wrzosa" pajdy chleba i duże kawały sera z masłem, przygotowane przez dziewczęta drużyny sanitarnej, nie mające jeszcze zajęcia w swojej specjalności.

Obie walczące strony wzmacniają swe siły. Nie dochodzi jednak do dalszych ataków niemieckich. Na wszystkich odcinkach obrony panuje dziwny spokój. Dowództwo niemieckie stwierdziło, że za pomocą samej piechoty nie da się partyzantów pokonać. W dotychczasowych walkach wojsko niemieckie poniosło straty, nic nie uzyskując. Były dowody na to że żołnierz niemiecki nie miał ochoty pchać się w gęszcza, w których trudno dostrzec przeciwnika, dysponującego w dodatku dużą siłą ogniową. Koło gajówki Stencła, przy gościńcu ostrowieckim, widziano jak podoficer niemiecki bił kijem żołnierzy, odmawiających udziału w walce.

W powyższej sytuacji dowództwo niemieckie wstrzymało działania piechoty i zażądało przysłania na miejsce bitwy oddziałów broni pancernej i moździerzy.

Na te dodatkowe i nieprzewidziane wcześniej przygotowania potrzebowali Niemcy ponad trzy godziny.

Tymczasem ppor. "Włodek" uznał spokój jaki teraz nastał za wycofanie się Niemców z lasu. Około godz. 11-ej, nie sprawdzając patrolami co dzieje się w okolicy, ściągnął z pozycji poszczególne oddziały i uformował na leżni "C" kolumnę marszową w kierunku zachodnim, czyli w stronę Marcul. Kompania ostrowiecka, wysunięta dość daleko od obozu, nie opuściła swoich pozycji, z powodu zbyt późnego otrzymania rozkazu.

Osiem parokonnych wozów taborowych, na których umieszczono ciężko rannych oraz inne, jak np. te, którymi przyjechał kpt. Grzywacz, wyruszyło z obozu. Przedmioty, które trzeba było zdjąć z wozów aby umieścić na nich rannych wzięli na barki ludzie przebywający w obozie bez broni. Utworzyła się kolumna długości około 500 metrów. Tak sformowany Pułk Ilżecki wyruszył z obozu, zatrzymując się na leżni "C".

W tym czasie st. sierż. Józef Orczykowski "Fezuj", znający doskonale okoliczny teren, gdyż był tu wcześniej gajowym, przerażony był, widząc w jakim kierunku ma ruszyć kolumna. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli Niemcy będą w rejonie gościńca ostrowieckiego, to zrobią masakrę oddziałów polskich. Przejście szerokiego gościńca i bardzo w tym miejscu piaszczystego, musi być powolne. Do tego leżnia "C" przecina gościniec ukośnie, co znacznie wydłuża drogę na otwartej przestrzeni.

Ppor. "Włodek" słusznie spodziewał się, że Niemcy wrócą, i chciał jak najszybciej opuścić ten teren i pomaszerować na zachód, w kierunku lasów świętokrzyskich.

W ostatniej chwili udało się "Fezujowi" przekonać "Włodka" iż konieczne jest sprawdzenie, czy przejazd przez gościniec ostrowiecki jest bezpieczny. "Włodek" wyraził zgodę aby "Fezuj" wraz z "Topolą"(Józef Paśnik) dokonali zwiadu. Byli to podoficerowie o dużym doświadczeniu. Podczołgali się pod skrzyżowanie i stwierdzili nie tylko obecność niemieckiej piechoty ale także broni pancernej. W tym czasie nadjechały od strony Błazin cztery niemieckie opancerzone działa szturmowe.

Po złożeniu meldunku ppor. "Włodkowi" natychmiast zawrócono kolumnę taborową, a te jednostki które już były na leżni "C" skierowano z powrotem na dawne pozycje obronne. Po naradzie oficerów postanowiono bronić się do zmroku i dopiero wtedy organizować przełamanie linii niemieckich.

Powstało zamieszanie w taborach, gdyż parokonne, ciężkie platformy, miały trudności z zawróceniem na zbyt wąskich drogach leśnych.

Po stwierdzeniu broni pancernej na skrzyżowaniu leżni "C" i gościńca, "Włodek" doszedł do wniosku, że Niemcy od tej strony montują natarcie i natychmiast przerzucił do tego rejonu dodatkowe jednostki. Przerzucił do tego rejonu pluton "Sora" oraz 1-szą drużynę z plutonu "Walka", dowodzoną przez kpr. Wojciecha Krzysztanowskiego "Zawieruchę". Prawdopodobnie tu także została przerzucona część kompanii "Wrzosa", pod dowództwem pchor. "Rafała". Z obozu wyruszyła do tego rejonu drużyna obrony przeciwpancernej z butelkami benzyny. Zgrupowanie nie miało innej broni przeciw czołgom. Było wprowadzić kilka "piatów" dostarczonych z rejonu opatowskiego lecz były bezużyteczne z powodu braku pocisków.

Angielskich granatów przeciwpancernych, tzw. gammonów, także nie było, poza jednym, przyniesionym przez żołnierzy grupy "Rogacza" z 3 pp.

Na terenie opatowskim, podległym kpt. "Pawłowi" (podobwód 300) było zmagazynowane 100 gammonów ze zrzutu. W wyniku nagłego przesunięcia się frontu Niemcy pousuwali ludzi z tej okolicy, a podczas robienia wykopów natrafili na magazyn i zlikwidowali go. Jak podaje kpt. "Paweł", w miejscowości Pasy Linowskie oddziały niemieckie w czasie kopania stanowisk artyleryjskich natrafiły na schron w zabudowaniach ob. Pankowskiego, w którym była zmagazynowana znaczna ilość plastiku i około 100 uzbrojonych granatów typu "gammon". W podobny sposób wpadło w niemieckie ręce wiele zrzutowej broni zmagazynowanej na tym terenie.

Efektem tego była sytuacja, w której Iłżecki Pułk był bezbronny wobec broni pancernej. Butelki z benzyną nie zdały w tej walce egzaminu.

Jeden z żołnierzy drużyny sapersko-minerskiej, Andrzej Jabłoński "Erg" ze Starachowic, zdążył na skrzyżowaniu działki 9-ej i drogi biegnącej do obozu, założyć w ostatniej chwili minę przeciwczołgową. Jeden z czołgów najechał na nią i został trochę uszkodzony. Ostudziło to ruchy pojazdów pancernych, które od tej chwili starały się jeździć obok drogi, gniotąc młode drzewka porastające ten teren.

Ocena sytuacji przez ppor. "Włodka", który sądził iż Niemcy będą atakować wzdłuż leżni "C", była tylko częściowo zgodna z rzeczywistością. Główny atak niemiecki poszedł po najkrótszej drodze do obozu, czyli od południa.

Zanim to jednak nastąpiło, o godz. 12⁴⁵ na pozycje partyzantów runęła lawina ognia broni ciężkiej. Co najmniej cztery samoloty typu Storch krążyły nad terenem walk, korygując ogień moździerzy i granatników.

Słuchałem odgłosów tego bombardowania z odległości dokładnie 10 km. Sądząc z tego co dochodziło do mych uszu, było tam piekło. Częstotliwość wybuchów była tak duża, że wiele z nich zlewało się ze sobą. Co dwie lub trzy minuty, na tle mniej więcej

równomiernego odgłosu wybuchów, rozlegały się salwy moździerzy wielolufowych. Robiło to wrażenie, że gdzieś z wysokości kilku kilometrów jakieś gigantyczne wywrotki wysypują na ziemię zwały potężnych głazów.

Na tle tych odgłosów słychać było dwa lub trzy razy jakieś znacznie potężniejsze eksplozje. Były to przypuszczalnie eksplozja miny przeciwczołgowej oraz gammona. Obserwowałem krążące Storchy i czekałem kiedy zaatakują je radzieckie myśliwce, które po kilka razy dziennie patrolowały zaplecze frontu. Myślałem o tym, jaką radość sprawiłyby partyzantom swoim pojawieniem się. Niestety. Po upływie około 35 minut masowy ogień moździerzy ustał i samoloty natychmiast znikły.

Według wypowiedzi Mieczysława Róg-Świostka, jednego z przywódców AL na tym terenie, zwrócił się do niego ppor. Antoni Dziura "Szczęk", adiutant komendy podobwołu AK "Dolina", w dodatku jego krewny, o wezwanie pomocy lotniczej ze strony wojsk radzieckich.

Podobno z pomocą radiostacji ukrytej w Błazinach Górnych, poproszono dowództwo radzieckie o taką pomoc. Pomoc obiecano lecz jej nie przysłano. Dziś gdy wiemy, że Stalin kazał traktować Armię Krajową jako wroga ZSSR, taka decyzja staje się zrozumiała.

Po zakończeniu masowego ostrzeliwania pozycji partyzanckich, nie zawsze celnego, Niemcy przeszli do prowadzenia ognia nękającego po całym terenie objętym obroną. Chcąc wykorzystać efekt bombardowania Niemcy natychmiast przypuścili ataki ze wszystkich stron. Najsilniejsze jednak natarcie przygotowali od strony południowej, bronionej przez kompanię opatowską. Rzucili tu do walki oddziały Wehrmachtu, zaprawione w walkach na froncie. Natarcie wsparli samobieżnymi działami, zwanymi przez Niemców "Sturmgeschutze" oraz czołgami.

Uderzając wzdłuż drogi prowadzącej prosto do obozu, aby uwolnić Hofmanna i Szczepańskiego (który już nie żył) parli tuż za linią ognia. W wyniku złej orientacji i braku dobrej widoczności z samolotu, ogień moździerzy na pewnym odcinku pokrył stanowiska niemieckie.

Żołnierze opatowscy, którzy do południa nie mieli z kim walczyć, znaleźli się teraz w wielkich opałach.

Niemieccy artylerzyści z obsługi dział samobieżnych mieli doskonałe doświadczenie w walkach leśnych. Wyczuwając gdzie mogą się znajdować partyzanci, strzelali w drzewa na wysokości kilku metrów nad ziemią, używając pocisków rozpryskowych. Pękający pocisk raził z góry, ukrytych w zagłębieniach leśnych, żołnierzy partyzanckich.

Już pierwszy pocisk wystrzelony z niemieckiego działa zranił ciężko kpt. Stanisława Mazurkiewicza, ps. Bartosz, który stał w lesie obok drogi i był dla Niemców niewidoczny.

Kpt. Stanisław Mazurkiewicz urodził się 20. 06. 1908 r. Szkołę Podchorążych ukończył w 1928 r. w Ostrowi Mazowieckiej.

W 1931 r. promowany na oficera zawodowego z przydziałem do 69 pp w Gnieźnie. W 1937 r. zostaje wykładowcą w Korpusie Kadetów Nr 2 w Rawiczu. We wrześniu 1939 r. walczy z Niemcami w składzie 69 pp. W 1942 r., z polecenia Komendanta Obwołu AK Opatów "Eisa" sierżant Jan Pater "Szarota" odnalazł go i wciągnął do pracy konspiracyjnej. Kpt. "Bartosz" był w terenie dowódcą kompanii.

W czasie bitwy pod Piotrowym Polem dowodził plutonem i był równocześnie zastępcą d-cy kompanii. W krytycznym momencie gdy pocisk uderzył w pobliskie drzewo, kpt. Mazurkiewicz stał z paroma innymi osobami, a obok przy karabinie maszynowym leżał celowniczy Jan Świątek "Twardy" oraz amunicyjni: Stefan Markiewicz "Szatan" i Józef Czajkowski "Zemsta". Wszyscy pochodzili ze wsi Bidziny. Odłamki pocisku zraniły

"Bartosza" w brzuch, a następnie leżącego na stanowisku, Józefa Czajkowskiego "Zemstę", w głowę i nogę. Oberwał także Jan Świątek "Twardy" w rękę oraz uszkodzony został czeski rkm, z którym "Twardy" pobiegł do rusznikarzy, pracujących w rejonie obozu.

W czasie gdy kpt. "Bartosz" leżąc na wznak usiłował sobie zrobić opatrunek, znajdujący się w pobliżu żołnierz, 17-toletni chłopiec z Poznania, Józef Łuczak "Ziuk", chciał mu pomóc. Podczołgał się do "Bartosza" lecz na leżąc niewygodnie mu było bandażować rannego. Klęknął więc przy nim i za chwilę sam został ranny. Kula, prawdopodobnie wystrzelona z pistoletu maszynowego, przeszła mu przedramię lewej ręki. Chłopiec miał pecha w tym dniu, gdyż leżąc potem w szalasy dla rannych, został podobnie zraniony w drugą rękę.

Podczas bombardowania pozycji partyzanckich z moździerzy, zbombardowano także teren obozu. Jeden z pocisków trafił w kocioł z kawą, inny w wóz taborowy. Z wielkim strachem przeżywał to bombardowanie Hofmann, którego pilnowali wyznaczeni żołnierze, między innymi Aleksander Bieliński "Sęp" z Bidzin. Dotrzymywał towarzysztwa Hofmannowi kpt. Józef Grzywacz "Mars", kwatermistrz Obwodu Opatów, który przyjechał poprzedniego dnia. Siedzieli w dole wykopanym blisko wartowni i wspominali dawne czasy, kiedy to obaj służyli w armii austriackiej.

Gdy przeminęło bombardowanie, "Mars" wiedząc że Hofmann przeznaczony był do zwolnienia, postanowił go do Niemców odprowadzić. (Czyn ten potem "Potok" ocenił jako samowolę, gdyż Hofmann przeznaczony był do zwolnienia ale pod warunkiem uwolnienia przez Niemców mieszkańców wsi Piotrowe Pole).

Okolo godz. 14-ej Hofmann razem z kpt. "Marsem" dotarli do Niemców. Podobno któryś z żołnierzy partyzanckich wymienił Hofmannowi jego dobry garnitur na stare ciuchy partyzanckie i gdy ten znalazł się już między niemieckimi żołnierzami, to ci nie chcieli uwierzyć że mają do czynienia z dyrektorem generalnym Hoffmannem. Dostał nawet kijem po plecach. Forstmeister wspomina, że musiał jeździć, aby rozpoznać czy to jest ten Hofmann, którego należało uwolnić. Fakt, że Hofmanna przebrano w stare ciuchy partyzanckie jest przez niektóre osoby kwestionowany, gdyż jeszcze w ostatnim dniu widziano go w swoim dotychczasowym garniturze.

Hofmann, po odzyskaniu wolności, zrewanżował się kpt. Grzywaczowi. Zawiózł go swoim samochodem do Starachowic i tam się z nim rozstał. Kpt. Grzywacz na wszelki wypadek do domu nie powrócił i okazało się że zrobił dobrze, gdyż gestapowcy już na niego czekali.

Ponieważ natarcie niemieckie w kierunku obozu już się rozwinęło i rokowało postępy, pojawienie się uwolnionego Hofmanna nie zatrzymało działań. Niemcy parli do przodu, chcąc chociaż dojść do miejsca obozowania. Zdawali sobie sprawę, że dzień zbliża się ku końcowi i przed zapadnięciem nocy należy sprawę doprowadzić do końca. Do rejonu drogi, wzdłuż której Niemcy nacierali, rzucono dodatkowe siły na pomoc. Weszła tu do walki odwodowa grupa sierżanta "Rogacza", a także niektóre drużyny z kompanii "Fiedlera". Jedyne posiadany gammon został rzucony przez pchor. Mariana Strzeleckiego, ps. Danielewicz, do ziejącego ogniem pojazdu pancernego. Rzut okazał się za krótki, a pchor. "Danielewicz" z 3 pp, został ranny w łydękę i pośladek.

Inni rzucali butelkami benzyny, które do czołgu nie dolatywały. Widząc to, chorąży Stanisław Różalski "Grażyna" z Ćmielowa, będący zastępcą dowódcy kompanii, usiłował sam rzucić butelką do pancernego pojazdu. Jemu także się to nie udało. Został przy tym

raniony odłamkiem pocisku w głowę. Dwaj żołnierze pomogli mu przejść do obozu, w celu zrobienia opatrunku przez lekarzy.

W zaciętych walkach jakie się tu rozgrywały zostają ranni: Augustyn Zagórny "Łopata" (d-ca drużyny), Kazimierz Wtorkowski "Cichy", Kazimierz Tarkowski "Pazur", Zdzisław Mirowski "Polus", Władysław Pronobis (d-ca drużyny), ppor. Jan Młynarczyk "Mieczek" (d-ca plutonu), pchor. Marian Domagała "Klinga", leży nieprzytomny, ogłuszony pociskiem ppor. Józef Rawluk "01bromski" (d-ca plutonu). Beznadziejnie ranny w brzuch i nogi leży celowniczy karabinu maszynowego Eugeniusz Piwowarski "Zwarty". Prosi aby go dobić. Któryś z ustępujących kolegów, w ferworze walki, spełnia jego prośbę. Nie pomagają nieomylnie strzały Strzelca wyborowego, d-cy drużyny, Władysława Pronobisa, który także zostaje ranny.

Walczą z determinacją Marian Zubrzycki "Czarski" (d-ca drużyny) oraz Franciszek Ryczan "Zefir" (z-ca d-cy plutonu), Mieczysław Janowski "Czarny", Marian Woźniak "Ryś", Marian Dąbkowski "Śmiały", Jan Czajewski "Sokół", Tadeusz Młynek "Krzak", pchor. Stefan Sadaj "Virtus" (d-ca drużyny), Henryk Gierczak "Kruk", Zenon Młynarczyk "Waldemar", sierż. Jan Pater "Szarota", sierż. Aleksander Młodożeniec "Krak", Maksymilian Borecki "Zielonka", bracia Antoni i Stanisław Bińczakowie, pchor. Lucjan Luzak "Kos", Marcei Pronobis "Wrzos", Stanisław Pronobis "Gawron", Józef Kurpios, Jerzy Józefowski "Warta", por. Stanisław Roguski "Ostoja", i wielu innych.

Nieco dalej, na odcinku bronionym przez pluton ppor. Tadeusza Kwietnia, ps. Dąb, opór stawiają pchor. Tomasz Nowak "Żelazny", Marian Bednarski "Korsarz", Tadeusz Bancer "Kruk", Henryk Przysiwiek, kpr. Edward Baran "Wyrwa", Bogdan Kudas "Bodo", Henryk Pater, Jan Moniewski, Józef Szalapski "Wicher" (jedyne posiadacz niemieckiego pistoletu maszynowego produkcji czeskiej, na amunicję pośrednią), Marian Witkowski "Orlicz", Adam Witkowski, (d-ca drużyny), Antoni Granat, Stanisław Czuba "Lord", Zenon Kacperek, Antoni i Ignacy Dębiccy, Władysław Stachurski, Józef Płatek "Lis", Jan Piasecki "Ułan", Józef Sasak "Kobus", Julian Luzak "Kos", i inni. Wspierają żołnierzy opatowskich chłopcy sierżanta "Rogacza" z 3 pp. Ginie celowniczy karabinu maszynowego Czesław Białkowski "Jałowiec" ze Starachowic, trafiony pociskiem działa szturmowego.

Ciało jego zostało rozniesione wybuchem. Giną również amunicyjni.

Podchorążemu Jerzemu Wisławskiemu, ps. Witold, odłamek pocisku wyrywa dolną szczękę. Wisławski cały we krwi, podtrzymując rękami opadającą brodę, biegnie do obozu. Po chwili, nie widząc na oczy uderza w drzewo i przewraca się. Nie ma warunków do udzielenia mu pomocy. Rannego dobijają Niemcy.

Pozostali koledzy robią co mogą aby napór Niemców powstrzymać.

Jan Gawron "Lew", kpr. Zygmunt Rogoziński "Zyga" z Szydłowca, Marian Bączkowski "Kukułka" ze Starachowic, pchor. Jerzy Żmijewski "Gryf", kpr. Mirosław Kukła "Szejka", pchor. Janusz Grolman "Janusz", pchor. Zdzisław Bielawski "Lech", pchor. Wacław Morawski "Morwa", pchor. "Fregata" (NN), "Narta" (NN), pchor. "Kalina" (NN), kpr. "Manierka" (NN) ze Starachowic i wielu innych z grupy odwodowej, wspierają silnym ogniem pozostałych kolegów, zadając Niemcom straty. Wspomagają walczących żołnierze kompanii "Fiedlera", przysłani z pomocą na zagrożony odcinek. Znajdują się tu między innymi Leszek Jastrzębski "Podkowa" (d-ca drużyny) oraz Tomek Jastrzębski "Tom". Razem z nimi leży na stanowisku Stefan

Rechnio "Sęp", kolega szkolny ze Starachowic, podając amunicję do karabinu maszynowego kpr. Wincentego Woj teczka "Sroki", który ginie w tej walce.

Ginie także dzielny harcerz starachowicki kpr. Mieczysław Lisowski "Lemiesz". Tracą życie kpr. Roman Szeptowski "Tygrys", Bronisław Wojnowski "Śliwka", kpr. Bochyński "Słomiany". Giną żołnierze opatowscy: Bogdan Pronobis "Czarny" i Bolesław Tworek "Tunel" z Bodzechowa, kpr. Edward Baran "Wyrwa" z Ćmielowa, pchor. Józef Głowiak "Jerzy". Wielu rannych wycofuje się w kierunku obozu. Wycofują się także zdrowi, którzy nie wytrzymali psychicznie nawały ogniowej. Były chwile, że partyzanci tkwili w ogniu pękających pocisków moździerzy i dział, przy równoczesnym pokryciu ich ogniem niemieckiej piechoty. Partyzanci, którzy z różnych powodów nie mieli przygotowanych dołków strzeleckich, rwali teraz rękami korzenie i kopali palcami w leśnej darni, aby choć trochę się w nią zagłębić. Byli pierwszy raz w życiu w boju i do tego tak bardzo intensywnym, nie wyobrażali sobie wcześniej, że to tak może wyglądać. Dowódca kompanii, kpt. "Paweł", w krytycznym momencie sam kładzie się przy karabinie maszynowym, powstrzymując atakujących Niemców.

Równocześnie z natarciem Niemców od strony południowej uruchomili oni dodatkowe natarcie od strony zachodniej, idąc po północnej stronie leżni "C". Natarcie to zagroziło tyłom kompanii opatowskiej, która mogłaby się znaleźć jak gdyby w worku.

Widząc to zagrożenie "Włodek rzucił na pomoc pluton ppor. "Sora".

W połowie drogi pomiędzy działkami 9 i 10 pluton natrafił na Niemców. Od pierwszego strzału zostaje ranny celowniczy karabinu maszynowego trzeciej drużyny, Jan Niewiadomski "Wicek". Dowódca drużyny kpr. Alfons Bugaj "Delfin" podaje rozkaz przejścia rkm-u przez amunicyjnych Stanisława Tuszyńskiego "Kasztana" i drugiego amunicyjnego Kazimierza Markowskiego "Kreta". Niestety, rkm nie otwiera ognia, bo niemiecka kula wgniotła komorę zamkową. Karabin jako bezużyteczny zostaje porzucony.

Rozpoczęła się obustronna wymiana ognia z odległości kilkudziesięciu kroków. Po stronie niemieckiej słychać wołania "Hilfe, Hilfe" oraz jęki rannych. Po stronie polskiej zostaje ranny w obojczyk dowódca plutonu, ppor. Zygmunt Cyran "Sor" z Tarłowa. Rannego żołnierze odprowadzają do obozu. Dowództwo plutonu obejmuje teraz pchor. WP Jerzy Sułocki "Gozdawa". Trwa intensywna wymiana ognia. Strzelec Stefan Galicki "Goździk" dostrzega w odległości około 30 m słabo osłoniętego żandarma.

Strzela do niego z dobrym skutkiem. Obok niego dwóch partyzantów także zostaje rannych. Natarcie niemieckie zatrzymuje się lecz pluton cofa się nieznacznie, zajmując nowe pozycje. Po pewnym czasie, gdy Niemcy nie posuwają się do przodu, pluton przechodzi do rejonu skrzyżowania działki 9-ej z leżnią "C". Tu do plutonu dołącza kilka osób z obozu, przynosząc wiadomości iż centralne dowodzenie przestało istnieć i że każda jednostka ma sama decydować o sobie. Do plutonu dołączyli por. Wacław Cieśla "Siarka" oraz szef kompanii st. sierż. "Wazon". Pech chciał, że w tym rejonie upadł pocisk moździerzowy. Gdy rozrzedził się dym po eksplozji, żołnierze ujrzeni słaniającego się por. "Siarkę", opierającego się plecami o drzewo i oglądającego zranioną nogę. Pobiegli mu z pomocą jego brat Witold Cieśla "Skaleń" z drugim kolegą. Rannego "Siarkę" odprowadzono do rejonu obozu. Został raniony w nogę ale kulejąc mógł jeszcze iść.

W tym czasie na terenie obozu zgromadziło się już sporo żołnierzy, którzy z różnych przyczyn pogubili swe jednostki.

Podchorąży Roland Głowack "Redt", który wchodził w skład poczty dowódcy Zgrupowania, przemówił do żołnierzy iż nie ma najmniejszego sensu siedzieć bezczynnie w obozie, bo Niemcy tu dotrą i wystrzelają wszystkich jak kaczki. Trzeba sformować grupę uderzeniową i przebić się przez linie niemieckie. W ten sposób doszło do utworzenia oddziału liczącego około 80 żołnierzy, który wychodząc z obozu w kierunku północnym, natknął się na powracającą z pozycji obronnych kompanię ostrowiecką. Połączone oddziały skierowały się w stronę Kruków, wychodząc na grupę żołnierzy plutonu łączności, leżącą na stanowiskach przy działce 8-ej i włączyły ją do siebie. Powstał w sumie oddział liczący około 150 ludzi, który poprowadził energiczny dowódca i znający te okolice, st. sierż. (ppor.) Wacław Wanat "Gorliwy". Razem z tym oddziałem szli oficerowie: ppor. Janusz Marczyński "Kwiatkowski", ppor. Józef Palus "Selim" i ranny por. "Siarka". To nowe ugrupowanie przełamało linie niemieckie, o czym będzie mowa w dalszej treści.

Tymczasem pluton "Sora", dowodzony przez pchor. "Gozdawę", krążył w rejonie obozu, natrafiając w jego pobliżu na rannego ppor. "Włodka". Pocisk z moździerza rozszarpał mu nogę na wysokości kolana. Stefan Galicki "Goździk" spostrzegł "Włodka" gdy podnosił go na rękach jakiś żołnierz, wołając że ppor. "Włodek" jest ranny. Podskoczyło do niego więcej ludzi, a wśród nich Mieczysław Krzysztanowski "Jarzębiak" i usiłowali go przenieść do obozu na punkt opatrunkowy. Poszarpana noga, gumowy but i spodnie zalane krwią, świadczyły o poważnym zranieniu. Pchor. "Gozdawa" twierdzi, że zauważył go pierwszy. "Włodek" leżał w kałuży krwi, blady i w stanie wielkiego osłabienia. Uratować go mogła natychmiastowa ingerencja lekarzy i transfuzja krwi. Niestety, takich możliwości nie było. Tak znaczny upływ krwi jaki miał "Włodek" nie rokował żadnych nadziei na przeżycie nawet godziny. Pogłoski jakie po tej bitwie krążyły, że rannego "Włodka" Niemcy zabrali do Błazin na badania i tam zmarł, zdaniem pchor. "Gozdawy" nie mogą być prawdziwe.

Pchor. "Gozdawa" zabrał mapnik ppor. "Włodka", pozostawiając mu pistolet. Należy sądzić, że ppor. "Włodek" zdając sobie sprawę ze swej sytuacji, odebrał sobie życie. Wkrótce zresztą do obozu wtargnęli Niemcy. Część ludzi z obozu, nie chcąc dostać się w niemieckie ręce, uciekła w otaczające go zagajniki i dołączyła do plutonu "Gozdawy". "Gozdawa" wiedząc od nich, że w obozie już są Niemcy, przesunął pluton w kierunku północno-zachodnim, na odległość około 500 m od obozu.

Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy strzałów, co dawało podstawę do przypuszczeń iż Niemcy przeczesują zagajniki. Od strony obozu też dochodziły odgłosy niemieckiej w nim bytności.

Pchor. "Gozdawa" postanowił przesunąć pluton jeszcze dalej w kierunku północno-zachodnim, w młodszy i bardziej gęsty zagajnik.

Rozwinął pluton w tyralierę i zajął stanowiska do obrony. Chciał ażeby Niemcy podeszli blisko i wtedy nagłym atakiem chciał przerwać niemiecką linię i przejść Niemcom na tyły.

Pluton w toku wcześniejszych walk i manewrów zgubił część swoich ludzi, natomiast przybyło żołnierzy z innych jednostek, którzy dołączali. Przybyli między innymi: Stanisław Czuba "Lord" i Jan Godzisz "Żwir" z kompanii opatowskiej. "Żwir" był ranny pod pachą.

Dołączył do plutonu także ranny, pchor. Czesław Woźnicki "Czech" z Majkowa (kompania "Wrzosa"). Do plutonu dołączyli, jak wspomniałem, sierż. Donat Stywryn

"Wazon", bardzo przez wszystkich lubiany Rosjanin "Szaszka", plutonowy "Sosna" (uchodzący za Ślązaka), a także Aleksander Młodożeniec "Krak" ze wsi Bidziny, i inni. Gdy Niemcy zbliżyli się do stanowisk plutonu "Gozdawy" na odległość 50 do 70 metrów, zdarzył się niespodziewany przypadek.

Jakiś młody chłopiec, któremu zawiodły nerwy, pozostawił na stanowisku swój karabin i pobiegł do Niemców. Zareagował jednak na drugą komendę "padnij" i wycofał się czołgając. Zapytany dlaczego tak zrobił, odpowiedział: "myślałem, że jak będę bez karabinu to Niemcy mnie nie zabiją". Był to szok.

W dalszych działaniach chłopiec jednak się odłączył, gdyż po wyjściu z obszaru walk, nie było go w plutonie.

Gdy Niemcy usłyszeli krzyki związane z incydentem, zaczęli strzelać w kierunku partyzantów i z zaskoczenia na które liczył "Gozdawa" nic nie wyszło. Wtedy nie było wyjścia. Pchor. "Gozdawa" podał odruchowo komendę "bagnet na broń" i rozpoczął natarcie skokami. W czasie tego natarcia jeden z partyzantów, młody, wysoki, szczupły, o nieznanym nazwisku i pseudonimie, został trafiony w głowę. Kula niemiecka oberwała mu dolną szczękę. Fakt ten doprowadził do desperacji chłopca, który popełnił samobójstwo. Widziano go jak stał pod małą sosną ze zwisającą i broczącą krwią szczęką, wkładając sobie między nogi niemiecki granat pałkowy.

Oddział niemiecki z którym się teraz starł pluton "Gozdawy" był oddziałem mieszanym żandarmerii i wojska. Widać było mundury niemieckie tych formacji. Oddział ten nie miał jak się okazało broni maszynowej, licząc prawdopodobnie na to, że w zagajnikach napotka tylko zabłąkanych, bezbronnych ludzi lub takich partyzantów, którzy będą się bez walki poddawać.

W wyniku natarcia Niemcy uciekli pozostawiając kilku zabitych, którym partyzanci w trybie przyśpieszonym zabierali broń i amunicję, a tej już zaczynało brakować.

W tej walce został ranny ppor. "Gozdawa", któremu w zrolowanym kocu na plecach eksplodował niemiecki pocisk karabinowy, raniąc go odłamkami. Był to dowód na to, że Niemcy stosują amunicję zabronioną umowami międzynarodowymi.

Robiło się ciemno i cichły strzały. Słysząc je było jeszcze od strony wschodniej, północno-wschodniej i południowo-wschodniej.

Pchor. "Gozdawa" pamiętając z porannego patrolu spotkanie z Niemcami we wschodnim rejonie lasów, doszedł do wniosku że lepiej w tamtym kierunku nie uderzać. Tam na pewno są Niemcy i dlatego od tamtej strony dochodzą jeszcze odgłosy strzałów. Od strony zachodniej oraz gościńca ostrowieckiego panowała cisza.

Krążąc z plutonem po terenie zagajników, trzykrotnie przekraczano działkę nr 10, dwukrotnie leżnię "C" a nawet leżnię "B", nie napotykając nieprzyjaciela. Sugerowało to, że Niemcy się wycofali, ale być może zajmują pozycje po drugiej stronie gościńca. W czasie tych wędrówek dwukrotnie zauważono przelatujący, obserwacyjny samolot niemiecki.

Jeden z żołnierzy, młody podchorąży (NN), miał kompas którym usiłowano się posługiwać. Kompas trzymany w pobliżu dużej masy stali podawał mylny kierunek i oddział poruszający się w ciemnościach zupełnie stracił orientację. Od całkowitego zagubienia się wyratował go st. strz. Stefan Galicki "Goździk".

Był on synem leśnika i wychował się w tych okolicach. Lasy znał dobrze a chodząc wcześniej na patrole, poznał je jeszcze lepiej.

Wszedł on na wysoką sosnę, pozostawioną w młodniku jako tzw. nasiennik, i w poświacie księżycowej dostrzegł w dali szczegóły uformowania lasu, pozwalające mu na określenie miejsca w którym się znajdują.

Do gościńca ostrowieckiego mieli kilkaset metrów. Była godzina 3-cia w nocy 2. X. 44 r. Zbliżał się ranek i nie można było dłużej zwlekać. Prowadzony przez "Goździka" pluton "Gozdawy" podszedł tyralierą pod północną stronę gościńca. Na dany znak pluton ruszył jednocześnie do przodu, starając się możliwie najciszej i najszybciej pokonać szerokość drogi.

Niemcy faktycznie trwali na stanowiskach, leżąc w dołkach strzeleckich, oddaleni od siebie średnio 2, 5 metra. Zmęczenie całodziennym napięciem nerwów i potem spokojna noc spowodowały to, że Niemcy pozasypiali w dość niskim zagajniku jaki ciągnął się po tej stronie gościńca. Budzili się teraz gdy tu i ówdzie któryś z partyzantów na nich wpadał. Podobno Rosjanin "Szaszka", potężnie zbudowany, chwycił podnoszącego się żołnierza niemieckiego za gardło i dusząc go grzmotnął z całej siły jego głową o drzewo. Sierżant "Wazon" też wpadł na plecy jakiegoś Niemca, strzelając weń z pistolem. Pluton jak burza przemknął przez niemiecką linię. Pobudzeni żołnierze niemieccy, nie orientując się co to było, rozpoczęli intensywny ogień w kierunku skąd partyzanci nadbiegli, podczas gdy ci byli już po drugiej stronie i szybko się oddalali.

Biegający pluton w ciemnościach rozdzielił się na dwie części.

Część ludzi pobiegła za sierżantem "Wazonem" a część za pchor. "Gozdawą". Sierżant "Wazon" we wcześniejszych walkach został lekko ranny. Miał pociskiem karabinowym rozciętą skórę na brzuchu. Lewą ręką zabezpieczał sobie zranione miejsce a w prawej trzymał pistolet, strzelając do napotkanych wrogów. "Wazon" ze swoją grupą dotarł do rejonu Starachowic i tam wszyscy rozeszli się do swych domów lub na meliny. Pchor. Sułocki natomiast, prowadzony wraz z pozostałymi żołnierzami przez Stefana Galickiego "Goździka" lewą stroną działki 10-ej, dotarł do leżni "F" czyli "strażowej". Był w tym miejscu skład drewna kolejki leśnej Pasieka i stała tam przyzma ułożonych podkładów kolejowych, a na niej leżała długa belka. W ciemnościach całość miała sylwetkę dużego czołgu. Podkradając się ostrożnie, partyzanci wyjaśnili pomyłkę. Uspokojeni, pomaszerowali "strażową" w kierunku Starachowic i dotarli aż do Gadki w rejonie Wąchocka, nie napotykaając po drodze Niemców.

Podchorąży Jerzy Sułocki "Gozdawa", ur. 11. 02. 1921 r. jako najmłodszy z maturzystów gimnazjum we Włocławku, skierowany został na Dywizyjny Kurs Podchorążych rezerwy piechoty przy 67 pp w Brodnicy. Po ukończeniu kursu zostaje skierowany do 14 pp we Włocławku. Jako plutonowy podchorąży pełni funkcję oficera mobilizacyjnego w 14 pp a potem w 114 pp. Na początku września 1939 r. wyrusza na front jako szef batalionu. Gdy droga pod Garwolinem została przez Niemców odcięta, batalion zawraca do Warszawy i bierze udział w jej obronie. Po dostaniu się do niemieckiej niewoli zostaje wywieziony do Kutna, skąd udaje mu się zbiec. Przedostaje się do Łodzi i pracuje w fabryce przedziałniczej swego wuja. Tu prowadzi nasłuch radiowy i kolportuje wiadomości. Gdy Niemcy wpadli na trop ucieka do Bodzechowa pod Ostrowcem Św. Tu mieszka i pracuje jako praktykant w majątku Jankowskich, pod opieką Tadeusza Wehra, administratora majątku. Wkrótce zostaje wciągnięty do pracy w konspiracji i zaprzysiężony przez komendanta podobwołu AK Ostrowiec, por. Juliana Kaczmarczyka, ps. Sławomir.

Stąd wyrusza w sierpniu 1944 r. na koncentrację Zgrupowania OSTOJA w lasach koło Jeleńca. Wraz z innymi zostaje potem skierowany do organizującego się Ilżeckiego Pułku Piech. AK, pod dowództwem por. Wincentego Tomasika 'Potoka '.

Pluton pchor. "Gozdawy" był ostatnią większą jednostką zorganizowaną, jaka opuściła rejon walk pod Piotrowym Polem.

Pierwszą jednostką, która uderzyła w Niemców i przebiła się w dniu 1. X. 44, była kompania ostrowiecka ppor. Janusza Marczyńskiego, ps. Kwiatkowski.

Kompania zajmując stanowiska w pasie starego sosnowego lasu, została obłożona ogniom moździerz. Wprawdzie pociski spadały tuż przed linią obrony, jednak wiele z nich eksplodowało wysoko w koronach drzew, zasypując partyzantów odłamkami oraz ściętymi kawałkami drewna.

Gdy tuż po ostrzale moździerzowym ruszyła do natarcia niemiecka piechota, wsparta opancerzonym działem szturmowym, pozycje kompanii stały się trudne do utrzymania. Pocisk wystrzelony z samobieżnego działu uderzył w drzewo, pod którym zajął stanowisko jedyny karabin maszynowy, posiadany przez kompanię. Celowniczy Henryk Kaczmarek "Sęp" został zabity. Ppor. "Kwiatkowski", zmuszony sytuacją, daje rozkaz kompanii do wycofania się na nowe stanowiska, kilkadziesiąt metrów z tyłu, w zagajniku. Pod osłoną ognia kompanii grupa żołnierzy dokonuje wypadu, w celu ściągnięcia Henryka Kaczmarka, który pozostał na stanowisku (niestety zabity). Po przesunięciu linii obrony w gęsty zagajnik, atak niemiecki utknął. Niemcy wiedząc, że partyzanci mają dużo pistoletów maszynowych, nie chcieli narażać się na walkę z małej odległości i wstrzymali natarcie.

Po wstrzymaniu przez Niemców ataku na kompanię ostrowiecką, jej dowództwo doszło do wniosku, że chwilowy spokój należy wykorzystać w celu wydostania się z niemieckiego "kotła". Amunicji wystarczało jedynie na akcję przebiccia się, a do wieczora było jeszcze dość daleko. Postanowiono udać się najpierw do obozu aby zorientować się co się tam dzieje i ewentualnie połączyć z innymi oddziałami, które także chciałyby się przebijać.

Tak się zbiegło, że gdy kompania zbliżała się do obozu, wychodziła z niego grupa zorganizowana przez podchorążego "Redta", o której już była mowa. Doszło do zorganizowania grupy uderzeniowej złożonej z żołnierzy plutonu łączności, żołnierzy zebranych w obozie pod dowództwem pchor. "Redta" oraz kompanii ostrowieckiej. Całe to zgrupowanie, jak już podawałem, poprowadził znający najlepiej te lasy, szef kompanii ostrowieckiej "Gorliwy". Ppor. "Kwiatkowski" został przez "Potoka" obdarowany sztucerem myśliwskim z celownikiem optycznym, z którym Hofmann wybrał się na jelenie, a swój pistolet maszynowy "Thompson" oddał w użytkowanie "Gorliwemu". "Gorliwy" teraz jako dowódca ugrupowania szedł w przodzie. Oficerowie "Selim" i "Kwiatkowski" szli bardziej z tyłu. St. strz. Julian Domański "Wyrwa", żołnierz plutonu łączności trzymał się ppor. "Kwiatkowskiego, który badał przez lornetkę wszystkie podejrzane miejsca, czasem oddawał strzały ze swego sztucera, organizował skoki przez ostrzeliwane drogi i budził duże zaufanie żołnierzy do swojej osoby.

Wśród żołnierzy kompanii ostrowieckiej znajdowali się: Dobrosław Kostkowski "Ząb", Jerzy Rebajn "Nóż", Stanisław Falecki "Gałązka", kpr. Tadeusz Przybysławski "Tadek", kpr. Zbigniew Manowski "Giermek", Kazimierz Manowski "Orzeł", Florian Kaczmarek "Florek", Ludwik Krzywiński "Legwan", Stanisław Kosicki "Bohun", kpr. Sławomir Spaeth, Jerzy Różycki "Merkury", pchor. Gierdalski, Stanisław Żebrowski "Żubr", Zenobiusz Kozłowski "Kurzawa", kpr. Jerzy Palka "Leśnik", sierżant "Pszczola" (NN), kpr. Roman Skoczy las "Piorun", st. strz. "Jaskółka" (NN), Tadeusz Martynowski, Władysław Rutkowski "Krzemyk", Wojciech Duda "Koc", Jan Duda "Różycki", Wiktor Koziński, Jan Pastuszka "Paproć", Henryk Szczepański "Maciek", plutonowy "Śmigły" (NN), Adam Walczak "Góra", Eugeniusz Lechniak "Fok", Stanisław Ciepielewski "Świerk", Zdzisław Jankowiak "Żbik", Stanisław Kowalski "Skarga", Jerzy Poniatowski "Leszek", Henryk Lebioda "Korsarz", Mirosław Kowalewski, pchor. Witold Duchnicki "Gintowt", Janusz Duchnicki "Szeniawa", Dębniak, Pluta, Perczyński,

Józef Daszkowski, Adam Gordon "Żbik", Mieczysław Kasprzyk, Waszkiewicz, Dębicki, Leon Markowski, ppor. Mieczysław Robaczekiewicz "Brzozowski", Mieczysław Pietrzak "Pik", Adam Kierzkowski "Cygan", Stanisław Kuntze, Piotr Adamski "Leonidas", Piotr Bołtuć "Borsuk", i inni.

Podczas marszu kompanii do obozu przez gęste zagajniki, wielu żołnierzy się pogubiło. Tak właśnie zdarzyło się Mieczysławowi Pietrzakowi, który pomagał iść choremu pchor. Witoldowi Duchnickiemu, ps. Gintowt oraz wielu innym. Zabłąkani próbowali się kryć w zagłębieniach leśnych lecz nie wszystkim się to udawało. Być może wielu pozostało w obozie licząc na przeżycie w niemieckiej niewoli. Zbliżał się przecież koniec wojny. Fakt faktem wśród partyzantów, którzy dostali się w niemieckie ręce, bardzo duży udział mieli żołnierze kompanii ostrowieckiej.

Z relacji szeregu kolegów wynikało, iż w terenie przez który zdążała kompania ostrowiecka do obozu, napotykało się drobne niemieckie patrole. Zdzisław Jankowiak "Żbik" natknął się na niemieckiego podoficera, któremu zabrał pistolet maszynowy Schmeisser wz. 44 oraz lornetkę. Leżąc w innym miejscu, dostrzegł przemykających się obok dwóch własowców. Przesłał do nich długą serię ze Stena, powiększając niemieckie straty w tej bitwie. W innym znów miejscu natknął się na leżącego żołnierza niemieckiego, który dobrą polszczyzną prosił aby go nie zabijać, gdyż jest Polakiem przymusowo wcielonym do wojska. Nie było widać u niego krwawienia lecz był bardzo blady i słaby. Zabrał mu tylko karabin, który miał ładną, wykonaną z jasnego drewna oprawę.

Także strz. Mieczysław Pietrzak "Pik" z Poznania, prowadząc chorego "Gintowta", natrafił na dwóch niemieckich żołnierzy, do których wypuścił trochę kul ze Stena. Okazało się że był jeszcze trzeci żołnierz, który granatem ranił Pietrzaka w rękę.

Trudny bój stoczyli partyzanci podczas forsowania drogi Piotrowe Pole-Kruki. Na tej drodze najwięcej ich ginęło lub było rannych. Wzdłuż tej drogi Niemcy potworzyli placówki, które ogniem ciężkich karabinów maszynowych lub strzelców wyborowych raziły przebiegających.

Na drodze uderzenia partyzantów znalazł się jadący drogą niemiecki konny wóz amunicyjny. Wóz ten dostarczał zataśmowaną amunicję w skrzynkach, zaopatrując poszczególne placówki.

Jak podaje Dobrosław Kostkowski "Ząb", biorący udział w tym natarciu, żołnierz woźnica ratował się ucieczką pozostawiając swój karabin, który wziął w swoje posiadanie Wiktor Koziński.

Według innych relacji woźnica po przebiegnięciu kilkudziesięciu kroków padł zabity przez dobrze strzelających partyzantów.

Partyzanci przebiegając drogę Piotrowe Pole-Kruki zlikwidowali w natarciu jedną z niemieckich placówek.

Biegnący obok st. strz. Antoniego Kadłuckiego "Tytana" st. sierż. Stanisław Cybuch "Wodnik", instruktor wyszkolenia strzeleckiego a z zawodu policjant, został rozszarpany wybuchem ręcznego granatu. Kadłucki miał więcej szczęścia gdyż niemiecka kula trafiła tylko jego karabin, utracając tzw. bączek i obłupując drewnianą okładzinę lufy. Kadłucki doznał czasowego odrętwienia ręki.

Jan Kryj "Strzelczyk" z plutonu łączności stracił życie w obozie podczas bombardowania z moździerzy. Wielu innych kolegów z tego plutonu zostało rannych podczas przebijania się przez niemieckie linie. Kpr. Roman Kaca "Wróbel" miał przestrzeloną nogę. Również

w nogę został ranny Julian Domański "Wyrwa". Kazimierz Gorzkiewicz "Zawierucha" trafiony został w głowę i nogę. Stanisław Kubrak "Kosz", biegnący obok "Zawieruchy", widział jak niemiecka kula strąciła koledze beret z głowy, a ten jeszcze zdążył go pochwycić. Gdy kolega Kubrak bandażował Gorzkiewiczowi głowę ten okropnie Niemcom wymyślał za to okaleczenie go.

Stanisław Kubrak był świadkiem śmierci młodego kolegi imieniem Karol(NN). Chłopiec nie przeskoczył drogi wraz z innymi i bał się tego zrobić. Pod wpływem zachęcania go przez kolegów, czekających po drugiej stronie drogi, Karol zdecydował się na skok. Przesadził rów i w pewnej chwili, z nieznanych przyczyn, zatrzymał się na środku drogi. Ta krótka chwila zawahania się zdecydowała o tym, że został przecięty serią karabinu maszynowego. Wydaje się jednak, że zatrzymanie się Karola na środku drogi nie było przypadkowe. Musiała go trafić niemiecka kula, być może wystrzelona gdzieś z dalszej odległości. Widać z tego, że chłopiec dobrze czuł niebezpieczeństwo i zbliżającą się śmierć.

Podczas zbliżania się roju biegnących partyzantów do niemieckiej placówki, trafiony został w dolną część brzucha Kazimierz Manowski "Orzeł". Gdy zlikwidowano placówkę, jego brat Zbigniew Manowski "Giermek" kazał żołnierzom swojej drużyny rozładować niemiecki wóz amunicyjny i ułożył na nim brata i jeszcze innego rannego partyzanta. Następnie prowadząc konia za uzdę usiłował jechać wozem pomiędzy drzewami. Z tych powodów drużyna "Giermka" oderwała się od reszty kompanii i podobno nocą skierowała się na Klepacze, gdzie pozostawiła wóz pod opieką "Giermka", udając się w lasy kryneckie. Tam dołączył do niej "Giermek".

Kazimierz Manowski "Orzeł" był beznadziejnie ranny i prawdopodobnie zmarł, chociaż niektórzy twierdzą że dobił się z pistolem, nie mogąc wytrzymać bólów.

Część kompanii ostrowieckiej pod dowództwem "Gorliwego" dotarła do Myszek, a jeszcze inna część poszła na zachód do rejonu Wąchocka. W tej drugiej części znaleźli się: Zenobiusz Kozłowski "Kurzawa"(uzbrojony w pistolet maszynowy zabrany von Szczepańskiemu), Robert Janos "Hoplita", Juliusz Molski "Cień", Dobrosław Kostkowski "Ząb", Jerzy Rebajn"Nóz", Władysław Rutkowski "Krzemyk", Adam Walczak "Góra", Wojciech Duda "Koc", i inni.

Ranni zostali: Stanisław Kowalski "Skarga" w nogę i Stanisław Zebrowski "Żubr" w pachwinę. Śmierć poniósł również Józef Chodorek "Czamy" a Adam Kierzkowski "Cygan" dostał się do niewoli i stracił życie w Gross Rosen.

Pluton łączności, który na przydzielonych stanowiskach obronnych nie został przez Niemców zaatakowany, podczas przebijania się przez drogę Piotrowe Pole - Kruki poniósł dość duże straty. W czasie bombardowania pozycji partyzanckich za pomocą moździerzy, pociski spadały na przedpolu. Jedynie Benon Jasiński "Ben" został lekko zraniony w głowę odłamkiem pocisku eksplodującego w koronie wysokiego drzewa. Na około 20 ludzi uzbrojonych w plutonie łączności, którzy wzięli udział w natarciu, jeden został zabity i trzech rannych. Poza nimi został zabity Kryj i ranny Kaca, przedzierający się inną drogą razem z ogniomistrzem Adamem Radomskim "Olszą". Widać z tego, że straty osobowe nie zupełnie wiążą się z bezpośrednim udziałem w walkach. Przyczyną stosunkowo dużych strat w plutonie łączności podczas przekraczania drogi Piotrowe Pole - Kruki mogło być to, że pluton łączności jako jednostka militarnie słaba poszła na tyłach roju, jaki utworzyło atakujące zgrupowanie. Gdy Niemcy obsługujący karabiny maszynowe spostrzegli przebiegających drogę partyzantów i

otworzyli ogień, pierwsze szeregi partyzanckie już drogę przebiegły. Najbardziej poszkodowani byli ci ostatni.

Wśród innych grup partyzanckich, które się przebijały, były takie w których partyzanci przebiegali w jednej linii. Sposób ten okazał się najlepszy i nie przynosił strat. Zanim dyżurujący przy karabinach maszynowych Niemcy lub własowcy ocknęli się, partyzantów już *nie* było.

Duża grupa żołnierzy pod dowództwem "Gorliwego", idąca w przodzie, nie poniosła strat i po ukryciu się w jakiejś kępie zagajników, pod bokiem dużego ruchu oddziałów niemieckich, po nastaniu ciemności przeszła do rejonu Myszek i tam połączyła się z grupą "Fezuja" i "Fiedlera". Następnie udano się pod wieś Kurzacze gdzie dokonano uporządkowania oddziałów, które liczyły łącznie 116 zdrowych i zdolnych do walki żołnierzy.

Duża część ludzi z ugrupowania, które wyszło z obozu, poszła na zachód pod dowództwem pchor. Rolanda Głowackiego, ps. Redt.

Po dotarciu do Lipia przekazano rannych na meliny, a między nimi por. "Siarkę". W Gadce dokonano selekcji i chętnych, po zdaniu broni, odsyłano do domów. Pchor. "Redt" przyniósł ze sobą dwie torby dokumentów, które teraz wydawano tym którzy odchodzili "do cywila".

W poważne tarapaty wpadł dowódca kompanii ostrowieckiej ppor. Janusz Marczyński "Kwiatkowski", używający fałszywego nazwiska Borkowski. Maszerując na końcu kolumny, dostrzegł na przejściu przez duktę milczący ckm niemiecki. Być może zabrakło mu amunicji lub stało się coś innego. Przyczał się ze swoim sztucerem i przez celownik optyczny usiłował namierzyć kogoś z obsługi, która była częściowo ukryta za pancerną osłoną, jakie miały rosyjskie ckm-y Maxim. W pewnej chwili celowniczy uniósł się do góry i zaczął manipulować coś przy ckm-ie. Ppor. Marczyński wykorzystał okazję i trafił celnie nieostrożnego przeciwnika, który przewrócił się na twarz. Sztucer Hofmanna przydał się w tej bitwie.

Po tym celnym strzale ppor. Marczyński razem z towarzyszącym mu żołnierzem puścili się w pogoń za kompanią. Niestety, kompanii nie dopędzili i zupełnie się zgubili w leśnych gąszczach, jakie były w tej okolicy. Ponieważ zaczęło się ściemniać zaplanowali sobie, że się gdzieś ukryją i rano przy dziennym świetle będą się przekradać dalej. Było już całkiem ciemno gdy zauważyli zwalone drzewo, o dość bujnej koronie. Zaszyli się w jej gałęziach i zasnęli. Nie widzieli w ciemnościach, że bardzo blisko drzewa przebiegała droga. Nad ranem maszerował drogą mały oddział niemiecki z psem. Pies natychmiast poczuł śpiących partyzantów i zrobił alarm. Niemcy z bronią gotową do strzału otoczyli ich i nie było innego wyjścia jak iść do niewoli.

Gdy znaleźli się razem z Niemcami na drodze, robiło się już widno. Oddział niemiecki pomaszerował dalej, prowadząc jeńców. W pewnej chwili dostrzeżono na drzewie, przy drodze, człowieka. Niemcy bez wezwania do zejścia strzelili do niego. Człowiek spadł. Nie był zabity ale ciężko ranny. Wtedy ppor. "Kwiatkowski" zdjął ze siebie brezentowy płaszcz i po położeniu na nim rannego, razem z kolegą ponieśli go dalej. Po dojściu do jakiegoś punktu dowodzenia, przy którym był obecny oficer SS (lub gestapowiec), ten zarysował łopatą wymiary i dając im łopaty kazał kopać według tych wymiarów dół. Gdy dół był gotowy, polecił zdrowym partyzantom wsiaść rannego kolegę z dwóch stron pod ręce i stanąć razem nad krawędzią dołu. Sam z pistoletem w dłoni zaszedł stojących partyzantów od tyłu. Ppor. "Kwiatkowski" liczył już sekundy swego życia, gdy padł strzał ale oddany w głowę rannego. Kazał go następnie wrzucić do dołu i zakopać.

Jeńców oddano teraz pod "opiekę" grupie własowców. Ci kazali z kolei jeńcom położyć się w przydrożnym rowie, twarzą do ziemi i zachowywali się tak jakby mieli zamiar ich zastrzelić. Wcześniej jednak chcieli się nacieszyć pastwieniem się nad bezbronnymi. Skakali po jeńcach, kopali ich butami w różne części ciała, itd.

Na szczęście przejeżdżał samochód z niemieckimi oficerami i to chyba wysokiej rangi. Ppor. "Kwiatkowski" kątem oka dostrzegał obszyte srebrem epolety i czapki.

Oficerowie ci zainteresowali się tym co robią z jeńcami własowcy i bardzo ich zbesztali. Określili ich postępowanie jako tchórzowskie, gdyż zamiast iść jak inni walczyć w lesie, oni się tu wyżywiają na bezbronnych ludziach. Dali rozkaz własowcom aby przekazali jeńców w ręce żołnierzy Wehrmachtu. Tak też się stało. Zachowanie się żołnierzy Wehrmachtu było bez zarzutu.

W północno-wschodnim narożniku obrony walczyli żołnierze "Wrzosa". Nacierali na nich, po zakończeniu ognia moździerzowego, oddziały własowców.

Jak wspomina Marian Kobierski i inni, własowcy wyglądali na poczęstowanych wódką. Szli odważnie, nie kryjąc się zbytnio skakali od drzewa do drzewa. Zachowywali się przy tym dość głośno, jak to zwykle czynią ludzie pijani.

Dowodzący w tym rejonie ppor. Roman Chrzanowski "Korab" oraz pchor. Julian Kosiński "Rafał" z powodu ostrzału moździerzami wycofali linię obrony z wysokiego lasu w zagajnik. Nowe stanowiska okazały się w toku walk niekorzystne. Był to, jak wspomina d-ca jednej z drużyn, kpr. Marian Kobierski "Roger", teren płaski z rzadkim zadrzewieniem, w którym trudno się było kryć. Doszło do walk z bliska. W zaciętej walce ginie strz. Władysław Sałek "Żelazny" oraz Ignacy Głowacz "Ciemny" z Parszowa. Polska linia obrony cofa się. Nadchodzi jednak pomoc i własowcy zmuszeni są do odwrotu. Kpr. Kobierski "Roger" wraca na dawne stanowisko, zastając swego amunicyjnego Salka pokłutego bagnetami. W ciężkiej walce giną plut. Gwarek "Świt", strz. Józef Kurpios "Sokół", zostają ranni: ppor. Roman Chrzanowski "Korab" - zastępca "Wrzosa", pchor. Czesław Woźnicki "Czech" i Zbigniew Łazarczyk "Antoś". Po walce i powrocie do obozu "Antoś" ranny w oba policzki i podobno także pod pachą, wskakuje na jakiś wóz odjeżdżający z obozu z dwoma rannymi i ginie bez śladu. Po bitwie nie znaleziono go wśród zabitych.

Ppor. Andrzej Bielański "Wrzos" poszukuje kogoś z dowództwa aby zorganizować zbiorową akcję przebicia się i gubi się. Podchorąży "Redt" spotkał go w stanie bardzo zagubionego i nie wiedzącego co należy robić. Po trzech dniach ppor. "Wrzos" cały i zdrowy dociera do Gadki, gdzie łączy się ze swoimi oddziałami i podąża z nimi do rejonu wsi Kaczka koło Suchedniowa.

Tymczasem oddziały niemieckie nadal nacierają na pozycje kompanii "Wrzosa". St. strz. Włodzimierz Bielnicki "Konrad", celowniczy karabinu maszynowego, ze swym amunicyjnym Jerzym Łazarczykiem "Bolko", powstrzymują napór niemiecki. To samo robi erkaemista Zenon Stodulski "Zenit" z Wąchocka, trzykrotnie ranny w tej walce. Ranny zostaje dowódca drużyny i erkaemista Tadeusz Przytocki "Fiat". Walczą odważnie: Zygmunt Miernik "Ładny" i jego brat cioteczny Roman Miernik "Zajac", który ginie w walce. Dają przykład młodszym sierżanci Mieczysław Wijas i Aleksander Bogusz. Obok nich Antoni Skonieczny "Wujek" oraz bracia Henryk Dąbrowski "Ziomek" i kpr. Czesław Dąbrowski "Krzysztof". Mści się za śmierć brata kpr. Mieczysław Sałek, ps. Dąbek (który też zginie w tej bitwie). Strzelają do Niemców: kpr. Jan Nowakowski "Wyrwa", strz. Wacław Kozłowski "Pepik", Jan Markiewicz "Młotek",

strz. Adolf Szlęzak "As", strz. "Błady" (NN), Kazimierz Prusiński "Kazimek" - celowniczy karabinu maszynowego, Tadeusz Zuba "Czamy", Ryszard Stańczak, Henryk Gąsewicz "Bryś" - amunicyjny, Stefan Szumielewicz "Świerk", Stefan Wrona, Kazimierz Mianowski "Szczupak", plut. Witold Kotwica "Brzeszczot", strz. Henryk Maksymowicz, Jerzy Maczuga-Bielański "Janosik", Zbigniew Macuga "Żbik", Stefan Kotwica, Zygmunt Głowacz razi Niemców ogniem mszcząc się za śmierć swego brata Ignacego, ps. Ciemny. Pomagają mu: Tadeusz Łazarczyk z Majkowa, Dionizy Czapliński "Dan", "Sahib" (NN), Franciszek Oziomek "Wiemy" - amunicyjny "Zenita", Wacław Kozłowski "Pikuś" Filipowski, Rajmund Zwoliński (zaginął w bitwie), strz. Zadrzewilski, Jan Gładyś "Cygan" (zaginął w bitwie), Stefan Pawlak "Błyskawica", kpr. Józef Luty "Sosna" i wielu innych, nieznanych.

Przewaga wroga zmusiła w końcu żołnierzy "Wrzosa" do ustąpienia.

Około pół kompanii poprowadził do przebicia się przez linie niemieckie podchorąży Julian Kosiński "Rafał". Usiłował uderzyć w kierunku wsi Piotrowe Pole ale tam natrafił na gęsty ogień niemiecki i musiał zawrócić.

Poszukując wyjścia, podchorąży "Rafał" postanowił uderzyć w kierunku zachodnim, przez gościniec ostrowiecki. Omówił najpierw z żołnierzami sytuację i taktykę walki, jaką będą musieli przeprowadzić.

Potem uformował dwie tyraliery jedna za drugą. Do pierwszej przydzielił całą broń maszynową i dał jej zadanie biec jak najszybciej przez gościniec, ostrzeliwując Niemców ogniem ciągłym. Druga tyraliera miała jak najgłośniej krzyczeć "hurra", przechwytywać rannych oraz broń niemiecką, podążając tuż za pierwszą tyralierą. Aby chłopców zdeterminować powiedział im na koniec, że jeśli tym sposobem się nie przebiją, to grozi im niechybna śmierć.

Około godz. 15-ej, po wschodniej stronie działki 10-ej, oddział ruszył do ataku.

Jak burza przemknęli partyzanci przez gościniec, wybijając leżących po drugiej stronie niemieckich żołnierzy. Ogromny krzyk i zięjące ogniem pistolety i karabiny maszynowe zrobiły swoje.

W ciągu paru sekund Niemcy mieli na karku tak dużo przeciwników iż nie mogło być mowy o obronie. Żołnierze "Rafała" strzelali do wszystkiego co jeszcze się rusza, chwytając w pędzie broń i oporządzenie. Zdobyto najnowsze rodzaje' pistoletów maszynowych.

Niestety, w natarciu poległ jeden z kolegów o nieznanym nazwisku.

Gdy partyzanci byli już po drugiej stronie linii niemieckich otwarły do nich niespodziewanie ogień karabiny maszynowe, osłaniające z tyłu tyralierę niemiecką leżącą wzdłuż gościńca.

Były to gniazda broni maszynowej, rozmieszczone około 100 m za linią niemiecką. One to spowodowały straty wśród partyzantów, którzy się rozdzielili w pędzie na dwie grupy, połączone dopiero w Gadce.

Część ludzi z kompanii "Wrzosa" uległa wcześniej rozproszeniu i połączyła się z innymi jednostkami. Tak np. Włodzimierz Bielnicki "Konrad", plutonowy "Sosna" (NN), kpr. Mieczysław Sałek "Dąbek", znaleźli się w plutonie "Gozdawy" i przebijali się przez gościniec w tym samym miejscu ale dopiero w nocy, nad ranem.

Kpr. Mieczysław Sałek "Dąbek" przeżywający śmierć swego brata, w ostatniej chwili zrezygnował z możliwości przebicia się i pozostał po północnej stronie gościńca. Znalezione go po bitwie martwego.

Pozostali żołnierze kompanii "Wrzosa", zepchnięci na lewe skrzydło plutonu ppor. Jana Kamińskiego "Walka", wspólnie z tym plutonem uderzyli w kierunku wschodnim.

Jak wspomina ppor. Kamiński, ogień moździerzy bardzo się dał we znaki żołnierzom plutonu. Pociski rwały się w koronach czterdziestoletniego, sosnowego lasu, zasypując stanowiska polskie odłamkami metalu i drewna. Równocześnie atakowała niemiecka piechota i warunki były nie do zniesienia.

Miedzy żołnierzami "Wrzosa" znajdował się ranny w nogę por. Roman Chrzanowski "Korab", zastępca "Wrzosa", prosząc aby w przypadku pójścia do przodu nie pozostawić go Niemcom.

Ppor. "Wałek", doskonały dowódca, ocenił sytuację jako krytyczną, z której można się uratować tylko przez natychmiastowy atak.

Dał rozkaz uderzenia na całej linii i z okrzykiem "niech żyje Polska" oraz "hurra" ruszono do przodu.

Niemcy słysząc groźne okrzyki i widząc szybko zbliżających się licznych żołnierzy polskich zaczęli uciekać na boki. Ci, którzy chcieli wytrwać na swoich stanowiskach ginęli. Celowniczy, kpr. Zenon Stodulski "Zenit", przebiegając przez linie niemieckie dostrzegł w pewnej chwili jak stojący obok drzewa niemiecki żołnierz strzela prosto w piersi biegnącego obok kolegi. W mgnieniu oka skierował swój rkm w Niemca i krótką serią zwałił go na ziemię. Niestety za późno. W natarciu poległ kpr. Roman Szeptowski "Tygrys" i strz. Bronisław Wojnowski "Śliwka". Por. "Korab", prowadzony przez dwóch przydzielonych przez "Walka" żołnierzy, już po przejściu przez niemieckie linie, otrzymał postrzał w plecy. Dalsza pomoc nie była mu już potrzebna.

Ratuje się jednak dość duży oddział, w którym jest wielu żołnierzy "Wrzosa". Ci prowadzą "Walka" i pozostałych kolegów na zachód, do Lipia a potem Gadki.

Ppor. Jan Kamiński "Wałek" urodził się w 1917 r. w Moskwie. Pochodził z rodziny zesłańca za powstanie w r. 1963. Do Polski powrócił wraz z rodzicami w 1920 r. Kurs Podchorążych ukończył przy 4 pp w Kielcach. Na wojnę w 1939 r. poszedł w ramach 2-go pp leg. z Sandomierza. Podczas walk pod Zamościem dostaje się do niemieckiej niewoli, z której ucieka. Mieszkając z rodziną we wsi Jannopol koło Ożarowa działa w konspiracji jako dowódca plutonu AK, wchodzącego w skład kompanii dowodzonej przez ppor. Witolda Mrowińskiego "Fiedlera". Po wojnie ukończył wyższe studia rolnicze i poświęcił się pracy w tej specjalności. Jego przyjaciel, ppor. Stanisław Dukat "Talar" z Ożarowa był dowódcą 3-go plutonu kompanii "Fiedlera" w Iłżeckim Pułku. Razem z "Wałkiem" chodzili do gimnazjum, a potem na Kurs Podchorążych. -

Tak się zbiegło, że "Talar" zajmujący obok pozycje ze swoim plutonem przyszedł do "Walka" porozmawiać z nim. Gdy doszło do tej krytycznej sytuacji o której pisałem, ppor. "Talar" poszedł do przodu razem z plutonem "Walka".

Swój pluton pozostawił pod dowództwem doskonałego zastępcy, st. sierż. Józefa Orczykowskiego "Fezuja" oraz dowódcy kompanii, ppor. Witolda Mrowińskiego "Fiedlera". Powracanie do niego stało się niecelowe, gdyż mógł go już tam nie zastać. Do plutonu tego dołączyła 1-sza drużyna plutonu "Walka", którą z rozkazu dowódcy kompanii wysłano wcześniej na zachodnią stronę obrony. Dowódcą drużyny był kpr. Eugeniusz Wojciech Krzysztanowski "Zawierucha" a erkaemistą w drużynie był st. strz. Edward Chołuj "Vis". W warunkach gdy Niemcy przełamywali obronę kompanii opatowskiej drużyna wycofywała się północną stroną leżni "C", razem z plutonem ppor. "Sora".

St. strz. "Vis" wspomina, że po zajęciu stanowisk w rejonie skrzyżowania leżni "C" z działką nr 9, ujrzał w pewnej chwili tuż przed sobą cielsko wielkiego czołgu. Huk i wrzawa bitewna nie pozwalały usłyszeć pracy silników. Młode sosenki porastające ten rejon utrudniały widoczność i z czołgu nie zauważono leżących blisko partyzantów.

"Vis" odruchowo nacisnął spust karabinu maszynowego i cały magazynek wypuścił mierząc w gąsienicę. Iskry sypały się od uderzeń kul ale załoga czołgu nawet tego nie zauważyła. Po chwili czołg ruszył oddalając się w kierunku południowym.

Pluton ppor. "Talara", zajmujący pozycje w rejonie skrzyżowania leżni "C" i działki nr 8, obecnie już pod dowództwem "Fezuj" i "Fiedlera", trwał na swoich stanowiskach prawie do wieczora.

Jak wspominał "Fiedler", był rozkaz utrzymać stanowiska do nocy a równocześnie nie dochodziły do niego żadne informacje co dzieje się na innych odcinkach obrony. Odgłosy walki dochodziły z różnych stron, co było dowodem że inne jednostki istnieją i wykonują swoje zadania.

Gdy po południu, od strony północno-wschodniej dochodziły odgłosy walki i okrzyki "hurra", zrozumiano że jakieś jednostki się przebijają.

Pluton podczas południowego bombardowania z moździerzy nic nie ucierpiał, gdyż ogień niemiecki nie trafił w jego pozycje. Nie był także w godzinach popołudniowych atakowany przez piechotę. Gdy 500 m za jego plecami niemiecka piechota przedarła się do obozu, do plutonu dołączyły małe grupki żołnierzy opatowskich, a wśród nich drużyna pchor. Mariana Zubrzyckiego "Czarskiego", która wcześniej powstrzymywała natarcie niemieckie w kierunku obozu.

O godz. około 16³⁰, jak podaje "Fezuj", ppor. "Fiedler" i "Fezuj" doszli do wniosku, że dalsze przebywanie na stanowiskach jest już niecelowe. Wszystkie inne oddziały prawdopodobnie już się przebiły więc nadszedł czas i na nich.

Ppor. "Fiedler" wiedział, że "Fezuj" był gajowym w tym terenie i zna go doskonale, jest dobrze obeznany z rzemiosłem wojskowym, więc najlepiej będzie gdy jemu powierzy dowodzenie plutonem. Tak też zrobił.

St. sierż. Józef Orczykowski "Fezuj", mianowany po bitwie chorążym, jako żołnierz WP odbywał służbę wojskową w 37 pp w Kutnie. W 1936 r. ukończył Szkołę Podoficerską a rok potem Dywizyjną Szkołę dla Instruktorów. W latach 1937-1938 ukończył szkołę do walk dywersyjnych w Bielsku Białej, utworzoną przez Ministerstwo Spraw Wojskowych przy 21 pal. Wszystkie te szkolenia ukończył "Fezuj" z wynikiem bardzo dobrym.

W czasie walk wrześniowych w 1939 r. dostaje się do niewoli sowieckiej w Stryju. Zostaje przewieziony do Charkowa, a w dn. 3. 11. 39 przekazany w niemieckie ręce. Po trzech latach niemieckiej niewoli, w dniu 6. 09. 42, ucieka i przybywa do gajówki Kruki, gdzie pełni obowiązki gajowego.

Poprowadzony przez "Fezuj" pluton ściera się z Niemcami przy przejściu drogi Piotrowe Pole - Kruki.

Jak wspomina Tadeusz Lisowski "Narocz", brat poległego w tej bitwie Mieczysława, biegnący obok niego kolega ze Starachowic, Stanisław Haba "Mączka", wypuszcza w pewnej chwili z rąk karabin, który pada Lisowskiemu na nogę. Ten, nie znając powodów takiego zachowania się kolegi, posyła pod jego adresem kilka nieprzyjemnych słów. Okazało się potem, że niesłusznie, gdyż odłamek niemieckiego granatu obciął "Mączce" część palców u ręki.

Odwracając głowę w kierunku "Mączki" Lisowski dostrzega Niemca strzelającego zza stosu drewna, z pistolem maszynowego. Natychmiast z przykłęku strzela doń z karabinu, zwalając Niemca na ziemię. "Fezuj" także pomaga likwidować Niemców, strzelając ze swego Schmeissera. Widząc, że wśród partyzantów jest jeszcze ranny w nogę pchor. "Fregata" z 3 pp, organizuje pomoc dla rannych i rusza z plutonem dalej, kierując się w stronę skraju lasu.

Podczas forsowania niemieckiej zapory dużo szczęścia miał pchor. Marian Zubrzycki "Czarski". Został trafiony niemiecką kulą ale tylko w obcas.

Trzymając się w odległości około 200 m od skraju lasu "Fezuj" z plutonem podąża na południe, podchodząc pod leżnię "D". Przypuszczał słusznie, że leżnia ta jest przez Niemców obsadzona.

Zatrzymuje wojsko i razem z "Fiedlerem" podczołgują się pod leżnię dla zbadania sytuacji.

Widzą wzdłuż leżni leżących niemieckich żołnierzy i widać stanowiska karabinów maszynowych.

Miejsce wybrane przez "Fezuj" do przełamania linii niemieckich było przez niego dobrane optymalnie. Od strony północnej, czyli od strony partyzantów aż do samej leżni porastały krzaki, zmniejszające Niemcom widoczność do odległości nie większej niż 20 do 30 kroków. Kilkadziesiąt metrów w lewo był skraj lasu i stały już przy nim zabudowania wsi Rybiczyna. Bliska obecność zabudowań mieszkalnych osłabiała czujność Niemców, którzy wyobrażali sobie że partyzanci jeśli będą się przebijać, to będą to robić raczej w głębi lasów. Był już zmierzch, więc mogli przypuszczać, że jest już po walkach i oddziałów partyzanckich o większej sile na tym terenie już nie ma.

Tymczasem po wydaniu żołnierzom instrukcji "Fezuj" z "Fiedlerem" podciągnęli oddział możliwie blisko leżni i na dany znak wszyscy razem z okrzykiem "hurra" ruszyli do przodu, strzelając ile można w kierunku stanowisk niemieckich. Niemcy zaskoczeni zupełnie tym niespodziewanym atakiem z bliskiej odległości nie usiłowali się bronić. Przebywając tu cały dzień wykopywali sobie w ziemi różne doły i dziury, które bardzo im się teraz przydały. Ukryci w nich nawet nie próbowali przeszkadzać partyzantom w ich szybkim biegu na drugą stronę linii. Część partyzantów biegła z granatami w rękach, aby je rzucić na stanowiska niemieckie gdy będą już po ich drugiej stronie.

Chociaż po drugiej stronie leżni "D" rósł las bez podszycia i widoczność w nim sięgała daleko, partyzanci przebiegli ponad 100 metrów, kiedy się odezwały niemieckie karabiny maszynowe, strzelające z bocznych stanowisk. Nie były one w stanie partyzantom zaszkodzić.

Po przebyciu tej ostatniej zapory niemieckiej "Fezuj" skierował się z plutonem w lewo, w lasy hr. Wickenhagen, ciągnące się wzdłuż wsi Rybiczyna. Tam w odległości około 250 metrów od wsi umieścił w gęstwinie jodłowej obu rannych kolegów, obiecując przysłać im pomoc. Po zamaskowaniu rannych "Fezuj" z "Fiedlerem" zawrócili pluton z powrotem pod linie niemieckie. Pozostawiwszy żołnierzy aby sobie odpoczęli, "Fezuj" i "Fiedler" podkradli się pod linię niemiecką od tyłu i po wypatrzeniu stanowisk nieprzyjacielskich celnym ogniem zrobili zamieszanie, likwidując według ich wypowiedzi, kilku nieprzyjaciół.

Chcieli tym sposobem dopomóc innym oddziałom, które jeszcze być może będą się przebijać, zmuszając Niemców do zwracania swej uwagi we wszystkich kierunkach.

Około godz. 19-ej "Fezuj" podciągnął pluton pod wieś Zawady, gdzie partyzanci otrzymali po kubku gorącego mleka i po kawałku chleba. Stąd też wysłano meldunek o miejscu ukrycia rannych, z żądaniem szybkiego udzielenia im pomocy.

O godz. 24-ej pluton dotarł do Myszek, gdzie spotkał się z grupą dowodzoną przez "Gorliwego". Za pośrednictwem gajowego Władysława Młynarczyka "Fezuj" ponownie przekazał do placówek terenowych informacje o rannych i szkic sytuacyjny ich ukrycia. Po przejściu połączonych sił partyzanckich pod wieś Kurzacze, dokonano reorganizacji oddziałów, odsyłając rannych z terenu opatowskiego do domów. Z polecenia "Fiedlera" "Fezuj" nadal prowadził oddział po leśnych zakamarkach. W osadzie Kaplica partyzanci

otrzymali gorącą zupę. Potem udali się do rejonu Klepacz, gdzie "Fezuj" z "Fiedlerem" udali się do mego ojca po pomoc żywnościową. Niestety niewiele mógł im pomóc, gdyż własowcy podczas najazdu zniszczyli wszystko i sam musiał korzystać z pomocy innych. Poradził "Fezujowi" aby na razie ukrył oddział na bagnie Kobyle Błoto i aby w tym celu udał się do gajowego Wł. Kalinowskiego, który mieszka w tym rejonie i pomoże im znaleźć dobre miejsce. Kalinowski rzeczywiście zaprowadził partyzantów na bagno, na którym szczęśliwie przetrwali dzień 3. 10. 44, gdy obok w sąsiednim sektorze leśnym Niemcy dokonywali czesania lasu.

W tym dniu Niemcy, przy użyciu czołgów stojących na duktach, sprawdzali wybrane sektory leśne, ponieważ wywiad im donosił iż w kierunku Ostrowca poszło wiele oddziałów Iłżeckiego Pułku.

Raporty niemieckie świadczą, iż wywiad ich miał tylko jakieś osiągnięcia na tym właśnie kierunku. Na temat oddziałów "Potoka", które udały się na zachód, nie ma w dokumentacji niemieckiej żadnych wzmianek.

Kiedy w dniu 3. 10. 44 ubezpieczenia partyzanckie o godz. 7-ej rano doniosły, że na pobliskiej działce nr 6 ustawiła się tyraliera niemiecka tyłem do partyzantów, odległych tylko kilkadziesiąt kroków, powstała groźba ujawnienia ich obecności. Kpr. Wiesław Karwacki "Karp" z powodu przeziębienia dostał kaszlu, od którego trudno mu było się powstrzymać. Koledzy ułożyli na nim stos różnych płaszców i kocy i przyciskali do ziemi, aby ewentualny kaszel maksymalnie wytłumić. Niewiele było potrzeba aby kolegę Karwackiego udusić.

Na szczęście Niemcy bagiennego sektora nie czesali i wkrótce oddalili się, sprawdzając wyrywkowo różne połacie lasów na całym terenie. Przez Klepacze też przejeżdżał w tym dniu wielki czołg niemiecki. Był to ostatni dzień akcji "Wotan", mającej na celu zniszczenie Iłżeckiego Pułku AK, akcji obejmującej tereny pomiędzy Iłżą, Grabowcem, Borem Kunowskim i Lubienią.

Po nastaniu ciemności oddział udał się ponownie pod gajówkę Władysława Kalinowskiego, który partyzantom przygotował posiłek.

Stąd oddział pomaszerował do rejonu Kruków, pod gajówkę Stanisława Szczecha, w której mieszkała rodzina "Fezuja" oraz odwiedził teren obozu, w którym zabito doprowadzonego ze wsi cielaka i partyzanci Stanisław Kubrak "Kosz" oraz Kazimierz Gorzkiewicz "Zawierucha" ugotowali kolegom zupę. Nie mając doświadczeń kulinarnych zrobili zupę przesoloną, wywołując zapotrzebowanie na wodę do picia. Wielu kolegów po takim jedzeniu zaczęło chorować, powodując dodatkowe kłopoty.

"Fezuj" nawiązał natychmiast kontakt z organizacją terenową i przez łącznika kpr. Stefana Urbańskiego "Rzekę" odnalazł "Potoka", który przebywał z niektórymi oddziałami w lasach małomierzyckich.

Tam też podążył oddział pod dowództwem "Fiedlera", a "Fezuj" pozostał chwilowo z rodziną.

W lasach małomierzyckich partyzanci otrzymali amunicję, żywność i z powrotem poczuli się zdolni do działań.

Podczas pobytu zgrupowania w lasach małomierzyckich zdarzył się przykry incydent. Jeden z podchorążych z grupy "Rogacza" (3 pp), wstrząśnięty śmiercią swego przyjaciela, zachował się opryskliwie w stosunku do jednego z oficerów, który go o coś zapytał. Doszło do ostrej wymiany zdań, w wyniku której zdesperowany podchorąży rzucił między zgromadzonych partyzantów odbezpieczony granat.

Na szczęście granat ten natychmiast chwycił sierż. Zygmunt Woźniakowski "Rogacz", dowódca grupy z 3 pp i odrzucił w bezpieczne miejsce, podając równocześnie wszystkim obecnym komendę "padnij". Granat wybuchł nie czyniąc nikomu krzywdy.

Kompania opatowska, na którą w godzinach popołudniowych poszedł najsilniejszy atak niemiecki, została zmuszona do opuszczenia swych pozycji. Ustępując do tyłu zadawała Niemcom takie straty, że po osiągnięciu leżni "C" dalej nie próbowali się posuwać. Poza leżnię "C" poszła jedynie grupa ekspedycyjna, nacierająca w kierunku obozu wzdłuż drogi tam prowadzącej.

Do leżni "C" natarcie było wspierane bronią pancerną, dalej już poszła sama piechota. Duża część kompanii opatowskiej przybyła do Zgrupowania Potoka w piątek, 29 września wieczorem. W tym czasie przybył także kpt. Piotr Szczepaniak "Paweł", dowódca tej kompanii. Dotychczas dowodził, przybywając etapami kompanią, chorąży Stanisław Różalski "Grażyna" z Ćmielowa. Jednodniowy pobyt w Zgrupowaniu nie pozwolił dowódcy i żołnierzom poznać ani lasów ani środowiska, w którym przyszło im walczyć. Dwa dni wcześniej opuścili swe rodziny i bliskich w różnych wsiach i miasteczkach powiatu opatowskiego. Dowódcy i żołnierze nie zdążyli się bliżej poznać, a tu nagle przyszło im zmierzyć się z maksymalnie silnym przeciwnikiem, uzbrojonym i zaopatrzonym we wszystko, z wieloletnim doświadczeniem bojowym.

Te oddziały kompanii, które znalazły się na osi głównego natarcia Niemców, uległy rozbiciu oraz rozproszeniu. Różne grupy tych żołnierzy przyłączały się potem do napotkanych innych jednostek Zgrupowania. Ppor. Józef Rawluk "Olbromski" pozostał na pobojoisku w stanie nieprzytomnym. Ogluszył go pocisk. Żołnierze niemieccy, którzy na niego wyszli, nie mogli poznać czy jest on żywy czy martwy. Usiłowali to sprawdzić kopiąc go z różnych stron butami. Doszli w końcu do wniosku, że jeśli był żywy to po ich kopniakach na pewno umarł lub umrze. Pozostawili go.

W nocy zaczął padać deszcz i ocucił "Olbromskiego". W stanie obolałym, posiniaczony od kopniaków, "Olbromski" szczęśliwie przedostał się w ciemnościach przez niemieckie stanowiska.

Następny raz potraktowany został podobnie ale już po wojnie, przez pracowników Urzędu Bezpieczeństwa PRL.

Ppor. Jan Młynarczyk "Mieczyk" został w walce ciężko ranny w obie nogi. ' Nie mogąc się wycofać wraz z żołnierzami, miał jeszcze na tyle siły i przytomności, że wciągnął się rękami do jakiejś leśnej kryjówki. Udało mu się przetrwać nawałę bitewną. Minęło jednak kilka dni zanim znaleźli go koledzy, którzy przybyli tu z lasów małomierzyckich pod bezpośrednim dowództwem "Potoka". Przez ten czas ppor. "Mieczyk" odżywał się leśnymi roślinami, a wodę oblizywał z liści. Natychmiast przetransportowano go do partyzanckiego szpitalika w Szkole Rolniczej w Chwałowicach.

Jednym z pierwszych plutonów kompanii opatowskiej, jakie przebiły się przez linie niemieckie i poszły w kierunku Jeleńca a potem Ostrowca i Ożarowa, był pluton ppor. Tadeusza Kwietnia, ps. Dąb, po wojnie także maltretowanego przez UB (siedział w jednej celi razem z por. Marianem Wujkiewiczem "Judymem", b. komendantem podobodu "Dolina").

Inną, dużą grupę żołnierzy opatowskich, poprowadził kpt. "Paweł", maskując się z nią sprytnie na południowy-zachód od leśniczówki Kruki i czekając do nastania ciemności. Potem bez walki przedostał się z nią do rejonu Ostrowca Św.

W czasie moździerzowego bombardowania spadł na "Pawła", oderwany wybuchem pocisku, duży konar dębowy. Uderzenie było tak silne, że po bitwie trzeba było "Pawła" umieścić w ostrowieckim szpitalu.

Kpt. Piotr Szczepaniak urodził się 11 lipca 1907 r. w Petersburgu. Przed wojną był kierownikiem szkoły w Olbięcinie w woj. lubelskim. Zmobilizowany w 1939 r. brał udział w walkach wrześniowych jako dowódca kompanii, będąc w stopniu porucznika. Walkę zakończył w bitwie pod Kockiem, gdzie dostał się do niewoli. Internowany w okolicy Lwowa ucieka i po powrocie do Olbięcina organizuje ZWZ. Grozi mu aresztowanie lecz szczęśliwie wymyka się Niemcom, którzy za to aresztowali jego siostrę Jadwigę. Po tych wydarzeniach "Paweł" przenosi się w okolice Ostrowca Św., gdzie zostaje komendantem podobwodu 300. Tu organizuje szkolenie podchorążych, przejmując rzuty i wykonuje wszystkie powinności związane ze stanowiskiem komendanta podobwodu. Po bitwie pod Piotrowym Polem ukrywa się w Krakowie.

Po wojnie wstępuje do wojska. W 1948 r. będąc na stanowisku dowódcy pułku w Elku, zostaje aresztowany i skazany na 5 lat więzienia za działalność w AK. W 1952 r. zwolniony przedterminowo a w 1961 r. uniewinniony i zrehabilitowany przez Sąd Najwyższy.

Do wojska już nie powrócił a przyjął pracę w budownictwie, na terenie Sandomierza. Zmarł 8. 1. 1979 r. w Sandomierzu, osamotniając bardzo mu w życiu i pracy pomocną żonę Marię.

Według zapisków kpt. "Pawła", wśród jego podkomendnych znajdował się ppor. Leon Targosiński "Jastrząb". W bitwie pod Piotrowym Polem dowodził prawdopodobnie na prawym skrzydle kompanii. Są relacje żołnierzy mówiące o tym, że przebijali się w kierunku Kruków pod dowództwem ppor. "Jastrzębia". Ppor. "Jastrząb" posuwał się ze swoją grupą skokami, strasząc Niemców okrzykiem "hurra", który w wykonaniu masowym czynił wrażenie. Pchor. Zdzisław Huziuk "Smrek" z 3 pp pisze następująco:

..... "Widząc, że zbliżamy się do brzegu lasu odbiliśmy w prawo, w kierunku południowym. Po przejściu kilkudziesięciu metrów spostrzegliśmy trzy grupy partyzantów. Z ich zachowania wynikało, iż są to grupy oddzielnie przebijające się z obławy. Grupą liczącą około 50 partyzantów dowodził oficer w stopniu porucznika. Drugą grupą, o tej samej mniej więcej liczbie partyzantów, dowodził chorąży. Partyzanci z tych grup rozlokowani byli w głębi lasu. Trzecia grupa, licząca około 20 partyzantów, pod dowództwem por. "Jastrzębia", zajmowała stanowiska osłonowe w odległości 40 do 50 metrów od skraju lasu.

Przyłączyliśmy się do tych dwóch grup partyzantów, którzy przygotowywali się do dalszego przebijania się. Dołączyliśmy do nich w ostatniej chwili przed ich wymarszem. Jak się później okazało, byliśmy ostatnią grupą, której udało się na tym odcinku przebić przez niemieckie zapory.

Zbliżając się do tych dwóch grup partyzanckich, przygotowujących się do wymarszu, widziałem por. "Jastrzębia" wskazującego partyzantom grupy osłonowej stanowiska do zajęcia. W tym czasie od strony niemieckiej padały pojedyncze strzały. Spostrzegłem jak partyzant z oddziału "Szarego" (3 pp) - "Kukułka" podbiegając na wskazane stanowisko, został trafiony pojedynczym strzałem w pierś. Zajmujący obok stanowisko partyzant podbiegł do "Kukułki" i dał ręką znak, że nie żyje. W identycznej sytuacji poległ lejtnant Armii Czerwonej (walczący mimo doznanych obrażeń głowy i rany postrzałowej ręki) oraz dalszych dwóch nieznanych partyzantów.

Potwierdza te fakty inna relacja. Jerzy Płowiec "Labor" z Wąchocka, także żołnierz 3 pp AK, ranny w bitwie, dostał się do niewoli razem z sanitariuszkami. Prowadzony przez Niemców do drogi Piotrowe Pole - Kruki a potem tą drogą do skraju lasu, podaje że widział zabitego Mariana Bączkowskiego "Kukułkę". Obok niego leżały dwa ciała Rosjan w niemieckich mundurach.

Zdzisław Huziuk "Smrek" podaje, że przechodząc po bitwie z oddziałem przez ten rejon gdzie przebywał por. "Jastrząb" ze swymi ludźmi, natknęto się na ciała ułożone w dwuszeregu, poległych ponad 20 partyzantów. Polegli pozbawieni byli butów i płaszczy. W tym miejscu kończą się informacje o losach ppor. Leona Targosińskiego "Jastrzębia". Wiadomo jest że nie wyszedł żywy z tej bitwy. Musiał zatem zginąć od kuli snajpera lub podczas forsowania leżni "D".

Wśród żołnierzy opatowskich nie udało mi się znaleźć kogoś, kto mógłby podać coś bliższego o ppor. "Jastrzębiu". Można z tego wyciągnąć wniosek, że był wysiedleńcem, podobnie jak ppor. "Włodek", pchor. "Gozdawa" i wielu innych. Mógł zamieszkiwać w jakimś majątku, bez większych kontaktów z ludnością i nic dziwnego, że potem nie było nikogo kto mógłby coś na jego temat powiedzieć. Figuruje jedynie w ewidencji sporządzonej przez kpt. "Pawła".

Podczas gdy różne ugrupowania przełamywały niemieckie zapory, posuwając się w kierunku Kruków, do obozu dochodziły zbiorowe okrzyki "hurra" i towarzysząca im strzelanina.

Anna Tomasik "Róża", żona por. "Potoka", pozostająca na terenie obozu, podeszła do rannego i znajomego jej Janusza Wierzchowieckiego "Doliwy", pytając go co to może oznaczać.

"Doliwa" odpowiedział, że przypuszczalnie partyzantom kończy się amunicja i walczą na bagnety.

Drużyna sanitarna złożona z lekarza "Wyrwy" i dr-a Kawińskiego "Bojara" a także sanitariuszek: Jadwigi Wolańskiej "Grażyny", Marii Kabały "Aldony", Henryki Sławińskiej-Lipczyńskiej "Iskierki", Marii Niepokoyczyckiej "Emilii Plater", Krystyny Dałek-Wrońskiej "Kaliny" oraz zakonnika z Poznania, Bogdana Sworowskiego "Modraka", znalazła się w trudnej sytuacji.

Poszczególne oddziały przebijały się, wychodząc z okrążenia, natomiast nikt nie pomyślał o rannych i grupie sanitarnej.

W czasie gdy Niemcy strzelając do wszystkiego co uznali za podejrzanego, zbliżali się powoli ale ciągle do obozu, cała grupa sanitarna i ranni pozostali na łasce losu.

W obozie nie było nikogo z dowództwa, kto mógłby zdecydować co zrobić z rannymi i personelem sanitarnym.

Gdy w swojej bezradności sanitariuszka Henryka Sławińska "Iskierka" zapytała młodego oficera, który przebywał obok w dole z Hoffmannem: "panie poruczniku, co ja mam z tymi rannymi zrobić?" - otrzymała wyjątkowo niegrzeczną odpowiedź. Po chwili ów oficer uwiązał do kija chustkę, wziął pod rękę Hofmanna i machając chustką pomaszerował z nim do Niemców. Razem z nimi pomaszerował również kpt. Grzywacz. Dr Eustachy Kawiński "Bojar" podczas walki towarzyszył kompanii opatowskiej, natomiast rannych zostawił pod opieką lekarza "Wyrwy". Gdy kompania opatowska przeżywała kryzys, powstrzymując wszystkimi środkami napór piechoty niemieckiej i czołgów, dr Kawiński zamienił się w żołnierza i z bronią w ręku walczył z Niemcami. Był oficerem WP i walczył już w Kampanii Wrześniowej. W gęstym ogniu niemieckim sam został ranny. Wykorzystując ciemności nocy, dr. Kawiński razem z ppor. Zygmuntem Musialikiem "Garbatym" wyszli na pola wsi Maziarze a potem okrążając Sienno, szli polami aż wrócili w okolice Ćmielowa.

Wychodząc z lasu natrafili na rannego partyzanta, który ranny w rękę stracił dużo krwi i był bardzo słaby. Pomogli mu dojść do jednej ze stodół, gdzie zaszył się w słomie. Był to prawdopodobnie Bogdan Kudas "Bodo" z Ćmielowa, któremu kula niemiecka przebiła

dwukrotnie rękę gdy strzelał z karabinu. Leżał wtedy na stanowisku obok Mariana Bednarskiego, ps. Korsarz. Ranny "Bodo" zmarł. Nieszczęścia idą w parze. Kilka dni potem jego żona idąc ulicą w Ćmielowie została zabita pociskiem artyleryjskim, wystrzelonym przez wojska radzieckie na pobliskim froncie, zostało osierocone dwoje dzieci.

Gdy zgiełk bitewny zbliżał się do obozu, sanitariuszki zaopatrzyły ciężko rannych w wodę oraz jedzenie, a następnie zabierając lekko rannych udały się w las, kierując się w stronę wsi Piotrowe Pole. Z obozu wyruszyła grupa złożona z lekarza "Wyrwy"(NN), pisarza pułkowego kpr. Jerzego Orlińskiego "Boruty", łączniczki Anny Tomasik "Róży", Henryki Sławińskiej "Iskierki", Jadzi Wolańskiej "Grażyny", Marii Kabały "Aldony" oraz rannego Jerzego Płowca, ps. Labor, i wielu innych, lżej rannych. Sanitariuszka Maria Niepokojczycka "Emilia Plater" ukryła się samotnie po północnej stronie obozu, unikając szczęśliwie niewoli. Z rannymi w obozie pozostał zakonnik Bogdan Sworowski "Modrak".

Anna Tomasik "Róża", żona "Potoka", miała pod opieką kasę pułkową oraz dokumenty. Po przejściu około 500 metrów "Róża", "Grażyna", "Aldona" i "Labor", postanowili zatrzymać się i ukryć.

Jerzy Orliński "Boruta" z lekarzem "Wyrwą" oraz "Iskierką" i kilkoma rannymi poszli dalej i wkrótce napotkali kpt. "Pawła" z plutonem żołnierzy, leżących wzdłuż jakiegoś rowu. Wtedy "Iskierka" usłyszała strzały w miejscu gdzie pozostawiła swoje koleżanki. Kpt. "Paweł" ucieszył się ze spotkania ale zaraz spytał rannych dlaczego nie mają broni? Okazało się, że ranni broń ukryli, myśląc że już nie będzie potrzebna. Kpt. "Paweł" zbeształ ich za to. "Iskierka" wyciągnęła wtedy dumnie z kieszeni spodni Smith Wessona, ofiarowanego jej wcześniej przez kpt. "Pawła".

Nie wstyd wam - powiedział "Paweł" - "Iskierka" zachowała się jak żołnierz, a co o was mam powiedzieć?

Gdy się ściemniło "Iskierka" wraz ze swoją grupą i oddziałem "Pawła" pomaszerowała aż pod Ostrowiec, nie napotykając Niemców.

Henryka Sławińska "Iskierka", średniego wzrostu dziewczyna, bardzo ładnej urody, pochodziła z Ćmielowa. Ojca jej Niemcy zamordowali w Oświęcimiu. "Iskierka" powiedziała sobie, że chociaż ojciec nie ma syna który mógłby pomścić jego śmierć, to ona go zastąpi. Zaangażowała się całkowicie w pracy konspiracyjnej i na koniec znalazła się w ogniu bitwy, w której bez lęku udzielała pomocy rannym. W warunkach, w których spotykało się płaczących ze strachu chłopców, ona z uśmiechem wykonywała swoje obowiązki.

Znacznie gorzej potraktował los jej koleżanki, które pozostały aby w ukryciu leśnym przeczekać bitwę.

Kilka minut po odejściu "Iskierki" na "Grażynę", "Aldonę", "Różę" i "Labora" wyszedł niemiecki pluton szturmowy, zdążający lasem w kierunku obozu. "Róża" pierwsza dostrzegła zbliżających się Niemców. Natychmiast zakopała w ściółce torbę z pieniędzmi, a "Labor" ukrył posiadany granat.

Niemcy doskonale uzbrojeni poruszali się w szyku luźnym, strzelając na wszelki wypadek do wszystkiego, co im się wydawało podejrzane. Co trzeci Niemiec miał broń maszynową. Idąc na przełaj dostrzegli z daleka partyzantów i oddali do nich serię z karabinu maszynowego. Jedna z kul trafiła Jadzię Wolańską "Grażynę" z Ćmielowa, inna znów przeszła "Laborowi" po plecach, robiąc mu pręgę.

Gdy Niemcy otoczyli stojące sanitariuszki oraz "Labora", każąc im trzymać ręce do góry, Jadzia Wolańska nie wstała. Widać było, że jest ciężko ranna i umierająca. Jeden z Niemców oddał do niej dodatkową serię z karabinu maszynowego, kończąc jej bohaterskie życie.

Jadzia Wolańska "Grażyna" urodziła się w 1922 r. w Ćmielowie. Krótko przed wojną znalazła się na Zaolziu, gdzie zamieszkując u siostry, chodziła do gimnazjum. Ojca, jako specjalistę od spraw produkcji porcelany, przeniesiono do Katowic, do uruchamianej tam fabryki porcelany.

Po wtargnięciu Niemców na Zaolzie, zmuszona była opuścić ten kraj i powróciła do Ćmielowa. Tu zaangażowała się w pracy konspiracyjnej jako łączniczka. Wykonywała wiele niebezpiecznych zadań. Schwytała przez Niemców zmuszona była do pracy w Nadrenii. W 1944 r. fabryka została poważnie zniszczona przez nalot aliancki i Jadzi udało się otrzymać zgodę na czasowy wyjazd do rodziny w Ćmielowie. Gdy znalazła się wśród swoich, postanowiła nie wracać do Niemiec. Całkowicie poświęciła się pracy konspiracyjnej. Jako sanitariuszka przybyła z Marią Kabałą "Aldoną" do Ilżeckiego Pułku. (Pierwszy opatrunek robiła mi w ilżeckim szpitalu razem z "Aldoną", pod nadzorem dra Chyczewskiego. Potem robiła mi opatrunki w obozie, pod kierunkiem lekarza "Wyrwy". Chyba byłem pierwszym pacjentem, jakiego opatrywały).

Dowódca niemieckiego plutonu, którego żołnierze zabili "Grażynkę", zapytał "Labora" i dziewczyny "wo sind die andere Banditen?" co znaczyło po polsku "gdzie są jeszcze bandyci?" "Labor" wytłumaczył Niemcowi, że bandytów już nie ma. Jedni zostali zabici, inni uciekli, i nie mają tu kogo szukać.

Niemcowi ta odpowiedź odpowiadała i rzeczywiście zrezygnował z dalszego marszu w głąb lasu. Wyszedł z plutonem na leżnię "C" i pomaszerował w stronę Kruków. Przy skrzyżowaniu z działką nr 7 lub 6 stał czołg, na którym posadzono jeńców i jadąc powoli w otoczeniu piechoty, zbliżano się do skraju lasu. Wtedy to "Labor" widział zabitego "Kukulkę", który był jego bliskim kolegą, oraz dwóch zabitych Rosjan w niemieckich mundurach.

Zbliżając się do drogi Maziarze - Borsuki w zapadającym już mroku, dostrzeżono z dala jakąś grupę, wyglądającą na partyzantów. Otworzono do nich ogień. Tamci odpowiedzieli podobnie. Przez kilka minut trwała strzelanina, w której użyto nawet działa czołgowego. Okazało się, że obie grupy były niemieckie. W zapadającym mroku w lesie trudno było odróżnić kto jest kto. Takie pomyłki w tej bitwie zdarzały się wielokrotnie, ponieważ bardzo dużo żołnierzy "Potoka" chodziło w niemieckich mundurach. Zauważono, że wzięci do niewoli partyzanci, ubrani w niemieckie mundury, wywoływali szczególny gniew u Niemców.

Po kilkuminutowej strzelaninie nieporozumienie zostało wyjaśnione i grupa z jeńcami dotarła na skraj lasu. Czołg z "Różą", "Aldoną" i "Laborem" pojechał drogą przez wieś Maziarze, opróżnioną z mieszkańców. Tam obsługa czołgu urządziła polowanie na gęsi. Niemcy zrobili sobie postój, każąc jeńcom oskubać z piór zabite ptactwo. Postój wypadł dość długo, gdyż czołg się popsuł. Po pewnym czasie przyjechał inny czołg i odwiózł jeńców do wsi Koszary. Tam przekazano jeńców jakiejś grupie żołnierzy, zdążającej do wsi Błaziny. Było już zupełnie ciemno. Przodem szedł Niemiec a za nim kolejno "Labor", "Aldona" i "Róża". Dalej była przerwa i potem szło więcej żołnierzy, którzy ze zmęczenia pozostali w tyle.

Przechodząc koło jakichś opłotków "Róża" zauważyła otwartą furtkę. Bez namysłu przemknęła przez nią i za chwilę była wolna.

Zrobiła to tak sprytnie, że nie zauważyli tego ani Niemcy, ani "Labor" z "Aldoną". Gdy po pewnym czasie idący w przodzie Niemiec zapytał gdzie jest druga dziewczyna, "Labor" mu odpowiedział iż idzie na pewno razem z grupą żołnierzy, którzy nie nadążali za nimi.

Podczas badań w Błazinach, które prowadził gestapowiec lub oficer Abwehry, pytano się "Labora" o różne szczegóły dotyczące oddziału, ilu było oficerów, kto dostarczał żywność i skąd, itd.

"Labor" miał na sobie mundur kolejarza. Gdy go zapytano w jaki sposób znalazł się między bandytami, odpowiedział że korzystając z postoju pociągu wyszedł na wieś kupić coś do jedzenia. Tam trafił na bandytów, którzy uprowadzili go ze sobą.

Następnego dnia "Labora" przewieziono do Ostrowca Św. i zajął się nim osobiście pewien major Wehrmachtu, który zauważył że "Labor" jest sobowtórem jego nieżyjącego syna. Miał prawdopodobnie ochotę adoptować go i przez kilka dni "Labor" przebywał na jego kwaterze pod dobrą opieką żołnierzy. Po kilku dniach major nie powrócił, natomiast przybył jakiś podoficer i zabrał go przekazując do Gestapo. Powiedział mu, że major zginął na froncie.

W Gestapo poddany został ponownym badaniom. Wykorzystując pracę porządkowania podwórka, pod nadzorem żołnierza ukraińskiego, udało mu się zbiec przez otaczający płot i ogrody.

W czasie przebywania w Błazinach wśród żołnierzy niemieckich, biorących udział w walkach z Iłżeckim Pułkiem AK, zauważył grupę żołnierzy niemieckich, którzy mieli karabiny z celownikami optycznymi. Świadczyło to, że Niemcy sprowadzili do walki strzelców wyborowych. Oni to spowodowali śmierć "Kukułki" i wielu innych partyzantów.

Sanitariuszkę Marię Kabałę "Aldonę" po przesłuchaniu Niemcy zwolnili. Przesłuchujący ją oficer miał powiedzieć, że oni z dziewczynami nie walczą. Należy przypuszczać, że był to wynik ingerencji Hofmanna. Hofmann przebywając w obozie przez kilka dni poznał wielu partyzantów. O jednych wyrobił sobie dobre mniemanie a o innych złe. Prawdopodobnie o Marysi pamiętał i postarał się ją uratować, podobnie jak to uczynił w stosunku do szeregu innych osób.

Marysia Kabala natychmiast po uwolnieniu udała się do szpitala partyzanckiego w Chwałowicach i opiekowała się rannymi kolegami.

Druga ocalała sanitariuszka "Emilia Plater" ukrywała się przez jakiś czas w domu dyrektora Huty Ostrowiec, a potem powróciła do Starachowic aby natychmiast po wojnie wyjechać na Śląsk. Potem wyjechała do Anglii gdzie przebywał jej mąż, ' oficer WP uwolniony z Oflagu. Zmarła w wieku 48 lat.

Sanitariuszka Krystyna Dąlek-Wrońska, która przybyła do Zgrupowania z oddziałem opatowskim dzień przed bitwą, po opuszczeniu terenu bitwy wraz z żołnierzami opatowskimi, zajmowała się rannymi, których umieszczono w majątku księcia Druckiego-Lubeckiego w Bałtowie. Przebywał pod jej opieką Kazimierz Gorzkiewicz "Zawierucha" z plutonu łączności oraz dwóch innych rannych o nieznanych nazwiskach. Sanitariuszka Krystyna Dąlek "Kalina" podobno pochodziła z Warszawy i po wojnie tam wróciła.

Pewną ilość żołnierzy partyzanckich lekko rannych a także zdrowych, uratował chorąży Stanisław Różalski "Grażyna" z Ćmielowa.

W czasie odpierania ataku niemieckiego w kierunku obozu, "Grażyna" usiłował rzucić butelkę benzyny na czołg. Butelka nie doleciała do celu a "Grażyna" został ranny w głowę. Po zrobieniu mu opatrunku przez dra Kawińskiego "Grażyna" zemdlał. Otrzymał dodatkowo zastrzyk wzmacniający i stanął na nogi. Udał się następnie na teren obozu gdzie zastał sporo żołnierzy z bronią, siedzących bezczynnie. Widok ich zdenerwował "Grażynę", gdyż uznał że są to obiboki i dezerterzy, którzy po

doprowadzeniu rannych, nie powracają na linię walki. Zapytał obecnych czy jest między nimi podoficer. Zgłosił się jakiś kapral, któremu "Grażyna" dał rozkaz zrobienia zbiórki i poprowadzenia rzekomych dezertków na najbliższą linię obrony.

Wśród nich znalazł się żołnierz kompanii ostrowieckiej dla którego zabrakło broni i musiał pozostawać w obozie.

J. Molski uważa dziś, że życie swoje zawdzięcza "Grażynie", którego wtedy nie znał. Pamięta tylko, że był to jakiś człowiek w wojskowym szynelu z obandażowaną głową i że człowiek ten ogromnie ich zbeształ w stylu spotykanym przed wojną w wojsku, a w potoku wypowiedzianych słów takie wyzwiska jak obibok lub dezertter należały do najbardziej grzecznościowych.

Według mego rozpoznania kapral wyznaczony przez "Grażynę" doprowadził tę grupę do stanowisk plutonu łączności, w chwili gdy do niego dołączyła grupa żołnierzy ostrowieckich oraz przyprowadzonych przez pchor. "Redta".

Żołnierze ci ruszali właśnie do przebicia się w kierunku wschodnim. Po przerwaniu się przez niemieckie linie, pewna część żołnierzy w której znajdował się Molski, oderwała się i poszła w kierunku zachodnim, dochodząc do rejonu Wąchocka. Szczegóły wydarzeń, bardzo barwnie i ciekawie opisane przez Molskiego, są zawarte w jego relacji przytoczonej w jednym z następnych rozdziałów.

"Grażyna" po odesłaniu grupy zdolnych do walki partyzantów na linię, wybrał z pomiędzy rannych inną grupę ludzi, którzy zdolni byli do samodzielnego poruszania się. Byli między nimi także zdrowi, którzy połączyli się z grupą, a wśród nich kpr. Roman Skoczylas "Piorun", Zenon Młynarczyk "Waldemar", Zdzisław Jankowiak "Żbik", i inni. Z tym oddziałem liczącym około 30 ludzi, chorąży "Grażyna", wojskowy zawodowy, instruktor od spraw terenoznawstwa w Szkole Podoficerskiej, przedarł się przez trzy linie ostrzeliwane przez Niemców, nie ponosząc strat. Przeskakiwanie leśnych dróg odbywało się w ten sposób, że "Grażyna" ustawiał wszystkich w szeregu kilka metrów przed duką i całość na komendę jednocześnie przebiegała drogę. Czas przeskoku przez drogę był na tyle krótki, że niemiecki żołnierz dozoru pole ostrzału nie był w stanie wykonać swego zadania.

Chorąży "Grażyna" po wyjściu z terenu walk kluczył po lasach przez kilka dni, dokarmiając swych ludzi cukrem, którego kilka kilogramów zabrał w woreczku. Po czterech dniach dotarł do Jeleńca i tam oddział swój rozwiązał. Żołnierze, po zdaniu broni, udali się na meliny parami. Niektórzy z nich rozchorowali się także na dezynterię. Zenon Młynarczyk "Waldemar" z plutonu ppor. "Mieczysław" oraz Zdzisław Jankowiak "Żbik" z kompanii ostrowieckiej, udali się do rejonu wsi Wymysłów i Janik, gdzie pechowo natrafili na Niemców.

Niemcy, chociaż nie byli z jednostek biorących udział w akcji "Wotan", zatrzymali chłopków jako podejrzanych, oddając ich w Ostrowcu w ręce policji. Skończyło się na przesłaniu ich do obozu pracy przymusowej we Wrocławiu, który przeżyli.

Twarda obrona żołnierzy opatowskich w bitwie pod Piotrowym Polem sprawiła to, że Niemcy w dniu 1. X. 44 r. ograniczyli swą akcję do opanowania obozu, nie usiłując zdobywać reszty bronionego obszaru. Były sporadyczne próby niemieckie wchodzenia na ten obszar z innych stron lecz starcie z oddziałem pchor. "Gozdawy" przekonało Niemców, że na tym terenie są jeszcze zorganizowane duże siły, i że należy poczekać do następnego dnia aby je zlikwidować. Dzięki temu uratowało się mnóstwo ludzi, którzy na tym obszarze się schronili i potem nocą przekradali się przez niemieckie linie bez większych problemów. Na noc Niemcy na niektórych odcinkach, szczególnie od

strony pól, pozabierali swoje wojska. Strzelcy wyborowi i karabiny maszynowe, rozmieszczone na placówkach wzdłuż drogi Piotrowe Pole - Kruki w ciemnościach były bezradne i między nimi można było bezpiecznie przechodzić. Podobnie było na leżni "D".

Wielu pogubionych żołnierzy partyzanckich wyszło w nocy z lasu na pola, idąc w kierunku północnym, wschodnim i zachodnim.

Tak np. Marian Bednarski "Korsarz" z Ćmielowa, Henryk Przysiwek i Jan Moniewski, wszyscy z kompanii opatowskiej, wyszli na pola i przedostali się do Grabowca, gdzie ukrył ich ksiądz Kolasa.

Pchor. Stefan Sadaj "Virtus" z kilkoma kolegami, głównie z kompanii opatowskiej, dotarli nocą do Rzeczniowa i tam się ukryli w zabudowaniach gospodarczych.

Zdzisław Mirowski "Polus" z kompanii opatowskiej, leżąc nieprzytomny na poboju ocknął się w nocy, i ranny, w ciężkim stanie, powędrował w kierunku Iłży wychodząc na pola wsi Kotlarka bez napotkania Niemców. Potem dotarł jeszcze do Iłży gdzie dostał się pod opiekę dziewcząt z WSK i lekarza.

Marceli Pronobis "Wrzos" z kompanii opatowskiej wydostał się z lasu od strony północno-wschodniej i dotarł do wsi Podkońce. Zamelinował się u rodziny Milerów, pod opieką Marii Miler, żołnierza WSK. "Wrzos", młody chłopiec, czując się w pełni sił, chciał jak najprędzej powrócić do rodziny w Bodzechowie.

Ze względu na nasycenie okolicy wojskiem niemieckim, własowcami i policją, przebrał się za dziewczynę i razem z zakonnicą z rodziny Milerów, udał się do Grabowca. Niestety przebieranie się za dziewczynę, po to by bezpiecznie przejść między zdziczałymi żołdakami, jakich było mnóstwo wśród własowców, nie było najlepszym pomysłem. Został rozpoznany i dostarczony do Gestapo w Siennie. Rozstrzelano go razem z mieszkańcami wsi Piotrowe Pole. Po wojnie, podczas ekshumacji ciał, jego brat Stanisław Pronobis "Gawron", rozpoznał go niedwuznacznie po metalowych elementach pasa i innych, jakie się zachowały.

Wielu, szczególnie tych najmłodszych partyzantów, odrywało się od swoich jednostek i starało się kryć na własną rękę, myśląc że będzie to najlepszy sposób na przetrwanie tych bardzo groźnych chwil. Ranny Józef Klusek "Gołąb" z plutonu "Sora", ze względu na swój stan fizyczny, zmuszony był się ukryć. Z tej samej kryjówki skorzystało jeszcze dwóch jego kolegów ze Starachowic, między nimi Stanisław Micigulski "Szymek". Jako schowek wybrano sobie stertę gałęzi. Przechodzący obok żołnierz niemiecki oddał w tę kupę chrustu serię z broni maszynowej, raniąc ciężko w brzuch Micigulskiego. Chłopiec jęknął, i za chwilę wszyscy trzej musieli opuścić kryjówkę. Gdy potem dwaj pozostali koledzy nieśli Micigulskiego na jakimś płaszczu, napotkany oficer niemiecki kazał go położyć na ziemi, butem obrócił mu głowę i dobił go z pistolem. Pozostałych wysłano potem do Gross Rosen.

Były też przypadki ukrywania się partyzantów na drzewach. Były to jednak przypadki sporadyczne, gdyż w tej okolicy nie było takich drzew, na których można było się ukryć. Jeden z takich przypadków opisał w swej relacji wzięty do niewoli por. J. Marczyński.

Głośna była sprawa kpr. Jana Fryzla "Sahajdacznego". Po bitwie krążyły wieści, że ukrył się na drzewie, a gdy go Niemcy zauważyli ostrzelał ich skutecznie i kilku zabił. Prawdopodobnie na jej tle ludzie wymyślali opowiadania o ukrywaniu się partyzantów na drzewach albo o ostrzeliwaniu Niemców z drzew.

Prawda była inna. Pchor. Roland Głowacki "Redt" przebywający w czasie bitwy w obozie, zorganizował "obronę przeciwlotniczą".

Zebrał trochę ludzi z bronią i rozmieścił ich w kwadracie, leżących na plecach. Gdy nadlatywał samolot nad obóz, na dany znak wszyscy strzelali w górę, licząc na to że może się uda go w ten sposób trafić. Samolot zwykle leciał tuż nad wierzchołkami drzew i dostrzegalny był dopiero w ostatniej chwili. Wtedy to będący w tej grupie kpr. "Sahajdaczny" zaproponował, że on wejdzie na drzewo i będzie dawał znak że samolot nadlatuje. W tym czasie pchor. "Redt" został wezwany przez dowództwo w jakimś celu i był przy dalszej akcji "grupy przeciwlotniczej" nieobecny. Gdy po pewnym czasie "Redt" przebiegał przez ten rejon, stwierdził że "obrony przeciwlotniczej" już nie ma a na drzewie, oparty na gałęziach, leży zabity "Sahajdaczny". Pchor. "Redt" nie wie czy "Sahajdaczny" został zabity kulą karabinową, czy też odłamkiem pocisku moździerzowego.

Kazimierz Gorzkiewicz "Zawierucha" z plutonu łączności podaje, że gdy dowodzone przez "Potoka" oddziały powróciły z lasów małomierzyckich do obozu, na drzewie zwisały zwłoki pchor. "Niemczyka". Chodziło tu na pewno o "Sahajdacznego", który nosił na sobie niemiecką bluzę i był bardzo odważnym i dobrym kolegą.

Duża ilość żołnierzy Iłżeckiego Pułku, prowadzona przez żołnierzy "Wrzosa", powędrowała z pola bitwy na zachód, do rejonu Wąchocka i dalej aż pod Suchedniów, w okolice wsi Kaczka. Był to rejon poprzedniego działania kompanii i żołnierze jej pochodzili z tych okolic. Były to tereny górzyste, porośnięte lasem, w których tradycyjnie operowały oddziały powstańcze i partyzanckie.

Tu działał Langiewicz, Czachowski, Hubal, Ponury, i wielu innych słynnych dowódców. Wiele jednostek Iłżeckiego Pułku po przejściu przez Lipie, gdzie przekazywano rannych na meliny, zatrzymywało się w leśniczówce Gadka, w której zamieszkiwał i pracował jako leśniczy ppor. Andrzej Bielański "Wrzos".

Porządkowano tu nadchodzące grupy i chętnych, rannych lub chorych odsyłano do domów. Grupę około 30 żołnierzy z kompanii opatowskiej poprowadził z bronią do rejonu Ostrowca, Ćmielowa i Ożarowa pchor. "Redt".

Pchor. "Gozdawa" przeszedł ze swym oddziałem, który już częściowo zdemobilizował, w Góry Świętokrzyskie, omijając Gadkę. Po przekroczeniu rzeki Kamiennej w rejonie Marcinkowa, maszerował dalej wzdłuż rzeczki Żamówki, aż dotarł do rejonu wsi Kaczka. Tam zakwaterowano w jakimś starym obozie partyzanckim, o rozpadających się od starości szalaszach. Zgromadziło się tu więcej żołnierzy Iłżeckiego Pułku, nad którymi przejął dowodzenie ppor. "Wrzos", a jego zastępcami zostali ppor. "Walek" i ppor. "Rafał".

Podczas pobytu w tym rejonie zdarzył się przykry wypadek. Trzej żołnierze wysłani do wsi po zaopatrzenie trafili na oddział własowców. Doszło do wymiany strzałów, podczas której jeden z partyzantów został ciężko ranny. Był to podobno żołnierz "Wrzosa" z okolicy Skarżyska, który służył w partyzantce razem z ojcem.

Koledzy ukryli rannego w leśnym gąszczu i wycofali się do oddziału. Rano ppor. "Walek" wysłał patrol w celu dostarczenia rannego do obozu. W patrolu udział brali kpr. Alfons Bugaj "Delfin" z plutonu "Gozdawy", kpr. Robert Janos "Hoplita" z komp. ostrowieckiej oraz żołnierze, którzy rannego ukryli.

Chłopca odnaleziono z przestrzeloną klatką piersiową. Był żywy i przytomny. Duży upływ krwi i przemarznięcie podczas chłodnej nocy, spowodowały śmierć chłopca po kilku godzinach.

Usiłowałem ustalić nazwisko tego żołnierza, który podobno pochodził ze Skarżyska-Młyny, lecz jak dotąd bezskutecznie.

Rannego w bitwie podchorążego "Gozdawę" też trzeba było, przesłać na leczenie. Znalezione mu melinę w Krzyżanowicach koło Ilży.

Te jednostki Ilżeckiego Pułku, które pozostały we wschodniej części lasów starachowickich pod bezpośrednim dowództwem "Potoka", zostały zdemobilizowane 12-go listopada 1944 r. Te, które przeszły na teren świętokrzyski, zdemobilizowano także w tym czasie. Chłody jakie nastały, trudności aprowizacyjne z powodu wielkiego nasycenia terenu nieprzyjacielem i oznaki świadczące o tym, że na ofensywę radziecką się nie zanoszą, przemawiały za potrzebą takiej decyzji. Podjęli ją na wspólnej naradzie Komendant Obwodu kpt. Piotr Kulawik "Dariusz" oraz dowódca Ilżeckiego Pułku por. Wincenty Tomasik "Potok".

Ppor. Jan Kamiński "Wałek" pozostał nadal w rejonie Skarżyska, prowadząc razem z "Wrzosem" działania partyzanckie aż do nastania pierwszych śniegów.

Warunki zimowe ułatwiały Niemcom ustalanie miejsca pobytu partyzantów i pewnej nocy oddział "Wrzosa" idący z oddziałem "Jędrusiów" wszedł w niemiecką zasadzkę. Uratował ich od zguby przypadek.

Jak opisuje Włodzimierz Bielnicki "Konrad", który maszerował jako przedni szperacz razem z Henrykiem Hermanem, ps. Czarny, gdy wychodzili na jakąś dużą, leśną polanę, pojawił się przed nimi wielki jeleni rogiacz. Okazało się, że czarodziejskie zwierzęta występują nie tylko w baśniach. Ten jeleni uratował życie wielu chłopcom.

Idący ze szperaczami miejscowy przewodnik był kłusownikiem. Na widok tak pięknego jelenia nie wytrzymał aby na niego nie zapolować. Poprosił ppor. "Wrzosa" o zatrzymanie oddziału i pozwolenie na strzał.

Kłusownik jelenia nie trafił ale swym strzałem sprowokował żołnierzy niemieckich do przedwczesnego otwarcia ognia. Leżeli po drugiej stronie polany w tyralierze, zamaskowani białymi okryciami. Gdyby nie jeleni, mało byłoby takich którzy wyszliby z tej zasadzki z życiem. Niemcy mieli dużo broni maszynowej, co dało się zauważyć po otwarciu przez nich ognia. Zginęło dwóch partyzantów z oddziału "Jędrusiów".

W praktyce walk partyzanckich miały miejsce różnorodne zdarzenia, czasem dobre, czasem złe. Było wielu chłopców, którzy lubili się popisywać odwagą i lekceważeniem wroga. Do takich należał między innymi kpr. Tadeusz Przybysławski "Tadek", z kompanii ostrowieckiej, przydzielony do drużyny sapersko-minerskiej, szkolonej przez ppor. Zygmunta Musialika "Garbatego". Tadeusz Przybysławski należał przed wojną do 1-ej Drużyny Harcerskiej im. Mariana Langiewicza w gimnazjum Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jak wszyscy harcerze włączył się podczas wojny do działań konspiracyjnych, w wyniku których uczestniczył w bitwie pod Piotrowym Polem jako żołnierz Ilżeckiego Pułku AK.

Po bitwie i demobilizacji w rejonie Jeleńca powracał bez broni z kolegą Tadeuszem Martynowskim do Ostrowca Św. Szli obaj gościńcem ostrowieckim przez wieś Miłkowska Karczma. Gdy Przybysławski i Martynowski mijali ostatnie domostwo wsi z podwórza wyszedł na drogę żołnierz niemiecki, będący według ich oceny w wieku emerytalnym. Jak wspominał Tadeusz Martynowski, Przybysławski widząc że kilkadziesiąt kroków przed nimi jest las w którym zaraz znikną, zaryzykował i odebrał Niemcowi karabin, zawieszając go na swoim ramieniu. Niemiec biegł za nimi parę kroków prosząc o zwrot broni, ale widząc że nic nie wskóra, zawrócił biegiem do wsi

po pomoc ze strony kolegów kwaterujących, jak się okazało, w następnych domach. Gdy Martynowski i Przybysławski idąc normalnym krokiem znikali pomiędzy drzewami, posypała się do nich z tyłu seria karabinu maszynowego. Tadeusz Przybysławski zginął na miejscu, natomiast Martynowski ranny w rękę zdołał się uratować.

Inną przygodę, tym razem szczęśliwą, miał strz. Jerzy Holewiński "Dąbrowa" ze Starachowic.

Wysłany przez ppor. "Wrzosa" z pewnym zadaniem, wracał do obozu pod Krukami w dniu w którym odbywała się bitwa, nie wiedząc o niej. Lasy znał dobrze, gdyż jako syn dyrektora kopalń starachowickich oraz Zakładów Dolnych w Starachowicach, zabawiał się polowaniem. Szedł sobie swobodnie na przełaj przez okolice Murowanki i potem w kierunku północnym. Były godziny przedpołudniowe, nie było więc słychać odgłosów broni ciężkiej.

Uzbrojony był w pistolet Smith Wesson oraz angielski granat.

Gdy znalazł się w rejonie działki nr 6 i leżni "E" spostrzegł w pewnej chwili niedaleko przed sobą stojącego żandarma i dwóch własowców. Jeden z własowców siedział na koniu. Wszyscy trzej zajęci byli studiowaniem mapy.

"Dąbrowa" odbezpieczył granat, puścił łyżkę, i po odliczeniu czasu rzucił pod nogi stojącym. Rzut okazał się celny i zanim stojący spostrzegli co się stało granat wybuchł. Po dobieciu rannego konia "Dąbrowa" zabrał leżącym bez życia własowcom i żandarmowi parabellum oraz karabiny, wycofując się w stronę Murowanki.

Nigdzie w pobliżu nie było Niemców, gdyż po incydencie nastąpiła cisza i nikogo więcej "Dąbrowa" nie zauważył.

Kończąc omawianie bitwy pod Piotrowym Polem należy jeszcze przedstawić okoliczności wkroczenia Niemców na teren obozu.

Świadcami tego wydarzenia którzy je przeżyli, byli Zbigniew Mazurek "Gniew", Bogdan Sworowski "Modrak" i Józef Łuczak "Ziuk".

Jak wynikało z ich relacji, niemiecka piechota (Wehrmacht) z niesamowitym wrzaskiem zbliżyła się do obozu, podchodząc od strony południowej i zachodniej. Niemcy strzelali i rzucali granatami, chociaż nikt z nimi nie walczył. W obozie przebywali tylko ranni i trochę bezbronnych ludzi. Jeden z Niemców rzucił pod ścianę szałas z rannymi granat. Szałas wykonany z jodłowych i świerkowych gałęzi zawieszonych na konstrukcji zrobionej z drągów, stał tyłem do nadchodzących Niemców. Przedtem służył jako wartownia a w czasie bitwy został zamieniony na pomieszczenie dla ciężko rannych.

Eksplzja granatu nastąpiła bardzo blisko głowy ppor. "Sora", leżącego z powodu postrzału w obojczyk.

Leżący po jego lewej stronie strz. Józef Łuczak "Ziuk" mówił, że odłamki granatu uderzyły "Sora" w górną część głowy i że po wybuchu "Sor" uniósł na chwilę głowę, po czym padł martwy.

"Ziuk" odniósł wrażenie, że głowa "Sora" w tym czasie zmieniała kształt i jak gdyby rosła.

Odłamki tego granatu trafiły także "Ziuka", raniąc go w przedramię prawej ręki przedramię lewej miał już przestrzelone podczas opatrywania kpt. "Bartosza" na polu walki).

W tym czasie Zbigniew Mazurek "Gniew", ranny 28 września pod Marculami, był już trochę podleczoney i nie leżał między rannymi. Znalazł sobie miejsce na małej górcie, pod brzošką, położone po północnej stronie placu apelowego. Miał stąd dobry widok w kierunku nadchodzących Niemców. Kule przez nich posyłane w jego stronę szczęśliwie

go ominęły, raniąc jedynie w stopę. Wkrótce poczuł ostrza niemieckich bagnatów na swoich plecach, co niedwuznacznie uświadamiało go w jakim znalazł się położeniu. Niemcy leżącego obrewidowali i z zainteresowaniem zaczęli oglądać zabrany mu pistolet maszynowy Sten z drewnianą kolbą. Niestety, był bez amunicji.

Przebywający z rannymi w szalasie zakonnik Bogdan Sworowski "Modrak" wystawił na gałęzi biały ręcznik, na znak że się poddaje i żeby Niemcy w tym kierunku przestali strzelać.

Po wkroczeniu do obozu kazano wszystkim położyć się na środku placu apelowego w dwóch rzędach, głowami do siebie i z wyciągniętymi rękami.

Wkrótce przybył do obozu Hofmann, który wydawał żołnierzom jakieś polecenia. Prawdopodobnie wskazywał kogo należy oszczędzić a kogo zastrzelić, gdyż jak podaje "Gniew", spośród leżących wybrano około 6 osób i po odprowadzeniu na bok rozstrzelano.

Z pomiędzy rannych Hofmann wybrał kpt. "Bartosza", "Ziuka", "Borsuka" i jeszcze dwóch o nieznanych nazwiskach, z zaleceniem przewiezienia do szpitala.

W ten sposób "Ziuk", jadąc na stosie poległych Niemców, dojechał wozem konnym do wsi Koszary (lub może Błaziny) i tam został na noc położony w oborze na gnoju razem z dwoma innymi rannymi.

Ciężko ranni, którzy nie byli w stanie podnieść się i położyć na środku placu apelowego, zostali na miejscu zastrzeleni.

W oborze noc przeżył tylko "Ziuk". Rano Niemcy ułożyli go w ciężarówce na stosie zabitych żołnierzy niemieckich i powieźli do Radomia. Wyładowano ich najprawdopodobniej przed kaplicą w parku dawnych koszar 72 pp WP, obok której był i chyba jest do dzisiaj szpital. Koszary 72 pp WP zamienili Niemcy na obóz dla jeńców pochodzenia radzieckiego. Kpt. "Bartosza" zoperowano w szpitalu i umieszczono wraz z dwoma pozostałymi rannymi: "Ziukiem" i "Borsukiem" w obozie, gdzie byli pod opieką Izby Chorych. Okazało się, że podczas operacji kpt. "Bartosza" lekarze nie zauważyli małego odłamka pocisku w ręku rannego, co spowodowało zakażenie. W wyniku takiej opieki kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz", w dniu 14. 10. 1944 r. zmarł.

Został pochowany z udziałem księdza katolickiego na terenie obozu.

Piotr Bołtuć "Borsuk" przeżył wojnę lecz bardzo uszkodzony niemieckim pociskiem ma częściowy paraliż i przebywa w Ośrodku dla Nieuleczalnie Chorych w Ostrowcu Św. Józef Łuczak "Ziuk" także przeżył wojnę, umierając w 1989 r. w Poznaniu. Bardzo wstrząsające i ciekawe wspomnienia "Ziuka" są przytoczone w dalszej treści.

Analizując zebrane materiały na temat bitwy, pojawia się szereg niewyjaśnionych do końca problemów. Jednym z nich jest śmierć sanitariuszki. Według relacji Zbigniewa Mazurka, ps. Gniew, który pozostawał w czasie bitwy na terenie obozu, na jego oczach pocisk moździerzowy trafił tę dziewczynę, roznosząc jej szczątki po gałęziach drzew. Stanisław Kosicki "Bohun" potwierdza przybycie w dn. 29 września wraz z ostatnią grupą kompanii "Pawła" dziewcząt. Jedną z nich była Krystyna Dałek "Kalina" z Bałtowa. Fakt rozrzucenia szczątków ciała na drzewach w rejonie obozu, potwierdzają także ludzie, którzy brali udział w zbieraniu i grzebaniu zabitych. Sprawa ta nie została dotychczas wyjaśniona.

Innym problemem był fakt poruszania się po terenie obozu młodego, umundurowanego oficera, który chodził po obozie i strzelał z pistolem w górę, jak gdyby chciał tym sposobem komuś przekazać informację o miejscu pobytu.

Anna Tomasik "Róża", żona "Potoka", znająca wszystkich oficerów, tej osoby nie знаła. O tym miarowym strzelaniu z pistoletu pisze także Juliusz Molski "Cień" i również zastanawia się nad tym, co to miało znaczyć. Może przyszłość pozwoli rozwikłać te zagadki.

Zastanawia także fakt śmierci na terenie obozu kilku osób lekko rannych. Osoby ciężko ranne zostały przez Niemców dobite. Byli jednak lekko ranni, tacy jak: Janusz Wierzchowiecki "Doliwa", Wacław Chajec "Sum", Józef Skwarek "Jaskółka" i na pewno jeszcze inne, które, zginęły na terenie obozu. Są informacje że "Doliwa" i "Sum" popełnili samobójstwo w czasie gdy Niemcy wkraczali na teren obozu. Brak świadków na tę okoliczność przemawia za tym, że raczej znaleźli się w grupie tych osób które Hofmann wytypował do rozstrzelania. "Doliwa" i "Sum" uczestniczyli w zmuszaniu Szczepańskiego do mówienia po polsku i Hofmann to zapamiętał. Zapamiętał także innych, którzy okazywali mu wzgardę lub ostro go traktowali. Teraz po opanowaniu przez Niemców obozu przyjechał i wydawał swe opinie lub dyspozycje, jak z kim postąpić. Osoby, które były dla niego przychylne, starał się uratować. Nieżyjący już dziś zakonnik Bogdan Sworowski "Modrak" z Poznania, miał jakieś względy u Niemców i mógł swobodnie poruszać się po obozie. Jego to prosił Józef Łuczak "Ziuk" o ratunek przed zastrzeleniem. Pisze o tym "Modrak" w swej relacji, pomijając inne, ważne szczegóły zachowania się Niemców w obozie, o których wspomina żyjący do dziś Zbigniew Mazurek "Gniew".

Jak podaje Henryka Sławińska-Lipczyńska "Iskierka", każda z trzech pracujących na terenie obozu sanitariuszek, miała pod koniec bitwy pod opieką po sześciu ciężko rannych. Wynikało z tego, że było ich osiemnastu. Pięciu rannych zabrano do leczenia, czyli na terenie obozu pozostało jeszcze 13-tu rannych, którzy zostali tam zabici. Dodając do tego dwóch rannych, którzy zostali zabrani do Błazin i tam zmarli leżąc w obozie, liczba rannych uśmierconych przez Niemców na miejscu, wynosi 15 osób. Zbigniew Mazurek ocenia ilość partyzantów wziętych do niewoli na terenie obozu na około 40 osób. Byli wśród nich żołnierze plutonu łączności: st. sierż. Wacław Baran "Bursk", Witold Adamczyk "Jeż", Marian Skrzydelski "Szakał" oraz bracia Józef i Władysław **Zapałowie**, którzy nie mieli broni i zostali do obozu odesłani przez dowódcę. Wszyscy zostali potem wysłani do obozu zagłady w Gross Rosen i w krótkim czasie zgładzeni. W rezultacie na około 30 ludzi plutonu łączności nie biorących w zasadzie bezpośredniego udziału w walkach, aż 7 ludzi straciło życie i cztery było ranne. Jednostka ta poniosła procentowo największe straty i jest to niestety smutny paradoks, świadczący o tym iż w walce niekoniecznie najwięcej ginie tych, którzy się bezpośrednio wystawiają na kule przeciwnika.

Mogą to potwierdzić także inni, którzy uznali że najlepszym sposobem ocalenia życia było pójście do niewoli lub oderwanie się od swych jednostek i ukrywanie się na własną rękę. Było szereg osób, które w ten sposób straciły życie, a wśród nich Stanisław Micigulski "Szymek" i strz. Fijałkowski "Długi".

Tadeusz Fijałkowski razem z Henrykiem Janickim "Hazole" oraz Rajmundem Wiśniewskim i jego synem opuścili Zgrupowanie w nocy przed bitwą, chcąc powrócić do domów. Nie wiedzieli, że Zgrupowanie jest już przez Niemców otoczone. Przerwali się pomiędzy Niemcami ale T. Fijałkowski pozwolił się schwytać i został wysłany do Gross Rosen, skąd już nie powrócił.

Analizując tok wydarzeń związanych z tą bitwą widać wyraźnie, że popełniono tu wiele znaczących błędów, których splot spowodował to że do niej doszło i że przyniosła ona stosunkowo duże straty.

Pierwszym błędem było obsadzenie stanowiska zastępcy dowódcy Zgrupowania oficerem O dużych ambicjach ale bez doświadczenia. Winę za ten błąd musi przyjąć na siebie Komendant Obwodu kpt. Piotr Kulawik "Dariusz". Nie mógł on jednak wcześniej odgadnąć jak się potoczą wydarzenia i sądził, że pod ręką doświadczonego oficera jakim był "Potok", ppor. "Włodek" da sobie radę z problemami jakie mu przypadną w udziale. Taki błąd na miejscu Komendanta Obwodu mógłby popełnić każdy i trudno go o to winić.

Następny błąd popełnił wywiad. Trudno nawet nazywać to błędem i wszystko tu przemawia za tym, że ktoś w wywiadzie współpracował z Niemcami. W czasie gdy niemieckie oddziały maszerowały na pozycje wyjściowe do walki z Iłżeckim Pułkiem, delegacja pracowników wywiadu AK przybywa do Pułku aby uspokoić czujność dowództwa, opowiadając im bajeczki o tym że Niemcy chcą pokojowo załatwić sprawę Hofmanna i Szczepańskiego i *nie* zanoszą na jakąkolwiek akcję zbrojną z ich strony. Sprawa ta jest tak żenująca, że powinno tu być przeprowadzone śledztwo. Myślę, że doszłoby do zbadania tej sprawy, gdyby nie rychłe wkroczenie na te tereny wojsk radzieckich i gonitwa pracowników UB za oficerami AK.

Trzecim błędem był wyjazd por. "Potoka" po broń.

W tym przypadku "Potok" się po prostu przeliczył. Zdawał sobie sprawę z tego że do rozgrywki z Niemcami dojść musi, gdyż nie mógł spełnić ich żądania odnośnie Szczepańskiego. Rozmowy prowadził tylko po to, aby zyskać na czasie, dozbroić ludzi i przerzucić Zgrupowanie w lasy świętokrzyskie. Nie przypuszczał wtedy jak ważną sprawą dla Niemców było uwolnienie Hofmanna i że akcją uwolnienia go zajęły się najwyższe niemieckie władze w Krakowie i Berlinie. Niemcy rzucili na szalę wszystko czym dysponowali, przerzucając z frontu jednostki wojskowe, wykorzystując stacjonarne jednostki policyjne, a przede wszystkim możliwości swego wywiadu i kontrwywiadu. Tych spraw "Potok" nie znał i miał prawo przypuszczać, że minie kilka dni zanim Niemcy się zdecydują na rozstrzygnięcia siłowe.

Kolejnym błędem było niewykonanie polecenia "Potoka" o zmianie miejsca postoju oddziałów. Tu winę ponoszą ppor. "Włodek" i por. "Siarka", którzy pod wpływem sugestii przedstawicieli wywiadu wstrzymali wymarsz przygotowanych do drogi oddziałów, łamiąc wyraźny rozkaz "Potoka". Wprawdzie nowe miejsce postoju przewidziane było w lasach Wickenhagen, tj. nadal na obszarze objętym akcją niemiecką, to na pewno trochę by Niemcom pomieszało szyki i musieliby stracić dodatkowy czas, z korzyścią dla partyzantów.

Następne błędy zostały popełnione już w dniu bitwy.

Najważniejszym z nich była decyzja przyjęcia walki z Niemcami w miejscu postoju Zgrupowania. Wprawdzie odpowiedzialność za tę decyzję bierze na siebie dowódca i w tym przypadku "Włodek", jednak należy pamiętać że decyzję tę podjęli na wspólnej naradzie liczni oficerowie, wśród których byli oficerowie o dużym stażu i doświadczeniu. Pośpiech i niewątpliwie emocja chwili, uniemożliwiła zebranym podjęcie właściwej decyzji. Decyzja przyjęcia walki na miejscu do wieczora byłaby dobra jeszcze kilka miesięcy wcześniej, kiedy w tych okolicach Niemcy mieli do dyspozycji jedynie jednostki żandarmerii. Obecnie, pod boki frontu i wielkich jednostek wojska, taka decyzja była pomyłką.

Błąd ten można było naprawić, montując uderzenie dużymi siłami w linie niemieckie i rezygnując z wozów taborowych. Wydarzenia bitewne udowodniły że przerwanie linii niemieckich nie było trudne i wszystkie oddziały, bez względu na wielkość, przebijały się.

Broni maszynowej, szczególnie pistoletów maszynowych, było w Zgrupowaniu wystarczająco dużo, aby utworzyć silne grupy szturmowe, które otworzyłyby drogi wyjścia dla pozostałych oddziałów. Pomiędzy godz. 9-tą i 12⁴⁵ było dość czasu aby oddziały odpowiednio przeorganizować i przebić się. Nie ulega wątpliwości, że odbyłoby się to przy bardzo niewielkich stratach.

Potem było już za późno. Poległ ppor. "Włodek". Przestało istnieć centralne dowodzenie. Inicjatywa przeszła w ręce dowódców niższych szczebli, którzy poza wyjątkami, dali się poznać jako dowódcy odważni, z inicjatywą, i znający rzemiosło wojskowe.

Zwykli żołnierze Iłżeckiego Pułku dali podczas walk wiele przykładów bohaterstwa i odwagi. Bez wprowadzenia przez Niemców broni pancernej, opancerzonych szturmowych dział samobieżnych i moździerzy, nie byli oni w stanie zepchnąć oddziałów polskich z pozycji przez nich zajmowanych. Nawet po zastosowaniu różnych rodzajów ciężkiej broni, nie zdołali opanować bronionego przez partyzantów terenu. Udało im się tylko dotrzeć do obozu.

Straty jakie poniosła niemiecka piechota zdecydowały o tym, że Niemcy zrezygnowali z dalszego nacierania w głąb zagajników, chociaż w godzinach popołudniowych polskie oddziały opuściły stanowiska obronne i dokonały przebiccia się przez niemieckie linie. Dało to szansę, zagubionym małym grupkom żołnierzy lub nawet pojedynczym żołnierzom, przetrwania nocy podczas której przekradali się pomiędzy placówkami wojsk niemieckich do bezpiecznych obszarów lasu lub pól.

Niemieckie komunikaty dotyczące akcji "Wotan", mającej na celu zniszczenie Iłżeckiego Pułku AK "Potoka" i uwolnienia Hofmanna:

Kreis Starachowice:

29. 9. 1944. *Auf Strasse Lubienia-Oberfoersterei Marcule, 12/58(o 136), 1 km südl. Marcule (Nachtrag z. EM. v. 29. u. 30. 9. 44):*

Staerkere Kraefte der WH. im Walde südl. Ilza, 12/78 (o 136/137), seit 1. 10. 44 7⁰⁰ Uhr eingesetzt. Staerkere Bande eingekesselt. Generaldir. Hoffmann befreit. Verbleib des Kreislandwirts v. Szczepański nicht bekannt. Aktion im Gange.

2. 10. 1944. *Auf Strasse Lubienia-Oberfoersterei Marcule, 12/58 (o 136), 1 km s. Marcule (Nachtrag z EM. v. 29. 9., 30. 9. und 2. 10. 44):*

Bei dem Unternehmen gegen die etwa 500 Mann starke Bande wurden bisher über 100 Feindtote gezaehlt. Beute noch nicht gesichtet.

2. 10. 1944. *40 Mann starke Bande, dabei 3 Verwundete, aus west. Richtung kommend durch Jeleniec - 12/79 (o 137) 1 km ostw. Kurzacze, gezogen. Bewaffnung MP u. Gewehre.*

1. 10 bis 3. 10. 1944. *Bandenunternehmen "Wotan" im Raum Ilza-Grabowiec-Bór Kunowski-Lubienia - 12/75/76/78/79(0 123/124/136/137) abgeschlossen.*

AK-Bande "Potok", Staerke etwa 500 Mann zum groesten Teil aufgetrieben. 130 gezaehlte Feindtote, 83 Gefangene.

Beute: 2 poln. IMG, 20 Gewehre, 1 Panzerbüchse, 10 Handgranaten, 1 Kiste Sprengmittel, Zünder, Zündkabel, verschiedene Munitionsaetze, 3 kompl. amerik. Fundgeraete, 8 Feldfernsprecher, 1 Rolle Kabel, 5 Kaesten Sanitaetsmaterial, 13 Pferde, 3 Saettel, 5 Fuhrwerke, 10 Pferdegeschirre u. eine grosse Anzahl noch nicht erfasster Waffen.

Eigene Verluste: 19. Tote, 16 Verwundete.

Kreis Ostrowiec:

2. 10. 1944. Gut Jeleniec, 12/13(o 150), erschienen etwa 40 Banditen mit mehreren Verwundeten und hielten sich eine halbe Stunde dort auf.

Vermutl. handelt es sich um versprengte Banditen aus dem Unternehmen "Wotan"(s. EM. v. 4. 10. 44).

Niemieckie komunikaty po przetłumaczeniu na język polski:

Powiat Starachowice:

29. 9. 1944. Na szosie Lubienia-nadleśnictwo Marcule, 12/58(o 136), 1 kilometr na południe od Marcul (uzupełnienie do meldunku z dn. 29. i 30. 9. 44):

W dniu 1. 10. 44 o godz 7⁰⁰ uityto większych formacji wojska (Wehrmacht) w lasach na południe od Iłży, 12/78 (o 136/137).

Otoczono bardzo silną bandę. Generalny dyrektor Hoffmann uwolniony. Miejsce pobytu starosty von Szczepańskiego nie znane. Akcja w toku.

2. 10. 1944. Na szosie Lubienia-nadleśnictwo Marcule, 12/58 (o 136) 1 km na południe od Marcul (uzupełnienie do meldunków z dn. 29. 9., 30. 9. i 2. 10. 44):

W czasie akcji przeciwko bandzie liczącej około 500 ludzi zabito ponad 100 nieprzyjaciół. Materialnych zdobyczy jeszcze nie policzono.

2. 10. 1944. Przez Jeleniec - 12/79 (o 137) położony 1 km na wschód od wsi Kurzacze, przechodziła banda Ucząca 40 ludzi, wśród których było 3 rannych. Uzbrojenie: pistolety maszynowe i karabiny.

1. do 3. 10. 1944. Zakończono akcję "Wotan" obejmującą tereny pomiędzy Iłżą Grabowcem-Borem Kunowskim i Lubienią. - 12/75/76/78/79 (o 123/124/136/137).

Banda AK "Potoka", licząca około 500 ludzi, została maksymalnie rozbita. Naliczono 130 zabitych oraz 83 wziętych do niewoli.

Zdobyto:

2 polskie ręczne karabiny maszynowe, 20 karabinów, 1 piata, 10 granatów ręcznych, 1 skrzynię materiałów wybuchowych, zapalniki, lonty, różnorodne magazynki amunicyjne, 3 kompletne amerykańskie radiostacje, 8 polowych aparatów telefonicznych, 1 bęben kablowy, 5 skrzyń materiałów sanitarnych, 13 koni, 3 siodła, 5 wozów, 10 uprzęży dla koni oraz wielką ilość broni jeszcze nie odnalezionnej.

Straty własne: 19 zabitych i 16 rannych.

Powiat Ostrowiec:

2. 10. 1944. W majątku Jeleniec 11/13 (o 150) pojawiła się banda Ucząca około 40 ludzi, zatrzymując się na około pół godziny. Wśród bandytów było duto rannych. Według poufnych informacji panuje przekonanie iż są to bandyci, którzy wydostali się z terenu objętego akcją "Wotan" (patrz meldunek z dn. 4. 10. 1944).

Uwagi do niemieckich komunikatów:

Z rozdzielnika przytoczonych niemieckich komunikatów wynika że przesyłane one były w pierwszym rzędzie do najwyższych władz niemieckich w Krakowie i Berlinie. Nie mogły one być tak redagowane, aby spowodować gniew przywódców hitlerowskiej Rzeszy, z powodu nieudolnie przeprowadzonej akcji przeciwko polskim bandytom. Z tych przyczyn podano fikcyjne dane na temat strat osobowych po obu stronach. Podana liczba 130 zabitych partyzantów jest co najmniej dwa razy zawyżona. W chwili podawania komunikatu Niemcy nie mogli znać liczby zabitych partyzantów, gdyż ciała były rozrzucone na dużym obszarze lasów i dopiero po kilku dniach, gdy z pomocą ludności i Służby Leśnej zostały zebrane można było je policzyć. We wspólnym grobie pochowane zostało 58 osób. 83 osoby wzięte do niewoli może być liczbą prawdziwą, z tym że wśród tych osób tylko około 40 to partyzanci. Reszta to osoby przypadkowe. Nieprawdą jest też znalezienie 3 radiostacji, bo były tylko dwie.

Jako trzecią potraktowano zwykły domowy odbiornik radiowy, który był na terenie obozu.

Własne straty osobowe także zostały zaniżone z zachowaniem odpowiednich proporcji do strat polskich. Dlatego nie uściślano z jakich jednostek pochodzili zabici, co zwykle w innych komunikatach tego rodzaju jest podawane. Do strat niemieckich podanych w komunikacie można z całą pewnością dopisać zera.

Już tylko spośród rannych dostarczonych do wojskowego szpitala w Iłży pochowano na cmentarzu 28 żołnierzy.

Bardzo dziwnie przedstawia się ilość zdobytej broni na tle ilości partyzanckich strat osobowych, podanych przez Niemców.

Wygląda na to że Niemcy prawie wyłącznie zabijali lub brali do niewoli ludzi bezbronnych. Według ich komunikatów zabili lub wzięli do niewoli około 210 partyzantów, a zdobyli tylko 20 karabinów i dwa karabiny maszynowe, o których wiadomo że jeden został porzucony jako bezużyteczny a drugi został trafiony pociskiem czołgowym.

Ta niewielka ilość broni, jaką zdobyli Niemcy, świadczy bardzo dobrze o partyzanckich żołnierzach, którzy jeśli ją mieli to wychodzili z niemieckiego "kotła" zwycięsko. Broń tych, którzy musieli pozostać na polu walki była zabierana lub ukryta.

Komunikatem swoim wystawili Niemcy żołnierzom Iłżeckiego Pułku dobre świadectwo, a nie o to im przecież chodziło.



Fot 181 i 182 pokazują jak wyglądali Niemcy na stanowiskach otaczających Zgrupowanie Ilżeckiego Pułku. Jeden karabin maszynowy MG—34 (jak na zdjęciu) przypadał na 15 żołnierzy Wehrmachtu. Powyższe zdjęcia są pozorowane i wykonane w oddziale „Szarego”.



Fot. 183. Fotografia przedstawia mogiłę w której spoczęły ciała 58 poległych 1 i 2. 10. 1944 r. żołnierzy Iłżeckiego Pułku AK. Widać groby pokryte wieńcami oraz rodziny poległych, przybyłe tu w trzecią rocznicę wydarzeń.

Wysoki las sosnowy (już na dalszym planie wycięty) obecnie nie istnieje. Na jego miejscu wyrósł nowy las otaczający widoczny na zdjęciu płotek oraz postawiony pośrodku krzyż. Tuż obok, od strony gościńca ostrowieckiego, wznosi się obecnie pomnik według projektu inż. Aleksandra Radwana, zbudowany przez kolegów którzy szczęśliwie przeżyli bitwę.

Widoczna po prawej stronie ściana zagajnika była zachodnią linią polskiej obrony.

Ciała poległych zostały w 1967 r. ekshumowane i przeniesione na cmentarz-mauzoleum w Iłży.

Po bitwie

Walki oraz poszukiwania partyzantów przez wojska niemieckie na obszarze wschodnim lasów starachowickich trwały od 1-go do 3-go października 1944 r. Gdy akcja ta została zakończona przystąpiono do zbierania poległych partyzantów oraz zabitych ludzi przypadkowych. Leśniczy z Błazin, Zdzisław Leśniak, ps. Leśny, zastępca Komendanta Wojsk Ochrony Powstania (WSOP) dla obszaru Obwodu, zajął się tą sprawą.

Z pomocą gajowych, robotników leśnych i okolicznych mieszkańców czesano poszczególne sektory leśne i zbierano ciała.

Pogrzebano je we wspólnej mogile przy gościńcu ostrowieckim, obok miejsca w którym postawiono pamiątkowy pomnik.

Leśniczy Zd. Leśniak zaznaczał na mapie gdzie znajdowano poszczególne ciała oraz ich rysopis, dla umożliwienia identyfikacji. Mówił o trudnościach identyfikacji niektórych osób, rozszarpanych całkowicie eksplozją pocisku lub granatu.

Nie wiadomo co stało się z tymi szkicami. Zdzisław Leśniak już nie żyje. Może przekazał je do dowództwa Obwodu a może uległy konfiskacie przez UB.

Ekshumacja przeprowadzona w 1969 r. wykazała, że w mogile zostało złożone 58 ciał. Była ona jednak otwierana w 1945 r. i nie jest pewne czy jakieś ciała nie zostały zabrane przez rodziny.

Wielu odnalezionych w lesie zabitych partyzantów pozbawionych było ubrań. Okazało się że znalazły się takie "hieny", które to robiły. Por. "Potok" odnalazł sprawców kradzieży oraz zrabowane ubrania w pewnym gospodarstwie wsi, dość odległej od miejsca bitwy.

Brak identyfikacji części poległych doprowadził do błędnego umieszczenia na tablicy pomnika szeregu nazwisk lub nieumieszczenia innych. Np. dopiero w grudniu 1990 r. okazało się, że znajdujący się na tablicy poległych Adam Kierkowski "Cygan" nie poległ w bitwie a dostał się do niewoli i stracił życie w Gross Rosen. W czasie zbierania danych do niniejszego opracowania, wykryłem więcej takich nieścisłości.

Po bitwie powstał problem zamelinowania i leczenia kilkudziesięciu rannych lub chorych partyzantów. Po wsiach i miasteczkach kwaterowało dużo niemieckiego wojska. Ludzie, którzy się zdecydowali na przechowywanie w swym domu rannego partyzanta byli bohaterami, narażając siebie i swą rodzinę lub nawet sąsiadów, na śmierć. Przytoczę tu opis jednego z takich dramatycznych przypadków, jaki miał miejsce w Pakosławiu. Jak wspomina ppor. Franciszek Sikorski "Felek", zamieszkiwało tam małżeństwo nauczycieli, państwo Wardasowie, należący do AK.

W okresie gdy wyjechali na urlop, bez ich wiedzy umieszczono w ich mieszkaniu rannego w bitwie pod Cieciorówką podchorążego "Zeka". Przez ścianę z państwem Wardasami mieszkali państwo Boguccy, też nauczyciele, nie należący do żadnej organizacji.

W czasie najazdu na Pakosław oddziałów pacyfikacyjnych, pani Bogucka okazała się nadzwyczaj dzielną i przytomną kobietą.

W zasadzie o rannym nie wiedziała. Mogła się tylko czegoś domyślać gdyż co drugi dzień przyjeżdżał tu dr Chyczewski, no i przez ścianę mogła coś usłyszeć.

Opiekę nad rannym sprawowała Mieczysława Kotlicka z WSK, siostra Wacławy Kotlickiej "Narcyzy", Komendantki WSK.

Gdy spostrzegła niemieckie wojsko uciekła, kryjąc się w ogrodzie.

Wtedy to wystąpiła pani Bogucka, znająca dobrze język niemiecki.

Weszła razem z niemieckim oficerem do pokoju, w którym pchor. "Zek" leżał w łóżku. Na pytanie oficera "kto to jest? ", odpowiedziała że to jej syn chory na zapalenie okostnej.

Podchorąży "Zek" ranny był w twarz i miał obandażowaną całą głowę. "Proszę go zabrać, bo tu będzie kancelaria dowódcy. Gdy przybędzie lekarz to zbada chorego" - rzekł oficer.

Bogucka zabrała rannego do siebie i schowała w łóżku, nakrywając pierzynami i poduszkami.

Swoim bardzo ludzkim i patriotycznym zachowaniem pani Bogucka uratowała od śmierci nie tylko "Zeka" ale cały szereg innych osób a wieś od spalenia.

Szpital Miejski w Iłży, w przeciwieństwie do ostrowieckiego, nie przyjmował do leczenia Polaków. Był całkowicie zajęty przez niemiecki szpital wojskowy. Dyrektor tego szpitala dr Wiktor Chyczewski otrzymał od Niemców do swej dyspozycji tylko swój gabinet, położony w południowej części budynku.

Komendantem i naczelnym lekarzem szpitala polowego był Oberleutnant dr Wagner, zakwaterowany w mieszkaniu prywatnym mego kuzyna Jana Langer, pianisty i kompozytora, prowadzącego w Polskim Radiu znany przedwojennym słuchaczom chór, tzw. Czwórkę Radiową. W czasie wojny podjął się być organistą w Iłży i zamieszkał tu z żoną Mieczysławą, śpiewaczką.

Dr Wagner lubił muzykę i znał się na niej, co spowodowało że zaczął darzyć sympatią mego kuzyna. Gdy ten zapytał go czy możliwe jest aby mnie, jako Polaka, rannego pracownika nadleśnictwa, opatrywano u niego w szpitalu, kazał mi natychmiast przyjść. Sam dr Wagner osobiście i z pomocą kilku sanitariuszy oczyścił mi ogromnie poszarpaną ranę na rękę, usuwając zbędne kawałki ciała i robiąc prawidłowe chirurgiczne opatrunki, zalewane jakimś jasnożółtym płynem (prawdopodobnie rivanolem).

W ciągu kilku dni rana nabrała dobrego wyglądu a ja stałem się troskliwie obsługiwanym pacjentem, do chwili gdy dowiedziałem się o najeździe Niemców na Klepaczę i o tym że jestem poszukiwany przez Gestapo.

Udałem się wtedy do kpt. "Robura", który skierował mnie na dalsze leczenie u dra Chyczewskiego. Dr Chyczewski przedstawił mi wtedy swoje położenie w tym szpitalu, polecając dwóm sanitariuszkom wykąpanie mojej ręki w roztworze kalihypermanganicum i zrobienie mi opatrunku na korytarzu. W trakcie owijania mi ręki bandażem z brunatnego papieru (podobnym do papieru toaletowego), gdyż normalne bandażę zabrało wojsko, zauważył mnie jeden z niemieckich sanitariuszy którzy robili mi dotychczas opatrunki, mówiąc "guten Tag" a następnie przyglądając się zabiegowi.

Zrobiło mi się niesamowicie głupio, bo bez pożegnania i podziękowania za dotychczasową opiekę, przeniosłem się pod opiekę, można powiedzieć partacką, do tego odległą zaledwie o 30 kroków od niemieckiego gabinetu.

Nie mogłem Niemcowi powiedzieć, że poszukuje mnie Gestapo, więc zacząłem się tłumaczyć, że moje władze z nadleśnictwa skierowały mnie do polskich lekarzy i dlatego tu jestem.

Oczywiście od tej chwili noga moja nie stanęła w tym szpitalu. Dalej zajął się mną dr "Wyrwa" w obozie Zgrupowania "Potoka".

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że dziewczyny które mnie opatrywały w ilżeckim szpitalu, opatrują mnie teraz w obozie partyzanckim. Widocznie zostały posłane wtedy do dra Chyczewskiego po środki opatrunkowe lub coś innego. Były to Jadzia Wolańska i Marysia Kabała.

Ranni w bitwie 1-2. X. 44, którzy pochodzili z okolic Ilży, powrócili pod opiekę swych rodzin. Było jednak wielu rannych lub chorych z terenów opatowskich którzy nie mogli powrócić, bo tereny te zostały zajęte przez wojska radzieckie lub stanowiły strefę frontową. Przyszła im z pomocą Wojskowa Służba Kobiet, doskonale zorganizowana na terenie podobowodu "Dolina", jeszcze przez komendanta Antoniego Hedę "Szarego". Komendantką WSK była Wacława Kotlicka "Narcyza", późniejsza żona "Szarego", a zastępcą komendanta WSK była Bogusława Latra "Ewa", z męża Sikorska.

W okresie października 1944 r. "Ewa" została komendantką WSK i do niej należał problem opieki nad rannymi, którzy wyszli z pola bitwy pod Piotrowym Polem. Dziewczęta z WSK zadziały energicznie przygotowując natychmiast miejsca dla rannych i organizując transport.

Wśród bardzo aktywnych dziewcząt, niosących pomoc rannym, były Krystyna Sępioł i Halina Zięba z Ilży. One to przywiozły z lasu hr. Wickenhagen do Szkoły Rolniczej w Chwałowicach, dwóch rannych, ukrytych w lesie przez "Fezuja".

W Szkole Rolniczej był w tym czasie największy ośrodek opieki nad rannymi. Na poddaszu szkoły, w mieszkaniu nauczyciela Franciszka Grzegolca leżeli ranni. W szczytowym momencie w szkole ukrytych było 16-tu rannych. Opiekę nad rannymi sprawowała rodzina Franciszka Grzegolca oraz inne osoby, jak Marysia Kabała "Aldona", którą Niemcy zwolnili w Błazinach, Marianna Zmijewska "Mateńka", wdowa po zamordowanym przez gestapowców leśniczym z Małomierzyc.

Władysław Kulesza, prowadzący w Ilży aptekę, dostarczał bezpłatnie leki dla rannych. Lekarze dojeżdżali rowerami lub dowozili ich Władysław Pastuszka i Kazimierz Nagrodkiewicz z Ilży.

Dokumenty dla rannych partyzantów wyrabiał, wysiedlony z poznańskiego, pracownik magistratu Kitowski.

W leczeniu rannych uczestniczyli trzej ilżeccy lekarze: chirurdzy dr Wiktor Chyczewski i dr Jerzy Pułacz oraz lekarz chorób wewnętrznych Sobota.

9-ciu rannych znalazło miejsce w stodole u Władysława Pastuszki w Ilży i trzech z nich dotrwało tam aż do stycznia 1945 r. Stodoła odległa była od domu mieszkalnego o około 100 metrów. W domu zakwaterowało 4 żołnierzy niemieckich, co bardzo utrudniało komunikowanie się z rannymi. Jeden z Niemców zauważył, że Pastuszka dość często zagląda do stodoły i domyślił się dlaczego. Nazywał się Otto Neuhauser. Powiedział Pastuszcze o swoich spostrzeżeniach ale Pastuszka zaprzeczył, przekonując Niemca iż ma złudzenia. Niemiec jednak od tego dnia przynosił Pastuszcze konserwy, papierosy, i inne rzeczy, najwyraźniej z myślą aby je przekazywać rannym lub ukrywającym się osobom.

Trzech rannych umieszczono u Stanisławy i Ryszarda Szymańskich w Jedlance. Była to rodzina Marii Szymańskiej (obecnie Krzysztanowskiej), której mąż Adam, oficer

POW, był w grupie założycieli SZP-ZWZ w Iłży, aresztowany i stracony przez Niemców w 1940 r. w Brzasku, koło Skarżyska-Kamiennej. Syn Marii Szymańskiej, ps. "Łza", imieniem Janusz, ps. "Mściwy", był żołnierzem Iłżeckiego Pułku i brał udział w walce 28. 9. 44 r. pod Marculami.

Wśród trzech rannych ukrywanych i leczonych w młynie Jedlanka, przebywał pchor. Marian Strzelecki "Danielewicz", ranny w łydękę i pośladek, Zdzisław Mirowski "Polus" z komp. opatowskiej oraz "Wilk"(NN).

Opiekę rannym zapewniały mieszkające tam osoby z rodziny państwa Radzimowskich a w szczególności Halina Wróblewska.

Tu dr Pułacz z Iłży operował rannych, którzy po wyleczeniu opuszczali stopniowo gościnny dom. Zdzisław Mirowski przebywał najdłużej, bo aż do wkroczenia wojsk radzieckich.

Część rannych znalazła opiekę w Krzyżanowicach, przebywając w budynku Urzędu Gminnego, pod nadzorem sióstr Wacławy i Mieczysławy Kotlickich, a także gospodarzy, jak na przykład Stanisława Kielbasy lub Jana Kopani, u którego leczył się ranny pchor. Jerzy Sułocki "Gozdawa".

Jerzy Józefowski "Warta" znalazł schronienie w Krzyżanowicach u księdza Dusińskiego. Julian Domański "Wyrwa", ranny w kolano, leczył się przebywając u rodziny Mariana Kędrzyńskiego w Iłży, pod troskliwą opieką jego siostry.

Stefan Markiewicz "Szatan" i Jerzy Spychalski "Szczupak" z opatowskiego, chorzy na biegunkę, leczyli się w zagrodzie Józefa Cheby we wsi Podkońce.

Jeden z rannych leczył się u gospodarza Chały w Seredzicach. W tej samej wsi przebywali na leczeniu Zygmunt Rogoziński "Zyga" z Szydłowca oraz inni żołnierze grupy "Rogacza"(3pp), którzy nabawili się kurzej ślepoty, ukrywając się przez kilka dni w podziemiach kopalni Sadłowizna lub Władysław.

Kazimierz Tarkowski "Pazur" ze wsi Bidziny operowany był w szpitalu w Skarżysku Kamiennej i przebywał wraz z dwoma kolegami na melinach koło Skarżyska. Do rodzinnej wsi przewiózł go ksiądz Jan Gąsowski ze Starachowic.

Kilku rannych przechowywał u siebie gajowy Józef Giemza w Lipiu. Gajówka Józefa Giemzy znajdowała się blisko strumienia Kotyska oraz leżni "F"(strażowej). Tędy maszerowały oddziały Iłżeckiego Pułku zdążające na zachód. Stąd odbierano rannych, których rozwożono na meliny znajdujące się w rejonie Iłży.

Wśród rannych, którzy znaleźli się w Szkole Rolniczej w Chwałowicach, byli między innymi: ppor. Jan Młynarczyk "Mieczyk", Józef Czjkowski "Zemsta", Stanisław Haba "Mączka", "Judasza"(NN) w wieku około 20 lat, ranny w obie nogi. Tu dr Chyczewski lub dr Pułacz dokonywali zabiegów chirurgicznych lub operacji.

- Duża ilość rannych dotarła do swych rodzinnych stron, lecząc się wśród swoich.

Na terenie Obwodu Opatów była także dobrze zorganizowana Wojskowa Służba Kobiet. Gabriela Ogonowska "Klara "(obecnie Cembrowska), nauczycielka z Jasie, Maria Kabala "Aldona", Jadwiga Wolańska "Grażyna", Krystyna Domagała-Kawińska "Hanka", i wiele innych dziewcząt ukończyło Konspiracyjny Kurs Sanitarny, prowadzony przez dr-a Zabrzęskiego z Śmiłowa. W szkoleniu Służby Sanitarnej AK brali także udział inni lekarze jak np. dr Eustachy Kawiński "Bojar" oraz dr weterynarii Józef Sałapa.

Liczne sanitariuszki, jak Maria Sasak "Szarlotka", Janina Sałata, wyszkolone przez lekarzy, pomagały w leczeniu rannych żołnierzy partyzanckich.

Sanitariuszka Krystyna Dalek-Wrońska "Kalina", pochodząca z Warszawy, która 29 września wraz z grupą żołnierzy opatowskich przybyła do obozu koło

Kruków(pilotowana przez drużynę "Giermka"), po bitwie powróciła na teren opatowski i zajęła się leczeniem trzech rannych, ukrytych w majątku księcia Druckiego-Lubeckiego w Bałtowie.

Kazimierz Wtorkowski"Cichy" ze wsi Brzozowa pod Ożarowem, ranny w prawy bark, z pomocą Bogdana Zarzyckiego z Ćmielowa powrócił do swego rejonu i leczył się w węgierskim szpitalu wojskowym, zakwaterowanym w majątku Kazimierza Witkowskiego.

W szpitalu tym znalazł również zatrudnienie dr Eustachy Kawiński, ukrywający się po bitwie, w rejonie Ćmielowa.

Rannych, rozmieszczonych w Iłży lub okolicy odwiedzał dowódca Iłżeckiego Pułku, por. "Potok" interesując się stanem zdrowia żołnierzy i organizując w razie potrzeby dodatkową pomoc.

Około 10-go października przybyło w lasy starachowickie, do rejonu Kutery-Klepacze, zgrupowanie oddziałów AL pod dowództwem Moczara, ścigane przez Niemców od chwili bitwy pod Gruszką.

Zgrupowanie to, w połączeniu z oddziałami BCh "Ośki", planowało przełamanie frontu na przyczółku pod, Chotczą i przejście na stronę wojsk radzieckich.

Wykorzystując możliwość "Potok" przekazał do AL swojego dzielnego partyzanta^a "Szaszę". "Szasa" po bitwie ukrywał się samotnie ale z bronią w ręku, krążąc w lesie w rejonie obozu koło Kruków. Podczas przebijania się z plutonem "Gozdawy" przez gościniec ostrowiecki, zbyt długo zajmował się Niemcem, którego chwycił za gardło, że w rezultacie oderwał się od oddziału. Rozumował słusznie, że partyzanci powrócą na teren bitwy i tam na nich czekał. Znalaziono go z karabinem i bochenkiem chleba pod pachą.

Teraz w obliczu bliskiej już demobilizacji Pułku, "Potok" uznał że najważniejsze jest aby "Szasa" poszedł, korzystając z okazji, do swoich. Wy tłumaczył mu, że z nim jako z Rosjaninem, będą trudności ukrycia go na melinie a leśnych oddziałów z powodu zimna już nie będzie. "Szasa" zrozumiał sytuację i ze łzami w oczach żegnał dotychczasowych kolegów, do których się przywiązał a oni do niego. Do dziś wszyscy go wspominają z żalem i sentymentem.

Nigdy już nie nawiązał kontaktu z dawnymi kolegami, co może świadczyć że nie żyje. Mógł zginąć podczas akcji przebijania się przez front pod Chotczą, gdyż poległo tam dużo ludzi, lub został źle potraktowany przez NKWD za to że dostał się do niewoli niemieckiej i jeszcze do tego służył w akowskiej partyzantce.

Tak stało się z dwoma radzieckimi żołnierzami, którzy walczyli w oddziale "Wrzosa" i którym "Wrzos" dał na odchodne zaświadczenia że walczyli u niego.

Do Zgrupowania BCh "Ośki", idącego przebić się przez front, dołączyło także kilku innych żołnierzy "Potoka", a między nimi pchor. Lucjan Luzak"Kos" z kompanii opatowskiej.

Po przebiciu się na stronę radziecką, wszyscy partyzanci musieli oddać swoją broń. Pchor. "Kos" ukrył pistolet, z którym żał mu było się rozstać. Po wykryciu tego "przestępstwa" zabrano "Kosa" do kompanii karnej. Jaka to była kompania w rzeczywistości tego nie wiemy. Jest tylko pewne, że pchor. Lucjan Luzak"Kos" nie żyje. Na akowców NKWD miała swoje sposoby.

W kompanii "Fiedlera", jeszcze przed bitwą pod Piotrowym Polem, znajdował się partyzant "Pomsta"(NN). Był on przyjęty do oddziału jeszcze w pierwszych dniach

sierpnia 1944 r. w obozie szkoleniowym koło Klepacz. Zarekomendowali go "Potokowi" partyzanci pochodzący z Sienna, jako chłopca który wraz z matką przybył do tej miejscowości, uchodząc przed wojskami radzieckimi.

Podobno miał już staż partyzancki w jakimś oddziale na Polesiu i przywiózł nawet ze sobą radziecki karabin automatyczny, tzw. samozariadkę. Rekomendujący "Pomstę" chłopcy z Sienna tak o to prosili, że "Potok" dał się złamać i przyjął "Pomstę", poddając go obserwacji. Na początek dano mu zajęcie, polegające na pilnowaniu stada bydła i owiec, które pasły się w lesie wzdłuż strumienia płynącego z Klepacz. Chłopak przebywał samotnie, siedząc pod drzewami i trzymając pomiędzy nogami swoją samozariadkę. Czasami asystował mu Adam Czaja, syn poległego tragicznie gajowego z Klepacz, Kazimierza Czaji, który także wypasał w tym rejonie swoje krowy.

Oczywiście taka obserwacja "Pomsty" nic nie dała i żadna obserwacja kogoś kto jest w leśnym oddziale nie da efektów. Może tylko wzbudzić podejrzenia a to jest jeszcze nie wystarcza.

Prawdopodobnie chłopiec chciał pomścić śmierć swego ojca i być może miał o to żal do Polaków. Mówi w pewnym sensie o tym jego pseudonim.

Na terenach wschodnich działy się różne rzeczy. Fakt współpracy "Pomsty" z Niemcami, przemawia za tym że prawdopodobnie za nią stracił życie jego ojciec.

Po bitwie pod Piotrowym Polem okazało się, że "Pomsta" był niemieckim agentem. Jeszcze krótko po bitwie widziano go pomiędzy partyzantami, wkrótce jednak zniknął po to, aby się ujawnić już w niemieckim mundurze. Przyjaźniąc się z "Sahajdacznym", często z nim chodził na różne wyprawy, czy to do domu w Kotlarce czy też na Piotrowe Pole do ciotki Władysławy Kiepas-Kucharskiej. Nie wiedząc, że "Sahajdaczny" w bitwie poległ, przyjechał w towarzystwie Niemców do jego domu aby go aresztować. Jeździł również po innych wioskach, poszukując swych dotychczasowych kolegów. Władysława Kiepas-Kucharska, która znalazła się wśród aresztowanych ludzi z Piotrowego Pola, mówiła mi że "Pomsta" pomagał gestapowcom w śledztwie i bardzo mieszkańcom wsi zaszkodził.

Po ujawnieniu "Pomsty" jako niemieckiej wtyczki w oddziale, różni partyzanci zaczęli sobie przypominać, że "Pomsta" tu lub ówdzie zachowywał się podejrzanie. Np. kpr. Robert Janos"Hoplita" wspomina, że będąc razem z "Pomstą" na ubezpieczeniu, "Pomsta" wziął do ręki jego Stena i niby to niechcący wystrzelił z niego serię pocisków. Spowodował tym alarm. Tłumaczył się potem że zrobił to nieumyślnie. Zdradził jednak tym sposobem obecność partyzantów.

Po bitwie, gdy wyczerpał swoje możliwości w poszukiwaniu kolegów po okolicznych wioskach, wybrał się na "polowanie" do Ostrowca Świętokrzyskiego. Wiedział, że z tego miasta i okolicy przybyło do oddziału wielu ludzi. Znał ich tylko z wyglądu. Zrobił sobie więc punkt obserwacyjny w sklepie Kosztowniaka, usytuowanym przy schodkach prowadzących koło kościoła, od Alej do Rynku. Schodami tymi przechodzi prawie każdy, kto coś załatwia w Ostrowcu.

Udało mu się upolować Zenobiusza Kozłowskiego "Kurzawę" w dniu 6 stycznia 1945 r. czyli na krótko przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Chwycił go za rękę i wciągnął do sklepiku, przypominając mu skąd się znają. Podczas przeglądania dokumentów "Kurzawy", który stanowczo opierał się podejrzeniom, do sklepiku weszły dwie Niemki. Jedna z nich była żoną kierownika Gestapo. Na jej widok "Pomsta" przyjął postawę zasadniczą oddając honory, a "Kurzawa" przytomnie chwycił swoje dokumenty leżące na ladzie i wyskoczył ze sklepu.

Akurat wtedy wyszło dużo ludzi z kościoła i między nich wpadł "Kurzawa". Pogoń za "Kurzawą" nie udała się "Pomście". "Kurzawa", mieszkaniec Ostrowca, znał wszystkie zakamarki tego miasta i za chwilę "Pomsta" był bezradny. "Kurzawa" klucząc przez płoty i ogrody dotarł szczęśliwie do swego domu.

Inną przygodę z "Pomstą" miał ppor. Wacław Wanat "Gorliwy", d-ca kompanii AK Kunów, który w Iłżeckim Pułku był szefem kompanii ostrowieckiej, a w czasie bitwy 1. X. 44 r. sprawnie poprowadził grupę oddziałów i przebił się z nimi przez linie niemieckie.

Otóż ppor. "Gorliwy" jadąc w listopadzie rowerem przez Sienno, został zatrzymany przez niemiecki patrol i doprowadzony do sprawdzenia w urzędzie Gestapo. Wchodząc na korytarz trafił akurat na "Pomstę", który aż krzyknął z radości, widząc "Gorliwego". "Gorliwy" widząc, że jest rozpoznany, postanowił nie zapierać się że był partyzantem i rozmowy potoczyły się "otwarcie i szczerze". Rozmawiano na temat bitwy, w jaki sposób "Gorliwy" znalazł się wśród partyzantów, itd. "Gorliwy" wymyślał różne odpowiedzi i rozmowy trwały.

Na szczęście dla "Gorliwego" był to już okres kiedy Niemcy zaczęli dostrzegać swoją klęskę i chwycili się "ostatniej deski ratunku", myśląc o utworzeniu polskich oddziałów, które dopomogłyby im zwyciężyć w wojnie, którą rozpętali.

Powiedzieli "Gorliwemu", że jest taka koncepcja i czy nie zechciałby służyć w takich jednostkach.

"Gorliwy" dostrzegł w propozycji szansę ratunku dla siebie i powiedział że się zgadza. Podsunęli mu zaraz jakieś zobowiązanie do podpisu ale odmówił podpisania. Zdziwionym gestapowcom powiedział, że tu jest "Pomsta" który na dobrą sprawę nie wiadomo komu służy i nie chce przy nim tego robić. Zapytali czy robi to po przybyciu do obozu szkoleniowego. Odpowiedział, że tak. Na tym się skończyło.

Przewieziono go do Ostrowca Św. umieszczając wraz zgrupą innych, podobnych "ochotników", w szopie jakiegoś zamkniętego podwórka.

"Ochotników" nie wypadało pilnować i żadnej warty Niemcy przy nich nie postavili, zamykając tylko wyjście.

Za pomocą łomu i narzędzi podanych im z okna przyległej kamienicy, wyłamano zamknięcie, i wszyscy "ochotnicy" zbiegli.

Jeszcze inne przygody miał Czesław Michalec z okolicy Tarłowa, który był żołnierzem drużyny Mariana Zubrzyckiego "Czarskiego" z kompanii opatowskiej. Przybył on spóźniony do Iłżeckiego Pułku i zatrzymał się u Antoniego Dziury w Podkońcach, oczekując na łącznika który go do oddziału doprowadzi. W tym czasie doszło do bitwy a jego Niemcy schwytali jako podejrzanego. Przewieziono go do Gestapo w Starachowicach i po badaniach skierowano do obozu pracy przymusowej koło Królewca, w Prusach Wschodnich.

Gdy podczas zimy front wschodni przesunął się w stronę Gdańska, Niemcy zapowiedzieli żołnierzom AK zgromadzonym w obozie, że albo zechcą zasilić niemiecką armię albo się ich pozbędą w wiadomy sposób.

Chcąc dożyć końca wojny chłopcy wyrazili zgodę i ubrano ich w niemieckie mundury, dając na rękawy opaski z napisem "Polen".

Tak ubrani maszerowali bez broni z niemieckimi jednostkami aż do rejonu Gdańska.

Wykorzystując zamęt jaki powstał wśród Niemców w tym rejonie, pozbyli się mundurów i zbiegli.

Mówiąc o sprawach pobitewnych należy powrócić do sprawy losów mieszkańców wsi Piotrowe Pole.

Jak już wcześniej wspomniano, ludzie uprowadzeni ze wsi przez własowców znaleźli się w Gestapo w Siennie. Gdy już było po bitwie i sprawa wymiany mieszkańców wsi na Hofmanna stała się nieaktualna, Niemcy bez żadnych zahamowań zaczęli ich torturować. Chcieli od aresztowanych uzyskać maksimum informacji i potem ich rozstrzelać.

Jak wspominała Władysława Kiepas-Kucharska, poszła ona do Sienna wraz z innymi kobietami aby zanieść coś do jedzenia aresztowanym i prosić o ich uwolnienie. Władysława Kiepas-Kucharska miała tam męża i brata.

Stojąc pod płotem na ulicy koło budynku Gestapo, z wrażenia zdrętwiała i nie zeszła z drogi idącemu gestapowcowi. Ten, urażony tym brakiem szacunku dla niego, polecił ją wtrącić do celi.

Znalazła się w ciemnym pomieszczeniu piwnicznym, pełnym robactwa. Przebywało tam już kilka innych, nieznanych kobiet.

Co dwa lub trzy dni, przychodził ukraiński żołnierz w służbie Gestapo i zabierał którąś z nich na rozstrzelanie.

Zakładał ofierze na głowę worek a następnie pętlę i wyprowadzał jak krowę na targ. Podczas otwierania drzwi ujrzała swego męża. Patrzył na nią oczami zalanymi krwią płynącą z ran na twarzy, okropnie zmasakrowanej.

Wszystkich badanych ludzi, włącznie z jedyną kobietą z Piotrowego Pola, Władysławą Kiepas-Kucharską, nie tylko bito nahajami ale i przypiekano na gorących blachach, wykorzystując do tego kuchenny piec jaki był w izbie badań.

Szczególnie dużo ucierpiał sołtys Antoni Wrześniewski, którego syn Janek przebywał w partyzantce AL. W tym czasie powrócił wraz ze Zgrupowaniem Moczara, ciężko ranny, ze strzaskaną ręką. Zamiast domu zastał zgliszcza. Zajął się nim i przechowywał przez pierwsze dni, gajowy Władysław Kalinowski, trzymając go w polu, w piwnicy na ziemniaki.

Gdy Niemcy doszli do wniosku, że więcej się od mieszkańców wsi nie dowiedzą, powiązali ofiary drutem i rozstrzelali wieczorem obok targowiska w Siennie. Razem z nimi rozstrzelali żołnierza "Potoka" z kompanii opatowskiej, Marcelego Pronobisa, ps. Wrzos, schwytanego trzy dni po bitwie w przebraniu dziewczyny.

Fakt rozstrzelania "Wrzosa" razem z mieszkańcami wsi Piotrowe Pole, dowodzi tego iż Niemcy czekali na rozstrzygnięcie działań militarnych. Gdy Hofmanna odzyskali, wtedy nie mieli żadnych przeszkód w rozstrzelaniu mieszkańców wsi, co też uczynili.



Fot. 184. Ppor. Wacław Wanat „Gorliwy” zwiedza po wojnie teren obozowiska koło Kruków. Widoczne na drzewach i na kamieniu znaki namalowali Zenobiusz Kozłowski „Kurzawa” i Juliusz Mol-ski „Cień”. Litera D oznacza, że w tym miejscu stał szałas dowództwa.



Fot. 185



Fot. 186



Fot. 187

Fot. 185. przedstawia prof. Franciszka Grzegolca, ps. Robak, który w swoim mieszkaniu w Szkole Rolniczej w Chwałowicach, urządził szpital dla rannych żołnierzy İlzeckiego Pułku AK. Fot. 186. przedstawia Marię Szymańską, ps. Łza, udzielającej dużej pomocy rannym. Fot. 187. Zamordowany przez Niemców w Siennie, gajowy z Piotrowego Pola Edward Młynarczyk.

Jeńcy

Wszystkie schwytane przez Niemców osoby, które przebywały w obozie partyzanckim lub w okolicy objętej działaniami, doprowadzano do Błazin i gromadzono na podwórzu zagrody Władysława Klepacza. Była to pierwsza zagroda od strony lasu, położona po południowej stronie drogi.

Według oceny Zbigniewa Mazurka, ps. Gniew, z obozu zabrali Niemcy około 40 ludzi. Innych schwytanych w następnym dniu, doprowadzano sukcesywnie, gromadząc w sumie około 80. (Wg niemieckiego komunikatu 83).

W budynku mieszkalnym urzędowali pracownicy Sipo (Gestapo), przesłuchując kolejno schwytanych ludzi. Zatrzymanych umieszczono w oborze. Osoby które bezspornie uznane zostały za partyzantów, umieszczano w małej komórce. Leżeli tam powiązani i ułożeni jedni na drugich.

Część z nich została przewieziona do Ostrowca Św. w dniu 2. 10. 44 a część w dniu następnym.

Por. Marczyńskiego "Kwiatkowskiego" musiał ktoś wskazać, że jest oficerem gdyż oddzielono go od reszty pojmanych i przesłano do Gestapo w Starachowicach. Szef Gestapo Becker z miejsca przystąpił do osobistych badań, zadając porucznikowi ciosy w brzuch i bijąc po twarzy. Lufą pistoletu rozkrwawił mu nos.

Po badaniach w Starachowicach por. Marczyński został przesłany do dalszych badań w Gestapo w Ostrowcu Św. Tu por. Marczyński nadal nie przyznawał się, że jest oficerem i starał się przekonać Niemców iż jest osobą wysiedloną, która w Ostrowcu nigdy nie była i nie zna tej miejscowości. Bał się, że jeśli zostanie rozpoznany, to Niemcy zamordują mu rodziców mieszkających w Ostrowcu. Podał im iż jest z Warszawy i miał pseudonim "Kaktus", co zresztą umieścili w swoim komunikacie, którego tłumaczenie na język polski znajduje się w rozdziale 5-tym niniejszego opracowania.

Pozostali jeńcy umieszczeni zostali w nieczynnej Fabryce WYROBÓW Cukierniczych "AMOR", przy ul. Polnej. Był tam obóz dla jeńców pochodzenia radzieckiego.

Komendantka Wojskowej Służby Kobiet dla Obwodu Opatów, inż. Helena Kwiatkowska "Joasia", pracująca równocześnie w RGO (Rada Główna Opiekuńcza), zorganizowała dla jeńców pomoc żywnościową (chleb i marmoladę).

Z pomiędzy jeńców zabrano do przesłuchań w ostrowieckim Gestapo także ppor. Bogdana Barskiego, ps. Kryński, natomiast pozostałych żołnierzy AK ubrano w kurtki radzieckie z wielkimi napisami na plecach SU (Sowiet Union) i popędzono ulicami na dworzec kolejowy. Tu załadowano ich do wagonów towarowych i przewieziono do Częstochowy, również do obozu jeńców pochodzenia radzieckiego.

Pośpiech z jakim Niemcy wyekspediowali wziętych do niewoli żołnierzy "Potoka" świadczył o tym, iż liczyli się oni z próbą ich odbicia przez oddziały "Potoka" i ostrowiecką organizację AK.

Świadczyło o tym także przebranie partyzantów w stroje radzieckie aby zdezorientować przechodniów na ulicach.

Podczas jazdy kolejną część jeńców chciała zorganizować ucieczkę, wyrывая w podłodze wagonu deskę. Znaleźli się jednak źli doradcy, którzy uważali że w przypadku ucieczki pozostaną ranni, którzy nie będą w stanie uciekać i na nich odbije się złość niemiecka.

Uważano, że do końca wojny jest już tak blisko iż nawet w najgorszych warunkach każdy z kolegów ma pewność przeżycia.

Jak się okazało, było to całkiem błędne mniemanie, oparte na nieznajomości Niemców, którzy do ostatniej godziny wojny skrupulatnie wykonywali powierzone im obowiązki mordowania ludzi.

Do Częstochowy transport przybył już 5-go października 1944 r. Był tu obóz przejściowy dla żołnierzy radzieckich, którzy dostali się do niemieckiej niewoli. Tu, po raz pierwszy od trzech dni, otrzymali jeńcy zupę z suszonej brukwi i zgniłych liści kapusty. Od czasu pobytu w Ostrowcu Św. nic jeszcze nie jedli.

W obozie tym jeńcy przebywali do 16-go października 1944 r.

Warunki pobytu były tu względnie dobre. Można było wysłać list do rodziny i otrzymać paczki żywnościowe lecz przydział żywności dawany jeńcom był za mały.

Jak podał w liście do matki Leon Markowski z Denkowa pod Ostrowcem Św., jeńcy otrzymywali 1 kg chleba dziennie na cztery osoby, który razem z kawą stanowił obiad, natomiast rano i wieczorem jeńcy otrzymywali po litrze zupy.

Obóz był niesamowicie zapluskwiony, co stanowiło dodatkową uciążliwość dla przebywających w nim jeńców.

Pobyt jeńców w tym obozie okazał się krótki. Znow wszystkich załadowano do wagonów i 19-go października transport dotarł do Lamsdorf (obecnie Łambinowice), miejscowości położonej 20 km na północny-wschód od Nysy.

Znajdował się tu obóz jeniecki dla żołnierzy różnych narodowości. Część partyzantów "Potoka" umieszczono w ziemiankach, krytych słomą i ziemią, a część w murowanym budynku, oznaczonym symbolem Z. V. (Zuchthaus Nr. V. - po polsku: "Budynek więzienny nr V").

Podłoga w tym baraku znajdowała się około pół metra niżej, aniżeli poziom ziemi na zewnątrz budynku. Powierzchnia jej pokryta była wodą, sięgającą - jak pisze Mieczysław Pietrzak - do kostek. Pod ścianami stały piętrowe prycze z małymi siennikami, napełnionymi nie słomą a drzewnymi wiórami. Do nakrycia służyły półkoce. Cały barak ogrzewany był jednym małym, żelaznym piecykiem. W kącie stał kubeł do załatwiania czynności fizjologicznych.

Budynek otoczony był podwójnym płotem z kolczastych drutów i nazywany był "barakiem śmierci".

Dojedzenia dawano jeńcom w tym baraku 1 kg chleba na sześciu ludzi dziennie, łyżkę czerpakową zupy (m. in. z nieoczyszczonego prosa) oraz herbatę z zielska. Dawano też pół kilograma margaryny na dwudziestu ludzi.

Barak był wielki, obliczony na około 300 ludzi, zajęty tylko przez grupkę partyzantów "Potoka" nie był w stanie się ogrzać.

Szczególnie marzli ranni partyzanci, którzy nie mogli się sprawnie poruszać. Zdrowi mogli się rozgrzać przy łupaniu drewna do piecyka, którą to czynność trzeba było wykonywać bez pomocy narzędzi.

Jak wspomina Zbigniew Mazurek "Gniew", ranny w boju pod Marculami, opieka lekarska nie była dobra ale była. Chodziliśmy na opatrunki do lazaretu gdzie poza opatrunkiem otrzymywaliśmy bandaże papierowe, którymi wypalaliśmy pluskwy. Niewiele to pomagało w ich zwalczaniu ale było pewnego rodzaju rozrywką.

Poza grą w "salonowca" bawiliśmy się robieniem z papieru dystynkcji i mocowaniem ich na czapkach oraz naramiennikach, awansując się wzajemnie o jeden stopień wyżej. Dobrą rozrywką było dzielenie chleba i margaryny. Codziennie wyznaczano inną komisję, która za pomocą wagi zrobionej z patyka i sznurka dzieliła przydziały.

Dużo śpiewaliśmy, w czym prym wiedli Rosjanie. Nie było żadnych ograniczeń w doborze pieśni patriotycznych lub religijnych, poza Rotą i Hymnem Państwowym.

Podczas apeli rano i wieczorem śpiewaliśmy modlitwy: "Kiedy ranne wstają zorze..., Wszystkie nasze dzienne sprawy.... Modlitwę partyzancką..., Modlitwę harcerek", itp. Dotychczas przesłuchiowano nas tylko w Błazinach. Obecnie zaczęło się wielokrotne wzywanie nas na przesłuchania do domku, zajętego na ten cel przez gestapowców.

Pewnego razu gdy stałem przed domkiem czekając na przesłuchanie, wartownik niemiecki przemówił do mnie po polsku. Po chwili podał mi kartę pocztową aby napisać do rodziny i obiecał ją wysłać.

Byłem tym zaskoczony i podejrzewałem podstęp. Rozbroił mnie za chwilę dając mi swoje śniadanie (kromkę chleba ze słoniną).

Kartkę napisałem. Doszła do Krakowa informując po raz pierwszy rodzinę o moich losach. Dotychczas wszyscy w rodzinie byli przekonani, że straciłem życie w bitwie pod Piotrowym Polem i odprawiono za mnie już kilka mszy świętych.

W połowie grudnia załadowano nas na węglarki. W jednej węglarce jechało nas 46. Jechaliśmy około 3 dni i znaleźliśmy się w Gross Rosen. Na drogę dano nam w Lamsdorfie 2 kg paczki żywnościowej z MCK.

W Łambinowicach był głód, wilgoć, zimno i pluskwy oraz przesłuchania gestapowców, połączone często z dotkliwym biciem. Było tu znacznie gorzej niż w Częstochowie. Uważaliśmy, że w Łambinowicach jest tak źle iż gorzej nigdzie być nie może.

Po przyjeździe do Gross Rosen przekonaliśmy się, że nigdy nie jest tak źle żeby nie mogło być gorzej.

Przywieziono nas: 41 Polaków, 5 Rosjan i około 80 partyzantów słowackich.

Komendant obozu Gross Rosen przywitał nas słowami: "zapomnijcie od tej chwili, że byliście panami, kolegami, towarzyszami. Zapomnijcie że macie jakieś imiona i nazwiska. Tutaj jesteście tylko numerami. Nie macie co marzyć o wyjściu z tego obozu. Stąd droga na wolność prowadzi tylko przez komin krematorium."

W sali przyjęć rozebraliśmy się do naga, pozostawiliśmy wszystką odzież i bagaże i podążyliśmy do łaźni.

Tam po ogoleniu wszystkich włosów na ciele, ostrzyżeniu głowy na zero, wygoleniu na głowie 2 cm pasa od czoła do potylicy i od ucha do ucha, gdzie golący nas więźniowie kryminaliści często pastwili się kalecząc dotkliwie ciało, musieliśmy się zanurzyć z głową w zbiorniku z roztworem lizolu.

Po takim zabiegu przechodziliśmy pod prysznic z gorącą wodą.

Tak wymyć i wydezynfekowani otrzymaliśmy numery w postaci ceratowych medalików na sznurku na szyję, a na ramionach położono nam numery na szmatce (czerwony trójkąt z literą "P" oraz numer).

Te szmatki (każdy otrzymał dwie), były do przyszywania na bluzie i na spodniach.

Z łaźni nago i boso przeszliśmy po schodkach (obóz jest położony tarasowo na zboczu wzniesienia), w czasie śnieżnej zadymki, do bloku nr 19 (widocznym na zdjęciu obozu). Jak się okazało był to blok kamy, tzw. Strafkomando, gdzie blokowym był okrutny Vogel.

Po wejściu na blok otrzymaliśmy drelichowe ubrania, drewniane buty i czapki z bawełnianej włóczki, używane w wojsku pod hełm.

W czasie pobytu w tym bloku nie istniała dla więźniów jakakolwiek opieka medyczna. Gdyby nie jakiś Czechosłowak, który potajemnie dostarczał mi opatrunki i prontosil, chyba bym tego bloku nie przeżył. Nie przeżyła go znaczna część naszej grupy.

W bloku tym umieszczano więźniów w zasadzie tylko na 5 tygodni. Był to w Gross Rosen okres dostatecznie długi aby uśmiercić ludzi.

Nas już po kilku dniach przeniesiono do innych bloków. Ja trafiłem do bloku młodzieżowego (22). Chodziłem stąd do pracy w piwnicach kuchni gdzie obierałem ziemniaki.

Mieliśmy zwyczajowy obowiązek wynoszenia ziemniaków dla dożywienia słabszych. Pewnego razu znaleziono przy mnie 5 ziemniaków (miałem w rzeczywistości więcej). Za każdy znaleziony ziemniak przewidziana była kara bicia dębową listwą, po 5 razy za jeden ziemniak.

Doliczyłem do 5 czy 6 i straciłem przytomność. Dalej liczyli otaczający mnie koledzy. Odniesiono mnie na blok, z którego dzięki więzionym w Gross Rosen, hr. Dzeduszyckiemu i sanitariuszowi Jankowi Pierzchale, dostałem się na tzw. rewir, czyli szpital obozowy.

Po kilku dniach, jako rekonwalescenta przeniesiono mnie na blok nr 9, z którego nie brano do roboty. Przebywał tu dyrektor Liceum Rolniczego z Bojanowa, mgr Zbigniew Morkowski, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem. Przyjaźń ta była mi bardzo pomocna w przeżyciu wielu ciężkich chwil, szczególnie w transportach ewakuacyjnych.

Blok nr 9 był nieco łagodniejszy, bo nie chodziło się do pracy, ale rygor, głód i wszy, były niemniej dokuczliwe.

Na apele wychodziło się rano i wieczorem tak samo jak z innych bloków.

Podczas każdego apelu kilku więźniów zabierano do krematorium, gdyż umierali z wycieńczenia lub pobicia przez SS-manów lub blokowych.

Ja byłem jednym z nielicznych szczęściarzy, którzy przeżyli sprzątanie wewnątrz bloku. SS-man lub blokowy zawsze znalazł jakiś ślad kurzu lub plamkę na szybie aby za to karać biciem, które albo zaraz albo później kończyło się śmiercią.

Mycie się i załatwianie potrzeb fizjologicznych we wszystkich blokach odbywało się w ściśle określonej porze i zawsze z poganianiem, biciem pałkami, w akompaniamencie okrutnych wyzwisk.

Analogicznie było z pobudką i układaniem się do snu, ścieleniem łóżek, na których spało się często w czterech.

Ścielenie łóżek polegało na naprężeniu koca i nawinięciu go na specjalne listwy, które następnie wciskało się w specjalne uchwyty. Niedostateczne naprężenie koca było powodem okrutnego bicia przez Stubendiensta. Łóżka były trzypiętrowe i ścielenie na górnym łóżku nie było łatwe.

Wyżywienie było jednakowe w całym obozie: bochenek chleba dla 5 więźniów, pół litra zupy, z której mięso i większe kartofle wybierano dla blokowego i jego pomocników, 2 razy dziennie kawa zbożowa bez cukru, 2 dekagramy margaryny co drugi dzień i raz na tydzień około trzech dekagramów "kielbasy" z krwi.

Dla urozmaicenia jadłospisu, raz w tygodniu, zwykle w czwartek, zamiast kawy podawano wieczorem "zupę chlebową" ze zmiotków z półek magazynu pieczywa. Podczas pobytu w bloku nr 9 wysłałem jedną kartę pocztową do rodziny w Krakowie. Treść kartki była zawsze ta sama i obowiązująca: "Jest mi dobrze. Jestem zdrow i niczego nie potrzebuję. Paczki i listy możecie przysyłać raz w miesiącu".

Wkrótce otrzymałem dwie paczki. Jedną odzieżową i jedną żywnościową. Paczki żywnościowe przy wydawaniu dzielono na pół i wydawano jedną część, a drugą wrzucano do kosza dla SS-manów. Odzież stemplowano i wydawano.

Bardzo mi się przydały w transporcie, nadesłane przez rodzinę: czapka, szalik i sweter. Ani w Gross Rosen, ani później, nie udało mi się napotkać kolegów z partyzantki. Tylko raz, gdy byłem w bloku nr 9, spotkałem Mariana Dąbkowskiego, ps. Śmiały.

Wiem, że Aleksander Bieliński "Sęp" i por. Janusz Marczyński "Kwiatkowski" zostali przesłani do filii obozu w miejscowości Bautzen. Kazimierz Roguski, Zbigniew Jackowski i Czesław Lisowski "Smyk" trafili do filii Gassen, Zenon Laskowski został przewieziony z Gross Rosen do filii Funfteichen (obecnie Jelcz) gdzie zaopiekował się nim pomocnik kucharza obozowego inż. Wacław Kolenda, pochodzący tak jak on z Lipska nad Wisłą. Inż. W. Kolenda pisze na ten temat w swych wspomnieniach, złożonych w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu.

W pierwszych dniach lutego 1945 r. nastąpiła ewakuacja obozu Gross Rosen. Słychać już było strzelaninę frontową. Większość więźniów pognano piechotą w różne strony: na południe, zachód i północ Europy.

Mnie wzięto do transportu kolejowego, dając każdemu na drogę po bochenku chleba. W bydlęcych wagonach, po 100 ludzi w jednym, sześć dni wieziono nas do Nordhausen. Około 30 procent wiezionych nie przeżyło transportu. Po przyjeździe, zaprowadzono nas do obozu koncentracyjnego Dora, położonego przepięknie w lesie Gór Harzu.

W Gross Rosen wszelkie funkcje w obozie pełnili niemieccy kryminaliści, natomiast w Dorze główne funkcje pełnili Czesi, więźniowie polityczni. Dzięki temu w Dorze było znacznie lepiej. Nie było takiego pastwienia się nad więźniami jakie było w Gross Rosen.

Przybyli razem z Polakami do Gross Rosen partyzanci słowaccy, znaleźli się także w Dorze. Oni to postarali się, aby mnie zatrudnić jako Blockpflegera, czyli sanitariusza blokowego, w bloku nr 141. Blokowym był Czech - nauczyciel z Pragi.

Jako sanitariusz nie chodziłem do pracy, która w Dorze odbywała się w sztolniach. Produkowano tam VI i V2.

Do moich obowiązków należało opiekowanie się chorymi oraz przeprowadzanie tzw. "Lausekontrolle" czyli szukanie wszy w odzieży i na ciele więźniów. Kontrola taka odbywała się codziennie przed kolacją. Było to dla więźniów bardzo uciążliwe i nieskuteczne w walce z tymi insektami, których tu była wprost niewyobrażalna ilość. Pomimo względnie dobrego traktowania więźniów w Dorze pobyt tu był bardzo ciężki, ze względu na głód i te przekłete wszy.

Coraz częściej brakowało chleba. W zamian dawano 4 do 5 ziemniaków. Więźniowie umierali tu głównie z wycieńczenia. Ponadto często odbywały się tu zbiorowe egzekucje wieszania na szubienicach bramowych. Egzekucje te odbywały się w czasie apeli, które z tego powodu przeciągały się nieraz do kilku godzin.

Zdarzało się, że krematorium nie nadążało z paleniem zwłok i wtedy zwłoki przekładano polanami drewna i podpalano. Duszący odór z takiego ognia rozchodził się po całym obozie.

Na początku kwietnia 1945 r. załadowano nas do bydlęcych wagonów, ugniatając po 150 osób w jednym wagonie. Było tak ciasno, że nie można było nawet przykucnąć. Na drogę nie dano nam nic do jedzenia ani do picia. Warunki te były powodem tego, że doszło do wzajemnego mordowania się przewożonych ludzi. Każdy walczył o przeżycie. Ciała zmarłych wykorzystywano jako miejsce do siedzenia lub wygrodzenie kąta przeznaczonego na "klozet".

Jechaliśmy tak przez 8 dni. Koniec tej podróży był w Bergen-Belsen.

Gdy otwarto drzwi, wagonu, wypadło z niego około 15-tu jeszcze żywych ludzi. Na skarpie nasypu kolejowego poczułem przy twarzy trawę. Natychmiast zacząłem ją gryźć zębami, nie mając siły do urwania jej za pomocą rąk. Był to mój pierwszy posiłek po 8 dniach jazdy.

W Bergen-Belsen osadzono nas w budynkach, które kiedyś służyły za koszary wojskowe. Zostałem sanitariuszem w szpitalu obozowym., mając pod opieką 40 łóżek. Początkowo śmiertelność w tym szpitaliku była tak duża, że przez moją salę przechodziło dziennie ponad 100 osób. Wkrótce znalazłem w piwnicy apteki weterynaryjnej jednego z bloków niewielkie ilości leków takich jak sympatol, żelazo, tran i dużą ilość wina zaprawionego opium. To opium prawie natychmiast zmniejszyło śmiertelność chorych w mojej i innych salach, do maks. 10 osób dziennie.

W Bergen-Belsen otrzymywaliśmy jeszcze mniej do jedzenia niż w poprzednich obozach. Każdy tu musiał na własną rękę walczyć o żywność zbierając trawę, różne zioła, chwasty i liście z drzew. Na szczęście 16-go kwietnia do Bergen-Belsen wkroczyli Anglicy.

Jednostki niemieckie pilnujące obozu odpowiednio wcześniej znikły. Pozostał tylko zastępca komendanta z grupą Węgrów pozostających w służbie niemieckiej. Mieli oni polecenie wydać więźniom zatruty chleb. Chleba tego jednak nie wydano a magazyn zabezpieczono. Ta humanitarna akcja przyczyniła się do złagodzenia wyroku sądowego na SS-mana.

Anglicy nie prędko dali nam żywność i długo jeszcze nie puszczano nas na wolność. Na terenie obozu zalegały tysiące trupów. Zaczęły się samosądy. Zabijano kapów, blokowych i innych funkcyjnych, którzy znęcali się nad więźniami.

Polacy pomyśleli przede wszystkim o mszy świętej, którą celebrował ks. Julian Rykała. ”

We wspomnieniach Zbigniewa Mazurka, który jest Prezesem Klubu b. Więźniów

Gross Rosen we Wrocławiu, brakuje informacji na temat samego obozu Gross Rosen. W książce Antoniego Gładysza, pt. "Obóz śmierci", autor, wieloletni więzień tego obozu, tak go opisuje:

"Obóz leżał około 65 km na południowy zachód od Wrocławia, umieszczony na stoku zalesionego wzgórza. Poniżej obozu, po stronie stacji kolejowej, odległej 4 km od obozu, leżała wieś obecnie nazywana Rogoźnica. Niemcy nazywali ją Gross Rosen, co można przetłumaczyć na Wielkie Róże lub Wielkie Różany.

Obóz leżał na sztucznych tarasach usypanych rękami więźniów. Okolica piękna lecz oszpecona potworną brzydotą swych baraków i ogrodzeń oraz ogromnym kamieniołomem i pryzmami kamieni ułożonych wzdłuż drogi, czekających na odbiór. Obóz nie należał do dużych obozów, jednak warunki życia w nim należały do najgorszych jakie Niemcy mogli wymyśleć.

Kto dostał się do filii obozu i pracował w fabrykach, miał jeszcze warunki do przetrwania. W Gross Rosen takich warunków nie było. Tu istniał tylko kamieniołom. Tu praca była bardzo ciężka i ponad siły. Tu bito ludzi na śmierć.

Przy wydobywaniu kamienia i przeprowadzaniu robót ziemnych uśmiercano każdego dnia kilka dziesiątków ludzi.

Niedożywiony, często chory więzień, musiał pracować przez dwanaście i więcej godzin pod nadzorem kapów i SS-manów, uzbrojonych w kije lub trzonki do łopat.

Blockfuhrer Drosdowsky nosił zawsze w ręce stylisko od łopaty i bił nim więźniów, przeważnie po głowie. Uderzony tracił przytomność i zwykle więcej się nie podnosił. Pracowało się w obozie bez chwili wytchnienia. Nie wolno było się wyprostować, bo leciały na człowieka kije kapy, vorarbeitera lub śmiertelne razy SS-mana. Więzień gdziekolwiek pracował, musiał ustawicznie się poruszać, jeśli nie chciał być zabity. Pracowało się bez względu na pogodę, podczas ulewnego deszczu, śnieżycy, na mrozie i skwarze upałów, wśród bezustannych krzyków, poganiania, znęcania się i mordów.

Jak widać z opisów inż. Zbigniewa Mazurka oraz Antoniego Gładysza, trzeba było mieć dużo szczęścia aby przeżyć Gross Rosen. Z grupy więźniów-partyzantów "Potoka", liczącej, jak wspomina Zbigniew Mazurek "Gniew" około 41 ludzi, nie doczekało wolności co najmniej 31 osób, tyle bowiem udało mi się ustalić. Do tego mogli jeszcze dojść Rosjanie, losów których nie udało się odtworzyć.

Zgodnie z tym co podaje Antoni Gładysz, że szanse na przeżycie mieli tylko ci, którzy przesłani zostali do filii Gross Rosen i pracowali w fabrykach, w grupce 9 osób ocalonych od śmierci nie było takich, którzy pracowaliby w kamieniołomie.

Józef Zapała - żołnierz plutonu łączności w Iłżeckim Pułku AK, przesłał rodzicom kartę pocztową z datą 1. 1. 1945, pisząc według ustalonego w obozie tekstu, że "jest mu dobrze i że jest zdrowy", a pod koniec tego samego miesiąca rodzina otrzymuje z obozu krótkie zawiadomienie, że syn już nie żyje.

Nie znając wcześniej warunków życia więźniów w tym obozie, trudno jest zrozumieć jak mogło dojść do tak rychłej śmierci, młodego, w pełni sił vitalnych chłopca.

Dziś, gdy od tych nielicznych którzy przeżyli ten obóz, dowiadujemy się co musieli przejść, widać że byli już w Łambinowicach przeznaczeni przez gestapowców na śmierć. Decyzje wyszły z pewnością z komendy SS i policji w Radomiu, gdzie komendantem był wtedy SS Obersturmbannfuhrer Illmer. Ostateczną selekcję przeprowadzono w obozie Lamsdorf (Łambinowice).

Jednym z takich szczęśliwców, któremu udało się przeżyć Gross Rosen; był młody chłopiec, żołnierz kompanii "Fiedlera", ranny w bitwie pod Piotrowym Polem, Józef Klusek "Gołąb" ze Starachowic. Jego przeżycia, bardzo dramatyczne, potwierdzają to co podali Zb. Mazurek i A. Gładysz. Są one w szczególności nieco inne.

Według jego opowieści transport z Łambinowic wyruszył do Gross Rosen koleją. Razem z nim pojechali wszyscy przebywający z nim w Lamsdorfie koledzy, tj.: Zbyszek Jackowski, Czesiek Lisowski, Stefan Szczerski, Julian Harabin, Leszek Płachciński, Witold Adamczyk z ojcem Antonim oraz wielu innych, znanych tylko z widzenia. Między nimi byli też Rosjanie z oddziału "Potoka".

— "Znów jechaliśmy kilka dni, aż przybyliśmy do obozu koncentracyjnego Gross Rosen.

Ja miałem wciąż niezagojoną, ropiejącą i cuchnącą ranę na nodze. Dokoła rany porobiły się wrzody. Cierpiałem bardzo.

W Gross Rosen znów "golenie" i kilkudziesięciometrowy bieg nago po mrozie do łaźni pod lodowatą wodę.

Otrzymaliśmy pasiaki obozowe i numery. Ja otrzymałem nr 89152. Następnie przydzielano więźniów do tzw. komand roboczych. Na powitanie kapo każdemu

więźniowi przyłożył parę ciosów drewnianą pałką i wyjaśnił: "ja was tu s.... synów tylko przez komin.... "

W Gross Rosen zostałem rozdzielony z kolegami z Iłżeckiego Pułku. Zostali oni przydzieleni do innych komand a nawet wywiezieni do innych obozów. (Dowiedziałem się o tym dopiero po odzyskaniu wolności i powrocie do domu).

Mnie sprzyjało szczęście. Dostałem się na rewir (szpital obozowy) razem z kolegą z Lamsdorfu o imieniu Danek (NN). Pochodził ze Lwowa. Przebywając w rewirze ocaliliśmy mimo kilkakrotnych selekcji do gazu, dzięki więźniowi, polskiemu lekarzowi, także pochodzącemu ze Lwowa.

Przebywając dłuższy czas w obozie, lekarze orientowali się kiedy będzie selekcja i przedtem kogo tylko mogli odsyłali do komanda do pracy.

My z Dankiem byliśmy bardzo wynędzniali, mieliśmy po 18 lat, dostaliśmy się do komanda młodzieżowego, które wykonywało prace porządkowe lub w kuchni. Tu dawało się od czasu do czasu ukraść surowego kartofla lub coś innego do zjedzenia. Szczęśliwym przypadkiem w kuchni był kucharzem mój znajomy ze Starachowic, mieszkaniec tej samej ulicy, Wacław Rakowski. Jemu to zawdzięczam swe przeżycie Gross Rosen.

Unikając selekcji i przerzucając się z rewiru do różnych komand i z powrotem, doczekałem wigilii Bożego Narodzenia 1944 r. Głodni, zmarznięci, zmaltrretowani, i nie mający żadnych wieści o losie najbliższych kolegów, w ten tragiczny wieczór wigilijny szukaliśmy wszy.

W styczniu wezwano mnie do "sztuby" i zapytano kogo chciałbym zawiadomić, że tu jestem. Podałem adres matki. Po chwili otrzymałem do podpisania kartę pocztową z tekstem w języku niemieckim. Była to jedyna wiadomość ode mnie, jaką otrzymała moja mama po bitwie pod Piotrowym Polem.

W połowie stycznia słychać było już, że front się zbliża. W początku lutego, gdy nad obozem rozrywały się pociski, popędzono nas na stację kolejową i załadowano w odkryte węglarki. Byliśmy tak stłoczeni, że nikt nie był w stanie się poruszać. Był mróz, zawieja, śnieg, a nasz transport jechał 5 dni i nocy w nieznane. Był to "transport śmierci", bez kropli wody, pożywienia. W otwarte usta padały płaty śniegu dając ulgę ale nie ratując życia. Kto umierał stał nadal oparty o współtowarzyszy gdyż upaść nie było gdzie.

W transporcie tym zmarło 70 procent więźniów gdy przybył do Dory. Ja chwili przybycia nie pamiętam. Stałem wśród żywych i zmarłych. Byłem nieprzytomny.

Gdy na stacji kolejowej Dora otwarto wagony, wypadali z nich ludzie jak bezkształtna masa. Kto wstał na nogi i utrzymał się zabierany był do roboczego komanda, pozostali leżący bez znaku życia zostali oblani smarem i spaleni. Krematoria nie nadążały.

Na stercie trupów do spalenia leżałem i ja. Gdy odzyskałem przytomność znajdowałem się w rewirze. Ocalił mnie Jerzy Kutrowski, dobry mój kolega, mieszkaniec Starachowic. Aresztowany był wcześniej ode mnie i był sanitariuszem w Dorze. Gdy przybywał nowy transport sanitariusze starali się być w pobliżu, gdyż zdarzało się w transporcie znajdować znajomych, i w tym przypadku tak się właśnie stało.

Kutrowski dojrzał mnie wśród trupów i przetransportował do rewiru. Tu był lekarzem Rosjanin, z którym Kutrowski był w dobrych stosunkach. Na prośbę Kutrowskiego lekarz zajął się raną na mojej nodze. Nie mając lekarstw, robił mi transfuzję krwi dokoła rany, pobierając krew zdrową za pomocą strzykawki i wstrzykując ją w okolicach rany. Kutrowski znów donosił mi jedzenie. Obaj opiekowali się mną jak bracia.

Na rewirze przebywałem 3 lub 4 tygodnie. Selekcji do krematorium jakoś nie było. Na początku marca wybrano zdrowszych więźniów do pracy w Górach Harzu, gdzie wykuwali podziemne hale fabryczne do produkcji pocisków rakietowych V.

Mnie i innych podobnych więźniów zaliczono do grupy "muzułmanów" i przeniesiono do Nordhausen, miejscowości odległej kilka km od Dory. Były tam betonowe garaże bez prycz i słomy. Spało się na gołym betonie. Skazano nas tu na powolne konanie, gdyż dojedzenia dawali nam dziennie tylko dwa kartofle w łupinach i pół litra kawy. Chleba nam nie dawano wcale, obiecując na Święta Wielkanocne po całym kilogramie.

W Wielką Sobotę alianci zbombardowali nasz obóz, myśląc że te budowle to jakaś fabryka. Część hal dosłownie zniosło z powierzchni ziemi. Z ogrodzenia obozu, budek wartowniczych, nie zostało śladu. Niestety, zginęło wielu więźniów. Po nalocie wydawało nam się, że Niemców już nie ma. Zaczęliśmy wychodzić poza teren obozu. Niemcy jednak powrócili i zgarnęli nas z powrotem w te ruiny i tu bez jedzenia, pod gołym niebem, spędziliśmy Święta Wielkanocne.

Dzień po Wielkanocy alianci powtórzyli nalot. Nadleciały olbrzymie eskadry alianckich samolotów i zaczęło się dziać coś niesamowitego. Wydawało mi się, że zapadłem się pod ziemię. Gdy odzyskałem świadomość był wieczór. Dokoła płonęły ogniska. Wszędzie były gruzy i trupy.

Grupki ocalałych więźniów grzały się przy ogniu. Byłem nagi i poobijany. Podmuchał zedrzeć ze mnie pasiak i rzucił mnie do kanału. Pewnie tam jęczałem i koledzy znaleźli mnie i wyciągnęli. Niemców ani śladu. Z hal pozostały kupy gruzów a pod nimi połowa więźniów.

W gruzach spędziliśmy kilka dni i nocy. Nikt się nie pojawiał. Ani Niemcy, ani wyzwoliciele. Silniejsi więźniowie udali się do miasta Nordhausen ale tam też nikogo nie było.

Przenieśliśmy się w inną część obozu, ponieważ nie pogrzebane zwłoki cuchnęły. Upłynęło kilkanaście dni, zanim zjawili się pierwsi Amerykanie.

Przeniesiono nas do szpitala w Dorze. Ważyłem 36 kg przy wzroście 1, 75 m. Dostałem zastrzyki penicyliny i noga zaczęła się goić.

Personel szpitalny złożony był z polskich pielęgniarek i polskich lekarzy. W lipcu 1945 r. powróciłem do Starachowic.

Opisana gehenna jaką musieli przeżywać więźniowie Gross Rosen wyjaśnia dostatecznie przyczyny ich krótkiego życia.

Wszyscy w tym czasie wiedzieli jak źle jest w niemieckich obozach koncentracyjnych, jednak rzeczywistość przerastała wyobraźnię.

Gross Rosen był to obóz śmierci, jak go słusznie nazwał Antoni Gładysz, i takim pozostał do końca wojny. Tylko przypadki uratowały nielicznych żołnierzy Iłżeckiego Pułku od śmierci w niewoli.

Por. Janusz Marczyński "Kwiatkowski", jako oficer został potraktowany inaczej. Jego oraz ppor. Bogdana Barskiego, ps. Kryński, oddzielono od reszty jeńców w Ostrowcu Św. i zabrano do Gestapo. W dzień prowadzono intensywne badania starając się skłonić "Kwiatkowskiego" do przyznania się że jest oficerem, czemu por. Marczyński zaprzeczał. Niemcy mieli informacje, że tak jest i chcieli to w jakiś sposób udowodnić. Zawieźli go pewnego dnia do Zagnańska i chyba w kwaterze Abwehry pokazywano mu mapy aby na nich wskazał pewne miejsca. Por. Marczyński udawał że nie rozumie map i nie zna się na nich, gdyż tak jak powiedział nie jest oficerem. Tak czy owak w komunikacie Niemcy napisali, że był oficerem.

Na noc gestapowcy przypinali badanych klamrami do betonowej podłogi, zakuwając ręce nogi.

Ppor. "Kryński" był badany w Gestapo około 3 dni, a potem według jego wypowiedzi, udało mu się zbiec z transportu kolejowego i przeżył wojnę w okolicy Ostrowca Św.

Por. Marczyński był badany znacznie dłużej i od uderzeń po głowie ma częściowy zanik pamięci.

Po zakończeniu badań por. J. Marczyński eg o przesłano do Łambinowic i dołączono do pozostałych kolegów z Iłżeckiego Pułku, a następnie transportem kolejowym 15-go grudnia 1944 r. wysłano wszystkich do Gross Rosen.

W Łambinowicach por. Marczyńskiego t my mano w jakimś podziemnym bunkrze, w którym przebywało około 100 osób (3 Polaków a reszta Rosjanie) i dopiero gdy wysyłano transport, dołączono go do pozostałych kolegów. Święta Bożego Narodzenia spędził por. Marczyński w karnym obozie Gross Rosen, przy budowie baraków dla Oświęcimia. Odpowiednie powierzchnie musieli wykuwać w skale. Do budowanych Baraków mieli być sprowadzeni więźniowie z ewakuowanego Oświęcimia. Prace te nie zostały zakończone, gdyż wcześniej do Gross Rosen dotarły wojska radzieckie. Zanim to się stało por. Marczyński znalazł się w obozie Bautzen. Tu znów więźniowie chorowali masowo na czerwonkę.

W chwili wkroczenia wojsk radzieckich aż cztery baraki wypełnione były chorymi. Do obozu przybył specjalny niemiecki oddział, uzbrojony w pistolety maszynowe i zaczął wybijać chorych więźniów. Gdy do obozu wkroczyli żołnierze radzieccy, Niemcy już wystrzelali chorych w pierwszym baraku. Widząc, że żołnierze radzieccy są bardzo blisko, zaniechali dalszego rozstrzeliwania i próbowali się sami ratować ucieczką. Na szczęście, nie udało im się uciec. Podzielili za chwilę los swoich ofiar.

Por. J. Marczyński był w następnym baraku, w którym SS-mani już nie zdążyli wykonać Swych obowiązków, do jakich byli zobowiązani wobec Führera i Rzeszy Niemieckiej.

Czesław Lisowski "Smyk", jeden z żołnierzy Iłżeckiego Pułku który dostał się do niewoli, był przed przybyciem do Zgrupowania partyzantem AL, w oddziale Tadeusza Maja "Łokietka". Rozbrojony przez oddział NSZ "Żbika" w rejonie Lasocina koło Końskich, powrócił do rodzinnej wsi Henryk pod Starachowicami. Ponieważ w tym czasie na terenie lasów starachowickich nie było oddziałów AL, Czesław Lisowski doprosił "Potoka" o przyjęcie go do Iłżeckiego Pułku AK. W ten sposób Cz. Lisowski został, po przeegzaminowaniu go przez dr-a Kawińskiego, sanitariuszem w 2-gim plutonie kompanii "Fiedlera".

Gdy w czasie bitwy dostał się do niemieckiej niewoli, trafił razem z innymi kolegami do Gross Rosen a stąd do Buchenwaldu.

Był on świadkiem i uczestnikiem bezprecedensowych wydarzeń, wyzwolenia obozu Koncentracyjnego przez samych więźniów. Tylko jeden taki przypadek zdarzył się podczas ostatniej wojny. Czesław Lisowski tak opisuje te wydarzenia:

... "Na Ettersbergu pod Weimarem, tam gdzie założono "kacet", na szczycie góry, w sercu bukowej puszczy, bezmierną tragedię człowieka i ogromny dramat walki napisało życie.

Był 11 kwietnia 1945 r., ostatni dzień istnienia KL Buchenwald był ciepły i słoneczny. Konspiracja trwała w stałej gotowości bojowej. W Komendanturze i w Oddziale Politycznym w pośpiechu kończono palenie akt. Opustoszałe krematorium i tylko zaparkowana obok ciężarówka-wywrotka, załadowana stertą ciał, których nie zdążono spalić, świadczyła o tym co działo się tu przez blisko osiem lat.

Samochody kierownictwa obozu, załadowane walizkami ze zrabowanym majątkiem, stały z zapuszczonymi motorami.

Odkomenderowani specjaliści oficerowie i Scharfführerzy gospodarowali w składzie depozytów, pakując gorączkowo do skrzyni wartościowe przedmioty, należące do więźniów pieniądze, zegarki pierścionki. Zabrali również duży, wypełniony kosztownościami kufer, którego nie zdążono wysłać do Berlina.

Gotowa była do odmarszu "na front" na "nową linię obrony" reszta batalionów Waffen-SS, w sumie około półtora tysiąca ludzi. Dudnienie artylerii słychać było zupełnie wyraźnie. Jeden alarm lotniczy gonił drugi. Rozpoznawcze samoloty współdziałające z amerykańskimi czołwkami raz po raz pojawiały się nad obozem, jak skrzydlate duchy. Oczekiwano zrzutu broni. Nerwy wszystkich więźniów napięte były do granic wytrzymałości. Dowódcom kompanii bojowych jeszcze nocą przydzielono ostatnie zadania operacyjne. Teraz oddziały czaiły się do skoku po ukrytą w magazynach broń.

Około 10⁰⁰ komendant obozu Piter zarządził: wzmocnione posterunki na wieżach rozpoczną ostrzelanie obozu o godz. 14³⁰, zakończenie akcji - godz. 17³⁰.

Pragnąc uspić czujność więźniów oświadczył przez radiowęzeł że nic im nie grozi. W tym samym czasie rozbastwieni, pijani żołdacy mordowali zamkniętych w bunkrze.

O 12⁰⁰ w południe zawyła specjalna syrena komendantury na alarm. Oznaczało to, że front i nieprzyjaciół już blisko. Już nie tylko kanonada artyleryjska, ale i odgłos zmasowanego ognia ckm-ów docierał do obozu.

Łącznicy dowódcy brygady międzynarodowej stali na dachach i uzbrojeni w lornetki z wyteżoną uwagą obserwowali okolicę.

Na horyzoncie w odległości kilku kilometrów zwiadowcy zauważyli ruchomą linię czołgów, we wsi płonął młyn. Mogło to także oznaczać, że dotarł tam niewielki amerykański zwiad.

O 14⁰⁰ więźniowie ukradkiem obserwowali przemarsz pierwszej z kompanii SS, mających opuścić Buchenwald i włączyć się do walk na zbliżającym się froncie.

Nagle w położonym niżej obozu lesie zaczęły wybuchać pociski. Za ścianą drzew ukazały się gęste smugi dymu. Myśliwce amerykańskie ostrzeliwały cele naziemne. Walka toczyła się już w bliskim sąsiedztwie Buchenwaldu.

Przed szturmem, miejscem zbiórki, a zarazem punktem wypadowym do zajęcia pozycji bojowych była izba przyjęć chorych na rewir.

W odległości zaledwie 50 m stał obiekt pierwszego ataku, Wachturm nr 2.

Po otrzymaniu rozkazu "pobrać broń i zająć wyznaczone pozycje" Polacy podzielili oddział na dwie drużyny, z których jedna udała się na blok nr 37, po karabiny, granaty i nożyce do cięcia drutów, a druga pobrała broń na miejscu.

Wywalono ziemię z drewnianych kwietników, okalających barak interny i wydobyto ukryte tam, naoliwione Mausery i karabiny maszynowe.

Kiedy obie grupy znów połączyły się w jedną, Polacy pojedynczo w krótkich odstępach czasu przemykali się chyłkiem w stronę drutów. Dłonie ścisnęły broń. Każdy znał swoje zadanie. Gorączkowo wyczekiwano na sygnał który miała dać więzienna syrena strażacka.

Na terenie komendantury zapanował wzmożony ruch. Pojedyncze samochody powoli ruszały z miejsca.

Oddziały więźniów zastygły w oczekiwaniu na swoich pozycjach wyjściowych. Wachmani na wieżach przyklekli z palcami na spustach karabinów maszynowych.

- Feuer - padła niemiecka komenda. Głos jej rozniósł punkty odbiorcze radiowęzła. Jednocześnie zawyła w obozie syrena strażacka. Więźniowie wzdrygnęli się. Stojący w oknach baraków przylegających do placu apelowego odruchowo skierowali wzrok ku zegarowi na wieży. Była godz. 14³⁰.

Pierwsze strzały, jakie padły z Wachturmów w kierunku obozu nie wyrządziły większych szkód, za to natychmiast poderwały do ataku oddziały więzienne. Bojówki ruszyły ku wieżom ze wszystkich stron. Początkowo walczyły w zupełnym milczeniu, które na SS-mannach wywarło wrażenie. Dopiero po jakimś czasie zaczął narastać zgiełk i wrzask bitewny. Wieża zaatakowana przez Polaków, obrzucona granatami i butelkami zapalającymi, natychmiast stanęła w płomieniach. Dwaj wachmani opuszczali ją w takim pośpiechu, że jeden z nich spadł ze zwyczajki na ziemię.

Widząc wymierzone w nich karabiny, ponieśli ręce do góry. Inni już zdążyli przeciąć druty, wywołując przedtem zwarcie za pomocą narzuconego na nie mokrego koca. Wnet cały niespełna 30-osobowy oddział znalazł się po zewnętrznej stronie ogrodzenia.

Jeden z więźniów popędził przed sobą Niemców, inni z marszu szturmowali wieżę nr 1, najbliższą Hauptturm. Opanowano ją podobnie jak poprzednią. Któryś z Polaków wszedł na górę, ustawił odpowiednio karabin maszynowy i prał ogniem ciągłym po uciekających z komendantury "trupich główkach".

Ktoś krzyknął "chłopaki SS nawiewa, rąbać do hitlersynów". Już w tym czasie terkotał karabin maszynowy ustawiony na stole baraku nr 4. To sztab wojskowy kładł ogień na wartownię i bramę.

Po wstępnym ostrzale na plac wybiegł trzystu osobowy batalion szturmowy radziecki i ostro szedł na Hauptturm. Rosjanie strzelali w biegu, ciskali granatami. Załoga, po krótkotrwałej wymianie strzałów, rej terowała w popłochu. Dochodzące zewsząd odgłosy pękających granatów zagłuszały serie broni maszynowej.

Szybciej, szybciej - rozbrzmiewały podawane w różnych językach słowa komendy dowódców bojówek. Wkrótce też inne grupy uporały się ze swoimi wieżami. Całe więziarskie wojsko spotkało się za bramą i ruszyło do szturmowania na koszary.

Ostatnie kilka kompanii Waffen-SS stało w ordynku czekając rozkazu wymarszu. Kiedy SS-mani dostrzegli nadciągające gromady więźniów, śpiesznie dano hasło do odejścia. Z furją natarły zorganizowane oddziały więzienne, a z nimi około 5 do 6 tysięcy uzbrojonych byle jak i w co popadło więźniów. Tłumy zaatakowały mniejsze skupiska "trupich główek", rozrywały je, otaczały pojedynczych SS-manów. Grupowo ścigano i brano jeńców.

Od dłuższego czasu nad główną wieżą (Hauptturm) powiewała biała chorągiew. Cichły powoli odgłosy strzelaniny, milknął ogromny wrzask piętnastu tysięcy więźniów, którzy nie wytrzymali w blokach i ruszyli do ataku za organizacją. Tylko trupy SS-manów świadczyły o tym, że odbyła się tutaj, na strasznej górze, niesamowita walka. Wszystko to trwało niespełna półtorej godziny.

Wielkimi gromadami, grupowo i pojedynczo, w szyku i bezładzie wracali rozgrzani pościgiem. Każdy szczęśliwy, że przyłożył rękę do wyzwolenia obozu.

Pogoń dobiegała końca. Do bunkra zapędzono 120 wziętych do niewoli SS-manów. Potem liczba ta wzrosła do 200.

Uroczyście przyniesiono ciała kilku poległych w boju kolegów. Niemcy uciekli. Międzynarodowy Komitet Obozowy przejął władzę.

Bezustannie napływali do obozu dalsi jeńcy. Buchenwaldczycy zdobyli też na wrogu znaczne ilości broni: 1500 karabinów, 18 lekkich karabinów maszynowych i 4 ciężkie oraz 180 pancerfaustów.

Obóz był teraz w stanie odeprzeć nawet silny atak hitlerowski.

Okazało się, że czołgi amerykańskie które przeszły obok obozu, były tylko czołówką 3-ej Armii Amerykańskiej. Oficer amerykański poinformował więźniów, że główne siły amerykańskie będą tu dopiero za dwa dni i istnieje możliwość, że oddziały niemieckie mogą tu powrócić.. Zalecił zorganizowanie obrony obozu z wykorzystaniem własnych sił, co też uczyniono, robiąc pierścień obronny o promieniu 1 kilometra.

13 kwietnia 1945 r. wkroczyły na teren obozu normalne oddziały amerykańskie, a kpt. Cool z 3 US Army został mianowany wojskowym komendantem obozu.

Kpt. Cool patrząc na setki uzbrojonych więźniów oświadczył:

"Pozdrawiam was panowie i cieszę się z odzyskania przez was wolności. Wasze niezwykle jak na obóz koncentracyjny osiągnięcie pomogło wojskom alianckim w walce i stanowi silny punkt oparcia dla naszej wspólnej sprawy. Mam nadzieję, że wkrótce będziecie mogli wrócić do waszych domów".

Opisane przez Czesława Lisowskiego wydarzenia miały miejsce jedynie w Buchenwaldzie, gdzie musiały być nieco łagodniejsze warunki życia więźniów. Tu można było utworzyć organizację zbrojną, postarać się dla niej o broń. W innych obozach, a szczególnie w Gross Rosen, nawet pomyśleć nie było można o podobnych sprawach.

Wielu żołnierzy Iłżeckiego Pułku straciło życie w różnych obozach niemieckich, dokąd ich wywieziono z Gross Rosen. Siedemnastoletni chłopiec Piotr Adamski "Leonidas", żołnierz kompanii ostrowieckiej, został przez Niemców wywieziony aż pod granicę holenderską i leży pochowany w Holandii. Podczas bitwy pod Piotrowym Polem zaniósł do obozu ранego przyjaciela. Tam byli już Niemcy i Piotr dostał się do niewoli. Gdy przyprowadzono go do Błazin, to okazało się że w zagrodzie gdzie gestapowcy trzymają badanych ludzi, znajdują się schwytani jego rodzice. Szli gościńcem ostrowieckim, chcąc dotrzeć do Zgrupowania aby zobaczyć się z synem. Przed wsią Piotrowe Pole zostali zatrzymani przez żołnierzy SS-Galizien i doprowadzeni do Błazin jako podejrzeni. Wy tłumaczyli się potem gestapowcom, że szli do Iłży w celach handlowych, gdyż mają sklep w Ostrowcu, no i zostali zwolnieni. Przebywając w zagrodzie Nowaka udało się ojcu dyskretnie z synem porozmawiać i poznać okoliczności, w których dostał się do niewoli. Niestety, była to ostatnia rozmowa rodziców ze swym synem. Zmarli nie wiedząc nawet jakie były późniejsze losy Piotrka. Brat jego Przemysław Adamski, po wieloletnich poszukiwaniach, odnalazł miejsce spoczynku swego starszego brata.

Witold Adamczyk "Jeż", Aleksander Bieliński "Sęp", i st. sierż. Wacław Baran "Bursk", zakończyli swe życie w obozie Mauthausen.

Władysław Zapała z Michałowa k. Starachowic, zakończył życie 2-go marca 1945 r. we Flossenburgu. Brat jego Józef zmarł na miejscu w Gross Rosen już 21 stycznia 1945 r. Stanisław Kuntze, Kazimierz Nowak, Witold Duchnicki, Adam Kierzkowski, zmarli już na początku pobytu w Gross Rosen, chorując na czerwonkę.

Antoni Adamczyk "Kruk", Marian Dąbkowski "Śmiały", Tadeusz Fijałkowski "Długi", Jan Gładyś "Cygan", Julian Harabin, Tadeusz Kwapisz "Dowbór", Bolesław Puzewicz "Prus", Kazimierz Roguski, Stefan Szczerski, Marian Skrzydelski "Szakał", Stanisław

Tuszyński "Kasztan", Kazimierz Wylęgarski "Pantera", Marian Woźniak "Ryś", Rajmund Zwoliński, "Nit"(NN), Marian Zybrzycki "Brzozowski", Leon Markowski, i inni, stracili życie w bliżej nie ustalonych okolicznościach.

Zenon Laskowski napotkał przypadkowo znajomego w obozie Fünfteichen. Był nim Wacław Kolenda, pracujący w kuchni obozowej. Okoliczności te pomogły mu utrzymać całkiem dobrą kondycję fizyczną. W związku ze zbliżaniem się frontu wschodniego, więźniów z Fünfteichen ewakuowano do Gross Rosen, a stąd transportem kolejowym dalej na zachód.

W transportach, jak już wspomniano, wielu więźniów traciło życie. Na większych stacjach gdzie pociąg zwykle miał dłuższy postój, usuwano z wagonów ciała zmarłych. Na stacji Jena lub Weimar (inż. Kolenda nie jest tego pewny) do wynoszenia z wagonów zmarłych więźniów na pobliskie mokradło, Niemcy wzięli między innymi Z. Laskowskiego, jako jeszcze dobrze sprawnego fizycznie. Tam nieżyjących zakopywano, a przy okazji zabijano także tych więźniów, którzy to robili.

Obóz Gross Rosen miał wiele podobozów. Organizacja tego "koncernu" do zabijania ludzi jest dobrze opisana przez Romana Olszynę w 3-cim zeszycie opracowania pt. "Przeżyliśmy Gross Rosen", wydanym przez Klub b. Więźniów Politycznych w Warszawie.

W dniu 13 lutego 1945 r. do obozu Gross Rosen dotarły wojska radzieckie (70 Brygada Zmotoryzowana pułkownika Iwana Iwanowa z 3-ej Armii Pancerniej) zastając jedynie trochę więźniów zamordowanych w tzw. rewirze.

Po wojnie wojska radzieckie trzymały w tym obozie Niemców wziętych do niewoli, a potem baraki zostały rozebrane i stoi tam jeszcze brama główna oraz murowany budynek kasyna w którym urządzono muzeum.

Wykaz żołnierzy 1-go Iłżeckiego Pułku AK Ziemi Iłżeckiej, którzy jako jeńcy zostali zesłani do obozu zagłady Gross Rosen i tam stracili życie:

1. Adamczyk Antoni "Kruk",
2. Adamczyk Witold "Jeż", ur. 25. 01. 1926, m oboz. 89149
3. Adamski Piotr "Leonidas", ur. 1927 r.
4. Baran Wacław "Bursk", st. sierż. ur. 30. 10. 1906,
5. Bieliński Aleksander "Sęp", ur. 12. 07. 1924, nr oboz. 89122,
6. Dąbkowski Marian "Śmiały",
7. Duchnicki Witold, ppor. "Gintowt", ur. 18. 09. 1919, nr. o. 89151
8. Fijałkowski Tadeusz "Długi", ur. 18. 06. 1922,
9. Gładyś Jan "Cygan",
10. Harabin Julian, ur. 15. 09. 1926.....nr oboz. 89125, v.
11. Kacperek Zenon, ur. 1924 r.
12. Kierzkowski Adam "Cygan", ur. 1925 r..... nr oboz. 89156
13. Kuntze Stanisław,
14. Kwapisz Tadeusz "Dowbór",
15. Laskowski Zenon, ur. 17. 10. 1922 r.
- 16 Markowski Leon,
17. Malkiewicz Zdzisław,
18. Nowak Kazimierz,
19. Puzewicz Bolesław "Prus",

v

20. Roguski Kazimierz, ur. 1. 06. 1926 r..... nr oboz. 89112
21. Skrzydelski Marian "Szakal",
22. Szczerski Stefan, ur. 25. 6. 1920 r..... nr oboz. 89132
23. Tuszyński Stanisław "Kasztan",
24. Woźniak Marian "Ryś",
25. Wylęgarski Kazimierz "Pantera",
26. Zapała Józef, ur. 18. 09. 1925 r..... nr oboz. 89142
27. Zapała Władysław, ur. 3. 06. 1918 r.
28. Zwoliński Ryszard, ur. 19. 12. 1926 r. nr oboz. 89113
29. Zubrzycki Marian "Brzozowski", ur. 2. 02. 1921 r.
30. Zugaj Józef "Czarny",
31. "Nit"(NN)-pomocnik kucharza w partyzantce

Żołnierze 1-go Pułku AK Ziemi Łżeckiej zesłani do obozu zagłady Gross Rosen, którym udało się przeżyć:

1. Dziekoński Kazimierz,
2. Jackowski Zbigniew, ur. 6. 10. 1923 r..... nr oboz. 89110,
3. Klusek Józef "Gołąb", ur. 19. 05. 1925 r.... nr oboz. 89152,
4. Lisowski Czesław "Smyk", ur. 7. 09. 1922 r.. nr oboz. 89106,
5. Marczyński Janusz "Kwiatkowski", ppor. ur. 1. 3. 1910 r.
6. Mazurek Zbigniew "Gniew", ur. 4. 05. 1925 r. nr oboz. 89116,
7. Misiowiec Henryk, ur. 29. 06. 1926 r.
8. Myśliwiec Henryk, ur. 23. 06. 1918 r.....nr oboz. 89111,
9. Płachciński Leszek "Krakus", ur. 2. 10. 1925.. nr oboz. 89145,
10. Szczechura Wacław (z Denkowa),
11. Bereś Czesław "Ryszard", ur. 15. 01. 1925 r... nr oboz. 89141.

Żołnierze 1-go Pułku AK Ziemi Łżeckiej, którzy dostali się do niemieckiej niewoli i nie zostali wysłani do obozu zagłady Gross Rosen:

1. Barski Bogdan "Kryński", ppor. - uciekł z transportu,
2. Bołtuć Piotr "Borsuk" - c. ranny - obóz jeńców Radom,
3. Grzywacz Józef "Mars", kpt. - zwolniony przez Niemców,
4. Jankowiak Zdzisław "Żbik" - schwytany pod Ostrowcem,
5. Kabała Maria "Aldona" - zwolniona z niewoli w Błaznach,
6. Lipko Wiktor "Bej" - leśniczy z Kruków - Lamsdorf,
7. Łuczak Józef "Ziuk" - c. ranny - obóz jeńców Radom,
8. Mazurkiewicz Stanisław "Bartosz" - c. ranny - obóz j. Radom,
9. Michalec Czesław - areszt. w Podkońcach - ob. jeńc. w Prusach.
10. Młynarczy Zenon "Waldemar" - schwytany pod Ostrowcem,
11. Pietrzak Mieczysław "Pik" - obóz jeńców Lamsdorf,
12. Płowiec Jerzy "Labor" - uciekł z niewoli w Ostrowcu Św.
13. Sałapa Jan - zwolniony przez Niemców w Błaznach,
14. Sworowski Bogdan "Modrak" - zwoln. przedtermin. w Lamsdorf,

15. Tomasik Anna "Róża" - uciekła z niewoli w Błazinach.

Treść karty pocztowej wysłanej 12. 10. 1944 r. z obozu jeńców w Częstochowie przez Leona Markowskiego do matki w Denkowie.
(Nieczytelne słowa lub zdania wykropkowano):.

Kriegsgefangenenlager
Obóz jeńców wojennych

Datum: 12. X. 1944

Mamo

Znajdujemy się w obozie jeńców wojennych w Częstochowie. Wacek, Czesiek, Dzidek Małkiewicz do którego matki daj koniecznie znać oraz Aleksander Bieliński. Względnie dobrze się obchodzą z nami, natomiast jest źle z wyżywieniem, kg chleba na cały dzień na 4 osoby, rano 1 litr zupy i wieczorem to samo. Obiad to właśnie ten chleb i kawa. My dokarmiamy się kupując od bolszewików chleb i papierosy. Kg chleba 40 zł, papieros 1 zł. Pieniądze są na wyczerpaniu. Sprzedałem zegarek (popsuty)..... (400 zł + 1/2 chleba).

Jeden z naszych otrzymał widzenie z kuzynem od którego dostał paczkę. Paczki pocztą nie idą. Jesteśmy solidnie wycieńczeni. Czuję się zdrowo. Wysłałem dwa listy pocztą obozową, która nie dotarła do celu i prawdopodobnie nie dotrze (leżą w kancelarii). Z wyjątkiem komendanta obsługa obozu Rosjanie, przez co przy wydawaniu posiłków jesteśmy pokrzywdzeni. Jeżeli by była możliwa pomoc od Was to zróbcie. Jeżeli możliwy przyjazd (to żywność, pościel i pieniądze). Zwróć się do Społem, czasami jeżdżą autem w tę stronę. U pp. Sz. i p. Janusza możesz dowiadywać się szczegółów w tej materii. Jednak spodziewamy się wyjazdu albo do Oświęcimia względnie inna cholera, albo do obozu w Rzeszy lub roboty. Oczekiwaliśmy i oczekujemy pomocy z tutejszego R. G. O. która przed naszym przybyciem była udzielana 9 Pol. i 12 Ukr. Mam zamiar uczyć się po rosyjsku.....

Nie dają nawet gazet polskich tylko rosyjskie. Rozumiejąc po rosyjsku chodzę na propagandę. Różne zdania między nami. Przypuszczam że jak nie 'otrzymamy pomocy od R. G. O., a będzie możliwe, to przejdzie wielu na dobrowolców.

Ten Bieliński to prima chłop. Daj znać matce jego do Bidzin. Między nami jest kuzyn p. Ewy o nazwisku jej..... leśniczy

Wiktor, sympatyczny gość.

Jeżeli jest możliwa pomoc to SOS, byle nie za późno.

Realizacja pomocy zależy od Was, są sposoby, jednak drogie ze względu na charakterystyki ludzkie.

Kończąc zasylam moc pozdrowień od wszystkich do wszystkich. Pozdrówcie znajomych z przyległościami.

Twój syn Leon

p. s.

Pomoc obmyślcie na zebraniu wymienionych rodziców.

Od Dzidka: zażądajcie pomocy od innych. Od Wacka: to samo.

Tekst dopisany z boku: tak samo Fijałkowski Tadeusz w Częstochowie.....z Ostrowca (Urzędu Skarbowego) Słoneczna 40. Pierwszy raz niech ktoś przyjedzie.

List Władysława Ziomka z Buska do Anny Markowskiej, matki Leona:
Janina 26. VII. 45 r.

Droga Matko

Z Leonem czyli Niuśkiem Markowskim tyłem razem tak jak z innymi kolegami, lecz tylko do grudnia 1944 r. Dlatego iż nas rozdzielili bo myśmy się nie przyznawali do winy a byliśmy wcześniej aresztowani było nas 9-ciu z Buska.

Natomiast co do Niuśka, gdy ich przetransportowali do Częstochowy, to bardzo świetnie się czuł, i Jego koledzy, dopiero kiedy nas transportowali do Niemiec, do Lamsdorf, to w drodze nawet i zemdlął, później go głowa bolała i w sobie, dopiero pod koniec z powrotem przyszedł na swoje. Lecz proszę sobie tak kiepsko znów nie wyobrażać, bo ja opisuję może nawet za szczegółowo. Wszyscy z boju spod lity. Ci którzy byli tam z nami w Lamsdorf starali się iżby ich przydzielili do powstańców z Warszawy, w czym mieli nadzieję. Warszawiakom powodziło się nie źle, paczki z Czerwonego Krzyża, z Ameryki, itd.

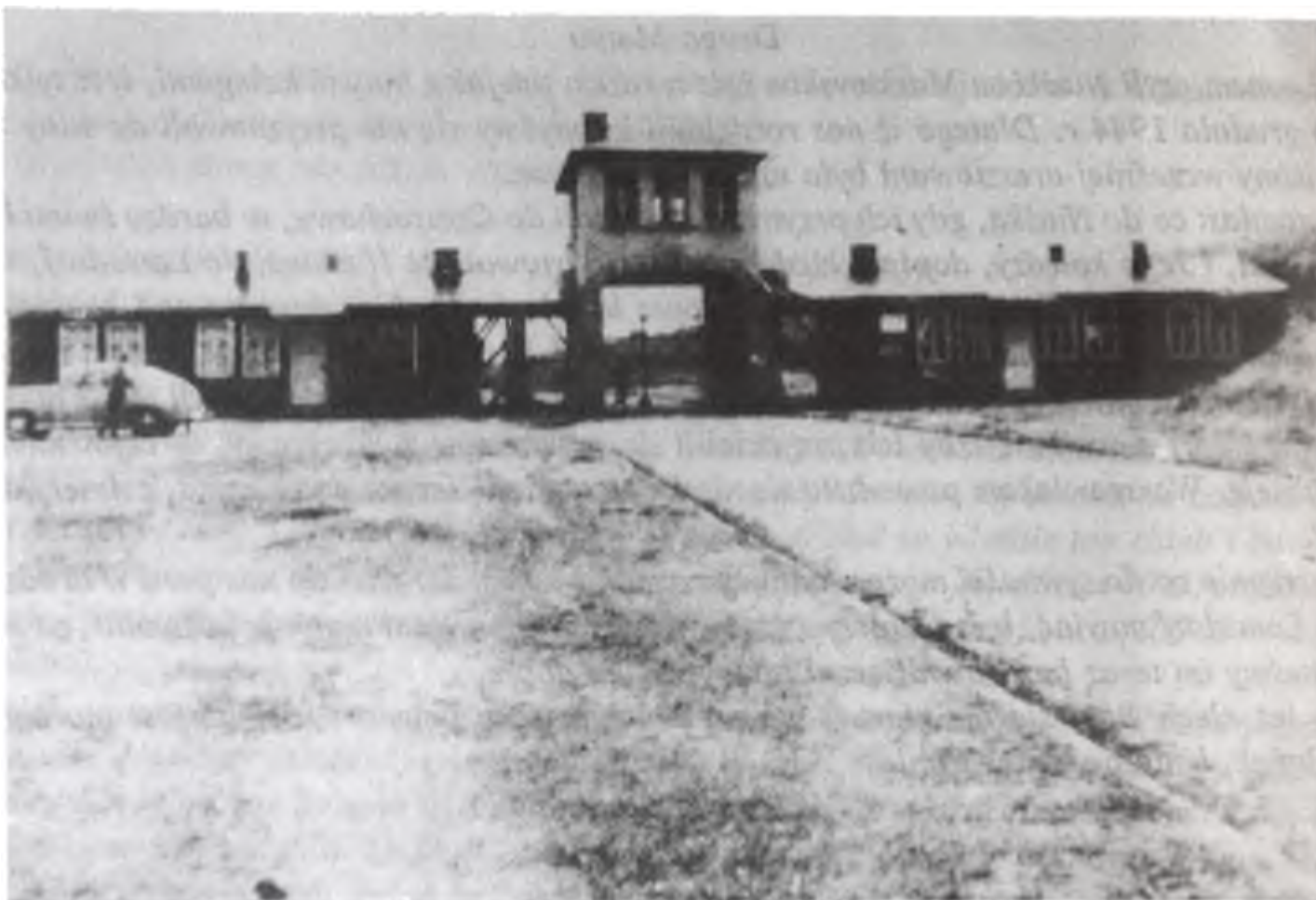
Następnie co do żywności można było wytrzymać i u nas. Bo chciało nas paru w drodze do Lamsdorf nawiać, lecz leśniczy z lasów iłżeckich i syn Pani nam nie pozwolili, za co jesteśmy im teraz bardzo wdzięczni bo wyszło na dobre.

To też niech Pani się nie martwi o syna dlatego iż na pewno wróci bo jest morowy chłopak, kończąc z poważaniem

Ziomek Władysław

List ten jest jednym z niewielu dokumentów, jakie rzucają światło na to co się działo z żołnierzami Iłżeckiego Pułku AK, po wzięciu ich do niewoli przez Niemców w dniach 1-go do 3-go października 1944 r. w bitwie pod Piotrowym Polem.

OBÓZ ŚMIERCI GROSS ROSEN



Fot. 188. Widok bramy obozu Gross Rosen. Wielu żołnierzy Itzeckiego Pułku za tą bramą straciło życie.



Fot. 189. Fragment obozu. Po prawej stronie barak nr 19, w którym umieszczano nowo przybyłych więźniów. Tu ginęła pierwsza część transportu, w wyniku specjalnie trudnych do przeżycia warunków.

Wspomnienia partyzantów

W dotychczasowych opisach zdarzeń nie byłem w stanie ująć całościowo wielu drobnych szczegółów, które były zawarte w relacjach kolegów, a które bardzo obrazowo odtwarzały przeżycia i atmosferę walk oraz innych, ważnych okoliczności. Z tych względów postanowiłem przytoczyć treść szeregu relacji, najbardziej bogatych w szczegóły charakteryzujące ówczesne wydarzenia, a nieznane tym, którzy w nich nie uczestniczyli. Relacje te wyjaśniają wiele spraw i przenoszą czytelnika w atmosferę wydarzeń wojennych, które rozegrały się w lasach starachowickich, o których przez 45 lat PRL raczej starano się nie mówić lub mówiono nieprawdę, a które były dramatem dla wielu polskich rodzin.

Relacja pchor. Tadeusza Nowaka, ps. Żelazny, z Bidzin (kompania opatowska):

"Niedziela 1 października 1944 r. Na długo przed świtem obudził mnie por. Jan Młynarczyk "Mieczyk". Otrzymałem rozkaz pójścia na patrol w kierunku gościńca ostrowieckiego. Teraz wiem, że chodziło tu o drogę do Błazin. Wtedy nie wiedziałem, gdyż nie znałem terenu. Miałem sprawdzić czy są tam Niemcy.

Wziąłem ze sobą dwóch ludzi - Kazimierza Tarkowskiego, ps. Pazur oraz Mariana Domagałę, ps. Klinga.

Szliśmy a raczej skradali w wyznaczonym kierunku, aż wreszcie dotarliśmy do traktu i zdrętwieliśmy. Niemcy okopywali się, a nieopodal było stanowisko karabinu maszynowego. Od razu zrozumiałem co się święci. Wracaliśmy mocno przygnębieni. Po powrocie do obozu zameldowałem się u por. "Mieczyka" i zdałem mu dokładną relację z tego co widziałem.

Tymczasem wracały inne patrole, które były wysyłane w różnych kierunkach. Wszyscy meldowali o napotkanych niemieckich wojskach.

Wówczas oficerowie zebrali się na naradę. Słyszałem jak niektórzy oficerowie radzili aby uderzyć na Niemców zaraz i wyjść z okrążenia gdyż w tym momencie widzieli szansę powodzenia takiej akcji. Wtedy to kpt. "Paweł" powiedział: "przyjmiemy walkę na miejscu. Zachowajcie spokój a wojsko niech normalnie śpi do pobudki".

Wojsko się jednak rozbudziło i cały obóz się ożywił, chociaż do świtu było jeszcze daleko.

Śniadania nie było, wczoraj kolacji też nie, bo nie wolno było palić ognisk. O świcie wydano nam dodatkową amunicję.

Wyrzuciłem z chlebaka całą zawartość, tj. zapasową bieliznę, przybory toaletowe i nawet żelazną porcję, a wziąłem amunicję do Stena. Przypomniłem sobie jak kiedyś mój ojciec, uczestnik I-ej i II-ej wojny światowej, mówił: żołnierz bez jedzenia może wytrzymać kilka dni ale bez amunicji nawet kilku minut nie wytrzyma. Brałem więc amunicję.

Chyba jeszcze przed siódmą wyruszyliśmy na stanowiska. Kazano się nam okopać, ale była tylko jedna łopatka na cały pluton, więc jak kto mógł nazgarnywał rękami trochę piasku, jakiejś faszyny, gałęzi z drzew, ale co to znaczyło.

Zająwszy stanowiska czekaliśmy na atak Niemców w ogromnym napięciu. W tym to czasie nadleciał niemiecki samolot i zaczął krążyć nad lasem. Domyślaliśmy się, że rozpoznaje nasze stanowiska. Wreszcie nieprzyjaciel zbliżył się i słysząc było coraz wyraźniej jego komendy "vorwärts", "vorwärts". Wkrótce zaczęło się. Na razie byliśmy w lepszej sytuacji, gdyż byliśmy ukryci a oni musieli atakować.

Otworzyliśmy ogień ze wszystkich luf. Dostali porządnego łupnia, gdyż szybko cofnęli się w stronę gościńca. Po kilkunastu minutach powtórzyli atak, ale i tym razem sypnęliśmy do nich potężnym ogniem. Niemcy cofnęli się i ukryli.

Mieliśmy pierwszych rannych. Odtransportowano ich do obozu. Na naszym odcinku na razie spokój. Na innych odcinkach wrzała walka. Słysząc było krzyki walczących i strzelaninę.

Sytuacja zmieniła się gdy Niemcy otworzyli piekielny ogień z ciężkiej broni. Zaczęły się rozrywać pociski z moździerzy czy granatników, a na dodatek jeszcze czołgi.

W jednej chwili w lesie zrobiło się ciemno od dymu i kurzu. Pociski rwały się w konarach drzew, na ziemi, a nawet uderzając w pnie.

Dym z kurzem gryzł w oczy powodując łzawienie. Jednym słowem piekło na ziemi. Na domiar złego Bren się zaciął i obsługa z karabinem poszła do tyłu.

Czołgi z bliska ziały ogniem na nasze stanowiska. W tym grzmocie rwących się pocisków i trzasku broni ręcznej nie było słysząc komend dowódców. Zresztą już nie miał kto dowodzić, bo kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz" padł ciężko ranny od pierwszej serii z czołgu. Kpt. "Paweł" gdzieś się oddalił w czasie gdy szły na nas czołgi. Podobno poszedł po granaty przeciwpancerne. Dalej z tyłu był ppor. "Dąb" ale to już niewiele znaczyło. Czołgi i ciężka broń wroga zrobiły swoje. Padli pierwsi zabici. Przybywało rannych. Ranni zaczęli się wycofywać a z nimi także ci, którzy nie wytrzymali psychicznie nawały ogniowej.

Widząc co się dzieje ppor. "Dąb" usiłował ich zatrzymać, lecz bez skutku. Poszli do tyłu. Pozostało nas na stanowiskach kilku, 4-ch a może 6-ciu. Dokładnie nie wiem ilu, ale niewielu.

Zmieniłem stanowisko na lepsze po którymś koledze.

Niemcy tymczasem biją do nas z czołgów i tych przeklętych granatników. Sytuacja coraz gorsza. Wybuchy pocisków raz mnie podnoszą w górę to znów przyciskają do ziemi. Wydaje mi się, że to trwa wieki.

Naraz cichnie ogień artyleryjski, a po chwili Niemcy ponawiają natarcie.

Nas jednak kilku trwało na stanowiskach, więc plunęliśmy w nich ze Stenów należycie, bo znów zalegli.

W tym czasie wycofała się grupa ludzi dowodzona przez por. "Mieczyka", zajmująca stanowiska po lewej stronie od nas. Wycofali się na nowe stanowiska, położone kilkadziesiąt metrów za nami. Mogli to zrobić dzięki temu, że my trwaliśmy na naszych pozycjach obronnych. W przeciwnym razie Niemcy zaszli by ich od tyłu i odcięli odwrót. Można się domyśleć co by się tam działo. W ogóle Niemcy mieli zamiar likwidować nas etapami, chcieli też koniecznie przełamać naszą obronę by wejść na nasze tyły. Udało im się to później, ale nie miało to już większego znaczenia.

Tymczasem Niemcy znów przykryli nas ogniem. Od nowa piekło na ziemi.

Obejrzałem się do tyłu. Ppor. "Dąb" dawał mi znak do wycofania się i wkrótce znikł mi z pola widzenia.

Niestety rozkaz był chwilowo niewykonalny gdyż nie można było poderwać się z ziemi z powodu gęsto padających pocisków, a przy tym dość blisko stały czołgi i grzmociły ze wszystkich luf broni pokładowej.

Nagle straszny huk tuż przy mojej głowie. To rozerwał się pocisk artyleryjski ogłuszając mnie. Po odzyskaniu przytomności chwyciłem Stena, który leżał opodal podrzucony podmuchem, i to w samą porę gdyż niemal w tej samej chwili wyszedł Niemiec z zagajnika ze "Schmeisserem" gotowym do strzału. Szedł prosto na mnie mocno pochylony do przodu. Przygrzałem mu serię z odległości kilku kroków, a on wyprostował się, przegiął do tyłu i runął na ziemię.

Obejrzałem się do tyłu i zdreptałem. Tam już byli Niemcy.

O Boże, to już koniec ze mną, pomyślałem.

Spojrzałem w prawo na czołg stojący najbliżej mnie. Niemców nie widzę, ale wiem że oni są tam gdzieś blisko. Czołgi tymczasem zieją ogniem, tylko że dalej w las.

W miejscu gdzie byli koledzy już są Niemcy, a tamci polegli albo wycofali się z grupą por. "Mieczysław".

Spojrzałem znów na czołgi i nagle myśl. Tędy. To jedyna i ostatnia szansa. Nie miałem wyboru. Innej drogi już nie ma. Dokoła mnie są Niemcy. Widzę ich jak przeskakują od drzewa do drzewa. Mnie jeszcze nie zauważyli, bo jestem zamaskowany, w dodatku przysypany darnią i piaskiem.

Szybko zmieniłem magazynek u Stena i skok w bok, tuż przy czołgu. Udało się. Znalazłem się w zagajniku i po kilku skokach runąłem na ziemię. Teraz mnie spostrzegli i zaczęli strzelać za mną. Serie niemieckie szły jednak za wysoko.

Posypały się na mnie gałęzie i igliwie obcięte przez pociski. Byłem żywy i cały. Po pewnym czasie poderwałem się i pomknąłem w głąb lasu.

Biegłem tak przed siebie nie bardzo orientując się gdzie nasi a gdzie Niemcy. Wreszcie spotkałem kilkunastu partyzantów, ale zanim dołączyłem do nich, zaczęły się rwać pociski niemieckiej artylerii, która przenosiła ostrzał już w różne punkty.

Oni cofnęli się, a ja zostałem na miejscu, tak że pogubiliśmy się. Dopiero gdy Niemcy przerzucili ogień artylerii w inne miejsce, poderwałem się i pobiegłem dalej, znowu sam. Po kilkunastu, a może kilkudziesięciu minutach, spotkałem kilku partyzantów, a wśród nich mojego dobrego kolegę pchor. Józefa Sasaka, ps. Kobus.

Dołączyłem do nich i już razem biegliśmy w kierunku skąd słychać było odgłosy walki. Przebiegaliśmy przez polankę gdy nagle grzmotnęło kilka pocisków artyleryjskich. Runęliśmy na ziemię, ale o ułamek sekundy za późno. Ja dostałem odłamkiem w nogę na szczęście lekko, a pchor. Sasak w pierś. Podbiegliśmy do niego ale on już nie żył. Współtowarzysze poszli dalej. Ja przez chwilę zostałem przy zabitym koledze. Trudno opisać to co czułem w tej chwili i nie będę opisywał. Nadmienię tylko, że był on moim serdecznym przyjacielem. Wiele wspólnych przeżyć łączyło nas już wcześniej w konspiracji, gdyż on i ja byliśmy dość aktywni.

Ze ściśniętym sercem zostawiłem go tam na polance. Zabrałem jego karabin, najprzód zamek wyrzuciłem w krzaki a następnie uderzyłem karabinem w pień drzewa utracając kolbę i rzuciłem na drzewo gdzie zawisł zaczepiając się o gałąź.

Powlokłem się za chłopcami, którzy zdążyli zniknąć w lesie. Szedłem w dobrym kierunku gdyż coraz wyraźniej słychać było odgłosy walki.

Gdy nagle huk blisko mnie. Upadłem na ziemię jak ścięty.

Teraz oberwałem porządnie. Jeden odłamek utkwiał mi w drugiej nodze, drugi zaś trafił mnie w dolną szczękę.

Rozciął mi wargę i Wybił kilka zębów. Padając uderzyłem twarzą w korzeń drzewa, tak że pękła mi kość policzkowa. Zamroczyło mnie lecz przytomności nie straciłem.

Pamiętam że jak spojrzałem na oczy, świat wokół mnie był fioletowy. W głowie ogromny szum i w uszach dzwonienie tysięcy dzwonków.

Zaczęła mi wracać pełna świadomość i nagle strach, że wpadnę w ręce wroga. Myśl ta dodała mi sił. Wstałem z ziemi i zacząłem iść. Czułem ostry ból w nogach i twarzy ale szedłem, a to znaczyło że mam całe kości. O pęknięciu kości policzkowej na razie nie wiedziałem. Szalikiem przewiązałem brodę i po pewnym czasie rozcięta wargę przestała krwawić.

Najbardziej dokuczały mi ruszające się zęby, ale i to musiałem wytrzymać.

W takim to stanie dołączyłem do grupy ludzi, którzy walcząc próbowali wyjść z okrążenia.

Pamiętam dobrze, że zrobiło się ciemno gdy my jeszcze byliśmy w walce. Rzucaliśmy się do przodu z okrzykiem "hurra, hurra", to znów cofaliśmy się w zależności od sytuacji albo uderzaliśmy na boki. Czasem czołgaliśmy się, innym razem przebiegaliśmy jakiś odcinek drogi by znów paść na ziemię i strzelać do umykających szkopów. Byliśmy cały czas w natarciu.

Niemcy strzelali do nas, ale za każdym razem zmuszaliśmy ich do ucieczki. Szliśmy do przodu jak w transie.

Byli między nami ranni ale i oni nie pozostawiali w tyle lecz jeden przed drugim parli do przodu.

Wreszcie wyszliśmy z okrążenia. Szliśmy przez pewien czas lasem aż dotarliśmy na jego skraj. Tam spotkaliśmy inny oddział partyzancki który jak my wyszedł z terenu walk. Razem było nas około 100 ludzi.

Zarządzono odpoczynek, na który solidnie zasłużyliśmy.

Siedzieliśmy na ziemi okropnie zmęczeni. Ktoś wyjął butelkę wódki czy bimbru i puścił ją wokoło. Starczyło dla wszystkich, gdyż nikt nie pił a tylko zwilżał spieczoną wargę. Wtedy przypomniałem sobie, że mam papierosy. Całe 100 szt. "Junaków", które wetknął mi kwatermistrz podczas pobierania amunicji.

Wyciągnąłem te papierosy i poszły w obieg. Ja nie paliłem z powodu okaleczonej wargi no i tych ruszających się zębów, których nie mogłem dotknąć nawet językiem, bo strasznie bolały.

Chłopcy palili papierosy w rękawach żeby się nie zdradzić i rozmawiali szeptem. Byliśmy smutni i przygnębieni, gdyż nikt z nas nie spodziewał się że taki będzie koniec. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział jaki jest bilans tych całodziennych zmagania z siłami wielokrotnie przewyższającymi nas pod względem ilości wojska jak i siły ogniowej wroga.

Wiedzieliśmy na pewno, że wielu z nas tam w lesie zostało, a my to widzieliśmy na własne oczy.

To było straszne.

Siedziałem pod drzewem obolały i skrwawiony, myśląc o kolegach z którymi jeszcze rano rozmawiałem, a teraz ich tu nie ma, gdyż rozłączyliśmy się w pierwszej fazie bitwy. Później dołączyłem do pierwszego oddziału jaki napotkałem. Tak, że teraz byłem sam wśród nieznajomych mi ludzi.

Ktoś - gdyż nie wiem kto to był, objął dowództwo nad tym oddziałem. Postanowiono rannych odtransportować do Jeleńca, a zdrowi pomaszerowali na punkt zborny. Gdzie to było nie pamiętam.

W Jeleńcu opatrzone nasze rany i przydzielono na meliny w celu dalszego leczenia. Lekarz czy felczer, tego nie wiem, zeszył mi wargę i usunął trzy wybite zęby. Następne trzy usunięto mi już po powrocie do domu. Mimo ran w obydwu nogach to jednak mogłem chodzić, więc postanowiłem powrócić do domu możliwie jak najszybciej. W Jeleńcu też dowiedziałem się o upadku powstania w Warszawie i o rozkazie demobilizacji oddziałów "Potoka".

W domu zostawiłem chorą i skołataną przeżyciami matkę i dziesięcioletniego brata pod opieką obcych ludzi. Koledzy z mojej wioski wrócili wcześniej do domu i powiedzieli mojej matce, że zginąłem. Rozpacz matki była ogromna, a ja byłem trzecią ofiarą wojny w mojej rodzinie.

Ojciec, uczestnik Kampanii Wrześniowej zamordowany przez Niemców, młodszy mój brat BCh-owiec zginął 14-go sierpnia 1944 r., a teraz ja 6 tygodni po bracie. Ja jednak żyłem i mimo ran które coraz bardziej mi dokuczały i dzięki ludzkiej życzliwości, po kilku dniach wróciłem do domu.

Nadmienię jeszcze, że z bronią doszedłem do Jeziórka. Tam w gajówce zostawiłem Stena i resztę amunicji. Mundur natomiast zdjąłem w Koryciźnie, u leśniczego p. Barańskiego. Tam otrzymałem cywilne ubranie, w którym powróciłem do rodziny.

Ciężki i bardzo niebezpieczny był to powrót bez dokumentów, w dodatku do strefy przyfrontowej. Wszędzie było pełno niemieckich żołnierzy, tak we wsiach jak i w lasach. Były to odwody niemieckie na przyczółku Sandomiersko-Baranowskim.

Chociaż byłoby o tym co opowiadać czy pisać to jednak rezygnuję z tego, gdyż stanowi to odrębny rozdział moich przeżyć.

Tadeusz Nowak "Żelazny"

Tadeusz Nowak pochodził ze wsi Bidziny, gdzie już w 1940 r. powstała silna placówka ZWZ, rozbudowana w okresie wojny do wielkości kompanii. Dowódcą jej został kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz".

Żołnierze tej kompanii brali udział w walkach Iłżeckiego Pułku, a czterech z nich, tj. kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz", pchor. Józef Sasak "Kobus", pchor. Lucjan Luzak "Kos" oraz Aleksander Bieliński "Sęp", oddali swe życie.

Założycielem placówki ZWZ w Bidzinach i Jasicach był Tadeusz Adamski.

Placówkę początkowo tworzyło kilka osób, tj. Tadeusz Adamski, Zdzisław Piotrowski, Marian Rumiński, Stanisław Soja i Władysław Łukaszewski. Trzej ostatni byli podoficerami Wojska Polskiego.

Po powrocie z niewoli w 1941 r. dołączył do nich st. sierż. łączności Jan Pater "Szarota".

Tadeusz Adamski opuszczając Bidziny przekazał dowództwo placówki w ręce "Szaroty", który placówkę zaczął rozbudowywać, włączając dalsze wioski, jak np. Grochocice i Wojciechowice.

Jesienią 1941 r. powrócił z niewoli ppor. Jan Młynarczyk "Mieczyk", który wspólnie z "Szarotą" starał się powiększać placówkę i szkolić żołnierzy.

Pod koniec 1941 roku placówka liczyła już ponad 50 ludzi.

Bardzo aktywny zespół złożony z ppor. Jana Młynarczyka "Mieczyka", sierżanta Mariana Rumińskiego, ps. Pomróż, i ppor. Zdzisława Piotrowskiego, ps. Dobry, zajęła się dodatkowo redagowaniem kroniki.

Pod koniec 1941 roku placówka nawiązała kontakt z ppor. Janem Pękalskim "Molendą" - dowódcą kompanii ZWZ w Ćmielowie, a następnie z Komendantem Podobwodu por. Piotrem Szczepaniakiem "Pawłem", awansowanym w późniejszym czasie do stopnia kapitana.

Na początku 1942 r. zorganizowano własną podchorążówkę, do której przyjmowano młodzież studiującą.

Zaraz po kursie przesyłano podchorążych na praktyczne przeszkolenie do oddziałów leśnych.

Grupa podoficerów i żołnierzy szeregowych szkolona była w zakresie znajomości nowoczesnej broni w wiejskich budynkach gospodarczych, jakimi były stodoły. Główne zasługi w tej dziedzinie miał sierżant Marian Rumiński "Pomróż".

Zorganizowano także żeńską grupę łączniczek i sanitariuszek. Uczono je robienia zastrzyków, udzielania pierwszej pomocy rannym oraz innych czynności. Szkolenie w tym zakresie prowadził z dziewczętami lekarz weterynarii Józef Sałapa.

W tym to czasie wstąpił do organizacji wysiedlony i mieszkający w okolicy Bidzin, ppor. Józef Rawluk "Olbromski".

Wiosną 1944 r. Komendant Obwodu kpt. Jan Wojciechowski "Młodzian" wezwał na plebanie w Przybysławicach sierżanta "Szarotę" dając mu rozkaz odnalezienia przebywającego w tej okolicy kpt. Stanisława Mazurkiewicza "Bartosza" i wciągnięcia go do pracy w organizacji.

Kilka dni potem "Szarota" zameldował o wykonaniu rozkazu.

Dowództwo nad kompanią Bidziny objął teraz kpt. "Bartosz", natomiast kpt. "Tomek" oddelegował "Szarotę" do zorganizowania łączności Obwodu, które to obowiązki pełnił do czasu mobilizacji w 1944 r. i awansu na podporucznika.

W końcowej fazie wojny kompanią Bidziny dowodziło 3-ch oficerów i 6-ciu podoficerów WP oraz wielu podchorążych wyszkolonych już we własnym zakresie.

Józef Łuczak "Ziuk", poznaniak wysiedlony do Bodzechowa pod Ostrowcem Św., żołnierz kompanii opatowskiej w Iłżeckim Pułku AK, tak pisze o swoich przeżyciach:

"W konspiracji AK zaangażowany byłem, jako 17-letni chłopak, od czerwca 1943 r., w Bodzechowie koło Ostrowca Św.

Kontakt z oddziałami partyzanckimi był najpierw sporadyczny, a następnie zaangażowanie w tych oddziałach miało charakter stały.

W dniu 15 sierpnia 1944 r. Bodzechów został opanowany na kilka godzin przez radziecką jednostkę pancerną.

Po wycofaniu się Rosjan, w obawie przed represjami ze strony Niemców, młodzież bodzechowska udała się w lasy.

Znalazłem się wówczas w oddziale kpt. "Wiernego" ("Tomka").

W tym okresie byłem naocznym świadkiem pacyfikacji wsi, prawdopodobnie Dębowego Pola. O tym zdarzeniu napiszę przy innej okazji jeśli będzie taka potrzeba.

Do Oddziału Potoka przybyliśmy z Oddziałem kpt. "Pawła", w drugiej połowie września. Doskonale pamiętam wydarzenia w dniu 1-go października 1944 r.

Była to niedziela, piękna pogoda, alarm i wymarsz na stanowiska.

W czasie marszu słysząc już było strzały.

Na naszym odcinku nie strzelano. Słyszeliśmy tylko charakterystyczny dźwięk poruszających się czołgów. Drogą w lesie jechały dwa czołgi a za nimi szła niemiecka piechota. Czołgi jechały od strony słońca, czyli z kierunku południowego.

Za nami był obóz.

Z prawej strony mojego stanowiska, przy skrzyżowaniu dróg, znajdowało się gniazdo karabinu maszynowego.

Z chwilą oddania pierwszej serii przez rkm, we wspomniane gniazdo uderzył pocisk z działa czołgowego. Widziałem wylatującą w powietrze obsługę wraz z rkm-em.

Zaczęliśmy strzelać. Strzelano również do nas. Wydawało mi się, że następne pociski z działa czołgu wybuchały wysoko nad naszymi głowami, gdyż wraz z odłamkami spadały na nas gałęzie drzew. Wycofując się ze swego stanowiska trafiłem na rannego oficera, który opatrywał sobie brzuch.

Po rozerwaniu osobistego opatrunku uniosłem się na kolana aby pomóc rannemu i w tym momencie zostałem postrzelony.

Dostałem dwoma (jak się później okazało) pociskami, prawdopodobnie z MPi, w lewą rękę na wysokości serca.

Przeżyłem okropny wstrząs gdy zauważyłem że moja ręka jest bezwładna, okręca się, a po palcach spływa krew.

Dostałem polecenie wycofania się do obozu.

Idąc drogą półprzytomny, odnosiłem wrażenie że za mną jadą czołgi strzelając z dział w kierunku obozu oraz z broni maszynowej (widziałem ścięte serią karabinu maszynowego drzewo).

Bólu nie czułem, tylko ta okręcająca się ręka i dziwne osłabienie. Po drodze spotkałem kolegę z Poznania Tadeusza Mrówkę (także wysiedlonego do Bodzechowa), któremu oddałem swój piękny, zrzurowy, niebieski koc.

W obozie otrzymałem pierwszy opatrunek i prowizorycznie unieruchomiono mi rękę. Dopiero wtedy zacząłem odczuwać ból, który z biegiem czasu coraz bardziej się potęgował.

Położono mnie w szałasie obok innych rannych.

W tym czasie obóz był ostrzeliwany z dział czołgów. (Był to ostrzał z moździerzy - uwaga autora). Widziałem płoszące się konie. Jedna para uciekła z wozem w las. Było już słychać krzyki nadchodzących Niemców.

Obok mnie w szałasie leżał ppor. "Sor" ranny w prawą rękę.

Niemcy podchodzili do szałasu od tyłu, strasznie wrzeszcząc. Jeden z nich rzucił granat, który wybuchł na styku dachu szałasu i ziemi, tuż za naszymi głowami ("Sora" i mojej). Widziałem, że odłamki granatu ugodziły w głowę ppor. "Sora" i zdawało mi się, że jego głowa zmienia kształt. Ppor. Zygmunt Cyran "Sor" zginął. Mnie natomiast granat ten przysypał ziemią, a kilka niewielkich odłamków ugodziło mnie w prawą rękę. Miałem od tej chwili ranne obie ręce.

W tym czasie widziałem kleryka Bogdana Sworowskiego w habicie, unoszącego na gałęzi biały ręcznik (znak do poddania się).

Niemcy wkroczyli do obozu. Rannym kazano położyć się na ziemi, na środku placu apelowego.

Co chwila traciłem świadomość. Widziałem jednak poruszającego się pomiędzy rannymi Bogdana Sworowskiego (pocieszał także i mnie). Pamiętam też Hofmanna wydającego jakieś polecenia.

Gdy strzelanina ucichła, zaczęto do obozu znosić rannych i zabitych Niemców. Ładowano ich na wozy. Na jeden wóz załadowany zwłokami Niemców położono również i mnie.

Odzyskałem przytomność jadąc na wozie, obok którego szło dwóch Niemców, nazywali mnie bandytą.

Odczuwałem straszny ból. Powiedziałem Niemcom żeby mnie dobili, na co oni odpowiedzieli "ślaską gwarą", że chętnie by mnie dobili tylko im nie wolno. Skojarzyłem sobie to - oczywiście później - z interwencją Hofmanna.

Zawieziono mnie do wsi - nie jestem pewien - ale chyba była to wieś Koszary. Wrzucono mnie do obory wiążąc mi ręce i nogi, i sprawiając mi przy tym okropny ból. W tej oborze przeżyłem koszmarną noc w obecności jeszcze dwóch rannych partyzantów. Rano obaj już nie żyli. Niemcy wyciągnęli mnie z tej obory i położyli na noszach pod płotem. Zabrali mi buty i nie kazali robić opatrunku.

Po południu przyjechały samochody ciężarowe, na które załadowano zwłoki Niemców. Widziałem dwa samochody, a zwłoki były ułożone jedne na drugich. Mnie natomiast, już na noszach, położono na zwłokach tych Niemców.

Wstrząsy samochodu i niestabilny stos zwłok powodował przemieszczanie się noszy, co sprawiało mi okropny ból.

Jechaliśmy długo i do Radomia. Zdawało mi się, że zatrzymaliśmy się koło kaplicy (może kostnicy szpitalnej), przed którą leżał szereg zwłok Niemców. Szereg ten był długi. (Nie jestem pewien, ale mogły być to dwa szeregi). Zaniesiono mnie na noszach do znajdującego się obok szpitala.

W szpitalu nasze postawiono na korytarzu i tam dostałem zastrzyk, prawdopodobnie morfiny, po którym ból ustąpił.

Po jakimś czasie w izbie przyjęć zrobiono mi opatrunki obu rąk, zakładając na lewą rękę specjalnie skonstruowane szyny, które przymocowano do ręki i klatki piersiowej opatrunkiem gipsowym. Znow zaczęły mnie boleć obie ręce.

W pewnej chwili powstało jakieś zamieszanie i z okrzykami "bandit" umieszczono mnie w karetce pogotowia wojskowego i wywieziono ze szpitala. Była już noc.

Znalazłem się w baraku, w pokoju z pryczami, na których leżało już dwóch rannych. Rano zorientowałem się, że znajduję się w obozie jeńców rosyjskich. (Obóz ten znajdował się na terenie koszar 72 pp WP przy ul. Warszawskiej, blisko za szpitalem. Między szpitalem i koszarami w parku stała i jeszcze stoi kaplica, do której najprawdopodobniej przywieziono J. Łuczaka i innych - uwaga autora).

Moimi współtowarzyszami byli: ranny oficer, którego opatrywałem w czasie bitwy i młody chłopak, który był nieprzytomny.

Oficerem był kpt. Stanisław Mazurkiewicz "Bartosz", a młodym chłopcem Piotr Bołtuć "Borsuk". Kapitan miał kilka poważnych ran brzucha, a Piotr postrzał w głowę.

Pomieszczenie w którym znaleźliśmy się, było obozową izbą chorych. Kpt. St. Mazurkiewicz od postrzału w rękę dostał gangreny. Niemcy amputowali mu rękę w szpitalu. Kapitan jednak nie przetrzymał tej operacji i zmarł 14-go października 1944 r. Przywieziono go do obozu w trumnie z surowych desek i pochowano na terenie obozu. Miał pogrzeb z udziałem księdza katolickiego.

Piotr Bołtuć przez kilkanaście dni był nieprzytomny.

W tym też czasie przesłuchiwany byłem przez gestapowca.

Przez około 2 tygodnie traktowano nas jako bandytów, po czym oświadczono nam że zostaliśmy zgodnie z rozkazem Hitlera uznani za jeńców wojennych.

Rozkaz ten odnosił się oczywiście nie do nas ale do powstańców warszawskich, o czym informując pokazano nam polską gazetę, wydawaną w Krakowie.

Od tego czasu otoczono nas szczególną opieką. Zaopiekowały się nami Siostry Zmartwychwstanki z Radomia, działające z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej, a ponadto opiekowali się nami przedstawiciele Czerwonego Krzyża.

Opieka była bardzo dobra. Polegała na dostarczaniu do obozu specjalnych posiłków, bielizny i ubrań. Rzeczy te osobiście przynosiła siostra Sabina Okruszko. Udało mi się za pośrednictwem siostry Sabiny przekazać rodzinie kilka "grypsów".

Dom Sióstr Zmartwychwstanki znajdował się w Radomiu przy ul. Młodzianowskiej 134. Jak się później okazało, siostra Sabina była łącznikiem między licznymi rodzinami z tzw. Młodzianowa a nami.

Rodziny te przygotowywały według ustalonego programu posiłki dla nas i inną pomoc materialną.

Siostra Sabina przynosiła to wszystko do nas. Była to kobieta wspaniała, bardzo skromna, spokojna i odważna. Musiała zapewne odczuwać strach, wchodząc pomiędzy kolczaste druty, uzbrojonych żołdaków, wieże strażnicze, jednak najważniejszą sprawą dla niej było niesienie potrzebującym pomocy.

Siostrze Sabinie, całemu Domowi Sióstr Zmartwychwstanki oraz wspomnianym radomskim rodzinom zawdzięczamy bardzo wiele. Na pewno dzięki tym ludziom Piotr i ja szybko - jak na tamte warunki - powracaliśmy do zdrowia.

Tak się złożyło, że Siostra Sabina oraz ówczesna Siostra Przełożona Józefa Komarnicka znalazły się po wojnie w Poznaniu.

Obie Siostry już nie żyją. (Zmarł także w 1989 r. w Poznaniu autor relacji Józef Łuczak - przyp. autora).

Po ponownych operacjach rąk w szpitalu, gdyż źle się zrosły, J. Łuczak powrócił do obozu. Dalszy ciąg jego relacji jest następujący:

"W połowie listopada zdjęto mi wreszcie gips (ten dokuczliwy pancierz). Ręką mogłem już swobodnie poruszać.

W drugiej połowie listopada 1944 r. przewieziono mnie i Piotra do obozu w Szczepułowicach koło Tomaszowa Mazowieckiego.

W obozie tym przebywali jeńcy - Polacy, żołnierze z tzw. Armii Berlinga. Byli to ciekawi ludzie.

Warunki w obozie bardzo złe. Było zimno, panował głód. Kontakty z zewnątrz urwały się całkowicie.

Obok naszego obozu znajdował się drugi obóz dla ludzi z powiatu zamojskiego.

Były tam całe rodziny wysiedlone z ziemi zamojskiej. W obozie tym panowały jeszcze gorsze warunki.

Zabroniono nam kontaktowania się z tymi ludźmi. Obóz był silnie strzeżony.

W pierwszej połowie grudnia przewieziono nas do Skierniewic.

Do obozu rannych powstańców warszawskich przybyliśmy jako jedyni przedstawiciele "leśnych ludzi". Serdecznie witani przez powstańców znaleźliśmy się we wspaniałej atmosferze, między wspaniałymi ludźmi (od wojennych weteranów do małych, bardzo dzielnych chłopców). Wszyscy byli ranni, niektórzy ciężko.

Był to już grudzień 1944 r. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia.

Obóz przygotowywał się na te Święta w niewoli w sposób na jaki było nas stać.

Zorganizowano choinkę, z miasta zaczęły napływać paczki (adresowane imiennie).

Z tym faktem wiąże się tragikomiczne przeżycie.

Siedziałem na pryczy, a na "piętrze" siedział warszawski powstaniec, (ranny również w rękę, tylko w prawą).

Nagle wołają: "Łuczak po odbiór paczki". Poderwałem się, ale przecież ja nazywam się "Bajerczak" (takie podałem nazwisko aby uchronić rodzinę). Czekam więc co się będzie dalej działo.

I o dziwo, z pryczy schodzi mój sąsiad i po chwili wraca z małą paczką.

Okazało się, że nazywa się Łuczak i ma na imię Jerzy.

Tak więc dziwnym zbiegiem okoliczności, dwóch Łuczaków zajmowało jedną piętrową pryczę, nic o tym nie wiedząc.

Oczywiście po pewnym czasie ujawniłem swemu sąsiadowi prawdziwe nazwisko. Jerzy był morowym chłopakiem z ul. Czerniakowskiej 53.

W pierwszych dniach stycznia 1945 r. uznano mnie za wyleczonego i przeniesiono do drugiej części obozu. Były to ziemianki zamieszkałe przez jeńców rosyjskich. Warunki okropne. Wyżywienie bardzo złe. Nosilem się z zamiarem ucieczki i w tym celu "zorganizowałem" kapelusz. Taki cywilny kapelusz ze sznurkiem. Na wszelki wypadek nosilem go w kieszeni. Nie trzeba wyjaśniać, że jego fason był z tego powodu nieco zmieniony.

Ubierałem się wtedy w cywilne spodnie i wojskową bluzę, na którą wkładałem marynarkę (spadek po kpt. Mazurkiewiczu). Posiadałem również cywilną kurtkę.

Nastąpił wreszcie dzień ewakuacji (ewakuowano Rosjan i nas dwóch zdrowych Polaków).

Uformowano długą kolumnę (kilkaset a może i więcej ludzi). Po obu stronach tej kolumny szli Niemcy z karabinami w rękach (a niektórzy prowadzili psy). Prowadzono nas przez miasto całą szerokością ulicy. Wtedy to postanowiłem uciec.

Idąc w środku kolumny wyciągnąłem z kieszeni mój kapelusz i po rozprostowaniu włożyłem na głowę. Przesuwając się do skraju idącej kolumny wyszedłem w pewnym momencie na chodnik i zmieniłem kierunek marszu na odwrotny. Niemcy podejrzliwie mnie oglądali ale nie legitymowali. Wreszcie kolumna przeszła, a ja już wolniej powędrowałem do miasta pod ustalony adres.

W obozie mieliśmy rozdzielone punkty kontaktowe w mieście. Zameldowałem się u p. Kowalskiego na ul. Bolimowskiej 26. Działo się to 16-go lub 17-go stycznia. Dwa dni później, a dzień po wkroczeniu wojsk radzieckich, aresztowano mnie w domu, podczas nocy (nie miałem żadnych dokumentów).

Znalazłem się w więzieniu w Skierniewicach z Niemcami, volksdeutschami, pod "opieką" NKWD. Był to dla mnie prawdziwy szok.

Po przekazaniu więzienia polskim władzom bezpieczeństwa, dzięki staraniom moich gospodarzy, znalazłem się ponownie na wolności.

Po uzyskaniu odpowiednich zaświadczeń w magistracie miasta, 27-go stycznia 1945 r. ruszyłem na piechotę do domu, który jeszcze był w Bodzechowie.

Droga była straszna: śnieg i mróz. W Radomiu zatrzymałem się przez dwa dni u swoich Sióstr Zakonnych. W Iłży przenocowałem się w Domu Starców, a wieczorem po 9-ciu dniach wędrówki znalazłem się w Bodzechowie u rodziny.

Na początku marca znaleźliśmy się wszyscy w Poznaniu.

Tak skończyły się moje wojenne przygody. Pozostały blizny po ranach..... i wspomnienia.

Józef Łuczak "Ziuk"

Wspomnienia Łuczaka dobrze obrazują nasze polskie społeczeństwo w czasie niemieckiej okupacji. Widać tu na każdym kroku wzajemną pomoc w nieszczęściu, konsolidację działań ludzkich dla umożliwienia przetrwania innym. Józef Łuczak należał do tych kilku szczęśliwców, których Hofmann wskazał aby ich nie zabijać. Dzięki temu że przeżył, stał się świadkiem różnych zdarzeń, o których nie moglibyśmy się dowiedzieć (śmierć ppor. Zygmunta Cyrana, śmierć kpt. Stanisława Mazurkiewicza, i wielu innych). Piotr Bołtuć "Borsuk", który był leczony w Radomiu razem z Łuczakiem, z powodu postrzału w głowę był nieprzytomny przez wiele dni, więc jako świadek nic nie potrafi powiedzieć.

Częściowo sparaliżowany, żyje w Ośrodku dla Nieuleczalnie Chorych w Ostrowcu Świętokrzyskim. Józef Łuczak ukończył wyższe studia rolnicze lecz przeżycia wojenne zniszczyły mu zdrowie i zmarł w wieku 61 lat.

Przytoczę teraz wspomnienia Mieczysława Pietrzaka, ps. Pik, także wysiedlonego przez Niemców z Poznania do Ostrowca Św., który był żołnierzem kompanii ostrowieckiej, dowodzonej przez ppor. Janusza Marczyńskiego. Aby nie powtarzać pewnych spraw, zacznę od bitwy pod Piotrowym Polem w dniu 1. X. 1944 r.:

"Alarm nastąpił w godzinach rannych w dniu 1. 10. 44 r. i zgodnie z poprzednimi ustaleniami nasza kompania zajęła z góry ustalone pozycje, to jest w starych okopach. Rozkaz dowódcy kompanii por. "Kwiatkowskiego" - Janusza Marczyńskiego brzmiał: "podpuścić Niemców jak najbliżej, a ogień otworzyć tylko na mój rozkaz, strzelać pewnie, oszczędzać amunicję".

Gdy tyraliera niemiecka była tuż - tuż, padł strzał i wówczas z zajmowanych stanowisk runęła salwa, po której tyraliera niemiecka znikła.

W ciszy która zapanowała, słychać było tylko jęki rannych. Trup leżał gęsto. Uciecha mimo powagi chwili była wielka, lecz trwała krótko gdyż padł rozkaz wycofania się na drugą pozycję. Zginął jeden partyzant z naszej kompanii.

Po ponownym ataku niemieckim, który też został odparty, Niemcy rzucili do walki czołgi i samoloty.

W toczącej się walce zginął mój kolega Henryk Kaczmarek, którego wraz z innymi ściągnąłem na nasze pozycje.

Walka rozpoczęła się na dobre i to co się działo nie sposób opisać, to trzeba przeżyć.

Było to piekło na ziemi. Płacz i jęki rannych, u drugich strach, u innych skupione twarze i zawziętość na wroga. Tych ostatnich było najwięcej.

Druzgocąca przewaga Niemców i odpowiedzialność za życie i zdrowie partyzantów spowodowały to, że dowództwo podjęło decyzję wydostania się z okrażenia i uderzenia w kierunku leśniczówki Kruki.

Gdy skierowaliśmy się we wskazanym kierunku jeden z kolegów osłabł (ppor. Witold Duchnicki był po zapaleniu płuc) i mimo że byłem razem z kolegami, pozostałem z nim ażeby mu dopomóc w marszu. Wówczas poprosiłem kolegę "Foka" dając mu zegarek, pierścione, ażeby przekazał mojej rodzinie gdybym nie wrócił.

Miałem przeczucie, że z tego okrażenia nie wyjdę.

Pozostawiłem przy sobie Stena i Visa.

Szliśmy dużo wolniej we wskazanym kierunku, gdyż na moim ramieniu podpierał się Witold.

W czasie marszu zauważyliśmy dwóch Niemców, którzy się skradali. Wówczas leżąc oddałem serię w ich kierunku. Wycofując się słyszeliśmy krzyki Niemca, gdy nagle nastąpił wybuch granatu w pobliżu gdzie przechodziliśmy. Granat ten rzucił trzeci Niemiec, którego przedtem nie było widać. Poczulem ból w prawej ręce. To odłamek trafił mnie w ramię.

Gdy uszliśmy spory odcinek drogi, stwierdziliśmy że idziemy w złym kierunku, gdyż dotarliśmy znów do starych okopów.

W czasie odpoczynku Witold założył mi opatrunek. Stwierdziliśmy że nie posiadamy naboju do Stena. Pozostały mi tylko dwa w Visie.

Powiedziałem wtedy że te są dla nas.

Przypomniały mi się wówczas słowa matki, które powiedziała przy pożegnaniu: "pamiętaj synu że życia sobie nie dawałeś i życia sobie nie odbieraj". Postanowiliśmy broń ukryć tak, żeby z niej nie skorzystali wrogowie.

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, usłyszeliśmy wokół niemieckie głosy nawołujące się, gdyż już było szaro. Nadchodziła noc.

Postanowiliśmy, że schowamy się w starych okopach (szliśmy wzdłuż). Gdy szukaliśmy odpowiedniego miejsca, zauważyliśmy dwóch partyzantów którzy zabłądzili. Było nas więc czterech.

Znaleźliśmy w rowie dość znaczne wgłębienie (niedaleko krzewu) i postanowiliśmy przeczekać noc a później zobaczymy co robić dalej.

Naznosiliśmy liści z dalszej odległości (ażeby nie zwrócić uwagi na nasz schowek) i położyliśmy się nakrywając się kocem (miał go jeden z tych którzy do nas dołączyli), a na koc rozrzućliśmy liście, tak żeby nie było nic widać.

Po takim zamaskowaniu przeleżeliśmy spokojnie do rana mimo odgłosów strzałów. Gdy postanowiliśmy że wyjdziemy z kryjówki, nagle w pobliżu usłyszeliśmy strzały i niemieckie okrzyki.

To niemiecka tyraliera przeszukiwała las, a strzelali do każdego poruszanego przez wiatr krzaka.

Przeszła nad nami jedna tyraliera, później druga i wierzyliśmy w szczęśliwy los, gdy przy trzeciej tyralierze Witold nie wytrzymał nerwowo i odkrył koc.

Wówczas zobaczyłem wystraszone twarze własowców i usłyszałem krzyk "bandit - polnisch bandit raus".

Po około 14-tu godzinach nieruchomego leżenia byliśmy cali zdrętwiali. Nie mogłem wyjść z rowu, gdyż nie mogłem stanąć na prawą nogę (zdrętwiała), ale Niemcy pomogli mi kolbami i kopniakami.

Wyprowadzono nas na leżnię i tam zaczęto nas rewidować.

Musieliśmy opróżnić kieszenie i chlebaki, a gdy zobaczyli paczki papierosów "Egipskich", które miałem w chlebakach, to własowcy z uciechy zaczęli wokół nas tańczyć, jak murzyni wokół bębna wojennego.

Jeden z własowców kazał mi zdjąć buty (oficerki) z nóg i tak zostałem w skarpetkach. Broni nie znaleźli, gdyż uprzednio zakopaliśmy ją.

W pewnej chwili własowcy kazali nam uciekać do domu, ale zauważyłem że trzech z nich szykuje broń, więc krzyknąłem ostrzegawczo na kolegów aby zostali na miejscu.

Gdy zaczęli mnie okładać kolbami zjawił się major niemiecki i wstrzymał dalsze bicie, a nas kazał wsiąść do niewoli.

Prowadzono nas teraz za tyralierą.

W pewnej chwili zauważono leżące zwłoki wyższego oficera niemieckiego (Sturmbannführer), który leżał z odbezpieczonym granatem (zawleczka wyrwana i wisiała na sznurku).

Został zabity serią z automatu od prawego ramienia do lewego biodra.

Wtedy kazano mi delikatnie wyjąć granat z ręki i położyć obok zwłok.

Nie mogłem sobie przypomnieć ani wówczas, ani teraz, jak wyłamałem zastygłe palce i wyjąłem ten granat.

Pamiętam tylko moment gdy nachylałem się nad trupem i dotknąłem skostniałej ręki oraz krzyki Niemców "langsam", które słyszałem jak z zaświatów.

Jak mi opowiadał Witold, gdy wyjąłem granat Niemcowi z ręki to trzymałem go przez chwilę tak jakbym chciał go rzucić między Niemców i gdyby nie krzyknął na mnie abym go delikatnie położył, to mogli mnie zastrzelić.

Następnie dano nam pałatkę, na której położyliśmy zwłoki i musieliśmy je nieść za tyralierą.

Nie było to łatwe, gdyż oficer ten był dobrze zbudowany i dla nas za ciężki.

Gdy zauważono, że zwłoki są częściowo ciągnięte po ziemi dano nam do pomocy dwóch żołnierzy (w tym jednego Ślązaka). Twierdził on że nie jest Niemcem ani Polakiem, tylko Ślązakiem.

Po około 3-ch godzinach dotarliśmy do drogi Iłża-Ostrowiec. Na drodze pełno było Niemców i samochodów ciężarowych, na które ładowano zwłoki niemieckich żołnierzy. Trupów niemieckich leżało około 300, a nie wiem ile już wywieziono.

(Taka ilość zabitych Niemców wydała się Pietrzakowi gdy zobaczył wzdłuż gościńca leżących żołnierzy niemieckich, niekoniecznie zabitych - uwaga autora).

Nas położono w rowie z rękami na karku i bagnetami przyłożonymi do pleców. Razem z żołnierzami radzieckimi było nas 11-tu.

Gdy tak leżeliśmy czekając na śmierć, przyjechał generał niemiecki i po wydaniu rozkazów odjechał.

Nam kazano powstać i ustawiono po trzech, dając każdemu po dwie skrzynki z amunicją do niesienia oraz zawieszono nam karabiny na piersi i plecach.

Tak nas prowadzono w stronę Iłży.

Gdy mijaliśmy zagrody wiejskie to wszyscy mieszkańcy (kobiety, starcy, dzieci) musieli wyjść przed opłotki i patrzeć "jak prowadzą złapanych bandytów, którzy rabowali po wioskach".

Ludzie patrząc na nas płakali.

Przyprowadzono nas do zagrody gospodarskiej (prawdopodobnie w Błazinach).

Gdy znalazłem się na podwórzu zobaczyłem więcej partyzantów wziętych do niewoli. Później zostałem zaprowadzony do izby w domu gospodarza gdzie urzędowało gestapo (prawdopodobnie ze Starachowic) na przesłuchanie.

W pierwszej kolejności miałem wyjąć wszystko z kieszeni. Nie miałem nic prócz różańca. Gestapowcy nie wiedzieli, że wszystko zabrali nam wcześniej własowcy.

Padły pytania i odpowiedzi: "Kto był dowódcą oddziału? - por. "Potok". "Skąd macie broń i amunicję? " - ze zrzutów. "Skąd mieliście żywność? " - nie wiem. "Nazwisko i imię i skąd jesteście? " - Zarzycki Mieczysław, Poznań. "Czy między wami są oficerowie? " - nie ma (ze mną był ppor. Witold Duchnicki).

Po przesłuchaniu zamknięto mnie w pomieszczeniu dla inwentarza.

Tam, leżąc na gnoju, zobaczyłem dowódcę kompanii por. "Kwiatkowskiego", który powiedział do mnie, że od dzisiaj jest szeregowcem o pseudonimie "Kaktus" i że nie mam go już nazywać porucznikiem gdyż Niemcy go poszukują.

Przypomniłem sobie, że gestapowcy pytali przecież o oficerów.

Powiedziałem dowódcy, że nie oddałem pieniędzy zaszytych w spodenkach. Podśluchał to jeden z leżących i chciał żebym się z nim podzielił.

Pod wieczór wywieziono pierwszy transport. Kolegom wiązano ręce z tyłu i ładowano na samochód ciężarowy.

Noc była straszna. Różne myśli krążyły po głowie: kiedy przyjdzie kolej na mnie, jak będę stracony, powieszony czy rozstrzelany?

Modliłem się o to by rodzina mogła zabrać moje zwłoki z miejsca stracenia i pochować. W następnym dniu jeden z Niemców potrzebował ochotnika do przyniesienia chleba. Na kilku zgłoszonych wybrał tego, który chciał podzielić się moimi pieniędzmi (piszę dlatego, że go nie znałem a później poznałem).

Po pewnym czasie ten sam Niemiec powiedział, że ochotnik który poszedł po chleb nie próbował uciekać i w nagrodę został zwolniony do domu.

Pomyślałem że na pewno go "załatwili", ale była to nieprawda.

W godzinach popołudniowych przyszła kolej i na mnie.

Związano mi z tyłu ręce lontem (Niemcy się śmiali, że Anglicy tylko po to nam go przysłali) i kazano skakać na samochód.

Na samochodzie klęczeli już inni po pięciu w dwóch rzędach. Ciężko mi było wskoczyć (mimo że byłem wygimnastykowany) gdyż bolały mnie mięśnie od kopniaków i uderzeń kolbą.

Wreszcie dostałem się na samochód. Gdy ładowanie dobiegło końca, przyszedł gestapowiec i kazał odwrócić się twarzą do siebie.

Gdy odwróciłem się to zobaczyłem gestapowca i stojącego przy nim zwolnionego niby partyzanta, który nie uciekł przy transporcie chleba.

Gestapowiec, po wskazaniu mnie przez tego partyzanta, kazał mi zejść na dół. Spytał się gdzie mam schowane pieniądze, a gdy powiedziałem, to rozerwał spodenki i zabrał pieniądze, a przy tym znalazł też różaniec. Wówczas metodą gestapowską nastąpiło "podziękowanie", a na różańcu kazał mi się powiesić i wrócić do samochodu.

Przyszła teraz nowa udręka gdyż już na wskakiwanie do samochodu nie miałem sił, a każda nieudana próba kończyła się kopniakiem.

Gdy trzeci raz próbowałem i nie mogłem wskoczyć to koledzy kazali mi stanąć przy wozie i zębami wciągnęli mnie na samochód.

Była to wielka uciecha dla Niemców, gdyż wszystko odbywało się przy salwach śmiechu i dowcipach.

Jazda po leżniach i drogach była dla nas katuszą. Najgorzej jednak mieli ci co klęczeli z przodu i z boków. Przy każdym wstrząsie przewracali się uderzając o obudowę samochodu.

Klęcząc trzeba było najszerzej rozstawić kolana, a ci z przodu chwyтали za bluzy tych z tyłu, itd. Tym sposobem zmniejszano ilość upadków, a tym samym uderzeń od wartowników.

Był to dzień 3. X. 1944 r. gdy przywieziono nas do starej szkoły (w czasie okupacji zajmowanej przez Niemców i fabryki cukrów "Amor") w Ostrowcu Św. przy ul. Polnej. Przyniesiono nam chleb i marmoladę.

Należy w tym miejscu wspomnieć o polskiej patriotce inż. Kwiatkowskiej, która w czasie okupacji hitlerowskiej zajmowała się dożywianiem wysiedleńców, a na wieść o przywiezieniu polskich partyzantów dostarczała chleb i marmoladę.

Otrzymaliśmy pół chleba i nabierkę marmolady. Smakowało to jak największy rarytas, nie wiedząc kiedy otrzymamy następne jedzenie.

Koledzy żalowali, że nie przyjechałem wczoraj, gdyż można było zorganizować ucieczkę (znałem dobrze zabudowania gdyż pracowałem w "Amorze") lecz dzisiaj ustawili dodatkowo na dachach karabiny maszynowe.

W budynkach tych oprócz kilkudziesięciu partyzantów znajdowali się też żołnierze radzieccy wzięci do niewoli.

Nastąpiła chwila dalszej drogi. Transport przygotowano - jedna kolumna żołnierzy radzieckich, następnie żołnierze Armii Krajowej i znów żołnierze radzieccy.

Wraz ze mną w szeregu stanęli ppor. Witold Duchnicki, szer. Kazimierz Nowak, szer. Stanisław Kuntze.

Prowadzili nas przez Ostrowiec do dworca kolejowego.

Przechodnie nie mogli zbliżyć się do nas gdyż otrzymywali uderzenia kolbami. Mimo silnej obstawy niemieckiej znaleźli się odważni i pytali się nas skąd i kogo powiadomić.

Do wagonów ładowano nas grupami po 70 ludzi.

Gdy pociąg ruszył zastanawialiśmy się do którego obozu koncentracyjnego nas wiozą.

Do Częstochowy przyjechalismy 5. X. 1944 r. i ogarnęło nas wielkie zdziwienie gdy kazano nam opuszczać wagony.

Znaleźliśmy się w obozie podfrontowym dla żołnierzy radzieckich.

Wprowadzono nas do baraku rewizyjnego. Tam musieliśmy się rozebrać do naga, układając oddzielnie bieliznę, spodnie i marynarki. Następnie podchodziliśmy do gestapowca, który stał z trzcinką i stawaliśmy w rozkroku z podniesionymi rękami.

Gestapowiec szukał złota kijem, wkładając go do ust lub kieszki stolcowej.

U jednego znaleziono ślubną obrączkę na palcu, a że ciasno się zsuwała ułamał mu palec i obrączkę schował do kieszeni.

Następnie w "stroju Adama" przechodziliśmy do fryzjerni. Tam fryzjer (jeniec) maszynką zgalał nam wszystko owłosienie które ma człowiek, a jego pomocnik smarował te miejsca szczotką malarską umoczoną w wapnie. Był to wielki ból gdyż miejsca skaleczone przy goleniu strasznie piekły.

Po tych zabiegach przeprowadzono nas do łaźni.

Tam w wąskim korytarzu siedział Niemiec-sadysta, który bawił się pogrzebaczem w ogniu. Uderzał nim przechodzących jeńców, próbując trafić w genitalia. Ja zdążyłem nadstawić nogę, więc zostałem tylko niegroźnie oparzony, ale byli i tacy co długo cierpieli nim rany się zagoiły. Oparzeń doznał co trzeci jeniec.

Po kąpieli, którą mieliśmy urozmaiconą, gdyż na zmianę puszczano zimną i gorącą wodę, wypędzono nas tak jak staliśmy, do następnego baraku po odzież.

Ubrano nas w stare radzieckie mundury i pełne drewniaki (holenderki). Otrzymałem numer jeniecki 23051 i od tej chwili musiałem się nim posługiwać. Zostałem więc pozbawiony nazwiska.

Pierwsze pożywienie otrzymaliśmy po trzech dniach (ostatni chleb w Ostrowcu) składające się z zupy, zrobionej z suszonej brukwi i zgniłych liści kapusty.

Nie mieliśmy w co pobrać tę zupę, więc szukaliśmy naczyń.

Na śmietniku znalazłem puszkę po konserwie i wyszorowałem ją piaskiem, tak aby się nadawała do użytku jako naczynie.

Pobiegłem po zupę.

Gdy wróciłem do baraku okazało się, że w zupie oprócz brukwi są także glisty. Po wyrzuceniu glist za pomocą patyka, zabrałem się do jedzenia.

Po pierwszym skosztowaniu zupy poczułem, że pali mnie bardzo gardło i mimo głodu nie mogłem jej dalej jeść.

Próbowali też moi koledzy, ale z takim samym skutkiem.

Nazajutrz, mimo goryczy i "dodatków", zjadłem zupę w ciemnym kącie baraku.

W obozie tym przebywaliśmy do dnia 16-go października 1944 r.

Wczesnym rankiem załadowano nas do wagonów (80 osób) i wywieziono w nieznane.

W dniu 19-go października 1944 r. przywieziono nas do Łambinowic (Lamsdorf). Znaleźliśmy się w Stalagu VIIIB.

Tych co byli w lesie ulokowano w oddzielnym baraku Z. V. (barak śmierci).

Barak do wysokości kostek stał w wodzie. Prycze zbudowane były w całości wzdłuż ścian. Odległości między deskami (na których się spało) wynosiły około 3 cm. Nie było sienników, ani kocy czy słomy. Gołe deski.

W narożniku stał kubek do załatwiania czynności fizjologicznych.

W baraku tym znajdowali się już włosowcy, którzy zdezerterowali z wojska niemieckiego. Razem było nas 73.

Jedzenie, które otrzymywaliśmy to: 1 kg chleba na sześciu, herbata z zielska (moczopędna), nabierka zupy, między innymi z nieoczyszczonego prosa, i znów herbata. Jedzenia było za mało do życia a za dużo do umarcia. Była to wegetacja i powolna śmierć głodowa.

Przez cały dzień byliśmy zamknięci. Wypuszczano nas tylko na apel i popołudniowy spacer do latryny.

Apel odbywał się na małym placu, ogrodzonym potrójnym płotem, przed barakiem.

W pierwszych dniach mieliśmy wiele przykrości (żabki, bicie, pozostawanie w baraku popołudniu) od wartowników niemieckich za śpiewanie modlitwy: "O Boże, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń.... " lecz później dano nam spokój i przestano bić.

Widocznie wartownicy zauważyli, że nie złamię naszego uporu.

Były to najtrudniejsze chwile niewoli.

W pierwszych dniach grudnia, pomiędzy 5-tym i 7-mym, gestapowcy ponownie prowadzili przesłuchania.

Bałem się tych przesłuchań, gdyż oprócz obolałej ręki miałem z powodu rany gorączkę oraz byłem osłabiony, podobnie jak inni.

W pierwszym dniu udało mi się uniknąć przesłuchania, lecz po dwóch dniach, tj. 7-go grudnia, wszedł do baraku SS-man i krzyknął: "23051 raus".

Przypomni mi się widok kolegów, którzy wrócili z przesłuchań i ze łzami w oczach mówili że nie było tak źle, ale chcieliby tego gestapowca spotkać na wolności.

Domyślałem się, że mówili tak aby podtrzymać mnie na duchu. Radzili mi aby nie przyznawać się że jestem ranny lub chory, bo wywiozą mnie do krematorium, jak to zrobili z dwoma innymi (jeden partyzant i jeden żołnierz radziecki).

W pokoju, do którego mnie wprowadzono, siedział za biurkiem gestapowiec trzymając na kolanach kobietę. Pomyślałem, że wprowadzono mnie do innego pomieszczenia.

Gdy miałem zamiar wycofać się usłyszałem słowa tłumaczki żeby podszedł bliżej.

Chociaż na dworze panował mróz w pokoju było bardzo gorąco.

Zaczęły padać pytania na które odpowiadałem:

Nazwisko i imię - 23051.

Gestapowiec ponownie powtórzył "Name und Vorname".

Nie wiedziałem, które nazwisko podać, Pietrzak czy Zarzycki.

Gdy się namyślałem podszedł do mnie gestapowiec i myśląc że nie chcę odpowiadać, uderzył mnie pięścią w usta.

Straciłem przytomność. Oprzytomniałem leżąc na śniegu. Kapo nacierał mnie śniegiem.

Stwierdziłem, że brakuje mi przednich zębów. Straciłem dwa górne i trzy dolne.

Ponownie wprowadzono mnie do pokoju.

Usłyszałem pytanie gestapowca czy jestem "krank" (chory). Odpowiedziałem że nie.

Pytania powtarzały się z poprzednich przesłuchań lecz nazwisko podałem już prawdziwe - Pietrzak Mieczysław, Poznań, Nowy Rynek 16.

Nie podałem adresu w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdyż obawiałem się represji w stosunku do mojej rodziny.

Na pytanie, co robiłem w lesie, odpowiedziałem że zażywałem świeżego powietrza i przez pomyłkę zostałem zabrany.

Znalazłem się ponownie na śniegu.

Gdy przyprowadzono mnie znów do pokoju, tłumaczka coś szeptem mówiła do gestapowca, patrząc na mnie.

Nie mogłem o własnych siłach stać. Podtrzymywał mnie kapo.

Na rozkaz gestapowca wniesiono nosze i wyniesiono mnie do łaźni.

Łaźnia była nie czynna. Rozpięto mundur i spodnie, które miałem na sobie, puszczone na mnie zimną wodę i szczotką ryżową szorowano mi brzuch.

Mokrego wyniesiono na mróz. Miano ulokować mnie w izbie chorych.

Nigdzie nie chciano mnie przyjąć tłumacząc się zagęszczeniem.

W ostatnim baraku, w którym przebywali powstańcy warszawscy sanitariusz po wymianie ze mną kilku słów zgodził się przyjąć mnie do izby chorych.

Powiedział mi potem, że nigdzie nie chcieli mnie przyjąć, bo posądzali że jestem niemiecką wtyczką.

I tak, mimo przyjęcia mnie do izby chorych rozmawiano przy mnie szeptem, a gdy ja się odzywałem, wszyscy milkli.

Mówili na mnie "ten z lasu".

Trwało to aż do dnia, w którym w izbie chorych zjawił się SS-man chcąc mnie zabrać do transportu, który miał zaraz wyruszyć.

W mojej obronie stanął znów sanitariusz imieniem Czesław (nazwisko zapomniałem), który oświadczył że pożyję najwyżej jeden lub dwa dni, więc po co mają sobie robić kłopot z półtrupem.

Wyglądałem faktycznie jak nieboszczyk. Miałem około 40 stopni gorączki i byłem półprzytomny.

W dniu, chyba 10 grudnia, sprowadzono chirurga. Był to jeniec radziecki, który stwierdził że najwyższy czas zrobić mi zabieg, gdyż zakażenie krwi daleko się posunęło. Nie dawał mi żadnej gwarancji, że po zabiegu będę żył.

Po naostrzeniu noża i zdezynfekowaniu go moim moczem, chirurg przeprowadził zabieg. Wyjął odłamek z ręki.

Brakowało lekarstw i środków opatrunkowych, ponadto sanitariusz nie chciał żeby Niemcy dowiedzieli się, że jeszcze żyję.

Sanitariusz Czesław postarał się o pastylki prontozilu i jakieś zastrzyki przeciw zakażeniu. Otrzymałem je ułamaną igłą i po każdym musieli tamować mi krew.

Z drum zrobili mi podpórkę, żeby ręka była wyżej.

Najgorsze były pierwsze dni lecz i tym razem uniknąłem śmierci.

Gdy już mogłem poruszać się o własnych siłach wyszedłem przed barak i stwierdziłem, że za drutami stoi barak Z. V.

Oczekiwałem chwili, kiedy moi współtowarzysze z baraku Z. V. wyjdą do latryny. Chciałem im dać znać, że żyję i w miarę możliwości pomóc im. Miałem bowiem trochę zapasu żywności, gdyż kiedy gorączkowałem, mój przydział żywności koledzy odkładali a ja odżywiałem się tylko zupką ugotowaną przez powstańców.

Zauważyłem Kazia Dziekońskiego, kolegę z Ostrowca Św. Zapytałem go o Witolda, Stasia, Kazia.

Odpowiedział mi, że jak ich dwa dni temu wsadzili, to barak był pusty, a o nich nic nie wie.

Sanitariusz Czesław powiedział mi wówczas, że wszystkich z baraku Z. V. wywieźli prawdopodobnie do Gross Rosen.

Wywieziono 70 osób, w tym 28 partyzantów z Iłżeckiego Pułku AK oraz żołnierzy radzieckich, którzy dostali się do niewoli, a także dezerterów - własowców.

Wśród wywiezionych partyzantów znajdowali się: ppor. Witold Duchnicki oraz szeregowcy Stanisław Kuntze i Nowak (którzy po wojnie nie wrócili). Właśnie tym transportem i ja miałem być wywieziony. Życie swe zawdzięczam powstańcom warszawskim, a przede wszystkim sanitariuszowi Czesławowi.

W dniu 24 stycznia 1945 r. udało mi się dostać do Stamlagru VIII F w Lamsdorf, zajmowanego przez angielskich jeńców wojennych.

W dniu 2 marca 1945 r. nastąpiła likwidacja obozu. Ostatnim wagonem wywieziono mnie do Kremsu (Austria - 8. 111. 45 r.). Droga z dworca do Gneisendorfu trwała około 4-ch godzin. Przybyliśmy do nowego Stamlagru XVII B.

Jako jeńiec angielski (zmieniłem mundur) traktowany byłem dobrze.

6-go kwietnia szykowaliśmy się do ucieczki.

Niespodziewanie zjawił się Niemiec i ze złością kopnął mnie w brzuch. Poczułem wielki ból. Skierowano mnie natychmiast do szpitala, który był w pobliżu. Był to szpital dla jeńców wojennych. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że muszę być operowany, gdyż prawdopodobnie mam uszkodzony wyrostek robaczkowy.

Diagnoza była słuszna. Operację przeprowadzono w pierwszych dniach kwietnia.

W obozie tym przebywałem do chwili wyzwolenia.

Do Kraju powróciłem pieszo wraz z grupą powstańców.

W Krakowie zarejestrowaliśmy się w PCK i kolejną udaliśmy się do swych domów. W Poznaniu znalazłem się 7-go czerwca 1945 r.

Mieczysław Pietrzak "Pik"

Z relacji tej widać wyraźnie jak tylko przypadki decydowały o ludzkim życiu. Trzeba było mieć dużo szczęścia ażeby wyjść żywym z sytuacji, przez które koledzy musieli przebrnąć.

Bardzo ciekawą relację podaje kol. Zdzisław Mirowski "Polus", który ciężko ranny pozostał na poboju i podczas nocy o własnych siłach dotarł do ludzi, którzy mu dalej pomogli.

Życie swoje zawdzięcza mieszkańcom Iłży. Oto jego relacja:

"Urodziłem się 18 sierpnia 1923 r. w Woli Korybutowieckiej, gmina Wiśniowiec, pow. Krzemieniec.

Ojciec był osadnikiem wojskowym.

W lutym 1940 r. cała rodzina została wywieziona w okolice Archangielska. Ojciec wywędrował później z Armią Andersa, w której służył aż do demobilizacji we Włoszech. W czasie wywózki nie było mnie w domu i dzięki temu pozostałem i musiałem się ukrywać.

Na początku 1943 r. przedostałem się przez "zieloną granicę" do byłego Generalnego Gubernatorstwa i tu w kwietniu 1943 r. złożyłem przysięgę jako żołnierz Armii Krajowej w grupie Ćmielów, oddział Bidziny, kompania kpt. Mazurkiewicza, ps. Bartosz.

Bezpośrednim moim przełożonym był por. Józef Rawluk "Olbromski", zamieszkały w tym czasie w Jasicach, obok Bidzin.

Nasza grupa dołączyła do 1-go Pułku Ziemi Łżeckiej w sierpniu 1944 r.

Dowódcą bezpośrednim był por. Józef Rawluk, który podlegał "Bartoszowi" (kpt. Mazurkiewiczowi). Dowódcą całości Zgrupowania był por. Wincenty Tomasik "Potok". W czasie okupacji ukończyłem tajną podchorążówkę razem z Józefem Sasakiem, ps. Kobus, Władysławem Zawadą, ps. As, i Janem Załęskim, ps. Jaś. Terenem naszej działalności był powiat opatowski i częściowo sandomierski.

W czasie walki w lasach starachowickich moim bezpośrednim dowódcą był por. Józef Rawluk.

O ile dobrze sobie przypominam, broniliśmy dojścia do obozu od strony gościńca ostrowieckiego.

Walka rozpoczęła się 1 października (niedziela) 1944 r. rano, gdy było jeszcze ciemno. Broniliśmy się do południa, kiedy to zostaliśmy wyparci w kierunku obozu i pół. Wiedząc co nam grozi uderzyliśmy na Niemców aby się przerwać i pod osłoną lasów zmienić miejsce.

W czasie ataku zostałem ranny w lewą rękę i bok.

Przed zranieniem zamieniłem parę słów z Józefem Sasakiem i Jasiem Załęskim. Po zranieniu straciłem na jakiś czas przytomność.

Po odzyskaniu przytomności próbowałem się wydostać z okrażenia ale trafiłem na silnie strzeżoną drogę, prawdopodobnie gościniec ostrowiecki, i musiałem się wycofać.

Przeleżałem następnie w zagajniku do wieczora i wtedy pod osłoną ciemności dotarłem do najbliższego gospodarstwa przy lesie od strony Łży.

Właściciel przeraził się na mój widok i kazał mi uciekać gdyż pobliska droga wzdłuż lasu była jeszcze patrolowana przez żołnierzy niemieckich na motocyklach.

Upływ krwi i gorączka bardzo mnie osłabiły ale rozum nakazywał aby szukać pomocy. Idąc w kierunku kilku zabudowań wszedłem do jednego z nich. Były to zabudowania i młyn pana Kosno, o ile się nie mylę. Tu żona młynarza zrobiła mi pierwszy opatrunek, używając do tego podartych koszul. W czasie opatrunku zemdlałem.

W międzyczasie zjawił się pan Kosno, który po zapoznaniu się z sytuacją wyprowadził mnie do skrzyżowania dróg i tam po zatrzymaniu furmanki wracającej z pola, pojechałem nią w kierunku Łży.

Rolnik, który mnie wioził, po dojechaniu do zamku prosił abym dalej udał się już sam, gdyż on się boi o swoją rodzinę.

W Łży była już, jak mi się wydaje, godzina policyjna.

Klucząc po ulicach odnalazłem dra Pułacza, do którego mieliśmy się kierować w razie potrzeby pomocy lekarskiej.

Dra Pułacza nie było w domu, a pani która otworzyła drzwi stwierdziła z przerażeniem, że w każdej chwili mogą tu wejść gestapowcy. Zapytałem więc o innego lekarza. Wskazała mi dra Sobotę, na obecnej ulicy Partyzantów.

Idąc do dra Soboty znów zemdląłem. Po odzyskaniu przytomności zauważyłem obok siebie panienkę, która pomagała mi wstać.

Zapytała, co panu jest?

Odpowiedziałem, że jestem ranny i szukam dra Soboty.

Panienka wytłumaczyła mi gdzie mieszka doktor.

Gdy dotarłem pod wskazany adres, okazało się że nikt nie otwiera.

Usiadłem półprzytomny i zrezygnowany pod drzwiami.

Po jakimś czasie schodzący w dół po schodach mężczyzna zainteresował się mną i sprowadził doktora.

W czasie opatrunku zjawiała się znów panienka, która mi udzieliła przed chwilą pomocy na ulicy.

Nie wiem jaka była rozmowa między nią i lekarzem. Po opatrunku zabrała mnie ze sobą do swego domu i tam ze swoją siostrą Heleną umyły mnie i ułożyły w przygotowanym łóżku. Były to panie Krystyna i Helena Sępioł. Zdaje się, że obie panie pracowały w konspiracji. Krystyna była łączniczką. Ich brat Mieczysław, jak się później dowiedziałem, był również w Zgrupowaniu Potoka, ale nie brał udziału w walce. W tym czasie miał do spełnienia jakieś inne zadanie poza oddziałem.

U pań Sępioł nie leżałem zbyt długo ze względu na ciągłe rewizje w mieście. Panie sprowadziły lekarza, który zrobił mi opatrunki. Był to dr Chyczewski, późniejszy ordynator szpitala w Ciechocinku.

Następnie przewieziono mnie do młyna w Jedlance, do państwa Stanisławy i Ryszarda Szymańskich. Transportowały mnie zdaje się trzy osoby, między którymi była pani Maria Szymańska - obecnie Krzyszstanowska.

W tym czasie w młynie Radzimowskich w Jedlance mieszkało kilka rodzin, spadkobierców Radzimowskiego, a między nimi pani Radzimowska, wdowa po właścicielu, jej córka, Stanisława i Ryszard Szymańscy, pani Mataczowa z dziećmi i bratowa pani Stanisławy i Marii Szymańskich - pani Radzimowska.

Piszę o nich, gdyż wszystkie w jakimś stopniu uczestniczyły w ratowaniu rannych.

Tam zastałem już dwóch rannych kolegów, "Wilka" i drugiego, którego pseudonimu nie pamiętam.

Opatrunki robił mi początkowo dr Chyczewski, przywożony przez panie, albo przyjeżdżał rowerem już dobrze po zmroku.

Później opatrunki robiły nam Panie - głównie Stanisława Szymańska i młodsza Radzimowska. Pomagały pani Małgorzata i jej córki. Chciałem podkreślić, że wszyscy mieszkańcy narażeni byli na ogromne niebezpieczeństwo, a mimo to z całym oddaniem ratowali rannych, pomagali różnym oddziałom sprowadzając do rannych lekarza, zaopatrując w żywność, mąkę. Część z pań działała w konspiracji.

"Wilk" i jego kolega, jako lżej ranni, wcześniej opuścili melinę. Ja pozostałem aż do wkroczenia wojsk radzieckich. Tu zrobił mi jeszcze opatrunek lekarz frontowy.

Panie z Jedlanki odwiedzały rannych, którzy w tym czasie byli zamelinowani w Chwało wicach, w budynku Szkoły Rolniczej. Leżało tam chyba ośmiu rannych, a wśród nich "Judasza".

W czasie leczenia odwiedzał nas "Potok" oraz łączniczki.

W Jedlance zamelinował też por. Śliwiński. Nie wiem czy to było nazwisko czy pseudonim.

Kończąc chciałem podkreślić bohaterstwo ludzi, którzy nam udzielali w tym czasie pomocy, narażając na śmierć siebie, swoje dzieci i najbliższych.

Przecież oni byli zupełnie bezbronni, nie znali też nas.

Pamiętam swój pobyt w Jedlance, kiedy to nie było nocy aby jakiś oddział czy grupa nie zażądała pomocy.

Zdzisław Mirowski "Polus"

Relacja ta, podobnie jak poprzednie, potwierdza konsolidację społeczeństwa polskiego we wzajemnej pomocy. Narażając ogromnie siebie i rodziny ludzie czynili wszystko, aby w ramach swoich możliwości włączyć się do walki z wrogiem.

Ranny, zakrwawiony partyzant, chodzi po ulicach Iłży. Przygodni ludzie udzielają mu pomocy i chronią go skutecznie przed śmiercią ze strony Niemców, których w tym okresie było w Iłży bardzo dużo.

Patrzyli podejrzliwie na każdego przechodnia, dopatrując się w nim "bandyty". Sam zostałem zaczepiony na ulicy przez jakiegoś żołnierza Wehrmachtu, który przystawił mi lufę Parabellum do piersi i krzyczał najpierw "Haende hoch", a potem "du bist von den Banditen". Opuścił lufę dopiero wtedy gdy mu wyjaśniłem, że wracam z niemieckiego polowego szpitala, w którym Oberleutnant dr Wagner (komendant szpitala) robił mi opatrunek. Mina zrzędała temu żołnierzowi i opuścił pistolet, a następnie dał mi spokój. Okazało się, że był z ochrony tego właśnie szpitala i przy następnym opatrunku spotkałem go na korytarzu szpitalnym. Uśmiechnął się do mnie tylko i zasalutował.

Ja miałem argumenty na obronę, ale gdyby na moim miejscu znalazł się kol. Mirowski, byłyby tylko po nim wspomnienia.

Następną relację, którą chciałbym przedstawić czytelnikowi, napisał żołnierz Iłżeckiego Pułku AK, także wysiedlony do Ostrowca Św. z Poznania. Był to wtedy bardzo młody chłopiec

(ur. 2. 1. 1929 r.) Juliusz Molski "Cień". Relacja obrazuje barwnie życie partyzanckie, jego przejścia w czasie bitwy 1. X. 44 pod Piotrowym Polem a także podczas powrotu z lasu do Ostrowca Św.

Przytaczam duże jej fragmenty:

Noc z 30-go września na 1-go października 1944 roku miała być ostatnią naszą porą wypoczynku w obozie partyzanckim na Piotrowym Polu.

Mimo iż wtuliłem się w pokot śpiących kolegów i przykryty warstwą koców i płaszczy nie czułem zimna, obudziłem się słysząc odgłosy jakiejś bliskiej rozmowy.

W ciemności nie udało mi się poznać kto to rozmawiał, pamiętam natomiast, że chodziło o zakończone dopiero co pertraktacje z Niemcami. Oprzytomniałem momentalnie nasłuchując czy sprawa nie dotyczy tak oczekiwanego aktu kapitulacji naszych wrogów. Niczego jednak godnego uwagi więcej już nie dosłyszałem.

Do rana nie mogłem zmrużyć oka ani na chwilę. Od czasu do czasu poprzez monotonny szum lasu słyszałem niesiony łagodnym powiewem wiatru daleki odgłos pracujących motorów.

Panująca w obozie głęboka cisza już sama przez się tłumiała wszelkie odruchy niepokoju.

Tak doczekałem pobudki obwieszczanej cichym nawoływaniem służbowego. Był już świt. Nim jednak zdążyłem jako tako uporządkować na sobie ubranie, zarządzono zbiórkę kompanii w stanie pełnej gotowości do wymarszu.

Może relacja moja jest w tym miejscu nieścisła, ale ja mimo największych starań nie mogę przypomnieć sobie by wydawano nam wtedy jakikolwiek posiłek lub kawę. Usłyszałem natomiast już po wojnie od pewnego kolegi, że w tym właśnie dniu zjadł on w obozie śniadanie najobfitsze.

Być może więc kuchnia wydawała jakieś porcje nie czekając na zwykły porządek dnia i na przybywające kolejno kompanie. Być może też, iż wydawanie posiłku dla naszej kompanii przerwała wspomniana zbiórka.

Niezwykłość jej wywołała zresztą liczne pytania kierowane przez chłopców do dowódców drużyn. Ci jednak też nic nie wiedzieli i tylko przynaglali nas do pośpiechu. Wreszcie sytuację wyjaśniła krótka ale jasna w swej wymowie informacja "Gorliwego": "Piorunem zbierać oporządzenie, wynosimy się stąd - jest obława"...

Wreszcie stanęliśmy w jako tako wyrównanym dwuszeregu.

Bez zwykłego w takich przypadkach odliczania "Gorliwy" dokonał błyskawicznego przeglądu kompanii a potem stanął mniej więcej na wysokości połowy naszej drużyny - jak już wspomniałem - zajmującej miejsce zawsze na końcu dwuszeregu. Wyciągnął przed siebie rękę i wydał komendę oddzielonej w ten sposób od kompanii grupce około 6 chłopców, by rozeszła się do szalasów.

Znalazłem się w tej grupce wraz z Zenkiem i Jurkiem. Zdziwiła mnie obecność Piotrka, który jeszcze poprzedniego dnia stawał na zbiórce jako żołnierz poczty dowódcy kompanii. Teraz nie miał już swojego karabinu. Był bezbronny tak jak wszyscy z grupki odkomenderowanej do pozostania w obozie.

Pamiętam, że nim "Gorliwy" wyciągnął rękę, jakby przymierzał się do pozostawienia w obozie większej grupy.

Powiedział też dość głośno, że bezbronni dostaną karabiny po rannych i poległych. Wywarło to na chłopcach widoczne głębokie wrażenie. Zaraz też wydał kompanii komendę "w prawo zwrot" i stanąwszy na czele szybkim marszem wyprowadził ją z obozu.

Z relacji tej celowo wyodrębniam szczegóły, których nie potrafię przypisać do jednego z dwóch alarmów bojowych, jakie przeżyłem w obozie na Piotrowym Polu. Wydaje mi się - przykładowo - iż widziałem jeszcze przed zbiórką Wyjeżdżającą z obozu platformę z beczkami na wodę. Siedzieli na niej chłopcy z bronią gotową do strzału. Być może obrazek ten należy przypisać do alarmu w dniu 22 września, podczas pacyfikacji pobliskiej wsi.

W przypadku jednak, gdyby po wodę wyruszano istotnie dopiero rankiem 1-go października, stanowiłoby to oczywisty dowód, że dowódcy nasi aż do tej pory liczyli się bardziej z prawdopodobieństwem naszego wymarszu z obozu aniżeli pozostania w nim i rozpoczęcia zwykłego dnia, regulowanego porami wydawanych posiłków. Nie mogę też umiejscowić w czasie samej scenerii owej zbiórki ponieważ pamiętam tylko, że jedna z nich odbywała się po okrzykach "do broni", wznoszonych po całym obozie.

Po odejściu wszystkich kompanii, dość długo trwało nim nieznany mi z pseudonimu i szarży człowiek, zaczął naszej grupce wydawać ni to rozkazy ni polecenia. Przede wszystkim mieliśmy przepakować część wozów taborowych by mogły służyć do przewożenia rannych.

Kręcąc się w pobliżu kuchni dostrzegłem wziętego do niewoli Hofmanna w otoczeniu czterech uzbrojonych konwojentów. Wszyscy siedzieli sobie spokojnie na ziemi i o czymś rozmawiali.

Korzystając z okazji dostępu do wozów żywnościowych, wybraliśmy sobie to co umożliwiałoby nam natychmiastowe przygotowanie jakiegoś posiłku. Były to jaja, cukier i sporej wielkości garnek, w którym na zmianę kręciliśmy sobie kogel-mogel. Porcja była doprawdy gigantyczna. Nie mogąc doczekać się końca kręcenia, co chwila sprawdzaliśmy gęstość mieszaniny zanurzyszy w niej palce, potem dokładnie oblizywane.

Zauważył to Hofmann i mimo całej powagi sytuacji, w jakiej się znalazł, wybuchnął głośnym śmiechem. Pamiętam, że wskazał dowódcy konwoju na Piotrka, najbardziej z nas umazanego żółtkami. Chłopak rzeczywiście wyglądał jak żywcem wycięty z bajki o łakomczuchach.

Wszystko wskazuje na to, że ta właśnie okoliczność przesądziła potem o uratowaniu jego życia przez Hofmanna już uwolnionego z niewoli.

Nim jednak zaczęliśmy kręcenie żółtek, przez kilka minut leżeliśmy plackiem na środku obozu, przy duszeni do ziemi strzelaniną tak potężną i tak zwielokrotnioną przez echo leśne, że wydawało nam się iż nad głowami przewala się nam jakiś gigantycznych rozmiarów wodospad. Po prostu nie było słyhać pojedynczych strzałów tylko ich połączony w jedno brzmienie wściekły łoskot.

Strzelanina ta urwała się jednak tak raptownie jak się zaczęła.

A że wygłodzone żołądki nigdy nie przestają upominać się o swoje prawa, szybko powróciliśmy do garnka z żółtkami i jeszcze prędzej uporaliśmy się ze słodką mieszaniną.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy po owej salwie a następnie po dość bezładnych pukaninach nastał w lesie spokój całkowity. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, że pierwszym naszym poległym kolegą był wspomniany tu chłopiec o pseudonimie "Kula".

Wiadomość ta skojarzona ze wspomnieniem wczorajszego wieczoru wywarła na nas wrażenie bliskie szoku. Oto "Kula" ginie od pierwszej kuli śmiertelnej wystrzelonej w naszą stronę.

Około południa pojawiły się w obozie pierwsze drużyny powracające ze stanowisk obronnych. Miast jednak odwołania alarmu, przybywających formowano od razu w dwurzędową kolumnę marszową i prowadzono na pobliską dukę.

Nie dowodzeni przez nikogo, dołączyliśmy do maszerujących natychmiast. Okazało się, że maszerujemy znaną nam już dobrze dróżką leśną w kierunku traktu iłżecko-ostrowieckiego, jakby z zamiarem ponownego przejścia do poprzedniego obozu nad Kotyską.

Gdzieś z przodu kolumny posuwały się między rzędami chłopców, maszerujących po obu stronach dróżki, nasze wozy taborowe.

Idziemy zwarcie i w całkowitej ciszy. Gdy jednak zbliżyliśmy się na odległość około pół kilometra od gościńca, czoło kolumny zatrzymało się.

Między drzewami niskiego zagajnika spostrzegłem chłopców przesuających się do przodu z butelkami przeciwczołgowymi w rękach. Na szkle nie było jednak znanych mi z zapasu ostrowieckiego opasek samozapalających naftę. Z butelek zwieszały się wykonane ze szmat knoty, które trzeba było zapalać zapalkami.

W lesie w dalszym ciągu panuje niczym nie zmacona cisza. Widzę, że w odległości kilku metrów ode mnie stoi wśród zagajnika por. "Kwiatkowski". Ktoś składa mu meldunek O Niemcach blokujących przejście przez gościniec ostrowiecki. Równocześnie słyszę od czoła głośnie krzyki i widzę gwałtownie zawracane wozy taborowe.

Ponieważ dukta była dość wąska, konie nie mogły okręcając się sforsować gęstwiny zagajnika. Okładane razami woźniców przechodzą w końcu przez lasek łamiąc drzewka.

I teraz dopiero dochodzi do nas podawany wzdłuż kolumny meldunek "czołgi na trasie - alarm przeciwpancerny".

Meldunek ten doszedł do "Kwiatkowskiego" i obecnych przy nim oficerów. Nie było wśród nich "Potoka". Słyszę wyraźnie jak por. "Kwiatkowski" wchodzi w rolę dowódcy całości i wydaje rozkaz przejścia z powrotem do obrony.

Wkrótce potem kolumna nasza powraca w pobliże obozu skąd kompanie rozchodzą się na stanowiska.

Nasza grupka "tyłowa", w skład której wchodzi teraz już tylko Jurek, Piotrek, Zenek i ja (Merkury, Borsuk, Kurzawa i Cień) wraca w pobliże kuchni (kotła), gdzie jednak nie ma już człowieka, który kierował rano pracą przy wozach taborowych.

Kładziemy się więc na wzgórku w pobliżu szałasów dowództwa i czekamy na rozkazy. W pobliżu nas lokuje się konwój z będącym nadal pod strażą Hoffmannem. Między szałasami wartowni a rejonem kuchni widzę dwa wozy taborowe, na których leży dwójkami czterech ciężko rannych. Nie ma w pobliżu nich nikogo. I tak schodzi nam czas do godziny 12⁴⁵.

Wskazanie zegarka pamiętam dokładnie ponieważ w tym właśnie czasie na obóz nasz spadły pierwsze pociski (miny) z niemieckich moździerzy.

Z doświadczeń znad Bzury w roku 1939 poznałem tę broń po wybuchach nie poprzedzanych żadnym szumem lub gwizdem. Można też było odróżnić słuchem minę wybuchającą na ziemi od miny rozerwanej w górze, w koronach drzew.

Okolo godziny 13-ej ostrzał ten ustał na chwilę. Zarówno wskazówki zegara jak i położenie słońca na niebie, teraz już lekko zachmurzonym, wskazywały że do zapadnięcia zmroku, kiedy to Niemcy zwykle przerywali walki w lesie, będziemy tu musieli wytrzymać wiele, bardzo wiele.

Między drzewami widzę kilku chłopców z drużyny kaprała "Giermka".

Jest wśród nich Florek Kaczmarek "Bejm". Prawie z płaczem powtarza kilkakrotnie wiadomość, że brat jego Henryk poległ przed chwilą.

Widzę też kilku lżej rannych. Wśród nich Poznaniak "Pik". Pytają o punkt opatrunkowy. Niestety nie wiemy gdzie się znajduje. Wskazuję rannym kierunek na wozy taborowe z leżącymi na nich ludźmi. Po chwili znikają mi z oczu w gęstwinie podszycia i gałęzi młodziaka. I w tym właśnie momencie rozpętało się nad naszymi głowami piekło. Teraz bliskość wybuchów poznawałem już nie po sile eksplozji ale po wstrząsach ziemi, na której leżałem.

Chwilami zdawało mi się, że faluje ona pode mną, to znów czułem się jakby w stanie zupełnej nieważkości. W uszach nic tylko szum i gwizd. Serce bije mi teraz jakby w kierunku gardła, jakby chciało zupełnie ze mnie wyskoczyć.

W pobliżu widzę tylko Piotrka. Krzyczy na mnie, że to już nasz koniec i każe się modlić. Ja też nie wierzę w ocalenie i modlę się tylko o to aby nie wpaść w ręce oprawców żywcem.

Spoza pleców Piotrka widzę jeden z wozów taborowych, na którym podnosi się jeden z rannych, zamierzając wyraźnie przyjąć pozycję siedzącą. Udaje mu się to po

widocznym wysiłku. Oparty oburącz na deskach bocznych wozu unosi jak najwyżej swoją głowę przyprószoną już siwizną kędzierzawych włosów. Nieruchomieje w tej pozycji jak posąg nie bacząc na rozrywające się w pobliżu pociski.

Przez chwilę przemyka mi przez rozkołatany mózg świadomość, że jeśli modlitwa moja ma być spełniona, muszę postąpić tak samo jak tamten człowiek, aby wyjść na spotkanie zbawiennej śmierci.

Wciąż jednak nie czuję na sobie najmniejszej choćby rany i to nakazuje mi płaszczyć się dalej na ziemi.

Co chwila spoglądam na zegarek. Pięć minut mija teraz wolno, niewiarygodnie wolno. Aby wyjąć zegarek muszę unieść się nieco na łokciach i sięgnąć poprzez wycięcie kołnierza płaszcza do górnej kieszeni wiatrówki.

Do chwili powrotu do pozycji leżenia na płask rozrywa się w tym czasie w pobliżu mnie kilka pocisków. Mimo to ryzykuję i dalej sięgam co kilka minut po zegarek. He takich ćwiczeń trzeba będzie wykonać do nocy?

W pewnej chwili zaczynam toczyć ze sobą ostrą walkę aby zmusić się do zaniechania tej czynności całkowicie bezsensownej. Ulegam jednak i nadal wpatruję się we wskazówki mojej łańcuskowej "Cymy".

Tak doczekałem do godziny 14-ej, kiedy to od strony wozów taborowych dosłyszałem odgłos strzałów rewolwerowych. Brzmiały one wśród owej kanonady mózdzierzy jak stukot siekierki w zamkniętej, odległej drewnutni. Ale słyszałem je bardzo wyraźnie. Wyobraźnia podsunęła mi natychmiast obraz gestapowca mierzącego z bliska w moje plecy. Tymczasem człowiek na wozie siedział nieporuszony i oczekiwał na swój los. Pomyślałem, że chyba Niemcy najpierw strzelą do niego, jako do celu bardziej widocznego. Od tej chwili nie spuszczałem z niego oka.

Zamiast gestapowca wyszedł jednak zza wozów z rannymi człowiek w przedwojennym płaszczu oficerskim, z grubym opatrunkiem na głowie. Nad czołem przebijała mu przez biel bandaża mała czerwona plama.

Niespodziewanie też ucichł nieco ogień mózdzierzy. Słysząc było za to wyraźny odgłos manewrujących w pobliskich duktach niemieckich pojazdów pancernych. Dochodził stamtąd odgłos nie tylko warkotu silników ale też dzwoniący chrzęst gąsienic. Nie ustawało także pukanie z rewolweru. I wtedy właśnie doczekałem chwili, która na pewno przesądziła o moim losie.

Człowiek w oficerskim płaszczu najpierw obrzucił nas stekiem wyzwisk, wśród których "dekownicy" i "dezerterzy" brzmiały jak przerywniki nieomal muzyczne.

Wyładowawszy złość człowiek spytał, czy jest wśród nas podoficer.

W odpowiedzi ktoś uniósł w górę rękę, ukazując rękaw cywilnej marynarki, na której widać było naramienniki z dystynkcjami kaprała.

Człowiek w oficerskim płaszczu tłumaczył przez chwilę coś kapralowi a potem dał komendę "powstań". Podniosło się nas - o dziwo - nie kilku lecz co najmniej kilkunastu. Z pozycji leżącej przeszliśmy od razu w kolumnę marszową i rzędkiem "gęsiego" podążyliśmy za kapralem w kierunku przeciwnym do tego skąd ukazał się nam człowiek w oficerskim płaszczu.

Pozostał on w końcu w obozie w pobliżu wozów z rannymi oddawszy nas pod dowództwo kaprała.

Szedłem blisko czołówki naszej kolumny i rychło spostrzegłem, że kierujemy się w stronę wysokopiennego lasu.

W pobliżu ciągnęła się dukta oddzielająca od niego nasz przy obozowy młodniak. Czy przekroczymy ją bezkarnie defilując przed oczami niemieckich czołgistów?

Nim jednak wyszedłem z młodniaka, ktoś poderwał się nagle z ziemi już po tamtej stronie dukty i wrzasnął na całe gardło:

- To "Ośka". Idzie nam z pomocą "Ośka"!

Najwyraźniej brano nas za kogoś zupełnie innego mimo iż jako całkowicie bezbronni nie byliśmy podobni do najsłabszego choćby oddziału partyzanckiego.

Nim jednak przebrzmiały okrzyki prezentujące nas jako jeden z najsławniejszych zgrupowań partyzanckich na Kielecczyźnie, od ziemi oderwała się druga postać. Był to młody chłopak z twarzą rozgrzaną do czerwieni od ognia toczącej się walki. Barwę tę podkreślała wyraźnie jego furażerka sprana i wyblakła.

Wśród łoskotu rozrywających się pocisków mózdzierzowych dobiegły mnie okrzyki tego człowieka, wśród których rozróżniłem słowa: "naprzód", "do szturmu", "niech żyje Polska".

Nie pamiętam zupełnie w jakich okolicznościach przeskoczyliśmy przez niebezpieczną duknę nim mieszałyśmy się z tyralierą nacierających. Pamiętam natomiast widoczny jak na dłoni rząd zielonych ogników wyblaskujących przed nami w odległości około 200 metrów, a także spadające dokoła liście dość gęstego podszycia starodrzewu. Był to jakiś monstrualny iście listopad na zielono, ponieważ podszycie było świeże jak w środku lata. Uświadomiłem sobie od razu, że te liście nie spadają od podmuchu wiatru, którego zresztą w tym dniu prawie nie było. Na potwierdzenie tego nie musiałem czekać długo, bo już w niewielkiej odległości od dukty zwałił się w pobliżu mnie jak wór piasku a potem znieruchomiał jakiś młody chłopak. Opodal ktoś inny nakrywał się łamanymi gałęziami podszycia. Kto wie czy nie był to zwykły cwaniak pragnący uratować życie "sposobem"?

Na dalsze obserwacje nie miałem jednak czasu, bo ogień nieprzyjaciela stał się tak gęsty, że wkrótce zaległa cała nacierająca tyraliera.

Ponieważ miałem przed sobą grubą sosnę z rozłożystymi, wystającymi nad ziemię korzeniami, uniosłem nieco głowę i rozejrzałem się na boki.

Z lewej zauważyłem Jurka "Merkurego" nieprzerwanie ładującego zdobytego nie wiadomo skąd "Mausera"- zardzewiaka. Między mną a nim stał oparty o pień drzewa podobny "Mauser". Nie zwracając już uwagi na ostrzał zacząłem pełznąć w stronę zardzewiaka opartego o pień.

Niespodziewanie, już po kilku metrach, poczułem palcami jakiś twardy przedmiot. To był jeszcze jeden "Mauser"!

Sytuacja ta, na pewno niewiarygodna, musiała mieć swoje przyczyny wytłumaczalne, ponieważ byłem bodaj ostatni - jak się okazało - z bezbronych w całej tej grupie przebijających się. Nikt też poza mną - co też miało się okazać z czasem - nie miał broni tak zdezelowanej.

Świadczyło to, że chłopcy wymieniali sobie broń w trakcie walki biorąc ją od rannych, zabitych lub od Niemców. Niepotrzebne im już zardzewiaki chyba po prostu porzucali. Co do mnie, byłem w tym momencie tak roztrzęsiony, że najpierw wyrzuciłem z karabinu załadowany i niewystrzelony jeszcze nabój, potem po zarepetowaniu "wystrzeliłem" z pustego już zardzewiaka, a wreszcie dość długo szarpałem się z kieszenią, w której trzymałem wspomniane już dwie łódki z nabojami. Teraz dopiero okazało się, że były zawinięte w chustkę do nosa co jeszcze bardziej opóźniło moje

włączenie się do walki. Wreszcie gdy już poczułem uderzenie odrzuconej strzałem kolby, tyraliera właśnie ruszyła do następnego skoku.

Nie wiem ile razy padałem na ziemię i ile razy wygarnąłem w kierunku nieustannie wyblaskujących zielonych ogników. Wydawało mi się wtedy, że nieporównywalnie ważniejszym od strzelania był nasz jeden wielki krzyk "hurra, hurra, hurraaa..."

Wydzierałem się więc ile sił w gardle i.... rzeczywiście! Między ognikami spostrzegłem wyraźnie zielonkawo-szare cienie przesuwające się na lewo i na prawo od osi naszego natarcia.

Tuż obok jeden z chłopców, bodajże z trzeciej drużyny kompanii "Kwiatkowskiego" (zapamiętałem go jako jednego z tych chłopców wiejskich, którzy mieli najwięcej kłopotów z musztrą), strzelał z pozycji stojącej, spokojnie oparty o pień sosny. Wyglądało to tak jak na obrazku z polowania.

Widok ten jak również wyraźnie rzadniejący rząd zielonych ogników dodał mi odwagi na tyle, że wreszcie zacząłem mierzyć w stronę wyblasków, czego przedtem nie czyniłem.

Nim jednak zerwałem się do kolejnego skoku, wyczułem bardziej niż zobaczyłem człowieka leżącego tuż obok mnie. Gdy ja już stałem, on usiłował podnieść się z ziemi, ale znieruchomiał w pozycji siedzącej z ręką opartą o ziemię. "Pomóż mi" - odezwał się do mnie cichym głosem - "jestem ranny w pachwinę".

Nie wiem jak to się stało, że wśród strzelaniny dosłyszałem ten głos i zatrzymałem się przy rannym. Zapewniał mnie, że przy mojej pomocy wstanie i sam pójdzie dalej.

Nachyliłem się i podniosłem go z ziemi. Ranny nie poszedł jednak nigdzie tylko wczepił się we mnie palcami jak topielec.

Ponieważ niespodziewanie znalazłem się wśród ostatnich w tyralierze, trzeba było albo oderwać się od nieszczęśliwca siłą albo liczyć się z najgorszym. I wtedy właśnie przypomniały mi się moje modlitwy podczas ostrzału obozu. Coś przemówiło do mnie słowami: "chciałeś żebym ulitował się nad tobą więc dlaczego ty nie litujesz się nad nim?"

Od tej chwili nie padałem już na ziemię mimo najcięższego ostrzału, który raził nas teraz nie tyle od czoła co z obu skrzydeł, dokąd uciekli ustępujący przed nami Niemcy.

Jedyną moją szansą było doganianie tyraliery w czasie gdy padała ona na ziemię, czołgając się od wzniesienia do wzniesienia terenu przez strefy nieprzyjacielskiego ognia.

Rannego podtrzymywałem prawą ręką ciągnąc ją co sił ku dołowi aby utrzymać na karku jego prawe ramię. Tyle samo sił musiałem przeznaczyć na kurczowe trzymanie karabinu, który ranny jakby starał się mi wykopać z lewej ręki. Włokąc się przy mnie krzyczał mi nieustannie do ucha, że prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie.

W pewnej chwili mignął mi na krótko biały plecak Jurka "Merkurego". Miast kierować się w stronę widocznej już wyrwy w ugrupowaniu nieprzyjaciela, Jurek jakby w szaleńczym pędzie nacierał na karabiny maszynowe siekące po nas z lewej flanki. Nikt oprócz niego tam nie podążał. Nacierającą tyralierę dogoniłem wreszcie w jakiejś dość szerokiej rozpadlinie ziemnej, ciągnącej się daleko na lewo i prawo.

Liczne czarne skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych świadczyły, że tu właśnie przebiegała niemiecka pozycja zaporowa, skąd do nas strzelano. Szczęśliwie ranny mój znalazł tam swego kolegę, który zgodził się nieść go dalej.

Nie miałem już czasu na otwieranie skrzynki i ładowanie mojego karabinu. Chwyciłem więc za parciany pas pudła i pobiegłem za ruszającą tym razem już gęstym rojem grupą nacierających. Niemcy poprzestali tylko na ściganiu nas ogniem z lewa i prawa.

Po perypetiach z rannym skrzynka wydawała mi się lekka jak paczka wafli. Okazało się, że zawierała pełny ładunek zataśmowanej amunicji.

Wyjąłem z taśmy i załadowałem do karabinu jeden tylko nabój. Okoliczność ta pozostała w mojej pamięci tylko dlatego, że wkrótce potem wystrzeliłem ten właśnie nabój w stronę jakiegoś pojazdu, który jakby przesuwiał się w poprzek naszego kierunku natarcia. Z opowiadań chłopców dowiedziałem się potem, że był to niemiecki konny wóz z amunicją, prowadzony tylko przez samotnego woźnicę. Zginął on rozszarpany dosłownie dziesiątkami naszych kół.

Przypisałem tego biedaka sobie gdy pytano mnie się już w domu ilu wrogów zabiłem. Ponieważ opisałem ojcu wszystkie okoliczności tego wydarzenia, mógł on chwalić się moją bojowością z wiarygodnymi szczegółami. Gdy jednak powtórzył tę samą wersję w towarzystwie, w którym znajdował się jakiś znający przebieg bitwy oficer AK, okazało się że byłem już osiemnastym na liście celnych strzelców, którzy strzelali do tego samego woźnicy. Długo potem musiałem przeproszać ojca za sprawioną mu przykrość... Po przekroczeniu szerokiej dukty, podobnej do gościńca ostrowieckiego, wpadliśmy w niski ale bardzo gęsty zagajniczek.

Jak pijany odbijałem się od chojaka do chojaka, gubiąc co chwila to karabin to skrzynkę z amunicją. Wreszcie wydostaliśmy się z przekłetej gęstwiny na małą polankę w zagajniku znacznie już wyższym. Tam dopiero zarządzono postój i dłuższy odpoczynek. Nie wiem ile czasu zeszło nim odczułem powracającą przytomność.

Przedtem leżałem niezdolny ani do jakiegokolwiek ruchu ani do jakiegokolwiek myśli.

Po odpoczynku zarządzono zbiórkę grupy. Ustawiliśmy się w dwuszeregu. Już z przyzwyczajenia stanąłem w pobliżu końca, tak jak na poprzednich zbiórkach kompanii. Ktoś wydał szeptem komendę "kolejno odlicz". Odliczyliśmy również szeptem. Byłem dwudziestym pierwszym lub drugim. Przebiło się nas zatem około pięćdziesięciu, jako że obok dwuszeregu leżało czterech lub pięciu rannych, którzy nie odliczali.

Podobno tuż przed nami przebiegała się z powodzeniem jakaś inna grupa, wśród której był "Gorliwy". Jeszcze podczas ostrzeliwania obozu słyszałem wprawdzie z oddali jakieś zbiorowe okrzyki, ale trwały one krótko iż sądziłem, że była to właśnie tamta udana próba wyrwania się z okrążenia.

Myśmy musieli przebiegać się znacznie dłużej i przy znacznie silniejszej reakcji ogniowej nieprzyjaciela.

Ponieważ opatrywanie rannych i sporządzanie dla nich noszy z gałęzi przeciągało się wyraźnie, pozwolono nam odpocząć jeszcze przez chwilę. Kilku chłopców podeszło do mnie i rozładowało mnie z części amunicji, którą miałem wciąż przy sobie w zdobyczej skrzynce. Najgorzej przedstawiała się jednak sprawa z amunicją do pistoletów maszynowych. Odczuł to dotkliwie Zenek, który dopiero co "zdobył" po kimś upragnioną pepeszkę. W bębnie pistoletu znajdowała się jednak już tylko resztką nabojów.

W walce z uzbrojonym po zęby wrogiem mogliśmy zatem liczyć tylko na nasze karabiny. Ja z moją czarną skrzynką stałem się teraz pierwszym a zarazem ostatnim **magazynem** amunicyjnym naszej grupki. Z tych względów zostałem zwolniony od noszenia rannych.

Po niedługim marszu sam się jednak zgłosiłem do tej czynności ponieważ ciężko było mi iść z metalowym pudłem obijającym biodra, niosąc przy tym w drugiej ręce karabin pozbawiony pasa.

Ażeby przewiesić sobie skrzynkę musiałem najpierw kłaść karabin na ziemię, potem wyswobadzać się z pętli wciśniętej między kark i plecak, następnie przekładać tę pętlę na drugie ramię i dopiero potem podnosić karabin.

Czynność ta zabierała mi tyle czasu, że musiałem doganiać naszą kolumnę na odległość co najmniej dwudziestu metrów, a to wydawało mi się wysiłkiem morderczym. Po oddaniu amunicji niosłem nosze z rannymi, zmieniając się z idącymi obok kolegami co kilka minut. Szczęśliwie nie napotkaliśmy na nieprzyjaciela aż do chwili pozostawienia rannych w jakiejś leśniczówce lub małej osadzie leśnej. Stało się to już przy zapadającym zmroku, być może około godziny 18-ej. Przedtem jednak - o szarówce - przekraczaliśmy znów jakiś szeroki, piaszczysty trakt lub dukę idąc tyłem, w celu pozostawienia śladów mylących postępującą za nami pogoń.

Wydawało się bowiem nieprawdopodobne aby po przerwaniu się przez pierścień oblawy Niemcy zaniedbali tropienia sporej przecież grupy partyzanckiej.

Nastała jednak noc a my na swej drodze nie napotkaliśmy nikogo. Poczucie względnego bezpieczeństwa przypominało nam o podstawowych potrzebach życiowych, przede wszystkim o wodzie i o męczącym nas pragnieniu. Najgorszy był dla mnie wtedy smak niedawno zjedzonej konserwy i towarzyszące mu uczucie słonej spiekoty. Biłem się wciąż z wściekłą myślą, że przecież mogliśmy zatrzymać się podczas przekazywania rannych choćby na krótką chwilę by zaczerpnąć przy studni choćby łyk wody.

Czyżby o naszym ocaleniu decydowały teraz już nie minuty ale sekundy forsownego marszu? Jego tempo przecież i tak już malało z każdym kilometrem.

W pewnej chwili przypomniałem sobie nowelę o powstańcach z roku 1863, którzy gasili pragnienie przykładając do ust stal bagnetów.

I rzeczywiście. Poczułem się znacznie lepiej posmakowawszy lufy mojego karabinu. Czynność tę powtarzałem wielokrotnie mimo iż wyczułem przy tym wyraźnie także smak starego smaru.

W pewnej chwili czołówka naszego pochodu zatrzymała się na środku dukty. W świetle wschodzącego księżyca ujrzałem chłopców stojących i klęczących obok dwóch kolein wyżłobionych przez wozy w nawierzchni drogi. Na dnie kolein błyszczała wyraźnie woda.

Znalazłem skrawek wolnego miejsca i pochyliłem się nisko nad ziemią. Zamiast jednak wody poczułem na policzku dotyk czegoś miękkiego. Było to leżące w tej samej koleinie końskie łajno.

Trwało dość długą chwilę nim zebrałem w sobie tyle siły by oderwać się od cuchnącego błota nie poczuwszy na języku kropli wody. Wokół słychać było głośnie siorpanie tych, którym w zaspokojeniu pragnienia nie było w stanie przeszkodzić już nic.

Co zaś jednak najbardziej tragikomiczne, cała ta scena rozgrywała się w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od strumienia z krystalicznie czystą wodą. I tam dopiero grupka nasza poszła w rozsypkę kompletną.

Gdyby wzorem myśliwych, w pobliżu tego wodopoju usadowiła się nieprzyjacielska zasadzka, wyłapali by nas co do jednego bez potrzeby oddania strzału.

Leżąc z twarzą zanurzoną po szyję w strumieniu półprzytomnie wciągałem w siebie wodę wraz z haustami powietrza. W pewnej chwili poczułem, że się dławię i tracę przytomność. Ale gdy tylko przyszedłem jakoś do siebie, znów zanurzałem twarz w wodzie by zachłusnąć się nią ponownie. Serce biło mi w tym momencie niemal tak samo mocno jak podczas niedawnej walki.

Półżywy, dosłyszałem z trudem jakieś nawoływania. Ktoś pomógł mi podnieść się z ziemi. Byłem mokry prawie do pasa, mierząc od góry oczywiście. Gdy odszedłem od strumienia na kilka kroków, przypomniałem sobie o pozostawionym tam karabinie. W tym czasie formowano już kolumnę i zabierano się do odejścia. Na szczęście udało mi się po omacku natrafić na leżącą w błocie broń.”

(Przerwę tu na chwilę relację "Cienia" aby wyjaśnić, że to "spotkanie z wodą" było szczególne i nietypowe. Zenobiusz Kozłowski "Kurzawa" który razem z "Cieniem" wyruszył do akcji przebicia się, opisuje podobną scenę inaczej. Według "Kurzawy" dowódca zatrzymał oddział z dala od strumienia i każdemu żołnierzowi przydzielał tylko po jednym kubku wody, bojąc się szkodliwego działania wody pitnej w nadmiernej ilości na wycieńczonych marszem żołnierzy. Wynika z tego, że "Kurzawa" znalazł się w innej grupie, która biegnąc przez leśne gęszcza oderwała się, aby ponownie spotkać się w rejonie Wąchocka.

Niewątpliwie "Cień" jako bardzo młody chłopiec (rocznik 1929), wychowany był w znacznie wygodniejszych wielkomiejskich warunkach, inaczej sobie wyobrażał życie w partyzantce i wiele sytuacji w jakich się musiał znaleźć były dla niego szokujące. Dla chłopców ze wsi, bardziej zahartowanych i wytrzymałych fizycznie, opisane przez "Cienia" sytuacje nie były tak bardzo rażące i dokuczliwe, gdyż dotychczas nie spotkałem kogoś drugiego, kto zwracał by na te sprawy uwagę. Nie mniej przeżycia "Cienia" bardzo dobrze przez niego opisane, uwypuklają doskonale dole i niedole żołnierzy partyzanckich).

W dalszej treści swych wspomnień "Cień" podaje:

"Orzeźwieni i jakby odrodzeni ruszyliśmy w dalszą drogę marszem wyraźnie szybszym. Po niedługim czasie osiągnęliśmy szosę Starachowice-Tychów. Tym razem jednak przedzierać musieliśmy się przez nią niemal pod nosem Niemców. Co chwila bowiem przejeżdżały w pobliżu nas niemieckie samochody. Wreszcie udało nam się złapać jakąś przerwę w przejeździe kolumn i bez przeszkód osiągnęliśmy przeciwny las.

Od tego czasu nie przeżywalismy już żadnych przygód, nie licząc niespodziewanego spotkania z dużym stadem dzików. W brzasku budzącego się dnia widać było wyraźnie cwałującą brunatną szarżę.

Wkrótce potem stanęliśmy w zabudowaniach jakiejs leśniczówki lub gajówki na skrzyżowaniu dróg leśnych.

Po mieszkańcach tego domu nie pozostało nawet śladu. Nie było ani sprzętu domowego ani mebli ani choćby psa lub kota. W stodole znajdowały się tylko resztki zmierzwionej słomy.

Na rozkaz sierżanta udaliśmy się tam by zażyć choć trochę odpoczynku. Spać jednak nie pozwalano. Po godzinie wszakże wyznaczono część z nas na posterunki alarmowe, po czym reszta natychmiast pogrążyła się w objęciach Morfeusza.

Mnie przypadła wtedy służba na posterunku zamykającym drogę leśną na zachód od zabudowań.

Przed wyruszeniem grupy ubezpieczającej wymieniono mi mojego zardzewiaka na pięknego, nieomal nowego "Mausera" produkcji czeskiej. Gdy już leżałem na stanowisku, nie mogłem sobie odmówić przyjemności repetowania zamka, który działał miękko i cicho, jak zrobiony z gumy.

Nie pamiętam ile razy gapilem się w znak firmowy broni i napis "Zbrojovka Brno". A więc jednak można było dorobić się w lesie broni i szybko i dobrze. Wystarczyło tylko jednej partyzanckiej bitwy.....

Obok mnie te same rozkosze przeżywał jakiś chłopiec z pod opatowskiego Urzędowa. Dostał zdobycznego niemieckiego "Mausera" z pasem i ładownicami na dodatek.

Jakoś nie chciało się nam spać zupełnie. Ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się potem od rozprowadzającego, że przedłużyli nam służbę do prawie czterech godzin, nie mogąc dobudzić się śpiących. W tym samym czasie nie spojrzałem nawet ani razu na zegarek.

Po powrocie do zabudowań dano nam kubek gorącej kawy i dużą pajdę wiejskiego chleba. W izbie przyległej do kuchni urządzono wartownię. Na skutek nieporozumienia, zamiast wrócić do stodoły, zasnąłem w tej izbie wprost na podłodze. Potem o mało co nie wysłano mnie na następną służbę, z inną zmianą.

Gdy szedłem do stodoły po raz pierwszy poczułem ostry ból po zewnętrznej stronie prawego uda. Sądziłem początkowo iż był to skutek odleżyny po spaniu na twardych deskach. W stodole udało mi się znaleźć miejsce na dość grubej warstwie słomy i tym razem zasnąłem już w pełni świadomości, że nikt nie zbudzi mnie dopóki nie wypocznę całkowicie.

Jednak zaledwie - jak mi się zdawało - zdążyłem zamknąć oczy, ktoś energicznie szarpnął moim ramieniem. Okazało się, że jest to pobudka w celu przeprowadzenia czegoś w rodzaju apelu poległych. Spałem jednak dość długo, bo na dworze zaczynało już szarzeć. Apel prowadził nasz dowódca - sierżant.

Z jakiejś listy odczytywał pseudonimy ludzi z kompanii "Kwiatkowskiego". Z głębi stodoły padały od czasu do czasu odpowiedzi "jestem" lub "poległ na polu chwały".

Wstrząsnęły mną te ostatnie słowa w chwili odczytywania z listy pseudonimów Piotrka i Jurka. A więc ocalała nas tylko dwójka...

Długo nie mogłem uspokoić się myśląc przede wszystkim o matce Piotrka, która po utracie na wojnie męża (ojciec Piotrka zginął w Katyniu) teraz straciła swojego syna. Pozostał jej jeszcze tylko braciszek Piotrka, sześciolatek Januszek.

Boże. Przecież to ja go wyciągnąłem z domu do tego lasu....

Jak pokażę się jej teraz na oczy, jeśli uda mi się wrócić szczęśliwie?

Zupełnie inne myśli opadły mnie na wspomnienie Jurka. Z trudem powstrzymywałem płacz myśląc o jego ojcu, który powróci z niewoli by dowiedzieć się, że po śmierci żony (Jurek stracił matkę w dzieciństwie) i starszego syna (zginął w 1943 roku jako partyzant z oddziału "Jędrusiów") kolej przyszła na ostatnią z drogiej mu istot.

Jak się miało okazać po wielu latach, przeczulem tę tragedię do samego jej końca. Ojciec Jurka, kapitan Marek Różycki, zmarł zaraz po powrocie do kraju. Śmierć dosięgła go w wieku niespełna 40 lat.

Rzeczywistość partyzanckiego bytowania szybko jednak kazała mi powrócić do trosk namacalnych. Ból w udzie nie malał lecz powoli ale ciągle wzrastał się. Po zdjęciu spodni okazało się, że była to rana, z której aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy. Co gorsza nie mogłem wyprostować nogi zgiętej podczas snu w kolanie. Sądziłem, że po wyjściu ze stodoły rozchodzę jakoś ten ból. Rana wydawała się bowiem bardzo powierzchowna. Nic to jednak nie pomogło wobec czego zameldowałem się u szefa. Zamiast odpowiedzi sierżant sięgnął do płóciennej torby i wyjął z niej stos dokumentów. Po chwili miałem w ręku wszystkie moje papiery. Następnego dnia o świcie grupka nasza miała wyruszyć w dalszą drogę. Ja, zgodnie ze wskazówkami sierżanta, poszedłem leśną drogą w stronę pobliskiego Wąchocka.

Na odchodnym pożegnałem się z Zenkiem serdecznie. Moja epopea partyzancka nie dobiegła wszakże jeszcze swego końca. Problemem było najpierw bezpieczne wyjście z lasu a potem przedostanie się do odległego o ponad 30 kilometrów Ostrowca.

Dziwne jest uczucie człowieka, który nagle z samego piekła wojny wychodzi wprawdzie żywy i cały ale ze świadomością, że brakuje mu czegoś najważniejszego - właśnie broni. Oto przed kilkunastoma zaledwie godzinami wpatrywałem się w ten las z karabinem gotowym do strzału na każde poruszenie się zarośli, a teraz wystawiam się sam na cel jako całkowicie bezbronny.

Gdyby nie piekący ból w nodze zawróciłbym jeszcze biegiem i podążył w ślad za naszym oddziałkiem aby tylko nie być teraz aż tak osamotniony.

Gdyby mieć przy sobie choćby ów niemiecki granat-tłuczek, choćby nóż jakiś zwykły. Ale ja na swoją obronę nie miałem nic oprócz tkwiącej w kieszeni płaszcza paczki papierów. Czy wystarczy mi ona dla wytłumaczenia mojego dość dziwnego wyglądu? Na nogach miałem narciarskie buty i wpuszczone w nie spodnie. Na ramionach pognieciony niemiłosiernie płaszcz, na ramionach plecak i do tego goła głowa z niemytymi od wielu tygodni włosami. Furażerkę musiałem bowiem zostawić w lesie wraz z moim pasem wojskowym. Szedłem poboczem leśnej drogi wpatrując się w każdy pobliski krzak. Poranek był cichy i niemal pogodny. Dziwne, że z każdym kilometrem ubywało mi bólu w nodze, a jednocześnie jakby przybywało poczucie bezpieczeństwa. Gdybym znał długie pacierze, modliłbym się do Boga nie tyle po to aby o coś prosić, ile aby dziękować za każdy przebyty kilometr.

I tak dotarłem do skraju lasu, gdzie czekać mogło mnie niebezpieczeństwo największe - spotkanie niemieckiego patrolu i mało prawdopodobna szansa wytłumaczenia się z mojej tu obecności z dokumentami ostrowieckimi i w dwa dni zaledwie po rozegranej w pobliżu bitwie partyzanckiej.

Początkowo chciałem przebyć te ostatnie metry dosłownie czołgając się od krzaka do krzaka, ale w końcu nie uczyniłem tego złożyłwszy losy moje w ręce Opatrzności.

Jak się okazało, dróżka leśna, którą szczęśliwie przeszedłem, prowadziła niemal wprost na budynek stacji kolejowej w Wąchocku.

Przed budynkiem stał człowiek w niemieckim mundurze kolejarskim.

Było więc jasne, że nie będę mógł stąd odjechać po prostu jako pasażer "Niemieckich Kolei Wschodu". Co gorsza, aby przedostać się do miasteczka i szosy prowadzącej w kierunku Starachowic i Ostrowca trzeba było przekroczyć na pewno dobrze strzeżony tor.

Jedyne zaś widoczne z mojego punktu obserwacyjnego miejsce legalnego przejścia znajdowało się tuż w pobliżu stacji.

Gdybym chciał szukać innego, bardziej oddalonego, mógłbym zostać przyłapany przez Niemców na zupełnym bezdrożu, co czyniłoby moją sytuację wręcz beznadziejną.

Mijały więc długie minuty a ja wciąż tkwiłem w tym samym miejscu, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

Dziś, gdy piszę te słowa, trudno mi znaleźć sposoby przekonania kogokolwiek, jak wielką rolę w życiu człowieka odgrywało wtedy oczekiwanie na cud i jak bardzo wierzyło się wtedy w spełnienie tych oczekiwań. Moje oczekiwanie w lesie przed stacją kolejową w Wąchocku spełniło się - mierząc dzisiejszą miarą - bardzo szybko. Oto ten sam Niemiec wyszedł przed budynek stacyjny ze stołkiem i ustawioną na nim miednicą, po czym zaczął rozbierać się do mycia.

Odczekałem jeszcze chwilę na rozegranie się sceny najważniejszej w tym mikrodramacie, mianowicie na to czy Niemiec ustawi się przodem, bokiem czy tyłem do przejazdu kolejowego, przez który musiałem przejść.

Czułem, że nerwy mam napięte jak przysłowiowe struny. I oto Niemiec ustawia się dokładnie tak jak to sobie wymodliłem, a potem myje się i myje jakby przed świętem wielkanocnym.

Cały wysiłek woli skierowałem teraz na tempo mojego marszu aby przejść tak szybko jak to tylko możliwe, nie sprawiając jednak wrażenia biegu.

Szczęśliwie przekroczyłem przekłety tor a wkrótce potem znalazłem się w uliczce prowadzącej do miasteczka i dalej do widniejącego na wzgórku kościoła.

Świątynia ta przyciągała mnie teraz do siebie jak potężny magnes. Szedłem w jej stronę nie bacząc na kierowane pod moim adresem zza zamkniętych bram domów okrzyki ostrzegawcze bym się krył przed niemiecką łapanką.

Kościół okazał się całkowicie pusty. Nikt nie mógł więc udzielić mi jakiegokolwiek porady lub informacji co dalej czynić w sytuacji w jakiej się znalazłem. Powróciłem zatem do moich podziękowań Bogu za opiekę w drodze już przebytej, przeżegnałem się i wyszedłem.

Bez trudu odnalazłem wyjście z miasteczka w kierunku Starachowic. Niespodziewanie szybko udało mi się przejść przez miejscowość Wierzbnik, o której wiedziałem że stanowi jakby przedłużenie Starachowic. Dopiero strzegący jakiegoś mostku Rosjanin z ROA (Ruskaja Ochotniczeskaja Armia - pomocnicza formacja niemiecka) zapytał mnie czy jestem "Jewrej".

Wy tłumaczyłem się łatwo, nawet bez sięgania po dokumenty, ale spotkanie to dawało mi wiele do myślenia. Przypomniałem sobie zaraz wycofanie mnie ze służby wywiadowczej AK na skutek podobieństwa do wyglądu semickiego. A przecież teraz całe moje życie zależało od zwracania na siebie uwagi możliwie jak najmniejszej. Szedłem jednak kilometr za kilometrem bez żadnych przygód. W jednym z mijanych domostw otrzymałem od gospodyni garnek gorącego mleka i grubą kromkę wiejskiego chleba. Posiliwszy się nabierałem coraz większej wiaty w szczęśliwy koniec wędrówki. W tym też nastroju doszedłem do wsi Krynki, w której szosa starachowicko-ostrowiecka rozwidla się w kierunku Iłży.

W odległości nie większej niż 200 metrów ode mnie, dostrzegłem u wyłom szosy iłżeckiej stanowiska niemieckiej broni maszynowej i silne posterunki. Nie ulegało wątpliwości, że jest to zaporą skierowaną przeciw grupom partyzanckim, które zamierzałyby się przebijać tędy spod Piotrowego Pola. Podobnej bowiem zapory skierowanej w stronę Ostrowca, więc w kierunku linii frontu niemieckiego nad Wisłą, nie było.

Uradowany tym odkryciem szybko przeszedłem przez wieś. Gdy jednak znalazłem się poza nią w odległości około kilometra, usłyszałem za sobą klaskanie kopyt końskich i turkot szybko zbliżającego się wozu.

Obejrzałem się za siebie i z przerażeniem stwierdziłem, że nie mam już żadnych szans ucieczki przed zbliżającymi się wraz z tym wozem żołnierzami w niemieckich mundurach. Ci zaś jechali właśnie po mnie.

Nim zdążyłem wyjąć z kieszeni dokumenty, zostałem wylegitymowany w sposób zupełnie inny i kompletnie mnie zaskakujący. Otóż jeden z żołnierzy obwąchał po prostu mój płaszcz, zwracając szczególną uwagę na dolną część połów. Teraz dopiero poznałem, że mam do czynienia z żołnierzami ROA, specjalnie szkolonymi dla

zwalczania oddziałów partyzanckich. Wynik owego legitymowania był zaś taki, że kazano mi siadać na wóz i otoczono czterema żołnierzami trzymającymi karabiny gotowe do strzału.....

W chwili gdy wiozący mnie wóz skręcał w kierunku szosy ilżeckiej i zapory, wyjechał stamtąd na koniu jakiś dowódca w mundurze oficerskim - też z naszywką ROA. Mimo to zwróciłem się do niego nie po rosyjsku lecz po niemiecku, wołając że "ich will meine Kennkarte und alle andere Papiere zeigen, tzn. że chcę okazać moją kartę rozpoznawczą i inne dokumenty...."

Oficer ten rozumiał język niemiecki na tyle, że polecił zatrzymać wóz i wziął do ręki moją Kennkartę wraz z włożonym w nią dokumentem z ostrowieckiej "Ortskommandantur", potwierdzającym moje zatrudnienie jako gońca w szpitalu. Konwojujący mnie żołnierze zameldowali, że jestem "Jewrej-partizan".

Wiedziałem, tak jak wiedział wtedy każdy, że jako "partizan" mam szansę przeżycia wojny tylko w obozie koncentracyjnym, natomiast jako "Jewrej" zostanę rozstrzelany na miejscu bez sądu.

Czyżby więc tu właśnie zakończyć się miała moja tak szczęśliwa dotychczas droga wojenna?

Dwa razy wychodziłem wprost z ognia niemieckich bomb i salw artylerii we wrześniu 1939 roku, trzeci raz uratowałem życie tylko dzięki przypadkowemu pojawieniu się oficera, który skierował mnie wprost na odcinek obrony gdzie zabrałem się wraz ze szturmującą grupą partyzantów; wszędzie jednak mniej lub bardziej zdecydowanie niosły mnie ku ocaleniu moje własne nogi.

Teraz zaś pozostawało mi tylko czekać na wyrok, który mógł być tylko zwykłym skinieniem ręki.

W napięciu wpatrywałem się w siedzącego na koniu oficera, który nie mogąc uporać się z niemczyzną dokumentów, włożył cały zabrany mi pakiet do swojej torby i skinął na woźnicę aby jechać za nim.

Poczułem pierwszy cień nadziei, gdy wóz zawrócił z drogi wiodącej ku zaporze i skierował się w głąb wsi.

Po niedługim czasie konwój zatrzymał się i poprowadzono mnie ku domostwu położonemu jakby na szczycie wykopu, w którym biegła ulica. Wprowadzono mnie do izby gdzie za szerokim stołem siedział podoficer niemiecki w stopniu zdaje się feldfebla (sierżanta).

Oficer - Rosjanin złożył owemu podoficerowi formalny raport meldując, że prowadzi "Jude" - ale już bez dodatku "partizan".

Po złożeniu meldunku położył moje dokumenty na stole. Równocześnie zacząłem nieproszony wyjaśniać moją obecność na drodze między Starachowicami i Ostrowcem. W odpowiedzi usłyszałem znany niemiecki okrzyk nakazujący śmienie pyska. Zamilkłem więc i obserwowałem z napięciem Niemca, który miał kontrolować moje dokumenty, wpatrywał się w fotografie moich kolegów i koleżanek, w moje ostatnie świadectwo szkolne z wypisanym po polsku i po niemiecku bardzo dobrym stopniem z religii i w końcu w moje "lipne" zaświadczenie ze szpitala, że jestem chory na "tuberkulozę" (gruźlicę).

Nie wiem, który z tych dokumentów zaważył na ostatecznej decyzji Niemca, ale miast jakichkolwiek indagacji, odsunął cały pakiet na skraj stołu i powiedział lub raczej warknął krótkie "ab"!

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że jest to wyrok ułaskawiający mnie i czekałem na reakcję stojących za mną Rosjan. Widząc oficera siadającego na ławie i wychodzących z izby żołnierzy podszedłem do stołu, podziękowałem i wyszedłem z izby przez nikogo nie zatrzymywany.

Gdy jednak znalazłem się znów na tym samym nieszczęśliwym kilometrze, gdzie doścignął mnie wóz z konwojem, usłyszałem ponowne szybkie zbliżanie się jakiegoś pojazdu - tym razem roweru.

Nie odwracałem jednak głowy i nie zatrzymywałem się.

Ku mojemu najwyższemu zdumieniu rowerzystą okazał się dobrze znajomy mi z Ostrowca ksiądz Major. I teraz dopiero dowiedziałem się, że zawdzięczam swoje życie nie czemu innemu jak właśnie cudowi. Nikt bowiem z rąk tego oddziału wolny jeszcze nie wyszedł.

Sądzę, że owe zakończenie moich największych perypetii wojennych tak właśnie określone i ocenione przez osobę najbardziej w tej mierze kompetentną, uchroni mnie teraz od zarzutu nadużywania terminologii w całym tego słowa znaczeniu nieziemskiej. Mimo nalegań księdza Majora, abym schronił się na jakiś czas w tutejszej plebanii, ruszyłem w dalszą drogę, ufny w szczęście i opiekę Boską bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Poza tym miałem już za sobą dwie trzecie całej trasy. Jakoż i potwierdziły się moje nadzieje bez reszty, bo do Ostrowca doszedłem nie niepokojony już przez nikogo, mimo iż mijiałem wiele posterunków i maszerujących oddziałów. Ponieważ zapadał wieczór i zbliżała się pora godziny policyjnej, ostatnie kilometry marszu przebyłem w tempie wręcz morderczym.

Potem otworzyłem drzwi mojego domu i tak jak stałem, padłem na niezaścielone łóżko.

Gdy już mogłem jako tako sprawnie poruszać się na nogach, udałem się do pani Kłopotowskiej - cioci Jurka, by zakomunikować jej smutną wiadomość.

Na szczęście dla mnie nie byłem pierwszy.

Wiedziała już że Jurek pochowany został na miejscu bitwy we wspólnej mogile. Trumną były mu narzucone na zwłoki gałęzie choiny.

Długo natomiast nie można było uzyskać zaprzeczenia lub potwierdzenia śmierci Piotrka. Niespodziewanie powrócił on do domu niedługo po wkroczeniu do Ostrowca wojsk radzieckich. Wrócił z niewoli chyba jako jedyny z ciężko rannych.

Przed dobijającą kulą oprawcy uratował go w ostatniej chwili Hofmann. Piotrek pamięta wyraźnie moment szarpania się Hofmanna z żołnierzem w mundurze niemieckim, który trzymał w ręku wycelowany już pistolet. Szarpiąc oprawcę za rękę Hofmann głośno krzyczał "nein, nein"....

O ile mi wiadomo, Niemiec ten odegrał później pewną rolę przy ratowaniu innych jeńców naszego zgrupowania. Szczegółów jednak nie znam.

Co do Piotrka zaś, ciężki postrzał głowy (skroni) dokuczał mu nieprzerwanie mimo powierzchownego zagojenia się rany. Dziś przebywa w państwowym domu opiekuńczym w Ostrowcu, jako inwalida z mocno ograniczoną sprawnością umysłową. Ma trudności w wymowie, zupełnie nie potrafi ani czytać ani pisać. Spotkaliśmy się po 35-ciu latach od mojego wyjazdu z Ostrowca Św. Przedtem uprzedzono mnie, że jest mało prawdopodobne aby mógł mnie jeszcze poznać. Stało się jednak zupełnie inaczej. Padliśmy sobie już od progu w objęcia jak bracia. Potem - ku zdziwieniu jego obecnej przy tym spotkaniu matki - Piotrek opowiedział mi o wielu sprawach osobistych, dawno już przeżytych.

Co do mnie samego, okazało się, że rana w udzie była dość głęboka. Jątrzyła się bardzo, podobnie jak kilka innych ale znacznie mniejszych, po których mam pamiątkę do dziś na obu nogach.

Zupełnie nie mogę zrozumieć "topografii" rozmieszczenia tych śladów. Wygląda bowiem na to, że byłem raniony z prawa i lewa odłamkami pocisku lub granatu, co przy jednym wybuchu wydaje się mało prawdopodobne. Czyżbym więc był "ranny" dwukrotnie?

Określenie ranny piszę w cudzysłowie, dlatego że w tamtym czasie takie uszkodzenia ciała uchodziły za coś w rodzaju wojennego kataru.

Po wyleczeniu się, powróciłem do mojej poprzedniej komórki organizacyjnej AK. Przyjęto mnie niemal z honorami. Aż do końca okupacji niemieckiej otrzymywałem żołd w złotych i dolarach. Żadnych jednak zadań organizacyjnych już nie wykonywałem, ponieważ przez długie tygodnie nie wychodziłem z domu, ukrywając się przed wspomnianym już agentem Gestapo, który teraz wylapywał w Ostrowcu rozpoznanych przez siebie chłopców od "Potoka".

I jeszcze jedna, tym razem już ostatnia refleksja powojenna.

Podczas odwiedzin cmentarza wojennego w Iłży, dokąd zostali ekshumowani polegli partyzanci spod Piotrowego Pola, z bólem serca stwierdziłem brak tabliczki identyfikacyjnej Jurka Różyckiego. Znalazłem za to tabliczki takie na mogiłach poległych, pochowanych w rzeczywistości nie w Iłży lecz w Ostrowcu Świętokrzyskim, po ekshumacji w marcu 1945 roku.

Pamiętam pogrzeby partyzantów Kazimierza Manowskiego i Tadeusza Przybysławskiego, w których sam uczestniczyłem. Tabliczki z ich nazwiskami również znajdują się na obu cmentarzach, w Iłży i Ostrowcu. Innych nazwisk ekshumowanych już niestety nie pamiętam. Tabliczkę z nazwiskiem i pseudonimem Jurka "Merkurego" zawiesiła na jednej z mogił partyzanta nieznanej delegacja Towarzystwa Miłośników Ostrowca po przeprowadzeniu niezbędnych ustaleń, potwierdzających śmierć mego przyjaciela i obecność na cmentarzu w Iłży (nie był ekshumowany).

Niestety nie powiodła się druga moja inicjatywa, zmierzająca do upamiętnienia samego naszego obozowiska, w obronie którego polało się aż tyle krwi i łez.

Wydaje się, że sam pomnik przy gościńcu ostrowieckim, choć umieszczony na miejscu upamiętnionym pierwszym cmentarzem poległych, nie jest pamiątką kompletną. Oznaczyliśmy wtedy wraz z Zenkiem Kozłowskim w roku 1981 miejsca rozmieszczenia szałasów, wartowni, kuchni, i innych obiektów, przez malowane na drzewach znaki białe-czerwone i symbole literowe np. "K" - kuchnia, "SI" - szałas pierwszy, "W" - wartownia.

Jak się dowiedziałem ostatnio, po znakach tych ani po znakach kierunkowych, prowadzących od pomnika do obozu - nie ma śladu.

Kto je zatarł i dlaczego - nie wiem, ani tego nie rozumiem. Nie ma przecież - o ile mi wiadomo - w Polsce autentycznego skansenu partyzanckiego, jaki właśnie mógłby powstać tu, na Piotrowym Polu.

Pamiętam bowiem dobrze nie tylko rozmieszczenie ale i konstrukcje szałasów. Znany mi z opisów o charakterze reklamowym skansen w woj. białostockim - jak się okazuje nie jest autentyczny i nie znajduje się na miejscu upamiętnionym obecnością partyzantów.

Tu zaś, na Piotrowym Polu obiekt taki upamiętniałby nie tylko nasze życie ale i samo pobożowisko.

Hasła "Piotrowe Pole" nie ma w przewodniku po miejscach upamiętnionych wojną 1939 - 1945 r. Nie ma też po dziś dzień żadnego opisu historycznego upamiętniającego istnienie Zgrupowania Partyzanckiego "Potoka", który choć nie zdążył błysnąć wyczynami w stylu zgrupowań "Jędrusiów" lub "Ponurego", ale złożył Ojczyźnie ofiarę krwi i trudu chyba godną jakiegoś uznania.

Poznań, dnia 4 maja 1983 r. Juliusz Molski "Cień"

Przytoczone relacje dają pogląd na problematykę związaną z życiem ludności podczas niemieckiej okupacji. Pokazują postawę naszej młodzieży, nacechowaną wielkim patriotyzmem i umiłowaniem Ojczyzny a także ludzi niezaangażowanych w działalności konspiracyjnej, a pomagających w potrzebie tym którzy walczą. Widać tu ogromny patriotyzm ludzi wygnanych przez okupanta ze swych domów w poznańskim i z innych rejonów Polski, przyłączonych do tzw. III-ej Rzeszy, tworzonej przez Hitlera.

W 1-szym Pułku AK Ziemi Iłżeckiej około 40% dowódców i około 20% szeregowych żołnierzy to Polacy z Poznania, Torunia, Płocka, Inowrocławia, Łodzi lub terenów Śląska.

Razem z młodzieżą patriotyczną ziemi iłżeckiej i opatowskiej dali najeźdźcy odczuć, że Polska żyje i że Niemcy nie mogą się czuć zwycięzcami, jak im się to początkowo wydawało.

Bitwa stoczona pod Iłżą we wrześniu 1939 r. stała się tylko wstępem do rozpoczynającej się na tych terenach walki. Jej ślady to liczne groby poległych, miejsca straceń, pomniki martyrologii wsi polskiej. Powinny być otoczone szczególną opieką przez przyszłe pokolenia jako dokumenty naszej historii i dowody nieugiętej woli Narodu Polskiego do życia w wolności.

Ostatnie dni okupacji niemieckiej

Po demobilizacji Iłżeckiego Pułku AK, czyli od połowy listopada 1944 r. lasy starachowickie opustoszały.

W chwili gdy "Potok" grupował swoje oddziały po bitwie pod Piotrowym Polem, w rejonie Klepacz i Kuter znalazły się oddziały AL Moczara, ścigane przez Niemców od czasu bitwy pod wsią Gruszką. Bitwa ta rozegrała się w dniach 29 i 30 września C2yli prawie w tym samym czasie co bitwa Iłżeckiego Pułku pod Piotrowym Polem.

W raporcie dowódcy SS i policji w Radomiu z dnia 11. X. 44 r. Obersturmbannführer Illmer podaje, że zabito 101 partyzantów i 42 wzięto do niewoli oraz wylicza ilość zdobytego sprzętu pochodzenia radzieckiego.

Ze względu na trudności utrzymania takich ilości partyzantów na terenach bardzo nasyconych nieprzyjacielem, trudności aprowizacyjne, zimno, oddziały AL postanowiły przebić się przez front. Decyzja ta świadczyła o tym, że wojska radzieckie nie przewidują w najbliższym czasie ofensywy.

Z lasów starachowickich zgrupowanie AL przerzuciło się w lasy małomierzyckie i połączyło ze zgrupowaniem BCh "Ośki". Oba te zgrupowania pod dowództwem radzieckiego oficera "Filuka" oraz Tadeusza Łęckiego "Orkana"(AL), zabierając dodatkowo wielu terenowych działaczy PPR, w nocy 28/29 października 1944 r. przebiły się przez front pod Chotczą.

Chociaż akcja ta została uzgodniona ze stroną radzieką, doszło do "nieporozumienia". Całość sił uformowana w trapez zaatakowała od tyłu linię okopów niemieckich.

Jak opisuje tę akcję jej uczestnik, kpt. Józef Bugajski "Azja"- Oficer Informacyjny Zarządu Wojsk Bezpieczeństwa Publicznego PRL (CAW - sygn. akt 181/62/53), w przodzie i po bokach szyku trapezowego umieszczono 47 karabinów maszynowych, pozostali partyzanci uzbrojeni byli w pistolety maszynowe, a także w karabiny.

Po dotarciu do pierwszej (od tyłu) linii okopów niemieckich otwarto huraganowy ogień ale okazało się, że w okopach nie było Niemców.

Ogień ten spowodował alarm po stronie radzieckiej i niemieckiej.

Od strony Wisły ukazały się pęki rakiet i na partyzantów posypał się zmasowany ogień artylerii, moździerzy i karabinów maszynowych.

Nie mając wyboru partyzanci parli do przodu przez niemieckie okopy i pola minowe. Umówione hasło "granit" w huku pękających pocisków i min było niesłyszalne, aż zdobyto radzieckie okopy.

Siły partyzanckie wynosiły około 700 ludzi. Bugajski podaje, że poległo 285 osób i 92 były ranne.

Taki przebieg "uzgodnionej" akcji oraz fakt, że Moczar ze sztabem nie poszedł na czele swych oddziałów a pozostał, oczekując na transport lotnicy, nasuwa myśl czy to co się stało nie było zaplanowane.

Moczar, Hilary Chełchowski, Marian Janie oraz "dr Anka" pozostali w lasach starachowickich, ukrywając się głównie w rejonie wsi Borsuki (Rybiczyzna), w oczekiwaniu na samolot.

Niemcy mając "wtyczki" w organizacjach AL orientowali się, że w lasach pozostał sztab AL i wiedzieli gdzie go szukać.

Zrobili w dniu 31 października obławę w rejonie Piotrowe Pole - Borsuki, odnajdując grupę Moczara.

Męska część ukrywającej się grupy była bardziej sprawna fizycznie i zdołała wydostać się z kotła. Sanitariuszka Helena Wolf ("dr Anka") nie mogła tak szybko biegać i została przez własowców schwytana, tymbardziej że została ranna w prawą pierś.

Krytycznego dnia jechałem rowerem z Iłży do Klepacz. Zawsze jeździłem najkrótszą drogą przez Błaziny i obok Piotrowego Pola. Tym razem jakieś dziwne przeczucie podpowiedziało mi, aby pojechać dalszą drogą, przez Marcule. Jeżeli w lasach jest obława, to w Marculach będą wiedzieli. Byłem na liście poszukiwanych przez Gestapo, więc lepiej było nie szukać okazji do spotkań z Niemcami w rejonach, gdzie każdy napotkany człowiek był dla nich podejrzany.

Gdy przybyłem do Marcul, przed Biurem Nadleśnictwa stały na szosie trzy ciężarówki, kryte plandekami i stał łazik wojskowy.

Przed Biurem i na szosie stało kilku żandarmów oraz polscy pracownicy nadleśnictwa, wyrzuceni z pomieszczenia biurowego.

Od stojących Eugeniusza Czapczyńskiego, Mieczysława Frątczaka, Tadeusza Gilewskiego, Stanisława Stępniewskiego, Mieczysława Popławskiego, dowiedziałem się że jest obława w rejonie Piotrowego Pola i że pół godziny temu przywieziono ranną "dr Ankę", którą Niemcy przesłuchują w Biurze.

Wewnątrz pozostał tylko nadleśniczy dr Leon Mroczkiewicz, którego Niemcy pozostawili jako tłumacza.

Za chwilę przybiegła do nas pani Czapczyńska, która przez drzwi na stałe zamknięte, podsłuchiwała ze swego mieszkania rozmowę Niemców z "dr Anką". Powiedziała, że "Anka" czuje się widocznie dość dobrze, gdyż głośno i z dużą pewnością siebie odpowiada na zadawane pytania. W pamięci pozostał mi tylko jeden fragment dialogu. Na pytanie Niemców: "skąd wiedzieliście że jest obława? "

"Anka" odpowiedziała: "bo mieliśmy czujki". "A ile mieliście tych czujek? " zapytali Niemcy. "Sto", odpowiedziała "Anka".

Widać było z odpowiedzi "Anki", że poprostu kpiła sobie z Niemców dając im bzdurne odpowiedzi.

Wkrótce wyszedł z Biura dr Mroczkiewicz i zwracając się do nas poprosił dwóch chętnych do przeniesienia noszy z "Anką" do samochodu. Podskoczyli Mieczysław Popławski i chyba Stanisław Stępniewski a za chwilę nieśli już ranną do ciężarówki. Leżała spokojnie patrząc w niebo, nakryta kocem pod szyję (prawdopodobnie miała skute rękę).

Była dość ładną blondynką, o krótko strzyżonych włosach.

Trudno mi odgadnąć jak to się stało, że przy wjeździe do Brodów Iłżeckich od strony Lubieni, Niemcy ją zastrzelili i wyrzucili do rowu. Miejsce to zostało upamiętnione pryzmą kamieni i płytą.

Przypuszczam, że zdając sobie sprawę z tego iż w Ostrowcu czekają ją tortury, zrobiła coś co Niemców wyprowadziło z równowagi i zastrzelili ją. Widziałem ją zatem 10 do 15 minut przed śmiercią, gdyż tyle się jedzie z Marcul do Brodów Iłżeckich.

"Anka" w oczekiwaniu na samolot, nosiła w torbie pudło po niemieckiej masce przeciwgazowej, wypełnione filmami. Przed schwytaniem jej zdążyła tę torbę ukryć i dotychczas, nie została odnaleziona.

Do czasu wkroczenia wojsk radzieckich 17 stycznia 1945 r., we wschodniej części lasów starachowickich ukrywało się jeszcze siedmiu radzieckich żołnierzy, uzbrojonych w jeden radziecki rkm oraz pepesze i karabiny. Przychodzili wieczorami zjeść coś gorącego do gajówek lub leśniczówek, a wśród nich również na Klepacze. Otrzymywali potem suchy prowiant i znikali.

Przyprowadził ich ppor. Kazimierz Karwacki "Wiech", kilka dni po odmarszu wszystkich oddziałów AL na drugą stronę frontu.

Gdy zgrupowanie AL zostało otoczone pod wsią Gruszka dowództwo zgrupowania utworzyło oddział szturmowy pod dowództwem "Wiecha", dając mu rozkaz przzerwania linii niemieckich i zrobienia przejścia dla pozostałych oddziałów. Okazało się, że był to oddział świadomie przez dowództwo AL przeznaczony na stracenie.

Nic o tym Karwackiemu nie powiedziano. Jako byłego AKowca poświęcono dla ratowania własnej skóry.

Gdy Karwacki ze swoim oddziałem wyszedł w jasną księżycową noc na przedpole linii niemieckich, został powitany przez Niemców huraganowym ogniem. Z trudem udało mu się z niego wydostać. Oddział poszedł w rozsypkę. W tym czasie główne siły AL poszły w przeciwnym kierunku, wcześniej zaplanowanym, pozostawiając Karwackiego z jego ludźmi na pastwę Niemcom.

Karwacki, zawodowy podoficer WP, bardzo zdolny żołnierz, dał sobie radę i z kilkoma żołnierzami, głównie pochodzenia radzieckiego, wyszedł z matni. Idąc śladami zgrupowania AL doszedł do lasów starachowickich. Mieszkał w Połagwi i był tu dowódcą 141 plutonu AK, który pod dowództwem "Fina" został zaanektowany przez AL.

Z plutonu tego część ludzi powróciła do domów a część przeszła do NSZ lub oddziałów AK. Tylko jeden z jego żołnierzy powrócił razem z nim.

Karwacki był moim przyjacielem, instruktorem kursu podoficerskiego, byłem żołnierzem jego plutonu oddelegowany do pracy w Komendzie Obwodu. Po powrocie opowiadał mi jak go potraktowano.

Stosunek Moczara i innych rdzennych ALowców do chłopców z AK wcielonych do AL, nie był przyjemny. Uważano AKowców za element tzw. reakcyjny, zło konieczne, i chętnie wysyłano ich na niebezpieczne akcje, aby ginęli przysparzając chwały ALowi. Kiedyś leżąc pod drzewem słyszał Karwacki, jak po drugiej stronie leżący Moczar odezwał się do Chelchowskiego: "oblaży mnie wszy akowskie". Czy pod słowem "wszy" miał Moczar na myśli akowców, tego nie wiemy, ale takie pogardliwe powiedzenie samo za siebie mówiło.

Fakt faktem Waław Grolman "Świerk", młodszy brat Janusza Grolmana ps. "Janusz", który w bitwie Iłżeckiego Pułku AK pod Piotrowym Polem zasłynął z męstwa, był zmobilizowany w kompanii "Fina" i razem z "Wiechem" znaleźli się w AL. Ponieważ "Świerk" nie krył się ze swoim ziemiańskim pochodzeniem, podczas pewnej strzelaniny do własowców w lasach ratajskich, ktoś do niego strzelił z tyłu. Znalezione go martwego i dziwiono się jak został zabity.

Opisano go potem w literaturze jako poległego w walce z Niemcami.

Wzajemne zabijanie się w szeregach AL miało miejsce nie raz ale opisywanie tego nie jest moim celem i jest to temat dla innych, którzy będą wyświeślać czarne albo czerwone plamy tej brudnej historii.

Z chwilą rozpoczęcia ofensywy radzieckiej Niemcy w pośpiechu cofali się do Reichu. Odpryski żołnierzy niemieckich, którzy odrywali się od własnych jednostek i na własną rękę uciekali, wpadały w ręce partyzantów AK, urządzających na nich w lasach zasadzki. Zabierano im broń i puszczano swobodnie. Wątpliwe było aby ci żołnierze mogli przedrzeć się na tereny jeszcze niemieckie i ostatecznie wpadali w ręce żołnierzy radzieckich.

W takich to warunkach przyszła oczekiwana pięć lat "wolność".

Gdy przyszła "wolność"

Pierwsze tygodnie po wkroczeniu wojsk radzieckich na tereny starachowicko - ilżeckie, co nastąpiło 17-go stycznia 1945 r., stały się okresem tworzenia zrębów nowego ustroju.

Ustrój ten miał przynieść ludziom dobrobyt i sprawiedliwość społeczną.

Społeczeństwo podchodziło nieufnie do poczynąń nowych władz narzuconych przez obce i wrogie dotychczas dla nas mocarstwo, które u siebie nie potrafiło przez 25 lat stworzyć obiecywanych warunków.

Nasi rodzimi "komuniści", którzy z pomocą doradców radzieckich tworzyli nową administrację, wyrażali nadzieję że społeczeństwo przekona się o zaletach nowego ustroju i będzie go w przyszłości w naturalny sposób popierać.

Na razie tworzone najbardziej niezbędne organa administracji, tj. milicję obywatelską, która miała zastąpić dawną policję oraz Urzędy Bezpieczeństwa do walki z wrogiem politycznym.

Do służby w milicji przyjmowano początkowo różnych ludzi, głównie rekrutujących się z dawnych ALowców oraz BChowców z oddziału "Ośki".

Do Urzędów Bezpieczeństwa przyjmowano wyłącznie sprawdzonych komunistów, z dawnych partyzantów AL lub członków PPR.

Ponieważ było ich za mało aby obsadzić potrzebne placówki, to np. w samym Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego oraz niektórych Urzędach Wojewódzkich wykorzystano polskich komunistów sprowadzonych z Francji.

Placówki UB otrzymały do pomocy nie tylko instruktorów NKWD ale także odpowiednie jednostki radzieckie polityczno-wojskowe.

W myśl instrukcji aparatu władzy należało przystąpić do walki z wrogiem. Stalin wymyślił teorię, że tylko walka prowadzi do tworzenia nowego dobra i że należy na każdym kroku stwarzać warunki do niezgody i walki, nawet w rodzime. Uważał że w Polsce także trzeba doprowadzić do rewolucji, gdyż tylko ta może ukształtować nowe, dobre, socjalistyczne społeczeństwo.

Ażeby tę walkę w narodzie sprowokować należało znaleźć "wrogów" a następnie ich niszczyć.

Okazało się, że wrogiem mógł być każdy komu się ustrój nie podobał.

Uderzono jednak z zasady w byłych żołnierzy AK, członków Polskiego Stronnictwa Ludowego, Związku Młodzieży Wiejskiej WICI (uznawaną przed wojną za organizację prawie komunistyczną), nie mówiąc już o takich organizacjach jak Narodowe Siły Zbrojne.

Nie tolerowano ogólnie żadnych organizacji, które nie powstały z inicjatywy Moskwy. Jeżeli takie organizacje istniały starano się "udowodnić" że są na usługach wrogów socjalizmu i na tej podstawie odpowiednio je traktowano.

Aresztowano zwykle przywódców i najbardziej aktywnych członków organizacji. Aresztowano ich przy wszelkich okazjach i bez okazji. Wielu z nich miało na stałe spakowane rzeczy potrzebne do zabrania na wypadek pójścia do aresztu.

Spółeczeństwo było zmęczone wojną oraz niemiecką okupacją. Pragnęło spokoju i warunków do pracy, aby odrobić straty jakie każdemu wojna przyniosła.

Niestety, takie warunki nie nastąpiły.

Twórcy nowego ustroju głosili, że kto nie jest z nimi, to znaczy że jest przeciw nim. Nie można było mówić, że się jest apolitycznym, gdyż według teorii Stalina wszystko jest polityczne, nawet matematyka, która służy w działalności polityków.

Kto nie popiera ustroju komunistycznego (radzieckiego) i nie chce włączyć się do jego budowy jest wrogiem. Przy tym wszystkim Stalin zalecił, że lepiej jest zniszczyć stu niewinnych ludzi niż oszczędzić jednego "wroga".

Jak chyba w każdym społeczeństwie, znajdzie się zawsze pewna ilość ludzi, którzy będą udawać że wierzą w słuszność głoszonych teorii i będą wykonywać najbrudniejszą robotę, jeśli dopatrzą się w tym osobistych korzyści.

Tak też było i u nas.

Najpierw aresztowano i zamykano określonych ludzi, a potem starano się różnymi metodami udowodnić że są winni.

Zdarzali się jednak tacy szczęśliwcy, którzy po odsiedzeniu nawet kilku lat byli zwalniani do domu bez rozprawy sądowej, gdyż "nieudolni" pracownicy UB nie zdołali znaleźć materiałów obciążających.

Po wsiach krążyły specjalne oddziały podległe Wojewódzkiemu Urzędowi Bezpieczeństwa robiąc rewizje i aresztując poszukiwanych.

W wielu przypadkach zabijano ludzi bez sądu.

Przykładem takiego postępowania było zastrzelenie kpt. Eugeniusza Dymitrowa "Robura", odpowiedzialnego oficera komendy ilżecko - starachowickiego obwodu AK. Wyprowadzono go z biura nadleśnictwa w Marculach w las i tam go zastrzelono, puszczając plotkę że zabił go żołnierz UB w obronie własnej.

"Robur" jak już pisałem, miał w czasie planowanego ogólnokrajowego powstania objąć dowództwo nad samodzielnym baonem DOLINA i oczyścić z Niemców część Radomia. Tymczasem latem 1944 r. nowoutworzona komunistyczna organizacja AL - Świt zaczęła do siebie przeciągać żołnierzy niektórych jednostek DOLINY. "Robur" zaniepokojony tym zjawiskiem, bojąc się osłabienia wartości bojowych przydzielonej mu jednostki, zaczął osobiście jeździć po terenie instruując podległych dowódców jak mają się przeciwstawiać destrukcyjnej działalności komunistów.

W odpowiedzi na to organizatorzy AL - Świt uznali "Robura" za antykomunistę nr 1, chociaż ten sprawami politycznymi zupełnie się nie interesował i dbał wyłącznie o sprawy wojskowe.

Doszło do tego, że główny twórca AL - Świt Eugeniusz Iwańczyk spotykając mnie powiedział: "powiedźcie temu "Roburowi" że jak się nie uspokoi i nadal będzie działał przeciw nam, to "Mauser" do niego przemówi".

Była to wyraźna groźba zastrzelenia go.

Nie powtórzyłem tej wypowiedzi E. Iwańczyka "Roburowi", gdyż uważałem że może to doprowadzić do prawdziwego zaognienia stosunków i wtedy zacznie się na prawdę strzelanina, w której niepotrzebnie będą ginąć ludzie.

Ponieważ "Robur" miał o E. Iwańczyku bardzo złą opinię, znając go jako jednego z najsłabszych dowódców plutonów AK i tej opinii nie ukrywał, doprowadziło to do nienawiści Iwańczyka do "Robura".

Jeszcze w czasie wojny naświetlił Moczarowi jaki to antykomunista ten "Robur", urabiając grunt pod przyszłe rozrachunki z nim.

Nic też dziwnego, że ludzie bliscy tym wydarzeniom uznali śmierć "Robura" za osobisty akt zemsty ze strony E. Iwańczyka, stojącego teraz u szczytu władzy wojewódzkiej

PRL.

Już na pierwszym wiecu jaki zorganizowano w Iłży po wkroczeniu wojsk radzieckich, w przemówieniu wygłoszonym z balkonu E. Iwańczyk odgrażał się, że z AKowcami się policzy.

Zaczęły się masowe aresztowania, połączone z okrucieństwem śledztwa. Dawną rolę Gestapo przejęło teraz UB.

Pozostawiony na razie w spokoju Wincenty Tomasik "Potok" dowiedział się pewnego dnia, że czterdziestu jego podkomendnych dusi się w dwóch maleńkich celkach UB w Starachowicach i proszą go o ratunek.

Nie namyślając się zarządził zbiórkę pewnej części byłych swoich żołnierzy z zamiarem uderzenia na UB i uwolnienia kolegów.

Ktoś o tej zbiórce zawiadomił UB i zrobiono zasadzkę. Nie schwytano nikogo lecz podczas zaistniałej strzelaniny "Potok" został ciężko ranny w nogę.

Lecząc się potajemnie w ostrowieckim szpitalu został rozpoznany i aresztowany przez funkcjonariuszy UB oraz instruktorów NKWD.

Nawet sam E. Iwańczyk w towarzystwie radzieckich towarzyszy pofatygował się go obejrzeć, nie szczędząc gróźb i obelg pod adresem "Potoka" i jemu podobnych, chcąc zapewne tym sposobem przypodobać się towarzyszom radzieckim.

Po pewnym czasie, dzięki wstawiennictwu wpływowych osób, które go znały i u których cieszył się dobrą opinią, "Potok" odzyskał wolność.

Oczywiście po jakimś czasie został ponownie aresztowany i pod innym pretekstem skazany na 10 lat więzienia.

Z krótszą, niedoleczoną nogą, zmuszono go do ciężkiej pracy w kopalni węgla. Przeżył jednak i tę katorgę.

Zygmunt Kiepas "Krzyk", zastępca "Szarego" stracił w walce z niemiecką żandarmerią oko. Jako nauczyciel powrócił do swojego zawodu i włączył się nawet do budowy "socjalizmu" pomagając parcelować majątki. Nie miało to dla władzy PRL żadnego znaczenia. Ważne było że był oficerem w AK. Aresztowano go i bito po twarzy do tego stopnia iż nie wiele było potrzeba aby go oślepić.

Wytoczono mu sprawę o ukaranie chłostą w czasie wojny jakiegoś komunisty, który po wkroczeniu wojsk radzieckich został komendantem UB.

Na sprawę sądową przybyło wielu świadków z okolicznych wsi. Świadkowie stwierdzili, że ten poszkodowany "komunista" był zwykłym bandziorem, terroryzującym całą okolicę. "Krzyka" uniewinniono a UBeka zdjęto z zajmowanego stanowiska i jak zwykle w takich przypadkach przeniesiono na inne, być może wyższe stanowisko.

Podobne przejścia miał Marian Wujkiewicz "Judym", który przebywając w więzieniu spotkał w tej samej sytuacji ppor. Tadeusza Kwietnia, ps. "Dąb", znanego czytelnikom jako dowódcy plutonu w kompanii opatowskiej, w bitwie 1. X. 44 r. pod Piotrowym Polem.

Najbardziej ucierpiała rodzina Antoniego Hedy "Szarego" za to że ten uwolnił z kieleckiego więzienia ponad 400 przetrzymywanych tam, byłych żołnierzy AK.

Poszukując "Szarego" aresztowano mu rodzinę i w czasie "przesłuchiwań" w W. U. B. w Kielcach, zamordowano mu w bestialski sposób dwóch braci i szwagra.

Zagrożeni ludzie ratowali się uciekając za granicę, zmieniając miejsce zamieszkania, zatajając swój udział w konspiracji podczas wojny lub nawet idąc na współpracę z UB.

Pewna część dawnych partyzantów znów wzięła broń do ręki i udała się do lasu. W ten sposób doszło do starć zbrojnych, w których według ustaleń zrobionych w PRL zginęło około 15-tu tysięcy działaczy PPR i UB (według wypowiedzi Gomułki miało zginąć około 30 tysięcy).

Ilu ludzi zginęło po stronie przeciwnej żadne komunikaty nie podały ale sądzić należy że co najmniej trzy razy więcej.

Była to właśnie ta rewolucja, którą zalecał Stalin.

Ginęli niepotrzebnie ludzie, jedni realizując wytyczne stalinowskie, budując ustrój przemocy i zbrodni, inni broniąc się przed zniszczeniem.

Najbardziej w tej walce poszkodowana była wieś. Nie tylko dlatego że w niej ogniskował się ruch konspiracyjny w czasie wojny ale także dlatego, że w myśl teorii marksistowsko - leninowsko - stalinowskiej chłopci stanowili klasę kapitalistyczną, którą należało zlikwidować.

Więzienia, których dużo stało na terenach odzyskanych po niemieckiej Rzeszy, zaczęły się szybko napełniać.

Olbrzymie bloki więzienne, zbudowane prawie w każdej większej miejscowości, nie były w stanie zaspokoić rosnącego zapotrzebowania.

W celach więziennych, które Niemcy przewidywali dla jednego więźnia, o powierzchni podłogowej 12 m², upychano po 13 do 17, a często i więcej ludzi.

Metoda ta, zalecona niewątpliwie przez instruktorów NKWD i stosowana nadgorliwie przez żądnych awansu funkcjonariuszy więziennictwa i UB, zastępowała ekonomicznie zabijanie ludzi "Cyklonem" lub spalinami, stosowanymi przez Niemców.

Można sobie wyobrazić jakie było powietrze w celach, w których oprócz tej ciżby ludzkiej był jeszcze tzw. kibel, czyli naczynie (kocioł) zastępujący ubikację, do którego najskromniej każdy musiał przynajmniej dwa razy dziennie zajrzeć.

Wielu oddziałowych, jeśli musiało wejść do celi, zatykało sobie nos i usta chustką.

Odżywianie więźniów polegało na wydawaniu zupy ugotowanej z brukwi, liści kapusty lub kaszy. W zupach tych nie było śladu kartofli lub mięsa, za wyjątkiem kaszy do której wrzucano całe dorsze i potem zamiast jeść pluło się bez przerwy ościami.

Od czasu do czasu dorsze były zepsute i wszyscy dostawali biegunki. Wtedy na kilka dni wstrzymywano zupy, karmiąc czarną kawą i chlebem.

Na spacerów nie wypuszczano więźniów nieraz przez kilka miesięcy.

Jeśli wypuszczano to tylko na 5 minut i zwykle w okresie zimy.

Ogrzewanie cel zimą było symboliczne, natomiast zaoszczędzony węgiel spalano z nadmiarem w okresie letnim, szczególnie w czasie upałów.

Spanie odbywało się na podłodze wykonanej z płytek ceramicznych lub betonu, rzadziej drewnianej, na siennikach wymienianych co 6 miesięcy. Sienniki spełniały swą rolę praktycznie tylko dwa miesiące. Potem słoma zamieniała się w puder, który znikał w miarę upływu czasu a z sienników pozostawały tylko kawałki szmat.

Kawałki, gdyż pozbawieni zapalek więźniowie wykorzystywali nici z sienników do robienia ognia, aby zapalić papierosa.

W tych warunkach wszyscy więźniowie w większym lub mniejszym stopniu chorowali, a o to przecież chodziło.

Równocześnie zadbano o to aby więźniowie nie byli leczeni.

Raz w tygodniu przychodził lekarz więzienny, który symbolicznie badał więźnia skarżącego się na dolegliwości i przydzielał mu dwa proszki aspiryny jeśli więzień skarżył się na dolegliwości płucne lub dwa proszki bromu jeśli skarżył się na serce.

Nie było żadnych możliwości otrzymania z domu lekarstw lub żywności. Matki uwięzionych chłopców, stanowiących w 80% młodzież wiejską w wieku od 16 do 24 lat, przyjeżdżały z dalekich stron z paczkami i tobołami żywności dla swych synów lub mężów i koczowały pod gołym niebem na drodze przed bramą przez kilka dni, prosząc bezskutecznie o doręczenie przywiezionych rzeczy więźniowi. Żal było patrzeć na te biedne, umęczone kobiety.

Personel więzienny był odpowiednio dobrany, nastawiony wrogo do więźniów i czynił wszystko aby życie ich było maksymalnie uciążliwe.

Oddziałowi poruszali się w filcowych kapciach aby bezszelestnie podchodzić do drzwi i przez wziernik zaglądać do celi. W przypadku zauważenia, że więźniowie robią ogień lub zajmują się jakąkolwiek grą, natychmiast delikwentów zamykano do specjalnych cel bez okien, z betonowym miejscem do leżenia, czyli tzw. karców.

Więzień gdziekolwiek by nie był poza celą, zawsze musiał stawać twarzą do ściany.

Gdy ktokolwiek otwierał drzwi do celi, wszyscy więźniowie musieli ustawiać się w szeregach tyłem do drzwi wejściowych. Więzień mógł się odwrócić tylko na żądanie osoby, która otworzyła drzwi.

Dużo można by pisać na temat zamęczania uwięzionych ludzi, którzy umierali nie wytrzymując warunków.

Codziennie, o godz. 5³⁰ podjeżdżała furmanka pod blok wejściowy, na którą ładowano od jednego do kilku zmarłych ludzi i wiozła ich na pobliski cmentarz.

Zmarłych Niemców owijano w prześcieradła. Polakom robiono wyróżnienie gdyż pakowano ciała w skrzynie drewniane zrobione z odpadowych desek, czyli tzw. żrznów.

Aby społeczeństwo nie mogło się dowiedzieć o tym co dzieje się za murami więzień, zapewniono ścisłą izolację.

W listach nie wolno było więźniowi napisać słowa o warunkach przebywania, na tzw. widzeniach się z rodziną przez dwie daleko odsunięte od siebie kraty, też nie wolno było powiedzieć słowa na ten temat.

Ucieczkę więźniów uniemożliwiono przez znaczne podwyższenie murów zbudowanych przez Niemców i rozmieszczenie wieżyczek ze strażnikami strzelającymi do ewentualnych uciekinierów.

Bywały jednak wypadki, że więzień, zapewne jakiś sportowiec, potrafił po kłębach drutu kolczastego wspiąć się na mur i go przeskoczyć. Został zastrzelony, gdyż po takim wysiłku nie mógł już uciekać i poruszał się wolnym krokiem.

Nawet wyglądanie przez okna było zabronione pod groźbą zastrzelenia, jeżeli oczywiście w celach były okna przez które dało się wyjrzeć.

Więźniów dzielono na różne kategorie i różne były więzienia.

Więźniów skazanych przez sądy wojskowe, na kary od 10 lat wzwyż, do których należeli prawie wyłącznie żołnierze AK, trzymano w więzieniach specjalnych o reżimie który opisałem.

Więźniów o mniejszych wyrokach, które dawały ogólnie sądy cywilne za sprawy kryminalne lub współpracę z Niemcami, umieszczano w więzieniach o łagodniejszym reżimie, z możliwością chodzenia do pracy.

Żołnierzy AK, WIN, UPA i innych podobnych, sądziły sądy wojskowe, najczęściej w trybie doraźnym, bez możliwości obrony, a wymiar kar ustalano już wcześniej w UB. Wyrok był ostateczny i nie podlegający zaskarżeniu. Wszelkie prośby więźnia o rewizję sprawy sąd zatrzymywał bez dalszego biegu.

Wszystko co napisałem na temat warunków więziennych trwało do czasu śmierci Stalina. Od tej chwili jak za sprawą czarodziejskiej różdżki wszystko zaczęło się zmieniać. Już dwa tygodnie po śmierci Stalina zaczęto więźniów wypuszczać na spacer. Stopniowo zmniejszano ilość więźniów w celach. Zaczęto rozpatrywać prośby o rewizję sprawy, a jeśli nawet więzień nie składał takiej prośby, sądy same zaczęły to robić. Radykalna zmiana na lepsze nastąpiła po powrocie Gomułki do władzy. Przez te kilka pierwszych lat okresu stalinowskiego mnóstwo wartościowych ludzi straciło w Polsce życie i zdrowie.

Tzw. ułaskawianie skazanych na karę śmierci też było iluzoryczną łaską, gdyż ludzie ci zwykle nabawiali się większych lub mniejszych odchyłeń psychicznych. Oczekiwanie przez kilka tygodni na wykonanie wyroku, gdy każdy zgrzyt klucza w zamku sugerował że za drzwiami stoi śmierć, było nie do wytrzymania dla systemu nerwowego człowieka. Mało było takich, którzy przeżyli karę śmierci i ułaskawienie bez uszczerbku na zdrowiu.

Gdy żołnierzy Armii Krajowej gnębiono w więzieniach, równocześnie literatura i prasa wydawane w PRL starały się zmniejszać dorobek i znaczenie tej organizacji. Podawano do wiadomości, że z Niemcami walczyła tylko AL, a późniejszym czasie do udziału w walce dopuszczono także Bataliony Chłopskie, czyli BCh, podawane jednak na drugim miejscu.

Falszowano nagminnie historię, przypisując sukcesy AK ALowcom, starano się ośmieszać AK, a najczęściej przypisywać jej zbrodniczą działalność. Wielu partyjniaków chcąc podkreślić swoje oddanie dla partii zwykle "opluwało" AK lub załужonych żołnierzy AK, jak np. "Szarego". "Szary", który narażał swe życie przez cały czas wojny po to by ratować je innym, który przez cały czas swej działalności wojennej starał się chronić ludność przed samowolą okupanta i robił co mógł aby pomagać biednym i potrzebującym pomocy, teraz obrzucany był przez partyjniaków i UBowców "błotem". Gehenna jaką stworzyli najbardziej patriotycznej części naszego społeczeństwa stalinowscy sługusi i oprawcy, wymaga szerokiego omówienia. Nic nie powinno iść w niepamięć. Działalność ich jeszcze do dziś nie wygasła, perspektyw jednak nie mają.

Bardzo skrótowo poruszyłem te problemy gdyż są to zagadnienia szerokie i odcinające się od zagadnień wojennych, którym poświęciłem tę książkę. Poznałem je osobiście.

Wielu bohaterów tej historycznej opowieści nie dożyło dzisiejszych czasów. Tym którzy stracili życie w walce o wolność i niezawisłość naszego Kraju należy się hołd. Pamięć o tych bohaterach, często bezimiennych, nie powinna nigdy zagać. Tylko dzięki nim oraz takim jak oni, Polska może nazywać się Polską. Chciałbym aby następne pokolenia o tym pamiętały.

GDY PRZYSZŁA „WOLNOŚĆ”



Fot. 190. Żołnierze AK uwolnieni przez „Szarego” z więzienia UB w Kielcach powracają do swych rodzin.



Fot. 191. Powrót z wyprawy do Kielc. Pierwszy z lewej Antoni Heda „Szary”. Trzeci od lewej Ludwik Ignacy Wiechuła „Jeleń”, dowódca kompanii w baonie „Szarego”. Po uwolnieniu przedostał się do Anglii.

FAŁSZOWANIE HISTORII

tego właściciela — narodu polskiego. Szczepańskiego spotkała zasłużona kara; w październiku 1944 r. partyzanci z grupy majora „Łokietka” (Maj Tadeusz) zgodnie z wyrokiem sądu rozstrzelali tego wandala. Po wojnie zarząd gminy Wola w pow. stopnickim zwró-

Fot. 192. Fragment artykułu Stefana Iwanika, zamieszczonego w kieleckiej gazecie „Słowo Ludu” nr 656, z dnia 20 maja 1972 r. Gazeta „Słowo Ludu” była organem wojewódzkim PZPR w Kielcach. Na terenie kieleckim

każde dziecko wiedziało, nie mówiąc o dorosłych, że Szczepańskiego schwyłali partyzanci „Potoka” i że był to wstęp do krwawej bitwy z Niemcami w dniach 1 i 2. 10. 1944. pod Piotrowym Polem. Zamieszczenie informacji, że Szczepańskiego rozstrzelali partyzanci AL (z zaznaczeniem, że majora Tadeusza Maja „Łokietka”) było szczytem bezczelności w okłamywaniu ludzi. Takie fałszowanie historii i nieliczenia się z opinią ludzką było w PRL nagminne. Szczególne osiągnięcia pod tym względem miał były funkcjonariusz UB a potem pisarz, Stefan Skwarek.

Trzy dni trwały zażarte walki na duktach leśnych i na polanach, aż szturmowe grupy SS zepchnęły oddział „Potoka” na linię gniazd broni maszynowej. Tutaj nastąpił pogrom oddziału, który według meldunku szefa II Oddziału Komendy Okręgu Kieleckiego AK mjr. „Bartka” (Zygmunta Szewczyka) stracił 37 zabitych i 18 jeńców prowadzonych następnie triumfalnie przez Starachowice. 60 rannych żołnierzy AK doбили uczestniczący w obławie SS-owcy i żołnierze Wehrmachtu. 4 października w lasach brudzewieckich nad Pilicą, na północny zachód od dotychczasowego terenu walk formacje 25 dywizji Wehrmachtu zaatakowały liczący stu żołnierzy oddział AK por. „Lawy” (Tadeusza Głowackiego), który przebił się

Fot. 193. Informacja o bitwie pod Piotrowym Polem podana rzekomo przez Zygmunta Szewczyka, oficera wywiadu Kom. Okręgu AK w Kielcach. Trudno uwierzyć aby szef wywiadu Okręgu podawał komunikat na poziomie bazarowej informacji. Jeśli to prawda, świadczy to iż szef wywiadu stał się współpracownikiem UB, oddając swój autorytet na usługi propagandy PRL, usiłującej w jak najgorszym świetle przedstawić II-żeczki Pułk AK i jego działalność.

ILŻECKI PUŁK AK W FOTOGRAFII



Fot. 194. Organizator i dowódca pułku por. Wincenty Tomasik „Potok” w mundurze podchorążego WP.

Ur. 31. 03. 1910 r. w Kolonii Wierzchowiska w powiecie ilżeckim, średnie wykształcenie zdobywa w Ostrowcu Św., a później w Radomiu. Będąc w trudnych warunkach decyduje się w 1933 r. iść do wojska. Służy w 2-gim i 5-tym pułkach podhalańskich, gdzie kończy szkołę dla podoficerów nadterminowych a następnie drugą dla zawodowych. Przesłany do szkoły podchorążych dla najzdolniejszych podoficerów, jaka była w Bydgoszczy, zdaje egzaminy maturalne. Z Bydgoszczy zostaje przeniesiony do szkoły podchorążych piechoty w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Po jej ukończeniu dostaje przydział do 58 pułku piechoty w Poznaniu. Buduje umocnienia wojskowe w Biedrusku pod Poznaniem, walczy w obronie Poznania jako dowódca plutonu, organizuje nowe jednostki. Pod naporem wroga dociera wraz z pułkiem w okolice Łucka. Walczy z Niemcami pod Hrubieszowem i koło Lublina. Po szczęśliwym powrocie do rodzinnego domu przystępuje do odbudowy Wojska Polskiego w konspiracji pod nazwą ZWZ (Związek Walki Zbrojnej).

SZTANDAR 1-go PUŁKU AK ZIEMI IŁŻECKIEJ



Fot. 195 i 196. Na sztandarze oprócz wizerunku Matki Boskiej z Chrystusem oraz Orła widnieją w narożach herby miast, z których pochodzili żołnierze Pułku, a także wizerunek Krzyża AK. Do ostatnich dni istnienia PRL zabronione było wychodzenie z tym sztandarem na ulicę. Lokalne władze w Iłży bardzo tego przestrzegały, podkreślając że przyczyną tego..... jest korona na głowie orła.

KRÓTKI RYS HISTORYCZNY

Łżecki Pułk AK przewidziany był przez Komendę Okręgu jako część składowa planowanej „dywizji świętokrzyskiej”. W dniu 2 sierpnia 1944 r. oficer organizacyjny Komendy Obwodu kpt. E. Dymitrow „Robur” przybył do obozu oddziału „Potoka” koło Klepacz (w którym przejściowo objął dowództwo por. Henryk Gruszczyński „Blady”) podając do wiadomości iż zapadła decyzja tworzenia Łżeckiego Pułku i że na jego dowódcę został przewidziany Wincenty Tomasik „Potok”.

Kilka dni potem nadszedł nowy rozkaz, mobilizowania ludzi i organizowania odsieczy dla Warszawy, pod kryptonimem, "Jodła". Sprawa organizowania Łżeckiego Pułku upadła.

Po wymarszu oddziałów na koncentrację Korpusu „Jodła” nastąpiły wydarzenia, w wyniku których część ludzi powróciła, a por. „Potok” otrzymał rozkaz Komendanta Obwodu do objęcia dowództwa nad tymi żołnierzami, którzy pozostali w lasach starachowickich. Był to koniec sierpnia 1944 r.

Kilka dni potem, 2 września 1944 r., skierowano do „Potoka” kilkudziesięciu żołnierzy z opatowskiego Zgrupowania „Ostoja”. W składzie tej grupy było wielu oficerów i podoficerów, których „Potok” wykorzystał do obsadzania stanowisk dowódczych tworzonego pułku. Powstała wkrótce pełna kompania nad którą dowództwo objął por. Witold Mrowiński „Fiedler”, pełniąc równocześnie stanowisko zastępcy dowódcy pułku.

Ze względu na to, że duży obszar Opatowskiego Obwodu AK zajęły wojska radzieckie, pozostałą część przyłączono do Obwodu Łżeckiego. Z tej właśnie części przybywali teraz ochotnicy do jednostki tworzonej przez „Potoka”.

W połowie września zaczęła się tworzyć kompania ostrowiecka, nad którą dowództwo objął por. Janusz Marczyński „Kwiatkowski”. 22 września do Łżeckiego Pułku przybyła kompania ppor. Andrzeja Maczugi — Bielańskiego „Wrzosa” z Podobwodu „Morwa” obejmującego rejon Skarżyska, Wąchocka i Suchedniowa. W ostatnich pięciu dniach września przybyły do „Potoka” jednostki kompanii por. /kpt. Piotra Szczepaniaka „Pawła” z okolic Ożarowa oraz grupa 26 żołnierzy z 3 pp leg AK. Równocześnie w tworzonym pułku zorganizowany został pluton łączności pod dowództwem ppor. Józefa Palusa, ps. Selim, grupa sapersko-minerska pod dowództwem ppor. Zygmunta Musialika, ps. Garbaty oraz grupa sanitarna pod dowództwem dr E. Kawińskiego „Bojara”. Jednostką gospodarczą i taborami dowodził st. sierż. Stanisław Trzaska „Jastrząb”.

W czasie tworzenia pułku i szkolenia żołnierzy dokonywano drobnych akcji rozbijania lub likwidacji jednostek nieprzyjaciela. Większą walkę stoczył pułk dopiero w dniu 28 września pod Marculami, zmuszając do odwrotu niemiecką jednostkę wysłaną w celu odbicia wziętych do niewoli przez żołnierzy „Potoka” dwóch ważnych osobistości niemieckich. Konsekwencją tego było zorganizowanie przez Niemców następnej akcji pod kryptonimem „Wotan” przeprowadzonej w dniach 1 do 3 października 1944 r. Nadzór nad tą akcją mieli gen. gubernator Frank oraz Himmler. Prawdopodobnie za wiedzą samego Hitlera, jako naczelnego dowódcy armii niemieckiej, wykorzystano jednostki frontowe 4-ej Armii Pancernej. Po wielogodzinnej bitwie w dn. 1. 10. 1944 r., w której Niemcom nie udało się zepchnąć polskich żołnierzy z pozycji przez nich zajmowanych, zmuszeni byli sprowadzić do pomocy broń pancerną, artylerię i lotnictwo. Po wielkich stratach udało się Niemcom przebić do obozu lecz w pierwszym dniu walk nie zajęli bronionego przez Polaków obszaru leśnego. Pod koniec dnia i o świcie następnego dnia poszczególne jednostki Łżeckiego Pułku przebiły się przez linie niemieckie. Do niewoli niemieckiej dostało się ponad 40 żołnierzy, głównie z jednostek nieuzbrojonych lub słabo uzbrojonych (jedn. gospodarcze, sanitarne, łączności itp.). Poległo po stronie polskiej około 60 żołnierzy, wśród których większość stanowili ranni, dobijani przez

żołnierzy niemieckich. Straty niemieckie były trudne do dokładnego określenia gdyż w walce brała wielka ilość różnych jednostek, a uzyskane przez wywiad informacje dotyczyły tylko niektórych. Ogólnie straty niemieckie ocenia się na około 200 zabitych.

Po bitwie tej oddziały Iłżeckiego Pułku uległy rozproszeniu. Część powędrowała w lasy suchedniowskie, część w lasy bałtowskie, a część pozostała w lasach starachowickich. Iłżecki pułk w stanie uszczuplonym przetrwał do połowy listopada lecz z powodu zimna, trudności zaopatrzeniowych, i braku perspektywy na radziecką ofensywę, został zdemobilizowany. W chwili bitwy 1.10.1944 r. Iłżecki Pułk liczył blisko 700 ludzi, w tym około 100 nie posiadało broni. W Pułku brak było broni przeciwpancernej (piaty, gammony), a z powodu gotowości do odmarszu na nowe miejsce postoju zwinięto linie telefoniczne oraz usunięto zapory minowe.

ŻOŁNIERZE KOMPANII „FIEDLERA”



Fot. 197. Witold Mrowiński
„Fiedler”, d-ca komp.



Fot. 198. Jan Kamiński
„Walek” d-ca plutonu



Fot. 199. Zygmunt Cyran
„Sor” d-ca plutonu



Fot. 200. Stanisław Dukat
„Talar”, d-ca plut.



Fot. 201. Jerzy Sułocki
„Gozdawa”, z-ca „Sora”



Fot. 202. Józef Orczykowski
„Fezuj”, z-ca „Talara”



Fot. 203. Wojciech Eugeniusz
Krzysztanowski „Zawierucha”,
druż.



Fot. 204. Józef Książek
„Góral”, drużynowy



Fot. 205. Tadeusz Gerlach
„Góral”, celowniczy



Fot. 206. Jan Kopeć
„Jastrząb”



Fot. 207. Józef Skwarek
„Jaskółka”



Fot. 208. Antoni Madejski
„Wiśnia”



Fot. 209. Stefan Galicki
„Goździk”



Fot. 210. Eligiusz Woźniak



Fot. 211. Marian Kosmala
„Różowy”



Fot. 212. Mieczysław Chmurny
„Śmiałek”



Fot. 213. Bronisław Górski
„Nalot”



Fot. 214. Antoni Wiatr „Sęp”



Fot. 215. Tadeusz Ćwieluch
„Grab”



Fot. 216. Mieczysław Lisowski
„Lemiesz”



Fot. 217. Tadeusz Lisowski
„Narocz”



Fot. 218. Mieczysław Sroka
„Pirat”



Fot. 219. Aleksander Filipowski
„Jastrząb”



Fot. 220. Czesław Lisowski
„Smyk”



Fot. 221. Witold Nejman
„Amicus”



Fot. 222. Henryk Misiowiec



Fot. 223. Andrzej Zięba
„Stalowy”, celowniczy



Fot. 224. Wojciech Targowski
„Vis”, drużynowy



Fot. 225. Edward Ślusarczyk
„Krótki”



Fot. 226. Stanisław Kasperczyk
„Kruszyna”



Fot. 227. Wiktor Rojek



Fot. 228. Stefan Rechnio „Sep”



Fot. 229. Waldemar Gittel
„Tęcza”



Fot. 230. Stanisław Haba
„Mączka”



Fot. 231. Edward Nowicki
"Bystry"



Fot. 232. Eugeniusz Harton
„Czarny”



Fot. 233. Bogusław Orlński
„Zawija”



Fot. 234. Ryszard Orlński
„Pszczołka”



Fot. 235. Jerzy Orlński
„Boruta”



Fot. 236. Leon Szymon
Jaworski „Grad”



Fot. 237. Emil Leszek Jastrzębski „Podkowa”, drużynowy



Fot. 238. Tomasz Jastrzębski „Tom”



Fot. 239. Wiesław Karwacki
„Karp”, drużynowy



Fot. 240. Henryk Grudnik
„Konrad, drużynowy



Fot. 241. Roman Lipko
„Skała”



Fot. 242. Adolf Tadeusz
Giernadowicz „Lis”



Fot. 243. Janusz
Wierzchowiecki „Doliwa”



Fot. 244. Tadeusz Głód
„Listek”



Fot. 245. Stefan Bogucki
„Szczupak”



Fot. 246. Waclaw Chajec
„Sum”



Fot. 247. Edward Ślema
"Brzoza"



Fot. 248. Janusz Szymański
„Mściwy”



Fot. 249. Wincenty Wojteczek
„Sroka”, celowniczy



Fot. 250. Tomasz Kempski
„Jur”



Fot. 251. Tadeusz Bębenek
"Borys"



Fot. 252. Zygmunt Lipa
„Czarny”



Fot. 253. Jan Fryzel
„Sahajdaczny”



Fot. 254. Stanisław Frynas
„Bogucki”



Fot. 255. Marian Kulik
„Chrabąszcz”



Fot. 256. Zygmunt Gębusia



Fot. 257. Franciszek Kuleta
„Wiarus”



Fot. 258. Mieczysław Wróbel
„Haha”



Fot. 259. Tadeusz Tylkowski
„Olcha”



Fot. 260. Edward Kwaśniewski
„Szpak”



Fot. 261. Edward Chołuj
„Vis”



Fot. 262. Mieczysław Krzyszczanowski
„Jarzębiak”



Fot. 263. Waław Pryciak
„Sokół”, drużynowy



Fot. 264. Jan Pryciak
„Wąż”



Fot. 265. Edward Przydatek
„Dzik”



Fot. 268. Józef Klusek
„Gołąb”



Fot. 267. Stanisław Piotrowski
„Jeleń”



Fot. 266. Józef Nowicki
„Sumak”



Fot. 271. Czesław Cielecki
„Kora”



Fot. 270. Leszek Płachciński
„Zmroko”



Fot. 269. Mieczysław
Wróblewski „Tułacz”



Fot. 272. Andrzej Jabłoński
„Erg”



Fot. 273. Józef Dąbrowski



Fot. 274. Zenon Laskowski



Fot. 275. Stanisław Stencel
„Samolot”



Fot. 276. Czesław Bednarczyk
„Nieśmiały”



Fot. 277. Antoni Bednarczyk



Fot. 278. Tadeusz Wroński
„Borlas”



Fot. 279. Adolf Bugaj
„Delfin”



Fot. 280. Kaliks Bugaj
„Śmiały”



Fot. 281. Tadeusz Górski



Fot. 282. Zbigniew Mazurek
„Gniew”



Fot. 283. Jan Sadłos
„Oskard”



Fot. 284. Stanisław Wróbel
„Warta”



Fot. 285. Zdzisław Przygoda



Fot. 286. Zdzisław Krawczyk
„Zgierz”



Fot. 287. Tadeusz Kasprzycki
„Grab”, drużynowy



Fot. 288. Wacław Cieśla „Siar-
ka”, oficer dysp. pułku



Fot. 289. Zdzisław Bugaj
drużynowy



Fot. 290. Stefan Tarnowski
„Rąb”, drużynowy



Fot. 291. Stefan Szczerski



Fot. 292. Zygmunt Borek



Fot. 293. Kazimierz Roguski



Fot. 294. Zbigniew Jackowski
„Waligóra”



Fot. 295. Mieczysław Frynas
„Wiśnia”



Fot. 296. Marian Młynarczyk
„Korzeń”



Fot. 297. Stanisław Cheda
„Ryś”, drużynowy



Fot. 298. Józef Kępiński
„Alfa”

ŻOŁNIERZE KOMPANII OPATOWSKIEJ „PAWŁA”



Fot. 299. D-ca komp. Piotr Szczepaniak „Paweł”



Fot. 300. D-ca plut. Stanisław Mazurkiewicz „Bartosz”



Fot. 301. Z-ca d-cy komp. Stanisław Różalski „Grażyna”



Fot. 302. D-ca plut. Jan Pater „Szarola”



Fot. 303. D-ca plut. Jan Młynarczyk „Mieczyk”



Fot. 304. D-ca plut. Tadeusz Kwiecień „Dąb”



Fot. 305. Marian Zubrzycki „Czarski”, drużynowy



Fot. 306. Eugeniusz Piwowarski „Zwarty”, celowniczy



Fot. 307. Tadeusz Nowak „Żelazny”



Fot. 308. Tadeusz Bancer
„Kruk”



Fot. 309. Kazimierz Tarkowski
„Pazur”



Fot. 310. Czesław Beres
„Ryszard”



Fot. 311. Józef Łuczak „Ziuk”



Fot. 312. Maksymilian Borecki
„Zielonka”



Fot. 313. Jan Godzisz „Żwir”



Fot. 314. Władysław Dębicki
„Bałtyk”



Fot. 315. Antoni Dębicki
„Swojak”



Fot. 316. Zdzisław Mirowski
„Polus”



Fot. 317. Zbigniew Nowak
„Gołąb”



Fot. 318. Aleksander
Młodożeniec „Krak”



Fot. 319. Zenon Młynarczyk
„Waldemar”



Fot. 320. Bolesław Tworek
„Tunel”



Fot. 321. Marian Domagała
„Klinga”



Fot. 322. Lucjan Luzak
„Kos”



Fot. 323. Stanisław Pronobis
„Gwron”



Fot. 324. Mieczysław Janowski
„Czarny”



Fot. 325. Ignacy Dębicki
„Kruk”



Fot. 326. Marian Godlewski
„Ront”



Fot. 327. Stefan Sadaj
„Virtus”, drużynowy



Fot. 328. Władysław Frączak
„Gwiazdka”



Fot. 329. Jan Świątek
„Twardy”



Fot. 330. Jerzy Stanisław
Głowiak „Jerzy”



Fot. 331. Józef Sasak „Kobus”



Fot. 332. Jerzy Spychalski
„Szczupak”



Fot. 333. Stefan Markiewicz
„Szatan”



Fot. 334. Marian Witkowski
„Orlicz”



Fot. 335. Marian Cywiński
„Vis”



Fot. 336. Jan Piasecki „Ulan”



Fot. 337. Marian Bednarski
„Korsarz”



Fot. 338. Kazimierz
Wtorkowski „Cichy”



Fot. 339. Jerzy Józefowski
„Warta”



Fot. 340. Czesław Bednarski
„Wilk”



Fot. 341. Aleksander Bieliński
„Sęp”



Fot. 342. Augustyn Zagórny
„Łopata”



Fot. 343. Kazimierz Grad
„Echo”



Fot. 344. Tadeusz Matz
„Ochotnik II”



Fot. 345. Franciszek Ryczan
„Zefir”, drużynowy



Fot. 346. Edward Baran
„Wyrwa”



Fot. 347. Stanisław Dębicki
„Smigły”



Fot. 348. Józef Czajkowski
„Zemsta”, amunicyjny

ŻOŁNIERZE KOMPANII OSTROWIECKIEJ „KWIATKOWSKIEGO”



Fot. 349. Janusz Marczyński
„Kwiatkowski” dowódca
kompanii



Fot. 350. Wacław Wanat
„Gorliwy”, szef kompanii



Fot. 351. Roman Skoczylas
„Piorun”, drużynowy



Fot. 352. Zbigniew Manowski
„Giermek”, drużynowy



Fot. 353. Kazimierz Manowski
„Orzeł”



Fot. 354. Stanisław Kosicki
„Bohun”, sekcyjny



Fot. 355. Ludwik Krzymiński
„Legwan”, „Gryf”



Fot. 356. Władysław Rutkowski
„Krzemyk”



Fot. 357. Zdzisław Jankowiak
„Żbik”



Fot. 358. Stanisław Falecki
„Gałązka”



Fot. 359. Stanisław Kowalski
„Skarga”



Fot. 360. Wojciech Duda
„Koc”



Fot. 361. Zenobiusz Kozłowski
„Kurzawa”



Fot. 362. Czesław Lis „Kula”



Fot. 363. Tadeusz
Przybysławski „Tadek”



Fot. 364. Piotr Bołtuć „Borsuk”



Fot. 365. Juliusz Molski „Cień”



Fot. 366. Robert Janos
„Hoplita”, drużynowy



Fot. 367. Bogdan Sworowski
„Modrak”, zakonnik



Fot. 368. Henryk Janicki
„Hazol”



Fot. 369. Jerzy Rebajn „Nóż”



Fot. 370. Mieczysław Pietrzak
„Pik”



Fot. 371. Józef Daszkowski
„Jaskółka”



Fot. 372. Henryk Lebioda
„Korsarz”



Fot. 373. Stanisław Żebrowski
„Żubr”



Fot. 374. Jan Duda „Różycki”



Fot. 375. Piotr Adamski
„Leonidas”, drużynowy



Fot. 376. Zygmunt Musialik
„Garbaty”, instruktor



Fot. 377. Witold Duchnicki
„Gintowt”



Fot. 378. Janusz Duchnicki
„Szeniawa”



Fot. 379. Tadeusz Olszewski
„Bończa”



Fot. 380. Adam Walczak
„Góra”



Fot. 381. Stefan Wojtas
„Szczygieł”



Fot. 382. Fijałkowski „Długi”



Fot. 383. Leon Markowski



Fot. 384. Henryk Szczepański
„Maciek”



Fot. 385. Straż Poż. Cukrowni
Częstocice. Od lewej: Lech
Rogowski „Łanowski” i Włady-
sław Rutkowski „Krzemyk”



Fot. 386. Leszek Szczepański
„Lech”



Fot. 387. Wiktor Kosiński
„Mieczyński”



Fot. 388. Sławomir Spath
„Czamota”



Fot. 389. Marian Szelaż
„Słowianin”

ŻOŁNIERZE KOMPANII „WRZOSA”



Fot. 390. Andrzej Maczuga-Bieleński „Wrzós”, dowódca kompanii



Fot. 391. Julian Kosiński „Rafał”, d-ca plutonu



Fot. 392. Marian Kobierski „Roger”, drużynowy



Fot. 393. Henryk Dąbrowski „Ziomek”



Fot. 394. Czesław Dąbrowski „Krzysztof”



Fot. 395. Czesław Pawlak „Błyskawica”



Fot. 396. Roman Miernik „Zając”



Fot. 397. Adolf Szlęzak „As”



Fot. 398. Jerzy Maczuga-Bieleński „Janosik”



Fot. 399. Jerzy Łazarczyk
„Bolko”



Fot. 400. Zbigniew Łazarczyk
„Antoś”



Fot. 401. Zbigniew Macuga
„Żuk”



Fot. 402. Franciszek Zaborski
„Kokles”, d-ca plutonu



Fot. 403. Edward Kowalik
„Szary”



Fot. 404. Roman Chrzanowski
„Korab”, z-ca „Wrzosa”



Fot. 405. Włodzimierz Bielnicki
„Konrad”, celowniczy



Fot. 406. Zenon Stodulski
„Zenit”, celowniczy



Fot. 407. Jerzy Holewiński
„Dąbrowa”



Fot. 408. Zdzisław Kowalik
„Sowa”



Fot. 409. Waław Zuba „Kora”



Fot. 410. Ryszard Stańczak
„Skowronek”



Fot. 411. Kazimierz Bigadło
„Walery” (uciekiniér
z Wehrmachtu)



Fot. 412. „Sosna” (NN).
Zmarł w 1984 r.

ŻOŁNIERZE PLUTONU ŁĄCZNOŚCI



Fot. 413. Józef Palus „Selim”,
dowódca plutonu



Fot. 414. Antoni Kadłucki
„Tytan”



Fot. 415. Zbigniew Szczygieski
„Czarna Pantera”



Fot. 416. Stanisław Kubrak
„Kosz”



Fot. 417. Stanisław Cybuch
„Wodnik”



Fot. 418. Kazimierz Gorzkiewicz
„Zawierucha”



Fot. 419. Adam Radomski
„Olsza”



Fot. 420. Benon Jasiński "Ben"



Fot. 421. Władysław Bembenek
„Szkot”



Fot. 422. Roman Kaca
„Wróbel”



Fot. 423. Stanisław Orzeł
„Łezro”



Fot. 424. Józef Sikorski
„Mucha”



Fot. 425. Julian Domański
„Wyrwa”



Fot. 426. Władysław Zapała



Fot. 427. Witold Adamczyk
„Jeż”



Fot. 428. Jan Kryj „Strzelczyk”



Fot. 429. Stanisław Micigulski
„Szymek”



Fot. 430. Stanisław Uzar „Jeż”

ŻOŁNIERZE PLUTONU ŁĄCZNOŚCI ORAZ ŁĄCZNICY TERENOWI



Fot. 431. Stefan Urbański
„Rzeka”



Fot. 432. Stanisława Borys-
Orczykowska „Stenia”



Fot. 433. Daniela Ambroż-
Bentkowska „Danka”



Fot. 434. Mieczysław
Uzar „Grab”



Fot. 435. Teodor
Krzysztanowski „Wiśniak”



Fot. 436. Ryszard Baliński
„Ryś”



Fot. 437. Zoila Jastrzębska
„Jodełka”



Fot. 438. Regina Wiatr-
Wolańska „Sława”

ŻOŁNIERZE ODDZIAŁU „ROGACZA” Z 3 pp leg AK



Fot. 439. Zygmunt Woźniakowski „Rogacz”, dowódca



Fot. 440. Janusz Grolman „Janusz”



Fot. 441. Jerzy Żmijewski „Gryf”



Fot. 442. Zygmunt Rogoziński „Zyga”



Fot. 443. Jerzy Płowiec „Labor”



Fot. 444. Zygmunt Ziemkiewicz „Bijak”



Fot. 445. Mirosław Kukła „Szejka”

SŁUŻBA SANITARNA ORAZ ŁĄCZNICZKI



Fot. 446. Dr Eustachy Kawiński
Fot. 447, fot. 448. Jadwiga Wolańska „Grażyna” w wieku 14 lat
„Bojar” d-ca grupy sanitarnej oraz w okresie pobytu w Iłżeckim Pułku



Fot. 449. Anna Tomasik
„Róża”, intendentka pułku

Fot. 450. Henryka Sławińska
„Iskierka”, sanitariuszka

Fot. 451. Maria Kabała
„Aldona”, sanitariuszka



Fot. 452. Janina
Żyłko-Grzegolec, sanit.
w Chwałowicach

Fot. 453. Maria Żmijewska
„Mateńka”, sanit.
w Chwałowicach

Fot. 454. Sabina Żyłko-Kotfis,
sanit. w Chwałowicach

INTENDENTURA, ZAOPATRZENIE, JEDNOSTKA GOSPODARCZA



Fot. 455. Antoni Adamczyk
„Kruk”, szewc



Fot. 456. Stefan Wierzchowski
„Lipa”, rusznikarz



Fot. 457. Krystyna Domagała-Kawińska, łączniczka



Fot. 458. Marian Langer
„Brzoza”, zaopatrzeniowiec



Fot. 459. Paulin Wąsiel
„Lipnicki”



Fot. 460. Józef Czajkowski
„Sławny”



Fot. 461. Grupa żołnierzy „Wrzosa” na ćwiczeniach



Fot. 462. Ks. Władysław Sadza „Silva” odprawia mszę św. u „Wrzosa”



Fot. 463. Stoją od lewej: Franciszek Zaborski „Kokles”, Henryk Herman „Czamy”, Andrzej Maczuga-Bieleński „Wrzos”, Roman Chrzanowski „Korab”



Fot. 464. Julian Kosiński „Rafał” i Andrzej Maczuga-Bieleński „Wrzos” (z prawej), po wojnie na Wykusie



Fot. 465. Komp. ostrowiecka: Stanisław Kosicki „Bohun” przy ręcznym karabinie maszynowym "Bren" (po wojnie skazany na karę śmierci i uwolniony z kieleckiego więzienia przez oddział „Szarego”)



Fot. 466. Kpr. Zbigniew Manowski „Giermek”, drużynowy



Fot. 467. Florian Kaczmarek "Bejn"

KOMPANIA OSTROWIECKA



Fot. 468. Stanisław Kosicki „Bohun”, autor
zdjęć k. ostr.



Fot. 469. Janusz Duchnicki „Szeniawa”



Fot. 470. Przybycie grupy ochotników do lasu. Z prawej stoi plut. „Śmigły” (NN)



Fot. 471. Robert Janos „Hoplita”,
d-ca drużyny 5-ej



Fot. 472. Obóz k. Kruków. Sierż. „Pszczola”
czyści pistolet, za nim widać dostawę chleba



Fot. 473. Od lewej (za drzewem) plut. „Śmigły”, ppor. Mieczysław Robaczekiewicz „Brzozowski”,
st. sierż. Wacław Wanat „Gorliwy”, pchor. Roland Głowacki „Redt”, d-ca por. Janusz Marczyński
„Kwiatkowski”



Fot. 474. Komp. ostrowiecka: Od lewej Henryk Kaczmarek „Sęp”, Bogdan Sworowski „Modrak”,
Ludwik Krzymiński „Legwan”, Kazimierz Manowski „Orzeł” i Edward Popielarski



Fot. 475. Stefan Markiewicz „Szatan” (z lewej)
i Jerzy Spychalski „Szczupak” z komp. opat.
leczą się w Podkońcach
(fot. St. Borys „Stenia”)



Fot. 476. Łączniczka Stanisława Borys
"Stenia" i chorąży Józef Orczykowski, z-ca
d-cy 3 plut. w kompanii „Fiedlera”



Fot. 477. Mogiła przy gościńcu ostrowieckim w której pogrzebano 58 żołnierzy Iłżeckiego Pułku, poległych w bitwie z Niemcami, w dniach 1 i 2 października 1944 r. Po prawej stronie widoczny zagajnik w którym przebiegała zachodnia linia obrony polskiej. Tu w każdą pierwszą niedzielę października zjeżdżają się rodziny i koledzy poległych aby uczcić pamięć bohaterów.



Fot. 478. D-ca Iłżeckiego Pułku por. Wincenty Tomasik „Potok” w otoczeniu swych kolegów — byłych żołnierzy Pułku. Na twarzach widać już skutki pobytu w piwnicach UB. „Potok”, postrzelony przy próbie aresztowania go, jest po pierwszym pobycie w rękach UB.



Fot. 479. Uroczystości w rocznicę bitwy pod Piotrowym Polem. Drugi z lewej d-ca pułku Wincenty Tomasik „Potok”, w kapeluszu kpt. Piotr Szczepaniak „Paweł”.



Fot. 480. Uroczystości pod Piotrowym Polem. Płk. /gen. Jan Zientarski „Ein”, „Mieczysław”, Kom. Okręgu Kieleckiego AK „Jodła”.



Fot. 481. Msza św. u „Wrzosa”

Fot. 482. Po wojnie władze PRL zabroniły budowy pomnika na mogile poległych żołnierzy Iłżeckiego Pułku. Dopiero po 25 latach koledzy potajemnie zbudowali pomnik i władze ostatecznie się z tym faktem pogodziły. Projekt pomnika wykonał inż. arch. Aleksander Radwan.



Fot. 483. Grupa budowniczych pomnika. Drugi od lewej — Stefan Wojtas „Szczygieł” z Ostrowca, następny — Piotr Pękalski z Ćmielowa



Fot. 484. Od lewej: Jan Pryciak „Wąż”, Eugeniusz Wojciech Krzysztanowski „Zawierucha”, Wincenty Tomasik „Potok”, Marian Kędrzyński „Potok II”, Stanisław Łęcki „Boss” i Józef Jaśkiewicz, stoją pod płotkiem otaczającym mogiłę żołnierzy Iłżeckiego Pułku. Przybyli tu w celu ustalenia miejsca pod pomnik, który potem potajemnie budowano, zwożąc z Ostrowca lasami materiały budowlane i stawiając budowlę nocami, przy świetle reflektorów.



Fot. 485. Od lewej—Czesław Dąbrowski „Krzysztof”, Henryk Dąbrowski „Ziomek” i Marian Kobierski „Roger” po 40-tu latach po wojnie, przy mogile poległych kolegów.



Fot. 486. Przybyli na uroczystości 40-lecia bitwy pod Piotrowym Polem. Stoją od lewej: Adam Radomski „Olsza”, Aleksander Filipowski „Jastrząb”, Stanisław Uzar „Jeż”, Tadeusz Ćwieluch „Grab”, Roman Kaca „Wróbel”.



Fot 487. Cmentarz — mauzoleum w Iłży, gdzie leżą polegli w walce o wolność Kraju. Tu leżą żołnierze WP polegli we wrześniu 1939 r. oraz żołnierze Iłżeckiego Pułku AK, ekshumowani z leśnej mogiły.



Fot. 489. Rok 1986. Tradycyjne spotkanie żołnierzy Iłżeckiego Pułku AK na miejscu dawnych walk i mogiły poległych kolegów.



Fot 490. Inne ujęcie fotograficzne z tej samej uroczystości.

Na tablicy Pomnika Poległych w bitwie pod Piotrowym Polem figuruje Tadeusz Przybysławski „Tadek”, lat 22. W rzeczywistości poległ on w rejonie wsi Miłkowska Karczma gdy powracając do Ostrowca rozbroił żołnierza niemieckiego, nie wiedząc że w pobliżu jest więcej żołnierzy. Idący z nim Tadeusz Martynowski, ranny w rękę, zdołał się uratować. Na zdjęciu poniżej „1-sza Drużyna Harcerska im. Mariana Langiewicza” z Gimnazjum Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Św., do której należał Tadeusz Przybysławski.

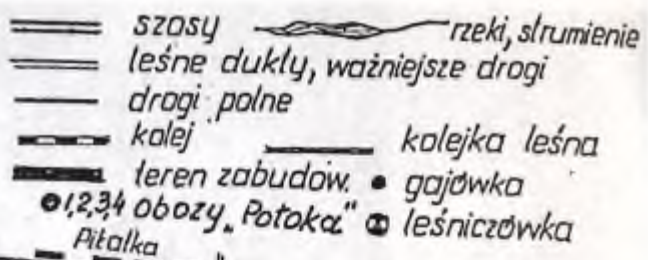


Fot. 488. Od lewej: Marian Godlewski „Ront”, (NN), Karol Polakowski, (NN), Tadeusz Kołodziej, Tadeusz Przybysławski „Tadek” (trzyma na kolanie kartkę), (NN), Kazimierz Kowalski (drużynowy), Józef Kania, Ryszard Nowicki, Puchała, (NN). Harcerze odegrali poważną rolę w działaniach konspiracyjnych oraz walkach, jakie miały miejsce w okresie II-ej wojny światowej. Pierwszy z lewej harcerz Marian Godlewski „Ront” brał udział w zwycięskim boju 28. 08. 1944 r. pod Dębowym Polem gdzie został ciężko ranny. Także wielu innych, widocznych na zdjęciu oraz innych harcerzy, poświęcało swe życie w walce z okupantem. Wśród nich można wymienić poległego pod Piotrowym Polem Mieczysława Lisowskiego ps. „Lemiesz” lub rannego także w tej samej bitwie Antoniego Kadłuckiego ps. „Tytan” ze Starachowic i wielu innych.



Fot. 491. Poczёт sztandarowy 1. Pułku AK Ziemi Iłżeckiej podczas rocznicowych uroczystości na iłżeckim cmentarzu. Od lewej: Zofia Jastrzębska »Jodelka», Tadeusz Lisowski »Narocz», Stefan Nowak »Pocieszny».

ZAŁĄCZNIKI



Załącznik I

Wykazy pomordowanych mieszkańców leśnych wsi

Pacyfikacja wsi Bór Kunowski

O świcie 4-go lipca 1943 r. oddziały niemieckiej żandarmerii przeczesując obrzeża lasu oraz pola, doszły do zabudowań wsi i z przygotowanej wcześniej listy wybrano 41 osób, do których dołączono jeszcze trzech, przybyłych do wsi Junaków (tzw. Baudienst), których uznano za deztererów. Część zgromadzonych ludzi zastrzelono a część spalono żywcem.

Zastrzeleni zostali:

1. Klepacz Jan,	12. Klepacz Jan II,
2. Klepacz Stanisław,	13. Sajór Mieczysław,
3. Klepacz Józef,	14. Sajór Tadeusz,
4. Klepacz Adam,	15. Liber Wojciech,
5. Kita Stefan,	16. Listek Józef,
6. Kita Jan (ojciec),	17. Listek Tadeusz,
7. Kita Józef (syn),	18. Madej Aleksander,
8. Karwacki Jan z Brod.	19. Pasieka Władysław,
9. Pasternak Piotr,	20. Płatek Stanisław,
10. Pasternak Jan,	21. Pastuszka Józef,
11. 3-ch "Junaków"(NN)	22. Ćwiek Jan z Karczmy Kunowskiej

Kobiety i dzieci spalone żywcem w stodole:

1. Górecka Bronisława,	11. Górecka Zofia,
2. Górecka Apolonia,	12. Górecka Helena,
3. Górecka Joanna,	13. Górecki Władysław,
4. Górecka Sabina,	14. Klepacz Edward,
5. Górecka Maria,	15. Król Stanisław,
6. Górecka Anna,	16. Skrzydło Otylia,
7. Górecka Kazimiera,	17. Skrzydło Józefa,
8. Górecki Andrzej,	18. Skrzydło Władysław,
9. Górecki Henryk,	19. Skrzydło Stanisław,
10. Górecki Jan,	20. Stachowicz Bolesław.

W następnym dniu Niemcy ponownie przybyli do wsi Bór Kunowski i zajęli się tym razem Kitowinami. Został zastrzelony Kita Walenty i szereg innych osób usiłujących uciekać.

Listę pomordowanych osób sporządził Julian Listek, ps. "Las", dowódca plutonu AK nr 142 w Borze Kunowskim, który objął tę funkcję po zastrzelonym Piotrze Pasternaku, ps. "Wicek".

Pacyfikacja wsi Zawady i Mołdawa

W dniu 17-go października 1943 r. Niemcy dokonali z samego rana pacyfikacji wsi, paląc żywcem 39 osób i dokonując zastrzelenia 35-ciu.

Spalono następujące osoby:

1. Chamerski Władysław, lat 45, z żoną lat 44 oraz pięcioro dzieci w wieku od 1 do 14 lat.
2. Kowalska (wdowa), lat 43,
3. Pastuszka K. (wdowa), lat 45,
4. Banaszkiewicz Franciszek, lat 35, z żoną Stanisławą, lat 30 oraz pięcioro dzieci w wieku od 1-go miesiąca do 14-tu lat.
5. Banaszkiewicz Jan, lat 22, z dwojgiem dzieci w wieku 1 i 3 lata.
6. Banaszkiewicz Mieczysław, lat 14.
7. Banaszkiewicz Adam, lat 16.
8. Pastuszka Ignacy, lat 25.
9. Żabczyński Dominik, lat 47, żona lat 45 oraz troje dzieci w wieku 2 do 8 lat,
10. Sobczyk (wdowa), lat 50.
11. Nobis Adam (wdowiec), lat 70 oraz czworo dzieci w wieku 8 do 18 lat.
12. Zaborowski Antoni, lat 60, żona lat 43 oraz syn w wieku 18 lat.
13. Kaca Władysław, lat 32, żona lat 27 oraz dziecko jednomiesięczne.

Następujące osoby zastrzelono:

1. Kargul (wdowa), lat 65, z synem Adamem lat 19 oraz dwoma córkami w wieku 19 i 21 lat.
2. Wilczyński J. lat 53, żona lat 32, oraz troje dzieci w wieku 6 do 18 lat.
3. Ulikowski Stanisław, lat 52, dwóch synów w wieku 20 i 33 lata oraz trzy córki w wieku 5 do 18 lat.
4. Niewadzi Władysław, lat 26, żona lat 32 oraz dwoje dzieci w wieku 1 i 4 lata.
5. Prokop J. lat 17 oraz Prokop St. lat 15.
6. Ślęzakowski, lat 63, żona lat 62, czworo dorosłych dzieci oraz ośmioro wnucząt w wieku 1 do 8 lat.

Spisu pomordowanych dokonali w 1968 roku: gajowy Franciszek Kosacki oraz mieszkańcy wsi Mołdawa: Mikołaj Wojtas, Jan Byk, Bronisław Polak i Stefan Pastuszka.

Pacyfikacja wsi Piotrowe Pole

W dniu 22 września 1944 r. Niemcy dokonali najazdu na wieś pałac wszystkie zabudowania i uprowadzając do Gestapo w Siennie mężczyzn. Po okrutnych badaniach rozstrzelano w pierwszej połowie października 1944 r. następujące osoby:

1. Głowniak Aleksander, lat 25,
2. Gienza Józef, lat 38,
3. Kiepas Jan, lat 26,
4. Kosel Stanisław, lat 40,
5. Koziół Jan, lat 18,
6. Koziół Jakub, lat 52,
7. Kucharski Józef, lat 33,
8. Lis Stefan, lat 28,
9. Lis Stanisław, lat 35,
10. Lis Jan, lat 37,
11. Loranty Ignacy, lat 26,
12. Loranty Jan, lat 27,
13. Ludwikowski Władysław, lat 33,
14. Młynarczyk Edward, lat 36,
15. Szeluga Franciszek, lat 33,
16. Świostek Franciszek, lat 43,
17. Wrześniewski Antoni, lat 50.

Osoby aresztowane podczas tej pacyfikacji i wywiezione do obozu koncentracyjnego w Lamsdorf (Łambinowice) lub zwolnione z Gestapo w Siennie:

1. Lis Władysław I, s. Izydora,
2. Lis Władysław II, schwytany w okolicy 1. 10. 44 r.
3. Węgrzyn Bolesław,
4. Wróbel Antoni (nie przeżył pobytu w obozie),
5. Wróbel Marian,
6. Wróbel Józef,
7. Kiepas Andrzej (ze względu na podeszły wiek, zwoniony do domu),
8. Koziel Józef,
9. Kwiatkowski z Denkowa, schwytany w okolicy,
10. Myszka Bolesław, przybył do wsi w odwiedziny,
11. Piątek Józef,
12. Pałka Jan, przybył do wsi w odwiedziny,
13. Świostek Jan,
14. Kucharska Władysława (z d. Kiepas), aresztowana w Siennie, podczas odwiedzin aresztowanych.

Powyższe dane zebrał dawny mieszkaniec wsi Piotrowe Pole, mgr Edward Lis, zamieszkały w Ostrowcu Św., ul. Śliska 4, m. 15.

Zamordowani w majątku hr. Wickenhagen:

1. Ślęzakowski (kucharz) z żoną,
2. Rodzina kucharza: 6 osób dorosłych i 6 dzieci (razem 14 osób),

Informację o zamordowanych w majątku hr. Wickenhagen podał Wanda Świostek Chodorowska, zam. w Warszawie, ul. Marszałkowska 111.

Załącznik II

Ocalałe dokumenty Referatu I-go Komendy Iłzecko - Starachowickiego Obwodu AK

Dokumenty te redagowane były przez Kierownika I-go Referatu (Wydziału) Komendy Obwodu, którym był kpt. Eugeniusz Dymitrow "Dąb", "Robur", posługujący się fałszywym nazwiskiem Eugeniusz Flis. Dokumenty te były pisane na maszynie przez autora niniejszego opracowania i przesyłane do rozdzielni poczty w Starachowicach. Przedstawione kopie odpowiadają niepociętym stronom maszynopisu. Kreskowana linia dzieląca jedną ze stron oznacza koniec jednej strony i początek drugiej

Podpisy "Dar" lub "Eis" na niektórych pismach oznaczają to, że "Robur" był upoważniony do podpisywania w imieniu Komendanta Obwodu, którym ostatnio był "Dariusz" a przed nim "Jasiek".

Treść pism obrazuje zakres prac jakie wykonywał "Robur" i widać z nich, że zajmował się także szkoleniem oraz przygotowywaniem specjalnych oddziałów do akcji "deszcz", czyli atakowania wycofujących się oddziałów wroga. W pismach tych wielu czytelników może odnaleźć własne dane związane z działalnością w Armii Krajowej.

Baszta
317/0184/B1

Mar - Baszta
D.prz. Data ur. awansowanych oficerów

1. Osman	S-314	23.11.1911	Stanisław Gład
2. Herman	S-302	4.10.1906	
3. Mrok	S-315	21.4.1912	Stanisław Stalcowski
4. Bolko	S-301	1.12.1894	Henryk Kamiński (starszy)
5. Robur	S-309	22.10.1913	Henryk Kamiński (starszy)
6. Leszczyna	S-385	2.04.1917	
7. Pazur	S-386	3.10.1918	
8. Wilk	S-2302	11.09.1919	Nieogodziński
9. Orzech	S-2303	31.03.1910	
10. Grad	S-2304	16.11.1916	Stanisław Kowalski
11. Róża	S-2305	29.01.1918	Tadeusz Koj
12. Młot	S-2306	8.11.1917	Stanisław Kamiński (starszy)
13. Iskra	S-2307	15.09.1914	
14. Wyrwa	S-2308	8.06.1918	
15. Okoń	S-2309	22.06.1914	
16. Fupin	S-2310	3.11.1913	
17. Poraj	S-2311	16.06.1919	
18. Miechowski	S-2312	3.12.1903	
19. Artur	S-2313	9.02.1918	
20. Władek	S-2314	27.06.1909	
21. Rajek	S-2315	7.10.1917	
22. Odwet	S-2316	24.01.1916	Adam Zdzisławski
23. Tom	S-2317	26.01.1904	

Ob. Rawicz S-304 nie był awansowany, ob. Wrzes S-2326 nie jest znany w Cyk/ może to jest Wrzes z Morwy, na którego był robiony wniosek o awans na ofic. czasu wojny. Odpowiedzi na ten wniosek dotychczas nie otrzymałem.

/-/ Ubo.

Baszta
319/0184/B1

D.st. Przeniesienie ofic. i pchor.

Ppor. Wita z Woli przenoszę na teren Morwy, zaś na miejsce ob.

Wita przenoszę pchor. Willa z Morwy. Podać odwrotnie skrzynki zameldowania się wymienionych obywateli.

Otrz.: A, B.

/-/ Dar.

Baszta
338/0184/B1

D.st. Mianowanie

Referentem saperskim Baszty mianuję z dn. 1.8.4. ob. Szaleja.

ref. saperskim Morwy - ob. Juka

" " Woli - ob. Kamiński

" " Doliny - ob. Błyskawicę

" " Nivy - ob. Bocian

Otrz.: 1, 2, 3, 4, Szalej

/-/ Dar.

Baszta
333/0184/B1

D.prz. Hasło na mieś. sierpień

Podaję hasło na miesiąc sierpień między oddziałami i pojedynczymi strzelcami AK i AL. "11" tzn. że hasło jest mniejszą liczbą od 11, a odzew taką liczbą, żeby suma dała 11.

Otrz.: 1, 2, 3, 4.

/-/ Dar.

Baszta
318/0184/B1

D.prz. Wnioski na ofic. czasu wojny

Odwrotnie przedstawić po jednym wybitnym podoficerze na podobwód do awansu na oficera czasu wojny.

Otrz.: 1, 2, 3, 4.

/-/ Dar.

Wykaz podchorążych wyszkolonych w Obwodzie
"Baszta" na kursach stacjonarnych

Cyk
321/0184/B1

Zo - B1

D.prz.Przedstawienie ewidencji Z.M.

Na Zo/1247/B1 L.481 przedstawiam odpis ewidencji Z.M.Flo.Cyk.

1. Poeta ZM-87	1918	-	20.1.1943	- kapr.pchor.
2. Kucharek ZM-88	27.8.1919	-	20.1.1943	- " " "
3. Szczapa ZM-89	29.7.1918	-	20.1.1943	- " " Kubis Marion
4. Chwałebny ZM-90	7.8.1919	-	20.1.1943	- " " "Dobek użycie"
5. Bukowy ZM-85	8.1.1920	-	20.1.1943	- " " "
6. Bos ZM-83	19.2.1919	-	20.1.1943	- st. sierż.pchor. Kępczyński
7. Szary ZM-91	1.8.1920	-	1.7.1943	kapr.pchor. Konarski Edward
8. Sęp ZM-92	19.5.1901	-	1.7.1943	" " Jurek J.
9. Rawicz ZM-93	26.1.1903	-	1.7.1943	" " "
10. Szmít ZM-94	27.1.1902	-	1.7.1943	" " "
11. Dar ZM-95	5.12.1919	-	"	" " "
12. Dział ZM-96	2.12.1923	-	"	" " "
13. Faber ZM-97	7.4.1923	-	"	" " "
14. Szreniawa ZM-98	11.9.1919	-	"	- st. strz.pchor.
15. Marian ZM-99	20.11.1918	-	"	" " "
16. Ząbek ZM-84	30.3.1919	-	"	" " "
17. Limba ZM-86	6.7.1919	-	"	" " "
18. Armest ZM-82	-	-	"	- kapr.pchor.
19. Olszyna ZM-81	-	-	1.4.1943	" " "
20. Wichura ZM-80	-	-	"	" " "
21. Celina ZM-79	-	-	"	- st. strz.pchor.
22. Szczerbowski ZM-78	-	-	"	" " "
23. Szach ZM-77	-	-	"	" " "
24. Gryf ZM-76	-	-	"	" " "
25. Mit ZM-75	-	-	"	" " "
26. Zabawa ZM-74	-	-	"	" " "
27. Sęk ZM-363	29.2.1904	-	"	" " "
28. Orlicz ZM-314	-	-	1.1.1943	- kapr.pchor.
29. Cięciwa ZM-315	-	-	"	" " "
30. Roland ZM-186	-	-	"	" " Kosiński Edward
31. Konrad ZM-306	-1918	-	8.12.1944	" " "
32. Znit ZM-307	-	-	"	" " "
33. Grom ZM-308	-	-	"	" " "
34. Rec ZM-309	-	-	"	" " "
35. Kalina ZM-310	-	-	15.5.1942	" " "
36. Wieszma ZM-311	-	-	"	" " "
37. Lot ZM-312	-	-	"	" " "
38. Kibic ZM-313	-1917	-	"	" " "
39. Brzoza ZM-345	23.8.1924	-	3.5.1944	" " Langer J.

/-/ Yza.

Cyk
347/0584/B1

Zo - B1

D.st. Wnioski awans.ofic.

Przedstawiam wnioski awansowe następujących podporuczników
z prośbą o awansowanie do stopnia porucznika.

1. Zalas S-	15.3.1908	-ppor.rez.	-1939	-piech-27	pp-1.9.2.	-zca dcy Wola
2. Błyskawica S-2319	1.4.1917	-ppor.rez.	-1939	-pap-1	bsk -1.12.9.	" " Dolina
3. Judym S-388	26.10.1918	"	"	-1943	-piech-42	pp-1.1.42-Mar Dolina
4. Siarka S-328	5.11.1912	"	"	-1937	"	-43 pp-1.8.41- dca komp.
5. Piotr S-320	14.2.1911	"	"	-1939	"	-87 pp-1.2.41- dca komp.
6. Bartosz S-	29.1.1907	"	"	-1933	"	-2 pp-1.1.40-b, Mar Bch
7. Kruk S-332	30.3.1912	"	"	-1934	"	-2 pp-1.1.40- dca komp.
8. Sęk S-	23.1.1904	"	"	-1939	"	W.B.O.N.-1.10.40-Mar Zorza
9. Bartek S-368	10.8.1911	"	"	-1937	"	-2 pp-1.2.40 - dca komp.
10. Kłokos S-334	30.6.1916	"	"	-1939	"	-4 pp-1.1.40 - " "

/-/ Yza

Cyk
344/0584/B1

Zo - B1

D.st. Wnioski awans.pchor.

Przedstawiam wnioski awansowe na oficerów z prośbą o
awansowanie do stopnia podporucznika,

1. Kostka M-349	1.3.916	-sierż.pchor.rez.	-piech-1939-42	pp-1.3.3.	dca plut.
2. Ypsilon M-344	26.6.910	-kpr.	"	-1932-57	pp-5.11.2-ag.wyw.
3. Faliszewski M-351	6.10.910	-kpr."	"	-łącz.-1933-6	b.t.3.6.40-dca plut.
4. Eter M-367	2.4.1913	"	"	-1935	C.W.Z.15.9.3- " "
5. Grzechotnik M-318	13.8.912	"	"	-1937-5	pp-15.5.2- " "
6. Kozak M-320	19.4.1915	"	"	-art.	-1938-4 pac 3.1.5. " "
7. Termit M-368	24.6.1917	-sierż."	"	-piech-1939-25	pp-20.9.3. " "
8. Tomasz M-366	7.3.916	-kpr."	"	-art.	-1938-11 pal-15.12.2" "
9. Nawrot M-364	13.12.918	-plut."	"	-piech-1939-13	pp-20.5.3 " "
10. Cęgi M-324	22.6.1914	"	"	-1936-8	pp-1.10.0 " "
11. Prędkie M-352	6.12.915	-kpr"	"	-1937-4	pp-15.5.3 " "
12. Hardy M-355	6.2.1914	"	"	-1936-19	pp-1.6.2 " "
13. Modlin M-358	28.5.1914	"	"	-art.	-1937-2 pp-1.5.3. " "
14. Kamień M-	25.5.1907	"	"	-piech-1932-79	pp-1.7.40 " "
15. Prawdzic M-	9.10.1912	"	"	-san.	-1939-5 pp-2.2.2. lekarz
16. Wirczyk M-	1915	"	"	-piech-1936-2	pp-1.3.40-dca plut
17. Spokojny M-370	29.6.1904	"	"	-1929-79	pp-1.10.3 " "
18. Cekin M-371	1913	"	"	-1932-72	pp-10.5.3 " "
19. Sumak M-372	1918	-plut."	"	-1939-21	pp-1.10.3 " "
20. Tama M-373	15.3.1909	"	"	-1933-3	pp-1.10.3 " "
21. Świerk M-374	18.7.1912	"	"	-1934-2	pp-20.10.3 " "
22. Zrąb M-376	23.1.1917	-kpr."	"	-łącz.-1934-28	kł-1.1.4. " "
23. Poraj M-378	1919	-sierż."	"	-art.	-1939-6 pal-1.1.3 " "
24. Rafał M-379	2.2.1910	"	"	-piech-1937-50	pp-1.3.0 " "
25. Włodek M-380	12.8.1912	"	"	-łącz.-1938-1	p.art.1.4.3." "
26. Power M-381	17.6.1917	-kpr."	"	-art.	-1939-4 pac-1.2.1 " "
27. Zrąb M-382	23.1.1917	"	"	-piech-1936-49	pp-17.5.4 " "

/-/ Yza.

Cyk
275/1274/B1

Mar - Mer

D.st. Wykaz łącznościowców

Na rozkaz ustny, przedstawiam ilościowy wykaz łącznościowców
Flc-Cyk ofic-1, pchor-1, podof:-58, szereg-75, wyszkol.w konsp.-48

/-/ Yze

Baszta
273/1274/B1

Mar-Baszta

D.prz. Transport zrzutu

Melduję, że dn.8.7.4 nawiązałem kontakt z adiutantem
ob. Jaska i omówiłem odebranie zrzutu. Odbiór 14.7.4. Ubezpieczenie
z Doliny. Po przetransportowaniu złożyć szczegółowy meldunek.

/-/ Ubo.

Cyk
274/1274/B1

Mar - Mer

D.prz. K.Z.

Melduję, że na terenie Cyk.K.Z. nie ma. Zwracam akta.

/-/ Ubo.

Baszta
/1274/Dro

Mar - Baszta

Proszę o wybicie ćwiczeń w następującej ilości:
Morwa 40 egz., Wola 40 egz., Dolina 40 egz., Niwa 40 egz.

/-/ Ubo

Baszta
opa 167/2964/B1

Mar - Baszta

D.prz. Kontrola Niwy

Melduję, że od dn.23.6.4 do 26.6.4 przeprowadziłem kontrolę
plutonów Niwy. Kontrolowałem plutony Solec, Dziurków i Lipsko.
Ogólnie stan organizacyjny i wyszkoleniowy dobry. Byłem obecny na
koncentracji dyspozycyjnych i d-ców plutonów w dniu 25.6.4.
Omówiłem ćwiczenia nr.1, szkolenie minerskie i ogólnie sprawy
organizacyjne i wyszkoleniowe.

/-/ Ubo.

Baszta
305/2774/B1

Mar - Baszta

D.prz. Przygotowanie deszczu

1. Melduję, że dnia 25.7.4 miałem kontakt z Topolą, ustaliłem
sprawę deszczu. D-cą kompanii mob. Niwy jest Młokos. Mobilizujący
się pluton w pierwszym rzucie jest plut. Tarłów.

2. Dnia 25.7.4 widziałem się z Bartoszem, podałem mu rozkaz uspokajania
ludzi w terenie, którzy chcą już dziś reagować, i sposób pod-
chodzenia do nich przed ewentualną mobilizacją przez PPR, ustosun-
kowanie się do PPR.

3. Do dnia 25.7.4. zrzutu na terenie Niwy nie było.

4. Skontaktowałem Topolę z Wętykiem, z-cą Rolskiego, w sprawach
żywnościowych omówiłem ich współpracę.

5. Dnia 26.7.4. miałem kontakt z Jaworem. Omówiłem z nim szczegółowo
sprawę mobilizacji plutonu i zadanie w terenie. Jawor meldował, że
z rozkazu Pana Komendanta obejmuje dowództwo tego plutonu.

6. Proszę o podanie czy poczta moja z dnia 20.7.4 odnalazła się.

/-/ Ubo.

Cyk
opa 2545/202/B1
Zo - Bi
D.st. Sprawozdanie kwartalne
W wykonaniu rozkazu Głęb 2103 nr. 1004/kław/3 g 113 b przed-
stawiam sprawozdanie kwartalne z Mie.-Cyk.za czas od 1.3.4-25.5.4
/-/ Yza.

Cyk
opa 2545/80ro

Mar - Mar

D.prz. Meldunki obserwatorów

Melduję, że w miesiącu maju nie nadeszły meldunków z obserwacji w terenie, ze względu na niecałkowite zorganizowanie obserwatorów w terenie.

/-/- Yza.

Cyk .
opa 2545/203/B1

Mar - Cyk
D.prz. Kontakt

Melduję, że ob. Błażko zawiadomił mnie ażebym wybrał dzień na kontakt z P.Kmdtem. Jeżeli P.Komendant będzie miał czas w dniu 31.5.4. godz. 1100, to proszę na kontakt w m. Wola. Na tym kontakcie ustalimy dokładnie dzień i miejsce kontaktowe następne. Ulica ta jest na Majówce, wejście frontowe pierwsze w kierunku Majówki. Hasła nie podaję, bo będę wcześniej. Wtajemniczona również żona skrzynkowego.

Podaję skrzynkę kontaktową: 510723015733325
767216465911438730137428749129716015413624436012812416836965564953
826025027619129039718460428126025126836510728236428817429033015.

/-/ Ubo.

Cyk
opz 2545/204/B1

Mar - Cyk
D.prz. Ogólne meldunki

1/ Melduję, że sporządziłem ostateczną dla Mar-Mer 2 egzempl.
i 1 egz. do dyspozycji Mar-Cyk.

2/ Dotychczas nie otrzymałem meldunków z pracy obserwatorów
w terenie. Mar-tydz na kontakcie osobistym meldują, że przysyłają je
razem z meldunkami sytuacyjnymi. Wysłałem dwa tygodnie temu upomnienie
pisemne, dotychczas bez rezultatu.

/-/- Ubo.

Cyk
opa 2554/7/Dro
Mar - Cyk
D.st. Oleśta
Przesyłam do dyspozycji Mar-Cyk oleśtę rozmieszczenia
plutonów.
/-/ Ubo.

Cyk
2554/6/Dro

Mar - Mer
D.st. Oleata mł. Cyk.

W wykonaniu rozkazu Mar/La 13044 przesyłam wykonane dwie
oleaty do mapy 1:100 000.

1. Rozmieszczenie plutonów
2. Ugrupowanie plutonów na O.W.

Oddziałów SOP nie umieściłem, ponieważ są rozrzucone
po całym terenie w zależności od zadania, tak że zwartych
plutonów nie tworzą.

Załącz.: 2

/-/ Yzb.

Baszta

/1274/Dro

Cwiczenia aplikacyjne do opracowania pismennego Nr 4.

I. Temat: Pluton na zasadzce na kolumnę marszową n-pla.

II. Położenie ogólne: Niemcy nie mogą powstrzymać n-pla na wschodzie wycofują się w bałaganie w kierunku zachodnim do swego kraju. W państwach okupowanych wybuchają powstania.

1. Położenie n-pla: Oddziały n-pla w większych zespołach od baonu wzwyż wycofują się z frontu wschodniego w szybkim tempie pieszo. Na kierunkach ich marszu oddziały nasze opóźniają jego wycofanie się.

2. Położenie własne: Nasze oddziały są w trakcie zdobywania ognisk walki. Na osiach marszu n-pla oddziały nasze w sile plutonu robią zasadzki na n-pla celem rozbicia i opóźnienia posuwania się n-pla.

III. Zadanie: U-co plutonu ze swoim plutonem, sekcją minorską, patrolem sanitarnym, 1 ckm, ma robić zasadzki i rozbijać kolumny n-pla maszerujące pieszo z kierunku wschodniego. Odcinek działania czosn. Na pozostałych odcinkach szosy działają nasze plutony.

IV. Praca do wykonania: Opracować na piśmie:

- rozkazy d-cy plutonu,
- stanowiska zasadzki w odcinku działania plutonu,
- rozmieszczenie plutonu,
- organizacja ogni broni maszynowej,
- niszczenie i przeszkody,
- uderzenie na n-pla,
- wycofanie się.

b/ szkic rozmieszczenia drużyn i kierunku ognia.

Zadanie opracować do dnia: 15.8.4. Utrzymują wszyscy oficerowie, podchorążowie i podoficerowie na funkcjach oficerskich.

Otrzymują: A - 40 egz. (Droga)
B - 40 egz. (Droga)
C - 40 egz. (Droga)
D - 40 egz. (Droga)

/-/ Dar.

Baszta

276/1274/B1

D.st. Mianowanie

Z dniem 1.7.4 mianuję II z-cą End-Baszta ob. Kube.

Otrz.: IV, Kuba

/-/ Dar.

Baszta

279/1274/B1

Mar - Baszta

O.prz. Kontrola Doliny

Melduję, że dnia 9.7.4 przeprowadziłem kontrolę koncentracji Doliny. Na koncentracji obecnych było około 200 ludzi. Przerobiony został program wyszkoleniowy na miesiąc lipiec. Przerobiłem i omówiłem ćwiczenie Nr.2.

/-/ Ubo

Baszta
324/0184/B1

VIII - Korwin

D.st. Awanso pchor.na ofic.

Rozkazem Zo/2447/B1 L.538 Kmdt Okr. awansował ze starszeństwem z dnia 3.5.4. do stopnia podporucznika rez. ob.Korwina nadając mu pseudonim Korwin S-2334

/-/ Dar

Baszta
325/0184/B1

Morwa

D.st. Awanso pchor.na ofic.

Rozkazem Zo/2447/B1 L.538 Kmdt Okr. awansował ze starszeństwem z dnia 3.5.4. do stopnia ppor.rez. następujących pchor.,nadając pseudo. ob.Chudy S-2337 ob.Borsuk S-2341

/-/ Dar

Baszta
326/0184/B1

V b

D.st. Awanso pchor. na ofic.

Rozkazem Zo/2447/B1 L.538 Kmdt Okr. awansował ze starszeństwem z dn.3.5.4. do stopnia ppor.rez. następujących podchorążych,nadając pseudonim.: ob.Selim S-2343

/-/ Dar.

Cyk
327/0184/B1

Mar - Mer

D.st.Odznaczenia

Melduję, że pisma Zo w sprawie odznaczenia Krzyżem Virtuti Militari ppor.Szarego i Fuksa nie otrzymałem.

/-/ Yza.

Baszta
328/0184/B1

Wo/VII - Goł

D.prz. Sprawa wydzielenia ludzi

Na waszą prośbę w sprawie wydzielenia ludzi do oddziałów S.O.P.,ludzi w wieku 40 - 50 nie zgadzam się,ponieważ do lat 50 podofic. i szeregowcy podlegają służbie liniowej.

/-/ Dar.

Cyk
329/0184/B1

Zo - B1

D.prz. Ewidencja ofic.

Na Zo/1447/B1 L.499 melduję, że Zo - B1 zażądało Nr. rozkazu awansowego Wroka i Osmana i ich pseudonim liczbowy.Na to pismo dałem odpowiedź, nie wiem o co właściwie chodzi w piśmie Zo/1447/B1 L.499. Po załatwieniu pisma przejściowe niszczyć.

/-/ Yza

Baszta
334/0184/B1

V k

D.st. Awanso

Z dniem 1.8.4 awansuję do stopnia kaprala:st.strz.Wojtka do stopnia st.strz.:strz.Grab

/-/ Dar.

Cyk
335/0184/B1

Zo - B1

D.prz.Scalenie kwadratu Morwa

Melduję, że pismo Zo/2345/B1 L.361 nie otrzymałem.Oile chodzi o scalenie kwadratu, to podjęto 1 of., 20 pchor. Z.K.P.N., 141 szereg. Stany podane przez nich początkowo, okazały się fikcją.Rozwiązano 3 plutony NOW: 186 - Jagodne, 188 - Brzeście, 189 - Skarżysko Kam. Stan bojowy słaby.Uzbrojenie 1 km, 16 kb.

/-/ Yza.

Baszta
309/o184/B1

Dolina
D.st. Mianowanie
Z dniem 1.8.4 mianuję oficerem broni Doliny ob. Dyma
z jednoczesnym pełnieniem funkcji Oficera Wyszukeniowego
/-/ Dar

Cyk
310/o184/B1

Zo - B1
D.st. Wniosek na Kmdta Pow.
W miejsce ob. Holko S-301, który był dotychczas Kmdt. Powiatu
w związku z jego odejściem do kwatermistrzostwa Pla-Mor, proszę o
mianowanie Komendanta Powiatu ob. Bartosza S-
ur. 29.1.1907 - ppor. rez. - 1933 - piech. - 2 pp - b. Kmdt Chłosty
/-/ Yza.

Baszta
313/o184/B1

Dolina
D.prz. Przeniesienie oficera
Ppor. Czarnego przenoszę z Morwy na teren Doliny do dysp. Mor -
- Dolina. Odwrotnie podać kontakt dla niego do zameldowania się.
/-/ Dar.

Baszta
314/o184/B1

Wola
D.st. Awans na chorąż.
Rozkazem z dnia Zo/1247/B1 L. 473 Kmdt Okręgu awansował do
stopnia chorążego piechoty ze starszeństwem z dnia 0345 st. sierżant
Wyrwa.
/-/ Dar.

Baszta
315/o184/B1

VII/Got - Wola
D.st. Zatwierdzenie d-cy plutonu
Zatwierdzam na d-cę 1. plutonu Wo/VII/Got ob. Lancę i nadaję
mu pseudonim liczbowy 7-655/3.
/-/ Dar.

Baszta
316/o184/B1

Bartosz
D.prz. Wniosek na oficera czasu wojny
Polecam przedstawić czterech podoficerów z BCH o wybitnych
zasługach do awansu na oficerów czasu wojny ze szczegółowymi danymi.
/-/ Dar.

Baszta
322/o184/B1

Niwa
D.st. Awans podchor. na ofic.
Rozkazem Zo/2447/B1 L. 538 Kmdt Ukr. awansował ze starszeństwem
z dnia 3.5.4. do stopnia ppor. rez. następujących podchorążych
nadając pseudo.:
ob. Hipek S-2330
ob. Astra S-2332
ob. Brzytwa S-2344
ob. Sęp S-2331
ob. Multaj S-2333
/-/ Dar.

Baszta
323/o184/B1

Dolina
D.st. Awans podchor. na ofic.
Rozkazem Zo/2447/B1 L. 538 Kmdt Ukr. awansował ze starszeństwem
z dnia 3.5.4 ppor. rez. następujących podchorążych nadając pseudo-
nimy: ob. Lesser S-2335
ob. Orzeł S-2338
ob. Felek S-2336
ob. Jastrząb S-2339
ob. Lot S-2342
/-/ Dar.

Baszta
342/0584/B1

V b

D.st. Awanse

Z dniem 5.8.4 awansuję następujących obywateli

- a/ do stopnia kaprała : ob. Orlicz
- b/ do stopnia st.strzelca: ob. Sokół

/-/ Yze

Baszta
343/0584/B1

Mar - Baszta

Melduję, że pouczyłem łączników o zachowaniu się na szosach.

/-/ Ubo

Baszta
345/0584/B1

Mar - Baszta

D.st. Haony na Radom

Melduję, że Dolina ma w stanie 20 plutonów. Na Radom odchodzi 17 plutonów. Z tych 20 plutonów 3 plutony odeszły do PPR z wyjątkiem kilku ludzi każdego plutonu, a mianowicie: 160 Alojzów - złożony w 70% z ludzi BCH przeszedł do PPR bez dcy plutonu.

169 - Rzeczników/były pluton Róży/przeszedł do PPR.

168 - Sienno w większej części przeszedł do PPR/bez d-cy plut./

Pod wpływem propagandy PPR, w związku ze zbliżaniem się frontu, rozdawane stanowiska analfabetom przez PPR załamuje ludzi słabych i przechodzą do PPR. Zarządziłem mobilizację wszystkich tych co posiadają broń w Dolinie, ażeby nie wypłynęła w ręce PPR.

W związku z likwidacją trzech plutonów Doliny nie będzie mogła Dolina wydzielić 3-ch plutonów do organizującego się Pułku Iłżeckiego. Pozostaje narazie 17 plutonów, które odejdą na Radom.

/-/ Ubo

Baszta
346/0584/B1

Mar - Baszta

D.prz. Pouczenie d-ców komp. Daszczu

W wykonaniu rozkazu Baszta L.0384 melduję, że odprawiłem d-ców oddziałów zmobilizowanych.

/-/ Ubo

Cyk
347/0584/B1

Zo - B1

D.st. Wnioski awans. Ofic.

Przedstawiam wnioski awansowe następujących podporuczników z prośbą o awansowanie do stopnia porucznika.

1. Zalas S-	15.03.1908	- ppor.rez.-1939-piech-27	pp-1.9.2.z-ca	d-cy Wola
2. Dłuskawica S-2319	1.4.1917	- " " -1939-sap.-1.b.s.k.1.12.9	z-ca	d-cy Dolina
3. Judym S-388	26.10.1918	- " " -1943-piech-42	pp-1.1.42	Mar - Dolina
4. Siarka S-328	5.11.1912	- " " -1937-	" -43	pp-dca komp.
5. Piotr S-320	14.2.1911	- " " -1939-	" -87	pp-dca komp.
6. Bartosz S-	29.1.1907	- " " -1933-	" -2	pp-b.Mar BCH
7. Kruk S-332	30.3.1912	- " " -1934-	" -2	pp- dca komp.
8. Sęk S-	23.1.1904	- " " -1939-	" W.BO.N.	

Baszta
346/0584/E1

Mar - Baszta
D.prz. Pouczenie d-ców komp. Deszczu
W wykonaniu rozkazu Baszta J.0384 melduję, że odprawiłem
d-ców oddziałów zmobilizowanych.

/-/ Ubo.

Marz
2743/140/Ara

Marz
D.st. Skrzynka kont.osob.
Podaję skrzynkę do kontaktów osobistych z Kmd, Marz. jak
załącznik nr 1. Wtajemniczona również jego żona. Wejście do
budynku lewe.

Załącznik 1.

/-/ Ubo.

Załącznik nr 1 do Marz.2743/140/Ara

191	040	426	231	714	029	634	436	428	717	721	236	748	120	438	520	336
025	112	836	227	632	445	020	035	720	137	428	921	923	048	025	314	025
913	426	537	418	548	624	736	912	231	839	025	623	941	339	448	735	527
048	039	246	025	632	025	423	941	320								

/-/ Ubo.

2841/35/Mot

Oddział leśny ppor. Szary

D.st. Odznaczenie, radzenie

Na podstawie rozkazu Bli goś 213/2/1245/Mot L.13314

Okr-3IU nadaje krzyż Walecznych po raz pierwszy

ob. Fort. ob. Sep.

/-/ Wis.

"Kret"

Załącznik III

Testowanie jednostek niemieckich na terenie Obrodo AI "Baarta"

1		2	3	4	
Kp	Ogn. Nr				
Kwatery - Legionów	I	1	Stab II-Młodziani, ul. Legionów	50. 30kb, 2pa, 30piet. granaty	Pobyt staly, wiek 30-50, wartosc bojowa 3ma
	2	Siecherheitsabcm 551, Pol. Um. d.	120kb, 2ckm, 2 granatniki	" przejd. " 25-30, " db	
	3	Verkschutz - ul. Legionów	39kb, 2pa, piet. granaty	" staly " 20-40, " det.	
	4	Verkschutz - Klaborecja	21kb, 2pa, piet. granaty	" " " " " "	
	5	Verkschutz - Rakiety	21kb, 2pa, piet. granaty	" " " " " "	
			Cywilna ludność niemiecka	300 osob	" " " " " "
	II	6	2 komp. 608 Reg. -ul. 3 Wieszczów	120 kb, 2 ckm, piet. granaty	" " " 25-37 " " db
	7	5 " " -ul. Komarskiego	190 kb, 3 ckm,	" " " " " "	
	8	Poczt. polowa -ul. Lwowska 4	4 kb, 1. ckm, 2pa, 4 pistolety	" " " " " "	
	III	9	Verkschutz kol. -ul. Kolejowa	39 Obr. kb, pistolety	" staly " 17-28 " " db
	10	Bahnachutz -Dworzec	41 Pal. Mica. kb, piet. 2 pa.	" " " 24-45 " " "	
	11	Officer. dworcowy -Dworzec	7 kb, pistolety	" " " 27-50 " " det.	
			Kontz. transport. ofic. -Dworzec	11 kb,	" " " " " "
	IV	12	Landarmia -ul. Piłsudskiego 65	55 kb, 3 rka, 4 pa, pistolety	" " " 30-40 " " db
	13	Land. polowa -ul. Piłsudskiego 8	9 kb, 1 pa.	" " " 28-35 " " "	
	14	Schupo -magistrat	3 kb, piet.	" " " 27-50 " " "	
	15	Ortakomando -ul. Piłsudskiego 5	31 kb, piet. 1 pa.	" " " 30-35 " " det.	
	16	Schupo -ul. Limanowskiego	40 kb, 2 ckm, 3 rka, 6 pa, gran.	" przejd. " " " db	
	17	Pocztowa dworzecowa oper.	9 kb, 1 rka, 1 pa, piet.	" staly " 35-50 " " "	
	18	Pluton gospodarzy -ul. Fabryczna	45 kb, piet.	" " " 30 " " "	
	19	Brakonia gospodarowa - Rynek	15 kb,	" " " 30-35 " " "	
	20	Isba chorych -ul. Piłsudskiego 10	11 kb,	" " " 30-35 " " "	
	21	Selbachutz		" " " 30-35 " " "	
V	22	Kirnez - Schupo	40 kb, 2 ckm, 2 rka, 6 pa, gr.	" przejd. " 30-35 " " "	
VI	23	Klitya - SS i Ukraińcy	50 (10-40) kb, 2 pa, piet.	" staly " 30-50 " " "	
VII					
Kwatery - Legionów	I	1	6/608 Reg. -ul. Tychowska (szkola)	191 kb, 5 rka, 3 ckm, 6pa, gr.	Pobyt staly, wiek 35-45, wartosc bojowa db
	2	Warta Reg. (Verkschutz)	12 kb, piet.	" " " 18-28 " " "	
	II	3	Sonderdienst - ul. Miesiecka	45 kb, 1 pa, piet.	" " " 30-35 " " "
	4	Landarmia - " "	18 kb, 1ckm, 1ckm, 2pa, granaty	" " " 30-40 " " "	
	5	Selbachutz - " "	150 (20-70) kb piet.	" " " 30-55 " " "	
	6	Schupo - " "	41 kb, 2 ckm, 3ckm, 6pa, piet.	" " " 30-45 " " "	
	7	Siecherheitspolizei - " "	4 kb, rka, pa, granaty	" " " 35-55 " " det.	
	8	Kriko - " "	16 piet.	" " " 30-35 " " "	
			Ortakomando - " "	9 kb	" " " " " "
	III	9	Verkschutz, kosary -Zakl. Górny	101 kb, 15 rka, granaty	" " " 18-28 " " "
	10	Wartownia na portierni głównej	19 kb, piet.	" " " " " "	
	IV	11	Schupo - Basurac	29 kb, 1ckm, 1ckm, 2pa, gran.	" " " 30-35 " " db
	12	Verkschutz - wielki plac	9 kb, granaty	" " " 18-28 " " det.	
	13	Wahrnachts-warta przy stacji pomp	7 kb, granaty	" " " 30-35 " " db	
	14	Verkschutz - huta	15 kb, granaty	" " " 18-28 " " "	
		15	Verkschutz w Inhdani	55 kb, 2 rka, 2 pa, granaty	" " " 18-25 " " "
	V	1	Landarmia - Lipko	18 kb, 2ckm, 5 pa, piet. gran.	" " " 30-45 " " db
	2	Opl - Krzyżanowice	9 kb, 1 pa, piet. granaty	" " " " " det.	
	VI	3	Schupo - Skarno	50 kb, 3ckm, 2ckm, 5 pa, gran.	" przejd. " 30-40 " " db
	VII				
	VIII	1	Landarmia - Lipko	12 kb, rka, 2 pa, granaty	" staly " 30-45 " " "
	2	Schupo - Ciepłelów	47 kb, 3ckm, 2ckm, 5pa, granaty	" przejd. " 30-35 " " "	
	3	Opl - Sulac	9 kb, 1ckm, piet. granaty	" staly " " " det.	
4	Opl - Tarłów	9 kb, 1ckm, piet. granaty	" " " " " "		
5	Landarmia - Tarłów	9 kb, 1ckm, piet. granaty	" " " " " "		
6	Opl - Jendr. Salecki	65 kb, 2ckm, 3ckm, 6pc, granaty	" przejd. " " " db		
7	Selbachutz - Gózdowa	9 kb, 1ckm, piet. granaty	" staly " " " det.		
8	Selbachutz - Chotcza	50 kb,	" " " " " "		
		50 kb, 1ckm, 3ckm, 3 pa,	" " " " " "		

Załącznik IV

Zeznania oficera łączności w podobwodzie AK "Morwa"
(Skarżysko - Kamienna) Tadeusza Sulimy, ps. "Sarmata",
złożone w Gestapo, po jego aresztowaniu.
(Kopia oryginału w posiadaniu autora).

IV A 3 - b - Nr. 11 631/42 g

Radom

Sacharbeiter:.... FI.

25 marca 1943

Dotyczy: Organizacji wojskowej w Skarżysku Kamiennej

1.) W wyniku aresztowania oficera łączności w podobwodzie "ZWZ" Skarżysko Kamienna, którym jest Tadeusz SULIMA, uzyskano na temat struktury organizacji następujące dane:

SULIMA został zwerbowany do "ZWZ" i zaprzysiężony przez następujących kolegów z pracy: MILLER Henryk, lat 25, dawny podoficer, zamieszkały w Skarżysku-Kamienna, Rejów, były pracownik f-my "Hasag", oraz ROGOWSKI Stanisław, lat 32, dawny porucznik, zamieszkały w Skarżysku-Kamienna, ul. Orla 4, zatrudniony na kolei w Sk. -Kamienna.

Podczas pracy w "ZWZ" miał okazję poznać komendanta podobwodu Skarżysko-Kamienna, którym jest niejaki ROGOWSKI.

Po stosunkowo krótkim okresie czasu pracy w organizacji powierzono mu obowiązki oficera łączności w podobwodzie.

Pracując na tym stanowisku miał dobry wgląd w strukturę organizacyjną oraz obsadę personalną kierownictwa.

Jego relacja jest następująca:

"Jak mi się udało rozpoznać, Generalne Gubernatorstwo podzielone jest na okręgi. Wielkości i obszary okręgów pokrywają się z obszarami dystryktów.

Okręg Radom:

Nie znany mi jest kryptonim tego okręgu ani nazwisko komendanta lub kogokolwiek z dowództwa.

Okręg podzielony jest na tzw. obwody, odpowiadające obszarom powiatów.

Skarżysko-Kamienna należy do obwodu starachowickiego i ma kryptonim "Poręba".

Komendantem tego obwodu jest niejaki JASIENCZYK (pseudonim), dawny major, mieszka w pobliżu Iłży, w majątku. Na temat jego osoby nie mogę nic bliższego podać, gdyż nigdy go nie widziałem. Jak słyszałem od Rogowskiego, mieszkał 359^{<^}D on przez pewien czas w Skarżysku-Kam. Wiadomo mi także, że nie przebywa on zbyt długo w jednej miejscowości.

Z pomiędzy członków sztabu znam tylko jedną osobę o pseudonimie KAZIMIERZ. Jest on oficerem łącznikowym pomiędzy dowództwem obwodu i podobwodu.

Na temat jego nazwiska, zawodu, i miejsca zamieszkania, nie mogę nic podać ale przypuszczam, że mieszka w okolicy Iłży lub w samej Iłży, gdyż poczta którą przesyłam do obwodu idzie przez skrzynka pocztową w Iłży.

Skrzynka pocztowa w Ilży znajduje się u pewnej akuszerki, w wieku około 50 lat, która ma już zamężną córkę. Nazwiska akuszerki nie znam lecz ze względu na to, że w tej miejscowości jest tylko jedna akuszerka, więc nie będzie trudno ją znaleźć.

Obwód Starachowice podzielony jest na podobwody i inspektoraty. Ile jest tych podobwodów oraz inspektoratów nie wiem. Przyjmuję jednak że poza podobwodem Skarżysko-Kam. jest także podobwód Starachowice. Na temat tego ostatniego nic nie mogę powiedzieć.

Podobwód Skarżysko-Kamienna, kryptonim "Morwa":

Do podobwodu Skarżysko-Kamienna należą gminy:

Wąchock, pow. Starachowice, kryptonim "Wiecha",

Paszów, kryptonim "Jutrzenka",

Bliżyn, pow. Kielce, kryptonim "Kąkol".

W wymienionych miejscowościach znajdują się kompanie:

1.) Paszów, kompania 120 ludzi, pseudonim dowódcy kompanii SARSKI, nazwisko nie znane.

2.) Mirzec, kompania 130 ludzi, dowódcą kompanii jest Jan Pacek, w wieku około 27 lat, zatrudniony w spółdzielczym punkcie skupu w Mircu, ma pseudonim "Kalka" i mieszka w Mircu.

3.) Bliżyn, kompania około 90 ludzi, dowódca o pseudonimie WRÓBLEWSKI, nazwisko prawdziwe nie znane.

W Skarżysku-Kam. istnieje tylko jeden 368[^]Dca jest CIUPAGA (pseudonim). Nazwisko prawdziwe nie znane. Pracuje na kolei. Jest przyjacielem ROGOWSKIEGO.

W Wąchocku istnieje jeden pluton, liczący około 40 ludzi. Dowódcą jest KRUK (pseudonim), prawdziwe nazwisko nieznane, mieszka w Wąchocku.

Poza tym istnieje w Wąchocku inna grupa o nazwie "Dyweryjni", licząca 10 do 15 ludzi. Jej dowódcą jest Karol CIECHURA, ps. "Walkiewicz" (aresztowany).

Sztab podobwodu Kamienna:

Zakres czynności w sztabie podobwodu podzielony jest na Referaty. Referat I nie obsadzony, Referat II - Wywiad prowadzi GRODZ Henryk, ps. "Bryks", podchorąży, zatrudniony na kolei w Skarżysku Kam., ul. Kolejowa 127.

Szef grupy wywiadowczej ma swych ludzi, którzy mu dostarczają materiały, szczególnie dotyczące spraw i obiektów wojskowych. Nie znam jednak żadnej z tych osób.

Ponieważ jest on zatrudniony na kolei, zatem nie trudno jest mu prowadzić ewidencję transportów wojskowych przejeżdżających przez węzeł kolejowy Skarżysko Kamienna.

Poza tym z przepływu meldunków można wnioskować że określa on także rodzaje jednostek wojskowych na terenie Skarżyska Kam., ich ilość oraz wielkość.

Jest mi także wiadomo, że wywiadowcy interesują się obiektami gospodarczymi, takimi jak magazyny, poczta, oraz sposobami i środkami zaopatrzenia ludności w artykuły żywnościowe. Wszystkie te meldunki otrzymuje komendant podobwodu Rogowski i przekazuje komendantowi obwodu.

Referat V - Łączność:

Referentem łączności w podobwodzie jestem ja. Moim zadaniem jest utrzymanie Łączności pomiędzy podobwodem i obwodem oraz pomiędzy kompaniami i plutonami, w ramach podobwodu.

Mam w swojej dyspozycji 4-ch kurierów, którzy przewożą rozkazy i odbierają meldunki.

Łączność z obwodem.

Oficer łącznikowy KAZIMIERZ, (jego punkt kontaktowy został już podany na str.

2). Łączność utrzymywana jest z pomocą bezpośredniego łącznika, którym jest SOLEK Witold, wiek około 18 lat, pracował wcześniej w f-mie "Hasag" w Skarżysku-Kam. Zamieszkały w Skarżysku Kam. przy ul. Licznej 62.

W Mircu punkt kontaktowy znajduje się w miejscowej spółdzielni. Tamtejszy dowódca kompanii jest w niej zatrudniony. Łączność z nim utrzymuje także Witold Solec, ustawiony na tę trasę. W Wąchocku nie zorganizowano punktu kontaktowego. Nadchodzącą do tamtejszego plutonu pocztę odbiera jeden z członków plutonu a zarazem mój kolega z pracy. Nazywa się SKORUPKA Stanisław, ma lat 26, zatrudniony w f-mie "Hasag" w Skarżysku Kam., zamieszkały w Wąchocku.

Pocztę oraz rozkazy dla grupy "Dyweryjni" w Wąchocku odbiera osobiście dowódca tej grupy CIECHURA. Zjawia się u mnie raz w tygodniu zapytując czy coś dla niego nie ma.

Rozkazy i pocztę dla kompanii w Bliżynie odbiera mój kolega z pracy ROT Henryk, lat około 20, zatrudniony w f-mie "Hasag", w narzędziowni, zamieszkały w Bliżynie, i przekazuje tamtejszemu dowódcy kompanii.

Przez to, że największa część rozkazów do podległych komórek przechodziła przez moje ręce, byłem zorientowany w sprawach organizacyjnych. Kiedyś przekazałem dowódcy grupy w Wąchocku dowody osobiste (in blanko), które dał mi komendant podobwołu ROGOWSKI. Przypominam sobie, że były dwa egzemplarze, ale więcej na ich temat nie mogę sobie przypomnieć.

Niektóre rozkazy podpisywałem osobiście z upoważnienia ROGOWSKIEGO, dotyczyły one najczęściej spraw łącznościowych.

Rozkazy te z polecenia ROGOWSKIEGO podpisywałem także jako "Fiszer".
Referat VI - Prasa i propaganda:

Kierownikiem tego referatu był szlifierz

BILSKI Ryszard, wiek około 25 lat, zatrudniony
w firmie "Hasag" w Skarżysku Kam. Zamieszkały także
w Skarżysku Kam. przy ul. Podjazdowej 2.

Jego pomocnikiem jest:

PIETOWSKI Roman, lat około 24, zatrudniony
w f-mie "Hasag" w narzędziowni, zamieszkały
w Skarżysku Kamienna, ul. Młodzawy 46.

Zadaniem jego było zaopatrywanie organizacji w nielegalne gazetki. Do rozprowadzanych przez niego gazetek należały:

"Biuletyn Informacyjny",
"Żołnierz Polski",
"Przedświt",
"Zrąb",
"Czołem".

Bilski zaopatrywał mnie w gazetki na bieżąco. Część on mi przynosił a pozostałą część ja zabierałem osobiście.

Referaty III i IV nie były obsadzone i prowadził je osobiście komendant podobwodu ROGOWSKI.

Uzbrojenie:

Ja osobiście broni nie posiadam, jednak jest mi wiadomo że komendant podobwodu ma pistolet "VIS" i amunicję do niego.

Gdzie on te rzeczy trzyma, nie wiem.

Organizacja posiada dużo broni, jednak nie na tyle aby dla wszystkich starczyło.

Z meldunków, które przechodziły przez moje ręce używałem dane na temat uzbrojenia poszczególnych jednostek, a więc:

Grupa "Dyweryjni" w Wąchocku:

3 karabiny i amunicja oraz 6 pistoletów z amunicją.

Pluton piechoty w Wąchocku:

Okolo 10 karabinów z amunicją oraz 1 pistolet.

Kompania w Mircu:

3 karabiny maszynowe i amunicja, 25 do 30 karabinów, 20 do 30 granatów ręcznych i kilka pistoletów.

Kompania w Paszowie:

karabiny maszynowe, amunicja i kilka pistoletów.

Kompania w Bliżynie:

3 karabiny maszynowe, 30 karabinów, amunicja i 2 pistolety.

Dane odnośnie uzbrojenia nie są całkiem dokładne, gdyż trudno mi było zapamiętać szczegóły, jednak są bliskie danym, które w meldunkach udało mi się przeczytać.

Do tych wszystkich danych, które podałem, chciałem jeszcze dodać:

Od komendanta podobwodu Rogowskiego dowiedziałem się, że w okresie przed moim wstąpieniem do organizacji, część organizacji "ZWZ" z dzielnicy Rejów (koniec roku 1940) przeszła do organizacji "SN". Nazwisko dowódcy tej organizacji ani któregośkolwiek członka nie jest mi znane.

2). Oryginał opisu spraw przesłany do Sądu Doraźnego.

3). IV A 3 - a - Koch i Schütz - do wiadomości.

4). ND-karty, spec. - i karty osobowe są stosownie do opisu spraw uzupełniane.

5). Do akt tematycznych wydziału IV A: Polski Ruch Oporu;

Wojskowa organizacja "ZWZ"

Obszar Skarżysko-Kamienna

Nr 1382 242

I. A.

Fl/Ku

Załącznik V

Sprawozdanie Gestapo Radom
dotyczące akcji aresztowań w dniu 21. 8. 1943 r.
na terenie Starachowic

(kopia oryginału w posiadaniu autora)

IV A 3 - Nr. 14 490/43

Radom, den 29 November 1943

Dotyczy: Akcji aresztowań członków nielegalnej organizacji ZWZ w Starachowicach, przeprowadzonej w dniu 21. 8. 1943 r.

W wyniku przesłuchań oraz ustaleń tajnej policji stwierdzono w ostatnich miesiącach, że duża aktywność nielegalnej organizacji PZP na terenie Starachowic uległa dalszemu zwiększeniu i że utrzymuje ona bojówkę, która swą działalnością zakłóca porządek na terenie Starachowic i Radomia.

Powinno się schwytać członka tej bojówki, który brał udział w zamachu na urzędników Arbeitsamtu w Starachowicach i Radomiu.

Poza tym w Starachowicach znajduje się grupa utrzymująca kontakt z bandytami przebywającymi w lasach dookoła Starachowic.

Ażeby tym zjawiskom przeciwdziałać została przeprowadzona akcja aresztowań członków polskiej nacjonalistycznej organizacji nielegalnej PZP.

Podczas tej akcji aresztowano 232 osoby, przewiezione natychmiast do obozu pracy w Bliżynie.

Na podstawie przedstawionych materiałów wysłano z pomiędzy aresztowanych 176 osób do obozu koncentracyjnego Auschwitz, 39 osób przesłano do badania przez tajną policję w Radomiu, 4 osoby przesłano do dyspozycji Arbeitsamtu w Radomiu, a 13 osób po natychmiastowym sprawdzeniu zwolniono.

W wyniku policyjnych badań zwolniono z aresztu dalszych 5 osób.

Poza licznymi szeregowymi członkami organizacji ujęci zostali następujący przywódcy:

Komendant pod okręgu - Inspektoratu:

ŁĄCZKOWSKI Stanisław, pseudonim "NAŁĘCZA".

Został on aresztowany w następnym dniu, tj. 22. 10. 1943 r. w oparciu o zdobyte przez policję materiały.

Podczas przesłuchania podał, że obowiązki inspektora w ZWZ objął dopiero 4 miesiące temu.

Powierzył mu je niejaki oficer JASZCZYK, ps. "Kuba" z głównej komendy ZWZ w Warszawie, będący w stopniu majora.

Jakie obowiązki ŁĄCZKOWSKI wypełniał w Warszawie nie udało się dotychczas ustalić. Miał on mieszkanie zarówno w Warszawie jak i Starachowicach, w których mógł się przelotnie zatrzymywać.

W jego mieszkaniu bywał komendant okręgu "DANIEL" oraz szef sztabu "JAN", także komendant obwodu starachowickiego o pseudonimie "JANEK" lub "JAŚ" częściej go odwiedzał, jednak nie zna jego nazwiska ani miejsca pobytu.

Ponieważ badania aresztowanych trwają, zatem być może uzyska się tym sposobem dodatkowe dane.

Według wiadomości jakie udało się uzyskać drogą poufną, z komendantem obwodu współdziała niejaki "BUDRYS", który czasowo zatrzymuje się w Starachowicach.

POKCZYWKA Stefan (Pokrzywka Stefan "Żwan"- przyp. red.)

został we wrześniu 1941 r. zwerbowany do ZWZ i był do dyspozycji dowództwa, jako rezerwowowy dowódca plutonu.

W lipcu 1942 r., jako podporucznikowi, powierzono mu dowództwo kompanii. Później komendant okręgu mianował go komendantem placu dla Starachowic, a po uzgodnieniu z komendantem obwodu odsunął się od pracy konspiracyjnej.

Na początku 1943 r. zjawił się u niego wyższej rangi funkcjonariusz ZWZ i prosił go o dalszą współpracę. Wyraził on na to zgodę i został mianowany adiutantem i jednocześnie zastępcą komendanta obwodu o pseudonimie "JAŚ" lub "JANEK". Funkcję tę pełnił do czasu aresztowania go.

POKCZYWKA podczas przesłuchania podał dużo informacji na temat struktury organizacji ZWZ w obwodzie starachowickim oraz wyjaśnił, że organizacja ta jest związana z bandą "PONURY".

Łącznikiem organizacji z tą bandą jest schwytany członek organizacji Krzeszczyk Czesław, ps. "ŻAK".

W wyniku rozszyfrowania szyfrów POKCZYWKA mógł podać 8 dalszych punktów kontaktowych w obwodzie starachowickim. Te nielegalne materiały znaleziono w schronie PZP po potyczce z dowódcą bojówki o nazwisku KUFALSKI.

Obwód Starachowice w swym układzie organizacyjnym ma 12 referatów:

Referat I - Organizacja:

Kierownikiem tego referatu jest niejaki "Dąb" (prawdziwe nazwisko jest nie znane). Wcześniej był komendantem podobwodu.

Do jego zadań należą: prowadzenie wykazów członków organizacji, przeprowadzanie zmian personalnych, informacje, składanie raportów na temat stanu osobowego organizacji.

Wytyczne do działania otrzymuje on od komendanta obwodu oraz kierownika referatu

1 w okręgu "N".

Referat II - Wywiad:

Kierownikiem tego referatu jest oficer zawodowy w stopniu porucznika, o pseudonimie "Stacek" (przekreślony pseudonim "Staszek"- przyp. red.), który w swoim czasie przybył do Starachowic z Radomia.

Jego zadaniem była defensywna i ofensywna służba wywiadowcza.

Aktualnie obsługiwał obwód tylko w zakresie defensywnym. Materiały ofensywne były kierowane bezpośrednio do dowództwa okręgu.

Odnosnie materiału defensywnego należy zauważyć, że był on mały i często wątpliwy, zdobywany przez źle skonstruowaną siatkę wywiadowczą. Tak ją ocenił sam komendant obwodu.

Zastępcą kierownika referatu II jest aresztowany LIS Zdzisław, pseudonim "ELSKI" który także podał dane na temat swoich zadań organizacyjnych.

Referat III - Referat taktyczno-operacyjny:

Kierownikiem jest dawny zawodowy oficer (porucznik) o pseudonimie "KŁOS" (prawdziwe nazwisko nieznane). (Chodzi tu o kpt. Jerzego Niemcewicza, ps. "Kłós" - przyp. red.).

Przebywa on w rejonie Starachowic lecz dokładne miejsce jego pobytu jest nie znane. Do jego zadań należą: opracowywanie programów szkoleniowych dla poszczególnych jednostek oraz rozdział zadań taktycznych. Instrukcje otrzymuje on od komendanta obwodu oraz odpowiedniego referenta okręgu.

Referat IV - Intendentura:

Kierownikiem jest oficer rezerwy o pseudonimie "GAZDA" (prawdziwe nazwisko nie znane), mieszkający poza obrębem Starachowic.

Jego zadaniem jest sporządzanie wykazów całości wyposażenia oraz uzbrojenia członków organizacji. Wykazy te sporządza na podstawie materiałów dostarczonych przez poszczególnych komendantów podobwodów, którzy określają jakość oraz liczbę posiadanego sprzętu.

Referat V - Służba informacyjna i łączność:

Kierownikiem jest dawny podchorąży KIDAWA Bolesław, pseudonim "RAKIETA" (zbiegły w swoim czasie). Naszemu wywiadowi znane jest mieszkanie rodziców.

Wcześniej kierownikiem referatu V był BEJN Kazimierz, pseudonim "KANIA", a po jego schwytaniu w dniu 11. 4. 1942 jego obowiązki przejął SŁOWIK Stanisław, ps. "BRZOZA", radiotelegrafista w oddziale dywersyjnym "KEDYW" bandy Ponurego. Przesyłanie rozkazów i odbiór meldunków odbywały się z pomocą sieci łączności referatu V, za pośrednictwem tzw. skrzynek pocztowych. Stąd były przekazywane do rąk komendanta obwodu.

Miejsce pracy komendanta obwodu oraz lokal kontaktowy znajdowały się w mieszkaniu osoby o nazwisku ROGOWSKA Irena (przekazana w dniu 22. 8. 43 do obozu Auschwitz).

Komendant obwodu przeglądał dostarczoną pocztę, rozstrzygał różne problemy i wydawał dalsze dyspozycje.

Odręczne pisma i opracowania komendanta obwodu, które miały być zwielokrotnione, pisał POKCZYWKA w mieszkaniu kierownika referatu VI "TURA", na maszynie. Następnie poczta ta była rozsyłana do poszczególnych referatów oraz komendantów podobwodów.

Pocztę pakowano w czarny, nieprzejrzysty papier, zwijając w formie rolek.

Referent łączności odbierał tę pocztę i rozdzielał kurierom oraz pracownikom łączności. Czynność tę wykonywano raz w tygodniu.

Referat VI - Propaganda:

Kierownikiem referatu jest niejaki RUT Józef, pseudonim "TUR" (któremu udało się zbiec). Zastępcą jest niejaki WRONA Stefan (znany). Ścisłe związaną z kierownikiem referatu była pracownica Arbeitsamtu w Starachowicach ZIEMBINSKA Zofia, która jako członek nielegalnej organizacji NOW została przez POKCZYWKE wciągnięta do ZWZ.

Kierownikiem podreferatu "WC" i "N" jest KRET - DĄBROWSKI o pseudonimie "SZARY" (aresztowany).

Zastępcą jego jest niejaki "PIRAT" (bliższych danych personalnych brak, ponieważ KRET nie podał dotychczas żadnych danych na temat swojej działalności).

Kierownikiem od spraw prasy i propagandy jest Rut Józef, któremu do pomocy zostali przydzieleni: ZABIELSKI Witold oraz DYBOWICZ Kamil.

Wszyscy trzej wymienieni mieli zadanie pisać artykuły do gazet nielegalnych "PODSŁUCH" i "MŁODY ŻOŁNIERZ".

Powielacz oraz maszyna do pisania matryc dla tych gazetek, zostały zabezpieczone przez policję

Referatowi VI przydzielono specjalny pluton, złożony z grup dywersyjnych, tzw. "Bojówek". Plutonem tym dysponuje również sztab komendy obwodu.

W przechwyconym archiwum znaleziono prawie wszystkie nazwiska i pseudonimy członków plutonu, które w toku przesłuchań aresztowanych będą mogły być uzupełnione. Dowódcą tego specjalnego plutonu jest KRET - DĄBROWSKI (aresztowany). Jest on równocześnie kierownikiem podreferatu "WC". Jego zastępcą jest niejaki KROL - KRUKOWSKI, o pseudonimie "PIRAT" (zastrzelony).

Dowódcami drużyn byli: PIASECKI Władysław, pseudonim "SUM" (uciekł), KRZESZCZYK (Chrzęszcz - przyp. red.) Czesław, ps. "ZAK" (aresztowany), KUFALSKI Henryk, pseudonim "TWARDY" (zastrzelony).

Z pomocą przesłuchań oraz donosów służby informacyjnej zostali rozpoznani następujący członkowie "Bojówek":

1. K o z i o r (aresztowany),
2. L a u b i t z (aresztowany),
3. S k r z y p e k (aresztowany),
4. K r e n d a (aresztowany),
5. B o r k o w s k i (obóz koncentracyjny),
6. S t a. w s k i Teofil (uciekł),
7. Ż a k o w s k i Edward (uciekł),
8. R o z i c k i Antoni (uciekł),
9. P a w l i k Tadeusz (uciekł).

W wyniku przesłuchań uzyskano informacje na temat następujących napadów, dokonanych przez członków bojówki:

1). Napad na Kreisgenossenschaft w Starachowicach, dokonany zimą 1942 r. Zostały wtedy zrabowane 2 maszyny do pisania używane potem do potrzeb związanych z redagowaniem nielegalnych gazetek "Podśluch".

2). Napad na kopalnię "Władysław" w marcu 1943 r.

Zostało wtedy zrabowane 25 kg materiałów wybuchowych wraz ze spłonkami i które według największego prawdopodobieństwa zostały dostarczone do bandy Ponury.

Podczas napadu sztygar kopalni został pobity do utraty przytomności.

3). Próba napadu w lipcu 1943 r. na Arbeitsamt w Radomiu i zamordowania pracujących tam urzędników o nazwiskach Sznajder i Blaszczyński.

Jak zeznaje KRZESZCZYK - znany specjalista ze Starachowic - otrzymał on rozkaz od kierownika referatu VI obwodu starachowickiego "TURA", zniszczenia Arbeitsamtu w Radomiu.

KRZESZCZYK po przybyciu do Radomia spotkał się na ulicy Witolda z niejakim "JANUSZEM", który go zaprowadził do "ZBYSZKA", mieszkającego przy ul. Słowackiego 72. Tu KRZESZCZYK otrzymał broń oraz instrukcję dalszego działania.

Pierwszą noc spędził KRZESZCZYK u niejakiego "WITKA" (nazwisko uzyskano w wyniku przesłuchania komendanta dzielnicy KAŁUGI. Chodzi tu o szwagra Kaługi, którym jest Wiktor MATYJASZKIEWICZ, zamieszkały w Radomiu przy ul. Błotnej 42, w dzielnicy Glinice).

Do napadu na Arbeitsamt postanowiono wykorzystać bojówkę z Radomia, która ma działać pod dowództwem Krzeszczyka.

W określonym dniu do napadu nie doszło z powodu złego przygotowania akcji i postanowiono, że obu urzędników Arbeitsamtu Sznajdera i Blaszczyńskiego zastrzeli się w domu lub na ulicy. Także i ten plan napadu nie powiódł się, gdyż w oznaczonym dniu zamachu okazało się, iż obaj urzędnicy wyjechali w podróż służbową.

Wtedy KRZESZCZYK wyjaśnił "ZBYSZKOWI" iż akcję należy wcześniej dobrze przygotować i dopiero przystąpić do działania.

4). Dokonanie napadu na Arbeitsamt w Radomiu w dniu 27. 6. 1943.

Napad przeprowadzono przez tę samą grupę ludzi, pod dowództwem KRZESZCZYKA. Grupa liczyła 9 osób.

Nazwisk ludzi z Radomia nie udało się ustalić.

KRZESZCZYK podał jedynie, że razem z nim był na tej akcji jakiś "ANDRZEJ" ze Starachowic, przydzielony mu przez "TURA".

W celu realizacji zadania utworzono dwie grupy. Jedna grupa pod dowództwem "ZBYSZKA" ubezpieczała akcję, natomiast druga pod dowództwem Krzeszczyka wdarła się do środka Arbeitsamtu i usiłowała spalić wszystkie dokumenty. W czasie gdy zamachowcy przetrząsali biurka zjawił się volksdeutsch FAUSER, który mieszkał w budynku Arbeitsamtu i zauważył włamanie. Zamachowcy otworzyli do niego ogień i Fauser został ranny. Sprawcy napadu natychmiast zbiegli.

5). Napad na Arbeitsamt w Starachowicach w dn. 19/20. 7. 1943.

Do wykonania tego napadu zostało przydzielone 6 osób. Dowódca tej grupy KRZESZCZYK zabrał ze sobą 5 litrów benzyny, aby akta oblać i podpalić przyspieszając tym sposobem ich zniszczenie. Gdy KRZESZCZYK zapalił akta nastąpił wybuch płomieni i wszyscy ratowali się ucieczką przez okno, obserwując pożar z ukrycia. Grupa dokonująca tego zamachu uzbrojona była tylko w jeden pistolet.

6). Poobcinanie przewodów telefonicznych pomiędzy Starachowicami i Michałowem.

Kilka dni po napadzie na Arbeitsamt w Starachowicach, w dniu 22. 7. 1943. KRZESZCZYK ze swoją grupą poprzecinał przewody telefoniczne przy szosie

Starachowice-Michałów oraz przy moście kolejowym do Michałowa, wykorzystując nożyce do cięcia drutu. Uczestnicy tej akcji byli uzbrojeni.

7). Napad na więzienie w Starachowicach w sierpniu 1943 r.

Ten napad przeprowadziła grupa bojowa z obwodu iłżeckiego. KRZESZCZYK otrzymał jedynie zadanie dostarczenia dla uwolnionych z więzienia 12 bochenków chleba, które przekazał im na terenie lasu. Bliższych szczegółów nie udało się dotychczas uzyskać. Uwolnieni więźniowie zostali przekazani w swoim czasie do bandy "Ponury".

8). Planowany napad na volksdeutscha o nazwisku Felerski w Starachowicach.

23. 7. 1943 r. KRZESZCZYK i PIASECKI otrzymali rozkaz pójścia do mieszkania volksdeutscha FELERSKIEGO i zastrzelenia go. Ponieważ nie udało się spotkać go w domu, odstąpiono od zamiaru ponownego napadu.

Referat VII - Milicja.

Kierownikiem referatu jest niejaki "ZAWISZA", dawny porucznik i nauczyciel z zawodu, zamieszkały na terenie powiatu iłżeckiego. Podlega on bezpośrednio komendantowi obwodu i dwa razy w miesiącu się z nim spotyka osobiście, korzystając z mieszkania ROGOWSKIEJ (aresztowana 22. 8. 1943 i przesłana do obozu koncentracyjnego Auschwitz).

Zadaniem tego referatu jest organizowanie milicji porządkowej i zapewnienia bezpieczeństwa cywilnego. Do zadań tych wykorzystywani są mężczyźni zdolni do służby wojskowej, którzy ukończyli 40 lat życia.

Referat VIII - Zarządy wojskowe:

Ten referat nie jest jeszcze zorganizowany i obsadzony.

Zadaniem jego jest utworzenie niezbędnych zarządów wojskowych we wsiach i miasteczkach.

Referat IX - Dywersja:

Referat ten został utworzony na początku lub na końcu lipca 1943 r. Jego kierownikiem został niejaki "BLASZKO" (nazwisko nie znane), który przybył z rejonu Lipska.

Zadaniem referatu jest prowadzenie czynnej walki i tworzenie oddziałów partyzanckich z tzw. "ludzi spalonych".

Referat IX nazywany jest na szczeblu okręgu "KEDYW", a na szczeblu obwodu "DEWU". Podreferat "DEWU" jest pośrednikiem pomiędzy komendantem obwodu i dywersją okręgową "KEDYW". Punkt kontaktowy dla tego referatu jest znany i znajduje się u niejkiej NARGASIŃSKIEJ w Starachowicach, przy ul. Komunikacyjnej 150 (na obserwacji). U niej spotykają się łącznicy utrzymujący łączność z grupą dywersyjną "Kedyw".

Jednym z tych łączników jest ujęty KRZESZCZYK Czesław, który zeznał że spotykał się z członkami oddziału Ponurego w okolicznych lasach i odbierał od nich rozkazy.

Szef sztabu u Ponurego nazywa się "MARIAN" i podlegają mu dowódcy plutonów o pseudonimach: "Grot", "Zygmunt", "Polek", "Oset", "Czerwony", i "Stefan" z obwodu Kielce. Dowódcy ci działali samodzielnie lecz na początku lipca 1943 r., w lasach koło Suchedniowa, połączeni zostali pod dowództwem "Ponurego".

Grupa "Oset" należała wcześniej do "Gwardii Ludowej", pozostałe oddziały do "PZP". Przy sztabie "Ponurego" znajdują się trzy kobiety, z których jedna ma pseudonim "Grażyna".

Referat X - Mobilizacyjny:

Referat ten nie jest jeszcze zorganizowany i obsadzony.

Referat XI - Lotnictwo:

Referat ten nie jest jeszcze zorganizowany i obsadzony.

Referat XII - Służba Kobiet:

Referat ten nie jest jeszcze zorganizowany i obsadzony.

Podobwody:

W skład obwodu wchodzi cztery podobwody: Skarżysko-Kam., Starachowice, Iłża i Lipsko.

Komendantem podobwodu Skarżysko-Kamienna jest niejaki "Stryjek", a jego zastępcą "Herman" (nazwisko nieznane).

Punkt kontaktowy do nich znajduje się u Bogdana KOPERKA, przy ul. Limanowskiej 68 w Skarżysku Kam. (na obserwacji).

Komendantem podobwodu Starachowice jest niejaki "OSMAN" a jego zastępcą Rudomin Wacław o pseudonimie "KRUK" (nie ujęci) oraz adiutant, niejaki "JAWOR".

Obecny punkt kontaktowy oraz skrzynka rozdzielcza jest nieznana.

Komendantem podobwodu Iłża jest niejaki "SZARY II".

(Nazwisko oraz zastępca są nieznane). Punkt kontaktowy znajduje się we wsi Podkońce u Antoniego DZIURY (na obserwacji).

Komendantem podobwodu Lipsko jest niejaki SYKUT-BE o pseudonimie "Robert". Zastępcą jego jest niejaki "BRZEZIŃSKI" (przypuszczalnie pseudonim). Punkt kontaktowy znajduje się we wsi Słuszczyn u niejakiego Franciszka SZEWCZYKA.

Zabezpieczenie broni, amunicji oraz materiałów nielegalnych:

Podczas późniejszego aresztowania dowódcy bojówki KUFALSKIEGO zostały zabezpieczone następujące rzeczy:

- 6 pistoletów,
- 1 powielacz,
- 1 mundur NSKK,
- 1 mundur policyjny polski
- oraz archiwum Walki Cywilnej dla obwodu Starachowice.

Bogate materiały archiwum zostały przejrane i wykorzystane podczas badań aresztowanych. KUFALSKI został podczas wymiany ognia, jaka się wytworzyła, zabity.

Połączenie się nielegalnych organizacji NOW i BCh w inną nielegalną organizację "PZP" lub "WK":

Jak wynika z zeznań aresztowanych osób nielegalna organizacja "ZWZ" nie miała dobrej opinii w polskim społeczeństwie i z tych względów przyjęła nazwę polityczną "WK" - "Wojsko Konspiracyjne"(Tajna armia).

Ma to sugerować, że organizacja jest czysto wojskowa i tylko w tym zakresie ma działać, zyskując aprobatę społeczeństwa.

Z tych względów przyłączono jednocześnie inne nielegalne organizacje o wojskowym charakterze. W powiecie starachowickim doszło do połączenia się organizacji "NOW" "Narodowa Organizacja Walki"(Nationale Kampforganisation) z BCh - "Batalionami Chłopskimi" (Bauembataillon).

Komendant "NOW" jest dawnym rotmistrzem, a obecnie księgowym w Zakładach Hermann-Goering-Werken-Werkkonsum i nazywa się Stanisław WITKOWSKI, ps. "PROFESSOR".

Mieszka w Starachowicach.

Komendantem nielegalnej organizacji "BCh" jest niejaki "BARTOSZ" (prawdziwe nazwisko nie znane), który wcześniej był nauczycielem i mieszka na wsi koło Iłży.

Jego obszarem działania są wioski w powiecie starachowickim.

Scalenie tych organizacji następowało powoli gdyż "NOW" nie chciała odstąpić od swych założeń, utworzenia czysto wojskowej organizacji.

Ogólne połączenie nastąpiło w lipcu 1943 r. jednak w sensie wojskowym scalenie nastąpiło dopiero 15. 9. 1943 r.

Czy akcja aresztowań miała wpływ na te sprawy nie dało się dotychczas ustalić.

Kierownik referatu IV, Kazimierz ZOLTOWSKI (aresztowany 21. 8. 1943) oraz kierownik referatu II

PEZALSKI (aresztowany 22. 10. 1943) opisują swoją działalność w ramach organizacji "NOW" i wymieniają wielu kierujących organizacją funkcjonariuszy.

ZOLTOWSKI, kierownik referatu IV w "NOW", był zatrudniony w Konsumie Zakładów Hermann Goering Werke jako zastępca reichsdeutscha RYBBECKA.

Podczas przesłuchania przyznał się do tego, że od stycznia 1942 r. do chwili aresztowania przywłaszczył sobie 30 000 papierosów oraz różnych butelek wódki i sprzedawał na czarny rynek. Uzyskane pieniądze przeznaczał na pomoc dla członków organizacji przebywających w więzieniach.

Próbował także wielokrotnie uzyskać od reichsdeutscha Rybbecka bony żywnościowe i ubraniowe dla członków organizacji.

W wyniku akcji aresztowań, podczas której zostało schwytanych wielu znaczących członków organizacji, można powiedzieć iż organizacja na terenie Starachowic została rozbita.

Podczas przesłuchań ujawniani są stale co raz to nowi członkowie, działający czynnie w "PZP".

Polskie społeczeństwo w Starachowicach jest przekonane i uważa, że policja aresztowała ważne osobistości z Ruchu Oporu.

Ogólnie się mówi, że akcję przeprowadzono planowo i udało się aresztować wszystkich podejrzanych.

Z pomocą wywiadowców ustalono, że około 90% aresztowanych było członkami nielegalnych organizacji wojskowych i politycznych. Pozostałe 10% aresztowanych to według naszego mnienia wywodzi się częściowo z kręgów komunistycznych lub przestępców kryminalnych.

SS-Hauptscharfuhrer

Załącznik VI

Wykaz stanowisk w SS i odpowiadających im stopni w Wehrmachcie:

Reichsführer SS	- tytuł Heinricha Himmlera	jako najwyższego zwierzchnika SS,
Oberst-Gruppenführer	- Generaloberst	- generał pułkownik,
Obergruppenführer	- General	- generał,
Gruppenführer	- Generalleutnant	- generał porucznik,
Brigadeführer	- Generalmajor	- generał major,
Oberführer	- Oberst	- brygadier,
Standartenführer	- Oberst	- pułkownik,
Obersturmbannführer	- Oberstleutnant	- podpułkownik,
Sturmbannführer	- Major	- major,
Hauptsturmführer	- Hauptmann	- kapitan,
Obersturmführer	- Oberleutnant	- porucznik,
Untersturmführer	- Leutnant	- podporucznik,
Sturmscharführer	- Stabsfeldfebel	- st.sierż.sztabowy
Hauptscharführer	- Oberfeldfebel	- sierżant sztabowy,
Oberscharführer	- Feldfebel	- st. sierżant,
Scharführer	- Unterfeldfebel	- sierżant.
Unterscharführer	- Unterofizier	- plutonowy,
Rottenführer	- Obergefreiter	- kapral,
Sturmmann	- Gefreiter	- st. szeregowiec

Załącznik VII

Pismo Gestapo w Starachowicach do Komendanta Policji
i SD w Radomiu, dotyczące osoby Mieczysława Śliwińskiego
ps. "Zew" oraz wykrytego magazynu broni w rejonie Lipia.

(kopia oryginału w posiadaniu autora)

Ekspozytura Starachowice
D. Nr. IIIC 979/41g

Starachowice 13. 8. 1941

Tajne

Do Komendanta Policji Bezpieczeństwa i SD w dystrykcie Radom
w Radomiu

Dotyczy: Magazyn broni kolo Lipia w powiecie ilżeckim.

Powód sprawy: Ustny meldunek ppor. Spangenberg z dnia 18. 8. 41 do kpt. Fuchsa,
wydz. IIIC.

Załączniki: nie ma.

Podczas obławy 9. 8. 1941 r. przeprowadzonej przez żandarmerię z Ostrowca w
okolicy Waśniowa, powiat Opatów, został aresztowany ślusarz Jan

K u c z y ń s k i

ur. 6. 1. 1894 r. w Wierzbniku, zamieszkały w Starachowicach przy ul. Kościelnej 71a.
Podczas aresztowania Kuczyński miał przy sobie dowód osobisty na nazwisko Józef
Nowacki.

Dowód był wystawiony w Starachowicach i podpisany przez zastępcę burmistrza
Waniorke.

Kuczyński był znany jako zastępca aresztowanego w dniu 22. 7. 1941 Mieczysława
Śliwińskiego, ur. 1. 10. 1899 r. w Starachowicach, dowódcy kompanii SSS
(Stowarzyszenie Samoobrony Społecznej).

Śliwiński oraz Kuczyński znali miejsce ukrycia magazynu broni kompanijnej.

Jak już meldowałem, w dniu 27. 7. 41 Śliwiński zbiegł z aresztu polskiej policji wraz z
9-cioma innymi więźniami, nie ujawniając miejsca ukrycia magazynu.

Kuczyński zapytany o miejsce ukrycia zgodził się go wskazać.

W dniu 12. 8. 41 udał się do lasu pod nadzorem policji i wskazał miejsce ukrycia.

Zawartość magazynu została wydobyta. Znaleziono:

- 1 polski ciężki karabin maszynowy,
- 19 karabinów,

3 pistolety,
5000 szt. amunicji karabinowej, w tym 5 pełnych taśm do ckmu
11 ręcznych granatów,
40 magazynków do ręcznego karabinu maszynowego,
1 raketnica.

Powyższe przedmioty składowane były koło wsi Lipie, położone około 6 km w kierunku północno-wschodnim od Starachowic.

Magazyn znajdował się w wykopanym dole długości 3 metry, szerokości 2 metry i 1, 5 metra głębokości.

Dół był nakryty chrustem i suchymi liśćmi.

Broń była dobrze zabezpieczona smarem i bardzo niewiele zaszkodziła jej wilgoć.

Wydobyta broń znajduje się w naszym urzędzie. Ponieważ nie mamy tu odpowiedniego pomieszczenia do jej przetrzymywania, prosimy o niezwłoczne zabranie jej ciężarówką.

Z upoważnienia: Soltan (podp. nieczytelny)

Załącznik VIII

Kopie niektórych raportów wywiadu Armii Krajowej w Starachowicach

L. 4/II. -15. XI. 1942

K. O.

I. Pocisk przeciwpancerny ostry Kam. 2h 1942 - nazwa 3. U. B. p. Klb. 30 mm.

Ćwiczebny tego typu ma obcięty czub. Pocisk wyrabia się z pręta stalowego grub. 31 mm. Próby metalograficzne zostaną przesłane do dn. 1. XII. 42.

Postęp pracy:

Op. 1. - cięcie pręta na długość pocisku

" 2. - borowanie otworu wewnątrz/wiertło Vide średnic pocisku.

" 3. - śrutowanie zewnętrzne /do oporu - obróbka czubka/

" 4. - toczenie na gotowo - szlifowanie.

" 5. - frezowanie pod pierścień.

" 6. - zaciskanie pierścienia z miedzi/komp/ w spec. imadle

" 7. - obtaczanie pierścienia /rewolwerówka/.

" 8. - gwintowanie wlotu /frezarka/.

" 9. - wtlaczanie korka pod prasą do wnętrza pocisku.

" 10. - cechowanie /znak cechy: Kam 2h 1942 /.

" 11. - waga = 44 dkg.

" 12 - wkręcanie wkrętki.

Pierścienie przywozi się gotowe z firmy Hasag z Lipska.

Elaborowanie odbywa się w Lipsku dokąd pociski w skrzynkach są wysyłane. /

Ilość wysłanych zostanie w ciągu miesiąca XI - 1942 podana /.

Korek wewnętrzny wyrabia się masowo na automacie na gotowo.

Wkrętka obrabiana jest również na automacie tylko operacje gwintowania wykonuje frezarka.

Łuski: Bliższe szczegóły fabrykacji podam XI. 1942.

II. Pocisk przeciwlotniczy zapalający Kam. 2i 1942 - z alum, czubem. 3. U. B. p.

Pocisk składa się z części stalowej i z części aluminiowej / Komp. /

I. część stalowa - obrabiana jest na automacie w/g następujących operacji:

Op. 1 - toczenie pręta stalowego L 3 - 4 mtr. grub. 31 mm.

" 2 - wiercenie wejścia

" 3 - obcinanie długości, dalsze operacje na frezarce

" 4 - frezowanie pod pierścień

" 5 - wiercenie całko w. otworu

" 6 - gwintowanie

" 7 - zaciskanie pierścienia w imadle

" 8 - obtaczanie pierścienia na frezarce.

II. część aluminiowa - komp. aluminium

Obróbka pręta aluminiowego dostarczonego z Rzeszy prawdopodobnie Lipsk.

Dokładnie jeszcze nie stwierdziłem.

Należałoby zbadać skład chem. komp. alum.

Pręt grub. 31 mm, dług. 4-5 mtr.

Obróbka.

Op. 1 - cięcie pręta

" 2 - wiercenie otworu

" 3-4 - toczenie i szlifowanie pow. zewnętrznej

" 5 - gwintowanie zewnątrz /frezarka/

" 6 - pasowanie części stalowej z aluminiową.

Elaborowanie w Lipsku.

Na elaboracji w Skarżysku wydzielono jeden budynek gdzie zaczynają dokonywać prób z elaborowaniem tego pocisku.

Dalsze dane w ciągu XI. 1942.

Załączniki: jeden pocisk przeciwlotniczy zapalający Klb. 30

2. " " przeciwpancerny ostry Klb. 30

3. rysunek pocisku przeciwpancernego

4. " " przeciwlotniczego

5. dwie fotografie

E l s k i

M. P.

L. 5/II

10. XII. 42

K. O.

Melduję O. de B. Armii, Policji i Oddziałów Paramilitarnych
z dnia 10. XII. 42 r.

S t a r a c h o w i c e :

1. Armia - Kompania piechoty o zwiększonym składzie do 220 ludzi + 3 of.
Uzbrojenie: KBK różnego/starego/typu między innymi w KB 1928 Radom, 4
ckm. Maxim., 6 pt. m., 10 rkm. nowego typu produkcji niemieckiej, granaty, rakiety.
Tabor - 3 wozy + 1 kuchnia połowa. Na magazynie który jest w budynku koszar ulica
Tychowska - szkoła Nr 2, znajduje się 100 KB, 3 ckm., 12 rkm. 1 miotacz ognia.
Żołnierze z pochodzenia Niemcy Sudeccy. Wyszkolenie średnie, przynależność
Inf. Ersatz. Bat. - Radom

Wystawiają warty. - Strzelnica - 1 plut.

Koszary - 1 plut.

Stacja Pomp- 1 druž.

2. Werkschutz - Stan 5 of. + 183. Uzbrojenie KBK, Mausery, granaty. Magazyn broni
przy koszarach/Modlin -Bromberg/ obok budynku Twardych Metali.

Werkschutzleiter - por. Althoff

Stellvertreter - ppor. Waschek

Hauptwachführer - por. Mejer
Motoryzacja: 1 auto osobowe.

3. Żandarmeria - Stan 2 of. + 16. Koszary ul. Niemiecka 113.

Uzbrojenie KBK., Mausery, 1 ckm. 1 rkm., 2 pt. m.,
granaty, rakiety.

W budynku koszar zainstalowany jest:

1/magazyn mob dla samoobrony RD i VD.

2/punkt alarmowy " " "

3/radiostacja

Komendant - Leutnant Trommer

Z-ca Kom. - " Fussel

Motoryzacja: 1 osobowy, 1 półciężarówka

4. Schutzpolizei - Stan: 3 of. + 19. Koszary w budynku Resursy

Urzędniczej. Uzbrojenie: KBK., 1 ckm., 2 pt. m.,
granaty, rakiety, Mausery.

Motoryzacja: 1 osobowy, 1 półciężar., 1 motocykl.

5. S. D. Gestapo - Stan: 2 of. + 5. Koszary ul. Niemiecka 157.

Uzbrojenie: Broń ręczna 1 rkm., 1 pt. m.

Motoryzacja: 1 osobowe, 1 motocykl.

1/ kier. polit. - Ltn. Birsemeister

2/ komendant - " Becker

3/ Stabsfeld - Labuhn

4/ Urzędnik - Przewoźny

5/ szofer - Braun

6/ szofer - Froncek

7/ tłumacz - Kowalczyk

W każdy czwartek lub piątek każdego tygodnia Erich Schütze, gestapowiec z Radomia, specjalista polityczny z terenu pow. iłżeckiego objeżdża cały powiat, kontaktując się i sprawdzając swych konfidentów. Jedzie zwykle małym autem osobowym szarego lub granatowego koloru, nr. nr. aut są 4-cyfrowe bez znaku Pol. i są często zmieniane. Jeździ w asyście dwóch ludzi uzbrojonych w Mausery, granaty i prawdopodobnie 1 pt. m.

6. Kriminalpolizei - Stan: 15 agentów uzbrojonych w pt. 6, 35.

7. Sonderdienst - Stan: 1 pluton - 45. Uzbrojenie: KBK i 1 pt. m.

Komendant - Oberfeld. Rothaus

Z-ca Kom. - " Skroitz

Koszary: ul. Niemiecka 115.

8. Żandarmeria poi. - Stan: 5 of. + 180 przydzielono na pow.

iłżecki. W Starachowicach stacjonuje 1 + 30.

Uzbrojenie: KBK., 1 rkm., Mausery, granaty, rakiety.

Koszary ul. Niemiecka 114.

9. Policja granatowa - Komenda Powiatowa 1 + 4 / 2 pist. + 3 KBK/
Komisariat: 1 + 3 1
Więzienie: 10
Uzbrojenie: 8 pist. /6, 35/ + 34 KBK.
Na wypadek alarmu w Komisariacie Pol. granat, do strzału gotowych jest 10 kb. U reszty kb wyjęte są zamki i schowane w szafie pancерnej od której klucz znajduje się u dyżurnego podoficera.
10. Samoobrona niem. Objęła zasadniczo obecnie wszystkich RD RD i VD. 150 poprzednio szkolonych otrzymało broń krótką. Ćwiczenia odbywają się na strzelnicy Zakładów St. / każdy Niemiec musi raz w tygodniu odbyć strzelanie/. Punkt alarmowy w gmachu żandarmerii ul. Niemiecka 113.
Magazyn mob.
Wszyscy RD i VD i ich rodziny otrzymali maski gazowe.

S k a r ż y s k o :

1. Armia: Kompania piechoty + 1 plut. ckm.
Zakwaterowanie przy ul. Konarskiego. Przynależność Ersatz Bat. 608. Do Częstochowy w dniu 21/XI. 42 odjechała kompania skoszarowana na Bzinie. 1 komp. Ers. Bat. 377.
W kierunku na Łuków w dn. 21. XI. 42 odjechała kompania skoszarowana w domu Bittnera przy ul. Starachowickiej. 8 komp. II Inf. Bat. 608.
2. Werkschutz - Stan: 5 + 149. Zakwaterowanie Firma Hasag.
Uzbrojenie: Kb. stary typ, granaty.
3. Żandarmeria - Stan: 1 + 11. Uzbrojenie: 1 rkm, 2 pt. m., kb.
Motoryzacja: 1 osobowe + 1 półciężarowe.
4. Żandarmeria połowa - Stan: 1 + 8. Uzbrojenie 1 rkm, 2 pt. m.
5. Policja granat. - Stan: 1 + 22. Uzbrojenie: 2 pist. /6, 35/ + 20 Kb. Otrzymała specjalną instrukcję na wypadek alarmu/napadu na komisariat/.
6. Bahnschutzpoliz. - Stan: 1 + 29 + 40 Ukraińców patrolujących tory.
Ukraińcy mają posterunek w baraku /200 mtr. od dworca w kierunku przejazdu/.
Uzbrojenie: Kb., Mausery, granaty.

S t a s z e k

Załącznik IX

Rozkaz szczególny nr 3/44 Komendy Okręgu AK w Kielcach,
dotyczący zbierania informacji. Rozkaz wydany 9 sierpnia 1944 r. przechował się
w aktach ref. VII. por. Franciszka Sikorskiego "Felka".
Podczas przechowywania uległ częściowemu zniszczeniu,
stąd widoczne przerwy w tekstach.
Rozkaz ten wiąże się z przygotowywaną akcją "deszcz",
tzn. atakowania wycofujących się oddziałów niemieckich
(mającą po prawej stronie Wisły kryptonim "burza").

Zo/Hur

L. 496/0984

Rozkaz szczególny Nr. 3/44

Zbieranie wiadomości o nplu.

W związku z dużym napływem wojsk niemieckich na obszar naszego terenu polecam
d - com na wszystkich szczeblach rozpoznawać nieprzyjaciela, niezależnie od sieci Cer,
przez własne oddziały, w myśl moich.....

Cześć 1

A..... oddziały na rozpoznanie W. J. /Wielkich Jednostek/..... m. p. sztabów W.
J. z podaniem Nr. W. J., nazwiska i stopnia d-cy..... Rozpoznać i podać rysunkiem
godło W. J. znaki taktyczne p..... ach, przy..... i znaków takich zachowywać barwę
godła i..... znaków taktycznych..... jak widać je..... z podaniem Nr-
ów pułków, ich godła..... dyslokacje w terenie, względnie rejon.

4. W szczególności chwytać Nr-y NachrichtenAbteilung /oddziały łączn/. Artylerie
Reg. /pułk art. / podległe danej W. J. z ujawnieniem ich Nr-ów, godła i znaków
taktycznych.

5. Dokładnie określić położenie większych dowództw, jak armii, korpusów, dywizji
oraz składowe W. J. Chodzi o stwierdzenie siły armii i korpusu, przy czym zwracać
uwagę na lotnictwo.

6. Przy przesunięciach oddziałów, począwszy od pułku w górę, podawać kierunek
marszu, skąd i dokąd, ewentualne miejsce postoju oraz datę przesunięcia, wyjścia z
danego miejsca postoju, względnie przybycia.

B. Poza tym chcę znać przebieg akcji na froncie bolszewicko-niemieckim na linii Wisły
w granicach - północna Pilica, południowa Nowy Korczyn. W szczególności interesują
mnie przejścia na Wiśle w rejonach Dęblin, Puławy, Annopol, Zawichost, Sandomierz,
Szczucin. W związku z tym meldować w pierwszej kolejności:

1. Zorganizowanie przyczółków mostowych przez armię sowiecką na zachodnim
brzegu Wisły, rozszerzanie przyczółków mostowych.

2. Głębokość wylomów na naszym terenie oraz ich kierunki, z podaniem zajętych
miejscowości.

3. Ewentualne przełamanie przez Wisłę, szerokość przełamania i głębokość

wtargnięcia.

4. Dążyć do uchwycenia momentu wycofania armii niemieckiej z linii rzeki Wisły, przy czym rozpoznawać sposób wycofania:

- a. zorganizowane,
- b. w panice

C. Zachowanie się armii względem ludności polskiej przed i w czasie wycofywania się z terenów zajętych.

Cześć II

Środki do zdobywania wiadomości

Wiadomości zdobywać środkami:

1. Obserwacja
2. Zasięgnięcie języka
3. Podśluch
4. Przez skok

ad 1. Obserwować przesunięcia wojsk na szosach wychodzących z danej miejscowości, rozwidlenia dróg, węzły kolejowe, rampy kolejowe, miejsca postoju wojsk i pojazdów, przy czym odrysowywać godła i znaki taktyczne na pojazdach oraz znaki tożsamości dowództw wystaw, na postojach.

ad 2. Zbierać wiadomości od żołnierzy przebywających na kwaterach przez osobisty kontakt żołnierzy AK. Wypytywać użyczających kwatery o rozmowach z żołnierzami niemieckimi. Podsuwać pośrednikom pytania nas interesujące, jak: Co oznaczają rysunki na pojazdach. Przede wszystkim rozszyfrowywać godła. Zbierać zapiski żołnierzy pozostawione na kwaterach. Interesować się kwitami za kwaterę, gdzie może być ujawniony kryptonim, względnie Nr. W. J. Szukać kwatery wyższych oficerów-
g e n e r a ł ó w . R o z p o z n a n i e g e n e r a ł a

.....z polowaniem na kurierów.....wyższych dowództw do oddziałów podle.....do niego po obu stronach przy siodle.....ni zasadzki zwykle poprzedzać rozpoznaniem.....jeździ kurier z rozkazami na danej linii. Miejsce zasadzki wybierać w terenie zalesionym.

Cześć III

Środki i sposób przekazywania wiadomości

Zdobyte wiadomości o oddziałach przekazywać swoim dowódcom. Dowódcy przekazują wyższym d-com, którzy doręczają materiały swoim MarCer. Mar/Cer rozpracowuje materiał wykorzystując wiadomości Mar/Pla, po czym wysyłają wiadomości do Zo/Cer następującymi środkami łączności: goniec, sztafeta, radio, fala.

Oдноśnie radia. W m. p. bojowym każdorazowo znajduje się radiostacja mająca połączenie z Komendantem Okręgu. Wiadomości z przepraw z rejonu Dęblin-Puławy z radiostacji Nr. 87 i Nr. 47, przydzielonych Komendantowi Obwodu 2 z rejonów przeprawy Zawichost, Annopol, Sandomierz z radiost. 48 i 53 w dyspoz. Inspektoratu C.

Wszystkie wiadomości przekazywać jednocześnie do radiost. 52 i 46 wykonując depesze w 2 egz. Sposób redagowania telegramów w myśl Rozkazu Technicznego radio, przesłanego Inspektorom.

Sztafeta: Korzystanie ze sztafety w myśl rozkazu organizacji i łączności /Przesłanej/.
/-/ Ern.

Otrzymują: Malwa, Wierzba, Burza, Dąb, Sosna,
Borwa, Jodła, Olcha, Jablon, Lak,
Morus, Gwidon, IV, Cer, VII, Kazik, Orski.

Załącznik X

Wykaz ważniejszych wydarzeń na terenie Starachowic

K a l e n d a r i u m masowych aresztowań - obław i łapanek dokonanych w Starachowicach w latach 1940 - 1944.

Aresztowania:

- 20 stycznia 1940 r. na terenie miasta i w domach
- 22 - 26 stycznia 1941 r.
- 13 lutego 1942 r. w Zakładach Starachowickich - 300 robotników.
- 12 kwietnia 1942 r. dokonano na górnej i dolnej kolonii obławy.
- 21 sierpnia 1943 r. obława w Zakładach i na mieście
- 25 listopada 1943 r. aresztowania pracowników przy bramie wejściowej do Zakładów
- 27 marca 1944 r. na terenie Zakładów w pobliżu stołówki i bramy wejściowej zabito 8 pracowników
- 28 marca 1944 r. dokonano aresztowań na terenie miasta, na ulicach, w domach i w Zakładach.

Ł a p a n k i :

- Ludzi zagarniętych w łapankach wywożono do przymusowej pracy na tereny niemieckie
- pierwszą łapankę dokonano 12 czerwca 1940 r. na terenie miasta i w kościele w Wierzbniku
- 10 sierpnia 1944 r. na terenie miasta zagarnięto ok. 340 osób
- 13 września 1944 r. wygarnięto załogę Zakładów i dokonano 6 łapanek na ulicach miasta
- 19 - 23 września 1944 r. dokonano generalnej łapanek w której zagarnięto ok. 4100 osób.

K a l e n d a r i u m akcji zbrojnych przeprowadzonych przez samoobronę i podziemie na terenie Starachowic w latach 1939 - 1945

1. - 6 września 1939 r. starcie polskiego oddz. samoobrony robotniczej z niemieckim zmotoryzowanym podjazdem przy zbiegu ulic Ostrowieckiej i 17 stycznia.
2. - 19 stycznia 1940 r. likwidacja kolaboranta inż. Witolda Hajdukiewicza przez placówkę ZWZ na kolonii Orłowo
3. - 16 lipca 1943 r. likwidacja urzędnika Gestapo Przewoźnego, przez placówkę AK na kolonii Orłowo
4. - 7 sierpnia 1943 r. uwolnienie 60 więźniów politycznych

- z aresztu przy ul. Marszałkowskiej, przez oddział dowodzony przez "Szarego"
5. - 30 października 1943 r. zabranie 2, 5 min złotych z kasy Zakładów Starachowickich przez ludzi z oddz. "Szarego".
 6. - 5 lutego 1944 r. likwidacja niebezpiecznego agenta Gestapo, szefa miejscowego NSDAP Benzyna. Zamach wykonano w aptece przy ul. Marszałkowskiej przez partyzantów AK "Nurta", przy udziale *miejscowej* placówki.
 7. - 28 lutego 1944 r. akcja na zbrojownię i wartownię Werkschutzu Zakładów Starachowickich, przeprowadzona przez oddz. partyzancki "Szarego" i placówkę AK starachowickiego podziemia. W trakcie starcia zabitych zostało kilku Werkschutzów, jeden partyzant i kilku cywilów.
 8. - 25 maja 1944 r. likwidacja oficera hitlerowskiej służby bezpieczeństwa/gestapo/ z Radomia Erika Schutz.
 9. - z 1. na 2. sierpnia 1944 r. oddział dywersyjny starachowickiej placówki AK pod dowództwem por. Wróbla ps. Jawor, stawiał opór eskorcie transportu ewakuowanych maszyn z Zakładów Starachowickich do Niemiec. W czasie wymiany strzałów zabity został kapral Eligiusz Gołaszewski, ps. Ful.

O b o z y p r a c y dla Żydów

Po likwidacji getta zdatnych do pracy umieszczono w specjalnie zorganizowanych obozach zlokalizowanych na terenie b. strzelnicy zakładów oraz na kolonii Majówka.

- W dniu 28 czerwca 1944 r. zlikwidowano obóz na strzelnicy, część Żydów wystrzelano, pozostałych przy życiu przeniesiono do obozu zlokalizowanego na kolonii Majówka.
- Z uwagi na znaczną odległość obozu zlokalizowanego na kolonii - Majówce a Zakładami do których doprowadzano Żydów do pracy, zlikwidowano obóz na na kolonii Majówka, a wszystkich Żydów zdatnych do pracy przeniesiono do nowo zorganizowanego obozu na terenie Zakładów w części zachodniej.
- Ostateczna likwidacja obozu żydowskiego zlokalizowana na terenie Zakładów nastąpiła w dniu 28 lipca 1944 r.
- Ogółem uśmiercono - 4000 Żydów, zaś przez

żydowskie obozy pracy przewinęło się ok. 6000 Żydów.

Na terenie obozów żydowskich zastrzelono około 100 Polaków.

15^x

15^x/ Powyższe informacje pochodzą z akt śledztwa OKBZW Kielce Nr 109/69 i 110/69.

E g z e k u c j e

6 września 1942 r. dokonano publicznej egzekucji przez powieszenie 16 Polaków w tym 3 kobiety na rynku w Wierzbniku.

31 sierpnia 1943 r. na skutek zdrady Niemcy zlikwidowali punkt kontaktowy AK przy ul. Leśnej w czasie długotrwałej ostrej wymiany strzałów zabity został żołnierz konspiracji Henryk Kufalski ps. Twardy, dwóm pozostałym udało się zbiec do lasu.

444. Pierwszy rozdaniej nieodbył się z powodu straconia rozpoznani z oddz. w polu, brak był materiału.

Przeciwny dzień obywatelskiego literaty towarzysze, p. t. Chropi. Obywatelski. Przechodził w dalszym ciągu. Wniosek, i w sprawie nieoznany przez. Jednego z gwarantów który zabrał przez polską. rozkole.

MP. I - 4 - 44 r.

Tom. OET.



Wszystko może być zakończone

Choc wzburzył się tylko,

By powstał walozuć nieogro kren

Ostatnie żyło młodo,

I wtedy kanał gdy konia posród drzew,

Chciał walozu za wyrobek,

Łoż działo nieostaty trudno już

Opuszczał się rodzić,

Gdy w głowę jego przesyłać kulo

Chociał się mieć jeszcze pizy,

I musiał nieznacznie żyło swa

Jak oten pod światłem słonecz.

Choc gorze moje płacze wolę

A ży nie ma już konia.

EMA.

Załącznik XI

Raporty Komendantów Okręgów AL dotyczące stanu osobowego i uzbrojenia oraz zainteresowań organizacji

II I A D O K U E N T I e ustrójemianach rokrocznych.

177

z drugiej strony A.K. kręga pogłoski że została załamana rokroczność.

z drugiej A.K. oddz. w polu etnicznie jako były miejsce czasu w tym podległy.

czy się o 400 zł. toraz kręga pogłoski że jakoby A.K. w podległo już
konkretnie 1 Kłoso konsolidowały swoje oddziały w polu celom silnie odwołania
naszych germańskich i oddz. w polu. Prawdopodobnie kręga pogłoski że w
sobuś pow. Sandomierski, odbyła się w przedm. konferencja między sztabem
niemieckim i sztabem szwajcarskim który przywrócił z z. w. Włdy. Dzwoniąc

byłoby odczuwany przez szwajcarską i ludzi z własnego ich ustrójemian.

Konferencja zakończyła tym, że wypuszczono jednego z nich.

Kręga pogłoski które nie miały odpowiadają prawdzie, oddz. A.K. sto-
czyły dwie walki z Niemcami, jedną w Bogusławicach, Centowski z drugiej
w lesie Grabowieckim, gdzie A.K. stoczyła zwycięską walkę.

0/0.43r. odbyło się posiedzenie sztabu okręgu w obecności 10 czł. sztabu. Obw. part. 1 obw. dow. gw. w składzie następującym: Janek /Waska/-kom. okręgu, Dąb -szef okręgu, Jerzy -szef inf., Władek -szef br., Madryt -czł. okręgu, Spk -czł. obw., Jan -czł. obw. kom. part., Bolak -czł. okręgu. kom. part. 1 Folek -projektowany do dow. obw. ~~4. Włók~~ 8. Kozł. 3kr. Sprawozdanie ze stanu org. przedstawił się jak następuje:

1. Oddział Ostrowiec-10-5=50gw., uzbr. 15dł.kb., 5kr., am. 450szt. do kr. 25szt.
Cielów - 6.5=30 gw., uzbr. 8dł.kb., 4kr., am. 60szt. do kr. 10szt.
Kunow - 3.5=15 gw., " 12dł.kb., 3kr., 2000szt. do kr. 20szt.
Olarów - 3.5=15 gw., " 3dł.kb., 1kr., 15szt. do kr. 150szt.
Chodzież - 6.5=30 gw., padane wraz z jej oddziałem.
Kozienice - 5.4=20 gw., padane wraz z jej oddziałem.
Radek - 3.3=15 gw., 2kb., 3kr.
Radek - 5.2=10 gw.,



teren Kozienice - 12gw., uzbr. 2kb., 2fuz., am. 10szt.
Oddział im. Sowińskiego, teren Ostrowca - 30gw., uzbr. 1RKM., 21kb., 4kr., 5gr. am. 1 do kr. 60szt.
Oddział im. Zawiszy Czarnego, teren Ostrowca - 21gw., uzbr. 17kb., 5kr., 1gr. am. 6 do kr. 35szt.
Oddział im. Czechowskiego, teren Chodzieży - 37gw., uzbr. wraz z dzielnicą - 49kb., 1RKM., 1aut., 11kr., 7gr., am. 1500szt., do kr. 100szt., 4fuz.
Oddział im. Żółkiewskiego, teren Kozienice - 5gw., uzbr. 5kb., 1kr., am. 150szt. do kr. 8szt.

Sztab okręgu - 51dł. uzbr. 5kr., 3gr., am. 50szt.
Ogółem do posiedzenia w garnizonie jest 197gw., oddziały 93gw.
uzbr. razem - 134kb., 2RKM., 1 aut., 41kr., 3fuz., 13gr.
Po posiedzeniu zasłyszeliśmy duże zmiany, które były podane częściowo w poprzednim raporcie.

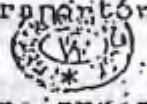
Z planu mobilizacyjnego tym razem nie nadajemy nic, z powodu braku kompletu - prześlemy w następnym raporcie.

Na dzielnicach prowadzimy obecnie prace w myśl ostatniego obw. rozkazu. W dzielnicach terenu Ostrowca zostały oddawione w teren, w myśl opracowanego planu.

Oddział Sowińskiego idąc po przejęciu 50 z legjonu dn. 15/9.43r., rozbroił 1. Słup post. policji, zdobywając 5kb., 1kr., 2gr., 1 380szt. amunicji, papiery deszczownie zniszczono. Między innymi zdelewowano gminę i młyn kontyngentowy. Zdobyto 2000zł.

Oddział im. Zawiszy Czarnego idąc w wyznaczonym kierunku dn. 16/9. patrzył w kierunku miejscowości Ruda Kościelna. Maszyny deszczownie zniszczono.

Oddziały Langiewicza, Sokoła, Czechowskiego, i Żółkiewskiego raportów nie nadesłały.



Z terenu działania innych: Lasy Starachewieckie były otoczone przez 3 dni 4. dnia wieczorajszego. Wólki trwały z oddz. Z.W.Z. Pogłoski krążyły, jakoby miały iść do w tymże lesie jakiegoś siły angielskiej. Na szosie Ostrowiec - Bodzechów Z.W.Z. rozbroiło oficera niemieckiego.

Oddział nasz, zotknął się ostatnio w terenie z dość silnym oddz. Z.W.Z. Odbity w dobrym tonie. Ludzie z ich oddz. zachwycali się naszym uzbrojeniem. Ich uzbrojenie bardzo słabe. O naszych oddz. krążyły wersje, iż wszyscy mają automaty i są zasilane przez deanty angielskie.

W następnym raporcie podam szczegółowe prace wszystkich oddziałów.

dn. 18/9.43r.

Kom. Okręgu

Załącznik XII

Wykaz żołnierzy "1-go Pułku AK Ziemi Łżeckiej". (Ze względu na to, że wykaz ten jest sporządzony na podstawie zapisu pamięciowego kolegów, możliwy jest brak szeregu nazwisk oraz mogą być nazwiska umieszczone pomyłkowo).

Dowództwo, intendentura

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi
Por. Wincenty Tomasik, d-ca pułku	Potok	1910	
(NN), ppor. zastępca d-cy pułku	Włodek	1912	poległ 1. X. 44.
Por. Wacław Cieśla	Siarka	1912	ranny 1. X. 44.
Ppor. sap. Zygmunt Musialik	Garbaty	1911	
Pchor. Roland Głowacki	Redt		
Ks. kapelan Józef Słaby	Skład		
Kpr. z. c. Roman Pacholec	Zadra		
Plut. z. c. Anna Tomasik, intendent	Róża		zbiegła z niewoli
St. strz. Jerzy Orliński, pisarz	Boruta	1925	
St. sierż. Stanisław Trzaska, szef zgrupowania	Jastrząb	1910	
Sierż. Donat Stywryn, z-ca szefa zgrupowania	Wazon		ranny 1. X. 44.
Chorąży Edward Życki			poległ 1. X. 44.
Stefan Wierzchowski, rusznikarz	Lipa		poległ 1. X. 44.
Jan Staciwa, rusznikarz		1915	
Kpr. WP Stefan Urbański, łączn.	Rzeka	1910	
Pchor. Zdzisław Zieniewicz	Alter		wyk. zamachu na gestapowcu E. Schutz
Pchor. Marian Langer	Brzoza	1924	
Kpr. Wacław Pryciak	Sokół	1923	
(NN), pomocnik kucharza	Nit		zginął w niewoli

Kompania iłżecka ("Fiedlera")

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi
(NN)	Pomsta		agent Sipo
(NN), kpr.	Thompson		
(NN) (rkm)	Rwański		poległ 1. X. 44.
Bębenek Tadeusz	Berys		
Bednarczyk Czesław	Nieśmiały		
Bednarczyk Antoni			
Bednarski Czesław	Wilk	1925	
Bielecki Czesław	Kora	1928	
Bochyński Marian	Bury	1924	
Bochyński	Słomiany		poległ 1. X. 44.
Bogucki Stefan	Szczupak		
Borek Zygmunt		1926	
Borkowski Stanisław	Dąb	1911	poległ 1. X. 44.
Brzozowski Bolesław	Czarny	1921	
Bugaj Alfons, kpr. drużynowy	Delfin	1922	
Bugaj Kaliks	Śmiały	1924	
Bugaj Zdzisław		1926	
Chajec Wacław, kpr.	Sum	1913	poległ 1. X. 44.
Cheda Stanisław, pchor.	Ryś	1921	od 15. IX. 44 w 3 pp AK
Cheda Stefan	Lusterko		
Chmużyński Mieczysław	Śmiałek		
Chołuj Edward (rkm)	Vis		
Cieciora Tadeusz	Słowik		
Cieciora Jan	Oset	1925	
Cieciora Władysław	Kora		

Cieśla Witold, kpr.	Skaleń		
Cukierski Mieczysław	Pancerny		
Ćwieluch Tadeusz, kpr.	Grab	1923	
Cygan Józef		1927	
Cynarski Aleksander, plut.	Topola		
Cyran Zygmunt, ppor. d-ca 2-go plutonu	Sor		poległ 1. X. 44.
Cywiński Marian	Vis		
Czaja			
Czajkowski Józef	Sławny	1908	
Czerwonka Marian			
Dąbrowski Aureliusz	Kula		
Dąbrowski Józef		1904	
Derlatka Jan	Grzyb		
Dukat Stanisław, ppor. d-ca 3. plutonu	Talar		
Filipowski Aleksander, st. strz.	Jastrząb	1924	
Frynas Stanisław	Ful		
Frynas Mieczysław	Wiśnia	1923	
Fryzel Jan, kpr.	Sahajdaczny	1923	poległ 1. X. 44.
Fryzel Andrzej	Sprytny		
Fura Józef			
Fura Jan			
Galicki Stefan, st. strz.	Goździk	1925	
Gałka Bolesław	Lilia		
Gałka Władysław	Zorza	1924	
Gębusia Zygmunt			
Gerlach Tadeusz, kpr. (rkm)	Góral		
Giernadowicz Tadeusz, plut.	Lis	1920	
Gilewski Tadeusz	Listek		
Gittel Waldemar	Tęcza	1926	

Głód Tadeusz	Listek		
Głód Jan			
Godlewski Marian, pchor.	Ront		ranny 28. 8. 44 Dęb. Pole
Górski Tadeusz	Krzaczek	1924	
Górski Bronisław	Nalot		poległ 1. X. 44.
Grudnik Henryk, plut. drużynowy	Konrad		
Haba Stanisław	Mączka	1921	ranny 1. X. 44.
Harabin Julian		1926	zginął w niewoli
Hartung Eugeniusz	Czarny	1923	
Jabłoński Andrzej	Erg	1923	
Jackowski Zbigniew	Waligóra	1923	niewola
Jamski Kazimierz	Lis	1923	
Jamski Włodzimierz	Smok	1923	
Jastrzębski Leszek, kpr. drużynowy	Podkowa	1924	
Jastrzębski Tomasz	Tom	1926	
Jaworski Leon Szymon	Grad	1923	
Kacperczyk Stanisław, st. strz.	Kruszyna		
Kacperski Ryszard		1923	
Kaczmarczyk Józef			
Kaczmarczyk Czesław			
Kąkolewski Zdzisław	Dan	1926	
Kamiński Andrzej			
Kamiński Jan, ppor. d-ca 1. plutonu	Wałek	1917	
Karwacki Wiesław, kpr. drużynowy	Karp	1921	
Kasprzycki Tadeusz, plut. drużynowy	Grab		
Kempski Tomasz	Jur		
Kielbasa Stanisław (rkm)	Rawa		
Klusek Józef	Gołąb	1925	ranny 1. X. 44. Niewola

Kołacz Jerzy	Grot	1922	
Kopeć Jan	Jastrząb		
Kosiur Eugeniusz			
Kosmala Marian	Różowy	1918	
Kosno Jan	Bocian		
Kosterna Marian		1923	(zaopatrzenie)
Kozarzewski Zbigniew	Irek	1922	placówka
Krawczyk Zdzisław	Zgierz		
Krzysztanowski Teodor	Wiśniak	1894	
Krzysztanowski Wojciech Eugeniusz, kpr. z-ca d-cy plutonu 1-go	Zawierucha	1918	
Krzysztanowski Mieczysław	Jarzębiak	1920	
Książek Józef, kpr. drużynowy.	Góral	1918	
Kubacki Stanisław	Szczęśliwy	1927	
Kukliński Zdzisław	Wierny		
Kuleta Franciszek	Wiarus		
Kulik Marian	Chrabąszcz		
Kuszewski Stanisław	Jurek		
Kutera Kazimierz	Kukułka	1919	
Kutera Paweł	Stary	1912	
Kutera Tadeusz	Mostek		
Kwaśniewski Edward	Szpak	1927	
Laskowski Zenon		1922	zginął w niewoli
Lipa Zygmunt	Czarny	1926	
Lipko Romuald, pchor.	Skala	1923	
LisowskiTadeusz, st. strz. (amunic.)	Narocz	1926	
Lisowski Czesław, sanitariusz	Smyk	1922	niewola
Lisowski Mieczysław, kpr.	Lemiesz	1920	poległ 1. X. 44.
Lodej Stanisław	Łyk		

Luba Stanisław	Sęp		
Lucime Stanisław	Sęp		
Madejski Antoni	Wiśnia		
Madejski Tadeusz	Kret		
Matek Wacław	Gwincik		przeszedł do 3. pp AK
Markowski Wojciech			
Markowski Kazimierz	Kret	1924	
Mazurek Zbigniew ranny 28. IX. 44.	Gniew	1925	Niewola
Michalczak Stefan	Brzoza	1920	
Micigulski Stanisław	Szymek		poległ 1. X. 44.
Misiowiec Henryk		1926	niewola
Molenda Władysław	Mech		
Mrowiński Witold, por. d-ca kompanii	Fiedler	1906	
Mrozowski Kazimierz	Iwaś	1924	
Myśliwiec Henryk	Burza	1928	
Myszka Władysław, kpr. (rkm)	Kijek		
Nawrocki Zygmunt			
Nejman Witold	Amicus	1927	
Niewiadomski Jan (rkm)	Wicek		ranny 1. X. 44.
Nowicki Edward	Bystry		
Nowicki Józef	Sumak		
Oksiński Ryszard	Romb	1926	
Ołowiak Stefan	Róża		
Omasta Edward		1924	
Orczykowski Józef, chorąży, z-ca d- cy plutonu 3-go	Fezuj		
Orliński Bogusław, pchor.	Zawija	1920	
Orliński Ryszard	Pszczółka		
Orzeł Stanisław	Łezro	1925	

Osuch Zbigniew	Oset		
Paśnik Józef, kpr.	Topola		
Pastuszka Bolesław			
Piotrowski Stanisław	Jeleń	1924	
Płachciński Leszek	Zmroko	1924	niewola
Pogorzelski Tadeusz, kpr.	Jurand		
Pryciak Wacław, kpr. pchor.	Sokół	1923	
Pryciak Roman	Wicher	1914	
Pryciak Jan, plut.	Wąż	1914	5 pac we Lwowie
Przydatek Edward	Dzik	1924	
Przygoda Zdzisław			(zaopatrzenie)
Rechnio Stefan, kpr. (amunicyjny)	Sęp	1923	
Rojek Wiktor			
Rożek Aleksander	Wyrwa		
Sadłos Jan	Oskard	1924	
Salapa Jan			zwoln. z niewoli przez Niemców
Salomon Bogusław	Błysk	1927	
Sępiół Mieczysław	Sęp		
Siust Maciej, kpr.			
Siwiec Jan			
Skwarek Józef, st. strz.	Jaskółka		poległ 1. X. 44.
Ślema Edward	Brzoza	1925	
Ślusarczyk Edward	Krótki	1922	
Śmigielski Tadeusz, kpr. drużynowy			
Sowa Jan			
Sroka Mieczysław	Blondyn		
Sroka Mieczysław, st. strz.	Pirat	1929	
Stencel Stanisław	Samolot		niewola

Stępień Eugeniusz		1926	
Sułocki Jerzy, pchor. z-ca d-cy 2-go plutonu	Gozdawa	1921	ranny 1. X. 44.
Szczęch Stanisław	Sten		
Szczerski Stefan		1920	zginął w niewoli
Szeptowski Roman, kpr.	Tygrys		poległ 1. X. 44.
Szymanowski Zbigniew	Orzeł	1923	do 17. 8. 44
Szymański Janusz	Mściwy	1927	
Targowski Wojciech, pchor.	Vis	1925	
Tarnowski Stefan, kpr. drużynowy	Rąb		
Trela Marian	Jur		
Turek Józef		1924	
Tylkowski Tadeusz, amunicyjny	Olcha		
Uzar Stanisław	Jeż	1924	
Walerowicz Ryszard, pchor.	Hart	1923	
Wiatr Adam	Sęp	1925	
Wierzchowiecki Janusz, kpr.	Doliwa		poległ 1. X. 44.
Włodarski Tadeusz	Śmiały	1922	przeszedł do 3. pp AK
Wojnowski	Śliwka		poległ 1. X. 44.
Wojteczek Wincenty (rkm)			
Wróblewski Mieczysław	Tułacz		
Wroński Tadeusz, plut.	Borlas		
Wydra Franciszek, pchor.	Gromski		do 17. 8. 44
Zięba Andrzej, plut. (rkm)	Stalowy		
Zubrzycki Marian	Brzozowski	1921	zginął w niewoli

Kompania opatowska ("Pawła")

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi

Adamski Tadeusz			
Banaszczyk Stefan	Gałązka		
Bancer Tadeusz	Kruk		
Baran Edward, kpr.	Wyrwa	1924	poległ 1. X. 44.
Bartos Józef	Jarząbek		
Bębenek Jan			
Bednarski Marian	Korsarz	1924	
Bełczewski Jan			
Bereś Czesław	Ryszard	1925	niewola G. R.
Bieliński Aleksander	Sęp	1924	zginął w niewoli
Bilski Franciszek	Tom		
Bińczak Antoni, pchor.	Wyrwa		
Bińczak Władysław, pchor.	Konrad	1914	
Bińczak Stanisław, pchor.	Wierch	1918	
Borecki Maksymilian	Zielonka	1921	
Całus			
Chmielewski Józef	Wozak		
Chmielewski Wojciech	Bystry		
Chodorek Stanisław	Tulipan		
Chyżowski Łukasz			
Czajewski Jan	Sokół		
Czajkowska Wiktorja		1917	łączn. i sanit. na placówce
Czajkowski Józef	Zemsta	1922	ranny 1. X. 44.
Czuba Stanisław, kpr.	Lord	1921	
Dąbkowski Marian	Śmiały		
Dąbrowski Tadeusz			

Dąlek Krystyna	Kalina		sanitar.
Dębicki Stanisław	Śmigły	1918	
Dębicki Władysław	Bałyk	1913	
Dębicki Antoni	Swojak	1918	
Dębicki Ignacy	Kruk	1920	
Domagała Marian, pchor.	Klinga	1921	ranny 1. X. 44.
Domagała Krystyna	Hanka	1921	łączn. K Obwodu
Drózd Franciszek			
Dubicz			
Dubiński Adam			
Duda Marian			
Duraziński Jan	Sosna		
Dygas Eugeniusz			
Dygas Jan	Bukiet		
Dziekoński Kazimierz			niewola
Fijas Józef			
Filipowski Stanisław	Wilk	1921	
Fornalski Jan, plut.	Bator	1913	
Gajewski Jan	Fagas		
Gierczak Bolesław			
Gierczak Henryk	Księżyc	1920	
Głowiak Józef, pchor.	Jerzy	1920	poległ 1. X. 44
Godzisz Stanisław			
Godzisz Jan	Żwir	1920	ranny 1. X. 44.
Grad Kazimierz	Echo		poległ 1. X. 44
Granat Antoni			

Gruszczyński Aleksander			
Grzywacz Józef, kpt.	Mars		
Jabłoński Ignacy	Kozioł	1904	
Janik Jan	Mściwy	1915	
Jankowski Mieczysław	Czarny	1923	
Jaworski Marian	Lach		ranny 28. 8. 44 zmarł
Józefowski Jerzy, st. strz. z cenzusem	Warta	1924	I. ranny 1. X. 44
Kaca Stanisław	Koza		
Kaca Franciszek	Orzeł		
Kaca Jan			
Kacperek Zenon		1924	poległ 1. X. 44
Kaczmarowski Adam	Gwiazdka		
Kaczor Marian	Osika		
Kaim Wacław			
Kasprzycki Jerzy			
Kasprzycki Mieczysław			
Kosiarz Józef			łącznik
Kudas Bogumił, kpr.	Bodo	1915	poległ 1. X. 44
Kurek Stefan			
Kurpios Józef			
Kuśmierczyk Kazimierz, plut.	Saper	1913	
Kwapisz Tadeusz	Dowbór		
Kwiecień Tadeusz, ppor. d-ca plut.	Dąb		
Kwieciński Antoni			
Łabędzki Władysław	Śniady		
Łączniak Antoni, kpr.	Zorza	1920	

Ładak Franciszek			
Łapa Tadeusz			
Łubek Mieczysław	Łodyga		
Łuczak Józef	Ziuk	1925	ranny 1. X. 44. Niewola
Łukaszewski Władysław, plut.	Krzak	1909	
Łukaszewski Stefan	Jaskółka	1922	
Łukaszewski Adam		1924	
Łuszczek Stanisław	Brzytwa		
Luzak Lucjan, pchor.	Kos		zginął z rąk NKWD
Maciejewski Stanisław			
Macios Waław	Orzeł		
Macios Władysław			
Madejski Marian	Gruby		
Makulak Irena		1923	sanitar. na pl.
Malec Edward			
Marek Stefan	Płotek		
Marek Władysław	Brzyk		
Markiewicz Jan	Młotek		
Markiewicz Stefan	Szatan		
Markiewicz Stanisław	Dziadek	1910	
Markowski Wojciech			
Markowski Kazimierz			
Matz Tadeusz	Ochotnik		
Mazurkiewicz Stanisław, kpt. d-ca plutonu	Bartosz		ranny 1. X. 44. Zm. 15. X.
Mianowski	Szczupak		

Michalec Czesław			
Mirowski Zdzisław, pchor.	Polus	1922	ranny 1. X. 44
Młodożeniec Aleksander	Krak		
Młodzik Bronisław			
Młynarczyk Jan, ppor d-ca plut.	Mieczyk	1912	ranny 1. X. 44
Młynarczyk Zenon	Waldemar	1927	
Młynek Tadeusz	Krzak	1922	
Moniewski Jan			
Morawski Marian	Morwa		
Mrowińska Jadwiga	Sarna		sanitar. na pl.
Mrówka Tadeusz			
Nagrodkiewicz Henryk	Nalot		
Niziołek Stanisław			
Niziołek Antoni			
Niziołek Władysław	Choinka		
Nowacki Edmund	Żbik	1925	
Nowak Tadeusz, pchor.	Żelazny	1923	ranny 1. X. 44
Nowak Zbigniew	Gołąb	1924	
Nowakowski Wacław	Nietoperz	1925	
Ofiara Stanisław, kpr.	Kret	1911	
Ogonowska Gabriela	Klara	1923	sanitar. na plac.
Paczek			poległ 1. X. 44.
Pająk Zygmunt			
Pałasz Władysław, sierż.	Achilles		
Pałka Wacław	Lech	1925	

Pater Jan, ppor. d-ca plutonu łączn.	Szarota	1907	
Pater Henryk			
Piasecki Jan	Ulan		
Pilecki Stefan, kpr.	Tatar	1919	
Piotrowski Zdzisław	Dobry	1917	
Piotrowski Adam			
Piotrowski Jan			
Pisarek Stanisław			
Piwowski Eugeniusz, kpr. (rkm)	Zwarty	1923	poległ 1. X. 44
Płatek Józef	Lis		
Pluta			
Pokusiński Kazimierz			
Pronobis Władysław, kpr.		1914	ranny 1. X. 44
Pronobis Bogdan	Czarny	1923	poległ 1. X. 44
Pronobis Marcei, schwytany 3 dni po bitwie i rozstrzelany w Siennie	Wrzos	1920	
Pronobis Stanisław	Gawron	1922	
Prus Józef	Pogoda	1909	
Prus Witold			
Przysiwiek Henryk			
Puton Kazimierz	Wrzos		
Puzewicz Bolesław	Prus		zginął w niewoli
Rabczyński Mieczysław			
Rakowski Wacław			
Rawluk Józef, ppor. d-ca plut.	Olbromski		kontuzj. 1. X. 44
Roguski Stanisław, ppor. d-ca plutonu	Ostoja		

Roguski Władysław, pchor.	Paweł		
Różalski Stanisław, chorąży, z-ca d-cy komp.	Grażyna		ranny 1. X. 44
Rozwadowski Stanisław	Burza		
Rumiński Marian, plutonowy	Pomróż	1914	
Ryczan Franciszek, pchor. drużynowy	Zefir		
Rzońca Jan	Gołąb		
Rzońca Władysław	Szczęśny		
Sadaj Stefan, pchor. drużynowy, adiutant kpt. "Pawła".	Virtus	1921	
Sadowski Jan			
Sajkiewicz Łukasz	Mars	1922	placówka
Sajkiewicz Mirosław Antoni	Dudek	1925	
Sajur Józef			
Salapa Józef, lek. wet.			na plac.
Salata Janina		1922	sanitar. na plac.
Sasak Józef, pchor.	Kobus		poległ 1. X. 44.
Sasak Maria	Szarlotka	1922	sanitar. na plac.
Seweryn		1919	poległ 1. X. 44.
Siwiec Jan ppor. d-ca plutonu	Dębowski	1903	
Siwiec Tomasz			
Skirzyński Władysław	Świerk		
Smoluch Fabian	Wilk		
Soja Stanisław, plutonowy	Palec	1914	
Spaczyński Eugeniusz	Sosna		
Spaczyński Wacław	Smok		

Spychalski Jerzy	Szczupak	1926	
Stachurski Władysław, kpr.			
Stachurski Jan	Róg		
Stajniak Julian			
Stanek Marian			
Stanisławek Julian	Staw		
Stanisławek Stefan	Orzeł		
Stański			
Starz Mieczysław			
Stec Jan, ppor.			
Stefański Michał, kpr.	Cepiga	1915	
Stobiecki Marian			
Studniarski Eugeniusz, pchor.			
Świątek Jan (rkm)	Twardy	1920	ranny 1. X. 44
Szałapski Józef	Wicher	1918	
Szałapski Mieczysław			
Szczechura Wacław			
Szczepaniak Piotr, kpt. d-ca komp.	Paweł	1907	kontuzj. 1. X. 44
Szczepanowski Jan			
Szczepanowski Antoni			
Szczygielski Eugeniusz	Pogoń		
Szustak Józef	Mały		
Targosiński Leon, ppor. d-ca plut.	Jastrząb		poległ 1. X. 44
Tarkowski Kazimierz	Pazur	1919	ranny 1. X. 44
Tuszyński Stanisław	Kasztan		zginął w niewoli
Tużnik Karol	Przyboczny	1920	

Tworek Bolesław	Tunel	1921	poległ 1. X. 44
Walkiewicz Józef			poległ 1. X. 44
Werelis Józef, kpr.	Gajowy	1908	
Wiącek Henryk	Zero		
Wiatr Józef	Robotnik		
Wicik Stanisław			
Wieczorkowski		1917	poległ 1. X. 44
Wieczorski Wacław			
Witkowski Marian	Orlicz		
Witkowski Adam, kpr. drużynowy		1920	
Wójcik Julian		1921	
Wołański Stanisław	Pas		
Wołański Jan	Pik		
Woźniak Marian	Ryś		
Wroński Kazimierz, pchor.			
Wtorkowski Kazimierz	Cichy	1922	ranny 1. X. 44
Wylęgarski Kazimierz	Pantera		zginął w niewoli
Zaborowski Kazimierz			
Zagórny Władysław		1920	
Zagórny Augustyn	Łopata	1922	
Zagórny Stanisław	Ryś	1918	
Żak Stefan			
Załęski Jan, pchor.	Długi		
Zalewski Józef	Trzask		
Zarzycki Eugeniusz			

Zarzycki Bogdan	Bławatek	1925	ranny 1. X. 44
Zawada Władysław		1922	
Zawierucha Władysław			ranny 1. X. 44
Zieliński Jan, sierż.			
Ziółkowska Cecylia	Dana	1919	sanitar. na plac.
Ziółkowski Czesław			
Złotnik Józef			
Zubrzycki	Sprytny		
Zubrzycki Marian, pchor. drużynowy	Czarski		
Zwoliński Rajmund		1926	zginął w niewoli

Kompania ostrowiecka ("Kwiatkowskiego")

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi
(NN)	Ewka		
(NN)	Jaskółka		
(NN), sierżant	Pszczola		poległ 1. X. 44.
(NN), plutonowy	Śmigły		
Adamski Piotr	Leonidas	1927	zginął w niewoli
Barski Bogdan, ppor.	Kryński		uciekł z niewoli
Bielecki Jerzy			.
Bołtuć Piotr	Borsuk	1928	c. ranny niewola
Chodorek Józef	Czarny	1915	poległ 1. X. 44
Ciepielewski Stanisław	Świerk		
Daszkowski Józef	Jaskółka	1925	
Dębicki			
Dębniak			
Duchnicki Witold, pchor.	Gintowt	1919	zginął w niewoli
Duchnicki Janusz	Szeniawa	1922	
Duda Wojciech	Koc	1927	
Duda Jan	Różycki	1927	
Falecki Stanisław	Gałązka	1928	
Fijałkowski Tadeusz	Długi	1922	zginął w niewoli
Frączak Władysław			placówka
Gierdalski			
Gordon Adam	Żbik	1927	poległ 1. X. 44

Janiak Mieczysław			
Janicki Henryk	Hazol	1923	
Jankowiak Zdzisław	Żbik	1928	
Janos Robert, kpr. drużynowy	Hoplita	1924	
Kaczmarek Florian	Bejn Florek	1925	
Kaczmarek Henryk, kpr. (rkm)	Sęp	1923	poległ 1. X. 44
Kasprzyk Mieczysław			
Kierzkowski Adam	Cygan	1925	zginął w niewoli
Kosiarz Józef			łącznik
Kosicki Stanisław, st. strz.	Bohun, Czarny		
Kostkowski Dobrosław	Ząb	1913	
Kowalewski Mirosław			
Kowalski Stanisław	Skarga	1928	ranny 1. X. 44.
Koziński Wiktor	Mieczyński	1913	ranny 1. X. 44
Kozłowski Zenobiusz	Kurzawa	1929	
Krzymiński Ludwik	Gryf Legwan		zamord. przez UB
Kuntze Stanisław			zginął w niewoli
Lebioda Henryk	Korsarz	1926	
Lechniak Eugeniusz, kpr. druž.	Fok		
Leśniak Eugeniusz			
Lis Czesław	Kula	1928	poległ 1. X. 44.
Małkiewicz Zdzisław			zginął w niewoli

Manowski Kazimierz	Orzeł	1927	poległ 1. X. 44.
Manowski Zbigniew, kpr. drużynowy	Giermek	1921	
Manowski Julian, pchor.	Wichura	1923	placówka
Marczyński Janusz, por. d-ca kompanii	Kwiatkowski	1910	niewola 2. X. 44.
Markowski Leon		1925	zginął w niewoli
Martynowski Tadeusz			ranny 1. X. 44.
Molski Juliusz	Cień	1929	I. ranny 1. X. 44.
Nowak Kazimierz			zginął w niewoli
Olszewski Tadeusz	Bończa	1919	placówka
Pałka Jerzy, kpr. druž.	Leśnik		
Pastuszka Jan	Paproć		placówka
Perczyński			
Pietrzak Mieczysław	Pik		ranny 1. X. 44. Niewola
Piłat Jerzy	Czarny	1925	
Pluta			
Poniatowski Jerzy	Leszek		
Popielarski Edward			
Przybysławski Tadeusz	Tadek		poległ 1. X. 44.
Rebajn Jerzy	Nóż		
Religa Tadeusz			placówka
Robaczekiewicz Mieczysław ppor. z-ca d-cy komp.	Brzozowski	1907	

Rogowski Lech vel Józef Palimąka, kpr., drużynowy	Łanowiecki	1921	placówka
Różycki Jerzy	Merkury		poległ 1. X. 44.
Rutkowski Władysław	Krzemyk	1923	
Sadłos Julian, kpr.	Biedny		placówka
Skoczylas Roman, kpr.	Piorun		
Späth Sławomir, st. strz.	Czarnota	1929	
Sworowski Bogdan	Modrak	1922	niewola 1. X. 44.
Szczepański Henryk	Maciek	1925	
Szczepański Leszek	Lech	1927	placówka
Szeląg Marian	Słowianin	1923	łącznik
Szemraj Jan	Szary		
Urbański Wiesław			placówka
Walczak Adam	Góra	1927	
Wanat Wacław st. sierż. szef kompanii	Gorliwy		
Waszkiewicz			
Wojtas Stefan, st. strz.	Szczygieł		placówka
Wrzesiński Zenon			
Wrzesiński Edward			placówka
Wylęgarski Kazimierz	Pantera		zginął w niewoli
Zarzycki Władysław			placówka
Żebrowski Stanisław	Żubr	1921	ranny 1. X. 44.
Zugaj Józef	Czarny		zginął w niewoli

Kompania "Wrzosa" (Skarżysko Kamienna)

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi.
(NN)	Sosna		ranny 1. X. 44
Bielański Jerzy	Janosik	1929	
Bielański Andrzej, ppor. d-ca kompanii	Wrzos	1905	
Bielnicki Włodzimierz, (rkm)	Konrad		
Bigadło Kazimierz	Walery		przybył z Wehrmachtu
Bilski Franciszek, ppor.	Tom		placówka
Bogusz Aleksander, sierżant	Zawada		szef zaopatrz.
Cabaj Zdzisław	Wyzwoleniec		
Cegliński Jan, d-ca placówki	Bikwor		areszt. Oświęcim
Chojnacki Janusz	Zadra		
Chrzanowski Roman, ppor. z-ca d-cy kompanii	Korab	1900	poległ 1. X. 44.
Ciechanowski Leon	Jastrząb		placówka
Czapliński Dionizy	Dan		
Dąbrowski Czesław, kpr.	Krzysztof		
Dąbrowski Henryk, amunicyjny	Ziomek		
Drab Stanisław	Czarny II		
Gadecki Marian	Kret		
Gąsiewicz Henryk	Bryś		
Gąska Kazimierz	Willi		
Gąsowski Jan	Gryf		placówka
Gąsowski Piotr	Malinka		placówka
Gładyś Jan	Cygan		zginął w niewoli

Głowacz Ignacy	Ciemny	1925	poległ 1. X. 44
Głowacz Zygmunt			ranny 1. X. 44
Gwarek, plutonowy	Świt		poległ 1. X. 44
Herman			
Herman Henryk	Czarny 1		
Holewiński Jerzy	Dąbrowa		
Huziuk Zdzisław	Smrek		
Huziuk Izabella	Iza		łączniczka
Iwanicki Zygmunt	Śliwka		placówka
Jastrzębska Zofia	Jodełka		łączniczka
Jedynak Tomasz	Osika		(Mostki)
Jepifanez			lekarz
Kamiński Jan, ppor.	Walek		po bitwie 1. X. 44.
Karwacka Elżbieta	Olcha		łączniczka
Kobierski Marian, kpr. (rkm), drużynowy	Roger		
Kochanek Stanisław	Antosiak		zaginiony 1. X. 44
Kochanek Zdzisław	Dobosz		
Kosiński Julian, pchor. d-ca plutonu	Rafał		
Kotłęga	Silny		
Kotwica Stefan			
Kowalik Edward, pchor.	Szary		placówka
Kozłowski Wacław	Pepik		
Kurpios Józef	Sokół	1925	poległ 1. X. 44
Kurski Henryk	Grom		
Łazarczyk Zbigniew	Antoś	1927	poległ 1. X. 44
Łazarczyk Tadeusz			
Łazarczyk Jerzy, amunicyjny	Bolko	1927	

Luty Józef, kpr.	Sosna		
Macuga Zbigniew	Żuk	1927	
Maksymowicz Henryk			
Malik Tadeusz	Pospolity		
Manowski Kazimierz	Szczupak		
Markiewicz Jan	Młotek		
Matejszczak Tadeusz	Kciuk		
Matejszczak Czesław	Uwodziciel		
Matynia Irena	Iskra		łączniczka
Miernik Roman, kpr.	Zajac	1909	poległ 1. X. 44
Miernik (z Młyna)			poległ 14. 8. 44
Miernik Zygmunt	Ładny		
Mirkiewicz Zygmunt, kpr.	Powódź		
Młynarczyk Wincenty, st. sierż.	Bukański		z-ca d-cy placówki
Morawski Zdzisław	Morwa		placówka
Nagrodkiewicz Kazimierz	Dąb		
Nagrodkiewicz Tadeusz, kpr.	Znicz		
Nowak Wacław	Kalina		placówka
Nowakowski Jan	Wyrwa		
Oziomek Franciszek	Wierny	1923	
Pałęga Antoni, ksiądz kapelan	Agor		placówka
Piotrowski Stanisław	Jeleń		
Prusiński Kazimierz	Kazinek		
Przytocki Tadeusz	Fiat		ranny 1. X. 44.
Rogala Wacław	Wichura		placówka
Ruzik Adolf	Kropka		placówka
Salek Mieczysław, kpr.	Dąbek	1924	poległ 1. X. 44.

Salek Władysław, amunicyjny	Żelazny	1926	poległ 1. X. 44.
Siwiec Jan	Dębowski		
Skonieczny Antoni	Wujek	1887	
Socha Władysław	Sylwan		placówka
Spadło Władysław, d-ca placówki	Kukułka		(Mostki)
Stańczak Ryszard	Skowronek		placówka
Stańczak Ryszard	Dan		
Stobiecki Marian			placówka
Stodulski Zenon, kpr. (rkm)	Zenit	1923	ranny 1. X. 44.
Szałowski Józef	Wicher		
Szumielewicz Stefan	Świerk		
Szymański Mieczysław	Szum		placówka
Tadhowski of. wywiadu	Lord		
Ubysz Józef	Sikora		
Wesołowski Antoni	Awiatyk		
Wijas Mieczysław, st. sierż.	Świt		placówka
Wójcik Karol	Sęp		placówka
Wójcik Henryka	Czarna		łączniczka
Woźnicki Czesław, pchor.	Czech		c. ranny 1. X. 44
Wrona Stefan			placówka
Zaborski Franciszek, pchor.	Kokles		
Zadrzywiliński			
Zahorski Bogdan	Jasny		placówka
Zięba Bogusław			placówka
Żmijewski Mieczysław	Róża		placówka
Zuba Wacław	Kora		
Zuba Tadeusz	Czarny		
Zwoliński Rajmund			placówka

Pluton łączności

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi
(NN), pchor.	Barwnicki		
Adamczyk Witold	Jeż	1926	zginął w niewoli
Baliński Ryszard	Ryś	1924	
Baliński Tadeusz Maciej	Kanarek	1926	
Baran Wacław, ogniomistrz	Bursk	1906	zginął w niewoli
Bembas			
Bembenek Władysław, st. strz.	Szkot	1923	
Bryła Zygmunt, kpr.	Jodła	1912	
Cybuch Stanisław, ppor. drużynowy	Wodnik		poległ 1. X. 44.
Domański Julian, st. strz.	Wyrwa	1924	ranny 1. X. 44.
Gorziewicz Kazimierz	Zawierucha		ranny 1. X. 44
Jasiński Benon	Ben		ranny 1. X. 44.
Kaca Roman kpr.	Wróbel		ranny 1. X. 44.
Kadłucki Antoni, kpr.	Tytan	1919	kontuzjowany
Kryj Jan	Strzelczyk		poległ 1. X. 44.
Kubrak Stanisław	Kosz		
Kucharski Zygmunt, kpr.	Grusza	1909	
Kuśmierz Wenancjusz, kpr. drużynowy			
Markowski Wojciech			
Micigulski Stanisław	Szymek		poległ i. X. 44.
Młodzik Zygmunt		1919	
Niemiec Franciszek			
Orzeł Stanisław	Łezro	1925	
Palus Józef, ppor. d-ca plutonu	Selim		
Pasek Józef, kpr.	Miś		obsługa radiost.

Pawlik Wrocisław, st. strz.	Jurand		
Próchniak Bolesław	Kola		
Radomski Adam, ogniomistrz	Olsza	1909	
Rutkowski Remigiusz		1924	
Rutkowski	Grom		
Sikorski Józef, telegraf.	Mucha		placówka
Skrzydelski Marian	Szakał		zginął w niewoli
Szczygielski Zbigniew	Czarna Pantera	1926	
Turek Jan			
Wikin Wacław	Wilk		
Woźniak Jan			
Zapała Józef		1925	zginął w niewoli
Zapała Władysław		1918	zginął w niewoli

Grupa "Rogacza" (3 pp leg AK)

Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi
(NN), pchor.	Barwuicki		
(NN)	Zawał		ranny 1. X. 44. Niewola
(NN) pchor.	Narta		
(NN), kpr.	Pirat		
(NN), pchor.	Kalina		
(NN), pchor.	Manierka		
(NN), pchor.	Fregata		ranny 1. X. 44.
Bączkowski Marian, st. strz.	Kukułka		poległ 1. X. 44.
Białkowski Czesław (rkm)	Jałowiec		poległ 1. X. 44.
Bielawski Zdzisław, pchor.	Lech		
Bielnicki Andrzej			
Gawron Jan, kpr.	Lew		
Grolman Janusz, pchor.	Janusz	1920	
Huziuk Zdzisław, pchor.	Smrek		
Kukła Mirosław, kpr.	Szejk	1926	
Morawski Wacław, pchor.	Morwa		
Płowieć Jerzy	Labor		ranny 1. X. 44 ucieka z niewoli
Rogoziński Zygmunt, kpr.	Zyga		
Strzelecki Marian, pchor.	Danielewicz		ranny 1. X. 44.
Wiślawski Jerzy, pchor.	Witold		poległ 1. X. 44r
Woźniakowski Zygmunt, st. sierż.	Rogacz		dowódca grupy
Ziemkiewicz Zygmunt	Bijak	1921	
Żmijewski Jerzy, pchor.	Gryf	1919	

Uwaga. Podchorążowie wymienieni w tej grupie pochodzili z Samodzielnego Batalionu im. brygadiera Mączyńskiego z Jeziornej - Piaseczno koło Warszawy. Trafiając przypadkowo na drużynę 3 pp leg AK "Rogacza", połączyli się z nią i weszli po bitwie 1. X. 44. w skład kompanii "Jelenia", plutonu "Palmy" w 3 pp leg AK.

Drużyna sanitarna.

Lp.	Nazwisko	Pseudonim	Rok ur.	Uwagi.
1.	Dr Eustachy Kawiński, kpt.	Bojar	1905	
2.	Dr (NN)	Wyrwa	1910	
3.	Maria Niepokoyczycka	Emilia Plater	1915	
4.	Jadwiga Wolańska	Grażyna	1922	poległa 1. X. 44.
5.	Maria Kabała	Aldona	1923	zwolniona z niewoli na interwencją Hofmanna
6.	Henryka Sławińska - Lipczyńska	Iskierka	1924	
7.	Bogdan Sworowski - zakonnik	Modrak	1922	niewola 1. X. 44

Załącznik XIII

Wykaz żołnierzy Wojska Polskiego poległych we wrześniu 1939 r. w bitwie pod Iłżą. spoczywających na cmentarzu-mauzoleum w Iłży:

Antończyk Rudolf
Barszczowski Edward, kpr. (7529)
Bereszyński Radomir Czesław, kpt. dypt.
Białkowski Tadeusz (12898)
Bieńko Stanisław, ppor.
Biłeński Stanisław, ppor.
Bilski Józef (9351)
Biskupski Józef, strz.
Buczek, por.
Buda Władysław (13278)
Czechowski, ppor.
Czernyj, strz.
Dąbrowski Feliks, kpr.
Dec, inż. (prac. Zakładów Starachowickich, zabity w wyniku pomyłki własnych żołnierzy)- mogiła nr 165 na iłżeckim cmentarzu.
Dochajdo Stefan
Doliński Kazimierz
Drucker Leopold, strz.
Dubiel Aleksander, strz. (7787)
Dudek Wojciech
Dudziak Jakub
Dudziec Wojciech
Dwornik Józef
Dzięgala Michał
Einleger Izrael
Gaczyński Tadeusz, pchor.
Gamski Zbigniew, pchor.
Gawęcki Mieczysław, pchor.
Gęsiorowski Bolesław, st. strz.
Głowaty Franciszek
Grajewski Antoni Alojzy
Grzelkowiak Ignacy, strz. (8884)
Harapiński Florian (5550)
Hrebyn Emilian, strz. (12579)
Hrobenyk Emilian, st. strz. (8231)
Ilkow Miran (69340)
Jadoch Adam, kpr.
Janek Michał, kpr.
Jaroszyński Stanisław, ppor.
Jerzycki, ppor.
Józik Karol
Keffler Edward (13223)
Kinasz Michał
Kołtowski Kazimierz, oficer (10382)
Konarski Jan Wacław
Kornbaum M.
Krzemiński Karol, st. sierż.
Krzysiak Jan, kpr.
Kucharski Marian (c. ranny, zmarł w gajówce Bekowiny),
Kuchta Józef
Kuczora Aleksander, st. strz.
Lewakowski Zbigniew, ppor.
Lewczuk, strz.
Maciejewski Adam, pchor.
Marynia Jan
Mech Stefan
Mianowski, ppor.
Motyka Stanisław, strz.
Mrozek Tadeusz, kpt.

Muzacz Hieronim, ppor.
Niemczel Michał (5997)
Oberec Tadeusz Walenty, ppor.
Opalka Henryk (7772)
Owczarski Kazimierz (10383)
Ozga Stanisław
Paar Herwin
Patkowski Franciszek, kpr.
Paniecki Edward
Płaszczewski Aleksander, kpr.
Popielnicki Paweł, strz.
Popiołek Jan
Powalski Stanisław, strz. (7328)
Pruszyński Mieczysław

Pryl Jan (10298)
Pstrusiński Bolesław, kpr.
Ptak Wawrzyniec (12970)
Rogoż Wojciech, ppor.
Roseliński Stanisław, strz.
Ryba Franciszek, strz.
Rygiel Piotr
Sabala, pchor. (6031)
Samborski Mieczysław, ppor.
Schutzman Franciszek, por.
Skowroński Stanisław
Steinwuner Izaak
Sterniczuk Jan, strz.
Szczygieł Władysław
Szuper Stanisław, strz.
Tomczyna Paweł, strz. (2052)
Trondowski Michał, kpt.
Urban, strz.
Urbaniak Wojciech
Waryniak Franciszek
Winkler Wacław, por.
Wojtakowski Bernard (10405)
Wojtowicz Michał, strz.
Wolamin Stanisław (14159)
Zajac Michał
Zalejski Kazimierz (4234)
Zamanek Adam, por.
Zawadzki Stanisław
Zieliński Mikołaj
Zieliński Józef (5914)
Zieliński Kazimierz (9168)
Ziółkowski Zygfryd, strz. (2580)
Zwolański Józef
(NN) - 54 żołnierzy WP.

Uwaga. Przy nazwiskach podano w nawiasach numery rozpoznawcze żołnierzy. Powyższy wykaz został sporządzony na podstawie akt kościelnych w Iłży, przez Eugeniusza Wojciecha Krzysztanowskiego z Iłży oraz Kazimierza Szmita z Chwałowic.

ZSRR	224	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	
ZSRR	223															
ZSRR	222	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45
ZSRR	221	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK	AK
ZSRR	220	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

ZSRR	219	WP	WP	AL	WP	AL	BCH	AK	WP	AK	AK	WP	AK	AK	WP	WP
ZSRR	218	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

ZSRR	217	
ZSRR	216	
ZSRR	215	
WP		
WP		
WP		
WP		

 Obelisk ku czci
pomordowanych
iłżeckich
patriotów

AK	46
AK	47
AK	48
AK	49
AK	50
AK	51
AK	52
AK	53
AK	54
AK	55
AK	56
AK	57
AK	58
WP	
WP	
WP	

Usytuowanie grobów żołnierzy-partyzantów
1 Pułku AK Ziemi Iłżeckiej na Cmentarzu-
Mauzoleum w Iłży, ekshumowanych z lasnej
mogiły w lipcu 1969 r.

Oznaczenie ZSRR dotyczy żołnierzy Iłżeckiego
Pułku AK "Potoka" pochodzenia radzieckiego»
Inne groby, ni 9 uwidoczni one na planie, dotyczą
tylko żołnierzy Wojska Polskiego, poległych
8-9 września 1939 r. w bitwie pod Iłżą.

Wykaz nazwisk

(Nic obejmuje nazwisk występujących w napisach pod zdjęciami oraz w załącznikach. WH oznacza Wehrmacht a Sipo niemiecką policję bezpieczeństwa. WP - Wojsko Polskie)

"Barwuicki" (NN) 305	Barański Janusz 147 148 207
"Blady" (NN) 301 327	Barski Bogdan "Kryński" ppor. 299 361 369 370 375
"Brzoza" (NN) 76	Barszcz Adam 132 229
"Bystry" (NN) 224	Basa Michał "Mściciel" 96 97
"Filuk"(NN), ofic. radz. 417	Basa Piotr 132
"Fregata" (NN) 317 329	Baśkiewicz Jan"Brzoza" 89 251
"Hiszpan" (NN) 280	Baśkiewicz Leon 92 251
"Judas" (NN) 354	Batz (żandarm) 68 71
"Kalina" (NN) 317	Becker (Sipo) 253 361
"Karol" (NN) 324	Będkowski Witold "Zagroda" 232
"Manierka" (NM) 317	Bednarczyk Czesław "Nieśmiały" 289
"Misza" (NN) 284	Bednarczyk Adam, prof. 274
"Narta" (NN) 317	Bednarek Stanisław 143
"Niemczyk" (NN) 340	Bednarski Marian "Korsarz" 317 335 339
"Nit" (NN) 281	Bembenek Władysław "Szkot" 276 292
"Piotr" (NN) 177	Bereś Czesław "Ryszard" 375
"Pomsta" (NN), agent Sipo, 216 233 355 356	Berger Rtm. WH 31 41
"Pszczoła" (NN) 271 322	Berling Zygmunt, gen. 387
"Sadurski Roman", kpt. WP 254	Białkowski Czesław "Jałowiec" 317.
"Sahib" (NN) 327	Bieleński Andrzej "Wrzos" ppor. 269 326 340
"Serce" (NN) (AL) 72 73 76	Bielawski Zdzisław "Lech" 317
"Sitek" (NN) 246	Bieliński Aleksander "Sęp" 316 365 373 374 376 383
"Skręt" (NN) 213	Bielnicki Włodzimierz "Konrad" "Sten" 270 326 327 341
"Śmigły" (NN) 271 322	Bierkampf Walter(Sipo) 66 307
"Sosna" (NN) 269 291 320	Bimek Antoni 67
"Świątek" 95 125 131 237	Bimek Stanisław 35
"Szasza" (NN) 284 320 321	Bimek Władysław 67 264
"Szpaczek" (NN) 176	Bimek Franciszka 67
"Tur" (NN) 271	Bińczak Władysław"Konrad" 317
"Warszawiak" (NN) 183	Bińczak Antoni "Wyrwa" 317
"Wilk" (NN) 76 353	Bińczak Stanisław "Wierch" 317
"Wiśniewski" (NN) 177	Błażejewska Maria 281
"Włodek" (NN) ppor. 266 287 299 300 301 303 313 318 319 345 346	Błażejewska Irena 281
"Wojnat" (NN) 176	Błażejewska Hanna 281
"Wrona" (NN) 284	Błażejewski Roman, ppor. WP lek. wet. 281
"Wyrwa" (NN) lekarz 274	Bochyński Marian"Bury" 300
Adamczyk Antoni 273 367 373	Bochyński "Słomiany" 318
Adamczyk Witold 273 344 367 373 374	Bogucki Stanisław "Pila" 202 232 351
Adamski Tadeusz"Longin"96383	Bogusz Aleksander "Zawada" sierż. 326
Adamski Piotr 323 373	Bołtuć Piotr "Borsuk" 323 342 375 386 389 401 413
Adamski Przemysław 373	Borecki Maksymilian "Zielonka" 317
Albekier 172	Borecki Czesław "Brzoza" (AL) 204 221
Ambroż Franciszek 8 60	Borówka Klemens 96 247
Andrejew kpt. 92 135	Borzobohaty Wojciech "Wojan" gen. 220
Aplas Zygmunt 38	Brandt, dr med. 250
Bączkowski Marian "Kukułka" 317 333 '	Braun Anton, Gefreiter, WH 58
Bajor Irena"Rena". łączn. 133	Brawerman Chyl"Baca"(GL) 87 88 99 135 243
Bakalarczyk Adam "Dulka" (AL) 143 211	Brodecki Ryszard"Błyskawica" por. 135 140 229 232 235 255
Banasiak Czesław(GL) 94	Bródka Stanisław "Słup" 138
Bancer Tadeusz "Kruk" 317	Bugaj Zdzisław 256
Bandarenko Michaił 177	
Baran Waław "Bursk" ogniomistrz 344 373 374	
Baran Edward "Wyrwa" 317 318	
Barański (les*niczy) 383	

Bugaj Alfons "Delfin" 318 300 318 340
 Bugajski Józef "Azja" (AL) 417
 Bunner dr (Sipo) 71
 Burda, prof. 146
 Celuch Jan "Postrzał" 232 •
 Chajec Wacław "Sum" 246 do 249 292 344
 Chała 354
 Chamscy 131
 Cheba Józef 354
 Cheda Władysław "Zawisza" por. 126 137
 Cheda Stanisław "Ryś" 213 245 256
 Chełchowski Hilary (AL) 418
 Chmielewski 143
 Chmielowski Tadeusz "Bartek" 174 177
 Chodorek Józef "Czarny" 324
 Cholewa Stanisław, prof. 27
 Chołuj Edward "Vis" 291 328
 Chorosiński Stanisław 143
 Chrzanowski Roman "Korab" ppor. 269 294 326 328
 Chrzanowski "Zek" 231 232
 Chrzęszcz Czesław "Żak 87 144 184
 Chwostek Józef 222
 Chyczewski Wiktor, dr mcd. 336 352 353 398
 Cichosz, sierż. WP 84
 Ciepielewski Stanisław "Świerk" 322
 Cieśla Wacław "Siarka" por. 136 140 229 281 299 318 325 345
 Cieśla Witold "Skaleń" 141 318
 Cieślak Marian "Marian" 96 97
 Ciołek Jan 71
 Cool, kpt. USA 373
 Cybuch Stanisław "Wodnik" ppor. 323
 Cybuch, kier. sklepu, 289
 Cymerys 58
 Cyprowski Stefan "Jordan" 231
 Cyran Zygmunt "Sor" ppor. 246 270 291 304 318 342 385 389
 Czachowski Dionizy, płk. 340
 Czaja Kazimierz "Dąb" 40 57 58 86 131 356
 Czaja Adam 356
 Czajewski Jan "Sokół" 317
 Czajkowski Stanisław "Miły" 143
 Czajkowski Józef "Zemsta" 315 354
 Czapczyński Eugeniusz 97 418
 Czapliński Dionizy "Dan" 327
 Czech Słanislav "Lalka", por. 132
 Czerniewski Kazimierz "Korebko" 183
 Czerny, kier. sklepu, 142
 Czerwotka Władysław "Jurek" "Czerwony" ppor. 69 87
 Czesław (NN), sanitariusz, 395
 Czuba Stanisław "Lord" 317 319
 Dąbek Władysław "Bukowy" 119 129 11 183 237
 Dąbkowski Marian "Śmiały" 317 365 373
 Dąbrowski Czesław "Krzysztof" 313 326
 Dąbrowski Henryk "Ziomek" 326
 Dalek Krystyna "Kalina" 334 343 354
 Damokles 263
 Danek (NN) 368
 Daniszewski Stanisław 8
 Darczak Zbigniew 146
 Daszkowski Józef "Jaskółka" 322
 Dębicki Ignacy "Kruk" 317
 Dębicki Antoni "Swojak" 317
 Dębicki 323
 Dębniak 322
 Dec, inż. 34
 Długosz Mieczysław 146
 Dobrzański Henryk "Hubal" mjr. WP 40 41 340
 Domagała Krystyna "Hanka" 354
 Domagała Marian "Klinga" 301 317 379
 Domański Julian "Wyrwa" 322 324
 Domański, ksiądz, 232 289
 Drachal Tadeusz 309
 Drapella Juliusz, gen. WP 137
 Drews Roman, dr mcd. 250
 Drozdowsky, Blockführer, 367
 Drucko-Lubecki ksiądz 337
 Duchnicki Witold "Gintowt" 322 373 389
 Duchnicki Janusz "Szeniawa" 289 322
 Duda Wojciech "Koc" 322 324
 Duda Jan "Różycki" 322
 Dukat Stanisław "Talar" ppor. 246 271 304 312 329
 Dusiński Marcei "Dym" "Jazon" por. 136 138 140 201 229 232
 Dusiński, ksiądz, 354
 Dymitrow (vel Flis) Danuta 114 252
 Dymitrow (vel Flis) Eugeniusz "Dąb" "Robur" kpt. 95 114 125 130 139 146 199 208 233 236 244 352 422
 Dzieduszycki hr. 364
 Dziedziul "Palarski" 138
 Dziekoński Kazimierz 375 396
 Dziura Antoni "Szczęk", ppor. 134 201 315 357
 Dziwisiński Józef "Kruk" 143
 Embinger Zdzisław 27
 Embinger Tadeusz 27
 Falecki Stanisław "Gałązka" 278 322
 Falińska Wanda 133
 Falińska Lucyna 133
 Falkiewicz Jerzy "Orlątko" 127 141 213
 Farys Jan 67
 Ferenc Stefan 168
 Feucht Adolf (Sipo) 65
 Fieldorf Emil, płk. WP 28
 Fijałkowski Tadeusz "Długi" 344 373 374 376
 Filipowski Aleksander "Jastrząb" 245 283
 Filman Stanisław 132
 Fioluna Stanisława 70
 Flath (Sipo) 65
 Fornal 95
 Frank Hans, gubernator, 65 254
 Frączak Mieczysław 97 418
 Fryzel Jan "Sahajdaczny" 356
 Fuchs Paul (Sipo) 65 66
 Fura Edward "Kamień" 141

Galicki Stefan "Goździk" 318 319 320 321
 Gąsiewicz Henryk "Bryś" 301 327
 Gąsowski Jan, ksiądz, 354
 Gawron Jan "Lew" 317
 Gębusia Julian 132
 Gedymin Jan 8
 Gerlach Tadeusz "Góral" 300 35
 Giemza Józef 354
 Gierczak Henryk "Księżyc" "Krok" 317
 Gierdalski 322
 Giernadowicz Tadeusz "Lis" 311
 Gierycz Henryk 8 61
 Gilewski Tadeusz "Listek" 97 418
 Głabisz Jan 84 93
 Gładyś Jan "Cygan" 373 374 327
 Gładysz Antoni 366 367 369
 Głowacki Roland "Redt" 319 322 325 326 338 340
 Głowacz Ignacy "Ciemny" 326
 Głowacz Zygmunt 327
 Głowiak Józef "Jerzy" 318
 Godlewski Marian "Ront" 246 248 249 250
 Godzisz Jan "Żwir" 319
 Gołuszkiewicz 8
 Gordon Adam "Żbik" 323
 Górecki Władysław 58 88 263
 Góring Hermann 57
 Górka Józef "Zawilec" 8 129
 Górski Stefan "Nadzieja" 142
 Gorzkiewicz Kazimierz "Zawierucha" 177 324 331
 337 340
 Granat Antoni 317
 Granica 143
 Graser (żand.) 224
 Grega Adam 7
 Grochulski 282
 Grolman Janusz "Janusz" 305 315 317
 Grolman Andrzej 306
 Grolman Wacław "Świerk" 113 305 419
 Grot - Rowecki gen. 138
 Grudnik Henryk "Konrad" 246 249 294
 Gruszczyński Henryk "Blady" por. 176 178 186 220
 232 237
 Gruszka Jan "Bartosz" ppor. 128 251
 Grzegolec Janina 132
 Grzegolec Franciszek "Robak", prof. 353
 Grzyb Zygmunt 69
 Grzywacz Józef "Mars" kpt. 267 303 299 316 323
 334 375
 Gürtler 83
 Gutowski mjr. WP 33
 Gwarek "Świt" 326
 Gwiaździński Władysław 357
 Gzella Leszek Alojzy 127
 Haba Stanisław "Mączka" 276 329 354
 Hajdenrajch Jerzy "Kruk" 96 97
 Hajdukiewicz Witold kpt. WP 61
 Halanka Franciszka 133
 Halpert 250
 Harabin Julian 367 373 374

Hartung Eugeniusz "Czarny" 312
 Hauer 57
 Heda Antoni "Ząb" "Szczupak" "Szary" por. 28 58
 69 75 95 113 120 132 146 165 236 256 287 423
 Herman Henryk "Czarny 1" 341
 Himmler Heinrich 62 66
 Hitler Adolf 65
 Hófle 83
 Hofmann Fritz 267 285 289 316 385 401
 Holewiński Jerzy "Dąbrowa" 342
 Holewiński Stanisław 7
 Horth, gen. WH 28
 Huziuk Zdzisław "Smrek" 333
 Illmer Joachim (Sipo) 65 72 367
 Iwańczyk Eugeniusz "Chmura" "Wiślicz" "Stary
 Jakub" AK/AL 94 144 203 208 222 422 423
 Jabłoński Andrzej "Erg" 272 314
 Jackowski Zbigniew "Waligóra" 365 367 375
 Jagielski Czesław 145 146
 Jakubowski Bolesław "Błaszko" por. 143 165
 Janczarski Apoloniusz "Kmicic" 199
 Janczarski Ireneusz "Zdara" 96 97
 Janiak Mieczysław 289 344
 Janie Marian (AL) 274 418
 Jankowiak Zdzisław "Żbik" 285 310 322 323 338
 375
 Jankowski 321
 Janos Robert "Hoplita" 271 301 324 340 356
 Jarosz Józef (GL) 94
 Jaś Jan 132
 Jaś Stanisław 132
 Jasiński Benon "Ben" 324
 Jastalska Jadwiga 133
 Jastrzębski Tomasz "Tom" 317
 Jastrzębski Leszek "Podkowa" 317
 Jaworski Marian "Lach" 249
 Jędrzejewski Adam "Odwet" ppor. 140 202
 Jeżewski Władysław 66
 Józefowski Jerzy "Warta" 289 317
 Jurek Eugenia 168
 Jurek Jan "Sęp" 140 165 168 237
 Juskiewicz Julian "Fm" por. 8 221 222 278 419 '
 Kabała Maria "Aldona" 274 334 335 336 337 353
 354 375
 Kaca Roman "Wróbel" 323
 Kacperek Zenon 317 374
 Kaczmarczyk Julian "Sławomir" por. 246 321
 Kaczmarczyk Jan "Młokos", por. 229 237
 Kaczmarczyk Józef "Blok" (Sipo/AL) 216 219 220
 235 243 244 253 254 287
 Kaczmarek Florian "Bejn" "Florek" 289 322 402
 Kaczmarek Henryk "Sęp" 289 301 389 402
 Kaczor Stanisław 58
 Kadłucki Antoni "Tytan" 323
 Kalinowski Władysław 37 84 85 93 251 331 358
 Kamiński Edmund "Czerkies" 166 169 183
 Kamiński Jan "Wałek" ppor. 246 247 270 281 282
 290 294 301 304 310 311 328 340 341
 Kamiński Jerzy "Bolko" "Ziemski", por. 231

Kanclerz 184
 Karafa Ludwik, mjr. WP 35
 Karandyszewski Ignacy mjr. WP 28
 Karwacki Kazimierz "Wiech", st. sierż. 126 139
 145 212 221 419
 Karwacki Wiesław "Karp" 131 245 272 277 331
 Kas (niem urzędnik kolej.) 223
 Kasprzycki Tadeusz "Grab" 245 283 305
 Kasprzyk Mieczysław 323
 Kaszyński Eugeniusz "Nurt" por. 249
 Kawiński Eustachy "Bojar" kpt. dr med. 274 334
 337 355 366 370
 Kempski Tomasz 272
 Kępiński Józef "Alfa" 213
 Kielbasa Stanisław 202 237 354
 Kiepas Zygmunt "Krzyk", por. 119 127 128 166
 169 172 183 200 215 236 423
 Kiepas-Kucharska Władysława 265 356 358
 Kierzkowski Adam "Cygan" 323 324 351 373 374
 Kiliński Jan 273
 Kiraga Mateusz 71
 Kita Jan 9
 Kita Walenty 435
 Kitowski Kazimierz 353
 Klein 282 286
 Kleinert, Forstmeister, 57
 Klepacz Feliks 67
 Klepacz Władysław 361
 Klepacz Antoni 83
 Klepacz Bogdan 126
 Kłopotowski 413
 Klusek Józef "Gołąb" 339 367 375
 Knauf Ernst (Sipo) 65
 Kobierski Marian "Roger" 300 326
 Kociówna Janina 131
 Koczmarowski Jan "Jańcio" 246
 Kołaciński Władysław "Żbik" (NSZ) 370
 Kołacz 38
 Kolenda Stefan 143
 Kolenda Wacław 365 374
 Kołodziejczyk Stanisław "Orkan" 175
 Komarnicka Józefa, zakonnica, 387
 Kopania Jan 354
 Kópcke, Rtm. WH 31 41
 Korsak Wacław mjr. WP 32 33
 Kosiak Adam "Roland" 237
 Kosicki Stanisław "Bohun" "Czarny" 289 310 322
 343
 Kosiński Julian "Rafał" 288 300 314 326 327 340
 Kosiński Jan "Jacek" "Inspektor" por. 95 96 99
 Kosiur Aleksander "Zant" 169 183
 Kosno 397
 Kostkowski Dobrosław "Ząb" 322 323 324
 Koszelnik Ryszard "Spokojny" 166
 Kosztowniak 356
 Kotlicka Mieczysława 354
 Kotlicka Wacława "Narcyza" 138 232 353 354
 Kotliński 222
 Kotwica Stefan 327
 Kotwica Witold "Brzeszczot" 173
 Kotwica Adam 327
 Kowalczyk Stanisław "Grad*", ppor. 136 140 142
 143 166 229 236
 Kowalski 388
 Kowalski Stanisław "Skarga" 310 322 324
 Kowalski Bolesław "Lanca", kpt. 305
 Kowalski Jan 251
 Kowarsz Adolf kpt. WP 30 33
 Koziczowska Irena 132
 Koziński Wiktor "Mieczysław" 322 323
 Kozłowski Józef 8 114 117 252
 Kozłowski Stefan "Jola" 173
 Kozłowski Wacław "Pepik" "Pikus" 326
 Kozłowski Zenobiusz "Kurzawa" 272 322 324 356
 408
 Kret-Dąbrowski "Szary" 144
 Kretkowski 69
 Krüger Anton (Sipo) 83 85 90 92 95 96
 Krupnicki kpt. WP 30 33
 Kryj Jan "Strzelczyk" 323 324
 Krzemiński Władysław "Samotnik", ppor. 146 247
 Krzemiński Ludwik "Gryf" "Legwan" 289 322
 Krzysztanowski Wojciech Eugeniusz "Zawierucha"
 281 314 328
 Krzysztanowski Mieczysław "Jarzębiak" 319
 Krzyżanowski Jan 61
 Książek Józef "Góral" 245 290
 Kubiś Marian "Szczapa" 237
 Kubrak Stanisław "Kosz" 300 324 331
 Kuc Stefan 71
 Kucharzow Jan 222
 Kudas Bogumił "Bodo" 317 334 335
 Kufalski Arseniusz "Twardy" 185
 Kukła Mirosław "Szejka" 317
 Kulawik Piotr "Dariusz" "Maria" mjr. 130 208 232
 288 341 345
 Kulesza Władysław 353
 Kulik Marian "Chrabąszcz" 312
 Kuntze Stanisław 323 373 393
 Kuntzen, gen. WH 28
 Kurpios Józef "Sokół" 317 326
 Kurski ppor. 254
 Kutera Paweł "Stary" 278
 Kutera Kazimierz "Kukulka" 144 278 279
 Kutrowski Jerzy 368
 Kuźniak Miron 8
 Kwapisz Tadeusz "Dowbór" 373
 Kwasiborski Stanisław "Krzew", por. 128
 Kwiatkowska Helena "Joasia" 361 393
 Kwiecień 184
 Kwiecień Tadeusz "Dąb" ppor. 288 317 332 380
 423
 Lachowski Albin 143
 Lahban (Sipo) 253
 Langer Marian "Długosz" ppor. 5 8 36 88 138
 Langer Antoni, poseł 251 253
 Langer Jan 352

Langer Zbigniew "Jodła" 21 i 252 255
 Langer Mieczysław 352
 Langer Tadeusz 73 256 280
 Langer Stefan "Wiśnia" 201
 Langiewicz Marian pik. 10 340 341
 Laskowski Zenon 374
 Lasota Władysław "Rawicz" ppor. 210 222
 Latra Bogumiła "Ewa" 138 232 353
 Łazarczyk Tadeusz 327
 Łazarczyk Zbigniew "Antoś" 326
 Łazarczyk Jerzy "Bolko" 326
 Lebioda Henryk "Korsarz" 289 290 322
 Lechniak Eugeniusz "Fok" 271 322 389
 Łęcka Regina 184
 Łęcki Tadeusz "Orkan" (AL) 218 220 417
 Łęcki Feliks "Bąk" 144
 Łęcki Zdzisław "Skalbmierz" 169 172 183 184
 Łęcki Stanisław "Boss" 143 185 216 254
 Łęcki Tadeusz "Krogulec" 169 172 183
 Lenartowicz Dezyderiusz "Wierny" "Tomek" kpt. 246 384
 Leśkiewicz Władysław 8 61 96
 Leśniak Zdzisław "Leśny" por. 8 12 61 138 275 292 351
 Lewandowski Stefan lekarz 250
 Lewandowski "Edek" 237
 Lewański Henryk "Banek" ppor. 127 144 221 222
 Liphart Fritz (Sipo) 62 65
 Lipidalski Józef, ksiądz 276
 Lipiso Adam 70
 Lipko Wiktor "Bej" 8 274 375 376
 Lipko Romuald "Skala" 274
 Lipski Wacław "Kula" 184
 Lis Czesław "Kula" 310 401
 Lis Władysław 265 266
 Lis Edward 266
 Lis Zdzisław "Elski" ppor. 183
 Lisowski Mieczysław "Lemiesz" 318 329
 Lisowski Czesław "Smyk" 365 367 370 375
 Lisowski Tadeusz "Narocz" 312 329
 Listek Stanisław 143
 Listek Aleksander 125
 Listek Julian "Las" ppor. 40 94 125 126 435
 Listek Józef 66
 Listek Zygmunt 57 58
 Lodej Władysław 89
 Lodej Stanisław "Łyk" 278
 Łuczak Józef "Ziuk" 249 289 290 316 342 375 384 388
 Łukasik Franciszek "Oracz" 143
 Łukaszewicz Agata 126
 Łukaszewicz Stefan 126
 Łukaszewski Władysław "Krzak" 383
 Luty Józef "Sosna" 327
 Luzak Lucjan "Kos" 317 355 383
 Łygan Aleksander 38
 Mączka Stanisław 8 61
 Mączyński Mieczysław "Mat" 169
 Madejski Antoni "Wiśnia" 288
 Madejski Tadeusz "Kret" 289
 Madejski 121
 Maj Wanda 83 98
 Maj Tadeusz "Róża" "Łokietek" (AK/AL) 143 203 211 213 370
 Major, ksiądz 413
 Malarecki Stanisław "Krzych" 96 97
 Maldzis Jan 96
 Małek Józef "Tygrys" 169 173 12
 Malkiewicz Zdzisław 374 376
 Manowski Kazimierz "Orzeł" 289 322 324 414
 Manowski Zbigniew "Giermek" 271 289 310 322 324
 Marczyński (vel Borkowski) Janusz "Kwiatkowski" por. 73 77 271 301 305 319 321 322 325 326 339 369 370 375 389 402
 Markiewicz Stefan "Szatan" 315 354
 Markiewicz Jan "Młotek" 326
 Markowska Anna 377
 Markowski Zbigniew 364
 Markowski Leon 323 362 374 376
 Markowski Kazimierz "Kret" 318
 Marszałek Józef 145
 Martynowski Tadeusz 322 341 342-
 Mataczowie 398
 Matz Tadeusz "Ochotnik D" 246
 Mazurek Zbigniew "Gniew" 292 342 343 361 363 366 367 375
 Mazurek Władysław 71
 Mazurkiewicz Stanisław "Bartosz" kpt. 288 303 315 342 375 380 383 386 388 389 397
 Męciwoda Karol 127
 Meggl kpt. WH 32
 Meyer Hermann dr 59 93 94 96 99 174 233 253 256 290 293 306
 Mianowski Kazimierz "Szczupak" 327
 Michalczyk Maria 184
 Michalec Czesław 134 357 375
 Michałowski Stanisław 8
 Michałowski Walery "Lech" st. sierż. 126 221 222 257
 Michalski Zbigniew "Fuchs" 169 183
 Micigulski Stanisław "Szymek" 339
 Miedziowski Henryk "Granica" 143
 Miernik Roman "Zajac" 326
 Miernik Zygmunt "Ładny" 326
 Mikołajczyk Stefan 71
 Miler Maria 339
 Mirowski Stefan "Mirt" 143
 Mirowski Zdzisław 375 339 354 396
 Mirski 8
 Misiowiec Henryk 375
 Młodożeniec Aleksander "Krak" 317 320
 Młynarczyk Zenon "Waldemar" 317 338 375
 Młynarczyk Jan "Mieczyk" ppor. 288 301 317 332 354 379 380 383
 Młynarczyk Władysław 330
 Młynarczyk Edward 265 279
 Młynek Tadeusz "Krzak" 317

Moczar Mieczysław "Mietek" (AL) 274 355 417
 418 419
 Molski Juliusz "Cień" 303 324 338 344 399
 Moniewski Jan 317 339
 Morawski Wacław "Mowa" 317
 Mościcki Ignacy Prezydent RP 12 135
 Mroczek Wacław 71
 Mroczek Józef 71
 Mroczkiewicz Leon dr 89 233 252 256 290 306 418
 Mrowińska Jadwiga "Sarna" 289
 Mrowiński Witold "Fiedler" por. 246 247 249 270
 290 304 330
 Mrówka Tadeusz 289 385
 Musiał Zdzisław "Wróbel" 143
 Musialik Zygmunt "Garbaty" ppor. 272 341
 Muszeg, lekarz 177
 Muzyka Władysław pik. WP 31
 Myśliwiec Henryk "Burza" 375
 Myszka Michał 98 281
 Myszka Władysław "Kijek" 312
 Nagrodkiewicz Henryk "Chan" 119
 Nagrodkiewicz Kazimierz 353
 Neuhauser Otto, WH, 353
 Neumann Erich (Sipo) 65
 Niebudek Eugeniusz 131
 Niemcewicz Jerzy "Kłos" kpt. 129 130 139 237
 Niemiec, delegat KRN, 254
 Niepokoyczycka Maria "Emilia Plater" 334 335 337
 Niewiadomski Jan "Wicek" 318
 Niziołek Józef 131
 Niziołek Władysław "Kula" 202 231
 Nowak Jan 70
 Nowak Michał "Pierwiosnek" 144
 Nowak Tadeusz "Narta" 143
 Nowak Kazimierz 373 374 393
 Nowak Władysław 70
 Nowak Tadeusz "Żelazny" 301 317 379 383
 Nowakowski Jan "Wyrwa" 326
 Nowakowski Władysław "Mirski" 143
 Nowicki Wacław 8 58
 Ogonowska Gabriela "Klara" 354
 Ohder (żandarm niem.) 68
 Okólski Włodzimierz "Wicek" 96 97
 Okruszko Sabina 387
 Olczyk Stanisław "Garbaty" (GL) 89 94
 Olszewski 132
 Opala 38
 Orzykowski Jerzy "Fezuj" chorąży 148 245 271
 278 300 313 329 330
 Orliński Jerzy "Boruta" 272 335
 Orłowski Aleksander por. WP 34 40 41 201
 Orzeł Stanisław "Łezro" 305
 Ostrowski Bolesław 70
 Ostrowski Bolesław 127
 Otwinowski 289
 Oziomek Franciszek "Wierny" 327
 Pacholec Roman "Zadra" 265 273 287
 Paciorkiewicz Karol "Lotnik" 143
 Pacocha Franciszek 27
 Pączek Jan "Szkłanka" 169 175 177
 Palka Jerzy "Leśnik" 246 250 271 322
 Palus Józef "Selim" ppor. 271 305 322
 Pałysiewicz Roman "Rom" 96 97
 Pałysiewicz Antoni "Mikołaj" 96 97
 Pałysiewicz Maria "Marysia" 95 97
 Pałysiewicz Jan 96 97
 Pałysiewicz Andrzej Kazimierz "Andrzej" 96 97
 Pankowski 314
 Papi Bolesław "Czerw" 144
 Paroński, kpt. WP 136
 Paśnik Józef "Topola" 282 300 312
 Pasternak Stefan "Wicek" 94 125
 Pasternak Józef 38
 Pasternak Jan 94
 Pastuszka Władysław 353
 Pastuszka Jan "Paproć" 322
 Paszkiel Adolf "Pozew" 197
 Paszkiewicz Gustaw, gen. WP 33 34 263
 Pawelczyk 222
 Pawelec Henryk 70
 Pawelec 131
 Pawelec Stanisław 70
 Pawlak Stefan "Błyskawica" 327
 Pawłowski 8
 Pękalski Jan "Molenda" "Borowy" por. 200 384
 Pękalski Piotr "Korwin" por. 273
 Perczyński 322
 Piasecki Władysław "Sum" 185
 Piasek Stanisław "Granit" ppor. 128 132 138
 Pierożyński Józef 7 58 59 96
 Pierzchola Jan 364
 Pietrzak Mieczysław "Pik" 254 289 322 323 375
 389 395 402
 Pietrzykowski Jan "Wąsik" 132
 Pilitowski 8
 Piter 371
 Piwnik Jan "Ponury" por. 95 113 340
 Płachciński Leszek "Zmroko" 367 375
 Płatek Regina 67
 Płatek Piotr 68
 Płatek Władysław 67
 Płatek Witold 68
 Płatek Jadwiga 67
 Płatek Leon 68
 Płonka, pik. WP 136
 Płowięć Jerzy "Labor" 333 335 336 337 375
 Pluta 322
 Pokorny Franciszek, plk. WP 30
 Połowniak Henryk "Zygmunt" (AL) 210 221
 Poniatowski Jerzy "Leszek" 246 289 322
 Popławski Mieczysław 418
 Poprzeczko Stanisław 143
 Poreda (vel Strzeszewski) Stanisław "Jesion"
 "Strzecha"
 Porwid Marian, plk. WP 264
 Potwardowski, kpt. LWP, 254
 Proch Zygmunt "Staszek" por. 183
 Prusiński Kazimierz "Kazinek" 327

Pryciak Waław "Sokół" 213 245 266 281 286
 Pryciak Jan "Waż" 213 245 265 339 340
 Przewoźny (Sipo) 143
 Przybysławski Tadeusz "Tadek" 272 322 341 342 414
 Przytocki Tadeusz "Fiat" 326
 Puław Jerzy, lekarz, 353 354 397
 Raczynski Kazimierz 7
 Raczynski Stanisław 68
 Radomski Adam "Olsza", ogniomistrz 69 319
 Radzikowski 289
 Radzimowscy 398
 Rakowski Waław 368
 Rauszer Bogdan 134
 Rawluk Józef "Olbromski" ppor. 317 332
 Rebajn Jerzy "Nóz", ppor. 322 324
 Rębalski "Rezuła" 215
 Rechnio Stefan "Sęp" 318
 Robaczekiewicz Mieczysław "Brzozowski" ppor. 271 288 289 322
 Robak 131
 Robak Stefan 61
 Rogowski Kazimierz 365 373 375
 Rogowski Czesław "Gołąb" 183
 Rogoziński Zygmunt "Zyga" 317 354
 Romanowski Franciszek "Czarny", ppor. 60
 Romanowski Franciszek 216
 Roguski Stanisław "Ostoja", por. 246 247
 Roguski Władysław "Paweł", pchor. 246 284
 Różycki Jerzy "Merkury" 322 400 404 405 414
 Różycki Marek, kpt. WP, 409
 Ruca Jan "Bałtyk" 221
 Rut Józef "Tur" 144
 Rut Tadeusz "Tur" 185
 Rutkowski Władysław "Krzemyk" 322 324
 Rydz Śmigły Edward, Marszałek Polski, 41 135
 Rykała Julian, ksiądz, 366
 Rynio Edward 38
 Sadaj Stefan "Virtus" 317 339
 Sadłós Julian "Biedny" 38
 Sadłós Jan 93
 Sadowska-Sasal Henryka 138
 Sadowski 98
 Sadowski Marian "Lubicz" 235 237
 Sajkiewicz "Dudek" 289
 Sajnog Tadeusz 143
 Sałapa Jan 375
 Sałapa Józef lek. wet. 354 384
 Sałata Janina 354
 Salek Władysław "Żelazny" 326
 Salek Mieczysław "Dąbek" 301 326 327
 Sasak Józef "Kobus" 317 381 383 397
 Sasak Maria "Szarlotka" 354
 Schmied Hermann, kpt. WH 41
 Schott, kpt. żand. niem. 69 71
 Schreiner Leopold, por. WP 30
 Schroeder, por. WH 32 41
 Schulz Erich (Sipo) 144
 Sępioł Antoni 127 233
 Sępioł Mieczysław 398
 Sępioł Helena 398
 Sępioł Krystyna 353 398
 Seweryn Stanisław 173
 Siemion Leszek 33 36 263
 Sikorski Władysław "Cichy" 138
 Sikorski Franciszek "Felek" ppor. 137 138. 166 168 200 231 351
 Skoczylas Roman "Piorun" 246 277 322 338
 Skonieczny Antoni "Wujek" 326
 Skrzydelski Marian "Szakal" 344 373 375
 Skrzydło Ignacy "Ptak", st. sierż. 139 221
 Skrzydło Stanisław 435
 Skulski, mjr. WP 137
 Skwarczyński Stanisław, gen. WP 33 34 36 263
 Skwarek Józef "Jaskółka" 292 344
 Skwarliński Waław 254
 Slaby Józef "Skład", kapelan, 231 232 276
 Sławińska-Lipczyńska Henryka "Iskierka" 274 334 335 344
 Sławiński Stefan "Lis" ppor. 175 177
 Śliwiński Mieczysław "Zew" ppor. 126 134 140 237 399
 Ślusarczyk Edward "Krótki" 300 •
 Śmigielska Helena "Leszczyna" 138
 Smołuch 132
 Snopkiewicz Andrzej 69
 Sobczak Monika 88 146
 Sobczyński Władysław "Władek" "Jurand" (AL) 205 208
 Sobieraj Helena 131
 Sobota, lekarz, 353
 Soja Stanisław "Palec" 383
 Sołtyk Waław "Liść" 169
 Sołtys Józef 8
 Sołta Jan "Ośka" 73 128 216 do 219 231 251 275 280 295 404 417 421
 Sosnowski Tadeusz "Leo" 145 212
 Späth Sławomir "Czarnota" 322
 Spychalski Jerzy "Szczupak" 354
 Sroka Mieczysław "Pirat" 279 292 295
 Stachowicz Bolesław 435
 Stachurski Jan "Róg" 249
 Staciwa Jan 272
 Starowicz Kazimierz, por. WP 27 127
 Starzyński Stefan, Prezydent Warszawy, 134
 Stawnicki Zygmunt 143
 Stawski Teofil "Sęp" "Kret" 143 144 169 178 184 185
 Stencel 120
 Stępniewski Stanisław 97 171 418
 Stodulski Zenon "Zenit" 326 327 328
 Stojek 92 93
 Stompor Józef dr med. pisarz, 120
 Strużycki Kazimierz 12 59 60
 Strzelecki Marian "Danielewicz" 354
 Stywryn Donald "Wazon" st. sierż. 69 272 282 303 318 319 321
 Sulima Tomasz 251

Sułocki Jerzy "Gozdawa" 246 247 249 270 281 286
 301 318 319 320 321 338 354
 Surdy 233
 Świątek Jan "Twardy" 315 316
 Świostek Mieczysław "Hejnał" "Róg" 203 213 222
 315
 Sworowski Bogdan "Modrak" 274 334 335 342 344
 375
 Symington John, oficer ang. 250 273 294
 Szałapski Józef "Wicher" 317
 Szczech Stanisław 301 331
 Szczechura Wacław 375
 Szczepaniak Maria 333
 Szczepaniak Piotr "Paweł" kpt. 76 77 246 247 288
 303 314 318 332 333 335 379 384
 Szczepaniak Jadwiga 333
 Szczepański Henryk "Maciek" 322
 Szczerski Stefan 367 373 375
 Szczygieł 222
 Szeluga Kazimierz "Colt" 98
 Szeptowski Roman "Tygrys" 318 328
 Szlęzak Adolf "As" 301 327
 Szrajber Waleria "Babcia" 273 287
 Szumielewicz Stefan 327
 Szumowska Jadwiga "Jadzia" 186
 Szymańska Maria "Łza" 353 398
 Szymańska Stanisława 353 398
 Szymański Józef 71
 Szymański Stefan "Wrzos" "Osa" "Góral" (AL) 204
 Szymański Janusz "Mściwy" 353
 Szymański Wiktor 8
 Szymański Adam, por. 127 353
 Szymański Ryszard 353 398
 Szymczyk Piotr 251 252
 Szymczyk Józef 251
 Targosiński Leon "Jastrząb" ppor. 288 333 334
 Targowski Wojciech "Vis" 247 248 249
 Tarkowski Kazimierz "Pazur" 301 317 354 379
 Tatar Stanisław, plk. WP 32 33
 Teliga Józef "Habdank" 131
 Tomasik Anna "Róża" 334 335 336 344 376
 Tomasik Wincenty "Potok" por. 73 75 76 137 140
 167 214 220 233 243 294 295 341 398 417 423
 Tomczyk Teofil por. 87 251 253
 Tomczyk Jan 36 87 91
 Trela Marian "Jur" 290
 Trzaska Stanisław "Jastrząb" st. sied. 245 272 284
 291 303
 Turkowski Marian plk. WP 32
 Tuszyński Stanisław "Kasztan" 318 375
 Tworek Bolesław "Tunel" 318
 Tylkowski Tadeusz "Olcha" 272 284 312
 Ungeheuer Wiesław 59 125
 Urbański Stefan "Rzeka" 148 331
 Uzar Mieczysław 127 309
 Von Łukowicz 135
 Von Kluge gen. WH 83
 Von Dirfurth Wilhelm pik. WH 28 33 41
 Von Szczepański 135 263 289
 Wagner dr med. por. WH 352 399
 Walas Edward 69
 Walczak 167
 Walczak Adam -Góra" 322 324
 Walendzik Maria "Sfinks" 185
 Wałęsa Lech, Prezydent RP, 220
 Walewski Franciszek "Stryjek" 132
 Wanat Wacław "Gorliwy" ppor. 126 247 249 271
 294 303 319 322 330 357 400
 Wanał, kier. poczty 148
 Wandel (Sipo) 72 77
 Wardasowie 232 351
 Wąsiel Paulin "Lipnicki" 142 143
 Waszczyński Jan "Kruszyna" 146 222 255
 Waszkiewicz 323
 Wawrzyniak Eugeniusz 305
 Wdowiak Jan "Ułanek" (BCh) 280
 Wehr Tadeusz 321
 Weissner mjr. WH 32 41
 Wickenhagen Karol 264
 Wickenhagen 8 345
 Wierchowicki Janusz "Doliwa" 292 293 334 344
 Wierchowski Stefan "Lipa" 272 273
 Wietrzyński Bronisław 131
 Wijas Mieczysław "Świt", st. sierż. 326
 Wisłowski Jerzy "Witold" 317
 Wiśniewski Rajmund 344
 Wiśniewski Jan "Sęp" 141 237
 Witkowski Marian "Orlicz" 317
 Witkowski Adam 317
 Witkowski Kazimierz 354
 Włodarski Tadeusz "Śmiały" 213 237
 Wnuk Zbigniew "Mały" 143 237
 Wnuk Lolek 143
 Wnuk Jerzy 143
 Wnuk Jan prof. 143
 Wojciechowski Jan "Młodzian" "Jasiek" "Eis" kpt.
 200 315 384
 Wójcik Tomasz "Tarzan" 174
 Wojnowski Bronisław "Śliwka" 318 328
 Wojtas 69
 Wojtas Stefan "Szczygieł" 250
 Wojteczek Wincenty "Sroka" 318
 Wojtyniak Tadeusz "Baca" (BCh) 280
 Wolańska Jadwiga "Grażyna" 274 334 335 336 353
 354
 Wolf Helena "Anka" (AL) 418
 Woliński Jan Józef 71
 Wolski Józef 143
 Woźniak Marian 317 375
 Woźniakowski Zygmunt "Rogacz" st. siecz. 305 314
 331 332 354
 Woźnicki Czesław "Czech" 319 326
 Wróbel Stanisław "Warta" 288
 Wróbel Piotr "Jawor" kpt. 140 232
 Wróblewska Halina 353
 Wrona Czesław 144 185
 Wrona Stefan 327
 Wrześniewski Antoni, sołtys 263 264 279 358

Wrześniewski Jan "Lamp" (AK/AL) 121 144 358
Wrzeszcz Jan "Dąb" chorąży WP 145 211
Wtorkowski Kazimierz "Cichy" 317 355
Wujkiewicz Marian "Judym*" por. 92 130 134 140
165 199 229 231 236 332 423
Wydra Franciszek "Gromski" 126 130 145 216 244
Wylęgarski Kazimierz "Pantera" 374 375
Wyporek Antoni "Sęp" kpt. 7 59 60
Wyporek Adam 59
Zabrzewski, lekarz, 356
Zacharski Antoni "Zdzich" 96 97
Zadrzywowski 327
Zagórny Augustyn "Łopata" 317
Zagórski Józef 7
Zagożdżon 40
Zalęski Jan "Długi" "Jaś" 397
Zalęski Kazimierz "Bończa" por. 209
Zapala Józef 344 367 373 375
Zapala Władysław 344 373 375
Zarzycki Władysław 304
Zasada Władysław 251
Zawada Władysław "As" 397
Żebrowski Stanisław "Żubr" 322 324
Zetelmeyer, starosta niem. 253
Zięba Andrzej "Stalowy" 312
Zięba Halina 353
Ziębora Jan "Zwid" 171
Zieliński 69
Ziemba Bronisław 71
Zieniewicz Zdzisław "Alter" dr med. ppor. 144 185
Ziętala Józef 94
Ziętala Stefan 70
Ziobro Józef 40 84 85
Ziomek Władysław 377
Żmijewska Maria "Mateńka" 132 353
Żmijewski Jerzy "Szczęsny" "Zielony" por. 132 133
Żmijewski Włodzimierz "Małina" 132
Żmijewski Andrzej "Jędre" 132
Żmijewski Jerzy "Gryf" 317
Żółkiewski Antoni "Lin" pik. 249
Zuba Tadeusz "Czarny" 327
Zubrzycki Marian "Brzozowski" 374 375
Zubrzycki Marian "Czarny" 134 317 329 357
Zugaj Józef "Czarny" 375
Żurek Zygmunt 166
Zwoliński Rajmund 327
Zwoliński Ryszard 374 375
Zychowicz Władysław "Rębacz" 142
Życki Edward chorąży 272
Żyłko Sabina 133